

JUDITH KRANTZ

PÓKI SIĘ ZNÓW NIE SPOTKAMY

Till We Meet Again

Przełożył Wojciech Usakiewicz

Steve'owi, jeszcze raz, za całą moją miłością wczoraj, dziś i jutro

*Setkom pilotek z ponad tuzina krajów, tym wspaniałym kobietom,
które latały w brytyjskim Pomocniczym Transporcie Powietrznym od
września 1939 aż po listopad 1945, biorąc udział w dostarczaniu*

samolotów Królewskiej Marynarki i Królewskich Sił Powietrznych na lotniska rozrzucone po całych Wyspach Brytyjskich i dowodząc tym, że kobiety mogą zręcznie, nieustraszenie i bezpiecznie latać wszystkim, co ma skrzydła, od myśliwców począwszy a na czterosilnikowych bombowcach skończywszy.

PROLOG

Jak to możliwe, że nadeszły sześćdziesiąte urodziny, zastanawiała się Eve, wicehrabina Paul-Sebastian de Lancel i największa dama w Szampanii, wszak od rana jej duch tryskał energią, radosną niczym kwitnący sad, kołysany wiatrem na tle bezchmurnego nieba?

Przed śniadaniem, podobnie jak codziennie rano, wymknęła się popatrzeć na winnice położone najbliżej zamku Valmont, rodowej siedziby Lancelów. Ciepły początek kwietnia 1956 roku sprawił, że z zawiązków wystrzeliła niezwykła wprost liczba młodych winnych pędów. Przez całą tę żyzną okolicę, od marnych hektarów należących do robotników rolnych po olbrzymie posiadłości producentów najwykwintniejszych marek szampana, takich jak Lancel, Molit & Chandon lub Bollinger, określanych we Francji jako Grands Marques, z jednego świeżo zazielenionego wzgórza na drugie niosła się wieść o urodzaju.

Znacznie później, ubierając się na uroczysty obiad urodzinowy, Eve de Lancel pomyślała, że jej szczęście nie ma nic wspólnego z perspektywą obfitych zbiorów. Te były zawsze problematyczne, obiecująca hojność wiosny nie zapewniała bowiem jesiennego spełnienia. Dzień nadbiegł tanecznym krokiem, gdyż miała z nią świętować w Valmont cała rodzina.

Jeszcze na chwilę przed dwunastą w nocy miała pięćdziesiąt dziewięć lat. W minutę później stała się sześćdziesięciolatką. Eve stawiała sobie w myślach pytanie, dlaczego jej wiek nie wyraża się dziś liczbą pięćdziesiąt dziewięć z dodatkiem paru godzin? Czy człowiek musi osiągnąć sześćdziesiąt lat, żeby wiedzieć bez cienia wątpliwości, iż zestawienie liczby sześćdziesiąt z jego osobą jest nonsensowne, bez

względu na to jaką głupotę symbolizuje dla świata? Czyżby był to uniwersalny sekret wszystkich, którzy przekroczyli sześćdziesiątkę jedynie po to, by stwierdzić, że wciąż czują się na... no: choćby na trzydzieści dwa? A może jeszcze młodziej, powiedzmy... na dwadzieścia pięć? Tak, chyba właśnie na dwadzieścia pięć, uznała Eve, dokonując śmiałej konfrontacji z własnym odbiciem w dobrze oświetlonym lustrze na toalecie. Szybko policzyła. Kiedy miała dwadzieścia pięć lat, mąż pracował jako pierwszy sekretarz ambasady francuskiej w Australii, córeczka Delphine skończyła trzy lata, a jej młodsza siostra Freddy, według metryki Marie-Frédérique, miała zaledwie półtora roku. Takiego okresu matczynych trosk jak wtedy nie chciałyby przeżyć nigdy więcej; stwierdziła to z uczuciem ulgi.

I Freddy, i Delphine były teraz w Valmont, obie dorosłe, z własnymi dziećmi. Przyjechały do zamku tego rana, Delphine z Paryża a Freddy z Los Angeles, tak dokładnie obłożone mężami, potomstwem, niańkami i bagażami, że pewnie dopiero teraz skończyły się rozpakowywać. Zięciowie Eve obiecali zatrzymać dzieci na dworze najdłużej jak można. W tej chwili w zamku nie było innych członków rodziny Lancelów poza kobietami i Eve poczuła przemożne pragnienie znalezienia się razem ze swymi dziewczętami. Zadzwoiła. W drzwiach sypialni ukazała się służąca.

- Josette, czy mogłabyś poprosić moje córki, żeby przyszły do salonu, a Henriego o przyniesienie kieliszków i szampana, oczywiście różowego, rocznik 1947.

Żadna z dziewcząt nie potrafiłaby w pełni zrozumieć, że różowy szampan z wyśmienitego rocznika jest najrzadszym winem musującym,

jakie kiedykolwiek wyprodukowano na tej planecie, ale Eve była akurat w odpowiednim nastroju, by poczęstować je bez wyjaśnień. Obiad miano podać wieczorem, o nietypowo wczesnej porze, jako że wszystkie wnuki, które mogły już usiedzieć przy stole, zostały włączone do uroczystości. Odświeżająca lampka szampana o piątej, na pół godziny przed spodziewanym hałaśliwym powrotem mężczyzn i chłopców, była jak najbardziej na miejscu.

Eve zarzuciła na siebie luźny, bogato zdobiony falbankami peniuar z różowej tafty w specjalnej tonacji przypominającej prawie, jeśli nie zupełnie, pióra flaminga. Materiał odbijał wiosenne promienie słońca ukośnie wpadające przez okno i prawie przywracał jej blond włosom niezwykły odcień, jakim lśniły dawniej. Cóż, zbliżająca się starość... Eve doszła do wniosku, że nie może wstydliwie unikać tego drażniącego, lecz koniecznego słowa... starość obchodziła się z nią nadzwyczaj dobrze. Eve miała gładkie ciało, poruszała się z dystynkcją i naturalną gracją kobiety, wyrosłej na nastolatkę w ostatnich latach panowania Edwarda VII. Wówczas sylwetka znaczyła niemal tyle samo, co uroda. Na wspomnienie dawno minionej niewinności miłych, choć zaprawionych goryczą dni przed pierwszą wojną światową Eve uniosła brwi, a na jej ustach pojawił się dyskretny, nieco kpiący uśmiešek.

- Mamo? - zabrzmiał u drzwi salonu głos Delphine.

- Wejdz, kochanie - zawołała Eve do starszej córki, szybko opuszczając sypialnię. Delphine wsunęła się do salonu w szykownej białej sukni z jedwabiu, zamówionej, podobnie jak i inne jej stroje, u Diora, i z rozkoszą zapadła się w głębokim fotelu krytym brokatem.

- Och, jak wspaniale być tutaj - westchnęła niemal tonem skargi.

- Zdaje się, kochanie, że nie najlepiej wyglądasz.

- Ach, mamó, po co mi tyle dzieci? - wykrzyknęła Delphine, wyraźnie nie oczekując odpowiedzi. - Dzięki Bogu, bliźniaki mają już dziesięć lat i mogą się sobą zająć, ale reszta! Paul-Sebastian i Jean-Luc bili się przez cały dzień. Żeby przynajmniej to było dziewczynką. - Z nadzieją poklepała się po brzuchu. - Czyżbym w końcu nie zasługiwała na dziewczynkę? Przecież chyba powinno stać się zadość sprawiedliwości?

Podniosła głowę i spojrzała na matkę, jakby Eve mogła dać jej pewną odpowiedź. Zmęczenie nie naruszyło wyjątkowej urody Delphine. Nic nie było w stanie zaćmić magnetyzmu wielkich, szeroko rozstawionych oczu, chronionych nieruchomą tarczą wysokiego czoła. Nic nie spędziłoby z warg wiecznie obecnego w kącikach ust tajemniczego uśmiechu, ani nie zdołałoby zmienić precyzyjnie wymierzonej odległości między wierzchołkiem lekko zachodzącego na czoło trójkąta włosów, a prześlicznym małym podbródkiem. Tę twarz w kształcie serca podziwiała miliony. Delphine była najświetniejszą aktorką filmową we Francji... W wieku trzydziestu ośmiu lat znajdowała się w rozkwicie kariery, racjonalnych Francuzów kobieta fascynuje bowiem bardziej po skończeniu trzydziestego piątego roku życia niż w okresie niedojrzałej pierwszej młodości.

- Aż dziw bierze, że jeszcze nie masz córki - odparła Eve, delikatną pieśczołą muskając upięte na kształt dzwonu brunatne włosy Delphine.

Henri wniósł na tacy kieliszki i szampan.

- Czy otworzyć, madame?

- Dziękuję, sama to zrobię. - Odesłała go skinieniem dłoni.

Zgodnie z tradycją, *châteleine de Valmont*, inaczej mówiąc pani

domu, osobiście otwierała pierwszą butelkę i nalewała z niej, kiedy tylko zdarzała się uroczysta okazja, a ta chwila prywatności z córkami była dla Eve bardziej uroczysta niż zbliżający się wieczorny obiad, choćby nie wiadomo jak galowy.

- Gdzie jest Freddy? - spytała Eve córkę, która rozkosznie pojękując, zażywała cudownego relaksu; odrzuciwszy lśniąca głowę i kruche ramiona do tyłu, niedbale oparła je na stosie brokatowych poduch.

- Kapie dzieci. Ledwie mogę uwierzyć, że Freddy wyprodukowała dwóch malutkich chłopców w niecałe dwa lata. Z pewnością chce nadrobić stracony czas.

- Czy niania nie może ich wykąpać? - dopytywała się dalej Eve.

- Normalnie to robi - odparła Delphine rozbawionym tonem.

- Ciągnęli tę biedną kobietę z Kalifornii, prawie dziesięć tysięcy kilometrów, ale właśnie teraz Freddy za nic nie może się odzepić od własnych latorośli.

- Kto tu wzywa mojego imienia nadaremno? - spytała Freddy, szybko wchodząc do pokoju lekko buńczuczным krokiem, który zawsze nadawał jej chodowi sprężystość. Miała trzydzieści sześć lat i stanowiła żeńskie wydanie Robin Hooda; podobieństwo było teraz żywsze niż kiedykolwiek. Z jej wesołych oczu rozbójnika biła pełna werwy bezpośredniość, gotowość do podjęcia każdego wyzwania z radosną beztraską, a uśmiech odznaczał się niefrasobliwością. Potrząsnęła szczotką do włosów.

- Delphine, zlituj się nade mną. Zrób coś z moją fryzurą, wszystko jedno co! Jesteś w tym dobra, a ja, jak wiesz, nie rokuje najmniejszych nadziei.

Freddy zgrabnie opadła na jeden z foteli. Przez krótką chwilę jej nogi, odziane w zapryskane wodą, białe płócienne spodnie, rysowały w powietrzu zadziwiające arabeski, unosząc się w energicznym wymachu nad bocznym oparciem. Eve pomyślała, że z samego sposobu, w jaki Freddy się porusza, można odgadnąć w niej urodzonego piło ta, panującego w locie nad każdą maszyną.

Rude włosy córki przypominały barwą staroświecki, dobrze wypolerowany miedziany rondel, a jaskrawością przyciągały wszystkie spojrzenia, gdziekolwiek Freddy się pokazała. Były przy tym tak krnąbrne i zbuntowane, iż żaden fryzjer nie potrafił ich oswoić. Przez cały okres, robionej przez Freddy wbrew wszystkim, oszałamiającej kariery jednego z najlepszych pilotów na świecie, w ciągu chwalebnych i pełnych brawury lat drugiej wojny światowej, jedynie kask lotniczy mógł poskromić tę nawałnicę włosów. Eve zlustrowała dwie zadziwiająco różne, lecz w równym stopniu nieokiełznane, śmiałe, zawzięte i ekstrawaganckie córki, które czas korzystnie przemienił w kobiety.

- Wypijecie ze mną kieliszek? - spytała i pochyliła się, by szybkim skretem szczypiec ze stępionymi krawędziami, które zaprojektowano specjalnie do tego celu na wiele pokoleń wcześniej, odkorkować butelkę szampana Lancel'47. Nalała go do swojego kieliszka na wysokość kilku centymetrów, energicznie zamieszała w kryształowym naczyniu, żeby poruszyć ustale wino, i przyglądała się, jak z powierzchni blad różowego płynu ulatuje biała piana. Eve skosztowała łyk, stwierdziła, że zgodnie z oczekiwaniami trunk jest wyborny, zręcznie napełniła wszystkie trzy kieliszki i podała jeden Freddy, a drugi Delphine.

- Nigdy nie zapomnę smaku pierwszego szampana w moim życiu -

powiedziała Freddy. - Tutaj, na tarasie, kiedy wszyscy wróciliśmy po pierwszym pobycie w Kalifornii. Który to był rok, mamó? - Niezwykła nostalgia przeniknęła jej spojrzenie. Oczy były tak intensywnie i niewiarygodnie niebieskie, jakby roztopiło się w nich niebo.

- Tysiąc dziewięćset trzydziesty trzeci - odparła Eve. - Miałaś zaledwie trzynaście lat, ale twoja babka orzekła, że dorosłaś już wystarczająco.

- Co zrobiła prababcia? - zabrzmiał głos od strony drzwi. Do pokoju wślizgnęła się Annie, czternastoletnia córka Freddy, ubrana w dżinsy i męską koszulę z podwiniętymi rękawami. - I dlaczego nie zaproszono mnie na to przyjęcie?

- Czy przypadkiem nie powinnaś być na dworze z innymi? - spytała Freddy, starając się powiedzieć to tonem własnej matki.

- Czyżbym była podobna do tatusia albo do nieznośnego małego chłopca? - spytała z anielskim, bezczelnym uśmiechem. - Jestem jedyną dziewczyną w tym pokoleniu rodziny i wolałabym zdechnąć niż pętać się w takim tłoku. Byłam w swoim pokoju. Przespałam pół godziny i zamierzam się bawić przez całą noc, a w każdym razie zamierzałabym, gdyby był tu do tańca ktoś poza krewnymi. - Annie przyjrzała się z zachwytem pozostałym obecnym. Uważała się za „decydowanie najbardziej dorosłą i najmądrzejszą ze wszystkich kobiet w rodzinie Lancelów, w pewnym sensie nawet bardziej dojrzałą niż jej uwielbiana babka.

- Annie, w co się chcesz ubrać do obiadu? - spytała Eve.

- Nie mam co na siebie włożyć - powiedziała Annie, z goryczą kręcąc kudłatą głową.

- Przywiozłaś dwie walizki strojów - zaśmiała się Freddy.

- Ale nic odpowiedniego akurat na tę okazję. Babciu, czy mogę zajrzeć do twojej szafy?

- Najpierw wypij kieliszek szampana - zaproponowała Eve. Nie odmówiłaby Annie niczego, choćby życzenie było wyjątkowo niestosowne.

Annie zabrała się do wina z zaciekawieniem. Nigdy przedtem nie piła szampana, a zawsze gdy próbowała czegoś po raz pierwszy, zgodnie z francuską tradycją wyrażała w myślach życzenie. Annie zmarszczyła czarujący nosek, pociągnęła duży łyk, starannie go posmakowała w sposób podpatrzony u innych i przełknęła z wyrazem zamyślenia.

- Hmmm. - Wyraziła milczące życzenie i skłoniwszy głowę, upiła następny łyk.

- Czy zauważyłaś coś szczególnego? - spytała Eve.

- Tak. W ustach miałam jeden smak, a potem, kiedy przełknęłam, poczułam inny, jakby ciepło na dnie gardła.

- Coś takiego - powiedziała Eve - zdarzyło ci się tylko dzięki temu, że to jest wyśmienity szampan. Ten posmak nazywa się Pożegnaniem.

Annie pociągnęła jeszcze jeden duży łyk, odstawiła kieliszek i znikła, kierując się ku największej szafie w sypialni.

- To dziecko jako jedyne z was ma normalne podniebienie - podnieconym głosem oznajmiła córkom Eve. - Żadna z was przez te wszystkie lata nie zwróciła uwagi na Pożegnanie. Freddy, co sądzisz o tym, żeby w lecie przysłać tu Annie na początki nauki. Niech się dowie, jak robimy szampan. Przyjdzie dzień, że ktoś będzie musiał przejąć siedzibę Lancelów.

- Myślałam, że w lecie będzie się uczyła latać, ale jeśli miałyby ochotę przyjechać tutaj, to czemu nie?

Annie wróciła z sypialni trzymając wieszak, na którym znajdowała się czerwona szyfonowa sukienka z cienkimi ramiączkami i małym marszczonym stanikiem. Ramiączka oraz pasek ciasno opinający smukłą talię były gęsto zdobione imitacjami diamentów, które lśniły z niewiarygodną świeżością, jakby zatrzymano na nich punktowe światło reflektora. Dolna część sukienki igrała w powietrzu, roztańczone warstwy szyfonu migotały rąbkami na różnych wysokościach. Nawet na wieszaku sukienka wyglądała jak magiczna, zupełnie jakby wiodła własne życie, miała historię i, o dziwo, złożoną osobowość, setki jaźni.

- Babciu, popatrz na nią! Nigdy przedtem jej nie widziałam. Jest bajeczna! I założę się, że na mnie pasuje - dodała Annie znacząco.

- Gdzie znalazłaś tę sukienkę? - spytała Eve poruszona.

- W najciemniejszym kącie szafy. Mrugała wprost do mnie.

- Zapomniałam... zapomniałam, że ona tam jest. To stara sukienka, Annie. Musi mieć... Och, ponad czterdzieści lat.

- Wszystko mi jedno, ile ma lat. Jest lepsza niż nowa. Na jakie okazje ją nosiłaś?

- Nie ja ją nosiłam, lecz Maddy.

Delphine i Freddy zafascynowane pochyliły się do przodu. A więc tak wyglądała sukienka Maddy, pomyślała Delphine. Sukienka będąca częścią rodzinnego skandalu, o którym Delphine dowiedziała się dawno temu. Nigdy jeszcze nie widziała jej na własne oczy, chociaż nasłuchiwała się o niej o wiele więcej, niż miałyby ochotę. Freddy była zaintrygowana. Oczywiście, wiedziała o Maddy, ale nie wyobrażała sobie, że w sukience

może być tyle życia; zupełnie jakby w pokoju towarzyszyła im jeszcze jedna osoba. Freddy sama była przywiązana do pewnej czerwonej sukienki, której nie wyrzuciłaby za nic, ale nie przyszłoby jej do głowy, że mama może łączyć tak wielki sentyment z sukienką Maddy. Eve znów napełniła wszystkie kieliszki.

- Myślę, że powinniśmy wypić za Maddy - oświadczyła z wesołym błyskiem w oczach. Na policzki wystąpił jej lekki rumieniec. Bez względu na to, co wiedziały jej córki na temat Maddy, nie były w stanie zrozumieć, dlaczego Eve zachowała tę sukienkę. Są rzeczy, których nigdy nie udaje się... ani nawet nie zamierza w pełni ujawnić przed innymi.

Panie de Lancel trzymały kieliszki wysoko w górze.

- Za Maddy! - powiedziały.

- Kimkolwiek była - dodała Annie, uniósłszy swój kieliszek.

Eve Coudert wyciągnęła pięciofrankowy banknot w kierunku kasjera. Obdarzyła go nonszalanckim uśmiechem, płacąc za lot w balonie napelnionym ciepłym powietrzem, który spoczywał na uwięzi na obszernym polu La Maladiere pod Dijon, gdzie trwał ostatni dzień wielkiego pokazu lotniczego 1910.

- Czy pani jest sama, mademoiselle? - spytał zaskoczony kasjer.

Rzadko zdarzało się widzieć tak młodą kobietę bez opieki, szczególnie jeśli była równie pociągająca. Z zainteresowaniem popatrzył na nią, szybko i ze znanstwem sporządzając rejestr wdzięków. Spoglądała na niego spod brzegu słomkowego kapelusza szarymi oczami, wystarczająco ciemnymi, by usidlić diabła. Linia obu brwi biegła skośnie do góry niczym para skrzydeł. Włosy, których barwę zdradzał ciężki kok, miały trudny do nazwania, lecz ekscytujący odcień, coś pośredniego między rudym i złotym; pełne, uśmiechnięte wargi były natomiast różowe, podobnie jak policzki.

- Mój mąż ma lęk wysokości, monsieur - powiedziała, przydając uśmiechowi znaczący cień, który dawał kasjerowi do zrozumienia, że osoba mówiąca dobrze wie o jego nieustraszonym stosunku do wysokości i podziwia go za odwagę.

Oho, pomyślał z przyjemnością, ta czarująca osóbką z prowincji mimo młodego wieku wcale nie jest taka niewinna, na jaką wygląda. I śledząc Eve tęsknym spojrzeniem, lecz bez dalszych pytań, wręczył jej bilet uprawniający do lotu. Ujął jej dłoń obciążoną rękawiczką i szarmancko pomógł wsiąść do plecionego kosza gondoli, mieszczącego pięć osób.

Jedną ręką Eve zebrała wąską, białą, pikowaną spódnicę, drugą kurczowo trzymała modny kapelusz z szerokim rondem, przybrany szeleszczącymi kwiatami centyfolii z różowego jedwabiu. W oczekiwaniu na odrzucenie licznych worków z piaskiem, które trzymały olbrzymi balon na ziemi, nerwowo stukwała o dno gondoli niskimi, sznurowanymi butami ze spiczastymi noskami. Starła się nie przyglądać współpasażerom. Odwróciła się do nich plecami, oparła o sięgającą pasa boczną ściankę gondoli i jak najgłębiej wcisnęła podbródek w wąski, sztywny kołnierzyk, tak że jego obszyte koronką brzegi wpiły się w jej delikatną skórę, niemal kryjąc twarz.

Była niedziela, dwudziestego piątego sierpnia, wyjątkowo upalne popołudnie, Eve drżała jednak z tłumionej niecierpliwości, a tymczasem robotnicy z obsługi żwawo kręcili się wokół, pokrzykując do siebie. Nagle olbrzymi czerwony balon wystartował z całkiem nieoczekiwaną prędkością i w zaskakującej ciszy. Oszołomiona magicznym wrażeniem, Eve nie zwracała uwagi na miasto poniżej - piękną, starą stolicę Burgundii, którą król Franciszek I uhonorował kiedyś okrzykiem: „Ach, cóż za piękne miasto z setką kościelnych wież!”. Spoglądała prosto ku odległemu horyzontowi, zaszokowana pierwszym przelotnym obrazem dalekiej linii zielonych i żółtych pól, która z każdą chwilą stawała się grubsza. Ależ ten świat jest bezkresny, pomyślała, ogarnięta tym samym dziecięcym zachwytem, co pozostali pasażerowie. Zapominając o dotychczasowej ostrożności, nakazującej jej odsunąć się od trzech mężczyzn, którzy także wykupili bilety, Eve obróciła się i zaczęła gapić, porwana panoramą, w cudowny sposób obejmującą także ją.

Nieświadomie rozrzuciła ramiona, chcąc otoczyć nimi niebo. W

chwili gdy uległa temu przemożnemu impulsowi, nagły poryw wiatru pochwycił balon. Pod wpływem szarpnięcia szpilka do włosów przestała trzymać i kapelusz pożeglował w dal.

- O nie! - wykrzyknęła Eve. Tym pełnym niedowierzania zawołaniem przyciągnęła wzrok wszystkich mężczyzn w gondoli. Zobaczyli przerażoną dziewczynę, której wiatr rozrzucił niefachowo zrobiony kok, a włosy powiewały teraz we wszystkich kierunkach, jakie tylko może wskazać kompas. Twarz i włosy do pasa zdradzały jej wiek, tak samo jak kapelusz dotąd go maskował.

- Panna Coudert!

- Eve!

- Dzień dobry, panie Blondel. Dzień dobry, panie Martineaux - powiedziała Eve drżącymi wargami, usiłując grzecznie się uśmiechnąć, tak jak zwykle gdy witała tych właśnie przyjaciół ojca przy rzadkich spotkaniach; Eve Coudert miała zaledwie czternaście lat, toteż matka nie pozwalała jej jeszcze nawet pomagać przy podawaniu ciasta na popołudniowych herbatkach. - Czy to nie przerażające? - dodała, szukając uspokojenia w najdoroślejszym tonie, na jaki umiała się zdobyć.

- Daj spokój nonsensom, Eve - wyrzucił z siebie wzburzony Blondel.

- Skąd się tu wzięłaś? Gdzie jest twoja guwernantka? Czy rodzice w ogóle mają pojęcie... nie, oczywiście, że nie mają!

Eve pokręciła głową. Nie miało sensu wyjaśnianie, że za wszelką cenę musiała polecieć balonem, że przez podniecające do szaleństwa pierwsze trzy dni pokazu czekała na to z coraz większym pragnieniem, że wykorzystwała chwilę, gdy ojca wezwano do pacjenta a matka ucinała zwykłą popołudniową drzemkę, i uśpiła czujność guwernantki, panny

Heleny... Nie, jakoś nie wydawało jej się, by cokolwiek z tego nadawało się do powiedzenia.

- Jestem tutaj - powiedziała spokojnie, wiedząc już, że trzeba będzie zapłacić nieuniknioną cenę - ponieważ wszyscy mówią, że my, Francuzi, podbiliśmy w końcu przestworza. Chciałam to zobaczyć na własne oczy. Blondel rozdziawił usta, pozostali dwaj mężczyźni nie usiłowali powstrzymać śmiechu. Jedyne dziecko doktora Didiera Couderta jest niewątpliwie bezczelną dziewczuchą, pomyślał Martineaux, ale jej obecność dodaje szczególnego czaru tej nadzwyczajnej chwili. Nie przegapił zgrabnej talii ani szczupłej kostki, które Eve już miała, podobnie jak rysującego się dopiero, lecz niedwuznacznego konturu młodej piersi pod krótkim, pikowanym bolerkiem i obcisłą koronkową bluzką od jej najlepszego stroju.

- Blondel - powiedział autorytatywnie Martineaux. - Panny Coudert nie może tu spotkać żadna krzywda. Po powrocie na ziemię osobiście odprowadzę ją do domu.

- Czy sądzi pan, że moglibyśmy najpierw poszukać ma... mojego kapelusza? - spytała Eve.

- Myślę, że wciąż jeszcze leci swoją drogą, mademoiselle. Jeśli się nie mylę, szybował na południe, ku Nuits-Saint-George. Mimo wszystko spróbujemy.

- Dziękuję panu - odparła z wdzięcznością. Gdyby tylko udało im się znaleźć kapelusz, to może matka nie złościłaby się tak bardzo, jak przewidywała Eve. Ale było jej w zasadzie wszystko jedno, co stanie się z nią potem, bo nawet gdyby kapelusz miała zjeść koza, to przecież był wart, stanowczo wart poświęcenia za szybowanie w powietrzu, za to że

Eve mogła w końcu zobaczyć, jak szeroki jest świat.

Nie umiała sobie wyobrazić, jak czują się piloci, którzy przybyli do Dijon z całej Francji na wielkie zawody lotnicze. Choćby Marcel Hanriot, który mimo ledwie szesnastu lat już zdobył większość nagród. Ten narodowy bohater latał z większą prędkością niż kilometr na minutę. W każdym razie... przebiegło Eve przez myśl, gdy balon zaczął opadać, a ona spoglądała na dwadzieścia pięć tysięcy ludzi kłębiących się o wiele niżej... w każdym razie ona też wzniosła się w przestworza, ona też przekroczyła spojrzeniem codzienny horyzont własnego dzieciństwa. Przynajmniej przez tych kilka niezapomnianych chwil czuła więź ze wszystkimi podniebnymi korsarzami.

Doktor Didier Coudert, ojciec Eve, był zajęтым człowiekiem. Specjalizował się w chorobach wątroby. Dokonał w ten sposób słusznego wyboru, żył bowiem w kraju, gdzie kłopoty z wątrobą zdarzały się ludziom czterokrotnie częściej niż jakiegokolwiek innej nacji na świecie, a to dlatego, że zawsze za używanie życia dostaje się pewnego dnia rachunek. Choć żałował, że nie ma chłopca, kochał Eve, ale praktyka pochłaniała go o wiele za bardzo, by poświęcał uwagę edukacji córki. Tą dziedziną zarządzała jego żona i nawet kiedy po eskapadzie Eve w czasie pokazu lotniczego uznała ona za konieczne pohamowanie niestosownej dziecięcej ciekawości świata, co skończyło się schowaniem pod klucz wszystkich książek z biblioteki, doktor nie zgłosił sprzeciwu.

Rodzina Coudertów mieszkała w okazałym domu przy Rue Buffon, wytwornej ulicy w samym sercu starej części Dijon. Doktor Coudert jako nowoczesny człowiek był właścicielem pierwszego w mieście samochodu dion-bouton. Wciąż jednak zatrudniał stangreta i trzymał dwa piękne

konie, żeby żona, Chantal, mogła składać zwyczajowe wizyty towarzyskie, jeżdżąc w lśniącym, ciemnozielonym koczku, tak jak robiła to przez cały czas ich małżeństwa.

Chantal Coudert, dziedziczka pokaźnej fortuny, prowadziła gospodarstwo twardą ręką. Jeszcze na długo zanim Eve, w wieku czternastu lat, stała się tematem szokujących plotek, było nie do pomyślenia, by dziewczynka poszła dokądkolwiek sama. Od czasu owej nieprawdo podobnej przygody guwernantka nie pozwalała dziewczynce zniknąć z oczu przyzwoitki nawet wtedy, gdy Eve piła z przyjaciółką popołudniową filiżankę czekolady w czasie wizyty uzgodnionej przez obie matki. Dziewczynka miała towarzystwo na spacerach z koleżanką w parku Colombiere lub ogrodach Arquebuse. Doglądano jej ściśle, kiedy oddawała się nieczęstej wówczas grze w tenisa. Przyzwoitka prowadziła ją również do spowiedzi w pobliskiej katedrze pod wezwaniem świętej Benigny. Sądono, iż wciąż zagrażają Eve wybryki jej własnej natury.

Jak większość dziewcząt z tej klasy społecznej, Eve żyła w świecie kobiet. Uważano, że poważna nauka w szkole nie jest dla niej niezbędna. Nauczyciele przychodzili do domu, ich przełożoną była dominikanka, która wykładała Eve język francuski, a także najogólniejsze wiadomości z matematyki, historii i geografii. Dziewczynka miała nauczycieli tańca, muzyki i malarstwa. Wszyscy dawali jej lekcje pod okiem panny Heleny. Tylko lekcje śpiewu z czcigodnym profesorem Dutourem z konserwatorium odbywały się poza domem przy Rue Buffon.

* * *

Jesienią roku 1912 Chantal Coudert siedziała, popijając gorącą czekoladę w swym luksusowym, oświetlonym gazem buduarze,

dyskutując z siostrą, baronową Marie-France de Courtizot, która przyjechała w odwiedziny z Paryża, o wiecznie absorbującym problemie, czyli o córce.

Skąd to się bierze, myślała matka Eve w przypiływie rozdrażnienia, że Marie-France, której związek nie doczekał się błogosławieństwa nawet w postaci jednego jedyne go dziecka, uważa się za autorytet w sprawach opieki nad Eve oraz jej wychowania i nazywa dziewczynkę „ulubioną siostrzenicą”, zupełnie jakby uhonorowała ją tym tytułem, wybierając spośród licznych kandydatek? Oczywiście, Marie-France zadzierała nosa, to normalne u córki dobrze sytuowanych mieszczan, której udało się poślubić barona i wżenić w arystokrację. Puszenia się z jej strony można było oczekiwać, miała zresztą do tego święte prawo, ale samo małżeństwo nie upoważniało jej przecież do czucia się ekspertem w sprawach, w których tylko matka mogła mieć coś do powiedzenia.

- Niepotrzebnie się martwisz, moja droga Chantal - mówiła baronowa, dotykając warg ładną lnianą serwetką i sięgając po kolejnego ptysia - Eve jest wspaniałą dziewczynką i sądzę, że wyrasta już z tej śmiesznej dziecięcej żywiołowości.

- Chciałabym mieć tyle pewności co ty, tym bardziej że żadna z nas nie wie naprawdę, co się lęgnie w jej głowie - odparła Chantal Coudert wzdychając. - Czy mama znała nasze myśli, Marie-France? Musisz mieć bardzo krótką pamięć.

- Nonsens. Mama była dla nas o wiele za surowa, więc naturalnie niczego jej nie mówiłyśmy... niczego co miało znaczenie.

- Próbuję wychowywać Eve tak, jak nas wychowywano. Ostrożności nigdy nie za wiele.

- Czyżbyś naprawdę chciała powiedzieć, Chantal- wykrzyknęła baronowa - że wszystko, co kiedykolwiek mówiłaś Eve o jej przyszłości w roli zameżnej kobiety, wyraża się maksymą: „Rób to, czego życzy sobie twój mąż”?

- Po co ma wiedzieć więcej? Czy ta jedna rada nie wystarcza? Wiesz, Marie-France, zrobiłaś się stanowczo za bardzo paryżanką.

Baronowa szybko podniosła filiżankę do ust. Jej skromna, starsza siostra nigdy nie zawodziła, zawsze rozbawiała ją pruderyjnym zachowaniem.

- Czy kiedy Eve skończy osiemnaście lat, pozwolisz mi wydać dla niej bal w Paryżu? - wystąpiła z propozycją.

- Oczywiście, Marie-France. Ale nie wcześniej niż urządzimy bal w Dijon, inaczej ludzie się obrażą. Muszę się liczyć z Amiotami, Bouchardami, Chauvotami.

- Gauvinami, Clergetami, Courtoisami, Morizotami... mój Boże, doskonale wiem, kto będzie na tym balu, już teraz widzę wszystkie twarze. Mogę sobie wyobrazić odpucowanych, świeżo upieczonych absolwentów szkoły świętego Franciszka Salezego, tę armię męskości, której dopiero co sypnął się wąs. A potem przyjdzie zima pełna bezwstydných uciech, jakich może dostarczyć tylko Dijon. Bal Czerwonego Krzyża! Bal elewów Saint-Cyr! Ubaw po pachy! Nie wspomnę już o kwestach dobroczynnych, koncertach, a nawet zaproszeniu na polowanie w lesie Chatillon, bo przecież Eve świetnie jeździ konno. Czy przypadkiem nie oszaleje od tylu podniet?

- Śmieć się, śmieć, Marie-France. Wolno ci. Ale większość dziewcząt dałaby wszystko, żeby zamienić się z Eve - powiedziała madame Coudert

z poczuciem wyższości. Bo w końcu, która z nich miała córkę?

- Kiedy dziewczynka ma wrócić do domu? - spytała baronowa, spoglądając przez okno na ciemniejące niebo.

- Powinna wrócić lada moment. Powiedziałam pannie Helenie, że profesor Dutour musi zostawić im czas na przejście przez miasto przed zapadnięciem zmroku.

- Czy on nadal utrzymuje, że Eve ma bardzo dobry głos?

- Owszem. Wprawdzie poza wieczorkami muzycznymi i ćwiczeniem przy fortepianie nie będzie miała okazji zrobić z niego użytku, więc zastanawiam się, czy te lekcje nie są po prostu stratą czasu, ale Didier nalega. - Pani Coudert mówiła tonem kobiety, która poślubiła despotę; obie siostry z upodobaniem uderzały w ten ton, gdy chodziło o ich krótko trzymanyh mężów.

- Ciocia Marie-France! - wykrzyknęła radośnie Eve, wpadając do pokoju. Obsypała ciotkę serią entuzjastycznych pocałunków, a paryżanka zauważyła tymczasem, że kolor włosów siostrzenicy rzuca się w oczy niczym fryzura modnej kokoty. Gęste, poskręcane włosy, wciąż jeszcze opadające na plecy, miały niepowtarzalną, drogocenna barwę, która nie wyblaknie ani nie ściemnieje. Takie rudozłote, lśniące naturalnym połyskiem włosy uczyniłyby fascynującą nawet całkiem tuzinkową dziewczynę. A oczy! Były ciemne jak kawałki węgla drzewnego w kominku.

Eve rosła tak szybko, że własną matkę przewyższała teraz o głowę, co Marie-France de Courtizot dostrzegła w dalszym ciągu obserwacji. Postawa dziewczyny objawiała coś intrygująco prowokującego, wyraźną ekstrawagancję. Spódnicę do kostek i prostą bluzkę Eve nosiła z taką

wrodzoną pewnością siebie i klasą, że wydawała się raczej bardzo młodą księżną niż szesnastoletnim dzieckiem. Marie-France pomyślała, że musi ściągnąć Eve do Paryża jeszcze przed osiemnastymi urodzinami. Paquin powinien ubrać ją ze zręcznością i fantazją, na jakie zasługuje, a Worth przygotuje dla niej suknię balową. Czemu nie miałyby świetnie wyjść za mąż, nawet lepiej niż Marie-France? W klaustrofobicznej, konserwatywnej społeczności Dijon, Eve była nieodwołalnie stracona.

- Mój skarbie - szeptała ciotka, odwzajemniając pocałunki. - Tak miło na ciebie patrzeć.

- Nie psuj jej, Marie-France - powiedziała ostrzegawczo siostra. - Eve, z okazji wizyty ciotki możesz dziś wieczorem zjeść z nami obiad, ale tylko ten jeden raz.

- Dziękuję, mamó - powiedziała Eve chłodno.

- A teraz, Eve, możesz coś dla nas zaśpiewać - dodała madame Coudert zachwycona, że może się popisać przed irytującą siostrą.

Eve podeszła do fortepianu, wsuniętego w róg pokoju, usiadła, chwilę pomyślała i zaczęła grać, śpiewając jednocześnie z nikłym, przewrotnym uśmiechem, którego nie potrafiła ukryć:

Argentyńskiego nieba czar
Z kobiety czyni boski dar.
Muzyka w niej roznieca żar;
Tańcz więc, tańcz to tango!

- Eve! Czy tego nauczyłaś się u profesora Dutoura? - wykrzyknęła ciotka, zszokowana zarówno pulsującym, zmysłowym rytmem głosu z charakterystyczną chrypką, głosu niczym surowy jedwab i ciemny miód, jak i słowami.

- Oczywiście, że nie. On chce, żebym śpiewała arię z Cyganerii. Ale to jest o wiele zabawniejsze. Usłyszałam tę melodię na ulicy, wracając do

domu. Nie podoba ci się, ciociu?

- Nie, zupełnie nie - odparła baronowa. - Nie chciała tego przyznać, ale być może Chantal nie myliła się w swym zatroskaniu o Eve. Samo usłyszenie tanga było dla panienki czymś dostatecznie złym, a co dopiero śpiewanie go! Do tego takim, takim... znaczącym głosem!

* * *

- ... I dziesiątki, dziesiątki chustek do nosa z najdelikatniejszego płótna, z wyhaftowanymi przyszłymi inicjałami... - wymieniała upojona Louise, pokojówka Coudertów. Przechadzały się właśnie z Eve po starym ogrodzie botanicznym. Było wczesnowiosenne popołudnie roku 1913.

- A jeśli ona nigdy nie smarka? - spytała Eve, żeby przerwać listę szczegółów wyprawy, zamówionej dla Diane Gauvin, córki sąsiadów, której ślub miał się odbyć wkrótce.

Louise zignorowała uwagę. Dostała awans na stanowisko przyzwoitki Eve cztery miesiące wcześniej, kiedy ku zaskoczeniu wszystkich panna Helena opuściła Coudertów, by wyjść za owdowiałego sprzedawcę z „Biednego diabła”, największego domu towarowego w mieście.

- Sześć tuzinów ścierek do naczyń, sześć tuzinów ścierek do kryształów, cztery tuziny fartuszków dla służących, a co do nakryć stołu, to nie wyobraża sobie panienka...

- Słowo daję, że sobie wyobrażam - powiedziała cierpliwie Eve. Louise była jej ulubiona służącą w domu, od kiedy przyszła do nich dziewięć lat temu. Liczyła wtedy tyle lat, co Eve teraz, prawie siedemnaście, ale chcąc dostać pracę skłamała, że skończyła dwadzieścia cztery. Miała twardy charakter, krzepkie ciało, zaprawione do codziennej

szesnastogodzinnej pracy bez ustanku, i okrągłą twarz o surowych rysach. Eve natychmiast odkryła jej dobre serce i wewnętrzne ciepło, toteż od pierwszych dni nawiązał się między nimi rodzaj przyjaźni, nie tak znów niezwykły w świecie, w którym dzieci spędzały większość czasu w domu, a rodziców widywały rzadko. Sprzymierzyły się przeciwko wszechwładnej panie Helenie i stały się powiernicami swoich sekretów; obu bez przerwy mówiono, co mają robić, więc z upływem lat więź przekształciła się w zażyłość, obie potrzebowały bowiem kogoś, komu mogłyby swobodnie opowiedzieć, co im leży na sercu.

- Nie rozumiem, dlaczego Diane wychodzi za mąż - powiedziała Eve, delikatnie dotykając gałązki forsycji, jedynej rośliny, która zdążyła już rozkwitnąć. - Ma takiego paskudnego narzeczonego.

- Mademoiselle Diana jest rozsądna i wie, że ważne jest znalezienie odpowiedniego, a nie przystojnego męża.

- I ty też! Louise, nie mogę uwierzyć, że słyszę to od ciebie. Co jest w nim odpowiedniego poza fortuną ojca? Czy chcesz mi powiedzieć, że każdego mężczyznę mającego dwie ręce, dwie nogi, niezbyt pryszczatego, a przy tym idącego prostą drogą do bogactwa należy traktować jako pożądanego kandydata na męża?

- Chciałabym znaleźć jakiegokolwiek, nawet z pryszczami - powiedziała Louise z komicznym grymasem, pogodzona z faktem, iż biedna dwudziestosiedmioletnia pokojówka nie ma szans na małżeństwo.

- Mnie mąż nie interesuje. Chcę być zakonnica, pielęgniarką, misjonarką, sufrażystką... och, nie wiem! - powiedziała impulsywnie Eve.

- Dostanie panienka męża, czy będzie jej się to podobało, czy nie, bo matka chce, żeby ślub odbył się jeszcze przed dziewiętnastymi

urodzinami, a jeśli matce się nie uda do niego doprowadzić, to zajmie się tym ciotka. Lepiej niech panienka przyzwyczai się do tej myśli... Moja biedna mademoiselle.

- Ale dlaczego? Dlaczego? - krzyknęła Eve pozbawiając krzew gałązki z wątlými żółtymi kwiatkami tak ostrym szarpnięciem, że wystraszyła Louise. - Jeśli nie chcę, to dlaczego mam wychodzić za mąż? Dlaczego nie mogą zostawić mnie w spokoju?

- Gdyby panienka miała czworo lub pięcioro rodzeństwa, prawdopodobnie pozwolono by jej postąpić zgodnie z własnym życzeniem. Każda rodzina potrzebuje starej panny, żeby zajęła się sprawami, na które nikt inny nie ma czasu. Ale panienka jest jedynaczką i jeżeli nie wyjdzie za mąż, to rodzice nie będą mieli wnuków, dlatego nie warto walczyć z tym, co musi się stać.

- Och, Louise, przeraża mnie myśl, że mogę mieć podobne życie jak moja matka. Tylko składanie wizyt, przyjmowanie wizyt, i nic się nie zmienia prócz fasonu butów. To jest zupełnie nie do wytrzymania, przyszłość bez nadziei na cokolwiek poza uszczęśliwieniem rodziców gromadką wnuków. Czy po to przyszedłam na świat?

- Po ślubie panienka zapomni o tym, co teraz mówi, zostanie matką jak większość kobiet i będzie bardzo zadowolona - odparła Louise. - Kiedy powtórzę dzisiejsze słowa za trzy lata, panienka nie będzie mi chciała wierzyć, tak jej całkiem wylecą z głowy.

- To nie jest uczciwe! Jeśli czas sprawia, że zaczyna uszczęśliwiać cię coś, czego nienawidzisz... jeśli tak, to dorastanie jest złem! Muszę zrobić coś wspaniałego, coś wielkiego, podniecającego, wymagającego odwagi... coś szalonego. Och, Louise, bardziej szalonego niż można sobie

wyobrazić!

- Czasami też mi się tak samo wydaje, mademoiselle Eve, ale wtedy wiem, że po prostu pachnie wiosna, a dzisiaj jest do tego pełnia księżyca. Jeżeli wkrótce nie wrócimy do domu, matka panienki zacznie się martwić.

- Przynajmniej pościgaj się ze mną. Zobaczymy, która pierwsza dobiegnie do domu... Umrę, jeśli nie pobiegam - wykrzyknęła Eve.

- Nie można... Madame Blanche z mężem właśnie skręcili zza rogu i idą za nami. - Louise rzuciła to ostrzeżenie w powietrze, bo Eve już skoczyła do przodu i była o wiele za daleko, żeby usłyszeć.

* * *

Wyobraźnia Eve wygłodniała na pożywce ze stosownych książek, które pani Coudert dawała córce do czytania. Dozwolony magazyn mody *La Gazette du Bon Ton* traktował o kobietach z innej planety, podobnych do egzotycznych ptaków, ozdobnych i nierealnych w fantazyjnych, wielobarwnych kreacjach, które miękko, z nieskończonym wdziękiem opadały aż do stóp.

Eve odkryła jednak, że codziennie rano ojciec przegląda najważniejszą gazetę Dijon, *Le Bien Public*, po czym beztrąsko pozostawia ją w gabinecie. Ten dziennik stał się dla niej oknem na świat, doprowadziła więc do doskonałości technikę podkradania go, zanim gabinet zostanie odkurzony. Zabierała gazetę do swojego pokoju, gdzie mogła spokojnie czytać, gdy tylko miała parę minut dla siebie.

W połowie lata 1913 roku Dijon było naprawdę radosnym, gościnnym i kwitnącym miejscem, przygotowywało się bowiem do uroczystości w rocznicę zburzenia Bastylji, która przypada czternastego lipca. Miasto rozbrzmiewało niczym wielka katarynka.

Melodie płynęły ze wszystkich stron, z każdego rogu ulicy, z dziesiątków kawiarni, w których występowali śpiewacy i pianiści, z restauracji, z estrad na skwerach, z toru wyścigowego zwanego welodromem, ze stałego cyrku Tivoli, a co najważniejsze, zewsząd gdzie muzykowała orkiestra 27 dywizji piechoty armii francuskiej, stacjonującej w koszarach Vaillant.

Trzy razy na tydzień Eve i Louise chodziły do profesora Dutoura i z powrotem, przemierzając przy okazji strefy opanowane przez różne rodzaje muzyki. W czasie tych przechadzek Eve bezwiednie zmieniała krok, czasem zgodnie z rytmem walca, czasem marsza wojskowego, czasem zaś dolatującej z kawiarnianego tarasu piosenki, która jak wiele jej podobnych narodziła się w Paryżu. W drodze mruzczała melodie pod nosem i jedynie nadludzkie wysiłki Louise powstrzymywały ją od głośnego wyśpiewywania szybko podchwytywanych słów.

Od wiosny gorączkowy niepokój Eve i niezadowolenie z życia stopniowo rosły. Louise nie mogła się doczekać na jej osiemnaste urodziny, które oznaczały natychmiastowe przejście do innego świata i znalezienie się w centrum zainteresowania młodych mężczyzn, podniecenie nowymi strojami oraz zdobycie nowych przyjaciółek. To nerwowe, pełne zmartwień wyczekiwanie, które było już prawie nie do zniesienia, zakończyło się gwałtownie, jeszcze nim zamknął się ostatni rozdział o wiele za długiego dzieciństwa Eve. Dziewczynie tak mało brakuje do dorosłości, myślała Louise, że jej rozterki są naturalne; jest drażliwa i kapryśna jak burza wisząca w powietrzu.

Chociaż Louise wiedziała, że jej rola w życiu Eve ulegnie znacznemu ograniczeniu, to poczucie odpowiedzialności ciążyło jej do tego stopnia, iż

niemal pragnęła, by wróciła panna Helena. Wkrótce obowiązki miały się skończyć. Louise mówiła sobie, że za kilka miesięcy odetchnie.

* * *

Rankiem trzeciego lipca 1913 roku Eve rzuciła okiem na pierwszą stronę Le Bien Public i szybko zaczęła przerzucać gęsto zadrukowane strony w poszukiwaniu kolumny z kroniką wydarzeń. W końcu znalazła ogłoszenie o przyjeździe od dawna zapowiadanej music-hallowej trupy z Paryża, która miała wystąpić w teatrze Alcazar, największej sali widowiskowej w Dijon. Eve wykrzyknęła z ulgą. Nie wierzyła dotąd, że trupa naprawdę przyjedzie.

Od miesięcy afisze anonsowały te nadzwyczajne gościnne występy. Nawet przyzwoita młoda dama, troskliwie chroniona tak jak Eve, zdawała sobie sprawę, że dzięki nowoczesnemu music-hallowi Paryż aspiruje do miana stolicy europejskiej rozrywki. W roku 1900 otworzyła podwoje Olimpia, a jej nadzwyczajny sukces przetarł drogę dla Moulin Rouge, Grande Hippodrome, Alhambry i wielu innych mniej ambitnych i mniej luksusowych teatrzyków.

Wśród music-halli drugiego sortu znajdowała się Riviera. Impresariowi teatru Alcazar udało się ściągnąć cały zespół Rivieri na kontrakt do Dijon. Jedyne wizyta Buffalo Billa i jego cyrku w roku narodzenia Eve wzbudziła równie ożywione zainteresowanie wśród uwielbiających rozrywki obywateli miasta. Eve rzuciła się na Louise, która słała jej łóżko.

- Przyjeżdżają, będą tu za tydzień - powiedziała, zaróżowiona z radosnego podniecenia.

- A ja mówię to, co mówiłam wczoraj i w zeszłym tygodniu, i

Jeszcze sto razy. Matka nigdy nie pozwoli panience pójść. W zeszłym roku uznała, że panienka jest za młoda, kiedy ojciec chciał ją wziąć do opery. A jeszcze music-hall... nigdy! To nie dla dziewcząt z tej sfery. Kto wie, jakiego języka używają komicy? Kto wie, o czym są piosenki?

- Louise, nie mów w ten sposób. Doskonale wiesz, że na ulicy słyszałam wszystkie możliwe rodzaje piosenek - powiedziała Eve, gwałtownie potrząsając przyjaciółką.

- Mówię tylko, co powiedziałyby matka panienki.

- Ale ja muszę iść. Tłumaczę ci to od tygodni.

- Nie rozumiem tego, mademoiselle Eve. Żeby tak nie słuchać głosu rozsądku. Wkrótce zostanie panienka dorosłą kobietą. Po ślubie będzie jej wolno wszystko, oczywiście pod opieką męża, zresztą współczuję mu, ktokolwiek miałby nim być, albo w towarzystwie innej damy, jeśli tylko uda się panience znaleźć równie kapryśną osobę jak ona. Wtedy będzie wolno mieć zachcianki i chodzić do music-hallu nawet przez cały tydzień na okrągło, ale przecież panienka wie równie dobrze jak ja, że teraz jest to niemożliwe, więc proszę mi nie zawracać głowy, bo chciałabym skończyć ślanie łóżka.

- A więc nie pójdziesz ze mną, Louise?

- Czy nie mówię tego, odkąd panience wpadł ten pomysł do głowy?

- Myślałam, że zmienisz zdanie, kiedy okaże się, że trupa Riwieri naprawdę przyjeżdża.

- Ja tam swoje dobrze wiem - powiedziała Louise bez cienia kompromisu w oczach.

- Wobec tego pójdę sama.

- Naprawdę? W jaki sposób, jeśli mogę spytać?

- Nie zamierzam ci mówić - stwierdziła Eve wyniośle. - W każdym razie trzy lata temu poleciałam balonem, a miałam skończone tylko czternaście lat. Skoro mogłam zrobić coś takiego, to czy naprawdę myślisz, że nie potrafię się dostać na Rue de Godrans, kupić biletu do teatru Alcazar i wejść do środka? Chyba mnie nie doceniasz.

Z wyrazem desperacji na twarzy Louise usiadła na łóżku, które starała się posłać. Wiedziała, że musi dokonać wyboru. Albo łamiąc wszelkie zasady ustanowione przez madame Coudert i dodatkowo parę takich, które jej pani nie przyszły do głowy, weźmie Eve w tajemnicy na popołudniówkę do music-hallu, albo pogodzi się z myślą, że jej podopiecznej, Bóg jeden wie w jaki sposób, uda się pójść samej.

Druga z tych możliwości wydawała się o wiele gorsza. Ładna samotna dziewczyna w teatrze Alcazar nie uniknie spojrzeń i komentarzy, a może nawet nieprzystojnych propozycji. Żadna szanująca się kobieta, nawet córka prostych ludzi, nie pójdzie do music-hallu bez towarzystwa. Louise stwierdziła, że w zasadzie dokonała już wyboru, co Eve doskonale rozumiała, jeśli sądzić po jej taksującym spojrzeniu i zaczepnym uśmiešku.

Zająły miejsca na pół godziny przed podniesieniem jaskrawo malowanej kurtyny. Zdradliwe włosy Eve były dokładnie zebrane w ciasny kok, przykryty kapeluszem przypiętym do niego w trzech miejscach szpilkami, które stanowiły własność Louise. Orkiestra grała już temat *C'est pour Vous*, piosenkę napisaną pierwotnie przez Irvinga Berlina pod tytułem *Everybody's Doing It*, czego zresztą Eve i Louise nie wiedziały. Dookoła nich oczekujący ludzie wystukiwali nogami rytm, szemrząc między sobą. Wszystkie miejsca w sali były zajęte i Louise poczuła się

niedobro lepiej, widząc wiele innych kobiet, niektóre nawet z dziećmi.

Eve, tak podniecona, że ręce i stopy miała jak lód mimo gorąca panującego w teatrze, studiowała program, który obiecywał to, o czym śniła od dawna: śpiewaków wszelkiego rodzaju.

Profesor Dutour mawiał zwykle do żony, że Eve Coudert łamie mu serce: Żeby tak utalentowana dziewczyna, mogąca zaśpiewać każdą arię kontraltową nadzwyczajnie mocnym i głębokim głosem, do tego sięgająca bez wysiłku rejestru mezzosopranu... otóż, żeby taka dziewczyna chciała śpiewać po prostu popularne melodie piosenki pisane dla niewybrednej publiczności... ta myśl przerastało jego wyobrażenie.

Słabość do łatwych, prostych melodyjek wydawała mu się czystą perwersją. Z narastającym oburzeniem mówił do cierplivej żony o tych upodobaniach, które mógł nazwać jedynie... tak, właśnie tanimi. Nie trywialnymi, nie. Eve Coudert nigdy nie przyszła do niego na lekcję z czymś trywialnym, ale przynosiła piosenki, które kosztowały ją nie więcej niż energię traconą na oddech.

Eve już dawno zrezygnowała z prób tłumaczenia profesorowi upodobań do pospolitej muzyki. Był wszak jej jedynym słuchaczem, a ona pożywała publiczności, nawet jednoosobowej.

Im więcej śpiewała melodii z ulicy, tym bardziej rośnie jej pragnienie, by w podchwytywanych przez nią piosenkach usłyszeć zawodowców na prawdziwej scenie, zobaczyć dokładnie, jak je wykonują, jaką mają mimikę, co robią z rękami i nogami, jak się ubierają i jak nawiązują kontakt z publicznością.

Gdy rodzice wychodzili z domu, często śpiewała dla siebie, odgradzając się od służby zamkniętymi drzwiami.

Zaczynała najniżej jak mogła, szukając w głosie drogocennego ciepła i intymności, następnie dołączała vibrato, dochodząc do stanu, w którym ledwie nad nim panowała, potem ciągnęła tę samą frazę coraz bardziej do góry, aż w końcu melodia rozbrzmiewała wibrującym altem, ponad oktawę wyżej, i zdawało się, że bez opamiętania bije skrzydłami o podniebienie. Śpiewając piosenki z ulicy, Eve czuła się nieskrępowana, wolna; mogła kształtować melodie wedle własnej fantazji, nie znała przecież innych interpretacji.

Zaczął się program i Eve zatraciła świadomość bycia w teatrze, zapomniała o Louise siedzącej obok z ponurą miną, nie słyszała żywiołowych reakcji publiczności, skoncentrowała się całkowicie na tym, co dzieje się na scenie.

Programowi rewii rozmyślnie narzucono bardzo szybki rytm, więc jeśli numer się nie podobał, zmieniano go, zanim publiczność się zorientowała. Po czterech mężczyznach jeżdżących na kołach i rzucających do siebie złote obręcze w nieprawdopodobnych wręcz układach, wyszła na scenę chuda kobieta w błyszczącym zielonym kostiumie, która zgrzytliwym głosem przedstawiła melodeklamację dwóch tragicznych i dramatycznych monologów; czternastu tancerzy w cylindrach, z różowymi żabotami, futrzanymi kołnierzami i dopiętymi kocimi ogonami popisało się wiazanką piruetów i ustąpiło pola grubasowi śpiewającemu wysokim, przenikliwym głosem dwuznaczne piosenki w tak szybkim tempie, że tylko najsprawniejsi z widzów rozumieli aluzje, chociaż tłścioch zapowiadał każdą mrugnięciem, a po każdym z odważniejszych kupletów ocierał twarz chustką. Akrobatyczna tancerka ubrana w egipskie draperie wykonała serię zadziwiających łamańców;

zasłony jedna po drugiej osuwały się z niej na ziemię, w końcu artystka została tylko w cielistym trykocie, którego widok przyspieszył oddech obywateli Dijon. Znikła i rozpoczął się występ sześciu zgrabnych dziewcząt w żołnierskich mundurach, które unisono śpiewały patriotyczne pieśni, przy okazji zadzierając nogi najwyżej jak umiały. Bez przerwy, nawet podczas zmian dekoracji, grała orkiestra.

Eve zaczynała odczuwać rozczarowanie, miała mętlik w głowie. Zanim wyrosła, bywała w cyrku, ale w żaden sposób nie była przygotowana na wodewilowy groch z kapustą, oczekując od music-hallu... hm, nie wiedziała dokładnie czego, ale na pewno nie scenicznego galimatiasu robionego li tylko dla galimatiasu, nie takiego hałaśliwego zamieszania, takiej niestrawnej składanki numerów.

Nagle orkiestra przestała grać, na minutę opadła kurtyna. Kiedy znów ją podniesiono, zaciemnioną scenę rozjaśniał pojedynczy krąg światła, który zatrzymał się na fortepianie. Z lewej kulisy wyszedł młody człowiek i usiadł na stołku przy instrumencie. Odwrócił się do publiczności, na sekundę skłonił głowę i poważnym głosem zapowiedział tytuł piosenki:

- *Folie*, jedna z moich ulubionych melodii.

Barytonem, którego siłę wzmagало uczucie, zaczął pierwszą powolną frazę, brzmiącą jak senne marzenie: / *tylko o niej, o niej, o niej śnię...* W teatrze Alcazar natychmiast zapadła cisza. Po music-hall owym zgiełku nie zostało śladu, na wszystkich widzów padł czar, tajemniczy czar niezwykłego głosu. Trudno zrozumieć, w jaki sposób ten człowiek znalazł w sobie coś, co przekształciło banalny lament nie odwzajemnionej miłości w doświadczenie, wobec którego nikt nie pozostał obojętny, było bowiem

rzeczywiste, jak fortepian, na którym artysta sobie akompaniował.

Po *Folie* zaśpiewał *Reviens*, posuwistego walca ze smętnym refrenem: Kochana moja, do mnie wróć, kochana, do mnie wróć. Potem zaś, w końcu z uśmiechem na twarzy, wykonał *Je Connais une Blonde*; cały teatr zagrział od oklasków. Artysta wstał i uklonił się, nieskazitelny w czarnym garniturze i zapiętej na ostatni guzik kamizelce, ze złotym łańcuszkiem od zegarka, spod której wystawał wysoki biały kołnierzyk i ciemny krawat. Powściągliwość stroju i biel koszuli służyły podkreśleniu ciemnych i krótkich, przylizanych włosów.

Eve i Louise siedziały o wiele za daleko, żeby wyraźnie widzieć twarz śpiewaka, miały przed sobą studium bieli i czerni, widowia tymczasem wymogła trzy bisy i pozwoliła artyście zakończyć występ dopiero, gdy orkiestra zaczęła rznąć polkę, w takt której wpadła na scenę gromada akrobatów i wypchnęła fortepian za kulisy.

- Tak, mademoiselle Eve, nawet ja zgadzam się, że to było coś, chwila warta zapamiętania. Owszem, w tym muszę panience przyznać rację - powiedziała Louise tonem, który mimo starań nie wypadł burkliwie. Spojrzała na Eve, szukając potwierdzenia. Dostawka, na której siedziała dziewczyna, była pusta. - Eve! - krzyknęła Louise w szoku, ale zaczęła się przerwa i publiczność wypełniła przejścia, spiesząc na powietrze, żeby złapać oddech przed drugą częścią.

Eve biegła przejściem tak pełna entuzjazmu i determinacji, iż nie miała czasu na wahanie, gdy stwierdziła, że stoi przed drzwiami prowadzącymi za kulisy. Pierwsi widzowie właśnie zaczęli wysypywać się do foyer. Spojrzała jeszcze raz do programu, znalazła poszukiwane nazwisko, pchnęła drzwi i podeszła do sympatycznie wyglądającego

mężczyzny z notatnikiem w ręku.

- Czeka na mnie monsieur Marais. Czy mógłby mi pan wskazać jego garderobę? - Nie zdając sobie sprawy, powiedziała to światowym tonem ciotki Marie-France.

- Drugie drzwi na lewo, madame... a może mademoiselle?

- To nie pańska sprawa, monsieur - odparła, w dziwny sposób wiedząc, jakimi słowami rozwiać wątpliwości mężczyzny co do jej prawa przebywania za sceną.

Zapukała.

- Proszę - zawołał Alain Marais. Eve pospiesznie weszła do garderoby i stanęła jak wryta; zastygła w szoku, a drzwi za nią zatrzasnęły się. Śpiewak stał plecami do niej, nagi od pasa wzwyż. Marynarka, kamizelka, kołnierzyk, krawat i przemoczona koszula były zdjęte i leżały na krześle przy stole do charakteryzacji. Mężczyzna wycierał kark ścierką.

- Daj mi przyzwoity ręcznik, Jules. Jeszcze jeden bis w tej łaźni parowej i wyglądałbym jak żywa kałuża. Chryste, Dijon na gorąco... Dyrekcja powinna podwójnie płacić.

- Pan jest wspaniały!

Określił się dookoła osi i chrząknął zaskoczony. Potem uśmiechnął się szeroko, znalazł duży ręcznik i dalej się wycierał. Eve odważyła się podnieść wzrok i jedynie drzwi z tyłu uratowały ją przed zachwianiem na widok nagiej, silnie umięśnionej klatki piersiowej, zarośniętej czarnym owłosieniem biegnącym w dół brzucha. Uniesione ramię objawiło jej oczom kępkę włosów pod pachą, którą mężczyzna zaciekle atakował ręcznikiem. Eve nigdy nie widziała nagiej męskiej piersi. Nawet w najbardziej skwarne dni robotnicy w Dijon nosili podkoszulki. Nie

widziała również z tak bliskiej odległości mężczyzny, który się poci. Władcza siła, brutalna zmysłowość zapachu potu w małym pomieszczeniu oszołomiła ją niczym uderzenie. Eve poczuła się, jakby ją napadnięto, ale na określenie tej napaści brakowało jej jeszcze słów. Wiedziała jedynie, że nagle oblewa ją rumieniec.

- „Wspaniały”. Aż tak dobry? Dziękuję, mademoiselle... czy może madame?

- Mademoiselle. Muszę panu powiedzieć... nie zamierzałam przeszkodzić, nie wiedziałam, że będzie się pan przebierał, ale... och, jak pan śpiewał! Nigdy nie słyszałam czegoś równie znakomitego, cudownego!

- Wie pani, nie jestem artystą z Opery Paryskiej, tylko po prostu music-hallowym śpiewakiem. Pani wprawia mnie w zakłopotanie - powiedział oczarowany pochwałą, z którą zresztą w duchu się zgadzał. Alain Marais był przyzwyczajony do odwiedzin za kulisami, zwykle przychodziły grupki chichoczących dziewcząt, które założyły się między sobą, że się na to odważą. Ale od tej dziewczyny z Dijon, skrytej pod potwornym kapeluszem, promieniowała intrygująca powaga. Szybko wbił się w czystą koszulę i wyjął nowy, czysty sztywny kołnierzyk.

- Niech pani usiądzie, skończę się przebierać. Proszę, tu jest krzesło - powiedział nęcąco, Eve bowiem nie zdradzała najmniejszego zamiaru ruszenia się od drzwi. Przystawił drugie krzesło do swojego, które stało przed lustrem, przy stole do charakteryzacji.

Eve usiadła, z fascynacją chłonąc nigdy nie widziany spektakl: mężczyzna przypinał kołnierzyk do koszuli. Chwila oglądania jego walki z guzikami była niemal równie intymna jak ta, w której wycierał się

ręcznikiem. Z kołnierzykiem uwinął się szybko, zawiązał krawat i poczęstował Eve wodą, nalaną z dzbanka stojącego obok jedynej szklanki.

- Musi pani skorzystać z tej. Nie rozpieszczają nas tutaj - powiedział, wyciągając do niej naczynie, jakby picie ze szklanki całkiem obcego człowieka było czymś naturalnym. Eve pociągnęła duży łyk i po raz pierwszy spojrzała mężczyźnie prosto w twarz. Miał najczarniejsze z czarnych włosy, równie czarne oczy i minę zbójcy obdarzonego poczuciem humoru. Twarz była nietuzinkowa, dumna, nawet władcza, ale zdawało się, że w każdej chwili może ją odmienić wybuch śmiechu. Eve widziała przedtem śpiewaka z dużej odległości, teraz wyglądał młodziej, chyba zbliżał się do trzydziestki.

Patrzyła wzrokiem chciwym od namiętnego zaciekawienia. Oto mężczyzna, który ośmielił się bez zawstydzenia stać półnago przed kobietą, częstować ją z własnej szklanki, który śpiewem... och, który śpiewem przyćmił jej najpiękniejsze sny... Za wszelką cenę pragnęła zatrzymać dla siebie każdą sekundę tego spotkania, ogarnęła ją gorączka na myśl, że za chwilę rozpocznie się drugi akt.

- Niech pani zdejmie kapelusz - polecił. - Nie mogę zobaczyć, jak pani wygląda pod tym tortem. - Sądząc po kapeluszu oraz narzutce, które Eve z konieczności pożyczyła od Louise i od wejścia do garderoby miała przez cały czas na sobie, Alain Marais uznał, że Eve przyszła do music-hallu prosto z pracy, prawdopodobnie ze sklepu, gdzie była sprzedawczynią.

Eve odpięła kapelusz, przybrany jednym sztywnym strusim piórem, i upuściła go na podłogę. Do tej pory zakrywał jej włosy aż po czubki uszu, osłaniał także dużą część czoła, Zdjąwszy kapelusz, Eve poczuła wielką

ulgę, równocześnie wydało jej się, że i narzutka ciąży nie do wytrzymania. Pozwoliła więc jej opaść i siedziała wpatrzona w młodego artystę, angażując w to całą śmiałość i świeżość, dopiero co odkrytą urodę, choć jeszcze nie umiała się wcielić w rolę kobiety świadomej swej siły.

Eve miała równie małe pojęcie o wrażeniu, jakie wywiera takim spojrzeniem, jak dzikus nie znający lustra. Rodzice, służba i nauczyciele nigdy nie podziwiali jej wyglądu ani nie przywiązywali do niego wagi. W starym Dijon takimi sprawami wypadało się zająć, gdy dziewczyna kończyła osiemnaście lat.

- Mój Boże! - wykrzyknął Alain Marais i zamilkł w osłupieniu. Znikła mu sprzed oczu duszna garderoba, zobaczył tak prześliczną dziewczynę, jak krzew białego bzu kwitnący na rogu zwyczajnej ulicy. Poczuł magiczną moc tej niespodziewanej postaci rodem z czarodziejskiego ogrodu. Przysunął krzesło bliżej, pochylił się i jedną ręką uniósł podbródek zjawy, chcąc ją lepiej obejrzeć; po już pierwszy spojrzał prosto w oczy Eve i napotkał spojrzenie, w którym światło niewinności łączyło się z taką szaleńczą, pełną zażenowania determinacją, że ze zmieszania odebrało mu mowę, jego palce delikatnie powędrowały po krzywiznie dziewczęcej brody do kości policzkowej, potem do płatka ucha i dalej po policzku, aż wsunęły się we włosy, zbierając mikroskopijne krople tuż przy skórze. Wtedy, ulegając neodpartemu impulsowi, Marais uniósł drugą rękę i zanurzył obie dłonie w wilgotnych włosach na skroni, mocno obejmując czaszkę. Eve zadrżała, ale nie zaprotestowała, czując męskie dłonie tam, gdzie mężczyzna nigdy jej nie dotykał. Była więźniem, nie udałoby się jej poruszyć głową, nawet gdyby chciała.

- Tak jest lepiej, prawda? - spytał, a ona nawet nie skinęła, by

potwierdzić.

- Powiedz: „Tak, Alain” - nalegał.

- Tak, proszę pana - szepnęła odrętwiałymi wargami.

- „Alain” - powtórzył nie rozumiejąc, że nazwanie go po imieniu było dla Eve takim samym tabu, jak przyjście do niego bez towarzystwa.

- Alain, Alain... Alain - westchnęła, zbierając odwagę. - Tak, Alain. Tak jest lepiej.

- Ale jak może mnie pani nazywać Alain, skoro nie wyjawiała mi pani swojego imienia? - stwierdził poważnie, dla zabawy uwalniając tu i ówdzie po kilka włosów.

- Mam na imię Eve - odparła i skoczyła na równe nogi, bo drzwi garderoby nagle się otworzyły.

- Alain, Claudette znowu ma wapory... Normalnie jej odbiło.

Mówi, że dalej nie gra. Może przemówisz jej do rozumu - powiedział niespokojnie asystent reżysera Jules. -Przepraszam, że przeszkadzam, ale wiesz, jaka ona jest. To przez ten piekielny upał. Tresowane foki hałasują jak słonie.

- Na miłość Boską, Jules, czy nie może się tym zająć ktoś inny? - spytał Alain z wściekłością. - I czy w końcu nauczysz się pukać?

- Nikogo poza tobą Claudette nie posłucha. Podnieś się, Alain, chodź. Jesteś potrzebny, bo inaczej przerwa będzie trwała do obiadu.

- Kim jest Claudette? - spytała Eve.

- Pieśniarką tragiczną, cholera z nią!

- Czy to ta bardzo chuda dama w zieleni? - spytała Eve.

- Właśnie ona. Na nieszczęście ubzdurała sobie, że przypominam jej dawno zmarłego syna. Eve, czy przyjdiesz jeszcze do mnie wieczorem, w

przerwie między przedstawieniami?

- Tak.

- Dobrze.

- Alain, rusz się wreszcie! - wrzasnął Jules.

- A więc do wieczora - powiedział Alain i znikł za asystentem reżysera.

Eve w szoku rozejrzała się po garderobie. Może nie wolno jej było składać obietnicy, że wróci wieczorem. A może nie wolno jej było nie składać obietnicy. Nic z tego, co się stało, nie mogło się stać naprawdę. Ani nie mogło się nie stać. Świat wokół niej rozpływał się.

Niepewnie dotykała przedmiotów na stole do charakteryzacji: szczotki, talku, brzytwy, szpilki do krawata, pozostawionego w pośpiechu zegarka z dewizką i ręcznika, którym Alain wycierał sobie kark, gdy go zobaczyła. Ręcznik miał jego zapach, przeniknął potem. Przyłożyła wilgotny materiał do ust i wzięła głęboki oddech. Woń nappełniła wyobraźnię tęsknotą. Tęsknotą i czymś więcej. Pierwsza w życiu fala czysto fizycznego pożądania uderzyła w nią, porwała ją jak pływaka na nieznanym morzu, pochłoneła i przez nieskończone, oszłamiające minuty wciągała coraz bardziej w bezdenną głębinę, by wreszcie ustąpić i zostawić ją wycieńczoną, jakby przed chwilą o włos uniknęła utonięcia. Odezwał się w niej instynkt człowieka walczącego o przeżycie.

Chwyła kapelusz, wcisnęła go na głowę, przerzuciła płaszczyk przez ramię, wybiegła z garderoby, szybko przemierzyła foyer i z powrotem zajęła miejsce, jeszcze przed końcem przerwy. W dwie minuty później wróciła Louise, zasapana, rozgorączkowana i wściekła.

- Jak panienka mogła! - Jak można mnie było tak przestraszyć? Już

odchodziłam od zmysłów. Szukałam wszędzie... gdzie ty byłaś, nieznosna dziewczyno?

- Och, Louise, bardzo przepraszam! Akurat w połowie ostatniej piosenki źle się poczułam... musiałam wybiec do toalety, nie miałam wyjścia. Czy mogłybyśmy iść do domu? Wciąż czuję się fatalnie: Za dużo tu ludzi, nie wytrzymuję zaduchu. Chodźmy zaraz, zanim się zacznie.

- Dziwnie panienka wygląda, cała blada i drżąca, nie ma dwóch zdań. No, i dograła się panienka. Wie przecież, że to nie miejsce dla niej. Mam nadzieję, że ten dziki wyskok był dla panienki dobrą lekcją.

- Oj był, Louise, zapewniam cię, że był.

Alainowi Marais nie były obce zakulisowe wizyty. W każdym mieście, gdzie śpiewał, znajdowała się zachwycona, spragniona kobieta gotowa zaspokoić jego rozpustne chętki, ale przed Eve nigdy nie spotkał dziewczyny, która odmówiłaby mu nawet wspólnego zjedzenia obiadu po przedstawieniu.

- Tracisz czas z kimś takim, ogierze - zamruczał kpiąco Jules.

- W tym tygodniu co wieczór wracasz do hotelu sam... Nigdy nie widziałem, żebyś tyle wytrzymał bez kobiety. To nowe maleństwo nawet nie czeka, aż opadnie kurtyna po twoim ostatnim ukłonie, i galopem wypada na ulicę. Założę się, że pędzi do zazdrosnego męża, który późno kończy pracę. Byłoby lepiej dla ciebie, żeby nie wpadł któregoś dnia na pomysł przyścia tutaj jej śladem.

- O to się nie martwię - odparł Alain mrugając. - Ona nigdy nie miała mężczyzny.

- Akurat!

- To prawda. Nie ma żadnych doświadczeń. Jest nietknięta. Dziewica, Jules. Słyszałeś chyba o tym rzadkim gatunku, chłopie? Czy też niemoralne życie odebrało ci tę szansę?

- A więc to dlatego tak się podniecasz? Twoja cierpliwość dawała mi do myślenia. Osobiście nie gustuję w dziewicach.

- Biedaku, czyżbyś nigdy nie miał okazji bycia pierwszym mężczyzną w życiu dziewczyny? Naprawdę warto wtedy poczekać, uwierz doświadczonemu.

- Dziewczyn miałeś do diabła, Alain, ale coś mi mówi, że tej kózki nie złapiesz w potrzask.

- Chcesz się założyć, staruszkę?

- Jasne. Płacisz pięćdziesiąt franków, jeśli nie uda ci się do wyjazdu z Dijon.

- Przyjęte - powiedział Alain, śmiejąc się z wyższością. Przyjaciel przegrywał z nim już dużo takich zakładów, najwyraźniej jednak nie dość dużo, żeby nie postawić pieniędzy w obliczu pewnej porażki.

Nic dziwnego, że Jules nie może zrozumieć, jakim wyzwaniem jest dziewczyna, myślał Alain. Podobnie jak większość mężczyzn asystent reżysera był zbyt prostacki, za bardzo mu się spieszyło. Nie miał pojęcia, o ile więcej spełnienia jest w zwykłym zbliżeniu seksualnym, kiedy wiadomo, że dotykanych miejsc nie poznały dotąd ręce ani usta innego mężczyzny. Ta myśl rozpałałaina, choć przecież była tylko refleksją.

W świecie music-hallu dziewczynki nie istniały. Jedynie w czasie tournée Rivierą Alain mógł liczyć na takie spotkania, i to też rzadko, bo niemal wszystkie kobiety przychodzące zachwycać się nim za kulisami były zamężne. Dokładnie wiedziały, jak się kręci świat i czego od niego chcą, a także czego można spodziewać się po nich w zamian. W urozmaiceniu, którego dostarczały, brakowało pikantności, albowiem wynik polowania był oczywisty od pierwszej chwili.

W życiu jest tak mało niespodzianek, myślał Alain, że trzeba wycisnąć jak najwięcej z każdej, którą spotyka się na własnej drodze. Zagadkowa panna z Dijon była szczególnie smakowitym kąskiem przez rzucającą się w oczy niewinność; tę niewinność Alain pozwolił jej dotąd zachować, gdyż było oczywiste, że szybkie działanie z jego strony wystraszyłoby dziewczynę i gra dobiegłaby końca.

W trzy dni po zakładzie z Julesem Alain nadal odwlekał następny

krok, a zwłoka, którą sobie narzucił, jeszcze potęgowała jego podniecenie. Kiedy Eve przychodziła do niego co wieczór, perfumowany, zakurzony świat garderoby przestawał istnieć. Alain zapominał, że zaledwie o kilka metrów od nich trwa parada umalowanych tancerek, zwierząt i akrobatów, czekających na swoją kolej, by zająć miejsce w światłach rampy. Przestawał słyszeć stłumiony zgiełk pulsujący w ciżbie ludzi, z którymi jak dzień długi wymieniał to żarty, to obelgi. Ciasna przestrzeń, zajmowana przez niego i Eve, stawała się jedyną rzeczywistością; ukryty, skąpany w grze światła i cienia ogród, w którym wyobraził ją sobie widząc po raz pierwszy z bliska, był coraz bardziej materialny, a pożądanie boleśnie narastało w sposób dający mu niemal równie wielką przyjemność, jaką czerpałby z zaspokojenia.

Jakże słodkie byłoby życie, gdyby doświadczony flirciary potrafiły rozbudzić w nim tak szaloną żądzę, jak bacznie strzeżona cnota tego czarującego prowincjonalnego dziewczątka, Perwersyjność takiego bezprecedensowego czekania podniecała go na swój sposób nie mniej niż czyjaś uległość. Ale pobyt trupy w Dijon miał się ku końcowi i zostało mu ledwie kilka dni na wygranie zakładu z Julesem. Alain o mało nie pożałował, że się założył. O mało nie zapragnął wrócić do Paryża, ale Eve była zbyt podniecająca, on zaś musiał zadbać o utrzymanie reputacji.

* * *

Ciężka, rzeźbiona drewniana brama, zamykana na noc, chroniła podwórze Coudertów od strony ulicy. W ciągu dnia Emil i jego żona Jeanne, stróże mieszkający w małym domku na podwórzu, otwierali wrota, kiedy ktoś wjeżdżał lub wyjeżdżał, ale pieszym wystarczało zadzwonić do małej furtki, stanowiącej część bramy. Klucz do tej furtki, również

zamykanej na noc, wisiał przy dzwonku na drzwiach wejściowych domku Emila i Jeanne, których z kolei nie zamykano nigdy, bo i po co?

Domownicy Coudertów chodzili spać o dziesiątej. Doktor Coudert wstawał przed szóstą rano, żeby przygotować się do obchodu w szpitalu, pani Coudert natomiast dostosowała do niego rytm życia domowego. W letnich miesiącach po obiedzie, kiedy miasto zasypiało z gorąca, praktycznie niezdolne do życia towarzyskiego, oboje często zostawali w domu. Tak czy owak, wieczorne wizyty jeszcze Eve nie dotyczyły.

Eve bez trudności udała, że kładzie się spać, a gdy w domu zapanował spokój, wyslizgnęła się z pokoju, wzięła klucz do furki i piechotą pomknęła do teatru Alcazar. Nie powzięto żadnych środków ostrożności, żeby ją przed tym powstrzymać, jako że w świecie rządzącym się niezachwianymi regułami życia społecznego nie istniała możliwość takiej swobody.

Alain nakazał Julesowi wpuścić dziewczynę na zaplecze tylnymi drzwiami, prowadzącymi do teatru z bocznej ulicy, tak by mogła zza kulis obejrzeć drugi akt przedstawienia. Podczas pierwszej wieczornej wyprawy Eve, program toczył się jak zwykle swoją drogą, a tymczasem ona i Alain rozmawiali siedząc na dwóch krzesłach, stanowiących całe wyposażenie garderoby poza stołem do charakteryzacji. Eve usadowiła się przyzwoicie, w sposób jasno dający do zrozumienia, by Alain nie próbował się do niej zbliżyć.

- Dlaczego po przedstawieniu nie możesz iść ze mną na kawę? - spytał. - Dlaczego musisz zaraz wracać do domu?

- Daleko mieszkam - odparła Eve bez wahania, przygotowawszy sobie odpowiednią wymówkę. - Pracuję w sklepie z damskim obuwiem na

drugim końcu miasta. Właścicielka, mademoiselle Gabrielle, nie tylko płaci mi pensję, ale także daje pokój i wyżywienie. Jest starą panną, okropnie religijną, bardzo staromodną i wiecznie niezadowoloną. Zamyka o północy i jeśli nie zdążę, stracę znacznie więcej niż tylko pracę.

- Nie masz rodziny?

- Jestem sierotą - skłamała bez wyrzutu sumienia. Uznała, że im mniej powie Alainowi o sobie, tym lepiej. Eve nie potrafiła wyjaśnić, co się z nią dzieje. W głowie miała zamęt, mózg zalewał resztę ciała niepojętymi komunikatami i cała jej istota wrzała przerażająco gwałtownym podnieceniem.

Obiad jedzony w towarzystwie Louise po przyjsciu z popołudniówki stał się dla niej jakby lekcją nowego języka. Świadoma, że mogłaby wrócić do teatru wieczorem, zapomniała, jak być sobą, jak być Eve Coudert. Potrafiła manipulować nożem i widelcem oraz podać sól, ale poza tym nie czuła się w mocy sprostać codziennemu życiu. Całkiem osłabła, wszystkie jej siły stopniały, zlały się w gęstą bezgraniczną kulę odurzenia, a wszystkie myśli skupiły się na źródle tego odurzenia, Alainie Marais. W następnym tygodniu godziny dnia miały zatarte kontury. Czasem wypełniała je gra w tenisa ze znanymi od zawsze kolegami i koleżankami, dwa razy Eve pojechała na piknik do lasu pod Dijon, dokąd całe rodziny ze służbą udały się powozami bądź rodzinnym automobilem, zwanym omnibusem, żeby spożyć obfity posiłek podany mniej ceremonialnie niż zwykle; Eve zaliczała te wydarzenia machinalnie, nie całkiem świadomie, jej myśli krążyły wokół wieczorów, które minęły, i wieczoru, który miał nadejść. Przestała brać lekcje u profesora Dutoura, Nie była w stanie zmusić się do śpiewania klasyki, kiedy w głowie

kotłowały jej się jedynie refreny piosenek Alaina. Długotrwała zażyłość z Louise wyblakła jak wspomnienie dzieciństwa, bo przecież Eve nie mogła z nią rozmawiać o człowieku, który bez reszty zajmował jej umysł. Stała się nie tyle daleka, co obojętna, była jak fotografia Eve Coudert, uprzejma, posłuszna i milcząca.

Wieczorami, gdy wydostawała się z domu przez małą furtkę, spieszyła przez miasto do teatru Alcazar z dziką, niemal obłądną żądzą oczekując na moment, gdy zapuka do drzwi garderoby. Musiała zмагаć się z oddechem i walczyć o to, by głos brzmiał w miarę normalnie. Spotykała Alaina prawie ubranego do wyjścia w drugim akcie, przy czym kamizelka angielskiego dżentelmena oraz marynarka, które niezmiennie służyły mu w czasie występów, raczej wisiały teraz na wieszaku niż spoczywały rzucone na oparcie krzesła.

Ani razu Eve nie odważyła się wyjść z domu przed dziesiątą, wtedy bowiem rodzice gasili lampę gazową. Drugi występ Alaina zaczynał się tuż przed jedenastą, jako ostatni numer w programie. Nawet pokonując biegiem dystans z domu do teatru, Eve nie mogła dotrzeć tam szybciej niż w ciągu kwadransa. Każdego wieczoru mogli więc spędzić razem najwyżej pół godziny. Wprawdzie lekką ręką ożywione widmo mademoiselle Gabrielle, zamykającej drzwi o północy, było w równym stopniu koszmarem dla Eve, co przeszkodą dla Alaina, ale dziewczyna trzymała się swego, wiedzona tym samym instynktem, który kazał jej wymyślić zjawę.

* * *

Pani Chantal Coudert przeczytała list od siostry i z zagadkowym wyrazem twarzy podała go mężowi.

- Popatrz na to, kochanie - powiedziała. Doktor Coudert przeczytał i zwrócił list żonie.

- Brzmi wspaniale. Mogę wygospodarować trochę czasu. Asystent przejmie pracę w szpitalu, a wizyty przełożę. Nikt jeszcze nie umarł na wątrobę w tydzień. Myślę, że dobrze będzie, jeśli się ruszymy... Przykro mi, że na prawdziwe wakacje masz męża nieodpowiedniego rodzaju, ale kilka dni na pewno uda mi się wykroić.

- Może i tak, ale pomyśl o Eve.

- Jest zaproszona, więc na czym polega kłopot?

- Po prostu za dużo komplikacji - Chantal Coudert wyduła wargi. Przede wszystkim Eve nie ma stroju na jazdę do Deauville. Wszystkie jej ubrania szyje madame Clotilde, która wyjechała i wróci dopiero we wrześniu. A zresztą już i tak nie zdążyłoby się niczego zrobić.

Przebiegła wzrokiem stroniczki listu z rosnącym rozczarowaniem.

- Nawet gdyby Eve miała odpowiedni strój - westchnęła - to nie sądzę, żebyśmy mogli rozważać wzięcie jej ze sobą. Marie-France pisze, że grupa składa się wyłącznie z ludzi w naszym wieku. To bardzo uprzejmie z jej strony, że włączyła Eve, ale nic tak nie psuje przyjęcia jak konieczność pamiętania, że dookoła pęta się młoda dziewczyna z otwartymi na wszystko uszami. Dżentelmeni nie wiedzą, jak z nią rozmawiać, albo mówią nie to co trzeba, a panie lubią sobie w spokoju poplotkować. Eve nie pasowałaby do towarzystwa. Doskonale o tym wiem. Gdyby mieli tam być inni młodzi ludzie... ale nie, nie możemy jechać. - Z posępną miną odłożyła list do koperty.

- Moim zdaniem nie masz racji, kochanie. Niech Eve zostanie z Louise. Zdaje się, że ma w planach grę w tenisa i jakieś pikniki. Dlaczego

mielibyśmy tracić kilka dni świeżego nadmorskiego powietrza z powodu, dziewczyny, która wkrótce nie będzie zajęta niczym innym poza wizytami i nowymi strojami.

- To może sprawić jej przykrość - powiedziała bez przekonania pani Coudert.

- Nonsens. Zaraz odpisz, że przyjedziemy jutro. Natychmiast zarezerwuję miejsca w pociągu do Deauville.

- Jak uważasz, Didier.

- Uważam właśnie tak i już - pocałował ją i w znakomitym nastroju włożył automobilowe rękawice. Takie skrupuły, bez wątplenia typowe dla Chantal, były po prostu niezbyt mądre. Szczęśliwie doktor Coudert zawsze lubił niemądre kobiety. Po dniu wyczerpującej pracy stanowiły osłodę życia, jakiej nie można oczekiwać od kobiet roztropnych.

* * *

- Dziś wieczorem nie muszę się spieszyć do domu - oświadczyła triumfująco Eve, wchodząc do garderoby Alaina.

- Czyżby ten stary krokodyl miał wypadek i udusił się nadmiarem świętości? - spytał Alain. - Czy też uznałaś w końcu, że zmęczyła cię rola kopciuszka?

- Nic z tych rzeczy. Mademoiselle Gabrielle pojechała na kilka dni do siostry. Zostawiła mi klucz. Nie mogę za późno przychodzić, bo sąsiedzi mogliby zauważyć i donieść jej, gdy wróci, ale przynajmniej nikt nie zamknie drzwi o północy. - Eve radośnie pokazała mu klucz do furki przy Rue Buffon.

Alain spojrział na przedmiot, pełne sceptycyzmu oczy spochmurniały. Mimo zręczności Eve w tworzeniu postaci mademoiselle Gabrielle, wątpił

w każde słowo tej historyjki. Rozmawiali przecież co wieczór, toteż szybko zorientował się, że Eve nie jest osobą, za którą chce uchodzić. Tego wieczoru po raz pierwszy od pojawienia się za kulisami Eve nosiła nowy kapelusz, płaski, z szerokim rondem, zrobiony z ładnych, jasnych słomek i przybrany wąskim paskiem czarnego aksamitu dookoła. Pożyczyła go sobie, gdy tylko matka wyjechała do Normandii. Alain pomyślał, że tym kapeluszem nieświadomie potwierdziła jego wcześniejsze podejrzenia.

Nie miał wątpliwości, że Eve jest dobrze sytuowana, upewnił go o tym jej sposób wyrażania i inne mimowolnie okazywane oznaki edukacji a także postawa osoby przygotowywanej do przywilejów, chociaż wszystko to starannie ukrywała. Należała do klasy wyższej i z własnych powodów nie chciała tego przyznać, teraz jednak „gdy włożyła kosztowny kapelusz, pod którym rysowała się prześlicznie zarumieniona twarz, wygląd ją zdradzał. Jeśli cokolwiek łączyło Eve ze sklepem z butami, to wyłącznie doświadczenia klientki, dla której robi się obuwie na miarę, pomyślał.

Nie wypytywał jednak i nadal nie zamierzał tego robić. Niech Eve zachowa sekrety dla siebie, tak jest lepiej. Najbardziej bał się wplątania w codzienne życie kobiet. Tego za wszelką cenę unikał. Nigdy nie pozwalał swoim zdobyczom opowiadać o prawdziwych problemach, o mężach i dzieciach, bo już samo słuchanie groziło wpadnięciem w potrzask.

- Czy pójdziesz ze mną po przedstawieniu na kolację do kawiarni? - spytał, po raz pierwszy pewien zgody Eve, na którą zresztą był najwyższy czas. Musiał przecież wygrać zakład z Julesem, a choć szybki, wymuszony numer w garderobie spełniałby warunki, to jednocześnie pozbawiłby Alaina szczególnej przyjemności, jaką obiecywał sobie odkąd pierwszy

raz dotknął włosów tej smakowitej dziewczyny.

- Tylko jeśli pójdziemy do spokojnej i dyskretnej kawiarenki. Wiesz, jakie jest to miasteczko. Nawet jeśli nie ma mademoiselle Gabrielle, ryzykuję, że zostanę zobaczona o późnej porze poza domem, a klienci z pewnością powiedzieliby jej, gdyby ktoś zauważył. Czy znasz małe i dobrze zaciemnione miejsce?

- Obiecuję, że znajdę.

* * *

- Czy o to chodziło? - spytał Alain, rozglądając się po niskim pomieszczeniu z grubymi murami, które miało tę zaletę, że panował w nim chłód, czym kompensowało odpychający wystrój, jakiego Alainowi nie zdarzyło się jeszcze widzieć w ciągu całej kariery zawodowej. Zajął stolik w rogu, przy obskurnej ławie z wytartą tapicerką, jak najdalej od baru, po czym zamówił najlepszą kolację oferowaną w menu i najlepsze wino spośród niewielu możliwych.

- Znakomite miejsce - powiedziała Eve. Pierwszy raz była wieczorem w kawiarni, pierwszy raz siedziała na kawiarnianej ławie z mężczyzną, piła pierwszą butelkę wina zamówioną dla niej w publicznym miejscu. Rozejrzała się i stwierdziła, że dookoła nie ma nikogo, kto mógłby należeć do kręgu znajomych jej rodziców, więc z westchnieniem ulgi rozluźniła się.

- Napij się - powiedział Alain.

- Pozwól mi napić się z twojego kieliszka - odparła cicho. Fala pożądania pozbawiła Alaina tchu. Czy to możliwe, że Eve choć trochę zdaje sobie sprawę, co robią z mężczyzną takie słowa? Oczywiście nie, bo gdyby rozumiała, że jej spontaniczne impulsy mogą wyzwalać tyle gorąca,

to byłaby ostrożniejsza. Podał jej swój kieliszek i przyglądał się, jak pije wino; sprawiało jej to taką przyjemność, jakby próbowała go po raz pierwszy. Wypiła prawie do dna, gdyż czuła, że śmiałość, którą znalazła, by tam przyjść, już nie wystarcza, że potrzebuje jej więcej. Znała dotąd Alaina zza kulis, mężczyznę który opowiadał jej o Paryżu i o tym, jak został gwiazdą Rivieri bez formalnego wykształcenia muzycznego, wbrew zdaniu robotniczej rodziny. Zapominała o całym świecie, zachłannie wpatrując się zza sceny w innego Alaina Marais, tego który śpiewa miłosne ballady i zniewala ją swym głosem. Nagle stwierdziła jednak, że jest trzeci Alain, wytworny, bywały mężczyzna w słomkowym kapeluszu, eleganckiej letniej marynarce i delikatnej koszuli, pociągający światowiec tak uderzająco przystojny, tak paryski, że kiedy szli z teatru, nie znające go kobiety oglądały się za nimi. Ludzi tego rodzaju nie spotyka się w Dijon, Alain był tu obcy, nie na miejscu, równie egzotyczny jak podróżnik w kraju o niższej cywilizacji. Zastanawiała się, co takiego widzi w niej Alain, że chętnie pozwala się codziennie odwiedzać i przykazuje Julesowi, żeby w tym czasie nikomu nie pozwalał pukać do garderoby. Nagle poczuła, że nie potrafi stawić czoła temu trzeciemu Alainowi Marais, obcemu z innego świata. Jak znajdzie temat do rozmowy? Półgodziny w garderobie mijały szybko, bo oboje wiedzieli, że dokładnie za kwadrans jedenasta pojawi się Jules, który przypomni Alainowi o drugim występie, i będą musieli się pożegnać; dziś jednak wieczór nie kończył się w ten sposób.

- Czy można prosić jeszcze o łyk wina? - spytała i łapczywie wypiła.

- Mademoiselle Gabrielle ma przynajmniej dobrze zaopatrzoną piwnicę, jeśli się nie mylę - powiedział Alain.

- O, bardzo. To jedyny luksus u niej. Nie, przepraszam, krzywdzę ją. Jeść też daje dobrze. Przez cały czas kiedy dla niej pracuję, nie zdarzyło się, żebym była głodna.

- Ale to chyba zbyt mała cena za młodość? Czy nie pragniesz czegoś lepszego, Eve? Nie zamierzasz przecież spędzić reszty życia na sprzedawaniu butów?

- Oczywiście, że nie - odparła, niebacznie oburzona. Dlaczego zastanawiając się nad swoim życiem nie pomyślała o czymś wspanialszym, wznioślejszym? - Wiesz - dodała pośpiesznie - to jest najelegantszy salon z obuwem w naszej części miasta. Mamy najlepszą klientelę, z najelegantszych domów.

- Nie chcesz wyjść za mąż? Czy może mademoiselle Gabrielle załatwia to za ciebie? - Jej kłamstwa bawiły go tak bardzo, że wbrew rozsądkowi wypytywał dalej.

- Och! - Ten afront pozbawił Eve tchu. Przez całe życie wszystko pospołu uczyło Eve odczuwać własną wartość, widzieć w sobie ozdobę masy ludzkiej, uświadamiano jej, jak bardzo rodzina się stara uczynić z niej kandydatkę do dobrego małżeństwa. Co prawda, w żadnym wypadku nie zamierzała spełnić wszystkich nadziei dorosłych bez upomnienia się o prawo do niezależności, ale nie do przyjęcia była sama myśl, że ktokolwiek mógłby rościć sobie prawo do dysponowania jej osobą.

- Przepraszam. Nie powinienem o to pytać - powiedział szybko Alain, widząc jej wściekłość. - Z drugiej strony jednak chciałbym wiedzieć.

- Po co? To bez różnicy - najeżyła się.

- Z czystej ciekawości - odparł ostrożnie. - Zawsze mówimy o mnie.

Ja nie wiem o tobie nic, w każdym razie nic istotnego. Zdaje się, że nasza przyjaźń jest bardzo jednostronna.

- A więc to tak! Dziewczyna biegnie co wieczór przez połowę Dijon, żeby słuchać jak śpiewasz, i musi pędem wracać do domu w kompletnej ciemności, a ty mówisz o przyjaźni?

- O czym innym miałbym mówić, jeśli co wieczór dziewczyna siedzi na twardym drewnianym krześle, jakby chciała się zerwać i uciec z krzykiem, gdybym tylko przysunął krzesło dostatecznie blisko, żeby wyciągnąć rękę i tknąć ją choćby jednym palcem.

- Nie wiem - wolno odparła Eve. Wyciągnęła rękę, położyła ją delikatnie na jego dłoni i pogłaskała. - Naprawdę nie wiem. Jesteś o wiele bardziej doświadczony ode mnie. Jeśli nazywasz coś przyjaźnią, to na pewno masz rację.

- Nie rób tego! - krzyknął, wyszarpując dłoń.

- Czego nie robić? - szepnęła.

- Mój Boże, jesteś gorsza od najgorszej flirciary, jaka kiedykolwiek przyszła na świat. - Chwycił ją za rękę. - Lepiej połóż ją tutaj. Oto moje serce, poznaj jego bicie... czy sądzisz, że bije w ten sposób bez przerwy? Czy myślisz, że możesz mnie dotykać, kiedy masz ochotę; nie pozwalając mi nawet na pocałunek?

- Przecież... pozwoliłabym... - powiedziała Eve powoli - ale nigdy nie próbowałam.

- Oczywiście, że nie próbowałam. Nie próbuję całować dziewczynki, która siedzi z ramionami splecionymi na piersiach, dłońmi wsuniętymi pod pachy, nogami skrzyżowanymi tak, że nie rozdzieliłbyś ich łomem, i kolanami ściśniętymi, jakby ktoś chciał ją zgwałcić.

Eve nie odważyła się ruszyć, żeby obetrzeć łzę spływającą po policzku. Jak szybko bije jego serce, pomyślała. Chyba nie jest na mnie bardzo zły, na pewno mi wybaczy. Czuła się, jakby jej własne serce miało zaraz pęknąć. Prędkim, płynnym ruchem spontanicznie odwróciła się ku niemu, położyła mu ręce na ramionach, pochyliła się i szybko przycisnęła wargi do jego ust. Cofnęła się raptownie widząc, że obok ich stolika przechodzi kelner. Jego taktownie odwrócona głowa zmieszała Eve, uprzytamniając jej, iż nie tylko znajdują się w publicznym miejscu, lecz również wystawiają się na całkiem jawne zainteresowanie co mniej dyskretnych gości siedzących przy sąsiednich stolikach.

- Chodźmy, Eve - powiedział Alain, kładąc pieniądze na stół i biorąc ją za łokieć. Talerze z jedzeniem zostały nietknięte. W milczeniu pozwoliła się wyprowadzić z kawiarni na tłoczną ulicę, gdzie mieszkańcy Dijon oddychali wieczornym powietrzem. Nie widziała żadnego z nich, była jak zaczarowana: dziewczyna, która całowała po raz pierwszy w życiu. Przeszłość odsunęła się w cień, znów rzuciło ją w niebezpieczne morze fizycznego pożądania, morze, którego prądu zbijającego z nóg tak czujnie unikała od pierwszego wieczornego spotkania z Alainem.

Dwa kieliszki mocnego czerwonego wina wypite na pusty żołądek sprawiły, że zakręciło jej się w głowie jak jeszcze nigdy. Ulica wydawała się halucynacją, malowaną dekoracją, a tłoczyły się na niej duchy bez życia.

- Chcę cię pocałować jeszcze raz - usłyszała Eve swój głos. - Chcę...
chcę...

- To niemożliwe, śmieszne - odparł sucho. - Tu nie ma dokąd iść, nigdzie nie bylibyśmy sami. Chodź ze mną do pensjonatu, niedaleko stąd.

Mam dwa pokoje. Miejsce jest bardzo przyzwoite.

Milcząco skinęła głową, dając oszołomione przyzwolenie. Przez chwilę plątały jej się po głowie wątpliwości, co powiedziałyby mama, ciotka albo Louise. Z rozmarzeniem pomyślała, że weszła na nieznany teren, a potem zapomniała o wszystkich, pospieszyła za Alainem.

Drugi pokój, do którego Alain jako gwiazda programu miał prawo gdy trupa wyjeżdżała poza Paryż, był niemal w całości wypełniony kompletem ciemnoczerwonych wiktoriańskich mebli, obitych pluszem. Właśnie tam, na szerokiej, długiej i kulawej sofie usiadła Eve. Wyglądała, jakby przyszła złożyć wizytę, czuła zaś, że leci w bezkresną otchłań, opada w lęk, rozkosz, omdlenie pełne zadziwienia i niepokoju o przyszłość.

Alain cisnął kapelusz w kąt i zdjął marynarkę, spoglądając na sofę z uczuciem łączącym erotyczne podniecenie z niepohamowaną wesołością, ponieważ Eve wciąż siedziała w rękawiczkach, machinalnie naciągniętych po wyjściu z kawiarni. Usiadł przy niej, spojrzał jej w oczy, i wtedy obok wyraźnego przerażenia dostrzegł także uporczywe dążenie do swobody, które zaprowadziło ją tak daleko.

Szybko zdjął jej kapelusz, wyłuskał szpilki i rozpuścił włosy na ramiona. Szybko ściągnął z palców rękawiczki i szybko rozpiął górne guziki bluzki. Nie odezwała się nawet, kiedy nachylił się i zsunął jej buty na wysokim obcasie, ani kiedy otoczył ją ramionami i pociągnął na sofę. Gdyby nie przyspieszony rytm oddechu, mógłby sądzić, że Eve nie zwraca na to uwagi.

Póki jej nie pocałował, namiętna niewinność, z jaką Eve powitała jego pocałunek, była jak uderzenie w twarz. Usta miała zamknięte, ale przycisnęła je do jego warg mocno, z niezaprzeczalną pasją i pożądaniem.

Niewątpliwie pragnęła pocałunków jak niczego na świecie, ale też niezaprzeczalnie wiedziała o pocałunkach nie więcej niż dziecko. Ramiona Eve otoczyły szyję Alaina tak mocno, że nie miał miejsca, by przesunąć usta z jej warg na inne części twarzy. Mocno zaciskała powieki. Oboje zastygli na pluszowej sofie w pozycji, która groziła im runięciem na podłogę przy najlżejszym poruszeniu.

- Czekaj - szepnął Alain. Kiedy niechętnie, lecz posłusznie przestała go całować, łagodnie rozplótł jej ramiona i lekko odchylił ciało. - Popatrz na mnie, Eve.

Zerknęła niecierpliwie, pragnąc znów wtulić się w jego wargi, zamknąć oczy i skupić się na doznaniu ust, których dotyk tak różnił się od wrażeń znanych jej dotychczas; były twarde choć rozpulchnione, czułe mimo ukrytych pod skórą sprężystych mięśni.

- Chcę ci pokazać, jak całować - szepnął i palcem prawej dłoni obiegł kontur jej ust z taką dokładnością, z taką uwagą, jakby rozgrzany palec był ołówkiem, którym rysuje się, chcąc osiągnąć doskonałość. Potem zaczął nim poruszać, uciskając na zmianę górną i dolną wargę, stopniowo osłabiał w ten sposób nierozzerwalne połączenie.

- Uwaga - powiedział i pochylił się ku niej - nie bój się. - Czubkiem języka, podobnie jak przedtem palcem, obrysował usta dwa, trzy razy: Eve chciała zaczerpnąć oddech, ale Alain trzymał ją w ramionach tak, że nie mogła odchylić głowy. Znowu ożywił język, starając się, by był ostro zakończony i jak najbardziej sprężysty; powoli przesuwiał go tam i z powrotem wzdłuż wąziutkiej szczeliny ust Eve. Muskał wierzchnią stronę warg, aż powitała go wilgoć otwierającego się wnętrza. Teraz czuł cudownie rozluźnione usta dziewczyny wtulone w jego usta i całował we

własnym, sprawdzonym rytmie; nie było pocałunku bez celu, każdy oznaczał nowy podbój. Dopiero kiedy poruszyła się gwałtownie w jego objęciach, wyraźnie rozpalona niecierpliwością, delikatnie, prawie niezauważalnie powrócił do pieszczoty językiem. Doznanie było ulotne, trwało okamgnienie, ale przeszło ją tak, że krzyknęła w uniesieniu.

- Niech poczuję twój język - rozkazał. - Chcę go mieć w ustach.

- Nie mogę! Nie mogę tego zrobić.

- Na pewno możesz. Tylko raz. Zobacz, pokażę ci jak - nalegał.

Wkradł się głębiej niż poprzednio, ale również powoli, ostrożnie; cofał język po każdym pchnięciu naprzód, wreszcie poczuł drżące i bojaźliwe dotknięcie, z którego zorientował się, że Eve zebrała odwagę i spełniła jego życzenie. Nie dał po sobie poznać, że cokolwiek zauważył, póki Eve nie dotknęła go ponownie, już nieco mocniej i śmielej, nadal jednak nie reagował. Dopiero kiedy język Eve wbił się w jego usta po raz trzeci, Alain pochwycił go wargami i wessał niczym brodawkę piersi.

Alain był nie nasycony, ale mocno trzymał zmysły na wodzy. Tylko jej wargi, tylko język, powiedział sobie; najpierw tylko to, pomyślał z determinacją, czując że grunt usuwa mu się spod nóg. Przed godziną Eve nie wiedziała, jak całować. Teraz mimowolne ruchy miednicy mówiły Alainowi, że tego wieczoru dziewczyna nie oparłaby się niczemu. Zmusił się, by z wolna ją odsunąć, Eve omdlewała bowiem z namiętności, o której nie wiedziała, że jest namiętnością, szalała z żądzy, o której nie wiedziała, że jest żądzą, płonęła potrzebą, o której nie wiedziała, że jest potrzebą.

- Nie, Alain - błagała - nie przestawaj.

- Poczekaj chwilę. Zaraz wrócę. - Znikł w sypialni. Zawsze jest niezawodny sposób, myślał, odpinając guziki spodni i oswabadzając

nabrzmiały do niezwykłych rozmiarów organ, zawsze można w ten sposób zabezpieczyć się przed zbyt szybkim końcem. Stał przed miską na stoliku w kącie i zaczął się onanizować, myśląc o nie widzianym jeszcze ciele Eve. W kilka sekund było po wszystkim, miał teraz czas na pełne upojenie rozkoszą, której odmawiał sobie przez tyle wieczorów. Drżąc nalał do miednicy wody z dzbanka, umył się i wytarł, z powrotem zapiął rozporek i wrócił do drugiego pokoju, gdzie Eve wciąż leżała na sofie.

Delikatnie wziął ją w ramiona i znowu okrył pocałunkami. Teraz było łatwiej okazać delikatność. Cieszyła go władza, jaką miał nad sobą. Za drugim razem niezmiennie wszystko szło lepiej i trwało o wiele dłużej, nawet z kobietą, która wiedziała, co robi. Krótkie wyjścia Alaina z wielu sypialni zapewniły mu reputację niezrównanego kochanka.

Zręczne i wprawne palce Alaina poradziły już sobie z większością guzików biegnących ku dołowi przez całą bluzkę Eve. Wkrótce były odpięte co do jednego, a Alain uwalniał Eve od paska ciasno opinającego talię. Dziewczyna biernie leżała w objęciach, on zaś rozbierał ją po trochu w przerwach między pocałunkami. Brak doświadczenia i wypite wino sprawiły, że Eve nie była w stanie mu pomóc, tak samo zresztą jak wcale nie pragnęła go powstrzymać. Nie miała pojęcia, co Alain zamierza jej zrobić, ale cokolwiek miało to być, wiedziała bez zastrzeżeń, że uległość wobec niego stanowi jej przeznaczenie.

Eve była zbyt skromna, by opuścić wzrok i spojrzeć na siebie, ale czuła, że jej piersi zostały uwolnione z koronkowej bielizny i nie mają już innej osłony poza rozpiętą bluzką, którą Alain jeszcze na niej pozostawił. Obnażone sutki nabrzmiwały, drażnione cienkim materiałem, choć Eve nie zdawała sobie z tego sprawy. Zamknęła oczy i usłyszała, jak spódnica

oraz halka opadają na podłogę. Ślepo poddała się Alainowi, który rozbierając ją wolno z wszystkiego oprócz bluzki, zostawiał sobie czas na niespieszne odkrywanie urody każdej z prześlicznych części młodego ciała i odczuwał coraz w większe podniecenie; gromadziło się w nim nieodparte pożądanie, które nie mogło narastać bez końca. Bardzo starał się nie odrywać ust od jej warg i stopniowo przygotowywał ją do zdjęcia kolejnych części garderoby. Pośpiech mógł oznaczać dla niego utratę całej przyjemności. Alain wiedział, że pocałunki utrzymują nie uświadomioną Eve w stanie hipnozy, ułatwiającej zapomnienie o latach, w których nagość była tabu. Pozwolił jej zachować bluzkę, by dodawała jej pewności siebie, a przecież mimo tej zasłony ramion i rąk, wyraźnie widział, jak spomiędzy szeroko rozchylonych brzegów wypryskują zaskakująco pełne piersi dziewczyny zakończone maleńkimi, różowymi, ekscytująco sterczącymi brodawkami... Cóż za doskonałość, myślał, badając wzrokiem śliczną krzywiznę dołu brzucha, blond owłosienie okrywające miejsce, gdzie zaczynały się dobrze zbudowane, zgrabne uda; owłosienie było miękkie i poskręcane, ale dość gęste jak na gust Alaina, który lubił zarośnięte łona.

- Jaka jesteś piękna, jaka piękna - cicho powtórzył.

- Alain... - szepnęła Eve.

- Nie mów nic. Nie zrobię ci krzywdy, obiecuję. Pozwól, że ci pokażę... Ty nic nie wiesz, ja to rozumiem... Rozumiem... Po prostu pozwól, że będę cię kochał...

Alain spojrzał na jej uda. Nieświadomie poruszała nimi, wciskając je w plusz sofy i lekko unosząc, tak że ocierały się o siebie. Nie, do tego nie mógł dopuścić, groził mu kolejny wybuch rozkoszy.

- Leż spokojnie, kochanie - wyszeptał i na ułamek sekundy dotknął jej uda, żeby zrozumiała, o co mu chodzi. Ciało Eve zwiotczało, Alain zobaczył, jak rumieniec występuje jej na policzki. - Jesteś stworzona do miłości - powiedział jej na ucho. - Jak mogłaś dotąd bez niej żyć? Nie, nie mów nic... Pozwól, że ci pokażę - Płasko rozłożył dłoń i przeciągnął nią po nabrzmiałych piersiach, z uwagą powstrzymując się od dłuższych przystanków na ziarenkach stwardniałych sutków, które delikatnie przyszczypywał między palcami, rozkoszując się bezlitosnymi ograniczeniami, jakie sobie narzucił. Przy każdym pociągnięciu brodawki, Eve gwałtownie łapała powietrze. Jeszcze tego nie wie, pomyślał, ale chce tam poczuć moje usta. Jeszcze tego nie wie.

Zwilżył palce wargami i zaczął otaczać ustami różowe koniuszki podniecającymi do szaleństwa szybkimi ruchami, powtarzał tę pieśczętę wiele razy, aż w końcu znowu musiał hamować Eve, kładąc jej rękę na udzie.

- Czy chcesz, żebym całował twoje piersi? - szepnął jej do ucha. - Jeśli nie, to nie będę. - Skinęła głową w oszołomionym i bezsilnym przyzwoleniu; Alain, jakby pokonując wewnętrzny opór, nachylił w końcu ciemną głowę nad jej dziewiczym ciałem.

Usta miała słodkie, sutki obiecywały jeszcze większą słodycz i gdyby trupa miała pozostać jeszcze przez pewien czas w Dijon, Alain wolałby odsunąć ten krok na inny dzień, wydłużyć wspólną drogę ku szczytom tłumionego szaleństwa, bo gdy tylko objął wargami brodawkę jej piersi, wiedział już, że od twardości, którą zaraz osiągnie, nie ma dla niego odwrotu.

Alain podtrzymywał dłonią prawą pierś Eve, tak że sutek pozostawał

w niewoli warg, wystawiony na zachwycająco delikatne i niespodziane ataki trzepoczącego języka; druga ręka pozornie bez celu, zaczęła powoli przebiegać palcami po brzuchu Eve, zsunęła się z talii i dotarła do skreconych blond włosów między nogami. Wiedział, że pieszczota języka zahipnotyzuje Eve, zaćmi jej świadomość tego, co robi ręka, toteż ruch musiał odbywać się stopniowo. Trzeba było przyzwyczaić dziewczynę, sprawić, by poddała mli się bez oporu, inaczej mogłaby się cofnąć i, przy swojej lęklivości, nawet teraz zniweczyć przyjemność Alaina.

Wciągnął brodawkę w usta, czując z rozkoszą, jak koniuszek piersi twardnieje i rośnie, a tymczasem ręką bez pośpiechu poznawał ciało wokół blond gęstwiny bacząc, by nie naruszyć tej granicy. Na dotyk pełnej respektu dłoni Eve odpowiedziała początkowo napięciem brzucha i ściśnięciem mięśni ud, lekko wykręciła się protestując, ale dziwne i cudowne wrażenie gorącej, oszalamiającej ociążałości między nogami pochłonęło ją za bardzo, by roilo jej się skłanianie Alaina do zabrania ręki. Nie wiedziała, co Alain zamierza, ale za każdym dotknięciem pragnęła rozchylić uda w nieświadomym zaproszeniu.

Alain przeniósł uwagę na lewą pierś, teraz w tej brodawce wzniecał dreszcze rozchodzące się po całym ciele Eve, odwracające uwagę od ręki, która przesuwała się niewiarygodnie lekkim ruchem i raz po raz muskała łono, tak nieważka, że wrażenie dotknięcia docierało do dziewczyny dopiero, gdy dłoń się cofnęła. Przebiegle odczekał kilka minut, zanim dotknął jej znowu, równie delikatnie jak przedtem; tym razem wprawnie i precyzyjnie wybrał miejsce tak, że na zapierającą dech sekundę wprowadził palec wskazujący w samo centrum jej doznań. Cofnął dłoń, pewien że palec zrobił swoje, i zawiesił ją w powietrzu, aż poczuł, że

wzgórek, pokryty poskręcany owłosieniem, mimowolnie unosi się, jakby czegoś szukał. Alain powtórzył dotknięcie i zgodnie z oczekiwaniami został nagrodzony odczuciem wilgoci. Teraz przeciągnął ruch nieco dłużej, jakby chciał o coś spytać, nim oderwie palec. Podniósł głowę nad piersi. Oczy Eve były zamknięte, wargi rozchylone, przez moment Alain myślał, że zemdlą.

- Nie zrobię tego, kochanie, jeśli nie będziesz chciała - wyszeptał. Nie dała mu żadnego znaku. Wiedział, że oznacza to ciche przyzwolenie, zupełnie jak gdyby Eve nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Sięgnął w dół, rozchylił poskręcane owłosienie i jeszcze raz znalazł właśnie to miejsce w żarze między jej nogami, które tak pragnęło dotyku. Podniecał ją pieszczotami, ale teraz dłoń stykała się z jej ciałem nieprzerwanie. Alain pożądliwie wpatrywał się w twarz Eve, jego palce poruszały się coraz szybciej; widział, że dziewczyna przygryza wargi, gwałtownie łapie powietrze; rysy jej twarzy wykrzywiły się, podczas gdy zdążała ku nieznanemu. Wszystkie pięć palców Alaina otoczyło to cudowne miejsce w jej ciele, Alain pragnął czuć każdy dreszcz, każdy wstrząs, każdy niepohamowany, dziki skurcz pierwszego spazmu rozkoszy w jej dziewiczym życiu. Kiedy w końcu osiągnęła moment, o którego istnieniu nawet nie śniła, i szaleńczo, nieświadomie wykrzyknęła jego imię, szybko wepchnął w nią na kilka centymetrów środkowy palec, żeby zawsze pamiętała, kto był jej panem, kto naznaczył ją dotykiem, żeby nigdy go nie zapomniała, bo to właśnie była ta największa rozkosz, do której z takim zapamiętaniem dążył.

* * *

- Jules, na miłość boską, musisz mi pomóc - powiedział Alain,

chwytnjąc asystenta reżysera za ramię i wciągając do garderoby na rozmowę bez świadków. - Przyjacielu, jestem w kłopotcie!

- Co się stało? - Jules nigdy nie widział, żeby Alain dotarł do teatru nie ogolony i potargany, nigdy też nie zdarzyło mu się tam przyjść wcześniej rano.

- Chryste, Jules, po co ja się z tobą założyłem?

- Wygrałem czy przegrałem?

- Ani to, ani tamto, a właściwie obie rzeczy naraz. Ale co za różnica? Teraz jest to bez znaczenia. Do diabła z pieniędzmi. Jules, muszę wynieść się z Dijon najbliższym pociągiem do Paryża.

- Spokojnie, Alain! Grasz dzisiaj w popołudniówce i wieczorem, a trupa wyjeżdża z Dijon dopiero w poniedziałek rano. Świetnie tym wiesz. Nie możesz wyjechać cztery dni wcześniej.

- Wiem o tym wszystkim, ale sytuacja jest, jaka jest. Muszę zniknąć bez śladu, i to jeszcze przed wieczorem. Będiesz mnie krył przed dyrekcją i przed Eve.

- Aha! Może przed dziewczyną, ale co ja powiem dyrekcji? Nie wygłupiaj się, jesteś gwoździem programu, nie chcę stracić pracy. Co się stało? Zgwałciłeś ją?

- Nie, nawet jej nie zerznąłem. Była już gotowa, cała napalona, mówię ci, napalona do czerwoności, kiedy nagle zalała się łzami szczęścia i powiedziała mi, że mnie kocha, że jestem cudem i oszołomieniem, których pragnęła przez całe życie. A potem powiedziała mi prawdę o sobie. Jej ojciec jest najbardziej znanym lekarzem w mieście... oni mnie zrujnują, Jules. Tacy wpływowi ludzie zaczną robić wrzask, że ją zgwałciłem, dotrą do dyrekcji, kto wie, jak daleko zajdą. Gwałtem nazwą

to na pewno. Nawet ty tak myślałeś przed minutą. Nigdy nie uwierzą, że ona była chętna. O, Chryste! Jules, na miłość boską, pomóż mi!

Asystent reżysera ciężko usiadł i spojrzał na zmartwionego przyjaciela.

- Masz swoje dziewice. Czego się spodziewałeś?

- Oszalałem, co tu więcej mówić? Wywaliłem ją do domu najszybciej jak mogłem, kiedy tylko się zorientowałem, w jaki kłopot wdepnąłem. Jules, to się źle skończy, jeśli zaraz się stąd nie zabiorę.

- Czy ułożyłeś przynajmniej bajeczkę, którą mógłbym opowiedzieć?

- spytał Jules po chwili zastanowienia.

- Przez całą noc siedziałem i myślałem. Powiedz, że nagle zmarła moja matka, dostałem telegram tu, w teatrze, widziałeś go na własne oczy, a ja natychmiast pojechałem na pogrzeb. Dyrekcja nie może mieć obiekcji. Pogrzeb matki jest święty. Powiedz im, że przyjdę do pracy pierwszego dnia po powrocie trupy do Paryża. Eve powiedz tylko o śmierci mojej matki. Ona nie wie, gdzie mieszkam w Paryżu. Jeśli będzie pytać, jak mnie znaleźć, to nie masz pojęcia, w naszym fachu ludzie bez przerwy przenoszą się z miejsca na miejsce. Starczyło mi czasu tylko, żeby zostawić wiadomość, że nigdy jej nie zapomnę... tak właśnie musisz jej powiedzieć: będę ją pamiętał przez całe życie. Oj, będę, wierz mi!

- A jeśli pojawi się w teatrze w Paryżu?

- Niemożliwe. Opowiedziała mi, jak pilnie strzegą jej w ciągu dnia. Ona nie ma swobody, wychodzi z nią przyzwoitka... przyzwoitka, wyobraź sobie!... Wiedziałem, że kłamie, kiedy mówiła, że pracuje w sklepie, ale nie miałem pojęcia...

- Powinieneś przynajmniej zaśpiewać w popołudniówce, Alain. Do

wieczora nie ma pociągu. Powiem dyrekcji, że telegram przyszedł w czasie przedstawienia i dałem ci go natychmiast po opuszczeniu kurtyny.

- Mów co chcesz, Jules. Jesteś prawdziwym przyjacielem. Co zrobiłbym bez ciebie?

- Padłbyś na kolana i modlił się o cud.

Przez cały dzień Eve siedziała przy fortepianie w buduarze matki. Sensacje o zdecydowanie erotycznym charakterze napływały falami i rozbudzały jej zmysły, wywołując stan niemal nie do zniesienia. Spalała ją myśl o niewyobrażalnej ekstazie, ofiarowanej przez Alaina. Wciąż jeszcze nie rozumiała jej w pełni, ale teraz w życiu liczyło się dla niej tylko jedno. Alain, Alain, Alain... Miała ochotę szarpać zębami wszystko dookoła, biec i biec, aż padnie z wyczerpania, gryźć wargi aż do krwi... tyle czasu pozostało jeszcze do nocy, do chwili kiedy znów go zobaczy! Unikała spotkań z Louise, wiedziała bowiem, że nadzwyczajne przeżycie, które ją spotkało, niewątpliwie maluje się na jej twarzy. Długie godziny spędziła przy fortepianie, grając jedną po drugiej melodie, których nauczyła się na ulicy, ale nie zaśpiewała ani jednej nuty, zdając sobie sprawę, że poniosłyby ją nerwy i wybuchnęłaby płaczem. Nie grała piosenek Alaina, tęskniła bowiem za nim rozdzierająco, przerażało ją więc wszystko, co mogło jeszcze pogłębić to uczucie, przebrać miarę i wyzwolić w niej niemal zwierzęce wycie.

Wreszcie noc przesłoniła nie kończący się letni wieczór i Louise, trapiąca dziwną bezsennością, zajęła się plotkami z kucharką, później niż zwykle idąc na górę, do sypialni. Kiedy Eve zamykała za sobą małą furtkę wychodzącą na Rue Buffon, uciekając do teatru Alcazar, było już prawie wpół do jedenastej.

Nawet nie zwracała sobie głowy pukaniem do drzwi garderoby Alaina, lecz otworzyła je nagłona tym samym dzikim, nierozważnym pośpiechem, który kazał jej wyrwać się z domu. Malutkie pomieszczenie było puste, brakowało też ubrań Alaina. Pomyślała, że pomyliła drzwi i wycofała się do korytarza. Po obu stronach zobaczyła znajome garderoby, które mijala co wieczór, wciąż zajmowali je wykonawcy, których zaczęła już rozpoznawać.

- Jules - zawołała Eve do zbliżającego się asystenta reżysera. - Gdzie jest Alain? Dlaczego nie ma go w garderobie?

- Wyjechał. Nagle zmarła jego matka... po południu przyszedł telegram. Musiał jechać do Paryża na pogrzeb... dziś wieczorem nie śpiewał. Zostawił dla pani wiadomość.

- Proszę mi przekazać!

- Powiedział, że nigdy pani nie zapomni, będzie pamiętał przez całe życie.

- I to... wszystko? Nic więcej?

- To wszystko. - Jules współczuł jej. Nie ona pierwsza pomyliła Alaina z jego utworami, ale spośród tych kobiet była na pewno najśłodsza i najpiękniejsza.

- Gdzie on mieszka, Jules? Daj mi adres, proszę, musisz mi powiedzieć, gdzie mogę go znaleźć!

- Sam nie wiem... nigdy tego nie mówił. Nie mam pojęcia.

Eve odwróciła się i wybiegła z teatru. Poruszała się, ale nie docierało to do jej świadomości. Wkrótce stwierdziła, że stoi na Rue de la Gare, prowadzącej do dworca w Dijon. W kilka minut później znalazła się w olbrzymiej rotundzie opartej na metalowej konstrukcji i rozpaczliwie

rozglądała się za tablicą z godzinami odjazdu i przyjazdu pociągów. Wiedziała, że w drugiej połowie dnia z Dijon jest tylko jedno połączenie do stolicy.

- Pociąg do Paryża? - spytała błagalnie bagażowego, który pospieszył w jej kierunku.

- Peron czwarty. Niech się pani pospieszy, właśnie odchodzi - krzyknął.

Pobiegła do wejścia na długi peron, przy którym ciągle jeszcze stał pociąg, i wskoczyła na wysoki stopień ostatniego wagonu. Dostała się bezpiecznie do środka i stanęła zdyszana, nie mogąc złapać tchu. Usłyszała gwizd. Nabrawszy mocy, pociąg z szarpnięciem ruszył. Dopiero gdy posapująca lokomotywa płynnie ciągnęła wagony przez przedmieścia, Eve odzyskała wystarczającą władzę w nogach, żeby rozpocząć poszukiwania.

Znalazła Alaina w wagonie drugiej klasy, daleko od końca. Stał w korytarzu z rękami w kieszeniach i pochyloną głową, ponuro spoglądając na szyny za oknem. Rozpoznawszy z daleka sylwetkę, Eve zaczęła się do niego niezgrabnie zbliżać; tory były marne i rzucało nią od ściany do ściany. W końcu chwiejnie dopadła Alaina, łapiąc go, żeby uchronić się przed upadkiem. Alain wzdrygnął się gwałtownie.

- Oszalałaś! - strząsnął z siebie jej ręce.

- Dzięki Bogu, że cię znalazłam!

- Wsiadasz z tego pociągu na najbliższej stacji.

- Już nigdy cię nie opuszczę.

- Musisz. Twoja rodzina...

- Co oni mają do tego? Nikt nie może nas rozdzielić.

- Nic nie rozumiesz - powiedział brutalnie. - Nie jestem materiałem na małżonka. Nie prowadzę osiadłego życia.

- Czy wspominałam choć jednym słowem o małżeństwie?

- Nie, ale myślałaś o tym. Czy sądzisz, że nie znam kobiet?

- Gardzę małżeństwem i wszystkim, co się z nim wiąże - zgodnie z prawdą oznajmiła Eve, a węgle jej oczu, dumny, uparty profil i wszystko, co było w niej szaleńcze i nieokiełznane, wyjawilo Alainowi, że chciała powiedzieć dokładnie to, co powiedziała.

- Czy ktoś wie, że pojechałaś ze mną? - spytał, ogarnięty pokusą na dręczące wspomnienie jej ciała.

- Nikt. Nikt z mojego świata nawet nie wie o twoim istnieniu.

- W takim razie... to twoja sprawa - powiedział szorstko i przyciągnął ją do siebie. Była mu zbyt potrzebna, by teraz z niej zrezygnować, upewnił się o tym przywołując na myśl burzące krew w żyłach przeżycie, którego dokończenie jeszcze ich czekało.

Pierwszy list Eve przyszedł na szczęście szybko, w dwa dni po jej wyjeździe. Choć był adresowany do rodziców, odchodząca od zmysłów Louise otworzyła go natychmiast. Eve pisała jedynie, że jest bezpieczna, bezgranicznie szczęśliwa i twierdziła, co niewiarygodne, że mieszka z człowiekiem, którego kocha. Służąca, za bardzo przerażona katastrofą, żeby choć wspomnieć o niej komuś z domowników, poszła na pocztę, skąd zatelegrafowała do państwa Coudertów w Deauville, przekazując im tylko tyle informacji, ile było potrzeba do niezwłocznego sprowadzenia ich z powrotem.

- Louise, ty nędzna kreaturo! - wrzasnęła madame Coudert zaraz po przyjeździe. - Mów, co wiesz, albo wsadzę cię do więzienia!

- Spokojnie, Chantal - przerwał zniecierpliwiony doktor Coudert. - W tym liście napisano w trzech różnych miejscach, że Louise nic nie wie, Eve ją okłamywała i nie jest to wina Louise. - Czyżby jego żona jeszcze nie zrozumiała, że bez względu na to, czy Louise wiedziała, potrzebowali pomocy służącej, by zachować całą sprawę w sekrecie aż do powrotu Eve?

- Louise, pomyśl dobrze - ciągnął doktor Coudert. - Jak sądzisz, z kim uciekła mademoiselle Eve? Jeśli nam powiesz, nie zostaniesz ukarana, obiecuję, ale musimy odnaleźć córkę, póki nie stało się nic złego. Błagam cię, Louise, powiedz nam, jak Eve spotkała tego człowieka, kiedy widziałaś, że rozmawiają? Jak on wygląda?... Powiedz nam po prostu wszystko, co pamiętasz na jego temat.

- Żaden obcy mężczyzna nigdy nie rozmawiał z panienką. Przysięgam na Matkę Przenajświętszą. Eve ani razu nie była sam na sam z mężczyzną, poza tym że chodziła do spowiedzi, ale nawet wtedy czekałam

na nią przed kościołem, a wcześniej panna Helena robiła to samo. Panienska nigdy nie mówiła ze mną o mężczyznach, nawet nie wypytywała mnie, co się dzieje z dziewczyną po ślubie, kiedyś powiedziała tylko, że przenigdy nie chce wyjść za mąż. - Louise wybuchnęła płaczem, przypominając sobie wspólne spacerunki w ogrodzie zaledwie kilka miesięcy temu, w chłodne pierwsze dni wiosny. - Ona niczego nie wiedziała, przysięgam.

- Niczego - parsknęła Chantal Coudert. - Spójrz na ten list. Ona uciekła z mężczyzną! Albo jedno, albo drugie. Obie możliwości naraz są wykluczone!

- Chantal, proszę, spróbuj się trochę uspokoić. - Doktor Coudert pewnym gestem wziął ją za rękę. - Jeśli dopisze nam szczęście, Eve pojawi się za dzień lub dwa. Uległa młodzieńczemu szaleństwu, ma problemy z dojrzewaniem, na jakie są narażone dziewczęta w jej wieku. Kiedy wróci, zrozumiemy, co zaszło, ale nie wcześniej. A tymczasem, póki Eve nie ma w domu, najważniejsze jest, żeby nie dowiedział się o tym nikt poza nami trojgiem. Louise, czy słuchasz uważnie?

- Tak, proszę pana.

- Musisz powiedzieć kucharce, że panienska Eve jest chora, a ja stwierdziłem świnkę. Wydałem reszcie służby ścisły zakaz wchodzenia do jej sypialni. Ty jedna będziesz nosić do niej tace z jedzeniem, zabierać je i niszczyć resztki. Dawaj jej tylko cienkie zupki, chleb i miód. Nie będzie miała apetytu. Cztery lub pięć razy dziennie będę odwiedzał jej pokój. Jeżeli ktokolwiek ze służby odkryje prawdę, zostaniesz natychmiast zwolniona bez referencji i bądź pewna, że nie znajdziesz innej pracy w Dijon. Rozumiesz?

- Tak, proszę pana.

- Chantal, gdyby zdarzyło się, że Eve z jakiegoś powodu nie wróci do domu przed powrotem Marie-France z Deauville do Paryża, to poprosimy Marie-France, żeby zaraz tu przyjechała. Potrzebujemy jej rady. A być może będziemy potrzebować również Jej pomocy.

- Co masz na myśli, Didier? O czym ty mówisz... jakiej pomocy?

- Czy sądzisz, kochana, że lekarz nie wie, jak się mają sprawy na tym świecie? Eve nie będzie pierwszą dziewczyną, która spędzi kilka miesięcy poza Dijon i po cichu wróci.

- Mój Boże, jak możesz mówić o córce z takim brakiem serca? Jak możesz mówić o miesiącach, Didier?

- Próbuję być rozsądny i zalecam ci to samo. Jeśli będziemy przewidujący, uda nam się uniknąć skandalu, a po sprowadzeniu Eve z powrotem nie ma ważniejszej sprawy. Któregoś dnia Eve nam podziękuje. Poczekaj, to zobaczysz. A teraz, Louise, idź do siebie i postaraj się już nie płakać. Umyj twarz i zmień fartuszek. Wiesz przecież, że panienka po prostu ma świnkę, do końca świata jeszcze daleko. - Mówił to w równym stopniu do siebie, co i do służącej.

W dzień przyjazdu baronowej de Courtizot z Paryża do Dijon przyszedł drugi list. Miał paryski stempel i zawierał nieco więcej informacji niż pierwszy. Eve wysłała go wyłącznie po to, by uspokoić rodziców, że dobrze się czuje, wiedziała bowiem aż za dobrze, co działałoby się po odkryciu jej miejsca pobytu.

- Przeczytaj to, Marie-France - powiedział kwaśno doktor Coudert. - I powiedz, co o tym myślisz.

- Zawsze możesz wynająć detektywów - powiedziała baronowa po

przeczytaniu kilku linijek - ale wątpię, czy będą w stanie ją wytropić. Nie ma punktu zaczepienia, nie ma wskazówek. Paryż jest wielki.

- Dokładnie to samo pomyślałem. Oczywiście wynajmę detektywów, ale nie spodziewam się po nich wiele.

- I co my teraz zrobimy? - krzyknęła Chantal Coudert w desperacji.

- Jeśli Eve nie wróci do końca przyszłego tygodnia, to nie będę mógł dalej utrzymywać, że ma świnkę. Taka choroba nie trwa wiecznie. Marie-France musi zostać tutaj, aż Eve poczuje się lepiej, i wtedy namówi nas, abyśmy pozwolili jej zabrać siostrzenicę do Paryża. Louise spakuje kufry i Eve z ciotką wyjadą nieoczekiwanie, nie żegnając się z nikim poza tobą, Chantal. Osobiście odwiozę je na stację, na nocny pociąg.

- A potem, Didier? - spytała Marie-France.

- A potem, póki Eve nie wróci do domu, będzie z tobą w Paryżu. Co może być bardziej naturalnego? Nikt z przyjaciół nie będzie tego kwestionował. Eve w pełni odzyska siły, o czym nasi znajomi z przyjemnością usłyszą, wkrótce zaś poczuje się wystarczająco dobrze, żebyśmy pozwolili jej skosztować przyjemności Paryża, bo przy okazji pomieszka tam pod twoją opieką i kontrolą zanim... zanim wróci do domu, bo przecież prędzej czy później wróci.

- Skąd ta pewność? - spytała żona.

- Ponieważ ten rodzaj mężczyzn, którzy uciekają z dziewczętami podobnymi do Eve, jest niewątpliwie tak dogłębnie zepsuty, że w końcu Eve przejrzy na oczy. Albo on się nią zmęczy. Ale, zapamiętaj moje słowa, z wieloletnich doświadczeń lekarza wynika, że Eve będzie zmuszona wrócić do swoich, kiedy tylko jej życie stanie się trudniejsze. Poza tym Eve nie ma pieniędzy ani sposobu, żeby na siebie zarobić, nie

ma umiejętności ani możliwości. Ciągłe jeszcze jest niemowlęciem. Wróci, nawet z nieskalaną reputacją, jeśli tylko dobrze odegramy nasze role. Mamy za to u ciebie dług wdzięczności, Marie-France.

- Drobnostka. Zrobiłabym wszystko... wszystko co możliwe. Moja biedna, mała Eve... Przez cały czas myślałam, że jesteście za surowi, Chantal, ale się myliłam. Surowości nigdy nie dość, widzę to teraz. Dzięki Bogu, że nie mam dzieci, tyle mogę powiedzieć.

* * *

Niespiesznie celebrując własne rozleniwienie, Eve Coudert przeciągnęła się pod płóciennym prześcieradłem i ziewnęła na znak wyborczego samopoczucia. Sennie rozejrzała się, szukając Alaina, chociaż zorientowała się już po natężeniu słonecznego światła w pokoju, że zasnęła i Alain, nie budząc jej, wyszedł na próbę. Wstawanie wczesnym przedpołudniem wciąż było dla niej nowością. Rytm jej życia od czasu przyjazdu do Paryża zmienił się w porównaniu z Dijon. Świeżo rozbudzona świadomość możliwości kryjących się w jej ciele sprawiała, że dni różniły się od tych, w których do zadowolenia wystarczała jej udana partia tenisa.

Eve pozwoliła się bez reszty zniewolić namiętności do Alaina. Chociaż był on w wielu sprawach egoistą, wiedział jednak dokładnie, jak podchodzić do niedoświadczonej dziewczyny i rozbudzić jej apetyty, a sztukę tę niewielu mężczyzn miało czas lub ochotę doprowadzić do perfekcji. Co noc prowadził Eve o jeden przemyślany, sprawdzony i zapierający dech w piersiach krok dalej po ścieżkach wiedzy erotycznej, na których większość kurtyzan nie postawiła stopy przez całe życie.

Nastaly pierwsze dni października, miesiąca, w którym ospałość i

aromaty lata wciąż przenikają przez okna, niesione podmuchami ciepłego wiatru. Słoneczne dni kończyły się nocami, tkniętymi jedynie przez ledwo dostrzegalne ślady jesieni. Trwał październik kochanków, który sprawiał wrażenie, jakby mógł się ciągnąć aż do wiosny, ostatni październik belle époque.

Eve omal znowu nie zasnęła, ale gdy tylko zamknęła oczy, przypomniała sobie, że tego dnia umówiła się w kawiarni z nową przyjaciółką, a właściwie znajomą, która dopiero mogła stać się przyjaciółką. Mieszkała na tym samym piętrze naprzeciwko drzwi Alaina i posługiwała się nazwiskiem Vivianne de Biron, które Alain uważał za bardzo trafnie dobrane, nie było bowiem ani przesadnie efektowne, ani rażąco arystokratyczne. W świecie music-hallu kobietom rzadko zdarzało się używać własnego nazwiska, Eve znano na przykład jako Madeleine Laforet, wiedziała bowiem, że rodzice z pewnością próbują ją odnaleźć.

Szeroko ziewając, wyskoczyła z wielkiego łóżka i włożyła peniuar z miękkiej tkaniny ręcznikowej. Umyła się, ubrała i stwierdziła, że w nowej skórze czuje się coraz lepiej, już nie jak kurczak, który właśnie przed chwilą wydziobał sobie drogę na świat, rozbijając skorupkę.

Małe mieszkanie Alaina znajdowało się na piątym piętrze, w domu przy bocznej uliczce odchodzącej od Boulevard des Capucines. Wjeżdżało się do niego rozklekotaną windą. Było umeblowane bez szczególnej dbałości, ale funkcjonalnie, i składało się z salonu, sypialni, kuchni, łazienki oraz niewielkiej półkolistej jadalni, w której Alain ustawił fortepian. Wysokie okna w salonie wychodziły na balkonik. Wkrótce stał się on ulubionym miejscem Eve. Jadła tam zwykle poranną kanapkę, grubo posmarowaną masłem kromkę chleba, lekko sczerstwiającego od

poprzedniego wieczora, popijając do niej kawę zaparzoną wcześniej przez Alaina. Czasem po prostu wpatrywała się w brzoskwińowe i różowe chmury na niebie przywiewane znad Szampanii lub przyglądała się, jak morel owe światło popołudnia przechodzi w fiolet. Często siadywała przy fortepianie, godzinami grając i śpiewając dla własnej przyjemności. Muzyka była jedynym łączącym ją z przeszłością ogniwem, o którym chciała pamiętać, chociaż co tydzień pisała do rodziców. Sądziła, że nawet jeśli z wściekłości na nią nie czytają listów, to sam widok odręcznego pisma mówi im, że córka jeszcze żyje. Obowiązki domowe Eve były minimalne. Gospodyni, która pracowała u Alaina od lat, przychodziła codziennie po południu posłać łóżko i posprzątać mieszkanie. Na obecność Eve reagowała uprzejmym skinieniem głowy; które wyraźnie zniechęcało do rozmowy. Eve troszczyła się tylko o wybór jednej z kunsztownie skrojonych koszul, zamawianych przez Alaina u Charveta na Rue de la Paix, i przygotowanie któregoś z angielskich garniturów, kupowanych w domu towarowym Old England przy Boulevard de la Madeleine, w które Alain się ubierał, wychodząc na przedstawienie. Co drugi dzień zabierała drogocenne koszule do ręcznego prania, a garnitury do prasowania, Alain przywiązywał bowiem wielką wagę do swej posępnej elegancji.

Wyjaśnił Eve, że chciał wyróżnić się z tłumu ubiorem jeszcze wtedy, gdy pracował jako statysta w Moulin Rouge. Przed pięcioma laty kupił dwa utwory w piosenkarskiej fabryce Delormela i Garniera i po raz pierwszy wystąpił z solowym numerem w mało znaczącej składance pokazywanej w kawiarni. Eve nie mogła się nasłuchać opowieści o szczegółach rozwoju jego kariery. Każdy nowy fakt, który Alain przed nią odkrywał, roztaczał zapach pierwszej miłości, równie nie możliwy do

opisania jak woń gardenii. Każdy szczegół, choćby całkiem banalny, odznaczał się niezwykłą wartością, miał głębokie znaczenie. Old England i Charvet nie były dla niej nazwami sklepów, lecz zakłęciami rozbrzmiewającymi romantycznym i tajemnym echem.

Eve nie знаła w Paryżu nikogo. Alain poświęcał większą część dnia na próby, przedstawienia i spotkania towarzyskie, stanowiące w tym rzemiośle rodzaj giełdy. Eve towarzyszyła mu jedynie po przedstawieniach, przyjmowana przez dziesiątki przyjaciół Alaina bez najmniejszych oznak zaskoczenia. Była jego nową dziewczyną, małą Madeleine, miłym podlotkiem mającym wiele uroku mimo pewnej milkliwości i załężnienia. Akurat tyle wiedzy o niej było im potrzebne do szczęścia. Stwierdziła to bez zdziwienia, było bowiem oczywiste, że nie jest jedną z nich, nawet jeśli przyłączała się do gwarnych nocnych biesiad w kawiarniach i knajpkach, gdzie hałaśliwe okazywanie poczucia wspólnoty zajmowało miejsce konwersacji.

Chociaż Eve spędzała dzień po dniu samotnie, nigdy nie czuła się samotna. Na dole rozpościerały się okolice Grands Boulevards, gdzie mieszkały wszystkie liczące się postacie ze świata music-hallu. Oglądała od środka rewię przestronnych ulic, niemal tańcząc na chodniku w nowych synkopowanych rytmach, które przyszły z Ameryki i szybko zajmowały miejsce tanga. Nie śmiała jednak zamówić kawy na tarasie jednego z lokalików, chociaż miała na to wielką ochotę, bo Alain ostrzegł ją, że widok młodej kobiety siedzącej samotnie w publicznym miejscu mógłby zostać niewłaściwie zrozumiany. Nigdy też nie odważyła się opuścić sąsiedztwa i iść na spacer po Rue de la Paix, Champs Elysees ani innej eleganckiej promenadzie, groziło jej bowiem spotkanie z ciotką Marie-

France. Żadna naprawdę modna kobieta nie przechadzała się jednak za dnia po Grands Boulevards, przynajmniej tego Eve mogła być pewna. Zbliżało się południe i Eve stała przed szafą z nową garderobą, próbując podjąć decyzję, czy powinna włożyć najlepszy jesienny kostium. Dotąd przymierzała go jedynie w zaciszu sypialni. Ciągle jeszcze nie umiała się przyzwyczaić do niewygodnej wąskiej spódnicy sięgającej ziemi. Spódnica nadawała się do chodzenia dzięki rozcięciu z przodu, przez które było widać nowe sznurowane buciki. Mimo że sprawiała kłopot, krępując ruchy osobie przyzwyczajonej do większych kroków i luźniejszego dołu garderoby, Eve czuła w niej przekorne zadowolenie ze swego dorosłego wyglądu. Do spódnicy dobrała plisowaną tunikę, którą z kolei wieńczył krótki zakiet z powiększonymi ramionami i dekoltem w serek odsłaniającym nagą szyję, dekoltem dającym jej poczucie radosnej swobody po tylu latach noszenia ciasno zapinanych kołnierzyków.

Zdecydowała jednak, że bez względu na temperaturę włoży jaskrawozielony kostium. Vivianne de Biron miała w ocenie Eve około trzydziestu pięciu lat i ubierała się zgodnie z najbardziej wyszukаныmi kryteriami paryskiej elegancji. Eve musiała być absolutnie pewna, że dobrze wygląda w nowym stroju, po raz pierwszy bowiem od ucieczki z Dijon spotykała się z kimś innym niż Alain. Eve była podniecona tą perspektywą bardziej, niż sądziła. Alain dawał jej pieniądze na stroje, żeby miała się w czym pokazać przed jego przyjaciółmi, nie prosił jej o zajmowanie się domem, ale kiedy rano wychodził do teatru na próbę nowej rewii, zapominał o jej istnieniu. Pozbawione ciepła i jałowe życie Eve obracało się w całości wokół myśli o nim.

Ze swej strony Alain Marais był zadowolony, nawet bardziej niż

zadowolony z Eve, ponieważ pozostawało przed nią jeszcze wiele nauki, zanim miała się stać skończoną kobietą, odpowiadającą jego wyobrażeniom. Dopiero wtedy groziły mu, jak wielokrotnie wcześniej, początki znudzenia.

* * *

Vivianne de Biron urodziła się jako Jeanne Sans na ponurym przedmieściu Nantes, zamieszkałym przez dolne warstwy klasy średniej. Dzięki pięknemu ciału zapewniła sobie pierwsze przesłuchanie w music-hallu i chociaż okazało się, że zupełnie nie jest w stanie zaśpiewać równo z orkiestrą, przechadzała się jak cesarzowa.

Przez dwadzieścia lat nosiła ciężkie, gęsto upstrzone cekinami kostiumy refrenistki z niezwykłą godnością i dyskretnym powabem. Wiedziała, że w świecie music-hallu ona i jej koleżanki są jak słonie maharadży: majestatyczne, bezużyteczne, lecz niezastąpione. Szczyciła się, że w przyjętej przez siebie roli sprzedaje to co ma, podobnie jak dziewczęta spacerujące po ulicach, lecz z daleko lepszym wynikiem niż większość z nich.

Teraz, w pięć lat po honorowym zakończeniu działalności, Vivianne de Biron miała zaspokojone jedno z trzech możliwych pragnień, jakie zdarzało się weterankom tego rzemiosła. Nie została gwiazdą (o czym zresztą nigdy nie było mowy) ani nie wyszła za statecznego mężczyznę (co nie odpowiadałoby jej z pewnością), ale znalazła dwóch niezbyt wymagających protektorów w średnim wieku, których porady pozwoliły jej wyjątkowo trafnie ulokować hojne podarunki.

Dochody wystarczały jej z nawiązką na spokojne, luksusowe życie w centrum jedynej części Paryża, w której w ogóle chciała mieszkać. Music-

hall był żywiołem Vivianne, nigdy nie opuszczała występu nowego wykonawcy ani rewiowej premiery. Dysponowała rozległą wiedzą o życiu, zdobytą w czasie nie kończących się godzin spędzonych za kulisami. W czterdziestym piątym roku życia z przyjemnością myślała o dniu, od którego dzieliło ją jeszcze może pięć lat, kiedy pożegna protektorów i zapewni sobie spokojny sen przez siedem nocy w tygodniu. Tymczasem zaś młoda kobieta, która wprowadziła się do sąsiedniego mieszkania, rozbudziła jej ciekawość. Była tak różna od innych zdobyczy Alaina Marais. Miała szyk i urodę, a także naiwny, lecz niezaprzeczalny wdzięk, mimo wyraźnej prowincjonalności.

- Jak się pani podoba Paryż? - zaczęła Vivianne, kiedy usiadły w Cafe de la Paix, na wygodnym miejscu w obszernej i eleganckiej sali ze ścianami wyłożonymi seledynową boazerią i sufitem pełnym malowideł stworzonych jakby specjalnie dla zaspokojenia gustu markizy de Pompadour.

- To najwspanialsze miejsce na świecie. Uwielbiam je! - Brwi Eve uniosły się w zapale. Vivianne sprawnie otaksowała sąsiadkę. Eve nosiła się zgodnie z panującym ostatnio stylem. Spod małego toczka opadały jej na oba policzki cienkie, zakręcone pasma włosów, które właśnie weszły w modę, a mimo to doświadczenie podpowiadało Vivianne, że elegancka Madeleine Laforet jest zielona jak młoda wieśniaczka sprzedająca kurczęta na bazarze. Jeśli w istocie była „madame”, jak nakazywała tytułować ją grzeczność, to ona, Vivianne mogła się czuć matką liczego potomstwa. A jednak... jednak... pozostawała jeszcze sprawa muzyki.

- Podoba mi się pani śpiew, bardziej niż potrafię to wyrazić.

- Mój śpiew!

- Nie wiedziała pani, że słyszę go w kuchni.

- Ależ nie. Nie miałam najmniejszego pojęcia. - Eve była zmieszana.

- Sądziłam... prawdę mówiąc byłam pewna, że nikomu nie przeszkadzam, że ściany są dostatecznie grube... Przepraszam, to musiało być bardzo denerwujące. Cieszę się, że pani mi powiedziała - usprawiedliwiła się, do głębi zdeprymowana. Odkrycie, iż podchwyczone tu i ówdzie miłosne piosenki, które śpiewała dla siebie, zostały podsłuchane przez obcą osobę, prawdopodobnie usiłującą właśnie wtedy w ciszy i spokoju przyrządzić obiad, zażenowało Eve do tego stopnia, że nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć.

- Tak to jest ze ścianami w naszych kamienicach. Zawsze słyszy się sąsiadów. Zapewniam panią jednak, że nic, co słyszałam wcześniej, nie sprawiło mi takiej przyjemności. A przecież często dolatuje do mnie także głos pana Marais, zupełnie jakby dawał dla mnie prywatny recital.

- Czy nigdy mu pani tego nie mówiła? - spytała Eve.

- Pewnie, że nie. Musi próbować nowe piosenki i jest to zupełnie zrozumiałe. Zresztą podziwiam jego głos. Ale przecież nie ryzykuję błędu twierdząc, że pani nie jest profesjonalistką.

- Oczywiście, że nie, madame de Biron. Chyba nietrudno to zgadnąć, słysząc w jaki sposób śpiewam.

- Stanowczo nie. Domyśliłam się tylko dlatego, że nigdy o pani nie słyszałam. Gdyby pani śpiewała zawodowo, z pewnością wiedziałabym o tym. Odważę się powiedzieć, że wiedziałyby o tym cała Francja. Nic co się dzieje w świecie music-hallu nie umyka mojej uwagi. Nie mam zbyt wielu zajęć. Music-hall był moim życiem, teraz pozostał hobby, pasją jeśli pani woli, i to jaką!

- Wiedziałyby cała Francja? Co za pomysł!

- Przecież to się samo przez się rozumie! Musi się pani dowiedzieć, że jej głos działa jak zaklęcie, nie... jeszcze mocniej. A interpretacja! Poruszyła mnie pani do łez płaskimi pioseneczkami, które słyszałam dziesiątki razy. Ale niemożliwe, żebym mówiła coś nowego.

Tak obdarzono Eve pierwszym szczerym, bezwarunkowym komplementem. Profesor Dutour przy swym zręcznym charakterze zawsze zdawał się z niej nie całkiem zadowolony, a matka traktowała jej głos jako talent młodej panienki, którym robi się dobre wrażenie. Eve nie wiedziała, co odpowiedzieć, a Vivianne de Biron, wyraźnie to widząc, uznała, że nadszedł czas na zmianę tematu.

- Czy oglądała pani wiele music-halli, madame Laforet? - spytała.

- Niestety nie - odparła Eve. - Pan Marais śpiewa w Rivierze co wieczór z wyjątkiem niedziel, a ja nie czułabym się swobodnie, chodząc do music-hallu bez towarzystwa. Czy to bardzo głupie? -Przeciwnie, mądre. Ale są przecież popołudniówki.

- Nie pomyślałam o tym.

- Chętnie załatwię bilety. Dyrekcje patrzą na mnie łaskawym okiem, pani rozumie? Może pójdziemy razem któregoś dnia?

- O tak, proszę. Z największą przyjemnością To dziwne, kiedy po raz pierwszy spotkałam pana Marais, nie miałam problemów z chodzeniem za kulisy, teraz nie czuję się zręcznie, wyczekując na zapleczu, kiedy śpiewa. Tak naprawdę, nie ma tam dla mnie miejsca, a mnie... mnie bardzo tego miejsca brakuje -powiedziała Eve tęskno.

- Doskonale rozumiem, o co pani chodzi - odparła Vivianne. Wiele, wiele lat temu rozmówczyni Eve kochała młodego śpiewaka. Zgodziłaby

się teraz na złamane obie nogi, nos powiększony przez żądła piętnastu pszczoł i na chroniczny świerzb, byle tylko dobry Bóg nie wracał jej tamtych dni! Dni rajy, udreń, a w końcu goryczy odkrytego oszustwa.

* * *

W ten sposób rozpoczęła się inicjacja Eve w świat music-hallu najwyższej klasy. Zbudowane w roku 1885 wystawne Eldorado stało się pierwszym prawdziwym teatrem, który przejął funkcję kawiarni muzycznych, gdzie koncerty, ta wybitnie francuska mieszanka śpiewu z alkoholem, nie mogły już się pomieścić, gdyż obrosły w zbyt wielką formę. Eve i Vivianne de Biron zaczęły sobie wkrótce mówić po imieniu, a starsza sąsiadka Eve została jej przewodniczką po szlakach od La Scali do Varietes, od Bobino do Casino de Paris, karmiąc uszy zafascynowanej dziewczyny legendą i doświadczeniem dwudziestu lat.

- Jeśli chodzi o Dranema, to niewielu śpiewaków rozśmiesza mnie tak jak on. Umie skupić na sobie uwagę całego teatru, chociaż właściwie nie ma on na kogo patrzeć, ot, taki człowieczek w olbrzymich kaloszach i maleńkim, prześmiesznym kapeluszu... złotym kapeluszu. On nazywa tę zdolność swoim „poupoute” i w całym Paryżu nie ma dość pieniędzy, żeby ją od niego odkupić. A zauważ, jak śpiewa: bez najmniejszego gestu, z czerwono uszminkowanym nosem i brodą, z zamkniętymi oczami; to on wymyślił tę postać i nikomu dotąd nie udało się wcielić w nią lepiej, choć przez lata wielu tego próbowało. Dranem, Polin i Mayol są, kochana, wielkimi oryginałami, naśladowanymi przez tysiące młodych. Polin, przy całej swej słodyczy, zupełnie nie rozumie potrzeby rozgłosu. Zawsze mawiał, że tajemnica sukcesu polega na opuszczeniu sceny pięć minut wcześniej, nim publiczność się tobą znudzi. Wraca więc co wieczór do

domu niczym urzędnik pocztowy i nigdy nie przeczyta się o nim ani słowa. Jestem przekonana, że właśnie dlatego nie zarabia tyle, ile ci, którzy nie mają nawet połowy jego talentu. Co zaś do Mayola, tej wielkiej, rumianej kreatury, to byłby popularniejszy, gdyby kochał kobiety zamiast mężczyzn. Kobiety na widowni natychmiast potrafią wyczuć, że nie śpiewa dla nich.

Popatrz teraz dokładnie na trzecią dziewczynę od lewej, tę z purpurowymi piórami i rudymi włosami. Wczoraj ktoś mi szepnął, że od czterech miesięcy jest w ciąży z impresanem, ale wygląda płasko jak deska. Stąd nauka, że nie należy ani trochę wierzyć w plotki. O, widzę, że doceniasz Maxa Dearly. Ja go podziwiam... mój stary Max, zawsze go tak nazywałam. Był pierwszym śpiewakiem komicznym, który nie malował twarzy jak klaun ani nie wkładał karykaturalnych kostiumów. Wyobraź sobie, jaką wzbudził sensację: śpiewający komik z szykiem, a do tego dobrze tańczący, w odróżnieniu od innych. Wszystkie kobiety wariują na jego punkcie, a on lubi je niemal tak samo jak konie. Chciałabym mieć te pieniądze, które w okresie świetności stracił na torze.

Eve zachłannie przyswajała sobie każde słowo Vivianne. Fascynowała ją nie tylko znajomość rzeczy, w centrum jej uwagi znajdował się również odkrywany przez nią potencjał nieznanymi dotąd ludzkich zachowań. Tancerka w ciąży z impresariem... mężczyzna kochający mężczyzn... hazardzistą tracący pieniądze na torze... czy ktokolwiek ze świata music-hallu wytrzymałby bezbarwne życie, jakie wiodła Eve?

- Weź na przykład młodego Chevaliera - powiedziała Vivianne. - Moim zdaniem inspirował się Dearlym, ale poszedł o wiele dalej. Czy

kiedykolwiek słyszałaś o numerze, który go wylansował? On i Mistinguett przygotowali taniec zatytułowany „La Valse Renversante”: przewracali wszystko, co stało na scenie, i kończyli wspólnie owinięci dywanem. Naturalnie jest coś takiego jak porządek rzeczy, toteż Chevalier został jej kochankiem. Widzisz, Madeleine? Następna w kolejce była Viviane Romance. Ciągle myślę, że wzięła imię ode mnie. O, ona miała ikrę, trzeba jej przyznać. Odważyła się dobrać do Mistinguett z pazurami, po tym jak Miss wystawiła ją na pośmiewisko podczas wielkiej sceny. Nazwała Miss starą babcia i obiecała, że dla uspokojenia nerwów zatańczy któregoś dnia na jej grobie. Potrzebni byli dwaj mężczyźni, żeby je rozłączyć. Szkoda, że mnie tam nie było.

W przyszłym tygodniu pójdziemy obejrzeć Polaire... musiałaś słyszeć o tej talii. Nie? Jest taka wąska, że można ją opiąć męskim kołnierzykiem, czterdziestką. Jak na mój gust, Polaire ma za duży nos i za ciemną skórę, przypomina mi małego Araba, ale zachwycają mnie jej oczy. Są ogromne, niemal przerażające. Wyobraź sobie, że w czasie tournée po Ameryce przyklepiono jej etykietkę „najbrzydszej kobiety świata”, a tym amerykańskim szaleńcom jej spojrzenia nie podobały się do tego stopnia, że żądali zwrotu pieniędzy! Polaire gra w jednym programie z Paulette Goddard. Ta ma naprawdę urodę, tak przynajmniej uważam. Obszerna tam gdzie trzeba i różowa tam gdzie należy. Nazywają ją królową walca, i nie bez przyczyny. Znalazła sobie prawdziwego wiedeńczyka, niejakiego Rudolfa Bergera, żeby pisał jej muzykę. Niegłupi o, co?

- Wiesz, Vivianne - przerwała jej Eve - umieram z pragnienia, żeby iść do Olimpij.

- Nie chcesz zobaczyć Polaire?

- Oczywiście, że chcę, ale tyle się naczytałam o nowym programie w Olimpii. The Dolly Sisters i Vernon, i Irene Castle, i Al Jolson. We wszystkich gazetach piszą, że żadne przedstawienie nie odniosło jeszcze tak olbrzymiego sukcesu. Nie chcesz tego zobaczyć?

- Phi! Gromadka Amerykanów. Ludzie mają nowość, to wszystko. Mój dawny szef, Jacques Charles, pojechał na Broadway i najał każdego, kto mu się nawinał pod rękę. Niegłupio zrobił, daję słowo, ale zachował się mało patriotycznie. Osobiście to bojkotuję. Nawet wozem mnie tam nie zaciągniesz - prychnęła Vivianne i temat upadł.

Mimo wszystko Eve była zdecydowana iść do Olimpii bez Vivianne. Nabyła już dość pewności siebie w dużych teatrach, by obejść się bez towarzystwa. Na dworze panował listopad; po aromatycznych dniach dojrzałej październikowej jesieni przyszły chłód i wilgoć. Eve miała jednak nowy gruby płaszcz, dużą futrzaną mufkę i dobrze dopasowany do głowy futrzany toczek, w których mogła zaryzykować wyprawę. Alain wzbogacił się ostatnio, grając w karty, i był dla niej bardziej hojny niż zwykle. Nie odważyła się go spytać, ile wygrał, Alain bowiem odnosił się niechętnie do pytań o czas spędzany z przyjaciółmi, ale z jego nalegania na częstowanie co wieczór wszystkich możliwych znajomych szampanem i ostrygami wносиła, że suma była niemała.

Próby do nowego przedstawienia skończyły się i wszystkie popołudnia wolne od występów Alain spędzał prawdopodobnie na grze w karty. Eve wytłumaczyła sobie, że przy tak ciężkiej pracy Alain ma prawo do urozmaicenia życia, i ubrała się na popołudniówkę.

* * *

Vivianne powinna była przyjść, nawet jeśli to niepatriotyczne, pomyślała Eve, kiedy zapadła kurtyna po dziesiątym wyjściu Irene Castle. Nie obejrzeć takich artystów! Nie obejrzeć tej gracji, tego czaru świeżości! Ręce bolały ją od oklasków, chociaż do przerwy został jeszcze numer Fragsona.

Vivianne nigdy nie wspominała jego nazwiska w czasie wielokrotnego omawiania gwiazd, mimo to na widowni zapadła napięta, pełna emocji cisza. Eve wiedziała już, iż poprzedza ona zjawienie się ulubieńca, wykonawcy tak uznanego, tak ukochanego, że może oczekiwać od publiczności jedynie okazania czci i zachwytu.

Kurtyna uniosła się, odsłaniając zaciemnioną scenę, a wtedy mocny, punktowy reflektor wyłowił z czerni samotną postać: wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, ubranego w ciemny angielski garnitur i koszulę z wysokim, krochmalonym kołnierzykiem, noszącego mroczny krawat i złoty zegarek z dewizką. W odpowiedzi na lawinę braw pozdrawiającej publiczności, Fragson lekko skłonił głowę. Przez jego twarz nie przemknął najdrobniejszy uśmiech.

Usiadł i zagrał pierwsze nuty *Folie*, a widownia przeszkodziła mu grzmotem oklasków, które ucichły dopiero, gdy artysta zaczął śpiewać. Eve przeżywała koszmar, z którego nic nie rozumiała, usłyszała pierwsze słowa sztandarowej piosenki Alaina: *I tylko o niej, o niej, o niej śnię...* Czy Alain wiedział, że ktoś, kto nazywa się Fragson, ukradł jego numer? Jak można na coś takiego pozwolić? Jak Olimpia może pokazywać Fragsona, skoro zaledwie o kilka ulic dalej, w Rivierze, Alain śpiewa dokładnie te same piosenki: tę nową *Adieu Grenade*, którą Eve tak bardzo lubi, zabawną, świeżo wyuczoną *La Petite Femme du Metro*, a teraz, dobry

Boże, teraz nawet *Reviens*, najlepszy utwór Alaina, śpiewany tuż przed *Je Connais une Blonde*.

W panice rozejrzała się po teatrze, jakby w każdej chwili spodziewała się, że nadejdzie policja i aresztuje Fragsona, zobaczyła jednak tylko setki twarzy pełnych uznania i zachwytu, witających dobrze znane piosenki, które nawet nie potrzebują zapowiedzi. Zmrożona przerażeniem stwierdziła, że kobieta obok zna słowa wszystkich piosenek na pamięć, jej wargi milcząco poruszały się wraz ze śpiewem Fragsona. Eve starała się za wszelką cenę skoncentrować uwagę. Zorientowała się, że Fragson musi być znacznie starszy od Alaina, ma o wiele mniej włosów, za to zdecydowanie większy nos i śpiewa z angielskim akcentem. Gdyby nie to, można by sądzić, że w Olimpii występuje Alain Marais.

Gdy tylko przebrzmiały oklaski i rozpoczął się antrakt, Eve w pośpiechu opuściła teatr i jak w transie ruszyła do domu. Fragson. Fragson, który był większą atrakcją niż nawet Polin, Dranem czy Chevalier, bo przecież słyszała już tych trzech i żaden nie wywołał tak olbrzymiego aplauzu publiczności, jaki wybuchł dziś wieczorem. Fragson, który śpiewał piosenki Alaina. Fragson, który śpiewał w stylu Alaina, w stylu, którego Eve nie słyszała jeszcze w music-hallu nigdzie indziej.

Fragson, Fragson... nie mogła wyrzucić z myśli tego nazwiska, brzmiało w jej głowie jak werbel, aż w końcu musiała spojrzeć prawdzie w oczy. To Alain Marais śpiewał piosenki Fragsona. Alain Marais naśladował styl Fragsona. Alain Marais nawet ubierał się jak Fragson. Była pewna, że gdyby przejrzała koszule Fragsona, znalazłaby naszywkę Charveta, a marynarka pochodziła zapewne z firmy Old England.

Istnienie Fragsona wyjaśniło Eve wszystko, nad czym milcząco

zastanawiała się bez przerwy, odkąd dwa razy w tygodniu zaczęła chodzić z Vivianne do music-hallu. Wyjaśniło się, dlaczego Alaina zadowalało pozostawanie w zespole, który dotąd uważała za drugorzędny, teraz zaś nawet za trzeciorzędny. Wykonanie Fragsona uzmysłowiło jej, dlaczego człowiek z tak pięknym głosem jak Alain nigdy nie zgłosił się na przesłuchanie do któregoś z wielkich impresariów; teraz, kiedy zelżał pierwszy szok Eve na widok Fragsona, musiała przyznać, że Amerykanin śpiewa z nadzwyczajną mocą, jakby uosabiał wielkiego pana, przyciągającego szczególnym czarem osobowości, której nie można, nie powinno się naśladować. Fragson był prawdziwy.

Fragson tłumaczył wszystko, co związane z karierą Alaina, poza jednym: czemu Alain postanowił podrabiać właśnie jego. Czy w ogóle miał w sobie zalążek oryginalności? Wiedziała, że nigdy nie będzie go mogła spytać. Nie wolno jej zdradzić się przed nim, że słyszała Fragsona. Bez względu na to, co sprawiło, że Alain postanowił ograniczyć się w życiu do kopiowania jednego z największych artystów estrady we Francji, nie do niej należało pytanie o przyczyny. Mogła się domyślać. Wyobrażała sobie, że prawdopodobnie w ten sposób było łatwiej dostać pierwszą pracę i że, z jakiegoś powodu, Alain nie odważył się potem porzucić tej drogi. Ale pytanie o to nie mogło paść nigdy. Nigdy.

Eve przypominała sobie Alain, który opowiadał o dochodzeniu do własnego, a właściwie Fragsona sposobu śpiewania i poczuła, że jej serce krwawi. Serce krwawiło jej też na wspomnienie, że tak bardzo mu wierzyła. Czy to możliwe, że od tej pory minęło tylko pięć miesięcy? Miała wrażenie, jakby postarzała się o dziesięć lat. Nic dziwnego, że Vivianne starała się utrzymać ją z dala od Olimpiii. Ze swą

encyklopedyczną znajomością music-hallu z góry wszystko wiedziała.

Eve machinalnie wjechała windą na właściwe piętro. Słyszając jej powrót, Vivianne wystawiła głowę przez szparę w drzwiach i spytała:

- I co, maleńka, przeszedł ci ból głowy po spacerze?

- Niezupełnie, ale jakoś z nim sobie poradzę - odparła Eve. - Głowa nie może boleć wiecznie.

* * *

Grudzień, który nadciągnął nad Paryż, sprawił, że mokry listopad wspomniano niemal jak miesiąc tropikalny. Jedyne sklepowe wystawy użyczały miastu nieśmiałych kolorów i przebłysków radości, nawet przejście na drugą stronę ulicy równało się wyprawie polarnej. Ludzie powtarzali, że nigdy nie było tak zimno, wietrznie, ponuro i deprymująco.

Wszyscy z nadzieją wypatrywali Bożego Narodzenia, jakby mogło ono przynieść zmianę w warunkach meteorologicznych. Legendarne, choć realnie istniejące niebo przyciskało do ziemi niskie, szare budynki, jakby czuło do nich osobistą urazę, przeto mądrzy paryżanie trzymali zaciągnięte story i zapalone lampy od rana do wieczora.

Na dwa dni przed świętami Alain złapał katar, który od kilku tygodni dziesiątkował trupe. Poszedł jeszcze do teatru i jak zwykle odśpiewał tour de chant, ale z trudem wróciwszy na piechotę do domu, w zastraszająco szybkim czasie poczuł się gorzej. Przed świtem miał tak wysoką temperaturę i był tak słaby, że Eve, która zajmowała się nim przez całą noc, wyszła w peniuarze na podest, żeby spytać Vivianne, czy zna w sąsiedztwie lekarza.

- Mam zaufanie do starego doktora Jammesa. Postawi Alaina na nogi w okamgnieniu. Zaraz go wezwę, malutka, nic się nie martw. A ty musisz

zadzwoić do Riwery i powiedzieć im, że Alain nie będzie przychodził do pracy co najmniej przez tydzień. Te świąteczne przeziębienia notorycznie się powtarzają. Doktor Jammes dokładnie zbadał Alaina i pokręcił głową:

- Może reszta trupy miała zwykły katar, madame - powiedział do Eve
- ale z przykrością muszę stwierdzić, że tu widzę wszelkie symptomy zapalenia płuc. Chorego trzeba natychmiast zabrać do szpitala. Pani nie może się nim opiekować w domu.

Na dźwięk diagnozy Eve ogarnął strach. Jakże często zdarzało się, że ojciec tracił pacjentów, gdyż do drobnych kłopotów wątrobowych dołączało budzące lęk zapalenie płuc, na które nie było środka prócz stawiania baniek i modlitwy, by pacjent okazał się dość silny.

- No, no, proszę nie wpadać w rozpacz, to nic nie pomoże, pani przecież rozumie - powiedział pospiesznie doktor Jammes na widok jej twarzy. - Pani musi się przyzwycieić odżywiać i dbać o zachowanie własnych sił. Ten młody człowiek - dodał, wskazując na Alaina - za bardzo się eksploatował. Jest o wiele za chudy. No tak, zawsze to mówię moim pacjentom, ale czy któryś bierze sobie rady do serca? W każdym razie, madame, zaraz załatwię co trzeba.

- Czy... czy szpital jest bardzo drogi, doktorze? - wydusiła z siebie Eve.

- Wszyscy się na to skarżą, ale z pewnością ma pani oszczędności.

- Tak, tak. Pytałam tylko, bo każda choroba...

- Proszę nie martwić się za wiele, madame. On jest młody, a lepiej mieć za mało tłuszczu niż za dużo, zawsze to mówię.. Pożegnaj się już. Przed południem muszę obejrzeć pięciu pacjentów... Lekarze nie mają czasu na łapanie chorób, ale i na miłe zajęcia także. Do widzenia, madame,

proszę mnie wezwać, gdybym jeszcze był do czegoś potrzebny. Oczywiście obejrzę go w szpitalu podczas obchodu.

* * *

- Vivianne, wiem, że wydam się dziecinna, ale nie mam pojęcia, co Alain robi z pieniędzmi, które zarabia. Daje mi na ubranie, ale gospodyni płaci sam, a w domu jada wyłącznie śniadania. Nawet nie znam nazwy jego banku - wyznała Eve przyjaciółce. Dopilnowała, by Alaina umieszczono w szpitalu i niczego więcej nie mogła teraz dla niego zrobić.

- Musisz go po prostu spytać, maleńka. Nie martw się Alain od lat dobrze zarabia, a nie jest głupcem - odparła Vivianne, jeszcze raz gratulując sobie w duchu własnych finansowych zabezpieczeń. Nie miała wątpliwości, że żony jej protektorów nie zdają sobie sprawy z finansów własnych mężów w równym stopniu jak Madeleine z finansów kochanka.

Ale przez następny miesiąc Alain nie osiągnął stanu, który umożliwiłby zapytanie go o miejsce ulokowania oszczędności ani o cokolwiek innego. Od chwili przyjęcia do szpitala trzykrotnie ocierał się o śmierć. Vivianne utrzymywała Eve w zdrowiu, karmiąc ją gotowanymi przez siebie posiłkami, a gdyby nie wmusiła dziewczynie pieniędzy, Alaina przetransportowano by do jednego z paryskich szpitali dla ubogich.

Wreszcie w ostatnich dniach stycznia Alainowi zaczęło się polepszać i Eve, wymęczona ale zdecydowana, zapytała go, jak może wyciągnąć trochę pieniędzy z jego banku.

- Z banku! - zaśmiał się słabo. - Z banku! Tak właśnie mówi prawdziwa panna z dobrego domu.

- Alain, zadałam ci normalne pytanie. Dlaczego nie odpowiadasz po ludzku.

- Ponieważ gdybyś nie urodziła się w dobrym domu, wiedziałabyś, że wydaję wszystko do ostatniego centyma. Zawsze to robiłem i zawsze będę robił... Takie życie wybrałem sobie wiele lat temu. Każdy filister zauważyłby to już dawno. Oszczędzanie jest dla bezpiecznie żyjących małych ludzików z bezpieczną żoną i gromadką bezpiecznych dzieciaków, niech je Bóg ma w swej opiece. Phi! Wolałbym raczej stracić wszystko, przegrywając z fasonem w karty, niż składać pieniądze w banku. Nie masz prawa narzekać. Kiedy miałem pieniądze, wydawałem je, więc nie przyszedłem się też skarżyć do ciebie, kiedy wszystkie straciłem.

- Wszystkie straciłeś?

- Tuż przed chorobą. Nie szła mi karta. - Wzruszył ramionami. - Byłoby jeszcze akurat na święta, ale myślałem, że fart wróci... albo doczekam wypłaty, wszystko jedno. Nigdy się nie przejmowałem i nie będę przejmował się teraz. Zobaczysz, że mam rację. Wkrótce wrócę do Rivieri, to cholerne zapalenie płuc już prawie mi przeszło.

- Ależ Alain, pytałam doktora Jammesa, jak szybko będziesz mógł wrócić do domu. Powiedział, że może za kilka tygodni, ale potem czekają cię... miesiące, miesiące rekonwalescencji, zanim wrócisz do pracy!

- Doktor jest pompatycznym starym durniem - Alain odwrócił się od Eve i wyjrzał przez okno na śnieg, który w Paryżu padał tak rzadko.

- Pompatycznym owszem, ale nie durniem. Uratował ci życie - powiedziała z oburzeniem Eve.

- Posłuchaj, mam dla ciebie radę - powiedział opryskliwie Alain. - Wracaj do domu. Wracaj do Dijon.

- Alain!

- Wiem, co mówię. Nie jesteś stworzona do takiego życia i na pewno

wiesz o tym. Miałaś swoją przygodę, ale widzisz, że się skończyła. Wracaj do rodziców tak szybko, jak tylko uciągnie lokomotywa. Nie należysz do tego świata. Bóg wie, że nigdy nawet nie śniło mi się prosić, żebyś jechała ze mną. To był wyłącznie twój pomysł, pamiętasz? Mój sposób życia odpowiada mi, ale na dłuższą metę nie mogę być odpowiedzialny za nikogo innego. Zaprosiłaś się sama. Teraz przyszedł czas powrotu. Powiedz mi do widzenia, Eve, i wsiadaj do pociągu.

- Zostawię cię teraz samego. Jesteś przemęczony. Przyjdę znowu jutro, kochanie. Spróbuj wypocząć. - Eve uciekła z oddziału, nie oglądając się za siebie. Miała nadzieję, że nikt nie zauważy jej łez.

* * *

- I tylko tyle powiedział? - spytała Vivianne.

- Czy to nie wystarczy? Czy nie jest tego aż nadto?

- Może i miał rację - powiedziała wolno starsza kobieta.

- Naprawdę tak myślisz? Ty też?

- Tak, maleńka. Paryż nie jest miejscem dla dziewczyny bez solidnego zabezpieczenia, a tego, Madeleine, pan Marais nigdy nie będzie mógł ci dać. Czy to, co mówił o powrocie do Dijon, jest realne?

- Nie! Absolutnie nie! Kocham go, Vivianne, i nie ma znaczenia co mówisz ty czy nawet on. Nie zostawię go. Gdybym wróciła... do domu... oczekiwaliby ode mnie... Bóg jeden wie, czego by oczekiwali! Strach o tym myśleć.

- Jest więc inne wyjście, ale tylko jedno.

- Dlaczego na mnie patrzysz w taki sposób? - spytała Eve, nagle zaniepokojona.

- Zastanawiam się, czy będziesz umiała.

- Co umiała, na miłość boską?

- Zdobyć pracę.

- Oczywiście, że będę umiała zdobyć pracę. Za kogo mnie masz?

Mogę zostać sprzedawczynią, nauczyć się maszynopisania, pracować w firmie telefonicznej...

- Cicho, Madeleine. Wcale nie chcę wciskać cię do pracy w sklepie czy magazynie, do tego milion innych dziewcząt nadaje się równie dobrze jak ty. Nie, maleńka. Mam na myśli pracę godną twoich talentów. Występy na scenie music-hallu.

- Chyba żartujesz!

- Przeciwnie, myślę o tym od miesięcy. Prawdę mówiąc, od kiedy po raz pierwszy cię usłyszałam. Zastanawiałam się, dlaczego pan Marais sam o tym nie pomyślał, ale wtedy zorientowałam się, że nigdy nie śpiewasz, kiedy jest w domu. Czy on w ogóle wie, że ty śpiewasz? Nie? Tak podejrzewałam. Miałaś za wiele czci dla jego... profesjonalizmu... żeby eksponować własną mizerną namiastkę głosu... W ten sposób myślałaś, prawda?

- Możesz ze mnie żartować, Vivianne, nie dbam o to. Nie śpiewałam mu, bo myślałam, że może... och, nie wiem już na pewno... myślałam, że może nie chciałby, żebym śpiewała, może pomyślałby, że oczekuję zaproszenia do duetu czy czegoś równie głupiego.

- A może dlatego, że odniosłabyś większy sukces niż on? Co? Czy o tym myślałaś? - Nigdy!

- A dlaczego, skoro to prawda? Nie próbuj zaprzeczać. Wiem to i sędzę, że ty również musisz wiedzieć.

Między dwiema kobietami zapadło trudne milczenie. Obie zdawały

sobie sprawę, że dotknęły tematu, którego nigdy nie miały zamiaru poruszać. Zarazem żadna z nich nie potrafiła ocenić, na ile druga sobie to uświadamia. Ale czas dyskrecji minął bezpowrotnie. W końcu Eve odważyła się przemówić, pozostawiając ostatnie pytanie Vivianne bez odpowiedzi.

- Czemu uważasz, że mogłabym śpiewać na scenie? Nigdy nie występowałam publicznie, tylko dla siebie i... w domu, i dla ciebie, po tym jak mnie podsłuchałaś.

- Są dwa powody. Po pierwsze, twój głos. Jest wystarczająco mocny, żeby słyszano cię na balkonie największego paryskiego teatru, ma barwę przenoszącą tak wiele uczuć, jakbyś wargami pieściła serce słuchacza, ma też szczególną cechę, dla której nie umiem znaleźć nazwy, w każdym razie dzięki niej mogę cię słuchać bez końca, nie czując śladu znużenia. Najważniejsze jednak, że kiedy śpiewasz o miłości, wierzę każdemu słowu. A jak dobrze wiesz, w miłość nie wierzę. Po drugie, masz swój genre, typ. Sam talent i dobry głos w music-hallu nie wystarczają. Trzeba być w określonym typie, żeby odnieść sukces.

- W jakim typie jestem? - spytała niezwykle zaciekawiona Eve.

- W swoim własnym. Taki jest najlepszy, maleńka, najlepszy! Pamiętam, co kiedyś powiedziała mi Mistinguett: „Ważny jest nie mój talent, lecz to że jestem Mistinguett. Talent może mieć każdy”. Ach, ta Miss, jak ona lubi mówić o sobie. Maleńka, ty kryjesz w sobie wielki talent, a do tego jesteś jedyna w swoim rodzaju, jesteś Madeleine! Z tymi dwoma walorami masz wszelkie dane, żeby podbić music-hall.

- Co będzie, jeśli się mylisz?

- Niemożliwe. W takich sprawach się nie mylę. Ale musisz się

odważyć i spróbować.

- Odważę się... oczywiście, że się odważę. Zawsze byłam odważna - wykrzyknęła Eve z rozjarzonymi oczami. - Czyli musimy znaleźć odpowiednie piosenki i przygotować cię na przesłuchanie. Im szybciej, tym lepiej. Dzięki Bogu wciąż jeszcze mam kontakty w Olimpi. Jacques Charles na pewno zechce posłuchać, jeśli cię do niego zaprowadzę.

- W Olimpi?

- Oczywiście, a gdzieżby indziej? Zaczniemy od szczytu, tak zrobiłaby każda rozsądna osoba.

* * *

Energiczny, ambitny i pełen wyobraźni Jacques Charles był weteranem wśród impresariów music-hallu, choć miał zaledwie trzydzieści dwa lata. Skubiąc wypieszczony czarny wąsik, mając w oczach wieczne zaniepokojenie, stał w miejscu, z którego zwykle przesłuchiwał kandydatów, niemal przy samej ścianie drugiego balkonu Olimpi. Jeśli wykonawcy nie było stamtąd słychać, Charles tracił dla niego zainteresowanie, choćby artysta przejawiał wielkie talenty.

- Cóż mamy dzisiaj, szefie? - spytał jeden z asystentów, Maurice Appel, zaskoczony porannym przesłuchaniem w dniu poświęconym zwykle na popołudniowe próby.

- Uprzejmość, Maurice. Pamiętasz Vivianne de Biron, moją pierwszą refrenistkę z Folies Bergere. Cud dziewczyna była z tej Vivianne: żadnych spóźnień, chorób, ciąży, miłości, a do tego niezmordowana. Co więcej, okazała dość sprytu, by wycofać się, zanim przestała wskazywać biustem półmetek między ziemią i sufitem. Nie zdarzyło się potem, by ktoś paradował po scenie z równą gracją w stroju, którego najcieplejszą częścią

był pióropusz na głowie. Vivianne prosiła mnie, żebym posłuchał jej odkrycia. Jak mógłbym odmówić?

- Jej facet?

- Nie, zdaje się, że dziewczyna. O, już jest.

Obaj mężczyźni spojrzeli na Eve, która wkroczyła na scenę w replice paryskiej nowości: sukni Jeanne Lanvin, prostej w kroju, z cienkimi ramiączkami i małym marszczonym stanikiem. Ten historyczny wzór, z talią zdobioną imitacjami diamentów, krawiec Vivianne skopiował używając wyśmienitego czerwonego szyfonu; jego intensywna barwa odbijała się w rudawych włosach Eve, które opadały po obu stronach twarzy, szesane w dwa drżące skrzydła. Na ciemnej scenie dziewczyna wyglądała jak błysk letniego słońca. Wchłonęła w siebie jasność światła rampy, która stała się częścią jej własnej światłości. Eve stała nieruchomo, prawą ręką lekko dotykając fortepianu, przy którym usiadł już akompaniator, mający przed sobą otwarte nuty. Jej pozycja, całkiem naturalna dla kogoś, kto przez lata studiował u profesora Dutoura, nie świadczyła bynajmniej o większym zdenerwowaniu niż w innych sytuacjach życiowych.

- Przynajmniej się ją widzi - powiedział Jacques Charles.

- Zrobimy mały zakład, szefie? Obstawiam genre Polaire.

- Dlaczego nie genre Mistinguett, jeśli już mamy zgadywać?

- Może Yvonne Printemps - podsunął dla kontrastu Maurice.

- Zapomniałeś o Alice de Tender.

- Nie mówiąc o Eugenie Buffet.

- Załatwiliśmy w ten sposób większość możliwości. Nie sądzę, żeby zamierzała popisywać się walcem w tej skąpej sukience, więc Paulette

Darty nie wchodzi w grę. Stawiam na Alice de Tender. A ty, Maurice?

- Printemps. Instynkt mi podpowiada.

- O pięć franków?

- Zgoda.

- Proszę bardzo, mademoiselle, możemy zaczynać - zawołał Jacques Charles.

Eve przygotowała dwie piosenki. Początkowo gorączkowo miotała się, mając kłopot ze zdobyciem nowych utworów, gdyż wszyscy znośni autorzy byli dzień i noc zajęci pisaniem dla uznanych gwiazd, ale Vivianne znalazła wyjście.

- Dla mnie jest oczywiste, maleńka, że nie wolno ci śpiewać nic oryginalnego. Oni mają zauważyć nie piosenkę, lecz ciebie. Ciebie i twój genre. Proponuję, żebyś wybrała utwory znane i kojarzące się przede wszystkim z kobietami, które je wylansowały. Zaśpiewaj *Mon Homme* i *Parlez-moi d'Amour*, które ludziom kojarzą się nieodparcie z Mistinguett i z Yvonne Printemps. W ten sposób podejmiesz walkę na ich terenie i pokażesz, że nie liczy się piosenka, lecz wykonawca.

- Dobry Boże, Vivianne, czy nie zrobię przez to niepotrzebnie złego wrażenia? Będzie wyglądało, jakbym nie miała w głowie żadnego pomysłu - zaprotestowała Eve.

- Kiedy stoisz na scenie, nikogo nie interesuje, co masz w głowie, kochana. Jesteś tam, żeby narzucić swoją osobowość. Zrobić niezapomniane wrażenie.

Zrobić niezapomniane wrażenie, pomyślała Eve, mając przed oczami światła rampy. Muszę zrobić niezapomniane wrażenie, nic więcej. I mam na odniesienie sukcesu pięć minut. Wzięła głęboki oddech i przypomniała

sobie bezkresny horyzont, który widziała z wielkiego, czerwonego balonu, przypomniawszy sobie chwile, w których dorównała nieustraszonym pilotom pokazu lotniczego. Właściwie, czemu nie? -powiedziała sobie. - Cóż w tym nadzwyczajnego, że ktoś robi niezapomniane wrażenie. Muszę... przynajmniej odważyć się i spróbować.

Eve dała znak akompaniatorowi. Kiedy pierwsze takty *Parlez-moi d'Amour* rozległy się w pustym teatrze, Maunce wyciągnął rękę do szefa, a Jacques Charles zaczął szperać w kieszeni. Ale kiedy głos, ów kontralt pełen subtelności i bezpośredniości, zdający się wpadać wprost do ucha, lekko pokonał dystans między sceną a balkonem, chociaż odległość była bardzo duża, impresario zastygł słuchając.

Jacques Charles wsłuchiwał się w głos, który obudził w jego wnętrzu nie znany dotąd głód, zaspokoił go i pozostawił pragnienie dalszych dźwięków, brzmiących z równą intymnością, jak bicie kochanego serca. W głosie tym kryła się bezcenna, lecz wciąż nie opanowana lekcja. Impresario zorientował się, że tak przywykł do słodkiej melodii śpiewanej rozmarzonym sopranem Printemps, iż nigdy nie zwracał uwagi na słowa. I nagle błaganie o czułość przejęło go, wyzwoliło w nim wspomnienie czułości, które przeżył, i myśli o czułościach, których jeszcze oczekiwał. Przez całą minutę tęsknota za miłością, wywołana śpiewem dziewczyny w czerwieni, delikatnie drażniła jego zmysły.

Eve skończyła pierwszą piosenkę i Maurice chciał coś powiedzieć, ale impresario przyłożył palec do warg.

- Bardzo proszę dalej, mademoiselle - zawołał i Eve zaczęła *Mon Homme*. Płynęły z jej ust słowa piosenki, którą obaj mężczyźni z niezachwianym przekonaniem uważali za wyłączną własność wielkiej i

cholerycznej Miss, tak samo jak jej wyłączną własnością były bajeczne nogi i młody Chevalier. Maurice'owi przeleciało przez myśl, że na szczęście Miss nie słucha tego brawurowego i niewiarygodnie udanego przywłaszczenia. Okazałoby się, że piosenka nie będzie już do niej należeć, a w rzeczywistości nigdy nie należała, więc Miss byłaby w morderczym nastroju. Jacques Charles myślał natomiast o Chevalierze. To wstyd, że go tu nie ma. Mógłby szybko skorzystać z okazji i zakończyć burzliwą przygodę z Miss. A dokładniej, zakończyć ją, by oddać się w następną niewolę, gdyż żaden mężczyzna, który słuchał tej dziewczyny w czerwieni, nie opuści teatru jako ten sam człowiek, który wchodził.

Eve odśpiewała ostatnie nuty i obaj mężczyźni zorientowali się, iż stoją, bijąc brawo i krzycząc „Bis!”. Spojrzeli na siebie z zakłopotaniem. Nie do nich należało wołanie o więcej, tym zajmują się widzowie. Oni nie byli tu cywilami.

Będzie bis, pomyślała Vivianne de Biron z triumfem. Madeleine zabisuje im, ale we właściwym czasie, najpierw trzeba wynegocjować kontrakt. Gdyby nie stracili panowania nad sobą, mogliby dostać ją na korzystniejszych warunkach. Ale teraz... sprawa wygląda całkiem inaczej.

- Do pracy, Maurice - mruknął Jacques Charles. - A nuż de Birou pomyśli, że zrobiliśmy to po prostu z grzeczności. - Zawsze możesz tak powiedzieć, szefie.

- Nie do Vivianne de Biron. Nawet nie będę próbował.

- Dlatego, że była taką świetną refrenistką?

- Dlatego, że roześmiałaby mi się w twarz, idioto. Mówiłem o niej, że nigdy nie zaszła w ciążę, ale nie powiedziałem, że jest głupia.

Może i mam zatwardziałe serce, bez wątpienia jestem zepsutą kobietą, ale w gruncie rzeczy wcale nie wyszło źle, że Alain Marais dochodzi do siebie wolniej, niż się spodziewał, w gruncie rzeczy stało się nawet szczęśliwie, myślała Vivianne de Biron. Lekarze nalegali, by Alain został w szpitalu, póki nie zadowoli ich stan jego zdrowia, a ponieważ zima nadal straszyła wilgocią i dotkliwym zimnem i wyglądało na to, że zgodnie z paryskim zwyczajem może się utrzymać do czternastego lipca, dnia zburzenia Bastylji, więc nie było niebezpieczeństwa, że któregoś dnia Alain pojawi się w domu i odkryje swą Madeleine przekształcaną właśnie w debiutantkę Olimpię, wspaniałej Olimpię, w której nie mógłby mieć nadziei nawet na przyjęcie w charakterze biletera.

Vivianne ostrzegła Madeleine, żeby nie mówiła Alainowi niczego o nowej pracy, a dziewczyna skwapliwie zastosowała się do rady, nie pytając o powody. Widocznie musiała w końcu usłyszeć śpiew Fragsona. Było to nieuniknione, jako że pracowali na tej samej scenie, w tym samym przedstawieniu, a Madeleine codziennie próbowała w teatrze piosenki ze swojego tour de chant. Vivianne pomyślała, że jej podopieczna nie zdradziła się ani słowem. Cóż, pewnych tematów się nie porusza, szczególnie między przyjaciółkami.

Vivianne wzruszyła ramionami i zajęła myśli przyszłością Maddy, bo takie sceniczne imię dyrekcja postanowiła nadać Madeline. Jacques Charles stwierdził, że „Madeleine” budzi zdecydowanie religijne skojarzenia, a jeśli gdziekolwiek można szukać inspiracji do jej śpiewu, to raczej w królestwie Wenus niż wśród świętych dziewic.

Impresario postanowił lansować debiutantkę, włączając ją do

pierwszej części bieżącego programu, nowa rewia miała bowiem być przygotowana dopiero na lato.

- Nie chcę czekać do tej pory - powiedział do Vivianne, kiedy kontrakt został podpisany i znowu stali się parą przyjaciół. - Ona już jest gotowa. Puszczę wiadomość do krytyków, żeby wiedzieli o jej występie.

Nowa atrakcja zawsze jest dobrym sposobem na ściągnięcie ich do teatru w środku sezonu. Maddy wyjdzie na scenę po Hoffmankach, przed iluzjonistą. Potem jeszcze piosenki Fragsona i przerwa. Doskonale ustawiony występ.

- Jak ją ubierzesz? - szybko i stanowczo spytała Vivianne, w razie czego gotowa podjąć spór.

- Oczywiście w czerwień, tak jak ty. Instynkt cię nie zawiódł.

Wprawdzie nigdy nie nosiłaś strojów na scenie, ale to nie znaczy, że się na nich nie znasz. Z takimi włosami musi nosić się na czerwono, tylko nie zgadzam się na taki krój. Żadna kobieta nie splami już mojej sceny sukienką bez talii. To wygląda jeszcze mniej zmysłowo niż poszwa na poduszkę. Dzięki Bogu, Maddy ma piękne ciało. Chcę dla niej jak najlepiej, tak samo jak chciałem dla ciebie, zanim zostałaś profesjonalnym menażerem.

- Niewdzięcznik!

- O, klasyczna matka prosto ze sceny - zaśmiał się i pocałował ją w rękę. - Szkoda, że w swoim czasie nigdy nie byłaś noga w nogę z innymi, ale teraz widzę, że twoje talenty rozwinęły się w innym kierunku. Jestem ci winien głęboką wdzięczność, Vivianne, i dobrze o tym wiesz, prawda?

- Bo jest powód do wdzięczności. Nawiasem mówiąc, szefie, będę miała oko na jej kostiumy. Nie myśl, że nie.

- Wierzę w ciebie.

- Będę miała oko także na ciebie - powiedziała surowo.

- Zupełnie słusznie. Dlaczego miałabyś być pierwszą osobą w historii, która wierzy w słowa impresaria.

* * *

- Już - powiedział Jacques Charles do Eve, która weszła właśnie do garderoby w dzień po debiucie, rankiem w połowie marca. - Jesteś gotowa, możesz zaczynać pracę.

- Ale... nie rozumiem. - Spojrzała na niego w osłupieniu.

- Wczoraj trafiłaś do serc paryżan. Widownia podjęła decyzję. Zakochali się w tobie, Maddy. Tylko widownia może obdarzyć tym rodzajem miłości, a skoro raz go udzieli, nigdy potem nie odbiera. Odniosłaś zwycięstwo, nie kwestionowane zwycięstwo. Spójrz na recenzje... prawdziwy triumf, nie można tego inaczej nazwać. Dlatego mówię, że jesteś gotowa do pracy.

- Ciągłe nie rozumiem. - Po owacjach, które zakończyły debiut, Eve właściwie oczekiwała kwiatów i biletów, które wypełniły jej garderobę, spodziewała się komplementów od pozostałych wykonawców, ale słowa impresaria brzmiały bezsensownie.

- Od kiedy tylko zobaczyłem cię na scenie, Maddy, nigdy nie myślałem, że ograniczysz się do śpiewania. Tour de chant jest pierwszym krokiem do twojej kariery. Oczywiście, absolutnie koniecznym. Bez niego nie zdobyłabyś publiczności. Ale dla osoby z talentem taki numer może stać się więzieniem. Ty masz możliwości, jakich nie widziałem od lat. Mogłabyś stać się gwiazdą. Wokół takiej gwiazdy, dla takiej gwiazdy buduje się przedstawienie. A to znaczy, że musisz tańczyć równie dobrze

jak śpiewasz. Czyli lekcje, dziewczyno, lekcje!

- Ale...

- Czyżbyś nie chciała być gwiazdą?

Eve usiadła na kanapie w garderobie i ze zmieszaniem popatrzyła na młodego impresaria.

- Rozumiem - powiedział. - Myślisz, że już jesteś gwiazdą.. Zresztą nic dziwnego, po takim przyjęciu przez tłumy. Ale widzisz, Maddy, są gwiazdy i gwiazdy. Rzeczywiście, jesteś już gwiazdą, ale jeszcze niewielką, choć świecisz tak jasno. W niebie przy tobie nie ma miejsca dla nikogo, kto nie zdobył absolutnej władzy nad publicznością Olimpii. Przyjrzał jej się dokładnie i stwierdził, że ją uraził. -Nie zrozum mnie źle, Maddy - powiedział szybko. - Masz wszelkie prawa do tego, by zwać się gwiazdą, jeśli dla ciebie słowo „gwiazda” oznacza jedno z wielu nazwisk na afiszu. Ale jeśli śnisz o czymś innym, jeśli śnisz, że któregoś dnia ludzie przepelniają Olimpię, żeby obejrzeć Maddy, bez względu na numer, po prostu dlatego że sama Maddy znaczy więcej niż każda rewia, jeśli śnisz, że Maddy stanie się znana na całym świecie, a turyści będą walczyć o bilety, żeby cię usłyszeć, jeśli widzisz plakaty z Maddy w każdym punkcie miasta, to mamy takie samo wyobrażenie o byciu gwiazdą! I co ty na to? - Eve ujrzała w jego oczach szczere, na pewno nie udawane podniecenie mężczyzny, który ofiarowuje jej świat. Ten oto impresario, który mógłby zaangażować każdego wykonawcę, sądził... nie, wiedział, że jest przed nią szansa. Więcej niż szansa. -Nic. Tymczasem nic. Bardzo dziękuję, szefie, ale nie mam nic do powiedzenia.

- Nic? - spytał nie dowierzając.

- Proszę nie myśleć, że jestem niewdzięczna albo głupia. Tylko...

wciąż jeszcze czuję się oszołomiona... Po wczorajszym wieczorze byłam tak podniecona, że przez całą noc nie spałam i... Po prostu nie wiem, czego w tej chwili chcę.

- Rozumiem, Maddy. To normalne. Posłuchaj więc: pomyśl sobie spokojnie o mojej propozycji, daję ci tyle czasu, ile potrzebujesz. A za dzień, dwa, kiedy będziesz gotowa, przyjdź do mojego biura. Mamy wiele do omówienia.

Obdarzył ją zachęcającym uśmiechem i szybko wyszedł, myśląc pośpiesznie, że nie wiedzieć, czego się chce, jest niemal tak samo fatalnym stanem, jak nie chcieć niczego. Gdyby Maddy pragnęła zostać gwiazdą, nie potrzebowałaby po jego ofercie więcej niż pół minuty do namysłu. Gdyby naprawdę pragnęła, powinna łomotać do jego drzwi od wczesnego rana, domagając się informacji, jakie plany ma dyrekcja wobec niej.

* * *

Późnym popołudniem, mając jeszcze pół godziny dla siebie przed ubieraniem się do teatru, Eve siedziała skulona w fotelu, na wprost wysokich okien, przez które zaledwie parę miesięcy wcześniej oglądała powolne zachody jesiennego słońca. Na dworze zapadła już niemal całkowita ciemność, chociaż mijający marcowy dzień był słoneczny. Należał do tych, które ratowały ducha paryżan przed całkowitym zapadnięciem w zimową martwość. W taki dzień kelnerzy pospiesznie rozkładali stoliki przed kafejkami, czekając na tłumy klientów, chociaż znakomicie wiedzieli, że już jutro będą musieli z powrotem schować je w składziku.

Po ciele Eve przebiegł dreszcz i dziewczyna uniosła filiżankę z herbatą, chcąc rozgrzać ręce. Przez całą popołudniową próbę z

akompaniaturem czuła zimno przenikające ją do szpiku kości mimo dusznej atmosfery w teatrze. Nawet teraz, otulona najcieplejszym szlafrokiem, nie mogła dojść do siebie.

Dlaczego, zadawała sobie po raz setny pytanie, dlaczego Jacques Charles powiedział jej coś takiego i dlaczego musiała usłyszeć szczerą w jego głosie. I dlaczego, dlaczego na Boga, przyspieszyło jej tętno, kiedy wspomniał o drodze do sławy. Czyżby kiedykolwiek zgrzeszyła myślą o czymś więcej niż skromna kariera, o której Jacques Charles tak sympatycznie mówił? Czyżby pozwoliła sobie na śmielsze marzenia? Jakby nie wystarczało jej, że śpiewa w Olimpii. Dlaczego musieli ją spytać, czy pragnie więcej? Przecież sukces choćby odrobinę większy od tego, który osiągnęła, oznaczałby, że straci Alaina. Czemu przyszło jej borykać się z tak okrutną pokusą?

Eve wstała z fotela i poszła poszukać ciepłego szalika. W sypialni stała przez kilka minut przed potężną szafą, w której garnitury Alaina wisiały w eleganckim ordynku. Otworzyła drzwi i wciągnęła głęboko w płuca zapach dochodzący od kosztownej wełnianej tkaniny. Przez ostatnie dwa i pół miesiąca ta woń zdawała się wszystkim, co zostało w mieszkaniu po kochanku. Wprawdzie Eve odwiedzała go w szpitalu jak najczęściej, ale nie mogła z nim być tak samo jak tutaj, gdzie aromaty jego tytoniu, wody kolońskiej, brylantyny i ciała stapiały się w cudowny zapach, który jeszcze głębiej pogrążył ją w osamotnieniu. Wsunęła zimną dłoń pod szlafrok i powoli przesunęła palcami po piersi pragnąc przypomnieć zmysłom jego dotyk. Pożerało ją pragnienie.

- Eve. - Głos odezwał się w drzwiach do sypialni. Eve krzyknęła i obróciła się gwałtownie.

- Alain! Mój Boże, Alain! Ale mnie przestraszyłeś! Tak cicho wszedłeś. Co ty tu robisz? Roześmiał się, widząc jej zmieszanie, i mocno wziął ją w objęcia.

- Lekarze wypuścili mnie godzinę temu. Chciałem ci zrobić niespodziankę. Pocałuj mnie. O, jak dobrze. Jak dobrze... w szpitalnym łóżku smak pocałunku nigdy nie był taki. Groziło mi, że go zapomnę. Tak się cieszę, że cię widzę, kochanie. Tak się cieszę, że nie pozwoliłaś się wygonić do Dijon. - Miał Eve przed sobą na wyciągnięcie ręki i przyglądał się badawczo jej twarzy. - Zmieniłaś się, kochanie. Nigdy nie widziałem, żebyś kładła cień na oczy. To cię postarza. Nie podoba mi się. Kto cię tego nauczył? Vivianne?

Eve pospiesznie potwierdziła skinieniem głowy.

- Alain, najmilszy, czy jesteś pewien, że już dostatecznie odzyskałeś siły, żeby wrócić do domu? Czy lekarze przebadali cię przed wypisaniem? Jesteś taki chudy.

- Coś za bardzo przypominasz mi tym gadaniem moją matkę. Muszę ci pokazać ile mam sił - powiedział, podrywając ją z ziemi i niosąc do łóżka. - Daj mi ust, najpierw daj mi ust, a potem... potem wezmę cię całą, zobaczysz, ile sił jest we mnie. - Roześmiał się triumfalnie.

Położył ją na łóżku i stanął nad nią, zdejmując marynarkę, a Eve przebiegła wzrokiem po zegarze na nocnym stoliku. Musiała wyjść do teatru za dziesięć minut, jeśli nie chciała ryzykować spóźnienia. Usiadła.

- Alain, najmilszy, nie teraz.

- Co masz na myśli, mówiąc „nie teraz”? To tak mnie witasz w domu?

- Widzisz... muszę wyjść. Mam umówioną wizytę. Nie mogę się

spóźnić. Wróć... później... i wtedy...

- I wtedy co? O czym, do diabła, myślisz? Co za wizyta? I od kiedy sama wychodzisz wieczorami? - Ze złością wcisnął ramiona w rękawy marynarki i wielkimi krokami przeszedł do salonu, gdzie trzymał brandy.

- Może byłoby lepiej, gdybym zapowiedział ci, że wychodzę - krzyknął przez ramię. - Niemniej jednak mam wrażenie, że bez względu na to, jaką masz wizytę, jest ona mniej ważna niż... Eve, chodź tutaj! Chodź tu natychmiast!

Eve gorączkowo wpadła do salonu, rękami zakrywając usta w nagłym przyplywie strachu. Alain stał przed olbrzymim koszem, płonącym jaskrawoczerwonymi różami, które tego ranka przyniósł posłaniec.

- Czyżbyś była taka bogata, że wydajesz setki franków na róże dla siebie? I to od razu od Lachaume'a. Co tu się, do diabła, dzieje? Kto ci je przysłał? - Mięśnie w prawym policzku mu stężały, usta zastygły w linię. Śniada twarz rozbójnika, którą Eve знаła uśmiechniętą, rozmiłowaną, budziła teraz grozę, należała do obcego. Sława uwięzły jej w gardle, w milczeniu przyglądała się, jak Alain podnosi gruby, kremowy bilet, leżący na stoliku przed różami. Bilet z ozdobnym tłoczeniem „Jacques Charles” i atramentowym skreśleniem wskazującym, że róże pochodzą po prostu od Jacquesa.

Dziękuję, Maddy, za ostatni wieczór. Przeszłaś moje najśmielsze oczekiwania. Dziś wieczorem już nie musisz się denerwować. A więc do wieczora - Jacques.

Alain głośno przeczytał treść biletu. Jednym skokiem pokonał odległość dzielącą go od Eve, chwycił ją za przeguby rąk i otwartą dłonią wymierzył jej policzek, jak mógł najmocniej.

- Kurwa! Kurewska dziwka! Przeszłaś jego najśmielsze oczekiwania! Nie dziwię się... po tym, czego cię nauczyłem. Jak go poznałaś? Ta Vivianne? Oczywiście, Vivianne! Twoja stręczycielka. Zabiję ją, a potem ciebie! - Uderzył po raz drugi.

- Przestań, mylisz się. Na miłość boską przestań, pozwól mi wyjaśnić - krzyknęła Eve, usiłując się wyrwać.

- Chryste, dziewczyna, naprawdę myślisz, że jestem durniem. Wyjaśnić? Myślisz, że muszę czytać dwa razy? Dałaś mu dupy, to wszystko. Maddy z Dijon, najświeższa dziwka w Paryżu - wykrztusił Alain; mięśnie policzka zaczęły mu drgać, sapał, jakby znów chciał się rzucić na Eve i uderzyć.

- Ja śpiewam, wczoraj wieczorem miałam debiut, pierwsze tour de chant! - wykrzyknęła desperacko. Słyszając tę nedorzeczność, Alain pohamował się i opuścił rękę.

- Wynoś się. Nie będę tracił sił, żeby cię bić. Co innego dziwka, co innego wariatka. Wynoś się, i to szybko, póki jeszcze trzymasz się na nogach.

- Nie, Alain, nie! Błagam cię, wysłuchaj mnie. To prawda. Powinnam była ci powiedzieć... Popełniłam błąd, że tego nie zrobiłam. Musiałam jakoś zdobyć pieniądze dla nas... więc... poszłam na przesłuchanie do pana Charlesa i... Nie śpiewam tak znowu wiele, tylko kilka piosenek...

- Masz tour de chant? W Olimpii? W teatrze Jacquesa Charlesa? Jak to? Przecież ty nie umiesz śpiewać, dziwko. Umiesz się tylko pierdolić. Robisz ze mnie wała. Myślisz, że jestem głupi? Masz pięć minut, żeby się wynieść. - Odwrócił się od niej z niesmakiem i podszedł do kredensu, w

którym trzymał karafkę z brandy. - Co za cholera? Jeszcze kwiaty? Tym razem orchidee? Ty naprawdę weszłaś do branży. Skoro jeden, to czemu nie dwóch. Jeśli dwóch, to czemu nie tuzin? Cóż to za wdzięczny klient? - spytał brutalnie, z pogardą podnosząc następny bilet.

Eve wiedziała, co Alain teraz czyta. Pamiętała te kilka słów:

„Maddy, brawo po tysiącuroć. Wczoraj wieczorem byłem z ciebie dumny. Kolega ze sceny”. Bezradnie spoglądała, jak ramiona Alaina kurczą się w chwili, gdy cios doszedł celu. Bilet był podpisany przez Harry'ego Fragsona. Nie patrząc na nią, Alain odłożył bilet na kredens i bez słowa wyszedł z mieszkania. Wstrząsana konwulsyjnym szlochom, Eve pospieszyła do sypialni, żeby ubrać się do teatru. Co jeszcze miała tu do roboty? Co jeszcze? Wciąż stawiała sobie to pytanie po wyjściu z mieszkania wiedząc, że już do niego nie wróci.

* * *

- Maddy, wyświadczyć mi przysługę, dobrze? Zajmij się tym maleństwem podczas mojego numeru. Gospośia mnie dzisiaj zawiodła - powiedziała Suzu, jedna z tancerek, wciskając niemowlę w ramiona Eve. Z szelestem piór znikła, zanim Eve zdołała cokolwiek odpowiedzieć, wszyscy za kulisami Olimpii wiedzieli bowiem, że Maddy ma miękkie serce.

Od jej debiutu minęły dwa miesiące. Wszyscy byli zgodni, że początkowy sukces wcale nie zawrócił jej w głowie i Maddy nadal zachowuje się jak najgrzeczniejsze z grzecznych dzieci, ani trochę nie nabrała manier gwiazdy. Chadzała na obiady do kafejki na rogu i jadła stek z frytkami w towarzystwie każdego, kto akurat był głodny, czy to treser, czy akrobata. Do teatru przychodziła pierwsza, wychodziła z niego

ostatnia. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego odmawia zaproszeń na kolacje w eleganckich restauracjach, na galowe przedstawienia, bale i programy w nocnych klubach, które otrzymywała codziennie wraz z koszami kwiatów od wielbicieli z widowni. Tancerki poszeptywały między sobą, kręcąc głowami, że Maddy nawet nie wpuszcza do garderoby tych, którzy chcą się przedstawić.

Znaczyło to, że albo ma bardzo zazdrosnego protektora, co wydawało się niemożliwe, jako że nie nosiła klejnotów, albo nie lubi mężczyzn, co wydawało się jeszcze mniej prawdopodobne. Eve pieczołowicie trzymała dziecko i przyglądała mu się w popłochu. Maluch spał, ale mógł się przecież zbudzić i rozwrzeszczyć w czasie przedstawienia, zanim Suzu wróci.

- Julie - zawołała. - Chodź szybko, pomóż mi. - Ale garderobiana Julie, która wraz z trzema innymi osobami była odpowiedzialna za to, żeby żadna z tancerek nie dołożyła do kostiumu ani cekina, nie zareagowała.

- Julie - zawołała jeszcze raz, nie mogąc wstać, żeby jej poszukać, miała bowiem na sobie jedynie blad różową bieliznę, na którą nakładała kostium. - Och, Julie, gdzie jesteś? - Z poczuciem beznadziejności Eve nasłuchiwała rozgardiaszu za sceną, stłumionych śmiechów, nie kończących się plotkarskich pogaduszek i stwierdziła, że nikt nie usłyszy jej głosu, póki tancerki nie skończą numeru.

- Maddy, czy jesteś mniej więcej do oglądania? Masz gościa - zawołał radośnie Marcel, pomocnik inspicjenta, i ceremonialnie otworzył drzwi.

- Zbudzisz dziecko! - szepnęła Eve, panicznie rzucając spojrzenie w

dół.

- Dziecko - powtórzyła ze zgrozą wchodząca kobieta.

Słyszając znajomy głos, Eve skoczyła na równe nogi, niemowlę otworzyło oczy i zaczęło ryczeć.

- Ciocia Marie-France!

- Dziecko! A więc jest nawet gorzej niż myślałam. O Boże, co ja powiem twojej biednej matce?

- Powiedz jej, że dziecko nie jest moje - odparła Eve, dostając takiego ataku śmiechu, że musiała złożyć malucha w ramionach młodego pomocnika inspicjenta. - Hej; Marcel, skoro jesteś taki szybki, że nawet nie czekasz, aż powiem „proszę”, to zabieraj teraz to dziecko do Julie, i to na jednej nodze. A nie upuść! Przypuszczam, że Suzu będzie chciała je kiedyś odzyskać. Siadaj, ciociu Marie-France, i czuj się całkiem swobodnie. Aha, Marcel! Kiedy już pozbędziesz się tego dziecka, to okaż serce i zrób nam kawę.

- Jesteś mi jeszcze winna od wczoraj dwa franki, aniele - odparł z wyrzutem Marcel, zwracając się do Eve zgodnie z obyczajami zespołu, z których wyłączony był jedynie impresario.

- Czyżbym nie miała u ciebie kredytu, złoty chłopcze? - spytała Eve.

- Och, Maddy, dla ciebie wszystko, zawsze i wszędzie. Czy pożądasz reszty mego ciała tak samo jak serca? Nie, nie... ja tylko pytam. Przynieść paniom także cukier? I jakieś ciasteczka? - Kipiąc radością życia, oddalił się; zapomniał zamknąć drzwi i kołysząc na ręce dziecko, jeszcze zza progu przesyłał im pocałunki.

- Nie przejmuj się nim, ciociu Marie-France. Myśli, że nie można mu się oprzeć. Po co mam rozwiewać jego złudzenia?

- Eve, czy zechcesz włożyć coś jeszcze na tę bieliznę? Nigdy nie widziałam nic równie nieprzyzwoitego. I co właściwie miałaś na myśli zwracając się per „ty” do tego potwornie impertynenckiego młodzieńca?

- Pociesz się, że przynajmniej dziecko nie było moje. Usiądź i opowiedz, jak mnie znalazłaś.

- Wuj cię znalazł. Zobaczył dziś rano karykaturę zrobioną przez Sema. Wyglądała dokładnie jak ty. Podpis głosił: *La Belle Maddy, najnowsza studentka uniwersytetu Olimpia*. Stąd wiedziałam, dokąd przyjsć. Nie powiedziałam jeszcze ani słowa twoim rodzicom, ponieważ nie chciałam ich martwić. Od kiedy zaśpiewałaś to tango w buduarze matki, bez przerwy obawiałam się, że może ci się przydarzyć coś strasznego... ale to jest o wiele gorsze od moich najgorszych wyobrażeń -jęknęła baronowa. - Jak mogę przekazać taką nowinę twoim rodzicom?

- Co jest właściwie takie straszne? Dam ci bilety na przedstawienie, zobaczysz, że nie można mi nic zarzucić. Śpiewam całkiem ubrana.

- Nie można nic zarzucić? Komuś kto śpiewa w jakimś music-hallu?!
- spytała baronowa z pełną niewiary pogardą.

- Nie w jakimś, tylko w najlepszym music-hallu we Francji, a nawet na świecie. I przeżywam tu moją małą chwilę chwały. Mogłabyś spróbować, ciociu, okazać choć odrobinę dumy ze mnie.

- Dumy? Ależ ty jesteś zrujnowana! Całkowicie zrujnowana! Nie rozumiesz, co to znaczy, głupia dziewczyno? Nie będziesz przecież zaprzeczać, że żyjesz w grzechu.

- Już nie - powiedziała Eve chłodno. - Mieszkam sama.

- To nie ma znaczenia... po prostu nikt w to nie uwierzy. Teraz ludzie zobaczą karykaturę zrobioną przez najbardziej znanego rysownika we

Francji i dowiedzą się, że Eve Coudert, córka doktora Didiera Couderta, śpiewa w music-hallu. Dla panienki z dobrej rodziny taki upadek jest o wiele gorszy niż kochanek, wiele gorszy.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

- Gdzie jest mój bachor, Maddy? - spytała Suzu. - Och, dzień dobry pani - dodała, wyciągając rękę do baronowej, która potrzęsła nią machinalnie, oszołomiona nagimi piersiami dziewczyny.

- Odesłałam go do Julie. Ona wie, jak się obchodzić z takim inwentarzem. A ja nie mam zrozumienia dla dzieci. Pamiętaj o tym następnym razem, motylku.

- W porządku, Maddy. - Na odpowiedź Suzu nałożył się nagle podniesiony głos dobiegający z okolic garderoby.

- Śmierdzie! Rynsztokowe gówna! Dorwę ich za to, dupę im zetrę papierem ściernym, łeb im do sracza wsadzę! Maddy? Maddy! Nie widziałaś tych pieprzonych bydlaków, którzy to zrobili?

- Co zrobili, Baldy? - zawołała Eve.

- Przybili mi buty do podłogi, ślicznotko. Zrobili to już w zeszłym tygodniu, dokładnie w tym samym miejscu. Założę się, że wiesz, czyja to robota.

- Gdybyś nie wystawił butów na korytarz, żeby czekały, aż będziesz gotów na scenę, nic by się nie stało - odparła Eve, trzęsąc się ze śmiechu.

- Poczekaj, cudeńko, aż będziesz miała odciski. Wtedy zrozumiesz. Julie, dawaj w podskokach drugą parę butów! Na miłość boską, za dwie minuty muszę być na scenie!

- Już idę! - Julie wpadła do pokoju z niemowlęciem pod pachą. - Suzu! - wrzasnęła przez ramię. - Chodź tu i daj zaraz temu cholernemu

cyckojadowi czego chce, bo inaczej szef usłyszy, jak to się drze. - Podała Baldy'emu buty i w okamgnieniu znikła, wrócił natomiast Marcel, niosący kawę i ciastka na okrągłym półmisku.

- Voila, Mesdames. Ja częstuję, Maddy - dodał z galanterią, całując Eve w oba policzki. - Skoro masz gości.

- Jesteś słodki. Och, zapomniałam o manierach... przepowiednia się sprawdza. Marcel, to jest baronowa de Courtizot. - Młody człowiek skłonił się głęboko w kierunku dłoni Marie-France de Courtizot.

- Jestem pod wrażeniem, pani baronowo - powiedział, robiąc efektowny łamaniec. - Proszę pozwolić, że się przedstawię. Książę de Saint-Cloud.

Baronowej odebrało zdolność poruszania się, a tym bardziej mowy.

- Spływaj, Marcel - powiedziała Eve, wskazując głową drzwi. Chłopak ze zrozumieniem zostawił je same.

- Eve - powiedziała pospiesznie ciotka. - Jeszcze nie jest za późno! Jeśli wrócisz do domu dzisiaj nocnym pociągiem, pojedę z tobą, a jutro wszyscy ludzie, którzy się liczą w Dijon, zobaczą, że nie mogłaś być dziewczyną z karykatury. Gdyby nawet ktoś o tym wspomniał, nie będziesz niczego na ten temat wiedziała, a ojciec i matka mogą twierdzić, że widocznie na scenie występuje ktoś podobny do ciebie. W każdym razie nikt nie będzie w stanie niczego dowieść. Dzięki Bogu nie posługujesz się prawdziwym nazwiskiem, a z takim makijażem na twarzy nie poznałby cię nikt. Och, Eve, nikt nie może się dowiedzieć! - W jej głosie pobrzmiwało błaganie.

- A dlaczego miałabym wracać? - spytała Eve.

- Dlaczego? Ponieważ jeśli tego nie zrobisz, jesteś skończona.

Skończona, dziewczyno! Jesteś całkiem declassé, zrujnowałaś się, straciłaś cześć. Ale nie musisz wypadać poza nawias społeczeństwa przyzwoitych ludzi! Nie rozumiesz, że jeszcze jest czas? Ostatnia chwila.

- Biedna ciociu, to ty nic nie rozumiesz. Nie jestem już tą samą dziewczynką, która uciekła z domu w sierpniu zeszłego roku. Pisałam do domu co tydzień, o tym wiesz, ale najważniejszych rzeczy w listach nie było.

- Myślisz, że rodzice przejmują się teraz twoim kochankiem?

Myślisz, że to jedyna rzecz, która ma znaczenie? Jeśli się skończyła, tym lepiej - powiedziała baronowa ze złością. - Zapomnij o niej raz na zawsze. Stale byłaś pilnie strzeżona i nie dziwi mnie, że ktoś mógł cię wykorzystać. Chociaż nikt z nas nigdy nie zrozumie, jak udało ci się wykazać wystarczająco dużo sprytu, żeby poznać mężczyznę. Ale teraz nie bądź głupia, dziewczyno. Nie przekreślaj swojej przyszłości.

- A jeżeli wydaje mi się, że moja przyszłość jest tutaj?

- Tutaj? W tym nędznym, brudnym pokoiku? Z tymi prymitywnymi, pospolitymi i trywialnymi ludźmi? W zwykłej stodole? To niemożliwe. W ogóle nie dopuszczam takiej myśli.

Baronowa mówiła, a tymczasem drzwi otworzyły się, znowu bez pukania. Do pokoju wtoczyła się na czworakach jedna z tancerek. Nagie piersi zwisały jej swobodnie, kołysząc się na boki, dziewczyna szczełała jak pies. Z zainteresowaniem zaczęła obwąchiwać stopę baronowej, jakby miała zamiar podnieść do góry nogę. Eve zerwała się.

- Dość tego! Morton, tym razem posunąłeś się za daleko! - wrzasnęła. - Zabieraj stąd dziewczynę, i to już! Słyszysz, Morton?

Najbardziej znany magik i hipnotyzer we Francji potulnie wsunął

głowę do garderoby.

- Myślałem, że jesteś sama, najdroższa. Najmocniej przepraszam, madame. Alice sądzi, że jest psem. Chodź, Alice, dobry piesek, chodź, nie przeszkadzaj ładnej pani.

- Przepraszam, ciociu Marie-France. Morton jest geniuszem, ale czasami zachowuje się jak dziecko. Nie chciał zrobić nic złego.

Oczy zszokowanej Marie-France szeroko się rozwarły.

- Eve, nie mogę zostawić cię w tym... siedlisku zepsucia. Musisz razem ze mną wrócić do domu.

- Droga ciociu, „nie możesz mnie zostawić” i „w ogóle nie dopuszczasz takiej myśli”... Za kogo ty mnie bierzesz? Nie jestem już małą dziewczynką, której rozkazuje się od rana do wieczora. Czyżbyś naprawdę całkiem poważnie wyobrażała sobie, że wrócę do Dijon i zajmę należne miejsce wśród panienek do wzięcia, czekających na statecznego obywatela, który zjawi się jak z kapelusza i uczyni mi honor, biorąc mnie za żonę? Czyżbyś wierzyła, że teraz, kiedy poznałam smak sławy, śpiewając na scenie Olimpii, mogłabym osiągnąć zadowolenie z życia, jakie prowadzi moja matka?

- Sławy? Raczej niesławy! Próżności! Wstrętne, brudne i godne wzgardy jest ta twoja sława - gwałtownie wyrzuciła z siebie Marie-France.

- Za dziesięć lat zrozumiesz, że dla chwilowego kaprysu przekreśliłaś w życiu wszystko co najważniejsze. Teraz dociera do ciebie tylko dźwięk taniego aplauzu. Żyjesz życiem... rynsztoku.

Eve wstała. Na twarzy odcisnęła jej się lodowata wściekłość.

- Bardzo proszę, żebyś nie mówiła o moich przyjaciółach w taki sposób. Lepiej będzie chyba, jeśli pójdziesz, ciociu Marie-France. Źle ci

robi wychodzenie poza własne środowisko.

Baronowa de Courtizot wstała i podeszła do drzwi.

- Jeśli zmienisz zdanie, jeśli zaczniesz myśleć racjonalnie, to przyjdź, czekam w domu dzisiaj do końca dnia i jutro. Potem będzie już za późno. Teraz muszę wracać i zdecydować, co powiem twojej biednej matce.

- Powiedz jej prawdę. Powiedz, że jestem szczęśliwa. Poproś rodziców, żeby przyjechali do Paryża i zobaczyli sami. Nie ma nic, czego musiałabym się wstydzić.

* * *

Następnego dnia, w majowy poranek, Eve poszła do Jacquesa Charlesa.

- Dwa miesiące temu powiedział mi pan, że mam możliwość zostania prawdziwą gwiazdą - powiedziała. - Dał mi pan dwa dni do namysłu.

- Pamiętam - powiedział kwaśno.

- Nie byłam wtedy gotowa. Nie potrafię znaleźć bardziej uczciwego wyjaśnienia. Ale teraz, jeśli nadal jest pan zainteresowany...

- No, słucham...?

- Teraz chcę! Mogę pracować nad wszystkim, co potrzebne, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, tak długo jak trzeba. Miesiącami, latami, to nie ma znaczenia, jeśli zgodzi się pan dać mu szansę.

Eve zamilkła, spoglądając w ziemię. Drżała na całym ciele od niezmiernego pragnienia. Właśnie to było jej przeznaczeniem, a jednak chciała je odrzucić, kiedy objawiło się w niewłaściwej chwili. Wtedy wciąż jeszcze kochała Alaina, usiłowała myśleć o ich życiu, jakby nic się nie zmieniło. Kiedy ją zostawił, omal nie wpadła w czarną rozpacz, dobrze pamiętała jego słowa i uderzenia. I nienawiść.

Nie wykorzystwała sprzyjającego momentu, nigdy nie wybaczyłaby sobie, gdyby impresario stracił dla niej zainteresowanie przez jej brak ambicji. Od chwili gdy ciotka Marie-France bezwiednie pokazała, jak wiele znaczy dla Eve scena, dziewczyna nie wyobrażała sobie, że życie mogłoby wyglądać inaczej. Nie myślała o niczym poza odzyskaniem zarzącej się w oddali, kuszącej przyszłości, którą Jacques Charles przed nią roztoczył. Należała do świata music-hallu, więc świat music-hallu musiał należeć do niej.

Ale impresario nie odpowiedział. Eve podniosła oczy, ogarniając wzrokiem biurko, i zobaczyła, że Jacques Charles z uwagą coś pisze. Czyżby chciał ją zwolnić? Skończył pisać, odłożył pióro i podał jej kartkę.

- Tu masz rozkład zajęć - powiedział. - I pospiesz się, bo na pierwsze już się spóźniłaś!

* * *

Tej wiosny wiatry wiały łagodnie, chmury płynęły łagodnie i nawet deszcze okazywały się łagodne; była to ostatnia beztroska wiosna la belle époque. Eve miała jednak zbyt wiele zajęć, by zwracać uwagę na pogodę, a tym bardziej na wiatry zwiastujące zmianę. Z lekcji akrobatyki, tańca i gry aktorskiej biegła wprost do teatru, gdzie akurat starczało jej czasu na zrobienie makijażu przed występem. Nie miała kiedy czytać gazet, skończyły się wspólne posiłki, plotki i żarty z kolegami zza kulis. Eve jadła co popadło i gdzie popadło, bacząc jedynie, by nie trwało to za długo, a po zapadnięciu kurtyny szła prosto do domu, do mieszkania prawie bez mebli, i padała na łóżko, zbyt wyczerpana, by nawiedzały ją senne marzenia.

Podczas gdy cesarz Wilhelm spędzał dwudziestodniowy

wypoczynek, żeglując na pokładzie swego jachtu „Hohenzollern”, Eve, podobnie jak inni ludzie, była zajęta własnymi sprawami. Bomba zegarowa, która już od miesiąca odmierzała czas w Belgradzie i Wiedniu, wybuchła dwudziestego ósmego lipca 1914 roku, wraz z wypowiedzeniem wojny Serbii przez Austro-Węgry. W ciągu następnego tygodnia dyplomaci i wojenni strategowie wielkich mocarstw europejskich dogadywali się jak gęś z prosięciem, budując chorobliwy splot oczywistych kłamstw, arogancji, niefrasobliwości, dwulicowości, niedoinformowania i jawnie różniących się intencji, aż w końcu stracili nad nim panowanie i zachwiawszy równowagę, doprowadzili do fatalnej, choć będącej do uniknięcia, wojny, której nie pragnął nikt poza nielicznymi skrajnymi nacjonalistami. Czwartego sierpnia minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, sir Edward Grey powiedział: „Lampy gasną nad całą Europą. Nie zobaczymy już ich światła za naszego życia”.

* * *

Pomocnik inspicjenta Marcel, Jacques Charles i Maurice Chevalier byli zaledwie trzema z niemal czterech milionów mężczyzn zmobilizowanych przez Francję w pierwszych dniach sierpnia. Gospodarka kraju została sparaliżowana, wszyscy bowiem zdolni do służby wojskowej mężczyźni dostali powołania. Pociągi wypełnione słabo uzbrojonymi, lecz pełnymi wesołości i entuzjazmu oddziałami, wyruszały w kierunku pozycji wojskowych co siedem minut.

W połowie września, po bitwie nad Marną, gdy Francuzi odepchnęli Niemców zbliżających się do Paryża, chwilowa euforia w narodzie zaznaczyła się otwarciem wszystkich teatrów, kawiarni i music-halli w kraju. Wszakże w tym tylko miesiącu zginęło dwieście tysięcy Francuzów;

wielu z nich nosiło czerwone spodnie, pozostałość mundurów z roku 1830, symbolizującą jednocześnie brak realizmu, z jakim państwo stanęło wobec wojny, która w jego wyobrażeniu miała być krótka, rycerska i chwalebna.

Zanim jeszcze skończył się pierwszy wojenny wrzesień, zarówno oddziały niemieckie, jak i ententy zaczęły się okopywać i uzupełniać ekwipunek na pozycjach wzdłuż rzeki Aisne w Szampanii. W ten sposób powstały pierwsze umocnienia Frontu Zachodniego, patowego frontu, który przez trzy najbliższe lata miał przesuwać się tam i z powrotem w granicach piętnastu kilometrów; nie osiągnięto na nim nic poza wysłaniem na rzeź milionów ludzi.

* * *

Na niskim wzgórzu w Szampanii stoi zamek Valmont, rodowa siedziba wicehrabiów de Lancel. Zbudowano go w sercu krainy winnic, na wapiennych, zawsze ciepłych północnych stokach Gór Reimskich, biegnących prosto ze wschodu na zachód, pomiędzy Reims i Epernay, dwoma głównymi miastami regionu.

Valmont, w przeciwieństwie do większości zamków w Szampanii, przetrwał Rewolucję Francuską, najazdy i wojny. Wyrastał niespodziewanie, jak w baśni, z niedużego, lecz gęstego lasu, i dumnie górował nad nim trzema okrągłymi wieżami ze spiczastymi dachami, krytymi dachówką. Dziesiątki pokoi z wysokimi oknami, rozciętymi na wiele małych szybek, ze spokojem wyglądało na półkolisty taras, gdzie w rzeźbionych kamiennych urnach od wieków stały ozdobnie przycięte drzewa. Zamek Valmont otaczały drogocenne winnice, wchodzące w skład ściśle wydzielonego fragmentu powierzchni ziemi, gdzie dojrzewają winogrona, z których produkuje się jedyne na świecie białe musujące wino

bezdyskusyjnie uprawnione do nazwy szampan.

Co roku zbiór tych winogron, jasnej odmiany Chardonnay oraz ciemnych Pinot Noir i Pinot Meunier, dowodzi istnienia jednej z największych tajemnic w historii wytwarzania wina. Choć Noe po wyjściu z arki zasadził winnicę, to przecież nawet on nie mógłby twierdzić, że jest w stanie wyprodukować szampan.

* * *

Wiele zamków we Francji stanowiło jedynie pomniki rodowej historii i jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej utraciło żywotność z dni przed Rewolucją. Valmont, przeciwnie, zawsze wyróżniał się dostatkami, gościnnością i gwarem. Zamek oglądał liczne zmiany od czasu, gdy Lancelowie okazali lojalność książętom Szampanii w ich walce o podporządkowanie sobie królów Francji, który to konflikt wygasł dopiero w roku 1284, kiedy Joanna, panująca nad Nawarrrą i Szampanią, poślubiła przyszłego króla Francji, Filipa Pięknego.

W siedemnastym wieku wicehrabiowie de Lancel, podobnie jak ich sąsiedzi, zaczęli wytwarzać wino. Poza granicami ich rozległych winnic znajdowały się małe posiadłości farmerów, którzy także uprawiali winorośl, a owoce sprzedawali wicehrabiom. Wkrótce Lancelowie produkowali dość szampana, by pomyśleć o jego sprzedaży. W połowie osiemnastego stulecia charakterystyczne zielone butelki ze złotą nalepką w kształcie tarczy, na której dużymi literami wypisano „Lancel”, poniżej zaś małymi „Château de Valmont”, osiągnęły miano Grande Marque. Wraz z Moet & Chandon, Mumm, Veuve Clicquot Ponsardin i kilkoma innymi znamienitymi markami chłodzone butelki z winnicy Lancelów należały do najbardziej pożądanym widoków przy wszelkich świątecznych okazjach

w świecie cywilizowanych ludzi.

Przewodzący wówczas rodzinie Lancelów wicehrabia Jean-Luc miał dwóch synów. Na starszego, Guillame'a oczekiwało dziedzictwo rodowej siedziby Lancelów; młodszy, Paul-Sebastian, został dyplomatą w służbie ministerstwa spraw zagranicznych. W chwili wybuchu wojny, będąc człowiekiem ledwie trzydziestoletnim, a przy tym pierwszym sekretarzem Ambasady Francuskiej w Londynie, miał przed sobą drogę na szczyty w służbie zagranicznej.

Pierwszego sierpnia 1914 roku, zaraz po rozpoczęciu mobilizacji, Paul-Sebastian de Lancel zlekceważył możliwość pozostania poza kręgiem walki, jaką dano dyplomatom, i zgłosił się na ochotnika do wojska. Jako kapitan sił zbrojnych pozostawił młodą żonę, Laure z domu de Saint-Fraycourt, dwudziestodwuletnią kruchą paryską piękność, oczekującą narodzin ich pierwszego dziecka.

Laura błagała go, by jej nie zostawiał.

- Za pięć miesięcy urodzi się dziecko, a wszyscy mówią, że do tego czasu ta głupia wojna na pewno się skończy - powiedziała Laura, szlochając z bezsilności i lęku. - Zaklinam cię na wszystko, zostań ze mną. Potrzebuję cię tutaj.

Paula gnało jednak na wojnę jak najszybciej. Wiedział, że Francja będzie potrzebowała każdego mężczyzny, gdyż inaczej nie sprosta niemieckim armiom, mobilizowanym masowo i wydajnie, mającym olbrzymią przewagę w liczbie żołnierzy i w uzbrojeniu.

Coraz wyraźniejsze oznaki zbliżającej się walki Paul śledził ze swojego dyplomatycznego stołka. Wiedział, że francuski sztab generalny cierpi na kompleks wyższości. Umysły zawodowych wojskowych

przepelniała wiara w koncepcję, iż odwaga, brawura i zapał francuskiego żołnierza są ważniejsze niż siła ogniowa. Paul, w odróżnieniu od przeciętnego ziomka, miał poważne wątpliwości, czy samo morale wystarczy do zwycięstwa. Ale podobnie jak inni ludzie owego niepozornego lata 1914 roku, ani trochę nie podejrzewał, co się naprawdę święci.

Paul de Lancel był skomplikowanym człowiekiem. Często zastanawiał się, czy byłby szczęśliwszy, gdyby los przeznaczył mu w spadku objęcie rodzinnych winnic, a nie karierę dyplomaty. Matka, Anette de Lancel, często mu powtarzała, że wygląda raczej jak robotnik rolny niż ktoś siedzący za biurkiem, Paul był bowiem masywny, wysoki, a jednocześnie szeroki w barkach, do tego zaś umięśniony niczym człowiek wykonujący pracę fizyczną. Jego blond włosy sprawiały wrażenie, jakby spłwowały w słońcu. Wprawdzie ciemnoniebieskie oczy należały bez wątpienia do Lancela i były równie głęboko osadzone jak te na rodowych portretach wiszących w zamku, wprawdzie Lancela poznawało się również po kościach policzkowych, ale w reszcie twarzy Paula nie zauważało się typowych, subtelnych rysów rodowych. Paul nie miał również śladu rudych włosów, powtarzających się w rodzinie od wielu pokoleń. Dużemu i kształtnemu nosowi brakowało typowej smukłości, a zgrabna linia ust i podbródka odznaczała się żywiołą prostotą.

Niemniej jednak natura Paula de Lancel była tak podatna na wątpliwości, że jej posiadacz często pragnął zająć się czymś równie wolnym od niuansów, jak przepowiadanie słonecznych i deszczowych dni. W istocie, producent winogron i wytwórca wina ma obowiązek troszczenia się o pogodę natychmiast po przebudzeniu, ale ponieważ jego możliwości

ograniczają się do troski, musi wykształcić w sobie swoistą umiejętność rezygnacji, filozoficzne nastawienie, które to warunki, zdaniem Paula, były godne polecenia, jako że zapewniały komfort umysłu i solidność podstaw myślenia.

Z drugiej strony, dyplomata był zobowiązany do zawodowego cynizmu, gdyż bez ostrożnego umysłu, hołdującego naraz białemu i czarnemu, byłby wciąż bezbronny, groziłoby mu, że zostanie wystrychnięty na dudka, okazując nieprzydatność dla kraju. Paul de Lancel nie potrafił więc wymienić ani jednej prawdy, której byłby pewien, poza miłością do Francji i miłością do żony. Postawiony przed wyborem, musiał przyznać, że ta pierwsza okazała się silniejsza.

* * *

Eve, wstrząśnięta mobilizacją, zdecydowała nie wracać do Olimpii, która ponownie otworzyła podwoje pod dyрекcją Beretty, poprzednio dyrygenta, i Leona Volterry, który w niewyjaśniony sposób zaoszczędził pieniądze ze sprzedaży programów w foyer Olimpii. Uznała, że jej osobiste ambicje muszą poczekać do końca wojny.

Skoro Jacques Charles mógł służyć w armii, na swój sposób mogła i ona. Zaraz po zorganizowaniu Le Théâtre aux Armees de la Republique Eve zgłosiła się do zespołu i została jednym z wielu wykonawców, którzy podróżowali po różnych polach walk, dając przedstawienia dla żołnierzy. Niektórzy, jak choćby Charles Dulin, występowali w prawdziwych okopach, na Froncie Lotaryńskim. Eve przyłączyła się do trupy Luciena Gilly'ego, komika z Olimpii.

W roku 1915, w dwanaście miesięcy po bitwie nad Marną, rozpoczęła się nowa ofensywa w Szampanii. Joffre, niezmiennie

huraoptymistycznie nastawiony generał, oznajmił oddziałom: „Votre elan sera irresistible!” i mimo siekącego deszczu ludzie maszerowali przy dźwiękach orkiestr wojskowych, grających *Marsylianę*. W dziesięć dni później sto czterdzieści pięć tysięcy Francuzów leżało bez życia; nie osiągnięto dzięki temu żadnej strategicznej korzyści.

W ostatnim dniu ofensywy kapitan de Lancel został poważnie zraniony w ramię. Leżąc w szpitalu, myślał nie o sobie, lecz o wszystkich zabitych, przy których śmierci był obecny w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Jego ludzie, ludzie z Pierwszej Armii, byli wśród tych, którzy padli najpierw. Żona nie przeżyła porodu syna. Bruno był teraz pod opieką rodziców Laury w Paryżu. Paul miał okazję widzieć dziecko tylko raz, w czasie krótkiego urlopu jaki dostał na pogrzeb Laury, i pomyślał, że dziewięciomiesięczny syn ani go ziębi, ani grzeje. Czuł jedynie obojętność. Wiedział, że jego własne szanse na przeżycie wojny są tak małe, iż żaden realistycznie myślący człowiek nie poświęciłby im nawet minuty myślenia. Zorientował się, że w tych myślach nie chodzi mu o siebie, lecz o malucha, który, w co Paul nie wątpił, będzie dorastał jako sierota. Było to zresztą intelektualne, nie emocjonalne doznanie.

Co zaś do siebie samego, Paul de Lancel uważał się za martwego, podobnie jak skazaniec czekający na rozstrzelanie o świcie. Wizja śmierci nie robiła na nim żadnego wrażenia. Troszczył się jedynie o ludzi, którymi dowodził, ludzi dość prostych, by jeszcze zachować nadzieję, dość szczęśliwych, by kochać, dość nieświadomych, by wyobrażać sobie, że jest przed nimi przyszłość.

Gdy tylko ramię wydobrzało, Paul de Lancel wrócił do swojej kompanii, która po przegrupowaniu w okopach, dokonanych w pobliżu

Festubert, w połowie Frontu Flamandzkiego, pomiędzy Ypres i Arras, składała się niemal w całości z uzupełnień.

Festubert było jednym z miast, o które wrogie armie walczyły od roku bez wyraźnego efektu, pozycja była patowa. Nadeszła późna jesień. Wiosna znów miała przynieść nowe, jeszcze bardziej bezlitosne działania wojenne, ale tymczasem żołnierze po obu stronach frontu znajdowali się jakby w uśpieniu, które trafia się nawet podczas najgorętszych bitew. Jest wtedy czas, by pochować zabitych, odpluskwić koszule, a nawet, jak owej chłodnej jesiennej nocy w północno-wschodniej Francji, zebrać się w zaimprovizowanym teatrze, żeby radosnym rykiem witać Luciena Gilly'ego i jego dowcipy z brodą, podśpiewywać wraz z akordeonistą, oklaskiwać szóstkę dziewcząt tańczących z sześcioma żołnierzami, którzy zgłosili się na ochotnika, w końcu zaś posłuchać śpiewu Maddy, dziewczyny, która stała się już legendą Théâtre aux Armées, ze swą śmiałą czerwoną suknią, jaskrawoczerwonymi bucikami i włosami niczym słońce, jakie wszyscy pamiętali z letnich dni, bez względu na to gdzie we Francji spędzili młodość.

* * *

Eve zaczynała się niepokoić. Kiedy opuszczała hotel w Saint-Omer, miście położonym w tej chwili daleko od linii frontu, i wyruszała do Festubert, było jeszcze całkiem jasno. Reszta trupy Gilly'ego wyjechała przed nią kolumną przydziałowych samochodów wojskowych. Eve zatrzymała precyzyjna i niezbędna praca: musiała zszyć duże rozdarcie koronki, ukośnie biegnące przez całą sukienkę.

Jechała teraz z wojskowym kierowcą, chłopakiem w wieku nie sprawiającym bynajmniej wrażenia poborowego. Podróż trwała już o

wiele za długo jak na wskazówki udzielone przez Gilly'ego, ale Festubert wciąż jeszcze nie znajdowało się w polu widzenia.

- Jesteś pewien, że to dobra droga? - spytała niespokojnie.

- Kapral mówił, że dobra, jeśli w ogóle można nazwać to drogą - odparł. Istotnie, z każdą minutą, w miarę zapadającego zmroku, bity trakt wyglądał gorzej, a nie lepiej.

- Może przystaniemy, żeby spojrzeć na mapę? - podsunęła Eve.

- Nie mam. Mapy są dla generałów. A nawet gdybym miał, nic by z niej nie wynikało bez drogowskazów.

- Zatrzymaj się przy pierwszym budynku i spytaj o drogę - powiedziała Eve ostro. Wiele razy śpiewała bez drżenia, słysząc i widząc nieprzyjaciela, ale ta samotna droga, opuszczona, niemal pozbawiona drzew okolica, ten pusty, wyludniony, zniszczony kraj, przez który jechali, odbierał jej pewność siebie. Po co zawracałam sobie głowę koronką? - pomyślała z irytacją, próbując ciasniej otulić się płaszczem.

- Popatrz, przed nami stoi dom! - zawołała Eve.

- Sądząc na oko, rozbity pociskami - odparł żołnierz. Istotnie, nie dobiegał stamtąd żaden znak życia: nie było światła, dymu z komina, odgłosów zwierząt ani ludzi. - Niemcy musieli go załatwić w zeszłym roku - ciągnął obojętnie. W tej chwili na polu, po ich prawej stronie zabłysnął ogień, powietrze rozdarł wybuch pocisku z moździerza.

- Jezu! - wykrzyknął chłopak. W rozedrganym powietrzu eksplodował drugi pocisk. Odłamki wylądowały niedaleko samochodu. Młody żołnierz omal nie stracił panowania nad kierownicą, ale udało mu się utrzymać na drodze. Wyciskając pełną moc z silnika, popędził w stronę budynku. Po chwili ostro zahamował w wodzie stojącej na podwórzu.

- Wyskakuj! - krzyknął, ale Eve nie było już w samochodzie.

Nisko pochylona, biegła w kierunku otwartych drzwi. Osiągnęła je równocześnie z żołnierzem. Oboje dali nura do wnętrza, padając na czworaki i szukając jakiegokolwiek przedmiotu mogącego służyć za osłonę. Nagle wyostrzone zmysły podpowiedziały Eve w ułamku sekundy, że poza kawałkami drewna i skorupami leżącymi na podłodze w pokoju niczego nie ma. Najwyraźniej dom był pod ciężkim obstrzałem. Chociaż dach pozostał prawie nietknięty, ściany straszyły licznymi wyrwami. Trudno dalej nazywać to coś budynkiem mieszkalnym albo w ogóle budynkiem, pomyślała Eve. Na zewnątrz usłyszeli bezlitosny świst kolejnego pocisku z moździerza, zbliżającego się do ziemi, ale po wybuchu trudno im się było zorientować, czy upadek nastąpił bliżej domu niż poprzednio. Z braku lepszego schronienia oboje skulili się przy pustym kominku. Gdyby był większy, mogliby się wcisnąć do paleniska.

- Nie dojedziemy na miejsce - powiedziała Eve najspokojniej jak umiała. - Wybrałeś złą drogę.

- Nie rozumiem, jak to się stało - żałośnie zaprotestował kierowca.

- Na miłość boską, przecież nie przewidywali żadnych walk w rejonie drogi, bo inaczej nie kazaliby nam tędy jechać.

- Możliwe - odparł posepnie. - Ale właśnie kiedy robi się spokojnie, trzeba się rozglądać. Tam czekają Niemcy. A ty wpadasz w ich łapy. Tak powiedział kapral.

- Szkoda, że go tutaj teraz nie ma. Powiedziałabym mu, co o nim myślę! - Było oczywiste, że w najlepszym razie muszą doczekać do świtu i liczyć na odnalezienie. Nie było sensu zastanawiać się nad gorszymi ewentualnościami. Eve dokładnie owinęła kostki dołem płaszcza i

usadowiła się jak najwygodniej, siadając na kamieniach paleniska. Mimo strachu i wściekłości nie mogła dalej ignorować faktu, iż nowa para czerwonych butów poobcierała jej nogi. Pomyślała, że jeśli ma zostać zabita odłamkiem z moździerza, może równie dobrze usiąść we względnym komforcie, zamiast stać w butach przeznaczonych jedynie do tour de chant.

- Masz papierosa? - spytał chłopak.

- Nie palę. Ale mam, proszę - odparła, podając mu paczkę, którą zawsze nosiła dla żołnierzy.

- Zgaś tę zapałkę!

Eve krzyknęła i zerwała się na równe nogi. Do budynku wpadła grupa żołnierzy. Podkradli się tak cicho, że ani Eve, ani kierowca nie dostrzegli ich nadejścia. Dziewczyna skamieniała z plecami przy ścianie, czekając aż bagnet godzący w serce przyniesie jej śmierć, ale po chwili ocknęła się i stwierdziła, że zrozumiała rozkaz, więc musiał paść po francusku.

- Dzięki Bogu, dzięki Bogu! Skąd wiedzieliście, że tu jesteśmy? Och, dzięki Bogu za uratowanie nas - wyszeptała.

- Uratowanie was? Kim, do diabła, jesteście. Co, do kroćset, robi tutaj kobieta?

- Jechałam do Festubert... na występy...

- Chyba pani oszalała. Oszalała! Co za durna baba! Festubert leży w innym kierunku. Tu jest najgorętszy odcinek frontu, naprzeciwko Lens.

- Lens? Gdzie to jest?

- Według moich ostatnich wiadomości: po niemieckiej stronie frontu - powiedział szorstko Paul de Lancel, po czym odwrócił się i zaczął

wydawać rozkazy podkomendnym. Żołnierzy odrzucił do tyłu niespodziewany atak, rozpoczęty w jednym z wielu umocnionych gniazd karabinu maszynowego, które chroniły niemiecką artylerię.

Czterej ludzie byli ranni, trzech z nich zbyt ciężko, by iść o własnych siłach. Reszta nie poniosła szwanku. Przechodząc między żołnierzami i cicho ich wypytyjąc, Paul stwierdził, że sytuacja jest poważniejsza, niż początkowo sądził. Świecił księżyc w pełni, i przy tak dobrej widoczności nie było najmniejszej szansy na przetransportowanie rannych do okopów, żeby udzielić im pomocy. Tuż przed świtem, kiedy światło wstającego dnia jest jeszcze niewyraźne, a widoczność najgorsza, mógł marzyć o wysłaniu do swoich kogoś z wiadomością, że tu ugrzęźli. Tymczasem jednak pozostało im wyłącznie czekanie. Mógł jedynie pomagać żołnierzom w przeżyciu tej nocy. - Czy mogę się do czegoś przydać? - spytała Eve, ostrożnie przechodząc do kapitana między mężczyznami na podłodze.

- Tylko jeśli jest pani sanitariuszką. - Powiedział to nieobecny głosem, jakby na odczepnego.

Eve wycofała się do zimnego kominka. Nie była na żadnych zajęciach Czerwonego Krzyża, które angażowały tyle kobiet. Za bardzo zajmowało ją śpiewanie na najróżniejszych pozycjach wzdłuż frontu, a między tymi wyjazdami występowała w teatrze, który zapewnił jej kilka tygodni pracy, akurat tyle że mogła zapłacić za mieszkanie.

W milczeniu nasłuchiwała nielicznych słów, które chrapliwie wyrzucali z siebie mężczyźni, słów tak krótkich, tak przepełnionych znużeniem, że brzmiały jak obcy język. Wkrótce ranni otrzymali od kolegów wszelką możliwą pomoc, a cała ósemka żołnierzy z kapitanem

włącznie siedziała bądź leżała na resztkach nieskazitelnie wyszorowanej podłogi, której czystość przyprawiała o dumę jakąś kobietę. Tak przynajmniej sądziła Eve.

Wyobraziła sobie ogień w kominku, rozpraszający ciemność zimnej październikowej nocy; z pewnością były też dzieci, gromadnie siedzące w ciepłe nad zadaniami domowymi z wiejskiej szkoły.

Na ogniu gotowała się gęsta zupa, szynki i kielbasy zwisały z sufitu, a na dworze gospodarz kończył doglądać inwentarza, spragniony chwili, gdy będzie mógł wejść do domu, w sam środek dobrze znanej przytulnej atmosfery. Zbiory zwiózł już kilka tygodni temu, czekała go teraz stosunkowo łagodna zima i wieczory w ciepłym miejscu, przy pełnej spiżarni, spędzane wraz z żoną na radosnym przyglądaniu się, jak rosną ich dzieci.

Kiedyś takie proste, zwyczajne życie było dla Eve omal niewyobrażalne. Życie wieśniaka, życie bez możliwości zmiany, życie, które od początku do końca można opisać w trzech krótkich zdaniach. Nie ma w nim okazji do ryzyka, nie ma okazji, by znaleźć się w wielkim czerwonym balonie w pół drogi do nieba, by uciec do Paryża z pierwszym całowanym mężczyzną; nie ma okazji do spacerów po Grands Boulevards w rytm fortepianu z kafejki, nie ma okazji do bycia gwiazdą w Olimpii. Nie ma okazji ani do ryzyka, ani do wygranej.

Jak szczęśliwie się żyło! I nie wiedziała tego dotąd naprawdę, w pełni, podobnie jak gospodarz i jego żona nie zdawali sobie sprawy z własnego szczęścia, póki pociski z mózdzierzy dwóch wielkich narodów nie zniszczyły ich domu i nie zamieniły pola w ugór.

Mijał czas, księżyc coraz jaśniej oświetlał kupę kamieni, w której

znaleźli ukrycie. Eve widziała teraz żołnierzy wyraźniej niż przedtem. Żaden nie spał. Ranni za bardzo cierpieli, żeby pozwolić towarzyszom na zmrużenie oka choćby przez minutę. Ich pojękiwania były zdławione i dobiegały z przerwami, ale nawet nie wiedząc, która godzina, Eve miała świadomość, że do rana pozostało wiele godzin.

Musi być coś, co potrafię dla nich zrobić, nawet jeśli nie jestem sanitariuszką, powiedziała sobie ze złością. Nie umiała po prostu siedzieć i przyglądać się, jak cierpią, nie próbując odwrócić ich uwagi od bólu. Zdaniem tego nieuprzejmego oficera nie mogła pomóc. Wprawdzie nie wiedziała, jak się bandażuje, ale czy dlatego była bezużyteczna? Przecież Vincent Scotto właśnie niedawno napisał niesłychanie popularną piosenkę *Le Cri du Poilu*, której podrywający ludzi refren brzmiał:

Walczy wojsko, huczy front. Czego trzeba chłopcom stąd? Kobiety!
Kobiety!

Tekst może prostacki, ale jasny i bezpośredni, pomyślała Eve i nie prosząc o pozwolenie, zaczęła śpiewać najciszej jak umiała, głosem niczym wiosenna błyskawica który, gdy chciała, był słyszalny w ostatnich krzesłach trzeciego balkonu, tej nocy niósł się jednak tylko przez ciasną przestrzeń dzielącą ją od żołnierzy. Zaśpiewała pierwszą piosenkę, która przyszła jej do głowy, tę, która przyniosła jej szczęście, którą wybrała na przesłuchanie w Olimpii, *Parlez-moi d'Amour*. Na dźwięk jej głosu zaskoczony oficer zaklął pod nosem, ale Eve zignorowała go i nuciła dalej, tym razem *Mon Homme*.

- Są życzenia, panowie? - spytała, skończywszy nieśmiertelny hymn Mistinguett do bezradności zakochanej kobiety i nieodpartej władzy, którą ma nad nią mężczyzna. Odpowiedziało siedmiu mężczyznom, niektórzy

głosami tak słabymi, że ledwie słyszalnymi, inni ochoczo. I każdy z nich dostał swoją piosenkę.

Eve siedziała na krawędzi paleniska, jak noc długa śpiewała i śpiewała, wydobywając z pamięci wszystkie melodie i słowa słyszane niegdyś na ulicach Dijon, w drodze na lekcje muzyki i z powrotem, gdyż prawie wszyscy prosili o piosenki, które poznała będąc jeszcze dziewczynką. Widziała żołnierzy tylko w chwilach, gdy księżyc sączył poświatę przez wyrwy w ścianach. Twarze mieli właściwie schowane, ale ci, którym nie starczało sił, by mówić, szeptali życzenia towarzyszom. Eve zaśpiewała nawet dla żołnierza, którego niefortunna jazda przywiodła ją w to miejsce.

Paul de Lancel siedział bez słowa w oficerskiej czapce zsuniętej na oczy i trzymał w ramionach mężczyznę, którego nogi były jawnie bezużyteczne. Stwierdził, że przy dźwiękach piosenek tej kobiety, płynących jedna po drugiej, rana w jego duszy zaczyna się stopniowo zblizniać. Słyszał ten głos i rosło mu serce, raz po raz wracało do niego na ułamek sekundy doznanie intymności, wrażenie miejsca, w którym można znaleźć śmiech i miłość. Żywiołowy, pieszczący ucho timbre głosu, prowadził w głąbię człowieczeństwa i kobiecości, tchnął wewnętrznym ciepłem, dla którego nie było miejsca na froncie, gdyż nie miało nic wspólnego z wojną; przypominał tak wiele z tego, o czym Paul już zapomniał. Czy to była tylko ulotna wizja? Bez wątpienia tak, lecz każda piosenka, często z banalnym tekstem o zwykłych ludzkich potrzebach i nadziejach, o oszustwach miłości, o miłosnym uniesieniu, o dniach i nocach wypełnionych miłością, tchnęła w niego wiarę w powrót życia, wiarę, którą dawno już stracił. Zastanawiał się, czy zapamięta te godziny.

Czy długo uśpione uczucia, które Eve obudziła, wciągając go w magiczny świat swego głosu, przetrwają w jakiegokolwiek formie tę noc? Nie sądził, ale jakże wspaniałe były te chwile, w których znowu poczuł zapomniane już najzwyklejsze zadowolenie, czułość. Paul de Lancel ani razu nie poprosił o piosenkę, nie chciał bowiem przeszkadzać swoim ludziom. W końcu ich życzenia się wyczerpały, choć żołnierze co do jednego wciąż czuwali. Dopiero wtedy kapitan się odezwał:

- Czy zna pani angielskie piosenki żołnierskie?

- Oczywiście *The Roses of Picardy* i *Tipperary*, wszyscy je znają, nawet jeśli nie mówią po angielsku.

- A Dopóki się znów nie spotkamy, czy to pani też zna?

- Całuj mnie, uśmiechem okłam łzy... O to chodzi? - spytała Eve.

- Tak - odparł z pragnieniem w głosie. - Proszę mi zaśpiewać.

Całuj mnie, uśmiechem okłam łzy, Wrócę tu, gdy z kłębow burej mgły Wyjrzy błękit, wtedy ja i ty Pójdziemy znów kochanków ścieżką
Zagrzmie dzwon radośnie na nasz ślub, Szczęścia żar roztopi w sercach lód,
Więc czekaj i co noc się módl Za nasz wielki dzień.

Po ostatniej frazie Eve podniosła wzrok. Kapitan powiedział tylko:

- Jeszcze raz... proszę jeszcze raz.

Zanim skończyła tę prostą, wpadającą w ucho melodię, zobaczyła, że zasnął z uśmiechem na ustach.

- I pomyśleć, że niektórzy ludzie mieli szczęście urodzić się w Szwajcarii - westchnęła w zamyśleniu Vivianne de Biron, siedząca wraz z Eve u siebie w kuchni nad filiżanką ziołowej herbaty. Był ostatni tydzień grudnia 1916 roku.

- W Szwajcarii? Zawsze mówiłaś, że Szwajcaria to bardziej sanatorium niż kraj - zareplikowała Eve, nie dowierzając własnym uszom. Dwa i pół roku wojny w zasadzie nie zmieniło powierzchowności znakomicie zakonserwowanej przyjaciółki.

Vivianne nosiła, jak zawsze, nieusuwalne znamię Paryża, była niczym metal, którego za nic nie można oczyścić.

- „Spokojna neutralność”: oto co obiecał im Schultess. I jeszcze bez wątpienia świeżą śmietankę do kawy. Żadnych mdłych ziółek.

- Schultess? - Eve uniosła bardzo wysoko długie, ukośne brwi; częściowo zasłonił je nawet czarny, perski toczek jagnięcy, kryjący niemal w całości włosy syreny. W porównaniu z dniem sprzed trzech i pół roku, w którym przybyła do Paryża, nabrała elegancji, była teraz chudsza, a po ulicy kroczyła z niepowtarzalną pewnością siebie i tupetem, jak kobieta należąca do tego miasta, kobieta, do której to miasto bezsprzecznie należy.

- Kto to jest Schultess?

- Nowy prezydent Szwajcarii. Wiedziałybyś to, gdybyś czytywała gazety, Maddy. A nasz rząd nie ma nic lepszego do roboty, tylko podnosić podatek od cudzołóstwa. Och, nie śmieję się, dziewczyno. Mówię poważnie. Przed tą nieszczęsną wojną grzywna za cudzołóstwo wynosiła dwadzieścia pięć franków. Teraz zmienili ją na sto franków i kilkudniowe więzienie. Pytam cię, kto to może zrozumieć? Czy to jest logiczne albo w

ogóle racjonalne? Czy to jest w końcu francuskie? Zaczęli nam racjonować gaz, elektryczność i żywność, i to ma sens, ale jakież negatywny wpływ na zwycięstwo w wojnie może mieć drobne cudzołóstwo? Moim zdaniem ten nowy podatek jest stanowczo niepatriotyczny. Vivianne naląła jeszcze po filiżance ziółek i spojrzała na nie bez zapachu.

- Zastanów się nad tym, Maddy. Jeśli żołnierz jest daleko od domu i może sobie troszeczkę użyć z kimś, kto nie jest jego żoną... albo jeśli żonie brak męża, ale ponieważ go nie ma, znajduje sobie małą przyjemność, która pozwala jej przetrwać samotność... dlaczego którekolwiek z nich miałyby płacić podatek? I skąd wezmą podglądacza, który będzie szukał cudzołożników po szafach, zamiast jak należy być na froncie?

- To mnie przerasta, Vivianne. Nie mam takiej wyobraźni - odparła Eve, próbując powstrzymać chichot.

- Ach, Maddy, nie chcesz niczego potraktować poważnie. No cóż, twoje prawo - prychnęła Vivianne. - Czyżbyś uważała za inteligentny wymysł także rządową uchwałę, zabraniającą ludziom chodzić do teatru w czymkolwiek poza codziennymi strojami? Żadnych wieczorowych sukni, żadnych smokingów... jakby miało to zrobić na Niemcach takie wrażenie, że sami połkną większą ilość własnych gazów bojowych i biegiem wrócą do Berlina.

- Warto spróbować - odparła Eve nieobecna myślą.

Tak naprawdę, czytała gazety i równie dobrze jak Vivianne zdawała sobie sprawę, że bitwy nad Sommą i pod Verdun w roku 1916, najstraszliwszym roku w historii ludzkości, pochłonęły życie takiej masy ludzi, że ich liczby nie można ogarnąć myślą Raptownie wróciła do

rzeczywistości, włączając się w szczebiot przyjaciółki.

- Nasi alianci robią co mogą, nawet ty musisz to przyznać, Vivianne.

- Chcąc pomóc w wygraniu wojny, król Anglii ślubował wstrzeźliwość od napojów alkoholowych, z winem i piwem włącznie. Wyobraź sobie, gdyby reszta narodu poszła za jego przykładem... Pomyśl tylko: Anglicy bez whisky. Do czego to by doprowadziło?

- Do pewnego zwycięstwa... Niemców - odpaliła Vivianne.

- Dobrze, że przynajmniej nikt nie proponuje zamknięcia music-halli. Nie ma wolnych miejsc w żadnym teatrze, wszyscy żołnierze na urlopie chcą się jakoś rozerwać.

- Wiem. Odkąd Jacques Charles wyszedł ze szpitala i przejął Casino de Paris, szaleje bardziej niż przedtem. W Olimpii nigdy nie mieliśmy takich kosztownych kostiumów ani tak wypracowanych dekoracji. A popatrz na dziesiątki dziewcząt nie mających na sobie nic prócz przepasek i pnących się tam i z powrotem po drabinach dziesięciometrowej wysokości. Orkiestra gra coś amerykańskiego, czego nigdy przedtem nie słyszałam. Nazywają to ragtime.

Vivianne wyglądała na nie przekonaną, a już zupełnie jej się nie podobało, że Casino de Paris przerosło teatr, w którym przeżyła dni chwały.

- I lubisz śpiewać ten „ragtime”?

- Tego się nie śpiewa, pod to się tańczy, lepiej lub gorzej. Wiesz Vivianne, czas na mnie. Muszę trochę popracować. Dobrze, że przynajmniej mogę wpaść i cię odwiedzić, skoro horyzont jest czysty. - Eve skinęła głową w kierunku podestu, ku swemu niegdysiejszemu miejscu zamieszkania. Dzięki słabości płuc po ataku choroby Alain Marais

został uznany za niezdolnego do walki w siłach liniowych i stacjonował w jednostce kwatermistrzowskiej z dala od Paryża.

Eve wstała, zbierając się do wyjścia. Vivianne pomyślała, że jej przyjaciółka wygląda jeszcze bardziej energicznie i pociągająco niż kiedyś. Miała na sobie płaszcz z fioletowej wełny parmeńskiej, wykończony olbrzymim kołnierzem oraz mankietami z perskiego jagnięcia i oblamowany futrem. Eve odwróciła się ku drzwiom kuchni, zmieniła jednak zdanie i znów spojrzała na Vivianne.

- Pozwól, że cię o coś zapytam. Czy kiedy brałaś mnie na przesłuchanie do Olimpii, nie przyszło ci do głowy, że na pewno zobaczę tam Fragsona i dowiem się prawdy o Alainie?

- To było ponad trzy lata temu - obruszyła się Vivianne.

- Nie odpowiedziałas na pytanie.

- Musiało mi to chyba przelecieć przez głowę. Może nawet przeleciało, a ja się nie zorientowałam... a może gdybym na przykład uważała, że nie byłoby źle dla ciebie dowiedzieć się, jaki wcale-niewspaniały jest twój pan Marais? Może miałam nadzieję, że to powstrzyma cię od zbyt długiego marnowania się przy nim. W każdym razie nie zrobiłam tego ze świadomej złośliwości, ale nie wstydziałabym się, gdyby tak było.

- O Fragsonie wiedziałam na wiele miesięcy przed tym przesłuchaniem. Któregoś dnia poszłam do Olimpii sama.

- O.

- Właśnie tak. Zakochane kobiety są żalnymi idiotkami, Vivianne. Przeżywają coś jakby straszliwy atak ogłupienia na własne życzenie. A kiedy już się odkochają, zadają sobie pytanie, w jaki sposób mogły kiedyś

tak jaskrawo się mylić w ocenach, popełniać takie oczywiste błędy, ale odpowiedzi nigdy nie znajdują. Po historii z Alainem postanowiłam, że będzie mądrzej, jeśli nigdy się już nie zakocham. I rzeczywiście, nie zakochałam się ani trochę. Alain wyświadczył mi przysługę, choć w swoim czasie wydawało mi się całkiem inaczej.

- O.

- I tylko tyle masz do powiedzenia? „O”?

- Dobiegasz dwudziestu jeden lat. Kiedy będziesz trzy razy starsza, możesz mi powiedzieć to samo jeszcze raz. Przrzekam, że ci wtedy uwierzę.

- Myślałam, że jesteś profesjonalną cyniczka.

- Jestem: w odniesieniu do mężczyzn. A w odniesieniu do kobiet jestem romantyczką.

* * *

- Twierdzi, że panią zna, Maddy. Ale podobno jego nazwisko pani nic nie powie. Wpuścić go? - Stróż pilnujący drzwi za kulisy w Casino de Paris był przywykły do tłumów żołnierzy próbujących dostać się na zaplecze sceny po opadnięciu kurtyny. Normalnie, wojna czy nie wojna, kazał wszystkim czekać, aż Maddy wyjdzie. Ten jednak dał aż nadto wystarczający napiwek, żeby skłonić stróża do bezpośredniego przedstawienia prośby w garderobie Eve.

- Jak wygląda? - spytała, myśląc o czym innym. Zmyła już makijaż z twarzy i stała z rękami nad głową, szczotkując włosy we wszystkich kierunkach. Miała na sobie lekki szlafroczek z bladożółtego jedwabiu, w maju 1917 było bowiem ciepło. W otoku rudawych włosów, biegnących niczym aureola wokół twarzy, wyglądała pięknie jak lato, była przy tym

pociągająca niczym wiosna, niczym kwiat olśniony słońcem, pokazujący swe serce.

- Jest oficerem. Ma dużo belek. Na moje oko wygląda dobrze.

- Francuz, Anglik czy Amerykanin?

- Oczywiście Francuz, inaczej nie zawracałbym pani głowy. Co do Amerykanów, to dopiero się tutaj zjawili, choć muszę im oddać sprawiedliwość, że drogę do Paryża znajdują szybko.

- Wprowadź go - zdecydowała Eve. - Tylko zostaw mi czas na włożenie sukienki.

Po minucie stróż wrócił, tuż za nim postępowała wysoka, niecierpliwa postać w mundurze pułkownika, przedramieniem przytrzymująca zdjętą czapkę.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, madame. - Grzecznościowa formuła stała w wyraźnej sprzeczności z naciskiem, który towarzyszył zwyczajowym słowom.

- Ani trochę, mon colonel. - W głosie Eve pobrzmiewało pytanie. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek spotkała tego blondyna o śniadej skórze i głęboko osadzonych niebieskich oczach, było w nim jednak coś niepokojąco znajomego, jakby kiedyś pojawił się w jej marzeniu sennym, znikł wraz ze snem, a teraz miał się na chwilę przypomnieć.

- Aż do dzisiejszego wieczora nie miałem pojęcia, kim pani jest - powiedział - toteż nie wiedziałem, jak panią znaleźć. Ale kiedy usłyszałem śpiew... od pierwszej nuty... To ja... tamtej nocy...

Zamilkł, jakby nie wiedział, co teraz powiedzieć, jakby nagle chciał przekazać jej coś zbyt skomplikowanego, by można było znaleźć dla tego

słowa.

- Tamtej nocy? - spytała. Tyle nocy było już w czasie wojny.

- Niemożliwe, żeby pani zapomniała, chociaż minęły prawie dwa lata.

- Tamtej nocy? Tak, pamiętam, na farmie! A pan... ależ oczywiście... oficer... naturalnie, że pamiętam. Jak mogłabym zapomnieć taką noc. Teraz przypominam sobie również pański głos, tylko twarzy nie. Uśpiłam pana moim śpiewem.

- I śniłem o pokoju - odparł. - Miałem taki szczęśliwy sen. Wraciał potem do mnie przez wiele dni. Dwóch moich ludzi nie przeżyłoby tej nocy, gdyby nie pani. Musiałem to pani powiedzieć.

- Jak się pan nazywa, pułkowniku?

- Paul de Lancel. Czy zje pani ze mną obiad?

- Z przyjemnością.

- Dziś wieczorem? - spytał tak pełen nadziei, że jego głęboki głos omal się nie załamał.

- Czemu nie? Jeśli dobrze pamiętam, w noc naszego spotkania byliśmy głodni. A jeszcze zarobiłam śpiewem na kolację... i prawie na śniadanie. Czyli mogę uważać, że jest mi pan winien obiad. Musi pan jednak obiecać dwie rzeczy.

- Wszystko - odpowiedział poważnie. - Wszystko, czego pani sobie zażyczy.

- Nie wolno mówić mi, że oszalałam i że jestem durna baba.

- Miałem nadzieję, że pani zapomniała moje niewybaczalne grubiaństwo.

- Przeciwnie, było zbyt pamiętne, żeby o nim zapomnieć.

* * *

Przez ostatnie lata wojskowi z całej Francji wieczór w wieczór zabierali Eve na kolację po przedstawieniu. W lokalu szukali chwili zapomnienia, szczególnej wesołości, rodzącej się z gorączkowego zgiełku i gry świateł.

Paul de Lancel postanowił jednak zabrać Eve na obiad do Ritza. Sala jadalna była tutaj wyjątkowo wystawna, znajdowała się w wysokim pomieszczeniu - wyczelowanymi fryzami, licznymi dywanami oraz brokatowymi zasłonami, których jakość usprawiedliwiłaby ich obecność w sypialni królowej. Stoliki stały daleko od siebie, jedyna wolna ściana miała wyjście na półkolisty ogród, w którym tryskała fontanna, otoczona krzewami jaśminu i kopczykami pelargonii. Obsługi gości doglądał maître d'hôtel, a kelnerzy i ich pomocnicy pełnili swe obowiązki bezszelestnie. Oświetlenie nie raziło, było dyskretne, stoliki milcząco zapraszały plamami światła, rzucanymi przez lampki w różowych abażurach.

Mimo wystawności salę jadalną u Ritza od samego początku przenikał uroczysty, radosny czar, a klimat ten udało się zachować przez całą wojnę. Chociaż szczegóły miejsca składały się na najwytworniejszy wystrój, w jakim jadano obiady we Francji, Paul de Lancel czuł się tam wyraźnie jak w domu. Zamówił potrawy bez zbędnego celebrowania, za to z autorytetem, który nie podlegał wątpliwości mimo łagodnego brzmienia głosu. Eve poczuła, że odpręża się, pogrąża w spokojnym bezpieczeństwie, które nie ma nic wspólnego z perspektywą niczym nie zakłóconego posiłku.

W przyćmionym świetle Paul badawczo przyglądał się towarzyszce. Siedziała w obitym brokatem fotelu, pełna pogody i zadowolenia z siebie.

Długie kolczyki połyskiwały jej przy uszach. Włosy z przedziałkiem pośrodku były zaczesane do przodu, tak że zakręcały się nad uszami, zgodnie z ostatnią modą. Suknia miała duży, kwadratowy dekolt wykończony koronką, której dwa szerokie pasy zakrywały także ramiona, ale wyraźnie zarysowana gładka szyja i szczupłe ramiona były całkiem nagie.

Paul stwierdził, że do Eve pasuje ten styl eksponujący ciało, podkreślający wyjątkowo delikatny zarys podbródka i cudownie świeży odcień skóry. Przy tym świetle nie mógł jej spojrzeć głęboko w oczy, ale towarzyszące wypowiedanym słowom powolne mrugnięcia powiek pod skośną linią brwi sprawiały tajemnicze wrażenie. Życie wyrobiło i utrwaliło u Eve uderzające nieumiarkowanie, z którego ciotka Marie-France zdała sobie sprawę siedem lat wcześniej. Od tej pory nie osłabło ono ani trochę, teraz zaś objawiało się jako zaskakująca niezależność ducha, poczucie swobody i opanowanie, które nadawały Eve szlachetny wyraz. Podczas rozmowy Paul odkrywał u niej iskrzącą się inteligencję i zaraźliwą wewnętrzną wesołość.

- Kim pani jest? - Paul de Lancel usłyszał nagle własne pytanie.

- Co pan ma na myśli? - spytała Eve, chociaż przyspieszone bicie serca zdradzało, że doskonale to wie.

- Pani jest kimś innym niż sławna Maddy, niż Maddy bez nazwiska, która śpiewa w Casino de Paris. Wiem, że mam rację. Proszę mi powiedzieć, kim pani jest naprawdę - rozkazał.

Eve upiła kilka kropli wina, zastanawiając się nad odpowiedzią. Od kiedy przyjechała do Paryża cztery lata temu, nikomu nie mówiła o swoim pochodzeniu, nawet Vivianne de Biron. Ukryty instynkt podpowiedział jej,

by z nikim w świecie music-hallu nie dzielić się informacją, że pochodzi ze środowiska, które jest tam wydrwiwane i odwzajemnia się za to głęboką pogardą.

Ale ten człowiek, przecież obcy, mimo iż znała jego odwagę, spokój i wytrzymałość, prawie obcy Paul de Lancel stłumił jej lęk i obudził zaskakująco głęboką potrzebę, pragnienie, które dosłownie zmusiło ją do mówienia o sobie. Rzucone przezeń wyzwanie pokonało opór Eve. Wierzyła mu. Zrozumiała nagle, iż wierzy temu człowiekowi tak instynktownie, że aż ją to przeraża. Tak mało go znała. A jednak po nocy spędzonej na zrujnowanej pociskami farmie wydawało jej się, że zna go zbyt dobrze, by skrywać się za tożsamością, która była zaledwie jej częścią.

- Urodziłam się w Dijon - powiedziała, ożywiając wspomnienia. - Nie nazywam się Maddy i nie należy się do mnie zwracać per „madame”. Ściśle mówiąc, jestem mademoiselle Eve Coudert, ale takie mieszczańskie nazwisko nie nadaje się na music-hall ową scenę. Kiedy byłam jeszcze dziewczynką, bardzo, może nawet za bardzo, chciałam zobaczyć, co jest za horyzontem. Mając siedemnaście lat przyjechałam, a właściwie uciekłam z domu, do Paryża z mężczyzną, którego prawie nie znałam. Byłam absolutnie niewinna i bezgranicznie lekkomyślna. W gruncie rzeczy całkiem szalona. Wychowywano mnie na pannę z dobrego domu, która musi stosownie wyjść za mąż. Nienawidziłam myśli o tym, ale była to jedyna przyszłość, jaką widziała dla mnie rodzina. Zakochałam się, byłam wtedy bardzo naiwna. Wkrótce mężczyzna, z którym uciekłam, złamał mi serce... zresztą niczego innego nie należało się spodziewać. Przyniosłam wstyd rodzinie, a także sobie samej. Moi rodzice nigdy nie

przyjechali mnie odwiedzić, chociaż piszę do nich co tydzień. Ojciec jest uznanym lekarzem, a matka jedną z najbardziej szanowanych kobiet w Dijon. A ja... mnie wszyscy znają jako Maddy.

- Powiedziała pani, że ten mężczyzna złamał pani serce? - przerwał Paul, czując gwałtowny przypływ zazdrości.

- Tak mi się wtedy wydawało. Tak to przeżywałam.

- Czy już się pani z tego otrząsnęła? - dopytywał się.

- Chyba tak, choć nie wykluczam, że przez lata to odczucie było jakby zamrożone... Czyż nie wszystkim siedemnastolatkom łatwo zablźniają się rany w sercu?

- A potem, co było po rozstaniu z tym mężczyzną? - nalegał Paul z wyostrzoną czujnością.

- Bardzo uważałam, żeby znowu nie oddać komuś serca.

- Czy jest pani absolutnie pewna? - Paul poczuł szalony impuls, zapragnął rozpleść jej włosy i rozpuścić je, odsunąć kosmyki z czoła, żeby zobaczyć, jak wygląda Eve o poranku, zaraz po przebudzeniu.

- Chwileczkę, mon colonel. Czy pan mnie przesłuchuje?

- Czy to ma znaczenie?

- Może i nie - odparła Eve po długim milczeniu. Na jej odsłoniętej szyi znać było puls.

- Pani wie, że to bez znaczenia. Proszę dać mi ręce - zażądał.

- Publicznie? - Musiała się pochylić, żeby Paul usłyszał ciche, drżące pytanie.

- Uciekła pani z kanałią, a mnie nie chce pani dać nawet rąk?

- Powiedziałam, że jestem bardzo ostrożna.

- Teraz musi pani o tym zapomnieć - powiedział Paul surowo.

- Ale czy zapomnę? - Jej wargi rozchyliły się, oczy miała prawie zamknięte. Fala uczucia odebrała jej dech, sprawiła, że Eve zastygła w oczekiwaniu na następne słowa. Paul zaszokował ją bezpośredniością, otwartością; nie doznała nic podobnego od czasu, gdy wzniosła się nad Dijon w wielkim czerwonym balonie i zobaczyła, jak wielkie możliwości kryją się za błękitnym horyzontem. Poryw zachwytu zatarł wyrazistość konturów restauracji Ritza, jakby zamieniła się nagle w prospekt zamykający scenę w zaciemnionym teatrze.

- Na pewno, pani o tym wie. Doskonale wie, mademoiselle Eve Coudert.

- Świetnie pan wydaje rozkazy - powiedziała Eve, dobywając z siebie resztki oporu.

- Ma pani mnóstwo czasu, żeby się do nich przyzwycząić.

- Jak... jak wiele? - szepnęła.

- Całe życie - odparł, unosząc obie jej dłonie do swych ciepłych warg. - Obiecuję ci całe życie.

* * *

Maître d'hôtel, obserwujący Paula i Eve z przyzwyczajonej odległości, nie był zaskoczony widząc, że pułkownik de Lancel daje mu znak, prosząc o rachunek w połowie wspaniale przyrządzonego i podanego posiłku, który zarówno on, jak i jego piękna towarzyszka niemal całkowicie zlekceważyli. Znał pułkownika jeszcze jako małego chłopca, którego rodzice, zawsze zatrzymujący się u Ritza, przywieźli kiedyś po raz pierwszy do Paryża. Nigdy nie widział jednak, by wicehrabia był zakochany, choć nie zliczyłby, ile razy Paul jadał tutaj już jako mężczyzna. W istocie, maître d'hôtel zrobił w duchu zakład, iż goście

przeszaną się wysilać, by cokolwiek zjeść, jeszcze przed głównym daniem. Przegrał, gdyż pułkownik dopuścił do jego podania, a nawet skosztował kęs. Wygrał jednak, dostał bowiem pięciokrotnie większy napiwek niż zwykle. Po wyjściu od Ritza pułkownik przywołał odkryty powóz.

- Proszę jechać wzdłuż rzeki - nakazał woźnicy, pomagając Eve wsiąść do pojazdu. Ten radośnie zamachnął się na konia, który ruszył wokół Place Vendôme, a potem po Rue de Castiglione w kierunku Sekwany, krokiem dobrze dopasowanym do rozleniwiającego ciepła majowej nocy, zupełnie jakby ta przejażdżka wzdłuż nabrzeża była odkrywczą ekspedycją, niespieszną, lecz nową w każdym szczególe, a nie rundką, którą woźnica ze swym koniem przejechali wcześniej tysiące razy.

W restauracji Ritza Paul i Eve mogli rozmawiać swobodnie, otaczali ich bowiem ludzie, przez co nastrój nie był zbyt intymny. Brak prywatności i udawanie, że będą jedli, stały się jednak szybko nie do zniesienia. Teraz, gdy zostali sami, jeśli nie liczyć obojętnych pleców woźnicy, nagle oboje stwierdzili, że brak im słów, że są skrępowani i zmieszani.

Obiecał mi całe życie, myślała Eve. Co właściwie chciał przez to powiedzieć? Czy była to po prostu metafora? Czy żołnierska brawura? Czy też słowa człowieka, który szuka przelotnej przygody przed powrotem na wojnę? I czy Paul de Lancel był typem człowieka, przecież licznie reprezentowanym, który używa wielkich słów w małych sprawach? Z pozdrowienia, które wymienił z maître d'hôtel, Eve dowiedziała się, że Paul jest wicehrabią i członkiem rodu wytwórców szampana. Skoro taki mężczyzna obiecuje jej całe życie, to czy nie chodzi mu o zrobienie z niej utrzymanki, kobiety pozostającej w cieniu. Czego właściwie oczekuje ten

człowiek, któremu pozwoliła zaprosić się na obiad, a właściwie pół obiadu? Ten człowiek, który już wie o niej więcej niż ktokolwiek inny?

Obiecałem jej całe życie, myślał Paul. Czy Eve zrozumiała, że chce ją poślubić? Czy wyraził się dość jasno? Nie przedyskutowali otwarcie żadnych planów, bo akurat gdy Paul wypowiedział te słowa, podszedł do ich stolika kelner z pierwszym daniem. Zostali jakby zawieszeni w powietrzu. Postawione przed nimi jedzenie spłoszyło ulotny nastrój i Paul nie wrócił już do tematu. W jaki sposób rozsądnie myślący człowiek może oczekiwać, że kobieta, jeszcze kilka godzin temu obca, zrozumie uczucia, które w nim wzbudza. I jak to możliwe, żeby je odwzajemniła? Czy Eve należy do kobiet, które pozwalają mężczyźnie się zadeklarować, a potem bawią się z nim, upajając się władzą? Nie wiedział o niej nic prócz kilku faktów, które od niej wyciągnął, a Eve wiedziała o nim jeszcze mniej.

Siedzieli w milczeniu, nie dotykając się, a powóz skręcił tymczasem w lewo, dojechał do brzegu rzeki i kierował się ku najstarszej części Paryża, sercu miasta, gdzie plemię rzecznych rybaków, Parizjów zbudowało niegdyś pierwszą osadę na wyspie pośrodku Sekwany. Gdyby woźnica skręcił w prawo, mijaliby rozległe pozostałości Francji cesarskiej, Place de la Concorde i Grand Palais, monumentalne symbole niezrównanej wielkości, ale wybierając drogę w lewo woźnica szybko dowiózł ich do skromnych, pełnych życia dzielnic, w których wszystko jest robione na ludzką skalę, nie ma nic symbolicznego oprócz kościelnych wież. - Proszę tu zatrzymać - powiedział Paul, gdy dojechali do Pont Neuf. - Czy chcesz się przespacerować po moście? - spytał Eve.

- Tak - odparła. Zrobiłaby wszystko, żeby przerwać trans, w jakim się znalazła; miała w głowie tysiące pytań i nie potrafiła nakazać ustom,

by wypowiedziały choć jedno.

Pont Neuf, najstarszy most Paryża, przebiega nad samym koniuszkiem wyspy Ile de la Cite, na której Panzjowie budowali swoje pierwsze chaty, i roztacza szczególną, subtelną aurę, istniejącą tylko w miejscach, gdzie ludzie mieszkają od dawien dawna. Paul i Eve powoli przemierzali most, przyjazne duchy zdawały się podążać krok w krok za nimi. Szeroki most był niemal całkiem bezludny i kiedy doszli na sam środek, skręcili w jedną z dwunastu półkolistych loggii wystających po bokach. Mieli przed sobą niczym nie zakłócony widok długiego pasma rzeki z zadziwiającą prędkością spieszącej przez centrum miasta - ku oceanowi, świecił księżyc, zostawiający na wodzie tak szeroki ślad, że Paryż przestawał być widoczny.

- Czy nie czujesz się, jakbyśmy byli na statku? - spytał Paul. - Nigdy nie płynęłam statkiem - odparła Eve.

Znowu zapadła cisza, ale te kilka słów, które udało im się zamienić, zmniejszyło ich zakłopotanie; obrócili się do siebie w tej samej chwili. Paul wziął Eve w ramiona i po raz pierwszy pocałował w usta. Cofnęła się i spojrzała mu w oczy, tak głęboko schowane pod brwiami, że nie potrafiła odgadnąć, co się w nich kryje.

- Dlaczego... dlaczego tamtej nocy na farmie chciałeś, żebym zaśpiewała *Dopóki się znów nie spotkamy?* - zapytała zaskoczona, że spośród kłębiących się w jej myślach pytań wybrała nieistotny drobiazg, który wydarzył się, gdy nie znała jeszcze nawet imienia Paula.

- Może to było śmieszne z mojej strony, ale... wiedziałem, że żaden z moich ludzi nie zna angielskiego. Chciałem posłuchać czegoś śpiewanego tylko dla mnie, czegoś, co mógłbym zapamiętać na zawsze, nie dzieląc

tego z nikim - odparł Paul powoli. - Zakochałem się w tobie... gdy śpiewałaś po francusku. W tej piosence były słowa, które poruszyły moją wyobraźnię, chciałem usłyszeć, jak mówisz je do mnie, tylko w ten sposób mogłem o nich myśleć. Pamiętasz te słowa? *Zagrzmi dzwon radośnie na nasz ślub, szczęścia żar roztopi w sercach lód, więc czekaj i co noc się módl za nasz wielki dzień.*

- Na nasz ślub? - szepnęła Eve.

- Tak, już wtedy. Wiedziałem, że tylko tego chcę. Usłyszeć ten radośnie grzmiący dzwon... Eve, czy wyjdiesz za mnie?

Wahała się, znów przerażona sposobem, w jaki Paul de Lancel odarł ją z wszystkich ciężko wypracowanych mechanizmów obronnych. A jednak... czy właśnie teraz mogła nie podjąć ryzyka? Czy mogła wycofać się z przygody? Czy mogła uciekać przed... miłością. Bo to właśnie czuła do Paula de Lancel: nic innego tylko miłość.

- Przyszedłeś do mojej garderoby trzy godziny temu - wyliczyła Eve, ostatkiem sił trzymając się ziemi. - Dlaczego czekałeś z tym pytaniem tak długo?

- Znalezienie cię zajęło mi dwa lata.

- Och... w tej sytuacji...

- „W tej sytuacji”?

- Tak, mon colonel, tak.

* * *

Wicehrabia Jean-Luc de Lancel, ojciec Paula, podniósł wzrok znad listu, który przed chwilą otworzył.

- Wspaniała nowina, kochanie! - radośnie oznajmił żonie, Anette. Paul się żeni... a właściwie, sądząc po dacie na tym liście, już musi być po

ślubie.

- Dzięki Bogu! O, jak się o to modliłam! Myślałam, że po śmierci biednej Laury już się nigdy nie roześmieje. Pokaż ten list. Kto to jest? Gdzie ją spotkał? Kiedy się pobrali? - pytała chciwie wicehrabina.

- Chwileczkę, pozwól, że doczytam. O... ona jest z Dijon, prawie sąsiadka, widzisz Anette! Eve Coudert, na Boga, to córka doktora Didiera Couderta, do którego wszyscy chodzą z chorymi wątrobami. Twój szwagier leczył się u niego kilka lat temu, pamiętasz? Znają się od... to dziwne. Pisze, że poznali się na krótko przed końcem pierwszego roku wojny, a teraz wygląda tak, jakby spotkali się znowu dopiero w zeszłym tygodniu! No cóż, przed wojną nikt się w tydzień nie żenił, ale teraz reguły się zmieniły, co? Pisze, że ona jest dobra i odważna, i piękna... nie można wymagać więcej. Oczywiście nie będą mieli miodowego miesiąca, ale czy to ważne? Naprawdę ważne jest to, że będą teraz w Paryżu, bo Paul pomaga utrzymywać kontakty z Amerykanami. Kiedy możemy pojechać, żeby ich odwiedzić, Anette? Chcę na własne oczy zobaczyć nową synową.

- Powiedziałaś, że jest córką doktora Couderta?

- Tak. A co, czy on ma kilka córek?

- Tylko jedną, jak sędzę - odparła ponuro.

- Wiesz coś o tej dziewczynie?

- Wszyscy o niej wiedzą.

- O czym ty mówisz? I dlaczego tak kwaśno wyglądasz? Ja nigdy o niej nie słyszałem.

- Na rok przed wojną nikt nie mówił o niczym innym... nikt w pewnych kręgach. Ona uciekła, zabrała się z domu, znikła, możesz nazwać to jak chcesz. Domyślałam się, że był w tym jakiś mężczyzna albo coś

równie haniebnego, coś przynoszącego tak potworną niesławę, że Coudertowie milczeli na ten temat jak mogli najdłużej. Marie-France de Courtizot, jej ciotka, też miała z tym coś wspólnego. Moja kuzynka Claire przyjaźni się z baronową de Courtizot i kiedy wszystko wyszło na jaw... Okazało się, że hańba jest jeszcze większa niż myśleli. Och, mój biedny Paul!

- Co rozumiesz przez „jeszcze większa”. Czy ona ma dziecko?

- O ile wiem, to nie. Ten rodzaj kobiet bardzo stara się nie mieć dzieci. Ona... ona śpiewa. Występuje w music-hallu. W Paryżu.

- W music-hallu? Jesteś tego pewna?

- Absolutnie! Coudertowie nigdy o niej nie wspominają, ale najwyraźniej odniosła sukces. Mówi się, że zdobyła sławę. To znaczy niesławę. Nie ma co do tego wątpliwości. Coudertowie mają tylko jedną córkę, i to jest właśnie kobieta, którą poślubił nasz syn. - Wicehrabina zaczęła szlochać.

- Anette, Anette... błagam cię, przestań. Pamiętaj, że Paul ją kocha. Przypomnij sobie, jaki był nieszczęśliwy. Czy nie jest ważniejsze, że znalazł kogoś, kogo obdarza miłością?

- Taką kobietę! Czy nie potrafisz sobie wyobrazić, dlaczego złapała go na męża? To desperacka próba ratowania honoru, klasyczna ostatnia deska ratunku dla kobiety, która upadła tak nisko. Ale ta kobieta myli się sądząc, że może kiedykolwiek liczyć na akceptację w naszych kręgach. A co najgorsze, po wojnie Paul będzie miał zrujnowaną karierę.

- Anette, czym ty się teraz martwisz? Najważniejsze, że Paul nie jest na froncie, że przeżyje wojnę. Co za nonsens z tą karierą? Wolę ufać jego sądowi, że dziewczyna jest dobra, odważna i piękna. A jeśli nawet śpiewa,

to co z tego? A że w music-hallu? Z kobietami śpiewającymi w music-hallu żenili się nawet królowie.

- Tracąc tron i wystawiając się na pośmiewisko przez resztę życia... a poza tym doskonale wiesz, że nigdy nie żenili się z takimi istotami, tylko je utrzymywali. Ta kobieta wywołała wielki skandal. Przeszłość będzie się za nią wlokła przez całe życie. Czy Szczerze myślisz, że dyplomata mający taką żonę może liczyć na awanse?

- Żona jest dla dyplomaty równie ważna jak szare komórki... może nawet ważniejsza - powiedział Jean-Luc de Lancel z głębokim westchnieniem. Anette, jak zwykle, okazywała więcej praktycyzmu niż on.

- Ta... osoba... z którą się ożenił, nigdy nie będzie mogła być żoną ambasadora, wiesz o tym równie dobrze jak ja. W ministerstwie spraw zagranicznych nigdy mu jej nie wybaczą. Nasz wybitny syn zrujnował się dla niej, poświęcił karierę.

- Zastanawiam się, jak wiele o niej wiedział, zanim doszło do tego nagłego małżeństwa.

- Oczywiście tak mało, że mniej nie można - powiedziała wicehrabina z głęboką animozją.

- A może nie. Może nawet wiedział wszystko i uznał, że warto ją poślubić bez względu na koszt - powiedział wicehrabia de. Lancel, ale w jego pełnych nadziei słowach nie było autentycznego przekonania.

- Mężczyzna zakochany w czasie wojny... inaczej mówiąc głupiec - rzuciła pogardliwie jego żona.

- Czyli został nabrany. W czasie pokoju nie ożeniłby się z nią na pewno. - Wicehrabia powiedział to twardziej, mnąc jednocześnie list od syna.

- Czy teraz cię dziwi, że pobrali się tak szybko?

- Nie. Teraz rozumiem. Aż za dobrze.

* * *

- Nie mówisz poważnie, Maddy! - Jacques Charles zerwał się z za biurka. - Nie uwierzę ci! Jak możesz odejść? Gdyby inny impresario złożył ci lepszą ofertę, mógłbym zrozumieć, o co ci chodzi... Oj, nie podobałoby mi się coś takiego. Musiałbym przetrzepać twoją śliczną, aksamitną skórę, dać ci większą garderobę i kopniaka w dupcię na rozpęd... ale rozstawać się ze sceną! Do diabła! To po prostu nie ma sensu.

- Czy twoja żona śpiewa w Casino de Paris?

- No... nie, ale co to ma wspólnego z twoim odejściem? Moja żona nie potrafi zaśpiewać jednej nuty.

- A gdyby potrafiła? Wtedy co wieczór przychodziłbyś do domu na obiad i skakał z radości słysząc, że madame Charles już wyszła do teatru albo jest jeszcze zajęta przymierzaniem nowych kostiumów, albo ma próbę nowych utworów, albo udziela wywiadu. Nie wiem, czy cieszyłoby cię czekanie na powrót żony do późnych godzin nocnych, dzień w dzień, poza jedynym wieczorem, kiedy w Casino de Paris nie ma programu.

- Nie. Stanowczo nie! Niech cię diabli, Maddy!

- A więc rozumiesz. Wbrew sobie.

- Zgódźmy się, że potrafię zrozumieć sytuację jako mężczyzna, który nie różni się od innych. Ale nie kiedy w grę wchodzi ty, gwiazda. Nigdy! Czy choćby przeleciało ci przez myśl, co tracisz dla obiadów w domu? Dlaczego, do diabła, nie możesz przeżyć z tym facetem małej przygody miłosnej? Kto ci kazał od razu brać ślub? Myślisz, że gwiazdorstwo jest jak rękawiczki, które możesz zdjąć w tym roku z

nadzieją, że będą pasowały w przyszłym, kiedy odkryjesz, że małżeństwo śmiertelnie cię znudziło i jak tlenu brakuje ci publiczności, aplauzu, brakuje ci miłości ludzi przychodzących, żeby cię usłyszeć. A to przecież zawsze może się zdarzyć mimo uczuć, które żywisz w tej chwili do swojego dzielnego pułkownika.

- Widzisz, szefie, tydzień temu twoje słowa miałyby sens. Komuś takiemu jak ja powiedziałałabym dokładnie to samo. Może nawet mniej taktownie. Ale teraz... kiedy mówisz o obiadach w domu... wiem, że są wszystkim, czego pragnę.

- Nie mogę znieść twojego szczęśliwego wyglądu, niech to szlag trafi!

- Masz za miękkie serce, szefie - zaśmiała się Eve ucieszona.

- Wynoś się stąd, Maddy. Ale wrócisz, kiedy poczujesz, że nadeszła chwila? Chciałem powiedzieć, jeśli w ogóle poczujesz... Publiczność jest wierniejsza niż kochanek i mąż. Programu specjalnie dla ciebie, tego programu który planowałem, już nie będę ci mógł dać, ale jeśli coś się zmieni, to przecież wrócisz, Maddy, prawda?

- Oczywiście - odparła Eve wciąż się śmiejąc, zarzuciła mu ramiona na szyję i na pożegnanie pocałowała w oba policzki.

Słowa nic nie kosztują. Nie wierzyła, żeby miały się kiedyś sprawdzić.

* * *

W roku 1912, kiedy Paul-Sebastian de Lancel ożenił się z Laurą Saint-Fraycourt, jedynym dzieckiem markizów Saint-Fraycourt, rodzina Lancelów była zachwycona. Strapieni Saint-Fraycourtowie pogodzili się z losem. Śniadą, kruchą i już tak elegancką Laurę, zaliczano do

najpiękniejszych dziewcząt w jej pokoleniu. Była jedyną dziedziczką dóbr de Fraycourtów i miała jej przyspaść w udziale cała ich fortuna, równie stara co uszczuplona.

Dla Saint-Fraycourtów same pieniądze nie miały najmniejszego znaczenia. Ich tytuł był tak wyróżniający, tak starodawny i tak związany z historią Francji, że uważali go za niesłychanie istotne i wartościowe wiano. To prawda, że prawo do tytułów wygasało wraz ze śmiercią obecnego markiza, ale dzieci Laury, bez względu na pozycję jej męża, miały być zawsze znane przede wszystkim jako Saint-Fraycourtowie. W wąskim kręgu najczystszej arystokracji francuskiej fakt, iż ich matka nosi z domu nazwisko Saint-Fraycourt, zapewniał im natychmiastową akceptację i najwyższy status. Saint-Fraycourtowie wiedzieli, że nie można przecenić absolutnej wartości starej krwi i w swoim świecie, gdzie wszyscy znali wszystkich, nie mylili się w tej sprawie.

Oczywiście, zawsze oczekiwano wyjątkowo znamienitego małżonka dla Laury. Ostatnia z rodu Saint-Fraycourtów dorastała jako idol, hołubiona, nagradzana, niemalże czczona. Wraz z pierwszymi oznakami jej przyszłego piękna Saint-Fraycourtowie zgłupieli ze szczęścia w najwyższym stopniu osiągalnym dla Francuza.

Wybór wicehrabiego Paul-Sebastiana de Lancel głęboko ich rozczarował. Owszem, małżonek pochodził z pradawnego rodu, ale nie był najstarszym synem. Co prawda Lancelowie należeli do starej arystokracji bez najmniejszych wątpliwości, nie była to wszakże arystokracja najwyższej jakości, jakiej spodziewali się Saint-Fraycourtowie. Nazwisko Lancelów wiele znaczyło w Szampanii, ale nie nosił go nigdy książę krwi. Przed Rewolucją nie mieszkali w Wersalu i nie należeli do powierników

króla. Jeśli nawet Paul robił błyskotliwą karierę, to była ona sprawą przyszłości. Miał też w końcu odziedziczyć połowę posiadłości Lancelów, a więc niemałą fortunę, ale na razie można było na ten temat jedynie spekulować. Niemniej jednak Saint-Fraycourtowie nie znaleźli u Paula niczego, czemu można byłoby się racjonalnie przeciwstawić, niczego wystarczająco poważnego, by perswadować Laurze, że popełnia błąd.

Nie dostrzegali bynajmniej łaski niebios w fakcie, iż kiedyś Paul odziedziczy winnice o światowej renomie, zresztą wespół z bratem. Co za przyszłość dla córki: wiązać się z rodem, którego nazwisko pojawia się na etykietach butelek! Saint-Fraycourtowie nie podzielali powszechnego we Francji szacunku dla posiadaczy upraw winorośli, rezerwując estymę dla bezpośrednich następców Hugona Kapeta, pierwszego króla Francji, i tych nielicznych wybrańców, których przodkowie mieli wysoką pozycję na dworze.

Przez pierwszy rok małżeństwa Laura była szczęśliwa i Saint-Fraycourtowie prawdopodobnie zmiękliby w końcu wobec zięcia. Naszło go jednak zbrodnicze opętanie, postanowił bowiem wstąpić do wojska, mimo iż Laura była w ciąży. Patriotyzm Saint-Fraycourtów, podobnie jak inne uczucia, schodził na drugi plan, gdy w grę wchodziło dobro Laury. Paul ponosił odpowiedzialność przede wszystkim za żonę i dziecko, i bez uszczerbku dla honoru mógł poczekać z pójściem na wojnę do narodzin potomka.

To on ją zabił, mówili między sobą po śmierci Laury, zabił ją tak samo jakby skrzył jej kruchy, kobiecy kark nie ociosanymi łapskami farmera. Od kiedy poszedł na front, Laura była jak nie ta sama; z rozpaczyny odżywiała się właściwie, nie ćwiczyła, dosłownie usychała z tęsknoty

za nim, a kiedy przyszedł czas dziecka, zabrakło jej sił i woli życia. To on odebrał im jedyny skarb, a potem potraktował go z okrucieństwem równym torturze.

Załamani i pełni tak głębokiej goryczy, że trudno byłoby znaleźć słowa oddające ich uczucia, dziadkowie zabrali niemowlę i pojechali: do Szwajcarii, bo przynajmniej tam istniała szansa, że Bruno, ich bezcenny dziedzic, jedyny spadek po Laurze, dziecko dla którego Laura poświęciła życie, nie będzie narażony na krzywdę.

* * *

Podczas wojny, tak samo jak w czasie pokoju, pogłoski były szybsze od poczty, i zanim jeszcze list Paula z zawiadomieniem o ślubie dotarł do Genewy, Saint-Fraycourtowie zostali szczegółowo poinformowani o wszystkim, z wyjątkowym odcieniem czerwieni w scenicznych kostiumach Eve włącznie.

Normalnie, skandale wstrząsające górnymi warstwami mieszczaństwa, do których należeli Coudertowie, nie dochodziły do ich uszu, gdyż nikt z dobrych znajomych Saint-Fraycourtów nie był zainteresowany dyskusjami o takich ludziach.

Atoli baronowa Marie-France de Courtizot żyła gdzieś na obrzeżach ich świata, bo chociaż miała za ojca jedynie bogatego kupca handlującego alkoholem, to jej samej udało się nawiązać kontakty z niektórymi członkami rdzennej arystokracji, światem Faubourg Saint-Germain.

Baron Claude de Courtizot wydawał większą część znacznych dochodów na finansowanie własnych polowań. Konie i psy myśliwskie Courtizotów biegały w całym kraju po wszystkich terenach obfitujących w jelenie i sarny. Baron hojnie nimi szafował, co nie mogło pozostać długo

nie doceniane przez członków zwariowanej na punkcie łowiectwa szlachty, której kabzy w miarę upływu czasu stawały się coraz chudsze. Nawet gdy szlacheccy przodkowie dawali głowy pod topór i tracili posiadłości, przekazywali w spadku tytuły i miłość do polowań. Tytuł Courtizotów był świeży, dla szlachty z dziada pradziada bodajże gorszy niż brak tytułu, nadał go bowiem Napoleon, Claude okazywał jednak wobec tego faktu należną pokorę. Ale teraz! W salonach Faubourg Saint-Germain opary plotek unosiły się nad filiżankami posiadaczy najstarszych nazwisk we Francji. Już w roku 1914, kiedy wyszło na jaw istnienie siostrzenicy Courtizotów, siostrzenicy która - o zgrozo! nie do wiary! - występowała w tak potwornym miejscu, jak ordynarny music-hall, lokal niewiele tylko lepszy od burdelu, i w tymże music-hallu niewątpliwie produkowała się w otoczeniu nagich dziewczyn, jeśli sama nie była jedną z nich albo i kimś gorszym, wybuchł skandal, który o mało nie kosztował Courtizotów ich maleńkiego miejsca w świecie.

Wybaczone im jednak, po prostu dlatego, że nie byli dość ważni, by traktować ich jak wyrzutków. Ale teraz! Ta siostrzenica, której z uprzejmości nigdy nie wspomiano przed budzącą raczej współczucie Marie-France, została macochą jedyne wnuka Saint-Fraycourtów! Teraz skandal sięgnął samego serca rdzennie arystokratycznego świata.

- Czy to nie za piękne, żeby było prawdziwe? - pytały się nawzajem znudzone i złośliwe księżne. Oczywiście, Saint-Fraycourtowie przeżyli straszliwą tragedię, biedni ludzie, trzeba im po prostu współczuć.

Kto uwierzyłby, że coś takiego zdarzy się tym, którzy tak się pysznili wśród równych sobie? Szczerze mówiąc, nikt ich nigdy specjalnie nie lubił, ale przecież trzeba było uznawać, że mają prawo do dumy. Znało się

ich zawsze, nawet jeśli byli zimni i aroganccy. Czy wobec tego należy udawać, że nic nie zaszło, czy też raczej, oczywiście jak najbardziej taktownie, okazać Saint-Fraycourtom szczególnie subtelne wyrazy współczucia. Może powinno się napisać bilecik, ot, po prostu kilka słów? A może zachować dyskretne milczenie jakby nigdy nic? Cóż za fascynujący i smakowity dylemat!

- Co zamierzasz odpisać Lancelowi? - spytała męża markiza de Saint-Fraycourt.

- Jeszcze nie wiem. Póki był na froncie, modliłem się codziennie o wiadomość, że go zabito. - Markiz de Saint-Fraycourt mówił sucho i zwięźle. - Miliony Francuzów zginęły, a Lancela tylko ranili. Nie ma sprawiedliwości w niebie.

- Co zrobimy, jeśli teraz, kiedy ma żonę, zechce nam odebrać Bruna?

- Żonę? Przecież rzucił garść ziemi na grób naszej córki. Błagam cię, kochanie, nie mów o tej osobie jak o jego żonie.

- Tak czy owak Lancel może zechcieć zabrać syna, skoro osiadł w Paryżu.

- Paryż jest obleżony. Nie ma mowy o zabieraniu dziecka.

- Ale któregoś dnia wojna się skończy - powiedziała markiza ponuro.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że Bruno należy do nas. Nawet gdyby Lancel ożenił się z kimś godnym zostać macochą chłopca. Nigdy nie miałem najmniejszego zamiaru oddawać go temu człowiekowi. - Głos markiza zabrzmiał słabiej niż zwykle, jak wiatr poruszający zeschniętym liściem.

- Jak możesz być tak spokojny?

- Kochanie, pewne rzeczy w życiu są tak oczywiste, tak

bezwzględnie słuszne, że nie pozostawiają miejsca na wątpliwości. Należy do nich przyszłość Bruna, który jest Saint-Fraycourtem, nie Lancelem i nigdy nie splami się kontaktem z tym mordercą ani z jego kobietą. Zabiłbym Paula de Lancel tymi rękami, zanim pozwoliłbym mu tknąć Bruna. A im mniej ten człowiek nas rozumie, tym mniej kłopotów będziemy z nim mieli. Sądzę, że mimo wszystko odpowiem na jego list.

- Co mu napiszesz?

- No, oczywiście, że życzę mu szczęścia w małżeństwie.

- Jak możesz się zdobyć na coś takiego?

- Żeby zachować Bruna przy nas, mógłbym objąć tę... dziwkę Paula.

* * *

W końcu września 1918 roku, na dwa miesiące przed zawieszeniem broni, które zakończyło wojnę światową, Eve powiła córkę. Paula zdemobilizowano w trzy miesiące po wojnie i po powrocie do służby dyplomatycznej w pierwszych miesiącach roku 1919 skierowano do Canberry jako pierwszego sekretarza Ambasady Francuskiej w Australii, co dla panów z Quai d'Orsay stanowiło równoznacznik Syberii.

Przeprowadzka do Australii napawała Eve wielkim szczęściem ze względu na Delphine. Dziecko było chore na krup, którego ataki nadchodziły bez ostrzeżenia; zaczynały się od nagłego kaszlu, brzmiącego zupełnie jak szczekanie psa, po czym dziewczynka zaczynała się dusić, chciwie łapiąc powietrze. Jedynym sposobem ulżenia Delphine było trzymanie jej głowy w obłoku pary, póki skurcz gardła nie ustąpił i dziecko nie zaczęło oddychać normalnie. Ale w pierwszych latach po wojnie para była we Francji niemal bezcenna. Brak węgla stał się jeszcze bardziej dotkliwy niż przed nastaniem pokoju, a elektryczność kosztowała

tak drogo, że metro nadal jeździło według wojennego rozkładu.

Australia ze swym dostatkiem była błogosławieństwem dla stroskanych rodziców. Eve mogła się prawie całkowicie odprężyć w jednej z komfortowych wiktoriańskich willi w Canberze, mającej dużą werandę i obszerny przyległy ogród, czuła się bowiem bezpiecznie ze świadomością, że napełnienie parą przestronnej łazienki zajmuje dosłownie minuty. Najlepszy pediatra w Canberze, doktor Henry Head, zbadał dziewczynkę i stwierdził, że ma się świetnie pod każdym względem.

- Niech się pani za bardzo nie przejmuję krupem, madame de Lancel - powiedział. - Nie możemy z nim zrobić niczego innego niż do tej pory, mogę za to obiecać, że ta młoda dama wyrośnie z choroby. Istnieje teoria, że powoduje ją zbyt krótka szyja a dziecka. Gdy tylko szyja się wydłuży, a rośnie sama z siebie, jak pani wie, wtedy skończą się kłopoty z kaszlem.

Przez trzy dni po ataku proszę utrzymywać w jej pokoju parujący kociołek przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a w razie potrzeby wzywać mnie o każdej porze.

Dziewiątego stycznia 1920 roku, w niecałe półtora roku po pierwszym dziecku, Eve i Paulowi de Lancel urodziła się druga córka, Marie-Frédérique. Doktor Head, którego wezwał specjalista od położnictwa zajmujący się Eve, miał szczerą nadzieję, że ta dziewczynka nie padnie ofiarą krupu. Dobrze wiedział, jak często Delphine dostarczała rodzicom dni i nocy pełnych dręczących obaw, i w głębi duszy zastanawiał się, dlaczego Lancelowie tak szybko zdecydowali się na drugie dziecko. Miał wrażenie, że madame de Lancel ma więcej niż dość zajęć, opiekując się jednym chorowitym brzdącem.

Eve najęła do dziewczynek sprawną pielęgniarkę, ale przez rok po

urodzeniu Marie-Frédérique rzadko zdarzało jej się spać dłużej niż godzinę, dwie bez przerwy, budziła się bowiem w nocy i nadsluchiwała oddechu Delphine, stojąc po pół godziny przy jej kołysce.

Początkowo Eve niepokoiła się również o Marie-Frédérique, ale dziecko stanowiło okaz zdrowia. Samo patrzenie na dziewczynkę dodawało otuchy. Miała rude włosy Lancelów, a także niebieskie oczy. Była tak pulchna, mocna, rumiana i roześmiana, jak jej siostra delikatna, blada i płaczliwa z powodów nie znanych nikomu.

Delphine urzekła za to rzadkim pięknem, w którym nie było nic dziecięcego, pięknem wyjątkowym, ale dającym rodzicom bardzo mało radości, zbyt często bowiem przez całe noce zagrażał mu szczekliwy kaszel.

Przez cztery lata po wojnie, póki Marie-Frédérique nie skończyła dwóch lat, Paul siłą rzeczy musiał zgadzać się z markizem de Saint-Fraycourt, iż Bruno powinien pozostawać z dziadkami w Szwajcarii. Przez dwa wyczerpujące lata, gdy Marie-Frédérique była już na świecie, a Delphine przeżywała najgorszy okres krupu, Paul z żalem przyznawał, że ciężarowi odpowiedzialności za trzecie dziecko Eve nie mogłaby sprostać, wymagałby od niej za wiele.

Ale w roku 1922, kiedy Bruno miał siedem lat, Paul napisał do byłego teścia prosząc, by jak najszybciej przysłano syna do Australii.

- Pisz - powiedział markiz Saint-Fraycourt do żony, jak zwykle w zrównoważony i lakoniczny sposób przez ściśnięte, małe wargi - że w końcu nadszedł czas, by syn dołączył do ich córek. - Czy właśnie takich słów użył? - spytała markiza z oburzeniem.

- Dokładnie. Zupełnie jakby byli z tej samej gliny: nasz Bruno i dwa

bachory, które dała mu tamta osoba.

- Co mu odpowiesz?

- Nie zamierzam odpowiadać na ten list. Szedł tutaj długie tygodnie, więc jest prawdopodobne, że zginął po drodze. Minie kilka kolejnych tygodni oczekiwania Lancela na moją odpowiedź. Potem Lancel będzie czekał przypuszczając, że jesteśmy w podróży, a po miesiącu napisze jeszcze raz. Powiadomisz go, że lekarze przepowiadają mi niewiele miesięcy życia i poprosisz, aby Bruno mógł zostać z nami jeszcze trochę dłużej. Nawet takie bydlę jak Lancel nie sprzeciwi się tej prośbie. Moja choroba będzie trwała bez końca... będę chory obłożnie. - Markiz pozwolił sobie na przelotny uśmiech. - Oczywiście, będziesz do niego często pisać, donosząc o moim stanie zdrowia. Nie wolno dopuścić, żeby zaczął się obawiać o nasze ostateczne zamiary.

- A kiedy w końcu będziesz musiał wydobrzeć, kochanie?

- Jest prawie marzec. Powiedzmy więc, że w ciągu następnej jesieni, jak najbliżej końca roku. Wtedy osobiście napiszę do niego list wyjaśniając, że chociaż jestem jeszcze niezwykle słaby, to chyba powoli odzyskuję zdrowie. Dowie się, wybac mi to, kochanie, że przez miesiące choroby jedyną radość stanowiły dla mnie codzienne odwiedziny Bruna. Poproszę go o jeszcze kilka miesięcy zwłoki, do końca świątecznego okresu i nadejścia nowego roku, zanim nie wydobrzeję całkowicie. Obiecuję mu, że wtedy na pewno wyślę Bruna do Australii... a będzie już rok 1923.

- A co potem?

- Obawiam się, że przyjdzie twoja kolej na chorobę. O wiele poważniejszą niż moja. I o wiele dłuższą.

- Nie możesz spodziewać się, że Lancel będzie czekał bez końca tylko dlatego, że jedno z nas jest chore - zaprotestowała markiza. - Ten człowiek poszedł na wojnę, kiedy Laura oczekiwała dziecka.

- I właśnie na to liczę. Z pewnością nie zapomniał, że nasza biedna córka błagała go, żeby jej nie zostawiał. Nie mógł tak łatwo zapomnieć, że gdyby poczekał przy niej jeszcze kilka miesięcy, co bez trudu mógł załatwić, Laura żyłaby do dziś. A gdyby zdarzyło mu się zapomnieć o swojej winie, możesz na mnie liczyć, że mu przypomnę. Nie będzie chciał obciążać sobie sumienia następną śmiercią. Poza tym napiszę mu, jeśli sam tego nie rozumie, że dotąd byłeś dla Bruna jedyną matką. Jest nie do pomyślenia, żeby odrywał dziecko od matki w czasie, gdy matka umiera.

- Jak długo będzie można przeciągać moją śmiertelną chorobę? - spytała markiza, przesadnie czując lekki dreszcz.

- Na szczęście bardzo długo. Masz najlepszą opiekę lekarską w Europie i jesteś silną kobietą. Będiesz miała powikłania i powikłania powikłań, ale wciąż będziesz oddychać, a to jedynie dzięki cudownej obecności Bruna, który stanowi dla ciebie rację istnienia. W ten sposób zarobimy półtora roku... no, powiedzmy dwa. Kto wie, co się zdarzy do tej pory. Przecież będzie już rok 1925.

- A jeśli Lancel postanowi nagle przyjechać, nie ostrzegając wcześniej, żeby zabrać Bruna samemu?

- Nonsens. Nie przyjedzie z Australii w okamgnieniu. To długa podróż. Jako pierwszy sekretarz ma kalendarz zapchany oficjalnymi obowiązkami. Postarałem się, żeby informowano mnie o jego sprawach, i zapewniam cię, iż moi przyjaciele z Quai d'Orsay nie dopuszczają, żeby wziął kilkumiesięczny urlop z czysto osobistych powodów. Ale...

- Ale co?

- Któregoś dnia Lancel niewątpliwie się zjawi.

- Bruno ma teraz siedem lat. Czy możemy liczyć na dłuższą zwłokę niż jeszcze cztery, zanim Lancel zacznie dochodzić swych praw.

- Nie liczę na więcej. Ale wtedy Bruno będzie miał jedenaście lat. Przestanie być dzieckiem, kochanie. Za to będzie pod każdym względem Saint-Fraycourtem.

* * *

W roku 1924, po niemal pięciu latach spędzonych w Australii, Paul de Lancel został przeniesiony jako konsul generalny do Cape Town. Trzęsienie ziemi w domu, spowodowane objęciem nowego stanowiska, zmusiło go do odłożenia po raz kolejny podróży do Paryża, którą od dawna planował, chcąc zobaczyć schorowaną markizę Saint-Fraycourt i załatwić w końcu połączenie Bruna z resztą rodziny. Częste listy i fotografie, które dostawał od markiza i od samego Bruna, sprawiały mu ulgę i łagodziły niecierpliwość. Chłopiec z pewnością był całkiem szczęśliwy i miał mnóstwo zajęć, jako że w roku 1923 dziadkowie znowu zaczęli mieszkać w Paryżu. Nie brakowało mu przyjaciół ani przyjemności życia w rodzinie, był przecież kuzynem dla licznych wnuków w rodzie.

Paulowi coraz trudniej było jednak myśleć, że naprawdę ma syna. Dziecko, które widział tylko raz w pierwszym roku wojny, jako oseska, żyło już ponad dziewięć lat w rozłące z ojcem. Gdyby Paul nie wybrał kariery dyplomaty, skazanego na podróże w najdalsze zakątki globu na polecenie rządu, chłopiec wróciłby do niego zaraz po zakończeniu wojny. Choroby markiza i markizy stworzyły nieznośną sytuację, ale Paul czuł, że ma wobec nich zbyt duży dług wdzięczności za opiekę nad Brunem w

czasie wojny, żeby niespodziewanie zabierać dziecko. Równałoby się to skazaniu na tragiczny koniec ludzi, którzy już stracili tak wiele.

W każdym liście przypominali mu o utracie Laury. Listy były utrzymane w spokojnym tonie, ale przez to oddziaływały jeszcze silniej, Paul podejrzewał bowiem, że Saint-Fraycourtowie zmuszają się do powściągliwości, nie chcąc rozdrapywać ran.

Bruno był wszelako synem Paula. Jego miejsce było przy ojcu. Mimo nieuniknionego rozwoju wypadków, sytuacja stała się nienaturalna. Nikogo nie można było za nią winić, a zarazem należało winić wszystkich. Paul postanowił, że gdy tylko rozlokuje się w konsulacie w Cape Town, sprawy urzędowe zaczną iść gładko, a Eve z dziewczynkami wprowadzą się do nowego domu, pojedzie z wizytą do Paryża i nie wróci stamtąd bez Bruna.

* * *

Paul de Lancel szedł zakłopotany w kierunku wejścia do szkoły Bruna. Był czerwiec 1925 roku. Właśnie przyjechał do Paryża i natychmiast złożył wizytę markizie de Saint-Fraycourt. Pomyślał, że kosztowało ją wiele wysiłku, by przyjąć go na łożu boleści. Wiedział, że dla tak dumnej kobiety konieczność bezradnego leżenia w łóżku, w wyszywanym szlafroku skromnie narzuconym na nocną koszulę, musi stanowić upokorzenie, mimo iż markiza domagała się, by powitać go osobiście. Była bardzo blada, mówiła powoli i z wyraźnym cierpieniem w głosie, choć utrzymywała, oczywiście tak jak powinna, że już zdrowieje. Paul uznał, że to rak. Markiz de Saint-Fraycourt pomijał w listach naturę choroby żony w taki sposób, który zgodnie z doświadczeniami Paula zawsze oznaczał raka.

Markiz nadal utrzymywał, że tylko obecność Bruna zachowuje żonę przy życiu, Paul powiedział sobie jednak, że bez wątpienia markiza musi przedkładać przyszłość chłopca nad własne cierpienia. Kiedy powiedział jej o planie zabrania Bruna, żeby dalej wychowywał się przy ojcu, wyraźnie starała się ukryć oznaki nieszczęścia i nie próbowała odwodzić go od tego zamiaru. Czy to możliwe, że sama widziała bliskość własnego końca i dlatego była zdolna do takiego poświęcenia? Czy była już tak wyczerpana, że nie miała sił, by zatrzymać chłopca, czy też przemawiał przez nią dogłębny altruizm? Paul pomyślał, że jej nie rozumie i nigdy nie zrozumie. Markiza Saint-Fraycourt należała do tej części Paryża, do otoczonego murami, zamkniętego, pełnego tajemnic serca Ancien Régime, gdzie ciągnie się jakby labirynt szarych fortec, budynków chronionych murami wokół dziedzińców, na które nikt nieproszony nie ma wstępu, otoczonych rozległymi ogrodami, których nie ogląda niczyje oko poza szlachetnie urodzonymi właścicielami, mieszkającymi w harmonijnych przestronnych pokojach z trzeszczącymi parkietami. Jakże niezwykle było to dla niego, człowieka wyrosłego w otwartych przestrzeniach Szampanii, biegającego z psami po zamku i okolicach. Lancelów zbyt zajmowało dogłądanie winorośli, by zamieniali w rytuał tradycję, ale tutaj, w Siódmej Dzielnicy, gdzie wciąż jeszcze żyli potomkowie najznakomitszych rodów Francji, kult przodków był wyczuwalny w powietrzu jak kadzidło. Paul skreślił za róg i stanął na krawężniku w oczekiwaniu na Bruna, który za kilka minut miał wyjść ze szkoły. Chłopiec wiedział, że spotka ojca, ale Paul nie napisał jeszcze synowi o zamiarze zabrania go ze sobą. Doszedł do wniosku, że musi oznajmić mu to osobiście.

Masywne drzwi zakotływały się na zawiasach i pierwsza grupa

chłopców wypadła na dwór. Paul zorientował się natychmiast, że są za mali. Bruna na pewno wśród nich nie było. Paul stał w napięciu, pełen niepewności. Najpierw sądził, że będzie mu łatwiej spotkać się z synem w ten sposób, na świeżym powietrzu, ale teraz tęsknił do formalnego nastroju w salonie Saint-Fraycourtów, do obecności innych ludzi, do zatarcia konturów tego trudnego, zbyt długo odkładanego zjednoczenia.

Przed szkołą pojawił się następny tłumek chłopców, wszyscy ubrani jednakowo w niebieskie swetry, szare flanelowe szorty i czapki na głowach. Przez piersi zwisały im brązowe torby na książki. Chłopcy zatrzymali się w drzwiach, żartowali jeszcze przez chwilę i dopiero potem rozeszli się w różnych kierunkach, wymieniając na pożegnanie nieodzowne męskie uściski dłoni.

Najwyższy z chłopców podszedł do Paula.

- Dzień dobry, ojciec - powiedział spokojnie Bruno, wyciągając rękę. Paul uścisnął ją machinalnie, zbyt zaskoczony by wydobyć z siebie głos. Nawet nie przypuszczał, że dziesięcioletni Bruno jest taki wysoki; dorównywał wzrostem czternastolatkom, których widywał Paul. Czysty, wysoki i pewny głos należał do dziecka, ale uścisk dłoni chłopca był energiczny, a rysy twarzy wyraźnie ukształtowane. Patrząc na syna, Paul zamrugał ze zdziwienia: zobaczył długi, chudy, wypukły nos Saint-Fraycourtów, a do tego nieoczekiwane małe, roześmiane usta, jedyny rys harmonijnej twarzy budzący pewien zawód, reszta bowiem zwracała uwagę wyrazistością.

Zmieszany Paul stwierdził, że uciekła mu chwila, w której mógł objąć syna. Uświadomił to sobie, idąc obok chłopca. Chyba nawet dobrze się stało, jego poza była z pewnością ciężko wypracowana, uścisk zaś, a

tym bardziej pocałunek, mógłby ją zburzyć.

- Bruno, nawet nie wiesz, jaki jestem szczęśliwy, że cię widzę - powiedział Paul.

- Czy wyglądam tak, jak się spodziewałeś, ojcze? - spytał grzecznie Bruno.

- O wiele lepiej, Bruno, o wiele, wiele lepiej.

- Babcia mówi, że wyglądam dokładnie jak moja matka - ciągnął spokojnie Bruno, a w miarę jak mówił, Paul dochodził do przekonania, że widzi przed sobą małe, pełne usta Laury. Dziwnie szokowały go na męskiej twarzy.

- To prawda, to istotnie prawda. Powiedz mi, Bruno, czy lubisz szkołę? - Już pytając, Paul przeklinał się za banał, który dzieci zawsze słyszą od dorosłych. Ale Bruno rozchmurzył się, miejsce postawy dorosłego zajął stosowny do jego wieku entuzjazm.

- To jest najlepsza szkoła w Siódmej Dzielnicy, a ja jestem gospodarzem klasy.

- Bardzo się cieszę, że to słyszę.

- Dziękuję, ojcze. Są chłopcy, którzy muszą się uczyć o wiele więcej niż ja, ale ja dostaję najlepsze stopnie. Nie boję się nawet egzaminów. Czego się bać, kiedy jest się dobrze przygotowanym? Moi dwaj najlepsi koledzy, Geoffrey i Jean-Paul depczą mi po piętach, ale jak dotąd mi nie dorównali. Któregoś dnia my trzej będziemy rządzić Francją.

- Co!?

- Tak zawsze mówi ojciec Jean-Paula, który jest przewodniczącym Rady Państwa. Twierdzi, że tylko chłopcy, którzy zaczynają tak jak my, mogą dojść do szczytów. Wszyscy przyszli przywódcy Francji będą

pochodzili z kilku szkół w Paryżu, więc nasze szanse są duże. Mam ambicję zostać któregoś dnia premierem, Ojciec.

- Czy nie jest jeszcze odrobinę za wcześnie, żeby decydować o życiowej karierze?

- Wcale nie. Gdybym dotąd nie podjął decyzji, byłoby już za późno. Geoffrey i Jean-Paul nie są ani trochę starsi ode mnie. Dobrze zdajemy sobie sprawę, jak znakomicie musimy wypaść na końcowych egzaminach, od których dzieli nas przecież zaledwie kilka lat. Potem musimy dostać się do Instytutu Nauk Politycznych. A kiedy zrobimy już dyplom w Instytucie, no cóż... droga będzie otwarta. Czeka nas współzawodnictwo z innymi absolwentami. Tym się w tej chwili nie martwię.

- Dobrze - powiedział Paul sucho. Stwierdził, że przez lata spędzone poza krajem prawie zapomniał o elitarnym doborze francuskiej klasy rządzącej. Niezaprzeczalnie panował w tej dziedzinie system oparty na połączeniu wyższości intelektualnej ze świadectwem ukończenia jednej z nielicznych wybranych szkół. Skutecznie eliminował on z rządu Francją ludzi nie spełniających tych warunków. Całkowicie pozbawiał szans osoby z zewnątrz, choć jednocześnie bez wątplenia przyciągał najbardziej błyskotliwe umysły i wcześniej je kształtował. Nie wiedząc czemu, Paul nie spodziewał się, że Bruno stanie się częścią tego systemu. Listy syna nigdy nie zdradzały tej wyraźnie odczuwanej ambicji, ale też zawsze były krótkie i bezosobowe.

- Czyżbyś nie miał ani trochę czasu na rozrywki, ciągle się uczysz? - spytał, zmartwiony wizją dziecka spędzającego długie godziny nad lekcjami.

- Ciągle? - roześmiał się Bruno. - Oczywiście, że nie. Dwa razy w

tygodniu chodzę na szermierkę. Pan od szermierki jest bardzo zadowolony z moich postępów. Ale najważniejsze dla mnie są lekcje jazdy konnej. Czy dziadek nie wysłał ci mojego zdjęcia na koniu? Uczę się już ujeżdżania, bo... nie śmieję się ze mnie, ojcze, ale chcę się kiedyś znaleźć we francuskiej drużynie jeździeckiej na igrzyska olimpijskie. To jest moja największa ambicja:

- Myślałem, że chcesz być premierem? - Śmiejesz się ze mnie! - powiedział Bruno ze złością.

- Nie, Bruno, wcale nie. - Paul pomyślał, że syn nie sprawia wrażenia osoby z poczuciem humoru. Przede wszystkim trzeba jednak pamiętać, że to jeszcze dziecko, mimo dorosłych ambicji, o których opowiada. - Nie ma powodu, żebyś nie był tym i tym.

- Właśnie. Tak samo powiedział dziadek. Jeżdżę konno w każdy weekend i podczas wakacji. Oczywiście na kuce jestem za wysoki, ale mój kuzyn François, siostrzeniec babci, ma wiele wspaniałych koni i mieszka pod Paryżem. Jeżdżę do niego tak często, jak tylko mogę. Spędziłem w jego zamku całe ostatnie ferie wielkanocne, a na lato zaprosił mnie znowu. Mogę tam zostać tak długo, jak zechcę. Wszystkie jego dzieci dobrze jeżdżą konno. W zimie zamierzamy towarzyszyć myśliwym na polowaniu, chociaż na wzięcie udziału jesteśmy jeszcze za młodzi. Nie mogę się tego doczekać!

Minęli kilka budynków. Bruno mówił Paulowi, kto mieszka w każdym z wielkich domów, wyraźnie znajdował się na swoim terenie. Zdawało się, że poza ambasadami nie ma tu nieruchomości, w której nie mieszkałby ten czy inny kolega z klasy Bruna ani takiej, gdzie Bruno nie bawiłby się w bezludnym ogrodzie, nie poznawał tajemnic strychów i

dachów. - Czy nie sądzisz ojcze, że to jedyna część Paryża, w której można chcieć mieszkać?

- Tak sądzę.

- Ja jestem tego pewien - powiedział Bruno; jego zwięzłość nasunęła Paulowi myśl o markizie Saint-Fraycourt. - Wszystko, co ważne, znajduje się tutaj. Nawet do Instytutu Nauk Politycznych będę chodził tą ulicą.

- Bruno...

- Tak, ojcze?

Paul zawahał się, odwlekając chwilę, w której powie chłopcu, że w przyszłym roku będzie mieszkać w Cape Town.

- Przywiozłem ci kilka fotografii. - Przystanął na chodniku i wyciągnął zdjęcia, które zrobił Eve i córkom w ogrodzie przy domu. - To są twoje siostry. - Bruno spojrzał na dwie roześmiane małe dziewczynki.

- Ładne - powiedział grzecznie. - Ile mają lat?

- Delphine ma siedem a Marie-Frédérique, która upiera się, żeby nazywać ją Freddy, pięć i pół. Na zdjęciu są trochę młodsze.

- Bardzo miłe dzieci - powiedział Bruno. - Niewiele wiem o małych dziewczynkach.

- A to jest moja żona.

Wzrok Bruna ześlizgnął się szybko ze zdjęcia Eve.

- Twoja macocha bardzo chciałaby cię poznać, Bruno.

- Ona jest twoją żoną, ojcze. Ale nie moją macochą.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Paul.

- Nie podoba mi się słowo macocha. Miałem matkę, mam dwie babcie, ale macochy nie potrzebuję.

- Skąd wzięłeś taki pomysł?

- To nie jest pomysł, to odczucie. Znikąd go nie brałem, miałem je zawsze, odkąd tylko pamiętam. - Po raz pierwszy głos Bruna zadrżał z emocji.

- Miałeś je tylko dlatego, że jej nie znasz. Zapewniam cię, że gdybyś ją znał, nie czułbyś czegoś takiego.

- Na pewno masz rację. - Krótka, defensywna odpowiedź Bruna odsunęła temat bardzo daleko. Paul spojrział na twarz syna, w której zaczynała budzić się czujność; z profilu sprawiała wrażenie jeszcze bardziej wyrazistej i ukształtowanej niż oglądana z przodu. Schował zdjęcia do kieszeni na piersi marynarki.

- Posłuchaj, Bruno - powiedział. - Myślę, że nadszedł czas, żebyś przyjechał do mnie i zamieszkał razem ze mną - powiedział stanowczo.

- Nie! - Chłopiec zrobił krok do tyłu, a jego głowa gwałtownie skoczyła do góry.

- Rozumiem twoją reakcję, Bruno. Spodziewałem się jej. Dla ciebie ten pomysł stanowi nowość, ale dla mnie nie. Jestem twoim ojcem. Dziadków masz najwspanialszych na świecie, nie są jednak w stanie zastąpić ci ojca. W dorosły wiek powinieneś wchodzić razem ze mną.

- Jestem dorosły!

- Nie, Bruno, nie jesteś. Nie masz nawet jeszcze jedenastu lat.

- Wiek nie ma nic do rzeczy.

- Lata też się liczą, Bruno. Jak na swój wiek jesteś dojrzały, ale „dorosły” to coś zupełnie innego. „Dorosłość” oznacza większe doświadczenie życiowe, większą wiedzę o sobie i innych ludziach niż ta, którą masz teraz.

- Ależ ja nie mam czasu! Z pewnością rozumiesz, że gdybym choć na

rok pojechał mieszkać z tobą, wypadłbym z gry! Geoffrey i Jean-Paul zdystansowałoby mnie, a ja nigdy nie odrobiłbym straconego roku. To by mi zrujnowało życie! Nie myślisz chyba, że oni będą na mnie czekać, prawda?

- Ja nie mówię o jednym roku, Bruno. Mówię o innym sposobie życia.

- Nie chcę innego sposobu życia! - powiedział Bruno z nagłą pasją w głosie. - Mam najlepsze życie na świecie: przyjaciół, szkołę, plany na przyszłość, kuzynów, dziadków... A ty chcesz mi wszystko zabrać tylko dlatego, że bym mógł mieszkać z tobą. Straciłbym wszystko, co posiadam! Już nigdy nie będę miał szansy przewodzenia państwu - krzyknął histerycznie. - Już nigdy nie będę miał szansy jechania we francuskiej drużynie olimpijskiej, bo nagle zachciałeś ze mną mieszkać, jakbym był twoją własnością. Nie będę! Stanowczo odmawiam! Nie możesz mnie zmusić! Nie masz prawa!

- Bruno...

- Czy w ogóle cię obchodzi, co to dla mnie znaczy?

- Ależ tak, oczywiście że tak.. Chcę tego dla twojego dobra. - Paul urwał. Nie był w stanie mówić dalej. Usłyszał własne słowa i zorientował się, jak mało przekonują. Zastanawiał się, co musiałby ofiarować chłopcu, żeby zastąpić to wszystko, co Bruno już ma, a miał wszystko z wyjątkiem ojca, którego najwyraźniej nigdy mu nie brakowało. Wyrwałby go z jedyne miejsce, do którego chłopiec należał, odciął od jedyne sposobu życia, jaki Bruno znał, od wszystkich więzi, wartości i przekonań, do jakich doszedł w dotychczasowym życiu, od świata, który nie istnieje w żadnym innym miejscu na kuli ziemskiej. Zupełnie jakby Paul chciał

zabrać zwierzątko z zoo i wypuścić je na swobodę. Bruno byłby bardzo nieszczęśliwy, nie mając wokół siebie swoistej atmosfery Siódmej Dzielnicy.

- Bruno, nie będziemy teraz dłużej o tym rozmawiać. Przemyślę wszystko, co powiedziałeś. Ale tego lata musisz przyjechać i nas odwiedzić, przynajmniej na miesiąc. Od tego nie odstępę. Może ci się u nas spodoba, kto wie?

- Oczywiście, ojcie - wymamrotał Bruno, nagle spokorniały.

- Dobrze - powiedział Paul. Miesiąc rodzinnego życia mógł wszystko zmienić. Trzeba było od tego zacząć. W żadnym wypadku nie powinien szokować chłopca nieoczekiwanym pomysłem. Trzeba było... trzeba było...

- Ojcie, tutaj mieszkam. Czy zechcesz wstąpić na herbatę? Dziadek jest w domu.

- Dziękuję, Bruno, ale muszę teraz wracać do hotelu. Przyjdę jutro, jeśli można.

- Oczywiście, że można. Gdybyś miał ochotę, zabrałbym cię na lekcję szermierki.

- O tak, bardzo chętnie - powiedział smutno Paul.

* * *

- No i? - spytał markiz de Saint-Fraycourt, kiedy chłopiec wszedł do salonu.

- Miałeś rację, dziadku.

- Jak poszło?

- Mniej więcej tak, jak się spodziewałeś. Powiedziałem wszystko zgodnie z tym, co postanowiliśmy. Chciał, żebym obejrzał fotografię tej

osoby... tego jednego nie oczekiwałem. Nigdy nie pomyślałbym, że odważy się pokazać mi jej fotografię. Ale dałem mu do zrozumienia... Mówiłem ci, że sobie poradzę. Nie było się czego obawiać.

- Jestem z ciebie dumny, chłopcze. Idź powiedzić babce, że może wstać i przyłączyć się do nas. Nie wiedzieliśmy, czy Lancel nie zechce wstąpić na herbatę, więc woleliśmy tymczasem nie ryzykować. Aha, Bruno...

- Tak, dziadku?

- Czy nie sądzisz, że skoro planujesz przewodniczyć temu krajowi, to powinienes bardziej przyłożyć się do nauki w szkole?

- Francji przewodzą gryzipiórki i biurokraci - odparł Bruno pogardliwie. - Nie arystokraci. Czy nie to zawsze mi powtarzałeś?

- Bo tak jest, chłopcze.

- Ale w jeździeckiej drużynie olimpijskiej chcę się znaleźć naprawdę - powiedział Bruno z przymilnym uśmiechem na małych, pełnych ustach. - Miałem nadzieję, że może pomyślisz o podarowaniu mi konia. Wszyscy moi kuzyni mają konie.

- Owszem, myślałem o czymś takim.

- Dziękuję, dziadku.

- Pomyśl, kochanie, że mogli nas przenieść do Ułan Bator - powiedział Paul, chcąc oderwać Eve od widoku nie kończącej się pustyni za oknem przedziału. Jechali najlepszym pociągami, jaki istniał w tym kraju w roku 1930, ale jego postępy zdawały się niezauważalne.

- Ułan Bator? - spytała, odwracając ku niemu wzrok od okna. - Stolica Mongolii Zewnętrznej.

- Zewnętrznej czy Wewnętrznej? Wszystko jedno, nie musisz odpowiadać. Mogłoby też być Godthaab -stwierdziła Eve.

- Grenlandia? Nie, tego nie spodziewałbym się w żadnym wypadku... o wiele za blisko Europy - odparł Paul z sardonicznym humorem.

- A co sądzisz o Fidżi? - spytała. - Nie podobałoby ci się? Tam jest tyle zieleni, szczególnie w porównaniu z tym, co tutaj. - Machnęła ręką, odsuwając od siebie widok pustynnych piasków. - Suva ma sprzyjający klimat, to prawda, ale z kulturalnego punktu widzenia miejsce przedstawia sobą pewne ograniczenia. - A jednak jest stolicą. Mógłbyś być panem ambasadorem.

- Ależ mam dopiero czterdzieści pięć lat. Jeszcze jestem za młody, nie sądzisz?

- Zdecydowanie za młody. I za przystojny. Postąpiono by nie fair wobec mieszkanki Fidżi. Podobno nie mogą się oprzeć żadnemu Francuzowi - odparła Eve, ściskając jego dłoń. - Co to znaczy „nie mogą się oprzeć żadnemu Francuzowi”? - spytała nagle Freddy, a jej oczy, które zamknęły się ze zmęczenia zaledwie kilka minut wcześniej, rozwarły się szeroko z ciekawości. - Och... to znaczy, że ich zdaniem Francuzi są uroczy, więc mieszkanki Fidżi, no, zrobią wszystko, czego Francuz od

nich zażąda - powiedział Paul, ze śmiechem spoglądając na Eve.

- Na przykład co? - nalegała Freddy.

- Na przykład... posłuchaj, jestem Francuzem i właśnie dlatego ty, jako grzeczna dziewczynka, robisz wszystko, co ci mówię.

- Tato - powiedziała Freddy chichocząc - nie wygłupiaj się.

- To nie był dobry przykład - stwierdziła zasadniczo Delphine.

Freddy nigdy nie robi niczego jak należy, tato. To ja się nie mogę oprzeć Francuzowi. - Obdarzyła Paula uśmiechem kobiety urodzonej, by czarować wdziękami. - Właśnie że robię, jeśli jest co - odpaliła Freddy. - Pamiętasz, jak pozwoliłeś mi zanurkować z tej wysokiej trampoliny w klubie, a ja skoczyłam i czysto weszłam do wody? Pamiętasz, jak mówiłeś, że nie wsiądę na nowego kuca, a ja wsiadłam i jeździłam na nim bez siodła, a on nawet nie próbował mnie ugryźć? Pamiętasz, jak się założyłeś, że nie wygram na pięści z tym dużym Jimmym Albrightem, który zawsze zaczepia młodsze dzieci, a ja wskoczyłam na niego i go zbiłam? Pamiętasz, jak pozwoliłeś mi prowadzić samochód, a...

- Freddy! Delphine! Przestańcie natychmiast! - powiedziała ostrzegawczo Eve. - Zaraz dojedziemy. Będzie nas witać parę osób. Freddy, musisz umyć ręce i twarz, i kolana też... ojej, spójrz na łokcie! Jak ci się udało tak je zabrudzić w pociągu? Dobry Boże, co się porobiło z twoją sukienką? Dlaczego jest taka wymięta? Nie, lepiej mi nie mów. Nie chcę tego wiedzieć. A twoimi włosami zajmę się sama. Delphine, teraz kolej na ciebie. No cóż, myślę, że mogłabyś umyć ręce, chociaż nie jest to absolutnie konieczne.

- Są czyste.

- To właśnie miałam na myśli. W jaki sposób udało ci się utrzymać je

w takiej czystości przez całe popołudnie w pociągu? Nie masz co mówić, już wiem. - Delphine potrafiła godzinami tkwić w bezruchu, zadowolona z życia, śniła wtedy na jawie. Freddy natomiast rzadko była w stanie usiedzieć spokojnie dłużej niż minutę. Eve spojrzała na Paula, mrugnęła i westchnęła.

Podróż z Cape Town na nową placówkę Paula biegła przez więcej niż połowę świata. Podczas ostatniego etapu tygodniowej podróży Eve i Paul siedzieli ściśnięci w przedziale kolejowym, mając więcej kontaktu z córkami niż zdarzyło im się od czasu,, gdy dziewczynki były maleńkie.

Zdaje się, że prawa natury nie przewidują, iż rodzice i dwie małe dziewczynki, jedna z nich mająca dwanaście lat, druga dziesięć i pół, mogą być nierozłączni przez trzy pełne dni. Sytuacja była nienaturalna, prawie niewyobrażalna, choć i tak łatwiejsza do zniesienia niż widok rozległej, niemal przerażającej pustyni, którą godzinami przemierzali. Czy to możliwe, że w miejscu przeznaczenia oczekuje ich coś przypominającego cywilizację znaną Eve? To prawda, że Canberra i Cape Town nie były metropoliami, ale w obu miastach zakorzeniła się silna tradycja brytyjska, zapewniająca poczucie ciągłości i stabilizacji.

Eve lubiła ich wielki dom w Cape Town, ze wspaniałym widokiem na Table Mountain i licznym, sympatycznym personelem. Zawodowy dyplomata nie mógł jednak odmówić objęcia nowej placówki, podobnie jak nie mógł zrezygnować z fraka, kompletu na przedpołudnie i trzech smokingów na wieczór. Eve podejrzewała, że powinna traktować przeniesienie jako awans. Wprawdzie miasto, do którego jechali, było zaledwie piątym pod względem wielkości w młodym państwie, wprawdzie Paul nadal był konsulem generalnym i nie zbliżał się do stanowiska

ambasadora ani na jotę, ale za to miano go uważać za głowę tutejszej społeczności francuskiej, mimo że nielicznej. Filozoficzna postawa i dystans wobec niezbyt chwalebnej kariery nigdy nie opuszczały Paula, ale nawet nie rozmawiając na ten temat, Eve wiedziała, że był głęboko rozczarowany skierowaniem w miejsce tak odległe od siedziby jakiegokolwiek autentycznej władzy. Dżentelmeni podejmujący te decyzje mieli dobrą pamięć i niezłomne zasady... dla nich Eve wciąż była szokująco zdeklasowaną dziewczyną, która splamiła się śpiewem na scenie music-hallu. Eve i Paul byli jednak z sobą, mieli dzieci, i tylko to liczyło się dla nich naprawdę. Pociąg zwolnił i czworo wyglądających przez okno Lancelów zaczęło dostrzegać pojedyncze znaki zwiastujące miasto na krańcach pustyni: baraki, małe domy, większe i niesłychanie paskudne.. budynki, nieliczne samochody na ulicy. W końcu zupełnie niespodziewanie, jakby znikąd, ich oczom ukazała się w pobliżu zaskakująco duża stacja.

Trzej tragarze zaczęli się szybko krzątać w korytarzu, wynosząc tam pierwsze z dziesiątków bagaży, które mieli ze sobą Lancelowie. Freddy tymczasem wskoczyła na siedzenie, stanęła na nim i jak zwykle niecierpliwa, wyciągnęła szyję, zrzucając przy okazji kapelusz. W tym samym czasie Delphine sprawdzała ułożenie kapelusza ciasno siedzącego na głowie, spoglądając w lusterko, które miała przyklejone na odwrocie klapy zamykającej małą torebkę na ramię. Pociąg zaczął zwalniać jeszcze bardziej, nieomylnie zapowiadając cel podróży, Eve zaś poczuła nagły niepokój o przyszłość. Australia, Afryka południowo-Wschodnia, a teraz to miejsce, bez wątplenia leżące na największym odludziu, równie nierealne, jak najwymyślniejsze dekoracje Jacquesa Charlesa do Casino de

Paris.

- Koniec trasy, ludzie - powiedział tragarz, wchodząc do przedziału. - Jesteśmy na miejscu.

- To tu, kochanie - powiedział Paul, podając Eve ramię.

- Tatusiu - spytała Freddy - czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie, zanim wsiądziemy w tym miejscu?

- Czy to samo, które słyszałem od ciebie przez całą podróż?

- Mniej więcej.

Zapytaj tragarza. Jeszcze go dzisiaj o to nie pytałaś.

- Proszę pana - zaczęła Freddy - czy to prawda, że nazywają to miejsce miastem aniołów?

- Tak, proszę pani, niewątpliwie. Witam w Los Angeles.

* * *

W dwa miesiące później Eve, która miała się przebrać do obiadu, stwierdziła nagle, że opiera się o parapet w sypialni, nasłuchując gołębi obwieszczających zbliżający się wieczór. Ptaki mieszkały w alei wysadzonej drzewkami pomarańczowymi, która stanowiła podjazd do ich domu w dzielnicy Los Feliz, wdzięcznym przedmieściu leżącym na północny zachód od handlowego centrum Los Angeles.

Woń kwiatów pomarańczy zlewała się z wonią otwierających się właśnie pąków pnącego jaśminu i mieszanką zapachów setek różanych krzewów kwitnących w ogrodzie. Eve zastanawiała się w zachwycie, czy jest drugie miejsce na ziemi, gdzie wiosna trwa tak długo i tak bosko pachnie. Czyżby Los Angeles było stolicą doznań węchowych we wszechświecie? Eve zatonała w objęciach zmierzchu, oszalamiającego falami aromatów płynących od drzew i kwiatów. Wiosna trwała, gdy

przyjechali w lutym: wiosna mocnego słodkawego zapachu kwitnących cytryn, wielkich żółtych i purpurowych bratków, małych fiołków, pierwiosnków i dywanów niezapominajek; w marcu wiosna przyszła znowu, przyniosła z sobą pierwsze irysy i tulipany, wysokie kalie wciskające się nawet tam, gdzie ich nie chciano, i wielkie krzewy gardenii pokryte małymi, białymi kwiatkami, z których każdy ma dość aromatu, by wypełnić cały pokój; teraz wiosna zjawiała się po raz trzeci w ciągu trzech miesięcy, lonicery czarowały Eve na wyścigi z kwiatami pomarańczy i jaśminu, w ogrodzie wyrosły orliki, groszki pachnące, naparstnice i ostróżki, zupełnie jak w hrabstwie Sussex. Ale naparstnice i drzewa palmowe? Kwiaty z angielskich przydomowych ogrodów rosnące w cieniu wielkolistnych roślin tropikalnych? Błękitno-purpurowe drzewa zakarandy z zupełnie innego świata, dzielące ogród z typowo francuskimi krzakami hortensji? Wiosna, której końca nie widać?

Było tego za wiele. Francuska dusza Eve czuła całkowite zmieszanie w kraju, gdzie zestawienia kwiatów i drzew nie przypominały jej jakiegokolwiek botanicznej rzeczywistości. Eve pomyślała o wiosnie w Paryżu: deszcz, zimno, absolutnie konieczny luksus pierwszej wiązanki mimozy sprzedawanej w kiosku na stacji metra, wiązanki budzących raczej litość ściśniętych roślinek o błogim, nostalgicznym zapachu i żółtych, pełnych pyłu kwiatkach, które I następnego dnia więdną, a są kochane za samą odwagę istnienia.

Taką wiosnę знаła Eve. Taka była swojska wiosna, smutna i skąpiąca przyjemności, wiosna w czasie której tylko marzenie o czerwcu trzymało człowieka przy życiu. Czyżby piękno kraju, w którym znajdowała się teraz, miało okazać się nierzeczywiste?

Czemu właściwie miałabym kwestionować dary bogów? myślała Eve. Pierwszy Francuz, który w roku 1786 przybył do Kalifornii drogą morską, niejaki La Perouse, z pewnością nie kłopotał się tym pytaniem, a Louis Bouchette, sadząc w roku 1831 pierwszą winorośl na Macy Street, i Louis Vignes idący jego śladem w rok później, nie tracili czasu na filozoficzne spekulacje w związku z zabawną hojnością klimatu.

Do roku 1836 w Los Angeles mieszkało w sumie dziesięciu Francuzów. Teraz, w niecałe sto lat później, francuska społeczność liczyła dwieście tysięcy ludzi. Mnóstwo ich tutaj, pomyślała Eve i przeciągnęła się, wyczerpana dniem spędzonym w towarzystwie pań z taką porcją energii i entuzjazmu, jakiej Eve nie widziała w życiu.

Było jej w zasadzie wszystko jedno, czy Francuzów jest tu dwieście tysięcy, czy dwa miliony. Spędziła długi ranek u dyrektora Francuskiego Towarzystwa Dobroczyńnego, dyskutując o zarządzaniu Szpitalem Francuskim, potem zaś brała udział w zebraniu grupy kobiecej Stowarzyszenia Saint Vincent de Paul. Popołudnie poświęciła na zebranie Societe de Charite des Dames Françaises. Udało jej się wykręcić jedynie ze spotkania Grove Gaulois, które było lokalnym stowarzyszeniem druidów; Cercie Joanne d'Arc i Societe des Alsaciens-Lorraines.

Gdyby tylko druidowie, miłośnicy Joanny d'Arc i Alzateczycy zechcieli połączyć się z dobrą dziesiątką podobnych francuskich organizacji w Los Angeles w jeden duży klub, życie mogłoby być o wiele mniej wyczerpujące, pomyślała Eve w lekkim zamroczeniu. Amerykańska mania stowarzyszania się i potrzeba popierania czegokolwiek, w zestawieniu z żywą umiejętnością prowadzenia nieprzerwanej rozmowy, charakterystyczną dla Francuzek, stanowiły dla Madame la Consule

Generale źródło nie kończących się obowiązków. W porównaniu z Los Angeles zarówno Canberra, jak i Cape Town były głuchą prowincją.

Eve była równie szczęśliwa, jak zmęczona. Paul ciężko pracował przez cały dzień, organizując pracę dużego konsulatu przy Pershing Square, a dziewczynki, chodzące do szkoły Sacre-Coeur, zaadaptowały się do warunków życia w Kalifornii, zanim jeszcze po raz pierwszy położyły się spać w nowym domu.

Eve podejrzewała, że owo natychmiastowe przekształcenie zawdzięcza przybyciu ulicznego sprzedawcy Dobrych Humorów, którego dzwoneczek zadzwieczał zaraz, gdy dojechali do nowej siedziby. Sprzedawca ofiarował całej czwórce bezpłatne Dobre Humory, a po zjedzeniu waniliowych lodów w czekoladzie okazało się, że Delphine i Freddy znalazły Szczęśliwe Pałeczki, będące przedmiotem pożądanego.

Szczęśliwe Pałeczki stanowiły omen na nadchodzące dni, omen kraju, w którym każdy zaczynający się dzień otwierał nieskończone możliwości, nawet jeśli były to akurat tylko podobne do małych pomarańczy, dojrzałe owoce kumkwatu rosnące na drzewach przy Franklin Boulevard i wpychane pełnymi garściami do ust przez Freddy idącą do szkoły. Delphine wraz z towarzystwem w swoim wieku kroczyła bez pośpiechu po chodniku, udając że nie jest siostrą Freddy, podczas gdy ta dokazywała, skakała i wchodziła gdzie popadnie; wyglądała, jakby jeszcze nie wyrosła z długiej liny, na której Eve była zmuszona ją prowadzić w najbardziej żywiołowych latach Freddy, jeszcze w Canberze. Eve nie miała wątpliwości, że Freddy jest dzieckiem, które urodziło się, by uciec z domu. Jej pierwsze słowo brzmiało „hop”, a pierwsze samodzielne czynności polegały na pokonywaniu wszelkich przeszkód terenowych w

drodze poza ogrodzenie domu. Kiedy nauczyła się chodzić, nie było przed nią zamknięcia, raz po raz ruszała na podbój otaczającej przestrzeni. Paul stwierdził któregoś dnia, że tylko czujni sąsiedzi powstrzymali jej wyprawę w poszukiwaniu siedlisk aborygenów i sporządził dla niej rodzaj uzdy, w której Freddy mogła się dostać wszędzie, ale nie na ulicę.

Ma to po mnie, myślała początkowo Eve, łącząc sekretny zachwyty z łagodną publiczną dezaprobatą. Wkrótce okazało się, że mademoiselle Eve Coudert prezentowała wzór przykładowej panienki w porównaniu z miss Marie-Frédérique de Lancel. Dziecko chciało latać.

- Wyraźnie powiedziała „Ja chcę być samolotnikiem” - przekazał Paul żonie na długo, przed ukończeniem przez Freddy trzech lat. - Powtórzyła to pięć razy i narobiła takiego hałasu, jak sportowe samolociki z aeroklubu. Biegała przy tym dookoła pokoju, machając rękami.

- To tylko taki pomysł, kochanie. Wszystkie dzieci chcą latać, zupełnie jak wróżki w bajkach, które jej czytasz - odparła Eve. - Wiesz równie dobrze jak ja, że ona miała na myśli pilotowanie samolotu. Skoro tak powiedziała, to musiała o tym myśleć - oświadczył Paul, pełen złych przeczuć.

- W jej wieku? Prawdopodobnie chciała po prostu znaleźć się w samolocie.

- A skąd ona w ogóle wie, że człowiek może znaleźć się w samolocie?

- Hm, zapewniam cię kochanie, że to nie ja zaszczepiłam jej tę ideę. Ale jeśli już o tym mowa, to skąd miałyby wiedzieć, że w samolocie lata lotnik? Moim zdaniem nie ma się czego obawiać, prawdopodobnie zamierzała powiedzieć, że chce być samolocikiem - odrzekła Eve.

Odsunęła od siebie te myśli, ale w rok później Freddy, która powinna bawić się w swoim pokoju, zdołała objąć cztery rogi niewielkiej kołdry i wyskoczyć z okna na pierwszym piętrze, wyraźnie mając nadzieję, że kołdra posłuży jako skrzydła. Bardzo się potłukła, ale upadek zamortyzowały gęste krzaki. Przerazona Eve wypadła ratować córeczkę, która jednak wyłoniła się z krzaków bez pomocy, rozczarowana, ale ani trochę nie przestraszona.

- Powinam była skoczyć z dachu. Wtedy byłoby wszystko w porządku - powiedziała Freddy w zamyśleniu.

Eve miała trzydzieści cztery lata, ale słuchając gołębi czuła się jednocześnie starsza i młodsza. Starsza jako osoba publiczna, mająca publiczne obowiązki. Młodsza, gdyż mieszkała na szczycie wzgórza w domu, który mógłby stanowić część hiszpańskiej hacjendy, tak obfitował w łuki, balkoniki, dziedzińce, fontanny i załamania dachu, krytego czerwoną dachówką. Starsza, gdyż miała dwie piękne, szybko dorastające córki, z których każda na swój sposób ciężko wypróbowywała jej nerwy. Młodsza, tego wieczoru bowiem szła na bal w długiej, czarnej satynowej sukni bez pleców, kupionej u Howarda Greera, która osiągała szczyty zmysłowości, trzymając się jedynie na wąskich ramiączkach zdobionych imitacjami diamentów. Starsza, musiała bowiem zachować powagę licującą z pozycją żony konsula generalnego Francji; młodsza ze względu na uczesanie, włosy z przedziałkiem na boku, opadające prawie do ramion miękkimi, swobodnymi falami, a także ze względu na inne ustępstwa wobec mody, takie jak jaskrawoczerwona szminka, grube warstwy tuszu na rzęsach, podkreślone ołówkiem brwi, cienie na powiekach, nader skromna bielizna pod kreacją. Młodsza, jako że mieszkała w miejscu

nazywanym Hollywood, które, jak jej się zdawało, przez wszystkich było uważane za zupełnie odrębne miejsce; wszyscy mieszkańcy byli tu młodsi niż inni ludzie, bez względu na to gdzie żyjący. Eve zaczęła tańczyć w sypialni nieświadoma, że nuci melodię *Le Dernier Tango*, którego szokujący, ironiczny refren *Tańcz więc, tańcz to tango* wpędził w popłoch ciotkę Marie-France, kiedy usłyszała wiele lat temu.

* * *

Budowę Greystone ukończono w roku 1928. Budynek nie miał sobie równych w Los Angeles. Gdyby wzniesiono go o stulecia wcześniej we Francji lub Anglii, byłby uważany za bardziej niż odpowiedni na miłą rezydencję nie mającą pretensji do miana zamku. Pięćdziesiąt pięć tamtejszych pokoi zajmowało powierzchnię, bagatela, czterech i pół tysiąca metrów kwadratowych, a potentaci naftowi, rodzina Doheny, przywykła dawać sobie radę, trzymając na miejscu zaledwie trzydzieści sześć osób służby. Nie był to Newport Cottage ani dom wiejski Vanderbiltów, stał niecałe sto metrów od świeżo wybrukowanej, prawie nie zabudowanej drogi zwanej Sunset Boulevard, Bulwar Zachodzącego Słońca. Najważniejszymi miejscami przy bulwarze były stacje benzynowe i barek pod nazwą Gates' Nut Kettle. Klasyczne Greystone, któremu brakowało tylko fosy, imponowało murami z niezwykle starannie ułożonych głazów, pokrytych grubymi płytami walijskiego łupku, i rozległymi tarasami zaprojektowanymi w doskonałym renesansowym porządku, toteż budziło zasłużony respekt u okolicznych mieszkańców.

Kiedy pan Doheny wydawał bal, przychodzili wszyscy.

Eve przylgnęła do ramienia Paula w nieoczekiwanym przypiływie onieśmienia. Było to pierwsze większe przyjęcie od ich przyjazdu do

Los Angeles; dotychczas Eve tak pochłaniały spotkania z francuskimi tubylcami, że nie miała okazji nawiązać innych przyjaźni.

Lancelowie nie znali naftowych potentatów, dziennikarzy, ludzi z luksusowych rezydencji na wybrzeżu, środowisk z krajów rozwijających się, hotelarzy, ludzi z Pasadeny... nie znali moźnych tego miasta, z których wszyscy zdawali się być tego wieczoru u Doheny'ego. Wśród gości Eve rozpoznała jedynie kilka bardzo wybitnych gwiazd filmowych, wmieszanych do najlepszego towarzystwa, ale aktorzy oczywiście jej nie znali.

Nawet na tym zdecydowanie europejskim przyjęciu amerykańska swoboda obyczajów chroniła gości przed przedstawianiem ich nieznanym osobom w sposób, który wskazywałby pozycję obu w miejscowej hierarchii. Jest to raczej coś w rodzaju wolnej amerykanki, pomyślała Eve, schodząc po schodach prowadzących na basen. Na dachu olbrzymiej hali umiejscowiono orkiestrę, która przygrywała tancerzom, poruszającym się po drewnianym parkiecie, ułożonym wokół basenu specjalnie na ten dzień. Niewykluczone, że wyjdziemy z Paulem z tego wspaniałego przyjęcia nie znając nikogo poza sąsiadami od obiadu, których nazwiska nic nam nie mówią. Ci zresztą byli bardziej zainteresowani pozdrawianiem przyjaciół siedzących przy innych stolikach niż nawiązywaniem znajomości z parą cudzoziemców.

Kiedy Eve z Paulem de Lancel pobierali się podczas wojny, nie miała czasu zastanowić się, co dla niego będzie oznaczał ten związek w przyszłości. W 1917 roku nie było mowy o roztrząsaniu życia „po wojnie”. Porzucając pod wpływem impulsu music-hall dla Paula, Eve nie wiedziała o nim prawie niczego. Nie zastanawiała się wtedy nad

ograniczeniami roli przykładnej żony, wybranej przez nią zamiast gwiazdorstwa, do którego się przygotowywała, olśniewającego gwiazdorstwa, które Jacques Charles widział jako jej przeznaczenie.

Później, w miarę upływu lat, Eve miała mnóstwo czasu, by stwierdzić, że oboje z Paulem poświęcili dla bycia razem coś bardzo cennego. Rodzina Paula przyjęła ją z chłodnym dystansem i podejrzliwością. Jego matka nie szczędziła słów, by uświadomić jej w szczególnym, dyplomatycznym języku, że przez swe małżeństwo Paul nie ma co liczyć, iż „otworzą się przed nim drzwi kariery”, co oznaczało drogę, na której końcu znajdował się tytuł ambasadora.

Eve odkryła, że występami na scenie gorszy nie tylko swą głęboko prowincjonalną i do szpiku kości mieszczańską rodzinę, lecz również resztę świata. W każdym razie w świecie, do którego należeli Lancelowie, i w świecie dżentelmenów władających Quai d'Orsay nie widziano istotnej różnicy pomiędzy jej tour de chant i podskakiwaniem rozebranych tancerek. Kobieta, która pracowała w music-hallu, traktowano niewiele lepiej niż uliczną dziwkę.

Stwierdziła jednak, że i Paul nie był bez winy, kiedy postanowił ją poślubić. W wieku trzydziestu jeden lat miał już doświadczenie jako dyplomata, dobrze znał wymagania i sposób myślenia obowiązujące w służbie zagranicznej. Musiał zdawać sobie sprawę, że wybór Eve na żonę jest jak najbardziej niestosowny, a jednak go dokonał. To nie był „wybór”, pomyślała i z dumą podniosła głowę. Paul nalegał, domagał się, błagał ją, osaczał namiętnością i pragnieniem. Ożenił się z nią świadom tego, co robi.

Eve czuła się właściwie nie „winna”, lecz w pewien sposób

odpowiedzialna za to. Nigdy więcej nie zaśpiewała publicznie, nie wspominała nawet lat spędzonych w music-hallu. Uznała, że wprawdzie nie może zatrzeć za sobą przeszłości, ale nie musi się z nią ostentacyjnie obnosić, dlatego, o ile wiedziała, ani w Canberze, ani w Cape Town nikt nie podejrzewał, że Madame Paul de Lancel, młoda, pełna poświęcenia, przykładna, ogólnie znana żona i matka, występowała kiedyś na scenie.

A jednak... och, jakże jej tego brakowało! Jacques Charles miał rację. Od czasu do czasu bezgranicznie tęskniła do nieporównywalnego dreszczyku, który towarzyszy wyjściu na scenę po aplauz w świetle reflektorów. A najbardziej ze wszystkiego brakowało jej muzyki. Wprawdzie śpiewała i grała dla dzieci, ale to było zupełnie co innego. Myślała o tym, wchodząc wraz z Paulem pomiędzy setki gości Dohenych na błyszczącym parkiecie wokół basenu.

Powoli odmierzali przestrzeń prostym, powolnym krokiem fokstrota, który był właśnie na tapecie, otoczeni parami zajętych wymianą pozdrowień i rozmowami przez ramię nawet w czasie tańca. Żywiołowość epoki jazzu przeminęła, ustępując miejsca blaskowi Hollywoodu... powietrze było od niego gęste, ciężkie jak rubiny okrywające calutką Mary Pickford i bijące blaskiem diamenty Glorii Swanson. Poza Eve jeszcze siedem kobiet nosiło dokładnie takie same suknie z czarnej satyny, ale o wiele bogaciej zdobione klejnotami. Jeszcze nigdy Eve nie czuła się tak bardzo jak niedorostek z Dijon w pożyczonym kapeluszu.

- Czy mogę dostąpić zaszczytu zatańczenia z pańską żoną, Monsieur le Consul? - spytał znajomy głos. Paul spojrział przez ramię i z zaskoczonym uśmiechem przekazał Eve pytającemu.

- Dobry wieczór panu - powiedział. - Rodakowi pozwolę.

- Madame la Consule Generale, jak się pani podoba Hollywood? - odezwał się Maurice Chevalier.

- Wszyscy mnie o to pytają - odparła Eve machinalnie. Nigdy przedtem nie spotkała Chevaliera, on jej również nie, ale wyczuwało się u niego tyle swobody, jakby wracali do dawnej rozmowy.

- I jak pani odpowiada?

- Mówię, że bardzo mi się podoba.

- A podoba się pani? - spytał ze szczerym zaciekawieniem.

- Tak i nie. Jest czymś... szczególnym. Trzeba czasu, żeby się do niego przyzwycząić.

- Szczególnie jeśli pamięta się światła Grands Boulevards.

- Grands Boulevards... - Eve udało się wypowiedzieć te słowa tak, że nie zabrzmiały pytająco ani twierdząco, nie sprawiały nawet wrażenia potencjalnego tematu rozmowy. Pozwoliła im zawisnąć w powietrzu w pół drogi do rozradowanej, nedorzecznie znanej twarzy partnera, jakby nie niosły dla Eve żadnych skojarzeń.

- Tak, Grands Boulevards - powtórzył Chevalier. - I światła... Maddy... światła.

- Maddy...? - powiedziała z niedowierzaniem.

- Przecież słyszałem, jak śpiewasz. Kto raz słyszał Maddy, ten nigdy nie zapomni. Wszyscy tak mówili i wszyscy mieli rację.

- Och.

- Tak było, gdy debiutowałaś w Olimpi, a potem jeszcze raz w 1914 roku, już podczas wojny, kiedy przyjechałaś na front śpiewać dla żołnierzy. Cóż to był za wieczór! Ty w swojej wspaniałej, pięknej czerwonej sukni, małych czerwonych pantofelkach i z włosami w tym

samym odcieniu co dziś, jakby ktoś zerwał trzy dojrzałe truskawki i wrzucił je do kieliszka z szampanem, a potem trzymał go pod światło... Ach, Maddy, tego wieczoru dałaś naszym biednym żołnierzom szczęście. Minęło szesnaście lat, a ja wciąż dokładnie pamiętam.

- Ja też! Och, ja też! - wykrzyknęła Eve.

- Ten frontowy występ? Przecież śpiewałaś w różnych miejscach. Jak możesz pamiętać akurat konkretny wieczór?

- Pamiętam wszystkie - odpowiedziała prosto Eve czując, że łzy wzbierają jej w oczach.

Maurice Chevalier, który po raz pierwszy zarobił na kolację śpiewaniem w paryskich slumsach, mając jedenaście lat, rozumiał jej łzy. Był gwiazdą od dwudziestu dwóch lat i nie zatrzymał się w rozwoju, zanim nie wycisnął własnego piętna na stylu epoki. Dobrze pamiętał Maddy. Uznał, że przedzierzgnęła się w Madame la Consule Generale, zdając sobie sprawę, ile musiała ją ta przemiana kosztować, zupełnie jakby sam to przeżył.

- Znasz słowa do *Mimi*? - spytał, nie zwracając uwagi na jej łzy.

- *Do Mimi*? Czy ktoś na świecie mógłby nie znać? - spytała Eve.

- Czy wolałabyś zaśpiewać to, czy *Aimez-moi ce Soir*? A może po angielsku: *Love me Tonight*?

- Zaśpiewać? Tutaj? Z panem? Nie, nie mogę!

- Ach! Ça alors! Nie każdego wieczoru dostaję taką odmowę. I to natychmiastową.

- Nie... nie zamierzałam popełnić nietaktu. Po prostu nie śpiewam... już nie śpiewam.

- Maddy nie powiedziałyby tego nigdy.

- Maddy nigdy nie zmarnowałyby szansy zaśpiewania z Maurice'em Chevalierem. Nigdy, przenigdy - przyznała Eve, w równym stopniu przed nim, jak i przed sobą.

- Więc niech pani ożywi Maddy dziś wieczorem, Madame la Consule Generale! Czemu nie?

Eve rozejrzała się po tańczących, którzy jawnie przypatrywali się jej rozmowie z największą międzynarodową gwiazdą, jaka kiedykolwiek zjechała do Hollywood. Obcy ludzie, którzy ignorowali ją przez cały wieczór, spoglądali na nią oczami pełnymi fascynacji. Eve pomyślała, że tym obcym ludziom nigdy chyba nie przyszło do głowy, iż śpiewając w music-hallu przekracza się normy przyzwoitości, zostaje się raz na zawsze wyrzutkiem. Ci obcy należeli do nowego, dziwnego, niekonwencjonalnego i nieobliczalnego kraju, w którym ludzie estrady są królami.

- Pani Doheny prosiła mnie, żebym zaśpiewał, ale odmówiłem - ciągnął Chevalier. - Gdyby jednak zgodziła się pani zaśpiewać ze mną... przemyślałbym jeszcze tę decyzję.

- Zgoda - rzuciła szybko Eve, zanim zdołała się rozmyślić. Nie mogłaby się nie odważyć. Nie teraz i nie tutaj. - Ale proszę do mnie mówić Eve, nie Maddy - dodała pośpiesznie.

Ramię w ramię z Maurice'em Chevalierem przecisnęła się przez tłum tańczących. Dyrygent wyszedł im na spotkanie, pary bowiem rozdzieliły się widząc, kto zbliża się do orkiestry. Chevalier zamienił z dyrygentem kilka szybkich słów i wprowadził Eve na górę. W nagłej ciszy zwrócił się do oczekującej masy ludzi.

- Panie i panowie. Pracowałem ciężko cały dzień... śpiewając. Pracowałem ciężko cały tydzień... śpiewając. Dziś wieczorem

przyszedłem jedynie wyrazić szacunek panu Doheny'emu i popatrzeć, jak tańczycie. Nie zamierzałem śpiewać. Ale w najśmielszych snach nie przypuszczałem, że spotkam tu dziś wieczorem wielką gwiazdę, rodaczkę, koleżankę, która miała Paryż u stóp, gdy słyszałem jej śpiew po raz pierwszy, gwiazdę pełną odwagi i patriotyzmu, która śpiewała dla naszych żołnierzy na froncie; gwiazdę tak jasną i piękną, że wybaczyłem jej nawet, iż porzuciła karierę. I to dla czego? Dla małżeństwa! Pytam was, panie i panowie, czy to nie wstyd? A ona ma jeszcze, śmiałość mówić mi, że jest szczęśliwa! Przedstawiam wam Eve, wspaniałą Eve, czyli obecnie Madame Paul de Lancel, żonę naszego nowego francuskiego konsula. Za możliwość zaśpiewania z Eve spaliłbym nawet kapelusz i połamał laseczkę. Na szczęście nie kazała mi tego zrobić. Odwrócił się do Eve i szepnął:

- Chantons, Maddy, chantons!

Potem pochylił się w kierunku spragnionego, rozgorączkowanego tłumu i zawołał:

- A więc Eve, ma belle, zaczynamy!

* * *

- Nie pójdę do komunii - oznajmiła Freddy - póki nie pozwolicie mi przelecieć się samolotem.

- Szczyt wszystkiego! - wybuchnął Paul. - Szantaż na tle religijnym.

Freddy skinęła głową, uroczyście potwierdzając. Inne środki zdawały się nie mieć odpowiedniej wagi. Za każdym razem, gdy prosiła, żeby wzięto ją do samolotu, ktoś szybko składał jej obietnicę, a potem równie szybko zapominał. Poważnie opóźniona komunia bez wątpienia mogła jeszcze poczekać, aż najgłębsze pragnienie Freddy zostanie zaspokojone.

- Wezmę cię w ten weekend do portu lotniczego - niechętnie zgodził się Paul. Nie akceptował ulegania szantażowi, ale Freddy, mając jedenaście i pół roku, od dawna powinna być po komunii i Paul chciał mieć to wreszcie za sobą. Chociażby ze względu na samą ceremonię, która mogła wywrzeć nader pożądany, uspokajający wpływ na młodszą córkę.

W ciągu ostatniego roku miejscowa policja trzykrotnie przyprowadziła Freddy do domu. Łapano ją na najbardziej stromych ulicach Los Angeles, gdy z pełną szybkością pędziła na wrotkach w kierunku śródmieścia. Dziewczynka mocno trzymała za rogi prześcieradło, wydymające się na wietrze niczym biały żagiel.

- Dziecko stanowi zagrożenie dla ruchu ulicznego - mówili policjanci. - Któregoś dnia ciężko się porani. - Dom Lancelów stał wysoko na wzgórzach Los Feliz i Freddy mogła kilometrami jechać w dół, zanim wpadła w ręce policji.

Kiedy po ostatnim konflikcie z prawem rodzice skonfiskowali wrotki, Freddy zebrała co do jednej wszystkie lalki, bez sentymentów wsadziła je do wózka i założyła sklep na rogu ulicy, zamierzając sprzedać je sąsiadom, między innymi Waltowi Disneyowi i Cecilowi B. DeMille, żeby kupić sobie nowe wrotki.

- Straszny z niej urwis - mówiła Eve. - Ale to taki wiek. Wyrośnie z tego. - Nie przyznawała się nawet przed sobą, że podoba jej się Freddy pędząca na wariata po ulicach; jej samej w dzieciństwie nie pozwolono by na to nigdy. Przyglądając się dziecku i widząc nie znającego skruchy, szczęśliwego rozbójnika, zaspokajała własne dawne i dotąd nie wygasłe potrzeby emocjonalne.

Freddy była jak na swój wiek wysoka, o centymetry wyższa niż

Delphine, i miała długie nogi i ręce. Odznaczała się zręcznością akrobaty, strachu właściwie nie знаła, mogłaby przepłynąć wodospad Niagara w gumowym kole ratunkowym. Siatka zadrapań i siniaków kryła opalone, silne i muskularne ramiona, a także nogi, ukształtowane, o dziwo, równie delikatnie jak długa szyja. Po Paulu Freddy odziedziczyła głębokie osadzenie i niezwykle szeroki rozstaw oczu, nad którymi skośnie, jak u Eve, biegły gęste brwi. Niesamowicie błękitne oczy miały w sobie tyle wyrazu, że trudno było uwierzyć, iż należą do dziecka.

Eve zastanawiała się, czy tylko jej się wydaje, czy też Freddy naprawdę widzi dalej i lepiej niż inne dzieci. W Canberze i Cape Town zawsze dostrzegała ptaki w locie i zbliżające się zwierzęta szybciej niż reszta rodziny, i nawet jeszcze jako niemowlę gestami i krzykiem zwracała uwagę na swe odkrycia. Eve nigdy nie musiała szczytywać jej włosów przed oczu, co było normalne u innych dzieci, gdyż włosy Freddy rosły od czoła do tyłu, jako zaborcza, gęsta, poskręcana masa loków w szokująco agresywnym rudym odcieniu. Nos Freddy był już prosty i ładnie uformowany; rys ten nadawał twarzy wyraz wcale nie dziecięcej mocy i celowości, który trwał, póki Freddy nie roześmiała się, marszcząc twarz w beztrudnej radości.

Eve podejrzewała, że młodsza córka nie będzie bezdyskusyjną pięknoscią, jak Delphine, ale zawsze znajdą się ludzie, w których ocenie będzie piękniejsza, ulegną bowiem czarowi nieokiełznania, docenią pewien rodzaj szlachetnej surowości, występujący na twarz Freddy, gdy czegoś chciała, co zdarzało się często. Freddy była nieoswojonym stworzeniem; niepohamowany, radosny śmiech i rozkołysany chód osoby pewnej siebie sprawiały wrażenie, iż to Robin Hood ożył w ciele młodej

dziewczyny.

Właśnie na wzór Robin Hooda Freddy wymusiła na ojcu okup. Tego wieczoru Paul zatelefonował do Johna Madduxa, który w roku 1927 jako pierwszy uruchomił linię lotniczą między Los Angeles i San Diego, mając jeden samolot i młodego pilota - Charlesa Lindbergha. Ryzyko się opłaciło i obecnie Maddux miał czternaście trzysilnikowych samolotów Forda, co pozwalało mu utrzymywać regularne loty według rozkładu na trzech trasach: z Los Angeles do San Francisco, do Agua Caliente w Meksyku i do Phoenix.

- W czym mogę pomóc, Paul? - spytał John Maddux.

- Chciałbym wziąć dziewczynę i przelecieć się samolotem, Jack. Co proponujesz?

- Masz szczęście. Właśnie zorganizowaliśmy przejażdżki limuzyną z naszego biura sprzedaży biletów do portu lotniczego. Dama powinna być z tego zadowolona - powiedział Maddux, tryskając humorem.

- Myślę, że ona chce się tylko przelecieć samolotem, Jack. Ale w każdym razie dziękuję ci.

- No, jeśli tak sprawy stoją, to ruszaj do Burbank, w kierunku centralnego portu lotniczego. Zobaczymy, co nas teraz czeka... najlepszy dla ciebie byłby codzienny ekspresowy lot do San Francisco. Wylatujesz o wpół do trzeciej, a w trzy godziny później jesteś na miejscu i masz mnóstwo czasu na drinka w jakiejś nielegalnej knajpie, obiad w Chińskiej Dzielnicy albo homara na nabrzeżu. Spędzasz noc w eleganckim hotelu, jesz wczesny lunch i tym samym lotem wracasz do Los Angeles. Na obiad jesteś w domu. Podróż tam i z powrotem kosztuje cię siedemdziesiąt dolarów od osoby, a zabawy masz tyle, że trudno o więcej.

- Widzisz, Jack, to sprawia wrażenie pewnego... przesytu. Tą dziewczyną jest moja jedenastoletnia córka.

- Aha, rozumiem. W takim razie przypuszczam, że powinniśmy rozmawiać o krótkim, turystycznym przelocie.

- Właśnie tak.

- Nie ma najmniejszego kłopotu. Załatwię to dla ciebie osobiście. Jak ci pasuje sobota około wpół do czwartej? Po południu jest najlepsze światło.

- Znakomicie. Dziękuję ci, Jack, będę o tobie pamiętał. - Paul de Lancel odłożył słuchawkę. Pomyślał, że nikogo z Quai d'Orsay nie obchodzi, iż w Mieście Aniołów ludzie, którzy ledwie się znają, mówią do siebie po imieniu, i niemal wszystko można załatwić jedną rozmową telefoniczną. Tamtejsi urzędnicy byliby bezgranicznie zaszokowani, gdyby przeszło im to przez głowę, bo jeśli tak racjonalne zachowanie upowszechniłoby się na świecie, korpus dyplomatyczny przestałby być potrzebny.

* * *

- Tak, panie de Lancel - powiedział urzędnik linii lotniczej. Pan Maddux wszystko załatwił. Prosił, żeby powiedzieć, że lot jest na jego koszt, sprawi mu to przyjemność. Samolot czeka tam - wskazał nowy, lśniący dwusilnikowiec, stojący na pasie startowym, niedaleko od samotnego budynku, mieszczącego terminal na olbrzymim, rozległym polu w Burbank. Sześć osób już czekało w kolejce na turystyczny przelot.

Paul wziął Freddy za rękę i ruszył w kierunku samolotu, ale córka jakby wrosła w ziemię i ani drgnęła.

- Ten samolot jest duży, będą nim lecieli także inni ludzie -

powiedziała głosem wyrażającym kompletne rozczarowanie.

- Słuchaj, Freddy, nie obiecałem ci samolotu do własnej dyspozycji, prawda? Tylko krótki lot. A teraz jest do tego najlepsza pora dnia.

- Tatusiu, czy nie rozumiesz? Chciałabym być w powietrzu sama.

- Chodź, serduszek, jak możesz być sama w powietrzu? Przecież nie umiesz pilotować samolotu.

- Wiem. Pilot musiałby być. Ale tylko ja i pilot. Wtedy mogę sobie wyobrazić, że lecę sama. Tatusiu, proszę.

Cała Freddy była teraz żarliwą prośbą, jej oczy wpatrywały się w oczy ojca. Paulowi wydało się, że widzi samego siebie, przypomniał sobie na chwilę smak chłopięcych marzeń. Nie same marzenia, lecz ich natarczywość, całkowite niezrozumienie dla wszystkiego, co mogłoby wyglądać na kompromis.

- Powiem panu Madduxowi, że bardzo uprzejmie mnie pan obsłużył - powiedział Paul do urzędnika - ale sądzę, że moja córka wolałaby polecieć małym samolotem. Co mógłby mi pan zaproponować?

- Proszę wyjechać z portu lotniczego, skręcić w lewo i jechać tą drogą aż do Dry Springs. Tam zjedzie pan na główną ulicę, przejedzie przez miasteczko i wkrótce zobaczy tablicę z informacją o szkole lotniczej, McGuire Academy of the Air. Miejsce nie wygląda okazale, ale proszę się tym nie przejmować. Trzeba pytać o Maca. On na pewno trochę z nią polata. To najlepszy pilot tutaj. Zdaje się, że latał w czasie wojny.

- Dziękuję - powiedział Paul i wyszedł z terminalu, mając u boku Freddy, z podniecenia dreczczącą tak szybko, że nadażała za długimi krokami ojca. Mniej więcej w dwadzieścia pięć minut później dotarli do szkoły lotniczej McGuire'a, która okazała się niskim drewnianym

barakiem, z wyglądu przypominającym obszerny garaż. Wewnątrz stało kilka samolotów, reszta rozległego pomieszczenia świeciła pustką. W końcu Paul i Freddy odkryli na jednej ze ścian otwarte drzwi prowadzące do niewielkiego kantoru. Paul zajrzał do środka.

- Jest tu kto? - zawołał.

- Zaraz przyjdę - odpowiedział głos dobiegający zza nich. Po chwili mężczyzna wypełził spod samolotu, przy którym dotąd pracował. Nosił kombinezon mechanika, włożony na roboczą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Brunatne włosy o miłej barwie piernika były potargane. Paul odniósł wrażenie, że mężczyzna ma nie więcej niż trzydzieści lat. W sympatycznej, wyrazistej i szczerzej twarzy odnalazł typowe amerykańskie cechy: wiarę w siebie i przyjazne nastawienie do ludzi, poza tym dostrzegł piegi. W oczy rzucał się sprężysty chód, zupełnie jakby mężczyzna był zawodowym gimnastykiem.

- Szukam Maca - powiedział Paul.

- To ja - odpowiedział tamten z rozbrajającym uśmiechem, wycierając dłonie w kawałek czystej szmaty. Podał Paulowi dłoń:

- Terence McGuire.

- Paul de Lancel. - Powadze Paula towarzyszyło wahanie. Zdecydowanie nie miał ochoty powierzać Freddy pilotowi w kombinezonie.

- Czym mogę panu służyć? - spytał Mac.

- Chciałabym polecieć samolotem - powiedziała Freddy bez tchu.

- Chwileczkę, Freddy - przerwał Paul. - Słyszałem, że pan latał podczas wojny, McGuire?

- Owszem.

- To bardzo ciekawe, prawda Freddy? A proszę powiedzieć, gdzie pan latał.

- We Francji.

- Chciałem spytać z kim, w jakiej formacji - sondował Paul, daleki od przekonania.

- Najpierw w Eskadrze Lafayette w 1916 roku. Gdybym czekał, aż do naszej armii dotrze wieść o wojnie, to mógłbym w ogóle nie ruszyć się z ziemi. Kiedy w końcu Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, przenieśliem się do 94 Dywizjonu Amerykańskiej Służby Powietrznej.

- Pewnie zestrzelił pan kilka niemieckich samolotów.

- Owszem, kilka. Piętnaście, gdyby liczyć dokładnie. Ostatnie cztery nad Saint Mihiel. Tam się wszyscy obłowiliśmy. Eddie Rickenbacker okazał się prawie dwa razy lepszy ode mnie. Czyżby przypadkiem był pan dziennikarzem? Od lat z żadnym nie rozmawiałem. Nie sądziłem, że jeszcze kogoś to interesuje.

- Nie, nie. Jestem tylko niespokojnym ojcem.

- Rozumiem. Nie chciał pan, żeby córka latała z mechanikiem? Nie mam o to pretensji. Zupełnie słusznie wykazuje pan ostrożność. Ale ze mną nic jej się nie stanie.

- Tatusiu, proszę cię, nie trać tyle czasu na rozmowy! - wykrzyknęła Freddy, której cierpliwość dobiegła końca. Dziewczynka wierciła się i podskakiwała, a wraz z nią czupryna: oczy jej płonęły.

- Chodź, dziecko. Tam stoi piper cub. Miałem udzielać lekcji dziś po południu, ale uczeń ją odwołał, więc samolot jest zatankowany i gotów do lotu - powiedział McGuire, wskazując małą maszynę zaparkowaną o parę metrów przed hangarem. Freddy odwróciła się bez słowa i popędziła w

tamtym kierunku ile sił w nogach, pilot zaś podążał tuż za nią.

Paul stał na placu, czując się głupio. Ten człowiek był kiedyś asem, i to atutowym, przez dwa lata służył Francji w powietrzu. A więc tak ułożyły się dalsze losy przynajmniej jednego z tych rycerskich i romantycznych bohaterów, który wrócił do domu, zdjął lśniące buty, efektowne długie, obcisłe spodnie i skórzaną kurtkę z pasem. Paul usiadł na polowym krześle w pobliżu hangaru szkoły lotniczej i poddał się nerwowemu oczekiwaniu na powrót Freddy. Piper cub wydawał mu się niebezpiecznie mały.

* * *

Terence McGuire zapiął pas Freddy, siedzącej na lewym fotelu, przed tablicą przyrządów. Potem obszedł maszynę i wspiął się na miejsce po prawej stronie. Nie musiał sprawdzać samolotu, zrobił to godzinę wcześniej. Spojrzał na puste niebo i ruszył, kołując na koniec trawiastego pasa startowego. Popołudniowe oświetlenie w Dry Springs mieniło się złotem niczym w Grecji. Niebo było tak przerażająco błękitne, a powietrze tak czyste i zachęcające, jakby kryła się w nich najcudowniejsza obietnica.

Freddy milczała i lotnik spojrzał na nią, chcąc sprawdzić, czy mała się boi. Rzadko zdarzało się, żeby ktoś przychodził na lot z dziewczynką. W większości trafiali się chłopcy, starsi od tego dziecka, chociaż przy tak wysuniętym do przodu siedzeniu jak w tej chwili Freddy łatwo sięgała nogami pedałów steru kierunku. Nie, nie bała się, ale przecież nieraz bywało, że w ostatniej chwili ktoś dziękował i postanawiał jednak nie lecieć. Dziewczynka wyglądała... nie, nie na podnieconą, raczej na mocno skupioną, jakby koncentrowała wszystkie zmysły na tym krótkim locie dla zabawy. Przez minutę pilot trzymał maszynę na końcu pasa startowego,

wykonując ostatnie czynności przedstartowe. Kiedy już ruszył ku punktowi, w którym miał oderwać samolot od ziemi, rzucił ostatnie spojrzenie na pasażerkę. Skóra pod opalenizną zbielała, dziewczynka chyba wstrzymała oddech.

- Wszystko w porządku, dziecko? - zawołał, przekrzykując hałas silnika. Skinęła szybko, ale nie spojrzała na niego. Oczy miała utkwione w szybie przed sobą i McGuire założyłby się, że nawet nie mrugała.

Byli już w powietrzu. McGuire wszedł na wysokość pięć tysięcy metrów, wyrównał lot maszyny i skierował się na wschód, uciekając przed padającymi ukośnie, lśniącymi promieniami słońca. Leciał prosto, na jednej wysokości, wciąż z tą samą prędkością. Pasażerowie towarzyszący mu po raz pierwszy mieli, jego zdaniem, dość wrażeń przez samo oderwanie się od ziemi, bez jakichkolwiek ewolucji. W odróżnieniu od innych pilotów McGuire nie czuł potrzeby popisywania się kosztem pasażera.

- Podoba ci się widok? - spytał. Teraz, kiedy byli w górze, nie musiał już krzyczeć.

- Wspaniały. Wspanialszy niż wspaniały! Kiedy zaczniemy lekcję? - spytała.

- Lekcję? Jaką lekcję?

- No tę... moją.

- Chwileczkę, dziecko. Ojciec nie mówił niczego o lekcji.

- Nie było kiedy. Przez cały czas rozmawialiście o wojnie. Miałam dzisiaj odbyć pierwszą lekcję. Po co inaczej przyjeżdżalibyśmy do szkoły lotniczej?

- Gdybym wiedział, że chodzi o lekcję, bylibyśmy jeszcze na ziemi, a

ty uczyłabyś się, jak sprawdzić, czy samolot jest gotów do startu. W ten sposób nie zaczyna się lekcji - zaprotestował McGuire.

- Sprawdzę następnym razem - powiedziała Freddy i uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd wystartowali z lotniska.

- Cholera, pewnie że tak. I nie tylko następnym razem. Sprawdza się za każdym razem. W porządku, połóż rękę na drążku. Teraz przesun go łagodnie do przodu. Co się stało?

- Spadamy - powiedziała Freddy w popłochu.

- Zgadza się. Pociągnij go z powrotem do siebie. I co?

- Wznosimy się.

- Drążek do przodu: tracisz wysokość; drążek do siebie: znowu się wznosisz. To jest pierwsza rzecz. I najważniejsza. Wszystko jest ważne, ale wznoszenie się i opadanie przede wszystkim. Rozumiesz, dziecko?

- Tak, panie McGuire.

- Mów do mnie Mac. Wszyscy moi uczniowie tak mówią. Jak masz na imię?

- Freddy.

- Chłopięce imię, co?

- Po francusku nie. Prawdę mówiąc, nazywam się Marie-Frédérique, ale nikomu nie pozwalam tak do siebie mówić. Co dalej, Mac?

- Połóż stopy na pedałach steru. One decydują o kierunku lotu. Sterujesz pedałami, nie drążkiem. Drążek nie jest czymś takim, jak kierownica w samochodzie. Kierownicą są pedały. Naciśnij teraz... delikatnie... na lewy pedał. Co się dzieje?

- Zaczynamy skręcać w lewo.

- Co zrobisz, żeby znowu lecieć prosto?

- Wcisnę prawy pedał.

- Zrób to. Dobrze. Teraz trzymaj kurs. Pomóż sobie lewą ręką. Rozluźnij ramię, nie walczysz z nikim na rękę A teraz spójrz, Freddy, na ten przyrząd. Nazywa się wysokościomierzem. Pokazuje ci, ile metrów jesteś nad ziemią. A tutaj masz manetkę gazu. Jeśli ją wciskasz, samolot leci szybciej, jeśli wyciągasz, samolot zwalnia. Tak samo jakbyś dodawała gazu albo zmniejszała gaz w samochodzie. Rozumiesz?

- Tak - powiedziała i w tej samej sekundzie doznała nagłego olśnienia; dzięki wrodzonej koordynacji ruchów poczuła, że przyrządy sterownicze stają się jakby przedłużeniem jej kończyn.

- Popatrz na wysokościomierz, Freddy, i spróbuj podnieść nas o sto metrów. Musisz wcisnąć manetkę gazu i pociągnąć drążek do siebie. Ej! Nie tak szybko. Łagodnie... łagodnie... łagodnie. Tego chce samolot, nie zapominaj o tym. Spróbuj jeszcze raz, znowu o sto metrów. Hmm... teraz lepiej. A teraz zniż lot... łagodnie... o dwieście metrów, chcemy wrócić do początkowego położenia. Co zrobisz?

- Popchnę drążek i wyciągnę manetkę gazu. Bardzo, bardzo łagodnie.

- Słusznie. Teraz zrób to.

Śmiech Freddy zadźwięczał jak dzwon. Umiem latać samolotem - pomyślała. Dłonie Maca nie dotykały drążka. Siedział w kabinie z założonymi rękami, to ona pilotowała samolot. Przez całe życie wiedziała, że temu podoła, wiedziała zawsze, nie próbując nawet wyjaśnić skąd. Wrażenie było inne, niż się spodziewała, bardziej... bardziej... urzędowe, bo przecież na tablicy przyrządów miała przed sobą wszystkie wskaźniki, których przeznaczenia jeszcze nie знаła, ale zachwyty, ten zachwyty, o którym wiedziała, że czeka na nią niczym podarunek wiatru, składał się na

to wrażenie bez wątpienia.

- Powinniśmy zawrócić i lecieć do domu - powiedział Mac. -
Przejmę stery, a ty trzymaj dłoń na drążku i stopy na pedałach, żebyś
czuła, co robię.

Freddy niechętnie ustąpiła.

- De muszę mieć lat, żeby pilotować samolot bez pomocy?

- Najpierw musisz się nauczyć, jak to robić. Jeszcze tego nie umiesz.

Ale sama nie będziesz mogła latać, póki nie skończysz szesnastu lat.

- Co! Kto tak powiedział?

- Rząd. Przepisy. Cholerni głupcy... ja latałem sam, mając dwanaście
lat. Ale to się działo w starych dobrych czasach. Jeszcze wcześniej, na
samym początku, nie było dwusterów. Siadałaś za sterami i musiałaś
lecieć sama, na łeb na szyję.

- Czy to znaczy, że muszę czekać jeszcze cztery i pół roku? -jęknęła
Freddy. - Jak ja tak długo wytrzymam?

- Nie masz wyboru. Możesz nauczyć się latać, ale nie możesz sama
być pilotem.

- Cztery i pół roku - żałośnie powiedziała Freddy.

- Chodzisz w szkole na warsztaty?

- Tam nie ma warsztatów - odparła ponuro.

- Najlepiej zmień szkołę i idź do takiej, w której są. Od nich się
zaczyna. I od matematyki. Jesteś dobra z matmy?

- Tak - drętwo wymamrotała Freddy. - Lepsza niż z reszty
przedmiotów.

- To dobrze, tylko nie zawał sprawy. Jak można prowadzić nawigację
bez matematyki? A wierz albo nie, ale są ludzie, którzy nie pojmują jej za

żadne skarby.

- Jak moja siostra Delphine - odparła Freddy, nieco rozchmurzona.

- Przynajmniej jedna z was nazywa się jak dziewczynka. Czy widzisz stąd lotnisko, Freddy?

- Oczywiście. - Zmrużonymi oczami spojrzała w słońce i wskazała dokładne położenie prawie niewidocznego punktu bardzo daleko, na dnie doliny San Fernando. - Widzę je co najmniej od minuty.

- Hmm. - Terence McGuire pomyślał, że wie, gdzie jest lotnisko, bo zawsze było w tym samym miejscu, ale nie dałby złamanego miedziaka za to, że wypatrzy je ktoś będący pierwszy raz w powietrzu. On sam zobaczył je dopiero przed chwilą. Ten dzieciak miał dobry wzrok. Lepszy niż dobry.

- Powiedz, Freddy, co czujesz - poprosił, podchodząc do lądowania.

- Co masz na myśli?

- Jak teraz odczuwasz samolot?

Zdezorientowana Freddy siedziała spokojnie, jakby chciała usłyszeć objawienie niebios, samolot tymczasem zbliżał się szybko do pasa, z każdą sekundą lecąc coraz niżej.

- Jakby chciał wylądować - wykrzyknęła podniecona dziewczynka. - On chce wylądować, całkiem sam!

- Słusznie, a skąd wiesz?

- Czuję. Naprawdę czuję, Mac.

- Gdzie?

- W... na moim siedzeniu.

- Czujesz, że fotel ucieka spod ciebie, a spódnica unosi się w górę?

- Właśnie.

- Czyli prawidłowo, tak powinnaś to czuć. Następnym razem przyjdź

na loty w spodniach. - Posadził samolot na ziemi i kołował przed hangar szkoły. Paul rzucił się na wysiadających, bliski furii.

- Czy wiecie, że nie było was przez godzinę! Niewiarygodne! Odchodziłem od zmysłów! Do diabła, McGuire, gdzie pan ma rozum?

- Powoli. Lekcja trwa godzinę. Przylecieliśmy mniej więcej trzy minuty za wcześnie.

- Lekcja? - powiedział Paul nie dowierzając. - Prosiłem, żeby zabrał pan Freddy na krótki lot. Nigdy nie mówiłem o lekcji.

Terence McGuire spojrzał na Freddy, która odwzajemniła spojrzenie, patrząc na niego, McGuire teraz to wiedział, oczami będącymi w stanie sięgnąć wzrokiem za granicę możliwości. Usta dziewczynki ułożyły się w pewną, dumną linię zdradzającą, że ich właścicielka wie, iż ciężko zawiniła kłamstwem, ale występki wart był tego grzechu.

- Bardzo przepraszam. Przysięgłbym, że prosił mnie pan o lekcję dla Freddy - powiedział pilot. - Proszę wybaczyć nieporozumienie. Naprawdę nie chciałem wystawić na próbę pana nerwów. Wszystko powinno kosztować sześć dolarów, cztery za wynajęcie samolotu i dwa za lekcję, ale niech będą cztery, skoro chodziło po prostu o krótki lot. Aha, powinienem przynieść dziennik pokładowy dla tej pannicy.

Pospieszył do kantorku, znalazł dokument i wróciwszy, starannie dokonał pierwszego wpisu.

- Tutaj podpisz, Freddy. I schowaj dziennik w bezpiecznym miejscu, nie zgub go.

- Nie zgubię - Freddy westchnęła głośno, twarz promieniała jej wdzięcznością. - Na pewno nie zgubię. I na pewno jeszcze przyjdę, Mac. Nie wiem kiedy, ale najszybciej jak będę mogła.

- Nie doceniasz mnie, mała. Nigdy w to nie wątpiłem. Ani przez chwilę. Cześć, Freddy.

- Cześć, Mac.

W Szampanii królowało lato, był rok 1933. Na tarasie zamku Valmont wicehrabia Jean-Luc i wicehrabina Anette de Lancel witali Paula i Eve, którzy po raz pierwszy przyjechali w odwiedziny z córkami. Zgodnie z tradycją, pani zamku napełniała kieliszki do pierwszego toastu przy każdej wizycie gości w Valmont, tego dnia zaś nastąpiła chwila, mająca nie tylko uczuciową lub symboliczną wartość.

- Freddy oczywiście dorosła już do szampana - powiedziała babka Anette - szczególnie przy tak uroczystej okazji. - I naląła trzynastoletniej dziewczynce do pełna, tak samo jak innym.

Pijąc szampana, Paul uświadomił sobie, jak bardzo brakowało mu Valmont, jak bardzo musiał uważać, by nie myśleć o domu swego dzieciństwa. Prawie udało mu się wymazać z pamięci to nie znane z żadnego innego miejsca namacalne wrażenie harmonijnego zespolenia ziemi i jej owoców, poczucie niewidzialnej więzi doznawanej tak intensywnie, że niemal fizycznie. Dostatek, beztroska i niespotykana gościnność tchnęły z każdego grama powietrza w Szampanii. Żaden ocean nie obudził w Paulu takiego poczucia przekraczania własnych ograniczeń fizycznych i psychicznych jak leniwe, bezkresne morze winorośli. Nad każdą z winnic w porze zbiorów powiewała czerwono-niebieska flaga Lancelów, podobnie jak nad winnicami Pommery biała, a nad Veuve Clicot żółta.

Paul z dumą patrzył na Eve, Delphine i Freddy, siedzące w słonecznym świetle. Wszyscy czworo właśnie przyjechali samochodem z Paryża. Jazda zajęła im niecałe dwie godziny. Dwa tygodnie temu opuścili pociągiem Los Angeles, przemierzyli całe Stany Zjednoczone i statkiem

transoceanicznym wypłynęli do Francji. Paul dostał bowiem dwumiesięczny urlop i uznał, że nadszedł czas, by w końcu przywieźć żonę oraz dziewczęta do rodzinnej siedziby Lancelów, której nigdy nie widziały.

Kwitnienie winorośli, rozsiewających zapach niczym kwiaty passiflory, trwało dwa i pół tygodnia. Wczesny czerwiec był na szczęście wolny od groźnych wiosennych przymrozków, zapylanie kwiatów trwało w idealnym cieple, przy właściwej wilgotności powietrza i umiarkowanym wietrze, o który zawsze modlą się właściciele winnic; teraz nastał czas wzrostu gron w dolinie ciągnącej się u stóp zamku.

Valmont leży na północ od Hautvillers, wsi, do której w siedemnastym wieku dotarł Dom Pierre Perignon, by zamieszkać w tysiącletnim opactwie Saint-Pierre d'Hautvillers, prowadzić tam pełne zajęć, uporządkowane życie mnicha, i w czasie następnych czterdziestu sześciu lat, w godzinach nie poświęcanych akurat Bogu, odkryć sposób na przekształcenie wybornego miejscowego wina w szampan. Zamek był niegdyś otoczony dębowymi lasami; gdzie często polowano, toteż panowie na Valmont sadzili winorośl i robili wino wyłącznie dla uprzyjemnienia życia sobie i przyjaciołom. Teraz, spoglądając z zamkowego tarasu, na którym rodzina rozsiadła się przed południowym posiłkiem w przepiękny wczesnolipcowy dzień, wielkie drzewa widziało się w dolinie rzadko. Jak okiem sięgnąć, ciągnęła się precyzyjna, ciesząca wzrok szachownica winnic. Łagodne wypukłości wzgórz, na których dojrzewała wielka obfitość owoców szampańskich winorośli, tworzyła tak sielski i bezpieczny krajobraz, jak nigdzie na ziemi, a przecież w ciągu ostatniego stulecia przez bezcenne i niezwykle wrażliwe stoki południowych obrzeży

Francji przetoczyły się dwie wojny, które odmieniły historię Europy. Tego dnia wojna, a nawet sama myśl o wojnie, była dla Paula trudna do wyobrażenia. Niechęć, z jaką jego rodzice przyjęli małżeństwo z Eve, wreszcie ustąpiła. Minionej zimy matka napisała do Paula, przeprasząc za ostre słowa, które padły, kiedyś bowiem usłyszał od niej, iż to małżeństwo kosztowało go karierę. „Lata mijają - pisała matka - i powoli zaczynam mieć pewność, że bez Eve i dzieci nigdy nie byłbyś naprawdę szczęśliwy... na pewno nie, nawet gdybyś został mianowany ambasadorem”.

Uelastycznienia stanowiska matki Paul nie zawdzięczał bynajmniej legendarnemu, lecz najczęściej nie mającemu nic wspólnego z rzeczywistością, dojrzewaniu z wiekiem. Normalnie, upływ czasu czyni z francuskiej arystokratki osobę jeszcze bardziej dogmatyczną i mniej giętką, co zresztą można powiedzieć o kobietach z każdej klasy społecznej w każdym miejscu na ziemi.

Gdyby Guillaume, starszy syn Lancelów, ożenił się i miał dzieci, Anette de Lancel czułaby się bezpiecznie z myślą, że ciągłość rodu spoczywa w jego rękach. Mogłaby wtedy nadal pielęgnować urazę do Eve. Ale Guillaume był absolutnie zdeklarowanym kawalerem, który nie znosił dzieci tak samo, jak cieszył się wolnością stanu kawalerskiego. W końcu wicehrabina pogodziła się z faktem, iż nie będzie miała wnuków, które nie byłyby dziećmi Paula. Chociaż nie traciła okazji do wyrażania rozczarowania z powodu niepoważnego, egoistycznego i krótkowzrocznego zachowania starszego syna, to wiedziała, że przyszedł najwyższy czas na pogodzenie się z jedną i prawie na pewno jedyną synową, którą ma.

Teraz, patrząc na Paula z rodziną, skupionych wokół niej jeszcze w podróżnych strojach, czuła głębokie zadowolenie z doprowadzenia do tej wizyty. Guillaume i Jean-Luc z uwagą pochyłali się ku Eve, która opowiadała im o podróży. Starannie skrojony pikowany żakiecik z szerokimi ramionami, stanowiący część letniego kostiumu, odwiesiła na oparcie żeliwnego krzesła ogrodowego, zdjęła mały kapelusik z pochyłym rondem i ostrożnie skrzyżowała nogi okryte wąską spódnicą midi; przedstawiała obraz ożywienia i swobody. Anette de Lancel dokładnie zlustrowała Eve i uznała, choć z poważnymi oporami, że z tej kobiety mogłaby być dumna każda teściowa. Ale jej natychmiastową miłość zdobyły przede wszystkim wnuczki, szczególnie Delphine.

Czy była kiedyś równie słodką piętnastolatką? - zastanawiała się wicehrabina. Delphine nie imponowała pięknnością natychmiast rzucającą się w oczy. Jednak w jej nieskazitelnej urodzie było coś tak delikatnego i poruszającego, iż każda osoba, która to zauważała, miała wrażenie, że spostrzegła coś oryginalnego. Wielkie oczy o barwie dymu, tajemniczej szarości, która połyskiwała niczym opalizująca mgła nad morzem o zmierzchu, były osadzone daleko od siebie, pod wysokimi, wygiętymi w łuk brwiami. Brązowe kręcone włosy opadały jej z cudowną miękkością na szyję, mieniąc się blaskiem cennego, doskonale wypolerowanego drewna. Miała niezwykle dłonie, a subtelne proporcje ciała były tak wspaniałe, jakby dobierano je z największą starannością. Wyraźnie zarysowana granica włosów, z wierzchołkiem włamującym się na szerokie czoło, i mały podbródek układały się w kształt serca; twarz stanowiła jakby dalekie echo rodowych portretów dam z rodu Lancelów, niegdysiejszych pań na zamku Valmont. Delphine była średniego wzrostu

i tak wiotkiej, kruchej postury, że patrząc na nią, babka budziła w sobie wszelkie opiekuńcze instynkty. Cóż za rzadki okaz, doskonała jeune fille, myślała. Można byłoby powiedzieć, że Delphine wychowywano we Francji.

Marie-Frédérique, czy też Freddy, jak uparcie nazywali ją rodzice, co Anette de Lancel zauważyła nie bez cienia dezaprobaty, nie wzięto by za nikogo innego niż Amerykankę. Jak to możliwe, skoro oboje rodzice są Francuzami, wicehrabina nie potrafiła dociec. Musiał być to wpływ klimatu Kalifornii, gdyż żadnej młodej Francuzce, mającej trzynaście i pół roku, nie pozwolono by na taką ruchliwość, tak absolutną obecność. Wzrost i błękit oczu Freddy odziedziczyła niewątpliwie po Paulu, była wyższa o ładne parę centymetrów od Delphine; ekstrawagancja w zachowaniu pochodziła natomiast od matki. Ale włosy! Ten cały jaskrawy bałagan, z którym nie sposób dojść do ładu. Włosy były piękne, wicehrabina nie mogła zaprzeczyć, ale przecież takie... niestosowne, takie agresywne. Takie rude. Oczywiście w każdym pokoleniu trafiali się rudzi Lancelowie, ale u żadnego włosy nie dominowały nad całą postacią. Czemu Eve nie spróbuje z tym zrobić porządku? A gdyby nawet okazało się to niemożliwe, czemu Eve nie dąży wytrwale do tego, by młodsza córka nabrała wyglądu bardziej odpowiedniego dla eleganckiej panienki? Mimo to Freddy, ostrożnie upijającą łyk z pierwszego kieliszka szampana w życiu i rozglądającą się dookoła z nabożnym respektem, można było tylko kochać.

Freddy wiedziała, że ojciec dorastał w zamku, ale realia Valmont oszołomiły ją. Naliczyła trzy romantyczne wieże i zastanawiała się, kto w nich mieszkał. Próbowwała też odgadnąć, co mogli robić ludzie w tylu

pokojach, znaczonych licznymi oknami. Ileż kominków musi znajdować się w środku, skoro trzeba było postawić tak wiele starannych ceglanych kominów? Freddy nie zdawała sobie przedtem sprawy, że w istocie zobaczy zamczysko, choć babcia utrzymywała, iż jest to tylko nieduży zamek, jeden z pięciu w Szampanii. Największy z nich, Montmort, ma fosę, stanowczo bardziej rozległy park i spiralne schody takiej szerokości, że mógłby po nich wjeżdżać człowiek na koniu. Cóż za świetny pomysł!

Anette de Lancel spojrzała na zegarek. Do posiłku brakowało dziesięciu minut, a niespodzianka, którą planowała, jeszcze się nie wydarzyła. Trudno, pomyślała, jedzenie może poczekać.

W pięć minut później, kiedy wszyscy patrzyli odprężeni, jak Guillame otwiera drugą butelkę szampana, z lasu po prawej stronie zamku oddzielonego od Valmont jedynie pasem dobrze wygrabionego żwiru, wypadł w galopie jeździec. Człowiek na koniu najwyraźniej nie spodziewał się dojrzeć kogokolwiek na tarasie, skierował bowiem wzrok ku stajniom. Kiedy zobaczył Lancelów, odrzucił głowę do tyłu i ostro wstrzymał konia zaledwie o kilka kroków od nich. Beznamiętnie objechał na potężnym kasztanie dookoła zgromadzonych. Na chwilę zapadła cisza, lekki szelest wiatru w liściach winorośli brzmiał tak głośno, jakby ocean bił w burtę łodzi. Dziwne, pełne niepewności milczenie przerwał głos Anette de Lancel:

- Zsiądź z tej bestii i przywitaj się z gośćmi, kochanie. Nie przesadziłam chyba, obiecując ci małą niespodziankę, prawda Bruno?

Dziarsko, lecz jakby w niewidzialnej zbroi, która chroni przed wrażeniem, że gesty są spontaniczne, Bruno, wysoki i mocno zbudowany osiemnastolatek, zeskoczył z konia i natychmiast opanowując się, ruszył w

kierunku ludzi, których przyjazd babka tak starannie przed nim ukrywała. Podszedł i wszyscy obrócili się ku niemu, każdy z odmiennymi uczuciami.

Freddy i Delphine pękały z ciekawości, przyrodniego brata widziały dotąd tylko na zdjęciach. Bruno! Nareszcie! Paul poczuł, że ozywają w nim najgłębsze urazy, mimo to nie potrafił odsunąć od siebie myśli, jak wspaniały chłopak wyrósł z syna. Eve zdrętwiała, jakby ktoś uderzył ją w twarz; a więc to był syn, który złamał Paulowi serce ciągłym, niezrozumiałym uporem, każdego roku obiecując przyjazd i każdego lata znajdując inną przyczynę, przez którą wizyta nie mogła dojść do skutku, aż w końcu trzeba było pogodzić się z bolesną oczywistością, iż Bruno nie ma najmniejszego zamiaru odwiedzić ojca i przyrodnych sióstr. Anette de Lancel czuła niemal dziecięcą radość, stając się narzędziem pojednania, planowanego bez porozumienia z kimkolwiek poza mężem, którego udało się po długich staraniach przekonać do słuszności takiego postępowania.

Co do Bruna, wszystkie uczucia skrywał za doskonałą i mechaniczną dworskością, którą potrafił przywołać w każdych okolicznościach; niegdyś taka sama dworskość nie zawodziła dżentelmenów nawet w drodze na gilotynę. Objął Paula, jakby widział go w zeszłym roku, pocałował Eve w rękę z poprawnym mruknięciem „Bonjour madame”, potem wymienił uściski dłoni z Freddy i Delphine, jakby były panienkami w jego wieku.

- Mogłaś mnie uprzedzić - powiedział cicho, muskając wargami policzek babci.

- Bruno, kochanie, uważałam, że to najlepszy sposób. O wiele łatwiejszy dla nas wszystkich - odparła, zbywając jego słowa subtelnie, lecz jednocześnie z taką pewnością, że nawet Brunowi nie pozostało nic do powiedzenia.

Anette de Lancel dobrze zdawała sobie sprawę, iż Bruno unika wszelkich kontaktów z macochą i przyrodnimi siostrami. Po szokującym drugim małżeństwie Paula zarówno ona, jak i markizowie de Saint-Fraycourt okazali jednomyślność na temat Eve Coudert. Mieli wspólnego wroga. Przez spowinowacenie z obydwoma rodzinami Eve zadała im głęboką ranę, i to ranę z rodzaju, który się nie zabliznia. Czas nie zaciera plamy takiego mezaliansu. Ponieważ jednak Saint-Fraycourtowie chcieli gościć Bruna u siebie równie często jak Lancelowie, ci ostatni nigdy nie próbowali nalegać na odesłanie chłopca do ojca.

W miarę upływu lat Guillame okazywał się coraz bardziej zatwardziałym kawalerem, toteż znaczenie Bruna dla Lancelów rosło. Był on nie tylko ostatnim mężczyzną z krwią Saint-Fraycourtów w żyłach, lecz również ostatnim mężczyzną w tej gałęzi rodu Lancelów. Któregoś dnia, w przyszłości, miał stać się jedynym wicehrabią de Lancel na zamku Valmont.

Dziadkowie często dyskutowali o przyszłości, siedząc po obiedzie w saloniku przy kominku na ulubionych brokatowych fotelach. Po ich śmierci Guillame i Paul mieli odziedziczyć zamek i winnice w równych częściach. Gdyby bezdzietny Guillame umarł przed Paulem, temu dostałoby się z kolei wszystko. Ale gdyby Paul umarł przed żoną, majątek, podzielony na cztery równe części, przeszedłby w ręce jej i trojga dzieci Paula.

Ukochany przez nich Bruno nigdy nie zostałby w takiej sytuacji wyłącznym posiadaczem dóbr rodu. Musiałby dzielić tę wyjątkową ziemię z dwiema dyplomatycznymi przybłędami, dwiema nikomu nie znanymi cudzoziemkami, które nie korzystały z dobrodziejstwa francuskiego

wychowania, dwiema dziewczynami, które prawdopodobnie pobiorą się z innymi cudzoziemcami z wątpliwych miejsc i wydadzą na świat dzieci, z których każde odziedziczy udział w majątku, tak że w końcu zostanie on podzielony na zbyt wiele części, by zachować cokolwiek z tożsamości Lancelów, znaczącej przecież każdą piędź ziemi w Szampanii.

Kiedy Bruno poszedł do siebie szybko zmienić strój do jazdy konnej, a Eve zabrała Delphine i Freddy, Anette de Lancel poczuła ulgę w sercu. Delphine i Freddy, które rozmawiały z rodzicami wyłącznie po francusku, miały znakomity akcent i były tak spragnione kontaktów z dziadkami, tak subtelne, tak bez reszty zauroczone zamkiem Valmont, że markizie wydało się nagle, iż mimo wszystko nie są przybłędami, lecz prawdziwymi członkami rodu Lancelów, którzy powrócili po wielu latach wędrówki przez ziemię jałową. Tak, Anette wykazała mądrość, zapraszając wszystkich w tym samym czasie. A jeszcze większą nie mówiąc o tym Brunowi.

Nie do przeniknięcia, pomyślała Eve, obserwując Bruna w czasie posiłku - zupełnie nie do przeniknięcia. Schowany w otoczce grzeczności, tak wygładzonej, a jednocześnie masywnej i trwałej, jak ciężkie rodzinne sztuce ze srebra, leżące w równym szyku po obu stronach każdego z talerzy. Łatwiej wyobraziłaby sobie, że bierze w dwa palce jeden z noży i bez trudu wygina go, póki czubek ostrza nie dotknie szczytu trzonka, niż uwierzyłaby, iż Bruno szczerze uśmiechnie się do niej. Uzmysłowiła sobie z niezbitą pewnością, że nie istnieje dla Bruna, nigdy nie istniała i nie będzie istnieć. Nie widział jej nawet wtedy, gdy zdawał się swobodnie odpowiadać na jej pytania. Zupełnie jakby pod pełną życia powierzchnią jego piwnych oczu mieszkał tajemniczy ślepiec, zimny i nieubłagany.

Co ja mu właściwie zrobiłam? - zastanawiała się Eve ze złością. W świetle własnych pojęć o normach francuskiej arystokracji była w stanie zrozumieć, a przynajmniej próbować zrozumieć, dlaczego zaakceptowanie jej zajęło tak dużo czasu Lancelom. Bruno należał jednak do innego pokolenia, do pokolenia jej dzieci.

Rodzice dawno wybaczyli Eve stary skandal. Jej błyskotliwe małżeństwo pozwoliło im znowu podnieść głowy. Zanim zmarli, oboje w ciągu jednego roku, pod koniec lat dwudziestych, złożyli wielotygodniowe wizyty w Australii i w Cape Town.

Za kulisami ożywionej rozmowy, jaka zawsze towarzyszy przy stole producentom win, Eve stawiała sobie pytanie, czy powinna znaleźć sposób na porozumienie z Brunem, czy też postąpi mądrzej, wycofując się i po prostu godząc z jego trudną do wyjaśnienia wrogością.

Fascynujący, pomyślała Delphine przyglądając się, jak Bruno prowadzi dorosłą rozmowę w sposób, którego u osiemnastolatka nigdy przedtem nie widziała. Żaden ze starszych braci jej przyjaciółek ze szkoły nie trzymał się tak prosto, jakby chciał podkreślić ważność zajmowanej przez siebie przestrzeni. Nie robili tego nawet ci, którzy udawali ważniaków, bo mieli samochody i mogli jechać na plażę, do kina dla kierowców albo do jednej z lodziarni Currie'ego, gdzie kupowało się za piętnaście centów deser karmelowy z bakaliami albo rożek „milowy”. Delphine wyśmiewała dziesiątki chłopaków, bawiąc się wyrazem ich twarzy, gdy odrzucała zaproszenie. Eve zabroniła jej bowiem chodzić na randki przed skończeniem szesnastego roku życia.

Delphine uznała, sądząc po wyglądzie, że Bruno ma dwadzieścia kilka lat. Ciemne, mocno zarysowane brwi wyglądały na szerokim, ładnie

ukształtowanym czole niczym jarzma, a w twarzy dominował zgrabnie wyprofilowany, robiący wrażenie nos. Twarz różniła się” od amerykańskich, które zwykle widywała, była o wiele bardziej... bardziej... Delphine szukała właściwego słowa, ale na myśl przychodziło jej tylko „cywilizowana”. Nawet nie znając rodzinnych portretów, wyczuwała, że ta twarz zajmuje swoje miejsce w długiej linii rysowanej przez przodków, ma historię. Zastanawiała się, czy i jej twarz jest taka. Jednocześnie przepełniał ją zachwyty, znała już bowiem odpowiedź.

Obcy, powiedział w duchu Paul. Zupełnie nie mógł rozpoznać w Brunie wysokiego i chudego, ambitnego, pełnego zapału chłopca, którego spotkał osiem lat temu, dziecka z wysokim entuzjastycznym głosem, śniącego o wielkich rzeczach.

Bruno urósł jeszcze, ale ponieważ równocześnie rozwinęła mu się muskulatura, osiągnął po prostu swój wzrost. Także nos, niegdyś zbyt mocno zakrzywiony, powiększył się i bardziej zwracał uwagę. Od Bruna promieniowała siła, nawet władczość. Siedział, rozmawiając męskim, obcym głosem, przenikniętym chłodną i wystudowaną swobodą. Docinał nadopiekuńczej babce, ulegał dziadkowi i wujowi Guillame, czarował Delphine oraz Eve, a Paulowi zdawało się, że także Freddy.

Bez wątpienia musiał zdawać sobie sprawę, że mimo wizyty czworga Lancelów to on znajduje się w centrum uwagi. Zupełnie jakby wszyscy przyjechali go zobaczyć, a on łaskawie na to zezwalał. Sprawiał wrażenie, jakby nieoczekiwane spotkanie z ojcem po tylu latach ani trochę go nie zakłopotowało. Ani słowem, nawet zdawkowo, nie wspomniał o ich długiej rozłące, o latach łamanych obietnic, i Paul nagle przysiągł sobie, że nigdy nie zapyta o przyczynę tego zachowania. Nie chciał jej poznać, bo na

pewno przysporzyłaby mu cierpień.

- Powiedz mi, Bruno, kiedy idziesz do wojska? - spytał Paul.

- W tym roku, ojciec, po wakacjach. Podobnie jak wielu moich przyjaciół wybieram się do kawalerii. To powinno być zabawne.

- Uważaj, żebyś nie zamordował tych wojskowych szkap - burknął Guillaume. - Mogą nie być tak mocne jak mój Cesarz. A dzisiaj go zajeździłeś.

- Przepraszam, wuju. Cesarz długo nie był pod siodłem i musiał się porządnie wybiegać, czułem, że powstrzymywanie go byłoby okrucieństwem, ale oczywiście masz rację. To się nie powtórzy, zapewniam cię. Stajenni nie dość dbają o jego formę.

- Porozmawiam z nimi - powiedział Guillaume, nieco udobruchany.

- Kawaleria - westchnęła Delphine.

- A po służbie? - spytał wicehrabia de Lancel. - Czy już się, chłopcze, zdecydowałeś?

- Nie do końca, dziadku. Ciągle jeszcze myślę o wielu sprawach.

- Chcesz powiedzieć, że porzuciłeś myśl o naukach politycznych? - spytał ostro Pau!. - Co stało się z twoim zamiarem przewodzenia państwu?

- Tylko popatrz, ojciec. Socjalistyczny gabinet Paula Boncoura wytrzymał zaledwie pięć tygodni. Nowy rząd Daladiera jest pełen lamentujących głupców. Siedzą w nim radykałowie, jak Herriot, mięczaki, jak Laval, i inni, gromada liberałów i robotniczych przywódców, a deficyt rośnie, setki tysięcy ludzi nie mają pracy. Tymczasem Daladier nie potrafi wymyślić nic lepszego niż podniesienie podatku od dochodów. Dziękuję bardzo, jako idealista wolę się trzymać z dala od tego bałaganu.

- Skoro jesteś taki pewien, że rząd nie ma racji, to co

zapropowałbyś na jego miejscu? Krytykować łatwo, szczególnie idealście - powiedział Paul, rozwścieczony wyniosłym tonem, jakim Bruno oddalił od siebie ambicję, która, jak kiedyś przekonał ojca, wyznaczała całą jego przyszłość.

- Mocnego człowieka, jednego mocnego człowieka zamiast dwudziestu trzech kretynów.

- I już? A jak myślisz, Bruno, skąd się weźmie ten mocny człowiek? I jak dojdzie do władzy?

- Nie musimy spoglądać daleko, ojczec. Hitler robi to w Niemczech już od stycznia, kiedy został kanclerzem.

- Hitler? Popierasz tego... tego ohydneho kryminalistę?

- Zgódźmy się, że nie myślę o nim w takich prostych kategoriach, dobrze? Oczywiście, że Hitler mi się nie podoba, któremu Francuzowi mógłby się podobać? Sądzę jednak, że musimy uznać jego polityczny geniusz. Przejął ster państwa i w ciągu miesięcy postawił je na nogi. Zdelegalizował partię komunistyczną, pokazuje Żydom, gdzie jest ich miejsce. Jest zwolennikiem silnej ręki i zdecydowanych metod, nie pozwala, żeby mu cokolwiek stało na drodze.

- Proponujesz, żeby Francja znalazła sobie własnego Hitlera? - ryknął Paul, podrywając się z krzesła.

- Spokojnie, spokojnie - pospiesznie wtrąciła się Anette de Lancel. - Absolutnie zabraniam wam rozmawiać przy stole o polityce. Szczególnie dzisiaj. Przeżywamy wielki dzień i po prostu nie wolno wam obrócić go w ruinę. Jean-Luc, nalej jeszcze wina Paulowi. A dla was, dziewczęta, mam specjalny deser. - Zadzwoiła na kamerdynera zadowolona, iż mężczyźni posłusznie zamilkli. - Jeśli wam będzie smakował, kucharz nauczy was,

jak się to przyrządza. Zawsze mówiłam, że pani domu musi umieć gotować, choćby miała nie wiem jak dobrego kucharza. Zgadzasz się ze mną, Eve? Skąd inaczej mogłabyś wiedzieć, że kucharz źle się spisuje?

- Najzupełniej się zgadzam - powiedziała szybko Eve widząc, że ręce Paula drżą z wściekłości. Pomyślała, że podziw Bruna nie jest czymś, o co powinna zabiegać. Jak to możliwe, że Paul ma takiego syna? Po długim posiłku Delphine i Freddy poszły do swojego pokoju przebrać się w mniej oficjalne stroje. - Czy to nie jest podniecające, że mamy brata? Wydaje mi się absolutnie wspaniały, tobie też? - powiedziała Delphine do siostry, kiedy zostały same.

- Z przyjemnością odstąpię ci moją połówkę - odparła Freddy. Delphine odwróciła się gwałtownie nie dowierzając. Czy Freddy musi się źle wyrażać o najprzystojniejszym chłopaku, jakiego kiedykolwiek widziały, tylko dlatego, że jest zbyt wstydliva, żeby coś do niego bąknąć?

- O czym ty mówisz?

- Zastrany bufon, wydaje mu się, że jest diabli wiedzą kim - wyzywająco powiedziała Freddy.

- Marie-Frédérique! Zamierzam spytać babcię, czy mogę dostać osobny pokój. Nie chcę z tobą mieszkać. Jesteś odrażająca.

- Zastrany bufon - powtórzyła Freddy. - Do tego w cukrze.

* * *

Kilka dni później wcześniej rano, kiedy chłód nocy wciąż jeszcze spowijał kwiaty, Eve wyszła z domu ściąć róże, niosąc dwa podłużne, płytkie kosze ogrodowe i sekator. Znalazła je na parterze zamku, w pomieszczeniu na kwiaty, gdzie zamontowano trzy głębokie zbiorniki do przechowywania już ściętych, lecz jeszcze nie ułożonych roślin. Teściowa

powierzyła jej zadanie poprzedniego wieczoru.

- Zwykle robię to sama - powiedziała przy obiedzie. - Wolę nie dopuszczać do tego ogrodników... róże z ogrodu Valmont zawsze były przedmiotem mojej szczególnej dumy. Ale zastanawiam się, czy nie sprawiłoby ci przyjemności, gdybyś jutro ty zajęła się kwiatami, Eve?

- O, wielką - odparła uszczęśliwiona Eve rozumiejąc, że propozycja ta oznacza wielką odmianę w stosunku teściowej do jej osoby.

- Wiesz oczywiście... - zaczęła wicehrabina i zawahała się.

- ... Że łądygi trzeba powtórnie przyciąć w stojącej wodzie?

- Jak domyśliłaś się, co chcę powiedzieć?

- Mama uczyła mnie obchodzić się z różami, kiedy byłam małą - odparła Eve.

- Czy mówiła ci także, że dodaje się do wody kilka kropel bielidła i trochę cukru, żeby róże dłużej stały? - spytała Anette de Lancel.

- O tym nigdy nie słyszałam. My wkładaliśmy do wazonu centyma. Czy to też pomaga?

- Nie za bardzo, ale w pewnym stopniu tak. - Obie kobiety wymieniły spojrzenia wtajemniczonych osób, rozmawiających językiem niezrozumiałym dla mężczyzn, którym nigdy nie zdarzało się patrzeć z niepokojem na ogród i wyliczać, czy róże osiągnęły najlepszy moment, by pojawić się w pokojach, czy są akurat w jednym z irytujących stadiów przejściowych, kiedy wszystkie krzewy mają obiecujące pąki bez śladu barwy, czy też może stała się rzecz tragiczna: wszystkie kwiaty przekwitły o dzień za wcześnie.

Do różanego ogrodu w Valmont dochodziło się przez ciąg wysokich żywopłotów, starannie przyciętych i tworzących niemal labirynt, w którym

dzieci Lancelów od stuleci bawiły się w chowanego.

Eve przechadzała się dookoła z przygotowanym sekatorem, starannie wybierając róże nadające się już do ścięcia, gdyż zdarza się, że zbyt wczesne pąki nie rozwijają się potem w wazonie. Mimo to wkrótce miała w obu koszykach wielkie sterty kwiatów i chociaż wiedziała, że podejmuje ryzyko, nie mogła oprzeć się pokusie ułożenia ich zbyt wysoko, gdyż róże, przetrzymane na krzakach nawet o jeden dzień w letnim upale, otworzyłyby się za szybko i zmarnowały. Trzymając jeden z koszyków w wyciągniętej ręce przed sobą, drugi zaś z tyłu, Eve wracała wąską ścieżką do zamku. Właśnie ostro skręciła wzdłuż żywopłotu, kiedy nagle ukazał się Bruno spieszący w stronę stajni. Eve gwałtownie przystanęła i wzdrygnęła się zaskoczona. Koszyk, który trzymała przed sobą, przechylił się, a wszystkie róże ześlizgnęły się na zwirową ścieżkę u stóp Eve.

- Oj! Przestraszyłeś mnie - powiedziała, ostrożnie odstawiając drugi koszyk na ziemię. - Mam nadzieję, że różom nic się nie stało. - Eve przyklękała i zaczęła zbierać dziesiątki róż tak ostrożnie i szybko, jak tylko mogła. Podnosząc i wkładając je na miejsce, zauważyła, że kilka kwiatów upadło Brunowi na buty do konnej jazdy. Podniosła wzrok, zdziwiona brakiem pomocy, i zobaczyła, że Bruno stoi z ciasno założonymi rękami, wargi ma ściśnięte i wpatruje się w punkt przed sobą, z wyrazem niecierpliwie powściąganej wzdrygnięcia, jakby Eve była służącą, która wylała na niego wiadro pomyj, a teraz go ocierała. Wciąż w przyklęku Eve machinalnie zbierała róże czekając, aż minie jej atak furii.

- Bruno! Czemu tak stoisz? Dlaczego nie pomożesz Eve? - zabrzmiał głos wicehrabiny, która wyszła zza rogu.

Eve zerwała się.

- Wszystko w porządku, Anette. Myślę, że Bruno nie chce się pokłuć. Zupełnie skamieniał widząc kolce. Dalej, Bruno, przechodź, idź pojeździć na koniku, bądź grzecznym chłopcem.

* * *

Anette de Lancel zaplanowała, iż tego popołudnia Bruno weźmie Freddy i Delphine do Reims, pokazać im katedrę. Freddy uparła się jednak, że woli przejażdżkę konno z wujkiem Guillame niż oglądanie katedry. W rzeczywistości bardzo chętnie pojechałaby do Reims, ale nie mogła znieść perspektywy popołudnia spędzanego w roli jeńca na przyglądaniu się, jak Delphine adoruje Bruna.

Freddy pomyślała z niesmakiem, że gdyby Bruno był aktorem, Delphine z pewnością założyłaby klub jego wielbicieli i została przewodniczącą.

Freddy kochała Delphine głębokim uczuciem, prawie matczynym i tak naturalnym, że nie pamiętała jego początków. Nigdy nie zdarzyło się, żeby Delphine przestała być pierwszą osobą w jej życiu, bliższą pod wieloma względami niż ojciec i matka.

Kiedy jednak Freddy uważała, że Delphine zachowuje się głupio, nie umiała powstrzymać wściekłości. Była przekonana, iż jej powołaniem jest strzec Delphine, zupełnie jakby urodziła się wcześniej, a nie później. Freddy hołubiła siostrę. Tyle że Delphine była irytująca, lekkomyślna, uparta i przyzwyczajona do postępowania po swojemu. Nie uważała, by potrzebna jej była ochrona i z pewnością nie doceniała usiłowań Freddy, która próbowała jej ochronę narzucić. Kłóciły się więc, a ponieważ Freddy była silniejsza, Delphine musiała używać w walce słów zamiast ciosów. Drepcząc u boku milczącego wuja, Freddy myślała smutno, że siostrze

przydałoby się dobre lanie. Po prostu dla zasady.

Nieobecność Freddy sprawiała Delphine rzadką przyjemność. Nigdy nie odważyłabym się spróbować przy niej pierwszego papierosa, myślała radośnie, patrząc na Bruna, który pokazał jej, jak się zaciągnąć i podał jej zapalonego papierosa, a jednocześnie powoli prowadził samochód, wypożyczony mu na to popołudnie przez dziadka.

- Nie podoba mi się - wyznała, zniechęcona gryzącym uczuciem po nie ostrożnym wciągnięciu dymu. - Ale wyglądam bardziej dorośle.

- De masz lat? - spytał obojętnie.

- Prawie szesnaście - odparła, dodając sobie wiele miesięcy.

- Czyli zbliżasz się do niebezpiecznego wieku - Bruno zaśmiał się krótko i szczekliwie.

- Szesnaście? Niebezpieczny wiek? Przed szesnastymi urodzinami mama nie chce nawet puszczać mnie na randki - zaprotestowała Delphine.

- Dopiero po szesnastce coś się zaczyna.

- Cóż, mama ma powody, żeby cię trzymać pod kluczem. Obawia się, jak przypuszczam, że odziedziczyłaś jej skłonności - stwierdził beznamiętnie Bruno.

- Och, Bruno, nie wygłupiaj się - zachichotała Delphine. Nie mogła jednak dociec, czy ma to uznać za komplement. - Co miałeś na myśli, mówiąc „skłonności”? - Na pewno słyszałaś... no, o jej przeszłości.

- O przeszłości? Pochodzi z Dijon. Czy oto ci chodzi?

- Zapomnij o tym, co powiedziałem. To nieważne.

- Teraz postępujesz nie fair - powiedziała z oburzeniem Delphine. - Zaczynasz o czymś mówić, a potem każesz mi o tym zapomnieć.

- To nie ma znaczenia, Delphine. Powiedzmy po prostu, że twoja

matka wyraźnie sprawia na mnie wrażenie osoby, która całkowicie się zrehabilitowała. Widać stąd, co może sprawić czas i krótka pamięć większości ludzi. Oczywiście, przeszłość matki szybko zniszczyła ojca. Ale z drugiej strony ojciec ma jako rekompensatę ciebie i Freddy. Jestem pewien, że jego zdaniem było warto.

- Przeszłość? Bruno, musisz mi powiedzieć! - domagała się Delphine, płonąca z ciekawości.

- Zapytaj ją sama, jeśli chcesz wiedzieć. - Bruno zapalił drugiego papierosa, jakby uważał temat za zamknięty.

- Po prostu się zgrywasz - powiedziała Delphine pogardliwym tonem który, jak wynikało z jej doświadczeń, nigdy nie zawodził jako oliwa dolana do ognia. Lekko zaciągnęła się papierosem i z zainteresowaniem zaczęła studiować krajobraz. - Jak daleko jesteśmy od Reims?

- Myślałem, że wiesz, gdzie zaczęła śpiewać - rzucił Bruno po kilkuminutowym milczeniu.

- Oczywiście w Dijon. Miała prywatne lekcje u najlepszego nauczyciela w mieście. Mama śpiewa nam bez przerwy. Freddy i ja znamy większość jej piosenek na pamięć. Oczywiście, nie robi już tego zawodowo, ale w Los Angeles ciągle ją proszą, żeby śpiewała podczas koncertów na cele dobroczynne -odparła z dumą Delphine.

- Naprawdę? Podczas koncertów na cele dobroczynne? Jakie to budujące. - Bruno zaśmiał się krótko. - Czy opowiadała ci kiedykolwiek, że uciekła z domu do Paryża?

- Niemożliwe, Bruno! - pisnęła zachwycona Delphine. - Nie do wiary! Jakie to podniecające.

- W swoim czasie nie było podniecające - stwierdził Bruno posepnie.

- Było całkiem... no cóż, nie określili się tego innym słowem niż... haniebne. Miała siedemnaście lat, kiedy uciekła z tanim, trzeciorzędnym śpiewakiem z music-hallu. Zanim twoja matka spotkała ojca i nakłoniła go do małżeństwa, mieszkała z tamtym człowiekiem jako jego kochanka. Wszyscy mówią, że miała również innych kochanków.

- Kto ci naopowiadał takich potwornych kłamstw! - wykrzyknęła Delphine, bijąc go pięściami po nodze. Bruno ją odepchnął.

- Obie moje babki, ot kto. Babcia Lancel powiedziała mi, że nie bez powodu ojciec jest traktowany w swoim zawodzie, jakby nie istniał. Ze swoją wojenną przeszłością i z takim nazwiskiem powinien już być ambasadorem, a nie siedzieć na zsyłce na antypodach Francji. - Bruno spojrzał na Delphine. Patrzyła w innym kierunku.

- Matka mojej własnej matki, czyli babcia Saint-Fraycourt - ciągnął w tonie niezobowiązującej konwersacji - powiedziała mi, że w żadnym paryskim domu nie przyjęto by twojej matki, a to dlatego, że wywołała skandal, otwarcie żyjąc bez ślubu z mężczyzną i śpiewając dla zarobku w music-hallu, gdzie klauni opowiadają pieprzne dowcipy i paradują roznegliżowane panienki. Twoja matka występowała tam z małym numerem, śpiewając pospolite piosenki miłosne, ubrana w jaskrawoczerwoną sukienkę i takie same pantofle; jak rozumiem, była to jej sztandarowa kreacja. Znano ją pod imieniem „Maddy”. Dlatego właśnie powiedziałem, że rzuca się w oczy, jak doskonale udało jej się przemienić w damę, kiedy pobrali się z ojcem. Powinnaś ją za to podziwiać.

- Nie wierzę w ani jedno słowo! Wymyśliłeś to od początku do końca! - krzyknęła kipiąca sprzeciwem, zaszokowana Delphine.

- Spytaj kogo chcesz. Jeśli sądzisz, że kłamię, spytaj babci. Spytaj własnych rodziców. Każde moje słowo jest prawdą. Dorastałem, żywiąc się tą historią. Dziwię się, że udało im się tak długo ukrywać ją przed tobą. Z pewnością wyjaśnia to jednak, dlaczego dopiero teraz przywieźli cię do rodzinnego kraju.

- Byliśmy na placówce za granicą. Musieliśmy tam jechać - powiedziała Delphine i zaczęła szlochać. Bruno zjechał na skraj drogi i wyłączył silnik.

- Bardzo mi przykro, Delphine. Proszę, nie płacz. Posłuchaj. Naprawdę myślałem, że o tym wszystkim wiesz... to działo się tak dawno, że już nie ma najmniejszego znaczenia. Pozwól, że obetrę ci twarz. Rozumiesz chyba, jak było mi ciężko. Nigdy nie znałem własnej matki i praktycznie nie miałem ojca, który zawsze znajdował się bardzo daleko. Jak czułabyś się, gdyby wychowywali cię dziadkowie?

- Jeśli potrzebowałeś ojca, to dlaczego nie przyjechałeś mieszkać z nami?

- Chciałem. Ale moi dziadkowie Saint-Fraycourt nie dopuściliby nawet, żebym pojechał w odwiedziny. Są bardzo staroświeccy. Byli przekonani, że twoja matka wywrze na mnie zły wpływ. - To najgłupsza rzecz, jaką zdarzyło mi się słyszeć!

- Oni już tacy są. Musiałabyś ich znać, żeby móc zrozumieć. - Nigdy nie zrozumie takich ludzi! - powiedziała Delphine porywczo.

- Nigdy nie będziesz musiała. Widzisz, nie powinienem był zaczynać. Czy nie moglibyśmy po prostu udawać, że ty nigdy nie zadawałaś mi takich pytań, a ja nigdy nie odpowiadałem na nie? Po co przejmować się tym, co myślą starzy ludzie? Wytrzymaj nos, Delphine.

Jesteśmy prawie w Reims. Pojedziemy do kawiarni, napijemy się lemoniady, a potem obejdziemy miasto. Możemy nawet przy okazji rzucić okiem na katedrę Ucieszymy babcię.

Bruno zapalił silnik, a Delphine pomyślała, że musi zapytać matkę. Nie wierzyłaby Brunowi ani jego babce. Ale co będzie, jeśli mama naprawdę uciekła z Dijon, mając siedemnaście lat? Co będzie, jeśli miała kochanków i mieszkała z nimi?

Mama nigdy nie opowiadała o tym, jak była młoda, chodziła na przyjęcia, poznawała chłopców, dostawała zaproszenia na tańce, jak spotkała ojca... nie opowiadała tego w sposób, jakiego można by oczekiwać. Zawsze... zawsze było coś. Właściwie nie tajemnica, ale coś... niedopowiedzianego, zagadkowego... Coś brakującego... czego Delphine nie mogłaby nawet nazwać... luka... Stąd wyobraźnia Delphine czerpała przekonanie, że matka różni się od matek jej szkolnych przyjaciółek. A co będzie, jeśli Bruno powiedział prawdę? Jeśli mama była Maddy?

Oczywiście Delphine mu nie wierzyła, ale z nikim nie zamieniłaby słowa na ten temat. Pomyślała wyzywająco, że nie chce niczego wiedzieć. Ta sprawa jest już niczyja. Ona sama też nie będzie o niej myśleć. Nie ma o czym. Nawet gdyby Bruno powiedział prawdę, stanowczo nie ma o czym.

* * *

Po obiedzie, w pierwszym tygodniu letniej wizyty, Jean-Luc de Lancel zaprosił synów i Bruna na spacer.

- Pomyślcie o swetrach - powiedział. - Zdaje się, że mamy dzisiaj chłodny wieczór. - Paul i Guillame wymienili spojrzenia. Najwyraźniej w tę gorącą noc ojca korciło, żeby odwiedzić piwnice, gdzie, jak w całej

Szampanii, korytarze wydrążone w wapiennym podłożu sięgały tak głęboko, że temperatura zawsze oscylowała wokół dziesięciu stopni, czy to w najbardziej gorący, czy w najzimniejszy dzień roku.

- Przesadzasz dziadku - powiedział Bruno; nie zauważył, że Jean-Luc wziął grubą kurtkę wiszącą w szafie i z dodatkowym swetrem dla siebie przerzucił ją przez ramię.

A więc Bruno nigdy nie był w piwnicach, pomyślał Paul, gdy wszyscy czterej wyruszyli. Pewnie nie okazywał dostatecznego zainteresowania. A może ojciec uważał, że Bruno jeszcze nie dorósł. Zresztą nie zaprosił Delphine ani Freddy, ani nawet Eve, chociaż piwnice Lancelów były bez wątpienia najbardziej fascynującą częścią posiadłości. Nie dorównywały oczywiście wielkością dwudziestopięciokilometrowym korytarzom należącym do olbrzymiej firmy Moet & Chandon, a wspaniałością podziemiom w Pommery, w których każdą z galerii opatrzone innymi łukami, romańskimi, gotyckimi lub normandzkimi, Paul wiedział jednak, że dziewczynki obejrzałyby je z chęcią.

Odwiedziny w piwnicy znaczącego producenta wina stanowią objawienie dla kogoś wyobrażającego sobie jedynie ciemność, omszałe kamienie i pajęczyny. Piwnice Lancelów nie były wyjątkiem. Czterej mężczyźni znaleźli się w podziemnym mieście, dobrze oświetlonym i wentylowanym, z utwardzanymi przejściami. Szerokie pomocnicze aleje, ograniczone ścianami, prowadziły do węższych ulic, również mających ściany i regularnie krzyżujących się z podobnymi ulicami, tak że już po przejściu kilkunastu metrów ktoś nie będący tam stałym gościem ryzykował, że całkowicie zagubi się wśród ponad dwumetrowych ścian zrobionych z tysięcy butelek szampana, leżących na cienkich drewnianych

listwach, warstwa nad warstwą, w długich, precyzyjnie uformowanych stosach trzymetrowej szerokości, chronionych przez kredowe ściany piwnicy, gładkie jakby je otynkowano.

Dziękując skrzywieniem ust, Bruno włożył kurtkę podaną mu przez dziadka. Guillaume i Jean-Luc przechadzali się między ścianami szampanicznym między rzędami krzewów w żywopłocie; przystawali jedynie, by wyciągnąć szczególnie interesującą butelkę do pokazania Brunowi i Paulowi.

- Kiedy zaczęła się plaga filoksery, trzeba było od nowa sadzić wszystkie nasze winnice. O ile wiem, w całej Szampanii nie pozostał ani jeden nie zaatakowany chorobą szczep - powiedział w zamyśleniu Jean-Luc. - Sądzę, że nie należy się skarżyć, ale wraz z kryzysem ceny winnych gron musiały spaść. Wygląda tak, jakby ludzi nie było stać na picie naszego wina. Zamówienia się kurczą, prawda Guillaume? Także prohibicja nie pomogła. Ale mimo wszystko widzieliśmy w Szampanii gorsze dni, a nie wątpię, że wkrótce zobaczymy lepsze.

Mówiąc to, zatrzymał się przy ścianie zamykającej jedną z komnat. Bruno obejrzał się, niezdolny nawet odgadnąć położenie wejścia, w najwyższym stopniu oszołomiony rozmiarem podziemi. Lekko zadrżał i cofnął się o krok, wyraźnie nie mając ochoty na słuchanie wyjaśnień dziadka w takim chłodzie.

- Chwileczkę, Bruno. Chcę ci coś pokazać. Wszyscy Lancelowie muszą wiedzieć o naszej rodzinnej kryjówce. Kto wie, co przyniesie przyszłość? I jak szybko się to stanie. Guillaume?

Wicehrabia wskazał w kierunku kredowej ściany i Guillaume mocno naparł na jedną z jej części, nie różniącą się od pozostałych niczym poza

lekkim zarysowaniem powierzchni. Płyta odskoczyła na ukrytych zawiasach, ukazując metalowy zamek. Jean-Luc de Lancel wybrał z pęku mały klucz i wsunął go do zamka, otworzył drzwi, wykonane z masywnych bloków kredowej skały ponad metrowej grubości. Dalej panowała całkowita ciemność. Jean-Luc wszedł pierwszy i zapalił światła. Przed nimi ciągnęła się jeszcze jedna obszerna komnata. Jeśli nie liczyć dochodzących do niej pomocniczych przejść, była w całości wypełniona migotliwymi fortyfikacjami z szampana. Wino ułożone w stosy o wysokości dwudziestu butelek, mogłoby uchodzić za sztaby złota, każda butelka bowiem była ubrana w dwie poślaczane nalepki, szyjkę zaś i korek pokryto elegancką złotą folią.

- Większość tego zapasu stanowi szampan w butelkach zwykłej wielkości - powiedział z gestykulacją Jean-Luc, rozumiejąc ich nabożne milczenie. - Powyżej stoją gąsiory dwu-, cztero-, pięcio- i dziesięciolitrowe, choć z żalem muszę stwierdzić, że zapotrzebowanie na większe pojemności nie jest takie, jak bywało. Warunki przechowywania są tu doskonałe, ale mimo to po dwunastu latach usuwam określony rocznik i dostarczam go na rynek, gdyż nawet najlepszy szampan po dwudziestu latach leżakowania przestaje się nadawać do picia. Ustanowiłem niezłomną zasadę i zastępuję go po kolejnych zbiorach bez względu na zyski. Kiedy zbiory są nie dość udane, by nadawały się na naprawdę dobre wino, zastępuję butelki takiego rocznika już po czterech latach. W każdym razie ta piwnica jest zawsze pełna. Zawsze. Nawet gdyby zrzędzeniem losu nadszedł rok, z którego wino nie nadaje się do picia, w żadnym wypadku nie naruszyłbym zapasu... nie zrobiłbym tego, nawet gdyby przytrafiło się kilka niefortunnych lat z rzędu, na tym

bowiem polega siła marki Lancel. To jest nasz skarbiec. Nazywamy go Le Tresor.

- Po co trzymać wielką piwnicę pełną szampana, skoro bez przerwy sprzedajesz i wymieniasz butelki, sprzedajesz i wymieniasz? Jaką korzyść odnosi się z gromadzenia? - spytał Bruno nie rozumiejąc.

Jean-Luc de Lancel uśmiechnął się do wnuka i oparł rękę na jego ramionach. Przecież cała ta wiedza była dla rodziny, on zaś znajdował wielką przyjemność w udzielaniu wyjaśnień.

- Widzisz, Bruno, kiedy w roku 1918 skończyła się wojna, wróciłem do domu i odkryłem, że włoski generał i jego sztab, którzy używali zamku jako kwatery, zużyli cały zapas szampana z piwnic. Musieli się w nim kąpać, bo piwnice wyczyszczono do ostatniej butelki. To samo zdarzyło się już wcześniej, w czasach mojego dziadka, w roku 1870, kiedy trwała wojna francusko-pruska i Valmont zajęły oddziały niemieckie. W 1918 roku nasze winnice były w opłakanym stanie, wiele z nich ostrzelano i zamieniono w kretowisko podczas ostatnich miesięcy walk w okopach. Musieliśmy poświęcić trzy i pół roku ciągłej pracy i troski, a także znaczną część rodzinnej fortuny, zanim doczekaliśmy pełnych zbiorów. Do dziś prawie odrobiliśmy te straty, ale chociaż nasz rachunek bankowy osiągnął zdrową równowagę, to wiele winorośli jest niestety w średnim wieku.

- O? - pytająco rzucił Bruno, w odróżnieniu od Paula i Guillame'a nie rozumiejąc, co to oznacza.

- Winorośl do dziesiątego roku jest w pełni sił. Piętnastoletnia osiąga już wiek średni. Po dwudziestu latach praktycznie z żadnej nie ma najmniejszego pożytku. Trzeba je wykopać i zastąpić nowymi. Winorośle

sadzone w roku 1919 przeżywają właśnie najlepszy okres, ale mają przed sobą jeszcze zaledwie osiem, najwyżej dziesięć lat płodności.

- Nadal nie rozumiem, po co trzymasz tutaj te butelki - przerwał niecierpliwie Bruno, bardzo chcąc opuścić chłodną piwnicę. Dziadek mówił jednak dalej, bez pośpiechu upajając się słowami.

- Kto wie, co przyniesie przyszłość? Kto wie, czy łatwo będzie w razie potrzeby zasadzić winnice od nowa? Kto wie, a to niepokoi mnie najbardziej, co się stanie, jeśli wybuchnie nowa wojna? Niemcy znów się zbroją. A pierwszym miejscem we Francji, do którego wkraczają, jest Szampania. Zawsze tak było. Ziemia jest naszym błogosławieństwem, ale jej położenie stanowi klątwę. Nie wątpię, że monsieur Hitler ma już plany w związku z naszym dziedzictwem. Robię więc wszystko, co w mojej mocy. Zatrzymuję dużą część najlepszego wina z każdego roku i składuję je, póki warto. Gdyby rozpętała się następna wojna, to po jej zakończeniu Lancelowie wrócą do Valmont i znajdą tam skarbiec, o którym nie wie nikt poza Martinami, trzema piwnicznymi, trzema kuzynami, którym wierzę jak sobie samemu. Złożyli tutaj butelki, żeby w razie potrzeby sprzedając je, można było odtworzyć, na nowo zasadzić, odrodzić winnice. Dzięki temu nie czuję lęku... póki trwa cywilizacja, rynek na szampana będzie istniał.

- Czy mama o tym wie? - spytał Paul.

- Oczywiście. Kobiety zarządzają winnicami tak samo jak mężczyźni, czasem nawet lepiej od nich. Przykładów z historii dostarczają wdowa Clicot i niezrównana madame Pommery. Dziś jest wśród nich madame Bollinger i markiza de Suarez d'Aulan w Piper-Heidsieck. Tak, twoja matka wie, a pewnie któregoś dnia ty zechcesz powiedzieć Eve. Ale

dziewczęta są za młode, żeby niepokoić je moimi mrocznymi wizjami. A teraz, zanim pójdziemy, wypijmy wspólnie po kieliszku. Wino będzie dostatecznie chłodne, choć nie chłodzone.

Wicehrabia podszedł do stolika, stojącego w pobliżu drzwi do tajnej komnaty, na którym stały odwrócone do góry dnem kieliszki w kształcie tulipana, okryte przed kurzem kawałkiem lnianego płótna. Nie ruszając innych butelek w stosie, wyciągnął różowego szampana, który wytwarza się najtrudniej, i posługując się specjalnymi szczypcami o stępionych krawędziach delikatnie go odkorkował. Spirala dymku, ulotna jak mgiełka oddechu, uniosła się i znikła. Dopiero wtedy wicehrabia nalał płynu na dno własnego kieliszka i zamieszał, żeby wytrącił się osad. Guillame, Paul i Jean-Luc z aprobatą przyglądali się śnieżnobiałej, szybko niknącej piance na powierzchni wina. Senior rodu Lancelów uniósł kieliszek pod światło, żeby wszyscy mogli zachwycić się niezrównanym, bladoróżowym odcieniem płynu, i pochylił się, chcąc obejrzeć liczne bąbelki zbierające się przy nóżce i wypryskujące na powierzchnię. Żywość ich ruchu i jednakowa wielkość obiecywały wyborną jakość wina. Wicehrabia wciągnął w nozdrza aromat szampana. Podał też kieliszek Brunowi, każąc mu posłuchać, jak banieczki wypowiadają ciche słowa: „Oto ci, którzy nie wiedzą, że szampan mówi”. Potem napełnił resztę kieliszków, zamieszał w swoim i w końcu skosztował trunku.

- Za przyszłość! - powiedział i wszyscy wypili. - Czy zauważyłeś, że szampan ma inny smak w ustach, a inny w głębi gardła, po przełknięciu? - spytał Bruna, gdy ten opróżnił kieliszek. - Prawdę mówiąc, nie zauważyłem. - Wobec tego musisz zwrócić baczniejszą uwagę następnym razem, chłopcze. To właściwie bardziej odczucie lekkiego ciepła niż

określony smak. Wywołuje je tylko bardzo dobry szampan. Zwie się ono Pożegnaniem.

* * *

Parę dni później w mgliste paryskie popołudnie wicehrabia Bruno Saint-Fraycourt de Lancel, jak głosiła jego karta wizytowa, mimo iż rodowego nazwiska matki na chrzcie mu nie nadano, rzucił karty na stół w klubie, do którego zwykł był uczęszczać, i powiedział:

- Panowie, koniec na dziś.

- Tak szybko wychodzisz, Bruno? - spytał Claude de Koville, jego przyjaciel.

- Babka prosiła mnie, żebym wcześniej wrócił na herbatę. Spodziewa się gości.

- Wnuk doskonały - powiedział kpiąco Claude. - Wychodzi akurat, kiedy ma dobrą passę. Szkoda, Bruno. Może twoje wyjście przyniesie mi szczęście.

- Powodzenia - odparł Bruno wstając. Po opuszczeniu klubu pojechał taksówką prosto na Rue de Lille. Od czasu spotkania z Eve, zauważał u siebie napięcie i skłonność do irytacji; na takie uczucia nie pozwalał sobie nigdy, musiał je rozładować.

- Dzień dobry, Jean - powiedział Bruno do kamerdynera, który otworzył drzwi wielkiego domu. - Czy monsieur Claude jest w domu?

- Nie, panie Bruno. Dziś po południu wyszedł - odparł mężczyzna. Służył u Koville'ów całe życie i w przeszłości wielokrotnie przyłapywał zarówno Claude'a, jak i Bruna na różnych niecznych uczynkach, toteż osiemnastoletni Bruno był przez niego nadal traktowany jak uczeń.

- Szkoda. Miałem nadzieję, że wypiję filiżankę herbaty.

- Pani hrabina właśnie pije herbatę. Jest sama. Czy mam przekazać jej, że pan przyszedł?

- Ach, po co tyle fatygi... a zresztą dobrze. Zrób to, Jean. Umieram z pragnienia.

W kilka minut później kamerdyner wprowadził Bruna do saloniku na pierwszym piętrze, w którym siedziała Sabine de Koville, mając przed sobą tacę z herbatą. Nogi skrzyżowała pod upiętą suknią o płynnej linii, uszytą z orzechowozielonej jedwabnej krepy. Od białej szyi opadał rozcięty stanik, swobodnie zwisający materiał, po jednej stronie przychwycony klamrą na wysokości biodra, nadawał sukni wdzięczną, grecką linię.

Sabine de Koville była elegancką istotą w wieku trzydziestu ośmiu lat, z gładkim hełmem Ciemnych, prostych włosów, zaginających się pod uszami i chudymi, lekko wykrzywionymi wargami, pokrytymi jaskrawoczerwoną szminką. Oczy miała wąskie i leniwe, w ich kącikach czaiła się kpina; w niskim głosie hrabiny pobrzmiwały jednak charakterystyczna niecierpliwość i niepokój, bez względu na to, z kim rozmawiała. Zawsze ubierała się w uwodzicielsko kobiece suknie od Vionett, gdyż jej jędrne ciało było odrobinę zbyt obfite, by dobrze wyglądać w chłopięcym stylu Chanel, wytwory Elsy Schiaparelli uznawała zaś za zbyt łatwe do skopiowania przez producentów gotowej konfekcji i raczej zbyt zwariowane, by nosił je ktokolwiek naprawdę znający się na strojach.

Hrabina de Koville była uważana za jedną z najinteligentniejszych kobiet w Paryżu, mimo iż nigdy nie wchodziła w zażyłość z kobietami, a może właśnie dlatego. Nie znano przypadku, żeby ktoś zaproszony nie

przyszedł do niej na przyjęcie, ale herbatę hrabina często wypijała sama. - Jeśli szukasz mojego syna Claude'a, to nie mogę ci pomóc, Bruno... On nigdy mi nie mówi, dokąd idzie ani kiedy wróci - powiedziała madame de Koville po wyjściu Jeana z pokoju. Bruno podszedł do sofy i zatrzymał się o pół metra od kobiety, spuszczać oczy w geście szacunku.

- Od początku wiedziałem, że go nie ma w domu - powiedział Bruno. - Zostawiłem go w klubie. Myślę, że nie wróci w ciągu najbliższych kilku godzin. - Nastąpiła przerwa. Hrabina badawczo przyglądała się Brunowi, który stał, jakby czekał na jej rozkazy. Uniosła dużą, niemal kwadratową dłoń i w zamyśleniu lekko poklepała dolną wargę, jakby usiłowała podjąć decyzję. Rozplotła nogi, odstawiła trzymaną filiżankę herbaty i rzuciła spojrzenie na Bruna, jakby ten popisał się właśnie wyjątkowo subtelnym dowcipem. Kiedy odezwała się znowu, jej głos brzmiał, jakby krótka wymiana zdań na temat syna w ogóle nie miała miejsca.

- A więc tak się sprawa przedstawia, Charles? - Pytanie było szorstkie.

- Tak, proszę pani - odparł Bruno uległym tonem, z głową sklonioną w akcie wyjątkowego szacunku.

- Czy odstawiłeś samochód, Charles? - spytała stanowczo.

- Tak, proszę pani - jego głos brzmiał służalczo, potulnie, a ciemne brwi ściągnęły się z niepokoju.

- Czy samochód jest umyty i wytarty do połysku?

- Tak, proszę pani, dokładnie jak pani kazała.

- Czy przyniosłeś wszystkie zakupy, po które cię wysłałam, Charles?

- Mam je tutaj. Gdzie pani sobie życzy, żebym je położył? - spytał Bruno, a jego uległa twarz jeszcze bardziej niż zwykle podkreślała głęboką

krzywiznę górnej wargi.

Sabine de Koville uniosła się, falując śliskim jedwabiem, i nie zdradzając się słowem czy uśmiechem, poprowadziła go z saloniku do zaciemnionej sypialni, w której służąca już zaciągnęła zasłony.

- Możesz położyć je tutaj, Charles - powiedziała, a niecierpliwość w jej głosie się wzmogła. Bruno obrócił się i zamknął drzwi do sypialni na klucz.

- Czy pani jeszcze mnie potrzebuje?

- Nie, Charles, możesz odejść. - Bruno wziął hrabinę za rękę, jakby zamierzał złożyć pocałunek. Zamiast tego obrócił rękę i przycisnął wargi do twardej dłoni, wsysając delikatną skórę w pulchne usta, tak że hrabina poczuła dotyk jego zębów i ciepło oddechu. Trzymał jej rękę w niewoli, uniósł głowę, zmrużył oczy, prawie z niechęcią przyjmowanej przyjemności.

- Możesz odejść, Charles - nalegała cesarskim tonem Sabine de Koville.

- Nie sądzę - powiedział Bruno i nie puszczając dłoni, pociągnął rękę hrabiny do przodu a zarazem w dół, tak że spoczęła na jego kroczu, na spodniach wypchanych przez potężniejący członek.

- Przestań, Charles - powiedziała hrabina, usiłując zabrać rękę, ale bezlitosny uścisk zmusił ją do objęcia krocza. Spuściła powieki i stała w bezruchu, jakby nasłuchiwała cichutkiego, nieuchwytnego dźwięku, raz po raz czując, że członek Bruna tymczasem porusza się i twardnieje dokładnie pod jej dłonią i długimi palcami, aż w końcu staje się olbrzymi.

Mimowolnie rozchyliła cienkie wargi, gwałtownie wciągnęła powietrze, wyraz żarłoczności pojawił się na jej dokładnie wystudiowanej

twarzy.

- Pani musi stać absolutnie spokojnie. Pani wolno robić to, co jej powiem, i tylko to - ostro rzucił Bruno. - Czy pani rozumie?

Skinęła z powagą i przyglądając się, jak dzikość zmienia nagle chłopiące rysy, poczuła gorącą, obfitą wilgoć napływającą między uda. Na skroni Bruna pulsowała żyła, a jego nadaśane usta raziły brzydota, która napęlała Sabine de Koville tęsknotą, by je całować, choć kobieta nie wykonała najdrobniejszego gestu w tym kierunku.

- Pani musi stanąć przy ścianie - szepnął. - Pani nie wolno zdejmować butów. - Poddała się rozkazowi stając prosto, z dumnie uniesionymi piersiami. Bruno stanął nad nią, odsunięty zaledwie o centymetry, i brutalnie ważył piersi w dłoniach, jednocześnie zajmując kciuki i palce wskazujące poszukiwaniem sutków pod cienkimi fałdami jedwabiu. Znalazłszy zaczął je wprawnie przyszczypywać, zręczne palce poruszały się niebezpiecznie blisko granicy bólu. Stwardniałe sutki czekały na dotyk ust, który jednak nie nastąpił. Mimo nakazu oderwała ciało od ściany ku Brunowi, on jednak odepchnął jej ramiona z powrotem. - Mówiłem, żeby pani się nie ruszała - polecił nieubłaganie i jedną ręką nadal drażnił sutki, drugą natomiast zsuwał z pogardliwą powolnością po jedwabiu okrywającym pełne, jędrne ciało, póki nie osiągnęła celu na łonie. Tam jego pewne palce badawczo potarły wyraźną wypukłość. Sabine de Koville jeszcze raz spróbowała wypchnąć biodra do przodu tak, by jej miednica zetknęła się ze sterczącą krawędzią męskiego krocza, ale Bruno wymusił na niej bezruch: jego palce stopniowo obciskały jedwab na wzgórkę, aż w końcu materiał wślizgnął się pomiędzy jej uda, przyprawiając ją niemal o utratę zmysłów zmiennymi dotknięciami, to

leciutkimi, to gwałtownymi, to powoli ustępującymi, to szaleńczo odważnymi. Oddech kobiety stał się płytki, czekała z głową odrzuconą do tyłu, zupełnie już nie panując nad sobą. Jedwab zwilgotniał.

- Pani może uklęknąć na fotelu przy łóżku - rozkazał Bruno.

- Ja...

- Pani zrobi to, co jej mówię.

Przeszła przez pokój ze wzrokiem wbitym w dywan, zbyt podniecona, by pozwolić chłopakowi dostrzec wyraz jej twarzy. Po pełnym cieple kobiety, która uklękła na fotelu łapiąc się rękami za oparcie, spłynęła sfaldowana suknia. Bruno ukląkł na dywanie i poddarł dół sukni. Krągłe, wysunięte ku niemu pośladki były nagie, nogi, wciąż jeszcze obute w pantofle na wysokich obcasach, kryły się w jedwabnych pończochach tylko do połowy wysokości, pełne białe uda przedzielała wąska linia czarnego owłosienia. Przez długą chwilę Bruno spoglądał i rozkoszował się jej pozycją całkowitej niemocy, potem pochylił głowę i wcisnął usta, te usta, które mogłyby należeć do pięknej kobiety, głęboko w czarne owłosienie między nogami. Jęknęła.

- Jeśli pani jeszcze raz się odezwie, to przestanę - zagroził, ona zaś skinęła głową na znak bezwzględnego posłuszeństwa, zmuszając się do pozostania w bezruchu, powstrzymując się od jakiegokolwiek reakcji, tak że wszystkie jej zmysły skupiły się na gorącym języku, dręczącej grze kęsających warg i zębów, na sile rąk, które rozwierały ją dla Bruna, by mógł z nią robić wszystko, czego chce.

Usłyszała, że ręka Bruna odpina spodnie i gwałtownie zadrżała w nieprzytomnym oczekiwaniu. Pociągnął ją ku krawędzi. Uklękła teraz na dywanie, opierając się brzuchem na fotelu, otwarta przed wyprężonym

długim członkiem. Wstrzymała oddech; poczuła, że Bruno pokrywają i wciska gładką, nabrzmiąłą żołądź w jej wygłodniałe ciało. Miała wystarczające doświadczenie, by nie próbować szarpnięcia biodrami do tyłu na całą długość narządu; siłą woli powstrzymując żądzę, czekała nieruchomo, aż Bruno nie wytrzyma narzuconej sobie tortury i rzuci się naprzód, wypełniając ją całkowicie. Jego dłonie trzymały talię hrabiny, przyciskając ją do fotela i uniemożliwiając poruszenie w czasie gdy wysuwał się z niej niemal do samego końca tylko po to, by wejść w nią znowu, brutalnie i bezdusznie jak zwierzę. Znowu i znowu parł w jej szeroko otwartą pochwę, bez zastanowienia, nie dbając o nic, w bestialskim, morderczym zapamiętaniu, póki długi, gwałtowny spazm nie wykrzywił mu twarzy w milczącym krzyku. Bruno znalazł swe długo, strasznie długo odwlekane rozładowanie. Dopiero gdy zaspokoił się całkowicie, odciągnął ją od fotela i rzucił na dywan twarzą do góry. Brutalnie wcisnął twarz między jej nogi. Czując ssące wargi, Sabine de Koville zaczęła drżeć, potem rzucać się w drodze do gigantycznego orgazmu. Przez chwilę oboje leżeli w milczeniu na podłodze.

- Czy pani jeszcze mnie potrzebuje? - zabrzmiał pokorny głos gorliwego sługi.

- Nie, Charles. Dziś wieczorem już nie - odparła krótko. Bruno wstał, zapiął rozporek i otworzywszy drzwi, bez słowa wyszedł. Sabine de Koville leżała na podłodze, nie mając dość sił, by się podnieść. Jej szerokie, mocno wygięte wargi, którym nie dano nawet jednego pocałunku, uśmiechały się. Pomyślała sennie, że Bruno zna się na rzeczy.

- Stratocumulus, stratus, cumulus, cumulonimbus - mruknęła do siebie Freddy, z miłością zastanawiając się nad tymi słowami, upajając się nimi, przesiąkając do szpiku kości przyjemnością, jakiej nie wzbudził w niej dotąd wers żadnego poety. Meteorologiczne terminy na określenie różnych typów niskich chmur nie były jej do niczego konkretnego potrzebne. Piętnastoletniej adeptce sztuki pilotażu nie pozwolono by latać w innych warunkach niż przy bezchmurnym niebie, mimo to Freddy nie mogła się oprzeć chęci znalezienia nazw chmur w szkolnej bibliotece, gdyż w jej podręczniku ich nie było.

- Czy mogłaby pani łaskawie podać mi tę torebkę? - zapiął zirytowany głos. Freddy obróciła się z przeproszącą miną i wzięła z półki niewielkie opakowanie galaretek Woolwortha. Z jeszcze większą miłością zaczęła smakować słowa „altocumulus, altostratus, nimbostratus”, określające chmury występujące powyżej dwóch tysięcy metrów. Zastanawiając się, kto mógł wymyślić te nazwy, wsypywała do drugiej torebki pół kilo pianek w czekoladzie. Pracowała z myślami pochłoniętymi czym innym, ale także sprawnie, była bowiem jedyną sprzedawczynią za ladą ze słodyczami, a klienci niecierpliwie czekali.

W czasie porannej pracy Freddy zaczęła obliczać stan własnych finansów. Kiedy w styczniu skończyła piętnaście lat, podniesiono jej kieszonkowe z ćwierci dolara do trzydziestu centów tygodniowo, co w latach kryzysu stanowiło hojność. Był teraz początek listopada 1935 roku i suma, jaką Freddy dostała od stycznia osiągnęła tymczasem trzynaście i pół dolara.

Freddy pokręciła głową na myśl o ekstrawagancji, której nie mogła

się oprzeć, mimo iż ta pochłaniała znaczną część jej wpływów. Dziewczynka była kinomanką. *Zaginioną eskadrę* z Joelem McCrea widziała pięć razy, a *Centralny port lotniczy* i *Asa asów* po sześć. *Skrzydlate fatum* z Fredricem Marchem i Carym Grantem mogła obejrzeć jedynie cztery razy z powodu egzaminów, ale podczas wakacji była dziewięć razy na *Nocnym locie* z Clarkiem Gable. W najbliższych tygodniach w kinie mieli grać *Pułap zero* i *Powietrzne diabły*; myślała o tym z krwawiącym sercem, wiedziała bowiem, iż nie powinna wydawać dziesięciu centów na każdą projekcję, ale niewątpliwie to zrobi.

W tym roku przepuściła już, nie, nie przepuściła, zainwestowała w bilety do kina pełne trzy dolary. Dalsze trzy dolary poszły na urodzinowe prezenty dla Delphine i rodziców. Zła na siebie, pomyślała, że mogłaby sama wykonać prezenty w szkole na lekcji robót, zamiast je kupować, ale musiałyby umieć robić na drutach, szydełkować albo szyć. Tymczasem kontemplowała skarb złożony z siedmiu dolarów i pięćdziesięciu centów, uratowany z kieszonkowego. Tak przedstawiały się dochody nie zarobione.

Obraz zarobków był zdrowszy. Sobotnia praca u Woolwortha, płatna trzydzieści pięć centów za godzinę, przynosiła jej dwa dolary i osiemdziesiąt centów tygodniowo. W tajemnicy przed rodziną chodziła tam już od trzech miesięcy. Zdobyte w ten sposób pieniądze udało jej się zaoszczędzić w całości, z wyjątkiem wydatków na dojazd do Woolwortha, pary męskich lewisów potrzebnych jej na lekcje, i kanapek jedzonych w sobotę na lunch.

Zarobiła dotąd dwadzieścia sześć i pół dolara, co w połączeniu z siedmioma i pół dolarami pochodzącymi z kieszonkowego dawało

trzydzieści cztery dolary. Trzydzieści cztery dolary to mnóstwo pieniędzy, pod warunkiem że człowiek nie uczy się latać samolotem, pomyślała smutno. Jak dotąd miała trzy godziny lekcji latania, pół godziny tygodniowo, i kosztowały ją one dwanaście z owych niezwykle cennych dolarów. Dzięki Bogu, Mac obniżył normalną sześciodolarową stawkę do czterech, tłumacząc to specjalną zniżką dla osób poniżej szesnastego roku życia. Freddy miała więc jeszcze w puli dwadzieścia dwa dolary, które wystarczyłyby jej na pięć dalszych godzin latania, jeśli zdołałaby przejechać autostopem na wszystkie piątkowe lekcje w Dry Springs i z powrotem. W ten sposób miałyby za sobą w sumie osiem godzin latania. Gdyby udało jej się nie stracić pracy, mogłaby jeszcze kupić niezbędne gwiazdkowe prezenty dla rodziny. A czy osiem godzin latania nie wystarczyłoby każdemu, by móc samodzielnie pilotować? Może Mac pozwoli jej nawet wcześniej, mówiła sobie z nadzieją, odważając cukierki jujubowe.

Przecież Mathilde Moisant nauczyła się latać w trzydzieści jeden minut. I została drugą kobietą z licencją pilota w Stanach Zjednoczonych. Ale to działo się jeszcze w roku 1911, zanim ustanowiono wszystkie te irytujące zasady i przepisy, które przeszkadzają ludziom w oderwaniu się od ziemi. Co więcej, wczesne samoloty wyglądały tak prymitywnie, że musiały chyba stanowić coś jakby latające rowery. Bez manetki gazu, hamulców, tablicy przyrządów były niczym ogromne, dziwaczne przyrządy gimnastyczne z kołem gdzieś pośrodku; nie miały nic wspólnego z nowym nabytkiem Maca, czerwonym samolotem Taylor Cub z zamykaną kabiną, poza skrzydłami i możliwością startu w powietrze.

Freddy naprawdę chciała nie być zmuszona do tylu kłamstw, z żalem

przyznała to przed sobą, napełniając torebkę podłużnymi lukrecjowymi cukierkami. Nigdy nie udałoby jej się to wszystko, gdyby nadal chodziła do szkoły Sacre Coeur, pod inkwizytorskim nosem Delphine, ale rodzice bez większych sprzeciwów zgodzili się na przejście Freddy do miejscowej średniej szkoły publicznej John Marshall High. Edukacja wyniesiona z poprzedniego miejsca była taka solidna, że w połączeniu z letnim kursem dokształcającym umożliwiła Freddy przeskoczenie wstępnego roku.

Teraz, mając piętnaście lat, zaliczała pierwszy okres jako pełnoprawny uczeń szkoły John Marshall. Trzy miesiące temu, wraz z rozpoczęciem roku szkolnego, zaczęła kłamać. Chcąc wyjaśnić nieobecność w domu podczas całodniowej sobotniej pracy, wymyśliła cotygodniowe odwiedziny u nie istniejącej najlepszej przyjaciółki, która mieszka w Beverly Hills i ma basen. Freddy twierdziła, iż może tam ćwiczyć, żeby dostać się do szkolnej drużyny pływackiej. W to kłamstwo było akurat łatwo uwierzyć, Freddy bowiem została już wcześniej gwiazdą drużyny skoków do wody, jako jedyna dziewczyna bez najmniejszych oporów skacząca z najwyższej trampoliny. Chcąc wyjaśnić późne powroty do domu w ostatnie sześć piątków, kiedy brała lekcje latania, stworzyła zajęcia pozalekcyjne: malowanie dekoracji do dorocznego bożonarodzeniowego przedstawienia. Chcąc wyjaśnić Macowi, dlaczego bierze tylko jedną półgodzinną lekcję w tygodniu, zasłaniała się ciągłą nauką, choć w rzeczywistości całą pracę domową odrabiała na łapu-capu w szkole podczas zajęć. Chcąc wyjaśnić rodzinie wielogodzinną naukę po południu, kiedy przygotowywała się do naziemnych lekcji z Macem, nabrała nagle ambicji dostawania bardzo dobrych stopni. W istocie są to tylko cztery kłamstwa, uznała Freddy. No, pięć, jeśli wliczyć jazdę

autostopem. Wprawdzie nigdy nie zabroniono jej wyraźnie takiego sposobu podróżowania, ale dziewczynka wiedziała, jaka byłaby odpowiedź, gdyby poprosiła o zgodę.

- Cirrus - śpiewała pod nosem - cirrocumulus, cirrostratus... - Chmury, które spotka kiedyś na wysokości ponad pięciu tysięcy metrów. Królowie i królowe atmosfery. Freddy nie potrafiła wykombinować tylko żadnego kłamstwa, które umożliwiłoby jej wcześniejsze wychodzenie ze szkoły w piątki, dzięki czemu szybciej dojeżdżałaby do Dry Springs. Nauczyciele w John Marshall High byli wszechmocnymi cirrostratusami swego zawodu. Słyszeli już wszystkie wykręty znane nastolatkom i tylko pisemne zwolnienie od rodziców robiło na nich wrażenie. Ale jak wiele zwolnień udałoby jej się wyprodukować, nawet jeśli ukradłaby matce papier do pisania i podrobiła jej charakter pisma? A gdyby nauczyciel zadzwonił do domu, żeby porozumieć się z matką i sprawdzić przyczynę? Nie, zwolnienia były niemożliwe.

Ważąc olbrzymią torbę dropsów, Freddy zastanawiała się nie po raz pierwszy, czy nie byłoby lepiej mówić rodzicom prawdę od samego początku, i jak zwykle doszła do tej samej konkluzji: a gdyby jej nie pozwolili? Ryzyko było zbyt duże. Wystarczało, że kłamać, ukrywając coś oficjalnie nie istniejącego. Kłamstwa umożliwiające postępowanie wbrew wyraźnemu zakazowi byłyby o wiele gorsze. Ostatnia droga, porzucenie idei latania, póki Freddy nie dorośnie na tyle, żeby robić, co jej się podoba, w ogóle nie wchodziła w grę. Oznaczałaby czekanie jeszcze przez pięć lat, brakujące jej do dwudziestu jeden. Zgodnie z prawem, osoba szesnastoletnia może samodzielnie pilotować samolot, toteż dziewiątego stycznia 1936 roku Freddy miała, Freddy musiała samodzielnie usiąść za

sterami. Wtedy po dalszych dziesięciu godzinach nauki mogła zdawać egzamin na licencję prywatnego pilota. A dopiero to, i tylko to, uprawniało ją do zdobywania doświadczeń w powietrzu, które umożliwiłyby jej udział w zawodach lotniczych, a nawet, kiedyś w przyszłości, lot, jakiego nikt przed nią nie próbował. Było jednak za wcześnie na precyzowanie ambicji, skoro Freddy nie wiedziała tymczasem, skąd weźmie pieniądze na owe dziesięć godzin.

Inne kobiety już to robiły, pomyślała Freddy, stanowczo odpychając od siebie równie ponure pytania. Rok wcześniej, według *Rocznika lotniczego*, który wykopała w bibliotece publicznej, ponad czterysta Amerykanek miało licencję prywatnego pilota. Znalazły sposób na jej zdobycie, więc i ja znajdę, obiecała sobie Freddy, dziarsko przechodząc od lady do wagi.

Z westchnieniem ulgi stwierdziła, że przyszedł czas na lunch. U Woolwortha było stoisko z kanapkami, gdzie do tuńczyka na żytnim pieczywie sprzedawca dodawał jej bezpłatnie szklankę mleka. W zamian Freddy obdarzała go wdzięcznym spojrzeniem oczu, które nie miały pojęcia, iż są tak przepełnione błękitem, jakby były częścią nieba.

Jedząc kanapkę, Freddy oderwała myśli od problemów finansowych i skupiła się na teoretycznych zajęciach lotniczych. Mac ostrzegał ją przed nimi.

- Pewnie, dzieciaku, że chcesz latać, ale pamiętaj moje słowa: nienawidzisz zajęcia teoretyczne.

Freddy pomyślała z uśmiechem, że nienawidzi lekcji prowadzenia domu, ale zajęcia przygotowujące do latania wręcz uwielbia. Lubowała się w teorii lotu. Siła nośna. Czyż to nie jeden z najwspanialszych terminów,

jakie można sobie wyobrazić? Oczywiście, Freddy wiedziała, że samolot może latać, podobnie jak wiedzieli to na przykład Leonardo da Vinci i bracia Wright, przed rozpoczęciem zajęć nie wiedziała jednak dlaczego. A to dzięki sile nośnej, owej wspaniałej sile! I równie podniecającemu kątowi startu, który to termin oznaczał kąt, pod jakim znajdują się skrzydła, gdy samolot odrywa się od ziemi, kąt będący czymś równie zasadniczym, jak siła nośna, a jednocześnie uzależnionym wyłącznie od pilota. Gdyby wybrała zły kąt startu, ustawiając dziób samolotu zbyt nisko lub zbyt wysoko, start mógłby skończyć się katastrofą. Myślała o tym godzinami. Był też czas uniwersalny, określany według godziny na południku, na którym leży obserwatorium w Greenwich. Upajała ją wiedza, iż każdy w świecie lotniczym, od najlepszych pilotów najpotężniejszych maszyn po Freddy de Lancel, siedzącą przed kanapką z tuńczykiem, ochoczo i z poczuciem obowiązku poddaje się czasowi uniwersalnemu.

- Tego chyba nie zamawiałam, prawda? - spytała Freddy, kiedy sprzedawca postawił przed nią jeszcze jedną kanapkę z tuńczykiem.

- Poczęstunek - odparł tamten uprzejmie, zastanawiając się, czy Freddy zdaje sobie sprawę, że pierwszą kanapkę pożarła w sześciu wielkich kęsach i nadal sprawia wrażenie wygłodniałej. Jak można dopuścić, żeby taka fajna dziewczyna chodziła głodna? Czekał cały tydzień, aż zobaczy ją w czasie lunchu, ale ona musiała chyba być zakochana, bo spojrzeniem błędziła gdzieś w oddali i nigdy nie chciała pogawędzić. W wolnych chwilach sprzedawca często z rozmarzeniem spoglądał ku stoisku ze słodyczami, chętnie natychmiast poderwałby tę dziewczynę, która długimi włosami niczym sterta jednocentówek prosto z

mennicy rozświetlała ruchliwy sklep, a wzrostem wybijała się z tłumu kobiet.

Przy pierwszym kąsie dodatkowej kanapki, Freddy skierowała myśli na Delphine, która zbliżając się do osiemnastki, jeszcze wypiękniała, nawet w oczach młodszej siostry. Szczególna delikatność, niemal łamiąca serce kruchość, cechująca ją od samego początku, nie znikła z upływem czasu, co często przydarzało się dziewczętom osiągniętym dojrzały wiek. Doskonała krzywizna ust z lekko uniesionymi kącikami zwracała uwagę w tajemniczy, niezrozumiały dla Freddy sposób, którego nie można było wyjaśnić li tylko umiarem Delphine w stosowaniu szminki. Oczy siostry stały się większe, fryzura z brunatnych włosów kołysała się fascynującym dzwon, wysoko położone kości policzkowe i mały podbródek zarysowały się wyraźniej. Na fotografiach rodzinnych Delphine zawsze zdawała się stać w środku grupy, nawet gdy w istocie przycupnęła gdzieś z boku, jej rysy bowiem wyzwalały tak ciekawą grę światła i cienia, że wnet przyciągały spojrzenia.

Delphine bywała jednak irytująca. Któregoś dnia zastała Freddy na czytaniu książki o lotnictwie i uznała, że siostra żyje mrzonkami o karierze w powietrzu... jako stewardesa. Znalazła potem wymagania dla dziewcząt ubiegających się o taką posadę i odczytała je na głos z nie ukrywam, radości.

- Musisz mieć uprawnienia pielęgniarki, wiek poniżej dwudziestu pięciu lat, wagę poniżej pięćdziesięciu dwóch kilogramów, wzrost nie przekraczający stu sześćdziesięciu centymetrów, przez co odpadasz, biedaczko, na starcie, a do tego musisz być stanu wolnego... no, to nie jest trudne. A wiesz co tracisz dlatego, że jesteś za wysoka? Tutaj piszą, że do

twoich obowiązków należałoby podawanie pasażerom jedzenia, pomoc podczas tankowania paliwa, obecność w czasie przyjmowania i wydawania bagażu, mycie podłogi w kabinie, posiadanie rozkładu jazdy pociągów na wypadek, gdyby lot został odwołany, a także, najciekawsze ze wszystkiego, obserwowanie pasażerów idących do toalety, żeby mieć pewność, iż przypadkiem nie opuszczą samolotu przez wyjście alarmowe!

- To śmieszne, Delphine, bardzo śmieszne - wybąkała Freddy czerwieniąc się, że złapano ją na czytaniu o przygodach młodego pilota odkrywcy w Kanadzie, kiedy powinna czytać romanse, jak wszystkie znane jej dziewczęta.

Nie znała na pamięć słów do największych miłosnych przebojów, nie wydawała całego kieszonkowego na wzdychanie nad Gretą Garbo w *Królowej Krystynie* lub ocieranie łez z powodu Katherine Hepburn w roli Jo w *Małych kobietkach*. Nie kupowała szminek Tangee ani nie należała do klubu miłośniczek Joan Crawford, nie wyrywała też brwi pincetką matki, w tajemnicy przed rodzicami, którzy wyszli z domu. Był to zaledwie początek listy rzeczy, których Freddy nie robiła bądź nie darzyła uwagą, zdając sobie sprawę, że w ten sposób dobrowolnie usuwa się poza nawias w szkole, jako dziewczyna nie zainteresowana randkami, tańcem ani strojami. Niech więc tak będzie, pomyślała filozoficznie, kończąc szklanek mleka. Nie robiła z tego problemu. Inne dziewczyny nie pilotowały samolotu.

- A może jeszcze napój czekoladowy? - spytał sprzedawca. - Na koszt firmy.

- Och, dziękuję, ale nie. Pracuję w stoisku z cukierkami i już całkiem straciłam apetyt na słodycze - wyjaśniła Freddy z przykrością. Żałowała,

że zabrakło jej odwagi, by zamiast tego poprosić go o jeszcze jedną kanapkę.

* * *

Terence McGuire siedział za biurkiem w kantorku i powinien był zajmować się rachunkami, złapał się jednak na myśleniu o swoim nowym pisklęciu, Freddy de Lancel. Przekazywał już lotnicze rzemiosło wielu mężczyznom i chłopcom, także jednej kobiecie, może dwóm, ale przed Freddy nie miał wśród uczniów dziewczynki.

W jego przekonaniu rzemiosła można było nauczyć każdego, kto w minimalnym stopniu opanował zasady logicznego myślenia, a przy tym wykazał dość chęci i cierpliwości do ćwiczeń. Inaczej niż pewne umiejętności, ta nie wymagała wrodzonych predyspozycji, jako że żaden z uczniów Maca nie miał genów latania, podobnie zresztą jak i on sam.

Człowiek nie narodził się jako istota latająca, ale Terence McGuire wierzył święcie, że nawet gdyby nie istniały na Ziemi ptaki, będące żywym przykładem możliwości uniesienia się w powietrze, człowiek musiałby w końcu nauczyć się latać, podobnie jak nauczyłyby się pływać, nawet gdyby nie było ryb. Wtedy najprawdopodobniej pierwszy lot człowieka nie odbyłby się w stuleciu Maca, ale prędzej czy później ktoś, jeden z wielu badawczo wbijających wzrok w niebo, przeniknąłby tajemnicę latania, tak samo jak kiedyś ktoś zbudował pierwsze koło, podniósł pierwszy żagiel, odkrył sekret budowy piramid, wynalazł proch. Mac uważał bowiem, iż natura człowieka opiera się na, słusznej czy nie, idei dążenia przed siebie.

Chcąc zostać pilotem, bez wątpienia nie trzeba rodzić się jako latająca wersja młodego Mozarta, a przecież... przecież... nieliczni ludzie,

naprawdę nieliczni, mieli latanie we krwi... również co do tego nie było wątpliwości. Zdecydowana większość jego uczniów do tych ostatnich nie należała. Ale i wśród nich znaleźli się tacy, u których dostrzegł natychmiastowe poczucie zwane przez niego świadomością przestrzeni. Posiadali więc jakby dodatkowy, siódmy zmysł, bo jeśli mowa o szóstym, to Terence McGuire niezbitnie wierzył w jego istnienie, mimo iż nie mógł rozłożyć go na stole, zważyć i zmierzyć. Sam był obdarzony, także siódmym, korzystał z niego, gdy po raz pierwszy samodzielnie startował w powietrze. Uważał, że zmysł ten ma także Freddy de Lancel.

Nie chodziło mu przy tym o zapał. W grze, w której cierpliwość znaczy równie dużo, jak umiejętność odróżnienia prawej ręki od lewej, sam tylko zapał szkodzi. Nie chodziło mu o nieustraszoną. Zbyt wielu nieustraszonych pilotów zginęło w czasie lotów ćwiczebnych. Nie, o owym siódmym zmyśle, dla którego Mac nigdy nie znalazł zadowalającego wyrażenia, decydowało coś innego, pewien stan energii, z jakim Freddy podchodziła do lotu. Ta młoda, wysoka dziewczyna, która biegiem wpadała do jego kantorku dając znać, że przybyła na czas, zmieniała się niepostrzeżenie w nieco inną osobę, kiedy rozpoczynała przygotowania do startu.

Częścią tego zmysłu była koncentracja. W czasie sprawdzania maszyny McGuire zawsze stał o kilka kroków za uczennicą, zauważył więc, że nawet błyskawica trafiająca w pas startowy nie wyrywa jej ze skupienia, nie odwraca uwagi od poszukiwania zarysowań i pęknięć na śmigle; zupełnie jakby całą powierzchnią skóry wyczuwała, czy metal nie jest uszkodzony.

Można wiele o kimś powiedzieć jedynie na podstawie obserwacji

podczas przygotowań do startu, myślał. Byli ludzie, którzy niepotrzebnie mnożyli czynności, wykonywali je za wolno, bez potrzeby sprawdzając po dwa razy, w najgłębszych zakamarkach serca kryli bowiem nadzieję na odwleczenie chwili wejścia do samolotu. Ci nie powinni brać się do latania, choć oczywiście mając cierpliwość, można ich tego nauczyć, a w końcu nawet rozproszyć lęk.

Z drugiej strony byli ludzie robiący wszystko po łebkach, jakby nie rozumieli, że powierzają życie konstrukcji, w której każdy nit, każda śruba, nakrętka pełni zasadniczą funkcję. Tych ludzi nie powinno się dopuszczać do nauki, toteż po pierwszym ostrzeżeniu McGuire odmawiał dalszych lotów z nimi. Większość omyłek, których dopuszczali się uczniowie, nie groziła utratą życia, ale niewłaściwe sprawdzenie samolotu na ziemi nie mieściło się w tej kategorii.

Siedmiokrotnie obejrzawszy Freddy w czasie przygotowań do startu, Mac bez oporów poleciałby samolotem sprawdzonym przez dziewczynę podczas jego nieobecności i nie skontrolowanym przez niego potem. Tego oczywiście jej nie powiedział, a tym bardziej nie zrobił.

Podobał mu się sposób, w jaki Freddy korzysta z nieba. Terence McGuire pomyślał o tym, wstając zza biurka, którego nie znosił. Uczniowie mieli skłonności do harcowania po całym niebie, tracąc prędkość i wysokość, przesadnie poprawiając popełnione błędy, potem z kolei przesadnie poprawiając poprawki; robili to nerwowo i płochliwie niczym nie ujeżdżone konie. Mac zapewniał, że mają wokół siebie mnóstwo nieba do nauki, oni jednak najczęściej odnosili się do przestrzeni jak do wroga, jakby nie chcieli jej zaufać.

Niebo lubiło traktowanie z należnym szacunkiem, któremu

towarzyszą spokojna, szybka, lecz zdecydowana dłoń na drążku oraz stopy tańczące, tańczące i jeszcze raz tańczące na pedałach steru.

Bardzo ważne było, iż z każdą lekcją Terence McGuire widział wzrastającą precyzję ruchów Freddy. Precyzja była w tej grze podstawą bez niej inne umiejętności przydatne do latania nie miały najmniejszej wartości. Z każdą lekcją dziewczyna coraz pewniej wykonywała zwroty i coraz lepiej panowała nad przechyłem samolotu, dokładnie utrzymywała założoną prędkość i wysokość przez coraz dłuższy okres. Mówiąc „dokładnie”, McGuire nie rozpieszczał uczniów, miał na myśli tyle, ile kryło się w tym słowie: żadnych odchyłeń pod żadnym pozorem.

Coraz częściej Freddy rysowała na niebie idealne kręgi, z piekielną precyzją wykonując jedna po drugiej czynności poprzedzające dobre lądowanie. Ową procedurę, w której umysł i ciało współdziałają na dziesiątki sposobów, wtajemniczeni traktowali jako oczywistość, dla początkujących oznaczała ona borykanie się z koszmarem niezliczonych uchybień.

Również lądowania Freddy stawały się coraz wprawniejsze: płynnym lotem opadała ku liczbom namalowanym na końcu pasa, potem szybko i łagodnie sadzała samolot jednocześnie przednimi kołami i tylnym, prezentując takie zetknięcie z ziemią, przy którym zwykły pasażer nie potrafił odróżnić, czy po prostu samolot zdecydował się wytracić szybkość i samoistnie osiąść, czy też pilot sprowadził go na dół dzięki skomplikowanej wiedzy w głowie i nadzwyczajnej sprawności ciała. Prowadziły do tego logiczne, całkiem odarte z magii kroki, ale bez względu na to, ilu uczniów McGuire już wykształcił i jeszcze miał wykształcić, dobre lądowanie zawsze oznaczało dla niego coś magicznego.

Na szczęście, dzieciak nie miał w sobie ani grama bierności. Dokładny pilot ze stępionym refleksem nie byłby wart diabelskiego splunięcia. Cóż po kimś, kto nie umie zachować ciągłej czujności, nie jest gotowy do natychmiastowej reakcji na zmianę sytuacji: nagły podmuch wiatru, niespodziewany prąd powietrza powodujący utratę wysokości, pojawienie się drugiego samolotu w miejscu gdzie nie powinien się pojawić, defekt silnika lub inny chochlik, który zawsze czyha, gdy człowiek, maszyna i przestrzeń łączą się w jedno... Wszystko to jest wliczone w ryzyko zawodowe. Jest wliczone w wyzwanie, które podejmuje pilot. Jeśli traci wysokość i prędkość, może być pewien kłopotów, ale jeśli traci głowę, może być pewien, że już nie żyje.

McGuire przebiegł dłońmi po mapniku, który dostał od Freddy na gwiazdkę. Dziewczynie udało się w jakiś sposób namówić szkolne władze, żeby zwolniły ją z prac domowych i żywienia, a w zamian za to pozwoliły chodzić na warsztaty, tak jak radził jej cztery lata temu, kiedy bezwstydnie podpuściła go na pierwszą lekcję latania. Jeszcze teraz widział tę triumfującą twarz, która sprawiła, że nie wyjawiał ojcu prawdy. Freddy zrobiła mapnik na warsztatach, według własnego projektu. Była to wysoka, długa i wąska drewniana skrzyneczka z kilkoma głębokimi szufladkami, każda zaopatrzona w metalowy uchwyt i miejsce na opis.

Sterna map, przez którą zwykle przekopywał się Mac, leżała teraz równo poukładana w szufladkach, wysuwających się tak lekko, że przyjemnie ich było używać. Mac podarował Freddy na gwiazdkę dwie dodatkowe godziny w powietrzu i nie wiedział, które z nich było bardziej zachwycone wymianą prezentów.

Dzisiaj nie było mowy o wymianie. Mac pomyślał o tym radośnie

gwizdząc, z góry ucieszony wyrazem twarzy, jaki robi Freddy, gdy jej powie, że urodzinowym prezentem będzie lot do wybranego przez nią punktu, fundowany przez niego. Oczywiście muszą wrócić przed zachodem słońca, gdyż pas startowy nie jest oświetlony, a w środku zimy wkrótce po godzinie piątej zapada całkowity zmrok.

W szkole wciąż jeszcze trwały ferie zimowe, więc Freddy powinna przyjść na lekcję wczesnym popołudniem, mogła się teraz zjawić w każdej chwili. Po tygodniu spędzonym na dawaniu lekcji omc pilotom, takim jak miejscowy lekarz, którego dziewczyna widziała w nim podobieństwo do Lindbergha, miejscowy bankier, którego żona widziała w nim podobieństwo do Lindbergha, i miejscowy Casanova, który chciał wyglądać jak Lindbergh, i to do tego stopnia że upierał się przy noszeniu kasku i gogli w zamkniętej kabinie, McGuire uznawał za naturalne, iż tak niecierpliwie wyczekuje na lekcję z kimś o wyglądzie łączącym cechy Carole Lombard w odpowiednim wieku i... czemu, do diabła, tego nie przyznać, Amelii Earhart, zanim obciąła włosy na zupełnie krótko.

* * *

- Lot do celu? Och, Mac, nie mogę uwierzyć! - Kipiała podnieceniem podskakując, jakby kończyła tego dnia sześć a nie szesnaście lat. - To najcudowniejszy prezent urodzinowy, jaki kiedykolwiek dostałam.

- Tymczasem jednak tracisz czas - powiedział, gasząc uśmiech. - Możesz być wdzięczna jak tylko chcesz, kiedy zrobi się za ciemno, żeby latać.

- O, do licha - powiedziała tonem kogoś, kto uświadomił sobie przeszkodę na drodze do bezcennego daru.

- Co się stało?

- Nic - pospiesznie rzuciła Freddy. - Wszystko w porządku. Po prostu dziś wieczorem muszę wrócić o przyzwoitej porze do domu, żeby się przebrać. Rodzice zabierają nas do Brown Derby na obiad, pozwoliłam im wydać przyjęcie urodzinowe na moją cześć. Czy potrafisz sobie wyobrazić mnie na takiej imprezie?

- Szczerze mówiąc, nie. Dokąd lecimy?

Freddy obleciała już liczne porty lotnicze wokół Dry Springs w czasie ćwiczeń lądowania z natychmiastowym startem. Niektóre z nich pociągały ją bardziej niż pozostałe. - Burbank - zdecydowała szybko, wybierając na początek największy, najbardziej ruchliwy, a przez to najtrudniejszy. - Potem Van Nuys, Santa Paula, potem lecimy nad kanion Topanga i... - Na Catalinę? - Mac chętnie obejrzałby jej lądowanie na tym zdradliwym górskim lotnisku o najkrótszym i najbardziej niewdzięcznym pasie startowym w okolicy.

- Nie. Do Mines Field i wracamy.

- Mines Field? Chcesz wygrać Narodowe Zawody Lotnicze?

- Oj, Mac, po prostu chcę zobaczyć. Przyznaję, że jestem ciekawa. Czy widzisz w tym coś złego? - powiedziała Freddy z lekkim zakłopotaniem, żwawo wyciągając ze skrzyneczki potrzebne mapy, żeby móc wykreślić trasę lotu na papierze.

Już w powietrzu Freddy stwierdziła, jak duży postęp zrobiła przez trzy miesiące. Teren, który podsuwał się ku niej nie kończącym się pasem od horyzontu do skrzydeł samolotu, wydawał jej się kiedyś onieśmielająco obcy. Teraz obfitował w przyjazne znaki: samotne farmy, wydrapane w krajobrazie smugi bitych dróg, ciemniejsze szramy prawie wyschniętych koryt rzecznych z oliwkową zielenią drzew rosnących wzdłuż brzegów,

szczególnej jako punkt orientacyjny, suchą, żółtawą ziemię doliny San Fernando, a nawet kształty niektórych skupisk rdzennie kalifornijskiej roślinności na odwodnionym gruncie.

Wzrok Freddy wędrował po niebie i ponad ziemią rozpościerającą się w dole, głowa obracała się na boki, tak by wiedza pilota o tym, co dzieje się w niebie i na ziemi, była przez cały czas jak najpełniejsza. Tego nauczył ją Mac. Zaniedbanie obserwacji, obojętne traktowanie ewentualnego niebezpieczeństwa w powietrzu znajdowało się na jego liście śmiertelnych błędów równie wysoko, jak niesprawdzenie zapasu benzyny przed odlotem. Wielu doświadczonych pilotów w nie wyjaśniony sposób przegapiło już te elementarne środki ostrożności i zginęło przez chwilę dekoncentracji.

Siedział nieruchomo patrząc, jak Freddy trzyma stery. Pozwalał jej postępować wedle uznania i ograniczał się do wyszukiwania błędów. Nie wątpił, że ma przed sobą okaz istoty latającej, urodzonej do tego celu, podobnie jak są ludzie z wrodzonymi talentami do jazdy na koniu czy pływania. Założyłby się o każde pieniądze, że pewnego dnia Freddy dorówna mu umiejętnościami i wiedzą, a może nawet go przewyższy.

Chociaż Mac nie wydawał rutynowych komend, Freddy słyszała je w uszach:

- Ważne jest, że lecisz nad powierzchnią ziemi - mawiał. - Wyobraź sobie, że ją wygładziłaś i utrzymaj kadłub samolotu równoległe do terenu pod sobą. Horyzont nie ma znaczenia, chyba że rysuje się na nim góra. Zawsze, bezwzględnie zawsze musisz mieć świadomość powierzchni ziemi.

Za pierwszym razem, gdy wypowiedział te słowa, Freddy ogarnęło

rozczarowanie. Wyobrażała sobie, że skoro tylko uzyska władzę nad samolotem, doświadczy jakby olśnienia, natychmiastowego przejścia w stan uniesienia wolnością od ziemi. Ale im więcej latała, tym bardziej ziemia i niebo zlewały się w jedno, także jej wolność istniała w granicach wielkiej czary, niewyczerpanej, w której wszystko jest ważne, czary, której krawędź stanowi wciąż zmieniający się horyzont, wabiący coraz dalej, bez końca, bo gdy tylko jeden jego obraz niknie przed samolotowego dziobu, natychmiast zaczyna przyzywać nowy. Freddy nie zgadzała się z Macem, że horyzont nie ma znaczenia. Jej zdaniem widok horyzontu zaspokajał podstawową potrzebę i rozbudzał głód leczenia przed siebie, chęć zobaczenia, co leży poza linią. Wiedziała, że Mac odczuwa podobnie, ale jako nauczyciel pragnie, żeby skupiła się na czym innym. Obojętnym i tak szybkim, że niezauważalnym gestem Mac pociągnął do siebie manetkę przepustnicy; moc samolotu spadła do zera.

- Silnik zawiódł - powiedział w nagłej ciszy. - Gdzie posadzisz samolot?

- Z prawej strony jest nie zaorane pole - odparła.

- Gdzie jeszcze? Zapomnij o nie zaoranych polach. To za łatwe. Udawaj, że ich tu nie ma. Niech w tej dolinie rosną same gaje pomarańczowe. Co wobec tego wybierasz?

- Drogę po lewej. Jest dość szeroka i nie ma na niej ruchu.

- Dlaczego nie ten pas między dwoma zmyślonymi gajami? - spytał Mac, wskazując miejsce, podczas gdy Freddy przeskakując wzrokiem z tablicy przyrządów na ziemię i z powrotem zaczęła metodycznie schodzić w dół ku punktowi, od którego miała zacząć podejście do awaryjnego lądowania.

- Wolę drogę. Nie ma ruchu w żadnym kierunku, jest odrobinę szersza, do tego mogę wylądować pod wiatr i szybko wyhamować. Prędzej czy później ktoś będzie przejeżdżał, podwiezie mnie do najbliższego miasta, skąd zadzwonię po pomoc.

- Hmm - mruknął z aprobatą, opierając ręce na osłonie kabiny, w czasie gdy Freddy z podręcznikową doskonałością kreśliła nad lądowiskiem kręgi, ustawiając samolot pod wiatr, po czym, znalazłszy się piętnaście metrów nad drogą, zaczęła wykonywać ostatni manewr, powoli opuszczając samolot lecący na wprost. W tym momencie Mac pchnął manetkę gazu i silnik ryknął znowu. Freddy delikatnie pociągnęła drążek ku sobie, chcąc niezwłocznie odzyskać utraconą wysokość. Jak zawsze w takiej sytuacji, żałowała, że symulowane lądowanie awaryjne, które często ćwiczyli, nie może zostać doprowadzone do samego końca. Zarząd dróg prawdopodobnie byłby mało zachwycony, niewykluczone też, że narzekaliby miejscowi farmerzy.

Ostrożnie zbliżała się do Burbank. Tego lotniska używały wszystkie komercyjne linie, których maszyny lądowały w Los Angeles. Te jednak mogły porozumieć się z wieżą kontrolną, Freddy natomiast nie miała radia i musiała polegać na sile wzroku. Zajmowanie miejsca na kręgu i oczekiwanie na kolejkę do lądowania przypominały jej formalną etykietę lekcji tańca, na które rodzice próbowali ją posyłać przez kilka pożałowania godnych miesięcy. Oceniając własną pozycję na niebie, trzeba było wykazać się równie wyszukaną grzecznością, jak walcząc w najlepszej sukience i białych rękawiczkach przez salę pełną tancerzy. Lotnisko Van Nuys, położone w tej samej dolinie, ale głębiej niż Burbank, było znacznie mniej zatłoczone, toteż lekko dotykając pasa i natychmiast, odrywając się

od ziemi, Freddy przeczuwała, że w Santa Paula będzie miała cały teren dla siebie.

* * *

Lotnisko w Santa Paula powstało zaledwie przed pięcioma laty, składał się na nie jeden trawiasty pas ciągnący się wzdłuż rzeczki obrośniętej wysokimi drzewami.

- Zróbmy sobie tutaj parę minut przerwy - zaproponował Mac. - W kawiarni podają najlepsze ciasto domowej roboty w całej dolinie.

Kiedy wylądowali, Freddy stwierdziła, że poza nimi nie ma tu w tej chwili nikogo, Było zaskakująco cicho. Nie dobiegał ich dźwięk silników ani gwar głosów, tylko wiatr szeleścił w liściach drzew, jak zawsze na lotniskach. Było tak ciepło, że Freddy ściągnęła niebieski sweter i obwiązała się nim w talii. Stała w lewisach oraz białej chłopięcej koszuli i rozglądała się dookoła. Ciężki skórzany pas mocno ściągał męskie farmerki u góry, ale i tak na smukłej sylwetce wyglądały one jak worek, nie były natomiast za długie, Freddy bowiem przycięła nogawki tak, by wystawały spod nich tenisówki.

Teren w Santa Paula przypominał wiejską łąkę, ale nawet z zamkniętymi oczami Freddy rozpoznałaby w nim port lotniczy, gdyż od pustego lądowiska promieniuje oczekiwanie i rzadko można spotkać pilota, który potrafi mu się długo opierać. Wolne pole jest nasycone tyloma obietnicami i podniecającymi doznaniem, co kulisy teatru przed spektaklem.

Freddy i Mac zjedli po dwa kawałki szarlotki i w skupionym milczeniu wypili kawę. Barman czytał gazetę, a Freddy niecierpliwie próbowała zsunąć włosy za uszy, jednocześnie z trudnym do opanowania

zaciekawieniem studiowała następny odcinek lotu. Góry Santa Monica, oddzielające dolinę San Fernando od Pacyfiku, wznoszą się mniej więcej do wysokości tysiąca trzystu metrów. Ograniczony czas lekcji, jakie Freddy dotąd brała, sprawiał, iż na przelot nad górami nigdy nie starczało czasu, doświadczenia lotnicze Freddy były ograniczone przez zbocza doliny.

- Hej, Mac, będziemy dzisiaj latać czy nie? - spytała Freddy, skończywszy szarlotkę. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Mac błędzi myślami bardzo daleko, odleciał gdzieś w czasie i przestrzeni.

- Ty decyduj, dzieciaku. To twój popis.

* * *

Z powrotem w powietrzu Freddy przyjęła kurs na południowy wschód i zaczęła się wspinać wyżej, niż zdarzało jej się do tej pory. Planowała przelecieć nad łańcuchem górskim w okolicy kanionu Topanga. Płaski teren, do którego była przyzwyczajona, zmieniał się zaskakująco gwałtownie; pod samolotem gniewnie wznosiły się dzikie bezdroża gór. Złowrogo piętrzące się nagie i poszarpane skały nie miały nic wspólnego z krajobrazem Kalifornii.

Rozglądając się dookoła, Freddy stwierdziła, że równie dobrze mogłaby się znaleźć nad zupełnie innym górzystym, niebezpiecznym i nie zamieszkałym zakątkiem świata. Nigdzie nie dostrzegła miejsca do ewentualnego awaryjnego lądowania i zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna wspiać się jeszcze o jakieś siedemset metrów, żeby móc dłużej szybować w razie, gdyby Mac odciął dopływ paliwa do silnika. Spojrzała na niego, ale on nieruchomo wpatrywał się przed siebie, mając na twarzy wyraz znudzenia. Strzeżonego pan Bóg strzeże, pomyślała i postanowiła

natychmiast nabrać wysokości.

- Nie bój się. Obiecuję, że nic takiego nie zrobię - powiedział z uśmiechem, jakby czytał w jej myślach. W dwie minuty później wąskie przejście między górami zostało za skrzydłami samolotu. I nagle, zupełnie jakby planeta zapragnęła dać imponujący pokaz sztuki magicznej, przed oczami Freddy ukazał się bezmiar błękitu, przekraczający intensywnością granice wyobraźni.

Wiedziała, że zobaczy Pacyfik, z mapy wynikało to jasno, ale nic nie obiecywało jej widoku tej cudownej lśniącej przestrzeni, ciągnącej się przed nią w nieskończoność. Była to nowa, nieznana planeta. Kilka jachtów, majaczących daleko w dole, zdawało się żeglować do kresu tego bezkresnego świata, i Freddy jak w transie poleciała ku nim. Płynęli na nich śmiałowie, gdzież im jednak było do niej, mogła przecież przelecieć nad nimi, pozostawić ich za sobą, biedne bezskrzydłe istoty rzucone na łaskę wiatru. Leciała dalej i dalej na zachód, aż znalazła się dokładnie nad jachtami, potem oderwała się od nich i długo jeszcze zmierzała na zachód.

- Następny przystanek: Hawaje? - spytał Mac.

Czar prysł, Freddy szeroko otworzyła usta. Zboczyła z kursu o wiele kilometrów i leciała bezmyślnie, niefrasobliwie, ciągnięta przez zakłęcie, magnetyzm horyzontu.

- Co...? Do diabła, przepraszam! - wyrzuciła z siebie, rozglądając się wokoło i kładąc samolot na skrzydło, żeby zawrócić w kierunku wybrzeża.

- Nie przejmuj się. Pozwoliłem ci na to. - Przyglądał się, jak Freddy natychmiast wraca na właściwy kurs mimo oszołomienia własnym zachowaniem. Mac pomyślał, że miewa dwa rodzaje uczniów. Jedni, widząc pierwszy raz Pacyfik, rzucają mu przelotne spojrzenie i trzymają

kurs, jakby latanie było zwykłą, codzienną harówką, a ocean kałużą. Inni tracą głowy, tak jak Freddy. Najczęściej jednak nagła świadomość, że lecą w głąb otwartego morza, paraliżuje ich, więc proszą instruktora o przejęcie sterów i doprowadzenie samolotu do wybrzeża.

Wkrótce dolecieli do pięciu hangarów i jednego pasa lotniska w Mines Field, gdzie za sześć miesięcy miały się odbyć Narodowe Zawody Lotnicze. Buldożery już pracowały przy poszerzaniu pasa, budowano trybuny. Freddy obleciała lądowisko i spojrzawszy na zegarek, postanowiła nie podchodzić tu do lądowania, ale wracać nad górami Santa Monica prosto w kierunku Dry Springs. Straciła mnóstwo cennego czasu przez nieprzemyślane upojenie Pacyfikiem. Zmieniła kurs i wylądowała na lotnisku szkoły trochę po wpół do piątej w zimowe popołudnie. Słońce było już nisko, ale przy bezchmurnym niebie wciąż było dość jasno. Kiedy zatrzymała taylora w miejscu, gdzie zwykle parkował, Mac odezwał się obojętnym tonem.

- Mam dla ciebie jeszcze jeden mały prezent urodzinowy. Pójdę do kantorku go poszukać.

- Już mi dałeś prezent - sprzeciwiła się Freddy. Czowała się dziwnie wyprana z emocji. Zupełnie, jakby lot do celu odebrał jej cały zapas podniecenia.

- Nie narzekaj. Szesnaście lat kończy się tylko raz. A w czasie, kiedy będę w kantorku, weź jeszcze samolot, obleć trzy razy lotnisko i wyląduj z powrotem.

Przez chwilę Freddy siedziała nieruchomo, spoglądając w plecy McGuire'a idącego wielkimi krokami w kierunku hangaru. Czyżby powiedział jej, żeby wystartowała sama? Nie, nie powiedział „sama” ale to

miął na myśli.

- TAK! - wykrzyknęła Freddy do pustej kabiny na znak zwycięstwa.

- Tak, tak, tak - powiedziała, nieświadoma słów wypowiedzianych poważnym, rozkazującym, zrównoważonym tonem podczas kołowania na koniec pasa startowego. Potem ruszyła po nim, w uniesieniu wciskając do końca manetkę gazu, z pasją przynaglała samolot, coraz bliższa cudownej i logicznie następującej chwili, w której prędkość i siła nośna będą dostateczne, by Freddy nieuchronnie wzbiła się na skrzydłach w złociste powietrze, poleciała na wezwanie nieba ku zachodzącemu słońcu.

Szybko nabierała wysokości. Była teraz łucznikiem i strzałą jednocześnie. Ani razu nie spojrzała na wolne siedzenie po prawej stronie. Czas istniał, ale nie dla niej. Osiągnęła odpowiedni pułap i zaczęła przygotowywać się do wykonania niezbędnych manewrów. Ręce pracowały spokojnie, serce biło szaleńczo, przepełnione nieznaną wcześniej radością, lekki samolot odpowiadał na jej dotyk, jakby zrośli się w jedno ciało. Teraz, kiedy była sama w kabinie, często kreślone przedtem figury zdawały się z całkiem innego tworzywa, znaki rozpoznawcze dookoła lotniska odciskały się w jej umyśle w nowy sposób. Doznała boskości chwili; boskość była na krawędziach skrzydeł obejmujących noc, w miarowym ryku silnika, w wiedzy, iż jedna maszyna i jedna istota ludzka, uniesione razem ku samotności, są więcej niż jednym bytem. Freddy usłyszała własny śmiech, a na zmierzchającym niebie dostrzegła świetlisty punkt Wenus.

Poniżej, Mac stał na skraju pasa startowego, wpatrzony w górę. Nie mógł oderwać spojrzenia od sylwetki samolotu, nerwowo zaciskając i rozluźniając trzymane w kieszeni dłonie. Dlaczego, do diabła, pozwolił jej

na długi lot do celu przed pierwszą całkowicie samodzielną próbą? O tak późnej porze Freddy była już zmęczona, a po locie nad oceanem prawdopodobnie bardziej poruszona, niż sądził. Jeszcze wczoraj miała piętnaście lat, zbyt mało, by lecieć samodzielnie. Kto odważyłby się twierdzić, że upływ dwudziestu czterech godzin wystarcza do osiągnięcia odpowiedniego wieku? Skąd u niego tak nie przemyślana decyzja? I co z tego, że Freddy ma dziś urodziny? Mógł odłożyć samodzielny lot do następnego razu. Mógł i, do diabła, powinien.

A jednak... jednak... było w niej tyle gotowości. Patrząc tego dnia na Freddy w czasie lotu czuł, że ożywają w nim najczystsze emocje, jakie odczuwał, gdy sam uczył się latania, emocje, które uważał za zapomniane od wielu lat. Zostając zwykłym nauczycielem tego, co kiedyś stanowiło jego obsesję, wypalił w sobie czystą radość czerpaną z lotu, tego dnia jednak Freddy przywróciła mu doznanie poezji, znowu natchnęła go przestrzenią, która nęciła ku sobie, każąc raz po raz wznosić się ponad twarde grunty planety Ziemi. Chryste, ależ to niebo z każdą sekundą ciemnieje. Dzień należał do najkrótszych w roku. Od czasu, gdy wylecieli z Santa Paula, temperatura musiała spaść o jakieś dwadzieścia pięć stopni. Było mu zimno, ale nie mógł skoczyć do hangaru po kurtkę, póki Freddy znajdowała się w powietrzu. Nigdy nie zdawał sobie sprawy, że trzy okrążenia lotniska trwają tak długo.

Freddy leciała. Widziała przed sobą Wenus i wiedziała, że planeta ma dla niej przesłanie, przyjazne i ważne przesłanie, które Freddy przyjęła już ze świadomością, że być może nigdy nie uda jej się odszyfrować tekstu, choćby znaczył dla niej najwięcej. Jakże tęskniła, by wznieść się w niebo aż tam, skąd można ujrzeć gwiazdy konstelacji Koziorożca. W

książkach pisano, że leżą za daleko, o wiele za daleko, by zobaczyć je gołym okiem. Freddy w to nie wierzyła i nigdy nie uwierzyłaby, wiedziała bowiem, że właśnie teraz leci, mając nad sobą Koziorożca, swój znak Zodiaku.

Spoglądając w dół, dostrzegła postać Maca, samotny, ciemny kształt na pasie startowym. Pomachała skrzydłami samolotu, chcąc pokazać Macowi, że go widzi, dokończyła trzecie okrążenie i z westchnieniem buntu, lecz posłusznie, przygotowała się do zejścia na ziemię.

Mac nie poruszył się, widząc perfekcyjne lądowanie Freddy. Czerwony samolot lekko usiadł na pasie przednimi kołami z jednoczesnym dotknięciem go małym kółkiem z tyłu. Patrząc, jak dziewczyna kołuje i zatrzymuje maszynę blisko niego, wciąż jeszcze zaciskał pięści, rozluźnił się dopiero, gdy zgasła silnik. Drzwi otworzyły się i Freddy jednym susem wyskoczyła z samolotu, omal nie przewracając go impetem, z jakim zarzuciła mu ramiona na szyję. Rozjaśniała zmrok niczym zimny ogień palony czwartego lipca w święto niepodległości, wiatr smagał jej rude włosy, a z oczu biło tyle żaru, że wszędzie, gdzie spojrzęły, posyłały wiązki światła.

- Przeleciałam! Przeleciałam! - wykrzyknęła, okrywając jego twarz pocałunkami. Potem stanęła z rozrzuconymi ramionami i spojrzała w wieczorne niebo, jakby wzięła je w posiadanie. - Przeleciałam, Mac! Och, dziękuję! Dziękuję! - Mac poczuł, że odebrało mu mowę. Był w tej chwili równie młody, triumfujący i upojony jak dziewczyna. Uczucia, o których istnieniu dawno zapomniał, pchały mu do gardła zakazane łyzy. Poklepał dłonią zegarek i ostrzegawczo pokręcił głową.

- Wiem - powiedziała Freddy. - Muszę iść albo się spóźnię. Już się

spóźniłam. Och, Mac, to nieważne. No dobrze, już idę, idę. Ale wiesz, Mac, wróć tutaj! Jeszcze tyle muszę się nauczyć.

Zapomniała wypełnić dziennik pokładowy, jeszcze raz mocno go uścisnęła, obdarzyła ostatnim całusem wdzięczności i wybiegła na drogę polować na samochód, który zawiózłby ją do domu. Mac nadal stał na pasie startowym. Czuł na policzkach ciepło zapalczywych pocałunków. Wydawało mu się, że silne ramiona Freddy wciąż go obejmują, niesamowicie szczęśliwy głos ciągle brzmiał mu w uszach. Westchnął i pokręcił głową. Zaczął przywiązywać taylor, nagle przerwał i potarł dłonią policzek, na który powoli wypłynął zamyślony, na wpół oszołomiony uśmiech.

- Szesnaste urodziny - powiedział do siebie. - I to wszystko przez szesnaste urodziny.

Eve wolałaby wydawać urodzinowy obiad dla Freddy w Perino, najbardziej eleganckiej francuskiej restauracji w Hollywood, ale Freddy była raz w Brown Derby i zachwyciła się zgiełkowością atmosfery show-businessu, gulaszem wołowym i kurczakiem w śmietanie, buteleczkami z ketchupem na wszystkich stolikach i możliwością podłączenia telefonu dla każdego konsumenta. To ostatnie udogodnienie było dla Eve nie do przyjęcia, mimo iż często odwiedzała ten lokal.

Eve zastanawiała się, co jej matka lub, jeszcze lepiej, teściowa powiedziałyby o zabieraniu młodych dziewcząt w takie miejsce. Czy któraś z tych dobrze wychowanych kobiet starej szkoły byłaby w stanie choćby wyobrazić sobie restaurację, w której, tak jak tego wieczoru, mężczyźni i kobiety w wieczorowych sukniach siedzą na długich ławach po obu stronach Toma Mixa, ubranego w wypracowany strój z Dzikiego Zachodu i jedzącego olbrzymią miskę bouillabaisse, potrawy z duszonej ryby; restaurację, gdzie co wieczór łowcy autografów tłoczą się nieustannie wokół baldachimu z frędzlami przy wejściu, czekając na gwiazdy filmowe; restaurację z której, tak jak tego wieczoru, wielu ludzi wychodzi wprost na walki bokserskie odbywające się zaledwie o jedną przecznicę dalej, rezygnując na ich rzecz z oglądania ciągłych bójek pomiędzy niektórymi z najbardziej znanych klientów Derby.

Jak spędziła własne szesnaste urodziny? Na pewno był specjalny obiad rodzinny, może z okazji święta pozwolono jej wypić kieliszek domowego wina. Mogło być także przyjęcie przy herbacie z eklerami i biszkopkami dla kilku jej przyjaciółek. Nie potrafiła sobie przypomnieć z niezbitą pewnością, szesnaste urodziny nie znaczą bowiem wiele dla

Francuzów. Szesnastolatkę uważa się jeszcze za dziecko. Eve miała wtedy długie włosy opadające dziewczęco do samej talii, nie wychodziła nigdzie bez przyzwoitki i nigdy nie bywała w restauracjach czy kawiarniach.

A przecież... a przecież... czy jako szesnastolatka nie była czymś więcej niż dzieckiem?

Eve uśmiechnęła się do siebie, patrząc na córki, sztywno wyprostowane przy stoliku oddzielonym niskim przepierzeniem od reszty sali, zajęte dyskretnym spoglądaniem na jedzące wszędzie dookoła gwiazdy, z których wiele podchodząc do stolików pozdrawiało Paula i Eve, jako że francuski konsul z żoną cieszyli się w Los Angeles dużą popularnością. Delphine i Freddy, którym przedstawiano wchodzących, rzucały spojrzenia pełne aprobaty, ku stolikowi Paula i Eve płynęły natomiast liczne skinienia i mrugnięcia wyrażające gratulacje z powodu córek.

Tego wieczoru obie dostarczały powodów do dumy. Eve myślała o tym z zadowoleniem. Delphine, mająca zaledwie siedemnaście i pół roku, wyglądała zaskakująco dojrzałe w prostej sukni wieczorowej z białego szyfonu, przybranej jedynie sznurem pereł i perłowymi kolczykami. Eve przyszło do głowy, że nawet gdyby córka włożyła całkiem niestosowne diamenty, nie zauważyłby tego nikt, tak pochłaniałyby uwagę gracja, z jaką Delphine trzyma głowę, i jej doskonałe rysy twarzy.

Freddy, mimo późnego powrotu ze szkoły, tego wieczoru nad wieczorami jakoś zdołała namówić włosy, by otoczyły jej szczęśliwą, zaróżowioną twarz względnie zdyscyplinowanymi falami; Eve zawsze wiedziała, że córka potrafi to zrobić, jeśli tylko chce. Pierwsza w życiu wieczorowa suknia, zrobiona z granatowego aksamitu wykończona białą

satyną, nadawała Freddy wyjątkowo dorosły wygląd. Eve pomyślała, że uroczysty obiad musi wiele dla dziewczynki znaczyć, promieniała bowiem podnieceniem całkiem nowego rodzaju, innym niż okazywała dotychczas w życiu pełnym hałaśliwych odkryć i dzielonego z otoczeniem entuzjazmu. Była tak podniecona, że przez cały wieczór prawie się nie odzywała. Tak doszli do deseru. Eve dotknęła dłoni Paula i z miłością skinęła ku olśniewającej młodszej córce, która jaśniała: blask bił od pełnych zdumienia niebieskich oczu i ognistych włosów.

- Gdzie ona jest? - spytała cicho Eve.
- Nigdy się tego nie dowiemy - odparł Paul.
- Wiemy tylko, że nie z chłopakiem.
- Dzięki Bogu - powiedział Paul.

Delphine, świeżo upieczona studentka miejscowego uniwersytetu, chodziła na randki stanowczo za często jak na jego gust, nawet tego dnia po obiedzie wybierała się z Margie Hall, swoją najlepszą przyjaciółką, na spotkanie towarzyskie jakiejś korporacji. Jeśli Freddy również interesowała się chłopcami, nie rzucało się to dotąd w oczy. Teraz, gdy skończyła szesnaście lat, należało jej pozwolić na korzystanie z wszelkich możliwych zaproszeń, podobnie jak wcześniej Delphine. Francuski ojciec w Paulu sprzeciwiał się takiemu rozwiązaniu, ale po pięciu latach spędzonych w Kalifornii Paul rozumiał zwyczaje panujące w tym kraju i wiedział, że nic nie poradzi.

Delphine szturchnęła Freddy.

- Czy widzisz to samo co ja? Popatrz, kto właśnie wszedł! Marlena Dietrich z dwoma mężczyznami... to musi być jej mąż i księżę Felix Rolo z Egiptu... oni wszędzie chodzą razem... Och, Freddy!

- Aha?

- No popatrz, na miłość boską, zanim wejdą do baru. Ech, straciłaś okazję. Ale za parę minut wyjdą, dam ci znak.

- Czy widzisz gdzieś Howarda Hughesa? - spytała Freddy w roztargnieniu. Na Delphine można było polegać, potrafiła rozpoznać wszystkie osoby, których zdjęcia pojawiały się w gazetach, nie tylko gwiazdy filmowe.

- Nie. A po co ci on do szczęścia?

- Tak, z ciekawości - odparła niewyraźnie.

- Dziwnie wyglądasz - powiedziała krytycznie Delphine. - Mamo, czy Freddy nie sprawia wrażenia, jakby miała temperaturę?

- Czy nie masz gorączki, kochanie? - spytała Eve. - Delphine ma rację... policzki ci się czerwienią... i tak zabawnie patrzysz. Oczy za bardzo ci świecą. Może złapałaś jakąś chorobę. Paul, co o tym sądzisz?

- To przypadek znany tutaj pod nazwą „solenizantka”, kochanie. Oczarowało ją, że wreszcie skończyła szesnaście lat. Nie ma żadnej gorączki, po prostu czuje się dorosła... mniej więcej.

Wszyscy troje obrócili się ku Freddy z czułością w różnych odcieniach, ta zaś stwierdziła, że nie potrafi zachować własnego triumfu dla siebie ani sekundy dłużej.

- Latałam dzisiaj całkiem sama - oznajmiła Freddy drżącym głosem.

- Co robiłaś? - powiedziała Eve.

- Co robiłaś? - spytała Delphine.

- Co robiłaś? - wykrzyknął Paul, który jako jedyna osoba przy stole wiedział, o co chodzi.

- Oderwałam się w samolocie od ziemi, okrążyłam trzy razy lotnisko

i wylądowałam.

- Bez niczyjej pomocy? - spytał Paul, mimo iż znał już odpowiedź.

- Musiałam lecieć bez pomocy, tato. Nie liczyłoby się inaczej - powiedziała Freddy starając się, by głos brzmiał pewnie i dorośle.

- Ależ to niemożliwe, Freddy, po prostu niemożliwe! - krzyknęła Eve. - Przecież nie umiesz latać. Jak mogłaś wystartować nie wiedząc, w jaki sposób to zrobić? Jak mogłaś ryzykować życie? Czy ty kompletnie oszalałaś?

- Lepiej nam wyjaśnij, Freddy - powiedział Paul, biorąc Eve za rękę, żeby ją uspokoić.

- Wszystko jest zgodne z prawem - powiedziała pośpiesznie Freddy.

- Szesnastoletniej osobie wolno samodzielnie latać samolotem.

- To nie jest wyjaśnienie. - Wściekłość Paula przybrała na sile.

- Dobrze... Mamo, czy pamiętasz, ile razy opowiadałaś nam, jak wykradłaś się z domu i poleciałaś balonem, mając zaledwie czternaście lat? - zaczęła Freddy.

- Mów na temat, Marie-Frédérique. Chcę usłyszeć fakty! - powiedział Paul tak głośno, jak tylko mógł, nie zwracając uwagi innych gości zatłoczonej restauracji.

- Leciałam samolotem taylor z...

- Fakty! Jak nauczyłaś się latać?

- Brałam lekcje. Osiem godzin.

- Kiedy? Kiedy miałaś czas na lekcje? - spytał Paul przez zaciśnięte zęby.

- W piątki po południu.

- Przecież mówiłaś, że malujesz dekoracje na bożonarodzeniowe

przedstawienie - zaprotestowała Eve.

- Skłamałam.

Delphine głośno odetchnęła, Eve pokręciła głową z niedowierzaniem, a Paul natarł znowu.

- Skąd wzięłaś pieniądze na lekcje?

- No... Pracowałam w soboty u Woolwortha, w stoisku ze słodyczami. Zarobiłam.

- A drużyna pływacka? Przyjaciółka w Beverly Hills? Treningi na basenie? - dopytywała się głęboko urażona Eve.

- Też skłamałam - odparła Freddy, patrząc matce prosto w oczy.

- Gdzie brałaś lekcje latania? - ciągnął Paul.

- W Dry Springs.

- U tego człowieka, który wziął cię w powietrze, kiedy byliśmy tam cztery lata temu? - Tak.

- Jak on mógł zrobić coś takiego, nie powiadamiając nas o tym? - Rysy Paula stężały jeszcze bardziej.

- Jemu też skłamałam. Powiedziałam, że to wy płacicie za lekcje. On nie ponosi najmniejszej winy.

- Powiedz mi wobec tego jeszcze, jak dostawałaś się na to maleńkie lotnisko w piątki po południu - zażądał Paul, naskakując na Freddy, która bez przerwy miała nadzieję, że akurat tego pytania nikt nie zada.

- No... wszyscy tak robią, to jest całkiem bezpieczne. Jeździłam autostopem... ale tylko z ludźmi, którzy bardzo przyzwoicie wyglądali.

- AUTOSTOPEM? - wybuchnęli jednocześnie Paul i Eve.

- Tam się nie można inaczej dostać, tylko samochodem - wymamrotała Freddy, omal nie włączając pod stół i wbijając wzrok w obrus.

- Och, Freddy! - Delphine głośno wciągnęła powietrze, w końcu rzeczywiście zszokowana. Kłamstwo nie było niczym szczególnym, wszystkie dzieci kłamały w tej czy innej sprawie, ale jazda autostopem oznaczała coś naprawdę niedobrego. Żadna grzeczna dziewczynka nawet nie śniła o autostopie. Delphine zauważyła Jimmy'ego Cagneya przechodzącego obok ich stolika, ale nawet nie odprowadziła go spojrzeniem. Tu działy się o wiele ciekawsze rzeczy.

Przy stoliku zapadła złowróżbna, absolutna, napięta cisza. Eve i Paul byli zbyt rozwścieczeni, by polegać na swym opanowaniu i cokolwiek powiedzieć.

- Eve! Paul! Panny de Lancel! Co za niespodzianka, co za przepiękny obrazek! - Nad nimi stał Maurice Chevalier, promiennie uśmiechając się do tego przykładowego kręgu rodzinnego.

- Och, panie Chevalier, mam dzisiaj urodziny, czy to nie wspaniałe? Kończę szesnaście lat, właśnie świętujemy - szczebiotą zdesperowana Freddy.

- W takim razie nie mogę nie świętować z wami! Tu permet, Paul? - Usiadł na końcu ławy, przy Eve. - Kelner, szampana dla wszystkich. Oczywiście lancel, jeśli macie to różowy. Paul, proszę, nie sprzeciwiaj się. - Zwrócił się do Freddy. - To wielki dzień, mademoiselle Freddy. Musi pani przeżywać bardzo szczęśliwy wieczór. Oczekujemy po pani wielkich rzeczy, prawda Paul? - I odwróciwszy się do Eve, szepnął jej do ucha: - Czy pewna Maddy nie byłaby zachwycona, gdyby kiedyś mogła spojrzeć w przyszłość i zobaczyć się w dzisiejszy wieczór, w towarzystwie tak eleganckiego męża i tak ślicznych córeczek? - Pojawił się kelner, niosąc lancel w kubelku z lodem. - O, dobrze, jest i szampan. Czyli musimy

wypić toast... za mademoiselle Freddy de Lancel i jej przyszłość! Niech się układa wspaniale!

Freddy osuszyła kieliszek. Wszystkie straszne rzeczy, które mogły jej się teraz przytrafić, po szampanie wyglądały znacznie lepiej. A czy była zbyt wysoka cena za lot pod Koziorożcem, przy Wenus lśniącej na niebie?.

* * *

Paul w końcu zasnął, ale Eve nadal leżała rozbudzona. Urodzinowy obiad Freddy skończył się wkrótce po przyłączeniu się Maurice'a. Freddy nie usłyszała ani słowa więcej na temat swego niewiarygodnego zachowania. Restauracja nie była odpowiednim miejscem na sesję sądu polowego, a sprawa mogła poczekać do następnego dnia, i to z powodzeniem. Eve i Paul byli za bardzo znużeni i zmartwieni, by przedyskutować ją przed położeniem się do łóżka, ale teraz, mimo zmęczenia, Eve nie mogła zasnąć. Ostrożnie wstała, włożyła szlafrok i usiadła na parapecie, skąd, odchyliwszy firankę, widziała ogród.

Zastanawiała się, w jaki sposób prostolinijna, uczciwa i nieskomplikowana dziewczynka, jaką zawsze wydawała się Freddy, mogła najspokojniej w świecie zbudować tak złożoną siatkę kłamstw. Przez długie miesiące, od początku roku szkolnego, wiodła życie zasługujące jedynie na miano podwójnego. Jak mogła kłamać rodzicom, którzy zawsze dawali jej otwartymi rękami, z niekłamana miłością wszystko, co najlepsze. Udało jej się utrzymać sekret także przed Delphine, co nie było łatwe, a najwyraźniej oszukała również człowieka, który uczył ją latać.

Swoją drogą, jak nieodpowiedzialna i lekkomyślna musi być osoba, która uczy piętnastolatkę czegoś tak niebezpiecznego, po prostu dla

pieniędzy. Jak śmie nazywać siebie nauczycielem? Podciągnęła stopy, przyciskając je do ud, i ciaśniej otuliła się szlafrokiem.

Nawet same próby wyjaśnienia wpędzały ją w nieopisany zamęt, tak wiele z tego nie rozumiała. Freddy siedziała tam beczelnie, zupełnie jakby była z siebie dumna, i ni mniej ni więcej, ośmieliła się porównać masę swoich kłamstw do niewinnej małej wycieczki balonem na ogrzewane powietrze, na którą Eve poleciała w Dijon... kiedy dokładnie to było?... w 1910 roku, dwadzieścia pięć lat temu, tylko ćwierć wieku, jeśli odmierzać czas w zwykły sposób, choć przecież tamten dzień należy już do innego świata, minionego tak dawno jak Atlantyda, do świata sprzed wielkiej wojny.

Eve próbowała sobie uzmysłwić, ile lat wtedy miała. Szybko policzyła, wyszło jej czternaście. Tak dużo... a może tak mało? Ale wyslizgnięcie się spod opieki służbistej pani Heleny i pożyczenie kapelusza matki nie mogło się równać z nauką latania, z miesiącami oszustw i kłamstw. Wszystko wyszło na jaw przez jeden nieoczekiwany powiew wiatru, który strącił jej wówczas kapelusz. Gdyby nie to, nie dowiedziałby się nikt, nikogo nie odwoziliby to od zmysłów. Zresztą nic się nie stało.

Siedząc w ciemności, Eve wygięła wargi w mimowolnym uśmiechu. Przypomniał jej się ogrom szoku, zadziwienie, zaskakujące objawienie, które przeżyła, otaczając ramionami pejzaż widziany z gondoli balonu, i duma, jakiej doznała stając się jedną z niewielu osób, które wzniosły się ponad tłum i zobaczyły na własne oczy, jak wygląda szeroki świat z powietrza.

Musiała przyznać, że niektóre doznania Freddy nie były jej obce,

gdyby brać pod uwagę tylko chęć wejrzenia za horyzont. Z niechęcią pomyślała, że dla tej potrzeby zawsze miała zrozumienie. Poszukiwanie swobody i wyjątkowości było w wieku Freddy zupełnie normalne.

Ale żeby samemu pilotować samolot? Oczywiście wśród lotników były kobiety. Każdy słyszał o Amelii Earhart, Anne Lindbergh i Jackie Cochran. Ich wyczyny zawsze trafiały do prasy, ale przecież były to dojrzałe kobiety, nie młode dziewczęta, w dodatku kobiety należące do niezwykłego gatunku, zainteresowanego wtargnięciem w domenę mężczyzn. Inne mogły je podziwiać, ale nigdy zrozumieć. To prawda, że Freddy zawsze chciała „latać”. Często o tym mówiła i dowodziła tego brawurowymi wybrykami, ale przecież taka dziecięca zachcianka powinna mijać, dziewczynka powinna z niej wyrosnąć, tak samo jak z szaleńczych eskapad na wrotkach i skoków z okna.

Eve westchnęła. Nieczęsto miewała poczucie tak olbrzymiej klęski. Nie znała dotąd Freddy, którą odkryła tego wieczoru, a to musiało dla niej oznaczać, że jako matka okazała się niedbała i nie dość bystra. Jakże ironicznie wypadło wejście Maurice'a, który przysiadł się do nich, nalegając na uczczenie święta, w przekonaniu iż w rodzinie Lancelów panuje niezmacona radość. Co on jej szepnął? Wtedy nie zwróciła na to uwagi, tak bardzo otepiły ją szok i wściekłość. „Czy pewna Maddy nie byłaby zachwycona... „ Pewna Maddy.

Eve zeskoczyła z parapetu, uderzona nagłym przypływem pamięci. Stała absolutnie nieruchomo, wsłuchując się w raptowne bicie własnego serca. Maddy! Maddy, która nie zastanawiając się szczególnie, spowodowała największy skandal, jaki wybuchł od lat, skandal, który przyniósł wielkie cierpienie i wstyd całej rodzinie i, co musiała przyznać,

złamał karierę Paulowi; Maddy od czerwonej sukienki, czerwonych pantofelków i miłosnych piosenek, od bezgranicznego aplauzu, od gorącego, pełnego żaru, pomarańczowego blasku świateł rampy; Maddy, która w końcu zapragnęła najwyższej chwały, jaką mógł jej dać music-hall.

Była tylko o rok starsza niż Freddy, kiedy jeszcze w Dijon wieczór w wieczór oszukiwała rodziców spiskując, by wyślizgnąć się z domu i pobiec do Alcazaru, gdzie słuchała śpiewu Alaina Marais. Strach pomyśleć... spotykała się z nim sam na sam. Eve mocno zarumieniła się w ciemności, przypomniawszy sobie wieczór, w który poszła z nim do pensjonatu. Dwa kieliszki czerwonego wina nie usprawiedliwiały jej zgody na to, co tam robił... a przecież... przecież mężczyzna prosił o pozwolenie przed każdym krokiem naprzód. Nie! Nie wolno jej myśleć o wydarzeniach tamtego wieczoru, nie wolno świadomie do nich wracać, chociaż nigdy ich nie zapomni.

Była starsza tylko o rok od Freddy, kiedy znikła z domu i uciekła do Paryża. By żyć w grzechu, jak wszyscy musieli poszeptywać zszokowanymi głosami... w najczarniejszym, najgłębszym grzechu, nie wydającym się bynajmniej grzechem beztroskiej dziewczynie, która uczyniła Grands Boulevards swoim terytorium, która ośmieliła się iść na przesłuchanie do Jacquesa Charlesa i śpiewem zmusiła go, by usiadł prosto i zwrócił na nią uwagę, która zmieniła potem imię na Maddy, wykonywała tour de chant w Olimpii i była tak pewna siebie i swojego prawa do tego, na co ma ochotę, że praktycznie wyrzuciła z garderoby ciotkę Marie-France, gdy ta przyszła błagać ją o powrót do domu. Czy miała wtedy jeszcze siedemnaście lat, czy już osiemnaście? Eve ciągle

brzmiały w uszach jej własne wyzywające słowa.

„Nie jestem już małą dziewczynką, której rozkazuje się od rana do wieczora... Jak mogłabym osiągnąć zadowolenie z życia, jakie prowadzi moja matka?.. Nie ma nic, czego musiałabym się wstydzić”. Oto Maddy, która była tak bez reszty pochłonięta pragnieniem zostania gwiazdą, że nigdy nie zeszłaby ze sceny, gdyby nie wojna i Paul. Kiedy w końcu wymazała Maddy z pamięci? Kiedy, w którym momencie tych wszystkich lat przemieniła się w Madame la Consule de France, śpiewającą jedynie dla przyjaciół na prywatnych bankietach albo na uroczystych koncertach urządzanych przez liczne organizacje charytatywne w Los Angeles. Kiedy zatraciła w sobie Maddy?

Chodząc tam i z powrotem po pokoju, w słabym świetle księżycy, Eve błędziła wśród nagle ożywionych wspomnień. Przez długie minuty tonęła w przeszłości. W końcu wróciła do teraźniejszości. Paul nadal spał, ale coś podpowiedziało jej, że z Freddy jest inaczej.

Wyszła z sypialni i ruszyła korytarzem do pokoju córki. Pod drzwiami biegła rozświetlona smuga. Zapukała, Freddy odpowiedziała słabym „Proszę”.

- Nie mogłam zasnąć - powiedziała Eve, spoglądając na córkę, jak skulona we flanelowej piżamie leży na łóżku, opuszczona i malutka, ściskając książeczkę w czerwono-niebieskiej oprawie.

- Ja też nie.

- Co czytasz?

- Podręcznik pilotażu.

- Dobry?

Freddy roześmiała się.

- Intrygi nie ma i dialogu też nie, ale jest dużo szczegółowych opisów.

- Freddy, powiedz mi... ta osoba... ten twój instruktor... czy to jest młody człowiek?

- Mac? Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Latał w czasie wojny w Eskadrze Lafayette, więc musi mieć... och, nie wiem. Mogę go zapytać.

- Nie, to jest bez znaczenia. Pytałam tylko, bo interesuje mnie... czy ma doświadczenie.

- Ma go więcej niż ktokolwiek inny. Zaczął latać jeszcze jako dziecko. Uczył setki ludzi. Wiesz, mam, naprawdę nie ma w tym nic niezwykłego, że ktoś lata samodzielnie mając szesnaście lat. Wielu chłopców to robi. Spytaj kogo chcesz.

- Na pewno masz rację. Ale to było po prostu takie... zaskakujące.

- Zdaje się, że nie jesteś już zła - powiedziała ostrożnie Freddy.

- Nie jestem. Przemyślałam tę sprawę. Latanie wiele dla ciebie znaczy, prawda?

- Więcej niż potrafię opowiedzieć. Nie naplotłabym tylu kłamstw, gdyby był inny sposób. Ale wiedziałam, że mi nie pozwolicie, jeśli poproszę o pozwolenie - uczciwie wyznała Freddy.

- Hmm - Eve zastanowiła się nad ostatnim zdaniem.

- No powiedz, nie pozwoliłabyś, prawda?

- Rzeczywiście nie. Kazalibyśmy ci poczekać.

- Nie mogłabym czekać.

- Wiem.

- Skąd... skąd wiesz?

- Po prostu wiem. Kiedyś byłam młoda, pamiętasz?

- Nadal jesteś młoda - rzuciła Freddy.

- Już nie taka młoda. Już nigdy nie będę taka młoda... i prawdopodobnie wyjdzie mi to na dobre. Tak, z pewnością na dobre... Zresztą jest to nieuniknione... I co my teraz z tobą mamy zrobić, kochanie?

- Muszę zdobyć licencję pilota, nie ukrywam tego. I obiecuję więcej nie kłamać... Ale potrzebuję też waszej zgody na piśmie, żeby dopuścili mnie do egzaminu. Wymagają jeszcze ode mnie co najmniej dziesięciu godzin lekcji.

- Jakie właściwie miałaś plany? Pracować, aż uzbierasz pieniądze na tyle lekcji?

- Tak. Chciałam wymyślić jeszcze kilka innych... rzeczy... no, nie... kłamstw, żeby wyjaśnić wam, dlaczego nie ma mnie ani w szkole, ani w domu.

- Drużyna tenisowa? Misterium wielkanocne? Majowy festiwal i wybory królowej wiosny?

- To dobre pomysły, poza królową wiosny. Gdybym nie była taka dumna z mojego samodzielnego lotu i nie powiedziała wam o nim, to na pewno doszłabym do tego.

- I nawet do pisemnej zgody.

- Jak dwa razy dwa jest cztery - powiedziała Freddy pośpiesznie. - Zrobiłabym to.

- Nie wątpię - mruknęła Eve. No, to wszystko jasne. Biorąc wszystko pod uwagę, sądzę, że tak jest lepiej.

- Czy to znaczy, że pozwolicie mi pracować u Woolwortha? - spytała Freddy z ożywieniem.

- Muszę porozmawiać z ojcem. Ale sądzę, że mu wytłumaczę. Za to

nie ma mowy o jeździe autostopem. W żadnym wypadku i pod żadnym pozorem. Czy obiecujesz mi to uroczyście?

- Oczywiście, tylko jak wobec tego dostanę się na lotnisko?

- Jeśli masz dość zręczności, by latać samolotem, to muszę zakładać, że jesteś również w stanie jeździć po ulicach. Większość chłopców robi prawa jazdy, mając szesnaście lat. Pamiętam, że Delphine nie mówiła w swoim czasie o niczym innym.

- Och, mammo!

- Kiedy nauczysz się jeździć, możesz pożyczać mój samochód.

- Och, mammo, jesteś dla mnie taka dobra! - Freddy rzuciła się na Eve i zmiażdżyła ją w uścisku. Chociaż była postawniejsza od matki, przytuliła się do niej mocno, szukając ciepła i bezpieczeństwa. Nie okazała się dostatecznie zepsuta, by rodzina ją wykleła, a tego obawiała się najbardziej przez ostatnie godziny, samotnie spędzone we własnym pokoju. Matka i córka miały łzy w oczach.

- Powiedzmy po prostu, że jestem wdzięczna za pewne przejawy życzliwości... większe i mniejsze. A teraz idź spać, kochanie. Zobaczymy się rano.

- Dobranoc, mammo - powiedziała Freddy, sprawiając wrażenie, jakby zamierzała się w ogóle nie kłaść i przetańczyć całą noc ze szczęścia.

- Dobranoc, kochanie. Ten samodzielny lot był wspaniały, prawda? Mogę sobie wyobrazić... nie, nawet pamiętam... na mój własny sposób pamiętam, co musiałś odczuwać. Gratuluję ci, kochanie, jestem z ciebie bardzo dumna.

* * *

- Chodź, Freddy, już czas - powiedziała Delphine. Freddy spojrzała

przez okno na zimowy deszcz, który zaczął się po jej urodzinach i padał bez przerwy przez tydzień. Delphine przyjechała w niedzielę z akademika i oznajmiła, że przyszedł czas na „promocję”, którą obiecała Freddy w urodzinowym prezencie. Freddy nie widziała sposobu na grzeczne wykręcenie się z tego eksperymentu zwykłą wymówką, iż ma za dużo lekcji. Oczywiście, nie miała ich za dużo i równie oczywiście musiała przyjąć podarunek Delphine, jeśli nie chciała zostać oskarżona o niewdzięczność, brak siostrzanych uczuć i nietowarzystwość.

- Owinę cię ręcznikiem kąpielowym - powiedziała Delphine, usadziwszy Freddy w swoim pokoju przed toaletką z lustrem. - Przyniosłaś szczotkę do włosów? - Freddy podała szczotkę z niesłyszalnym westchnieniem zniecierpliwienia, choć nie wiadomo ile osób spośród znajomych Delphine dałoby wszystko za chwilę tak skupionej na nich uwagi.

Delphine, skoncentrowana i poważna, obróciła siostrę od lustra. Sczesła jej z twarzy wszystkie kaskady włosów i przytrzymała je plastikowymi spinkami. Wzięła buteleczkę zmywacza, zwilżyła bawełnianą szmatkę i przejechała nią po niezwykle czerstwej twarzy Freddy. Po zabiegu szmatka pozostała równie czysta jak na początku, Freddy nie używała bowiem żadnych kosmetyków.

- Dobrze - powiedziała Delphine. - Teraz mogę zacząć. - Wzięła jedno z pudełek podkładu Maxa Factora, które trzymała w szufladzie, i pokryła wyraziste rysy Freddy cienką, wprawnie nakładaną warstewką, zamieniając całą twarz w gładką, bladą powierzchnię, o kilka odcieni jaśniejszą niż naturalna karnacja Freddy. Wypudrowała Freddy w tym samym jasno beżowym kolorze i w milczeniu studiowała wynik, krążąc

dookoła siostry.

W wyglądzie Freddy jest szlachetność posągu, pomyślała. Czujnego posągu, o tak mocnym i doskonałym szkielecie, jak sklepienie katedry. Ale Delphine była siostrą Freddy, nie chłopcem, a chłopcy, normalni czy wyjątkowi, nie umawiają się na randki z posągami.

Chociaż Delphine nigdy siostrze niczego na ten temat nie mówiła, martwiło ją, że Freddy w wieku szesnastu lat nie ma dość chętnych, którzy by się z nią umawiali. Dość? Właściwie nie było ich wcale. Jeśli zaś dziewczyna nie zdobyła popularności przed szesnastym rokiem życia, to na jaką przyszłość mogła liczyć? Freddy często siedziała w domu w soboty wieczorem i usiłowała sprawiać wrażenie, jakby była absolutnie szczęśliwa, że zostawiono ją z tymi niemożliwymi książkami o lataniu, Delphine wiedziała jednak, że tak naprawdę siostra musi być do głębi przejęta i tylko duma nie pozwala jej tego przyznać. Freddy świetnie tańczyła, często bowiem robiły to razem, ćwicząc modne kroki, ale kto pozna się na jej lekkości i poczuciu rytmu, skoro Freddy donikąd nie wychodzi?

Delphine wyjęła wacik i płaskie pudełeczko z różem. Leciutkimi dotknięciami rozprowadzała róż, mieszając go z podkładem, żeby wyglądał naturalnie. Potem wyjęła ostro zatemperowaną kredkę do oczu i drobnymi ruchami zaczęła rysować jasnobrazowe kreseczki pośród miedzianych brwi Freddy, przyciemniając je akurat na tyle, by stanowiły dramatyczne obramowanie dla głęboko osadzonych, wściekle niebieskich, pewnie spoglądających przed siebie oczu. Freddy poruszyła się niespokojnie.

- Nie wiedziałam, że masz ten cały towar. Czy ty go używasz? -

spytała.

- Oczywiście. Wszyscy używają.

- Nigdy nie zauważyłam.

- O to właśnie chodzi. Jeśli makijaż rzuca się w oczy, to jest źle zrobiony. Ale odpowiedni daje bardzo dobre wyniki. Wiesz, Freddy, łatwo się tego nauczyć. Kiedy skończę, powiem ci dokładnie, co należy robić. Potem zdejmę ci makijaż z całej twarzy i zrobimy go jeszcze raz, każda na swojej połowie. Będziemy mogły tak ćwiczyć, dopóki nie zaczniesz ci się udawać... Wszystko jedno, jak dużo czasu to zajmie. Musisz się odprężyć i mieć dość odwagi, by popełniać błędy. Zawsze można je zetrzeć.

- Bardzo... bardzo miło i uprzejmie z twojej strony, Delphine.

- Szesnaście lat kończy się tylko raz. To bardzo ważne urodziny, dlatego muszę ci dać na nie coś ważnego - powiedziała Delphine z przyjemnością. Przez chwilę pracowała w milczeniu, potem obojętnie dodała: - Chłopcy ze średnich szkół są nudni jak piły.

- Ja też to zauważyłam.

- Masz szczęście, że przeskoczyłaś jeden rok. Następnej jesieni będziesz na uniwerku, a to zupełnie coś innego. Studenci z college'ów. Tysiące studentów. W większości wcale nie nudziarze.

- Dobra nowina. - Freddy wyczarowała najbardziej niewinny uśmiech, na jaki mogła się zdobyć. Delphine bywała zachwycająca, kiedy próbowała wykazać się subtelnością.

- Studenci z college'u wiedzą, jak docenić osobę umiejacą prowadzić rozmowę. Będą cię zapraszać.

- To jeszcze lepsza nowina.

- Tylko do pewnego stopnia - powiedziała Delphine, posługując się

słowa z wprawą pikadora, a jednocześnie sięgając po małe pudełeczko, w którym trzymała tusz do rzes, swój najdroższy skarb.

- O?

- No, wiesz, jacy są ludzie... Sami gadają i gadają nawet w towarzystwie osoby umiejącej prowadzić ciekawą rozmowę.

- To głupie. Przecież w ten sposób chyba marnują talenty partnera?

- Niezupełnie. Przy właściwie prowadzonej rozmowie druga osoba powinna czuć własną błyskotliwość... rozumiesz, trzeba pomóc jej się otworzyć, zachęcić do wyrażenia siebie, słuchać kreatywnie. - Delphine zanurzyła pędzelek w kieliszku z wodą i wprawnie potarła go o płaski krążek tuszu.

- Jeśli usiłujesz powiedzieć, że jestem nadmiernie gadatliwa, to wiem o tym - stwierdziła Freddy.

- Och, Freddy, wcale nie w tym rzecz. Tyle że chłopcy, nawet studenci, nie potrafią sensownie mówić o lotnictwie. Nie wiedzą na ten temat ani trochę i z pewnością nie chcą się dowiadywać od dziewczyny.

- Dobrze, a o czym jeszcze mogę rozmawiać?

- O samochodach - uroczyście powiedziała Delphine.

- Próbowałam. Naprawdę, szczerze próbowałam, ale samochód jest taką śmieszną zabawką. Popatrz, co jeszcze może robić to durne pudełko, poza jazdą tam i z powrotem na jakiejś kretyńskiej drodze? Jest jednowymiarowe! Dlaczego wokół samochodów robi się tyle hałasu? - spytała Freddy z niesmakiem.

- Gdybyś... gdybyś tylko... potrafiła powstrzymać się od najmniejszego słówka o samolotach i udawała, że interesują cię samochody, choćby przez chwilę, to od samochodów można przejść do

czegoś innego. Większość dziewcząt nie odróżnia koła od kierownicy, więc masz tutaj dużo punktów. Potem... potem rozmowa skupi się wokół czegoś innego.

- Na przykład? - Freddy była zupełnie w kropce, ale chciała się dowiedzieć.

- Jego uczelnia, wykłady, profesorowie, drużyna futbolowa i jej szanse, zespoły, które lubi, filmy, które widział, ulubione gwiazdy filmowe, plany po skończeniu studiów, poglądy na absolutnie wszystko, nawet jeśli bierze je z komiksów... oj, Freddy, zaczynając od samochodów i zadając następne pytania, można skłonić mężczyznę do mówienia o tysiącach rzeczy.

Rzęsa po rześie, Delphine nakładała tusz zręcznie unikając zbyt grubej lub nierównej warstwy. W końcu przyjrzała się wykonanemu dziełu, uznała, że odpowiada jej upodobaniom, i starannie odmierzając słowa, nadając im dramatyczne brzmienie, przekazała siostrze najważniejszą część swego doświadczenia:

- Jeśli mężczyzna przestaje mówić, a ty nie wiesz, co powiedzieć, to po prostu powtórz kilka jego ostatnich słów z pytającą intonacją, jakbyś nie zrozumiała. Wtedy znów się odezwie, będzie mówił i mówił. Ten sposób nigdy nie zawodzi. Nie zdradziłam go jeszcze żadnej dziewczynie, nawet Margie.

Pod wrażeniem, ale bez przekonania, Freddy zapytała:

- Po prostu powtórzyć ostatnie słowa? Tyle zachodu tylko w tym celu?

- Ależ to jest najważniejsze. Proste, ale jeśli właściwie zrobione, to żaden mężczyzna ci się nie oprze. Zdobędziesz reputację fantastycznej

rozmówczyni, a z twoim wyglądem i kapitalnymi nogami... dałabym wszystko za twoje nogi... będziesz najbardziej wziętą dziewczyną na pierwszym roku.

- Z moim wyglądem?

- Na razie nie patrz w lustro. Poczekaj, aż skończę. Jeszcze nie zrobiłam ci fryzury. - Delphine zaczęła szczotkować włosy Freddy, póki nie ułożyły się w wyjątkowym, jak na siebie, porządku. Zrobiła w jaskrawej płataninie przedziałek z boku i za pomocą lokówki podgrzanej na toaletce biegle podkręciła długie, gęste włosy, aż zaczęły faliście opadać po obu stronach twarzy, zawijając się u dołu ku szyi. W końcu pokryła wargi Freddy różową szminką i rozczarowana, gdyż okazało się, że odcień nie jest ani trochę ciemniejszy niż naturalna barwa ust Freddy, nałożyła na wierzch większą ilość szminki w kolorze jasnoczerwonym, żeby zasłonić róż. Z szuflady w toaletce wyciągnęła dużą, czarną szyfonową chustę, po czym rozpięła ręcznik, którym uprzednio owinęła siostrę, i artystycznie udrapowała szyfon, tak że triumfalne ramiona Freddy i głębokie wcięcie nad piersiami pozostały całkiem obnażone.

Delphine wstrzymała oddech, uniesiona zachwytem.

- Obróć się - zarządziła jak dobra wróżka i okręciła Freddy na krześle, ustawiając ją twarzą do lustra. Freddy spojrzała na siebie, zaskoczenie odebrało jej mowę.

- No? - szepnęła Delphine.

- Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć...

- Jesteś zabójcza! Freddy, od spojrzenia na ciebie zapiera dech w piersiach! Nie mogę wprost uwierzyć, że to ty!

- Czy nie wyglądam za... staro?

- Wyglądasz jak gwiazda filmowa - powiedziała Delphine z czcią, obdarzając siostrę największym z możliwych komplementów. - Wiedziałam, że przy odrobinie makijażu stać cię na to - Delphine pochyliła się nad własnym dziełem i pocałowała Freddy w czubek głowy. Wykazała się gustem. Siostra była piękniejsza niż w jej najśmielszych oczekiwaniach. Delphine poczuła lekkie ukłucie zazdrości, ale szybkie spojrzenie w lustro pocieszyło ją. Stanowiły dwa tak różne typy, że wzajemnie podkreślały własną urodę.

- Chodźmy cię komuś pokazać - błagalnie rzuciła Delphine, ciągnąc siostrę za ramię.

- Nie mogę. To... to mnie trochę przeraża. Daj mi trochę czasu, żebym się mogła przyzwycząić. Zresztą komu możemy się pokazać? Mama nie wie, że używasz tych mazideł, prawda? Tata zabiłby cię za to, mnie też. Mnie pierwszą, tego jestem pewna.

- Masz rację... po prostu tak się zachwyciłam twoim widokiem, że o tym zapomniałam. Wiesz, Freddy, kiedy już zaczniesz naukę w college'u, możesz na mnie liczyć, ile razy będziesz potrzebować makijażu. To jest druga część mojego prezentu. - Delphine krzątała się z zadowoleniem, odkładając na miejsce baterię kosmetyków, w dużej części poznanych z ogłoszeń w czasopismach filmowych i sprowadzonych pocztą.

- Pozwól spojrzeć na te zdjęcia - powiedziała nagle Freddy w nagłym napadzie ciekawości, sięgając po stosik lśniących fotografii, wypatrzony na dnie jednej z szufladek Delphine zawierających kosmetyki.

- To nic takiego! - stwierdziła pospiesznie Delphine, ale Freddy już przeglądała pakiet. Wszystkie zdjęcia przedstawiały siostrę ze zmieniającą się, nieznaną obstawą. Były oprawione w kartonowe podstawki pod

szklanki, noszące nazwy znanych klubów nocnych Hollywood: Coconut Grove, Trocadero, Palomar, Circus Cafe, Omar's Dome.

- Ci mężczyźni... to nie są koledzy z uniwersytetu, prawda? - spytała Freddy.

- Niektórzy tak, niektórzy nie - odparła Delphine zmieszana.

- Hej, chwileczkę... Ten facet musi mieć co najmniej trzydziestkę. Ale wygląda nieźle. Delphine, czy ty palisz i pijesz?

- Niewiele. Tylko tyle, żeby nie pomyśleli, że jestem dzieckiem.

- Ile lat ci dają? - zastanawiała się Freddy, zafascynowana siostrą ze zdjęć. Delphine była na nich efektowną, starszą niż w rzeczywistości, upozowaną kokietką, z uśmiechem patrzącą prosto w oczy mężczyznom, jakich nikt w rodzinie nigdy nie znał.

- Dwadzieścia jeden.

- Jak to robisz? - spytała Freddy z podziwem.

- Mam oczywiście fałszywe dokumenty. Wszyscy mają- odparła wymijająco Delphine i wydzierając zdjęcia z ręki Freddy, wcisnęła je do szuflady, którą z trzaskiem zamknęła.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedziała Freddy do starszej siostry.

- Jedno?

- Chodzi o tych mężczyzn. Czy zabierają cię do nocnych klubów, kupują ci storczyki do przypinania na ramieniu i patrzą na ciebie tak, jak na tych fotografiach, tylko dlatego, że świetnie mniesz prowadzić rozmowę? Czyżbyś spędzała cały wieczór pytając ich, co sądzą o drużynie futbolowej, komiksach i samochodach?

- Niezupełnie - ostrożnie powiedziała Delphine. - Ale od tego się zaczyna.

* * *

Było niedzielne popołudnie w czerwcu 1936 roku. Poprzedniego dnia Freddy skończyła szkołę średnią i leciała właśnie na najdłuższy z dotychczasowych samodzielny lot do celu, z Dry Springs do San Luis Obispo i z powrotem. Najprostsza droga biegła na północ, a potem nieco na zachód, nad szczytem Big Pine w paśmie San Rafael, w poprzek doliny na wschód od Santa Maria, nad jeziorem Twitchell i nad Arroyo Grande prosto ku lotnisku w San Luis. O wiele łatwiej byłoby po prostu lecieć wzdłuż brzegu na północ i skręcić na wschód nad Pismo Beach, ale taki szlak nie wzbogacał doświadczeń nawigacyjnych, a tymczasem przez miesiąc przepracowane z Macem nad licencją prywatnego pilota, zdobytą w końcu miesiąc temu, Freddy bardzo solidnie przykładła się właśnie do nauki nawigacji.

Nawigacja, perfekcyjna nawigacja z dokładnością do ułamka sekundy i centymetra, była dla każdego, kto opanował sztukę latania, następnym krokiem w drodze do stania się prawdziwym pilotem. Umiejętność okazała się wcale nie tak zagadkowa, jak początkowo Freddy sądziła. Oznaczała przede wszystkim pilotaż z ciągłą i pełną świadomością miejsca, nad którym znajduje się samolot, świadomością zdobywaną przez nieustanne odczytywanie znaków rozpoznawczych na ziemi i porównywanie ich z rozłożoną na kolanie mapą, a także całkowite poleganie na wskazaniach busoli magnetycznej. Wysokie wiatry mogą przez kilka minut nieuwagi pilota zepchnąć maszynę z kursu, toteż Freddy czujnie wypatrywała punktów orientacyjnych na ziemi, które pojawiały się to z lewej strony, to z prawej, a czasami dokładnie pod skrzydłami. W razie najmniejszego odchylenia natychmiast spoglądała na busolę i

uwzględniała poprawkę na wiatr.

Przeleciawszy nad miasteczkiem Ojai, które znalazło się dokładnie tam, gdzie powinno, Freddy pozwoliła myślom zdryfować ku przyszłości. Od następnego dnia rozpoczynała letnią pracę, sześć dni w tygodniu w piekarni Van de Kampa, należącej do firmy Beverly and Western. Sieć piekarni, która zaczynała od cukierków domowej roboty, zwanych mieszanką orzechową kochanej Henrysi, obejmowała teraz setkę punktów sprzedaży w kształcie wiatraka, rozrzuconych po całym Los Angeles. Praca zaczynała się wraz z otwarciem piekarni o szóstej rano, a kończyła o drugiej po południu, kiedy przychodziła zmiana. Ze względu na niewygodne godziny i sześciodniowy tydzień pracy płacono tam wyjątkowo dobrze. Normalnie tygodniówkę w wysokości dwudziestu pięciu dolarów dostawała wykwalifikowana sekretarka. Dla Freddy oznaczało to możliwość latania przez kilka popołudni w tygodniu i w czasie weekendów.

Freddy jęknęła. Najwyraźniej przeznaczenie skazało ją na sprzedawanie cukierków, herbatników i ciastek, do których czuła bez wyjątku żywiołową niechęć, ale słodczyce zdawały się jedną z niewielu branż wykazujących zadziwiającą odporność na kryzys. Zresztą codzienne duszenie się w wyziewach podgrzewanego cukru niewiele znaczyło w zestawieniu z pieniędzmi, które miały zapewnić Freddy latanie przez letnie miesiące i jeszcze wystarczyć na zapoczątkowanie, do diabła, zaledwie zapoczątkowanie funduszu na zakup samolotu.

Tego dnia przeżywała czystą radość lotu w nowej maszynie Maca, jaskrawożółtym jednopłatowcu ryan ST A ze studwudziestopięciokonnym silnikiem menasco C-4, o wiele mocniejszym niż w taylorze. Do tej pory

Freddy latała ryanem zaledwie pięć razy. Z okazji zakończenia nauki w szkole średniej ojciec podarował jej sznur prawdziwych pereł, ale matka, niech Bóg ją za to błogosławi, ucieszyła oczy Freddy żywą gotówką, za którą można było opłacić trzy długie loty do celu; pierwszy z nich właśnie się zaczynał. Perły były pierwszą wartościową sztuką biżuterii w posiadaniu Freddy, która zastanawiała się, czy będzie je można zastawić.

Wiedziała, że na finansową pomoc ojca nie ma co liczyć. Ojciec z wielką radością kupiłby jej kosztowny zestaw kijów do golfa, opłacił członkostwo w klubie tenisowym, a nawet lekcje brydża, gdyby Freddy wyraziła taką zachciankę. Dzięki matce zgodził się w końcu nie stawiać formalnych sprzeciwów lotniczej pasji, ale jasno dał do zrozumienia, że nie dołoży do niej ani centa, nawet w formie pożyczki. Miał oczywiście nadzieję, że utrudnienie szybciej zniechęci Freddy i wygasi jej zainteresowanie.

Freddy nie widziała sensu w mówieniu mu, że postanowiła kupić samolot na własność. Każdy z trzech dobrych samolotów dostępnych za stosunkowo niską cenę, czy to taylor, porterfield zephyr, czy aeronanca highwing, kosztował prawie tysiąc pięćset dolarów, z czego czterysta pięćdziesiąt trzeba było zapłacić gotówką jako zaliczkę. Co za fortuna! Delphine dostała na osiemnaste urodziny pontiaca za sześćset dolarów, dzięki czemu zazdrościła jej połowa dzieciaków w sąsiedztwie. W samochodowych kategoriach pragnienie kupna niezbyt kosztownego samolotu równało się chęci posiadania packarda, najdroższego samochodu w Stanach Zjednoczonych. Oczywiście Freddy musiała znaleźć używany samolot z drugiej lub trzeciej ręki, którego cenę udałoby jej się wytargować, a spłatę rozłożyć na długi okres.

Jeśli nie będę miała własnego samolotu, zastanawiała się Freddy, dostrzegając akurat na kursie szczyt Big Pine i nabierając wysokości, to jaką przyszłość mam przed sobą w lotnictwie? A dokładniej w zawodach samolotowych?

Zawody samolotowe. Freddy wiedziała, że nie ma szans w wyścigach odbywających się na stosunkowo krótkich dystansach, kiedy maszyny lecą pełną mocą, niczym konie wyścigowe. Nie miała także szans w wyścigach po zamkniętym kręgu. Tylko samoloty o znacznie większej mocy, niż mogło marzyć się Freddy, osiągały sukcesy w takich imprezach, i to tylko wtedy, gdy za sterami siadał pilot mający w wyścigach doświadczenie. Przez kilka ostatnich lat zainteresowanie przelotami szybkościowymi wzrosło w lotniczym świecie do tego stopnia, że niektóre rekordy bito co kilka dni.

W okolicy Los Angeles odbywały się jednak także zawody w lataniu do celu, podczas których maszyny pokonywały odcinki od jednego punktu tankowania do następnego, a cel znajdował się często o kilkaset kilometrów od startu. Samolotom przyznawano handicap, zgodnie z ich teoretycznymi możliwościami, tak że zwyciężał pilot, który spędził najmniej czasu w powietrzu, który wybrał najlepszą trasę, najsprawniej korzystał z wiatru, busoli i map, pilot, który wykazał najwięcej precyzji, wynalazczości i sprytu... a czasami także miał najwięcej szczęścia.

Do diabła, ta to ma latanie we krwi! Brytyjka Amy Johnson, której karierę Freddy z zapałem śledziła, zaczęła latać w 1928 roku. Kiedy dziewczyna z Hull miała za sobą zaledwie siedemdziesiąt pięć godzin w powietrzu, wystartowała z Croydon pod Londynem i w malutkim, kruchym, kupionym z drugiej ręki samolocie de havilland moth skierowała

się ku Australii. Podczas burzy piaskowej musiała awaryjnie lądować na pustyni; na lotnisku w Bagdadzie złamała w samolocie gołęń; po drodze do Karaczi zgubiła sworzeń; nad Jansi zabrakło jej paliwa i musiała lądować na placu apelowym wśród rozpaczliwie uciekających żołnierzy; przeleciała przez monsun pomiędzy Kalkutą i Rangunem, gdzie musiała wymienić śmigło na zapasowe. Na ostatnim etapie, nad Indonezją, borykała się z przerywającym silnikiem i złą widocznością nad morzem w pobliżu Timoru, w końcu doleciała do Darwin, gdzie oficjalnie uznano ją za pierwszą kobietę, która wykonała samodzielny przelot z Anglii do Australii. Stała się międzynarodową bohaterką.

To było latanie, smutno pomyślała Freddy, a jej cześć dla bohaterki ustąpiła miejsca marzeniom, stwierdziła bowiem, że Amy Johnson dokonała swego wyczynu, kiedy ona, Freddy, ledwie skończyła dziewięć lat i nie miała jeszcze za sobą ani chwili w powietrzu.

Amy Johnson podążyła śladem pierwszego triumfu, ustanawiając rekord trasy Londyn-Tokio w kategorii lekkich samolotów. Wkrótce nieznany pilot, niejaki Jim Mollison, wślawił się przelotem z Australii do Anglii w dziewięć dni. Amy poznała go i pobrali się. Po dwudniowym miodowym miesiącu Jim Molisson wystartował, by pokonać Atlantyk ze wschodu na zachód, po drodze wymazując z tabel różne rekordy, Amy natomiast pobiła w tym samym czasie własny rekord lotu z Londynu do Cape Town, poprawiając go o jedenaście godzin.

Freddy westchnęła myśląc, że to wspaniały sposób na uczczenie małżeństwa. Dobrze wiedziała, iż nie zgodziłby się z nią nikt, ale była kompletnie oczarowana pomysłem nowożeńców, by odlecieć w przeciwnych kierunkach, każde w pogoni za nowym rekordem. Szczęśliwa

Amy Johnson, która spotkała mężczyznę rozumiejącego to jedno, co dla niej ma znaczenie.

Żadnego chłopaka, z którym Freddy umówiła się w ciągu ostatniego roku, nie interesowały samoloty. Freddy przetestowała radę Delphine, jak się okazało, z dobrym skutkiem. Ale opinia osoby umiejącej rozmawiać naraziła ją na liczne nudne opowieści o życiu... Freddy doszła do wniosku, że popularność nie jest nic warta. To prawda, że ją całowano, nawet kilka razy. I co z tego? - pomyślała Freddy, z rozczarowaniem przywołując wspomnienie lękliwych warg na lękliwych wargach i niezręcznych rąk otaczających równie niezręczne ramiona.

Pozwalała na te pocałunki, żeby nie sprawiać zawodu Delphine, ale istniały o wiele ważniejsze rzeczy, na które już było za późno. Z pomrukiem niezadowolenia Freddy lustrowała horyzont. Sześć lat temu Ruth Nicols pobiła rekord prędkości, należący przedtem do jej przyjaciółki i rywalki, Amelii Earhart; w dwa lata później, w 1932, Amelia Earhart samotnie przeleciała nad Atlantykiem; w 1934 Francuzka Marie-Louise Bastie jako pierwsza kobieta przeleciała z Paryża do Tokio i z powrotem; we wrześniu 1935 Laura Ingalls przeleciała bez lądowania z Los Angeles do Nowego Jorku, bijąc rekord Earhart o prawie cztery godziny.

Cholera, czyżby już wszystko zostało zrobione? Amy Johnson obleciała ponad połowę świata na mniejszym samolocie niż ryan i z silnikiem mniejszej mocy, a tutaj, w osiem długich lat później, ona, Freddy leci nad jeziorem Twitchell, brudną sadzawką zrobioną przez człowieka, nie nad żadnym morzem, oceanem czy pustynią, nawet nie nad wielką rzeką. W ten sposób nigdy nie uda jej się wydostać z Kalifornii!

Na małym lotnisku w San Luis Obispo Freddy zjadła lunch złożony z

zabranych w drogę kanapek i uzupełniła paliwo, z niepokojem notując, że litr paliwa lotniczego kosztuje sześć centów. Kiedy w końcu zdobyła licencję prywatnego pilota, matka nalegała na ubezpieczenie jej od wypadków, odpowiedzialności cywilnej, a także od zniszczenia własności, i zapłaciła za to wszystko. Bez ubezpieczenia, które pochłonęło prawie sto dolarów, Freddy nie mogłaby dalej latać. Za paliwo jednak płaciła sama.

Miała odczucie, iż samoloty są diabelnie kosztowną pasją. Zazdrościła kobietom, które miały sponsorów. Floyd Odium wspierał swą żonę Jackie Cochran; Jean Batten, znana kobieta pilot z Nowej Zelandii, była dofinansowywana przez lorda Wakefielda, który wspomagał także Amy Johnson; Anne Morrow miała męża, Charlesa Lindbergha, który nauczył ją latać; również Earhart opierała się na mężu, oddanym George'u Putnamie. Może był gdzieś człowiek, bogaty i najlepiej bardzo stary, zdecydowanie bez romantycznych skłonności, który chciałby przyczynić się do postępu w amerykańskim lotnictwie, płacąc rachunki za Freddy?

Freddy odpowiedziała sobie sama, że takiego człowieka nie ma. Nawet jeśli znalazłby się jeszcze dziesięć lat temu, kiedy kobiety zaczynały trwale zaznaczać swą obecność w powietrzu, to wielkie dni pionierów już minęły. No cóż, może za późno dla niej na sławę, ale musiało jeszcze coś zostać do zrobienia i Freddy zamierzała owo coś odkryć!

Wiedziała to z taką samą niezbitą pewnością, jak wcześniej nie wątpiła, że będzie latać. I latała, pierwsze już się sprawdziło. Myślała o tym, patrząc na obce, małe lotnisko polowe, którego nigdy przedtem nie widziała, chociaż znalazła je, nie nadkładając nawet kilometra podniebnej drogi, jakby wisiały nad nią znaki i drogowskazy.

Latem rok temu jeszcze nawet nie zaczęła nauki latania, teraz była już pełnoprawnym pilotem. Gdyby miała czas, mapy, pieniądze i żywność, poleciałaby ryanem prosto na Alaskę albo w drugą stronę, na sam koniuszek Ameryki Południowej. Była gotowa wystartować na taką ekspedycję w każdej chwili, z wiedzą nie większą niż dotychczasowa. Wiedziała już dość, żeby podołać takiemu zadaniu, i to była podstawa. Reszta, przy pewnych staraniach, ułożyłaby się sama. Freddy podziękowała chłopakowi, który tankował paliwo, przeczesła włosy i z lekkim sercem wspięła się z powrotem do ryana.

W kilka godzin później zbliżała się do lądowania w Dry Springs. Lot w drugą stronę przebiegał jałowo, kusiło ją by nieco zboczyć z trasy, wpaść do Santa Maria i Santa Barbara, posmakować atmosfery lotniska i uciąć pogawędkę z ludźmi przypadkowo spotkanymi na pasie startowym. Wiedziała jednak, że Mac oszacował długość jej lotu i martwiłby się, gdyby nie wróciła w porę. W końcu okazało się, że dzięki precyzyjnej nawigacji i sprzyjającym wiatrom pospieszyła się o dobre dwadzieścia minut.

Miała czas, a jednocześnie udzieliło jej się nerwowe podniecenie. Dzień należał do idealnych, widoczność była prawie nieograniczona, znajdowała się jeszcze dostatecznie daleko od Dry Springs, żeby nikt jej nie zobaczył. W pobliżu nie leciał żaden samolot. Freddy dostrzegła w tym wszystkim znak losu, przeznaczenia, które stwarza jej okazję do spróbowania czegoś, co od miesiący studiowała w ulubionym podręczniku pilotażu, napisanym przez Jacka Hunta i Raya Fahringerera. Wyraźnie zobaczyła przed sobą pierwszą stronę wstępu do rozdziału o akrobacji. Pamiętała z niej każde słowo.

Uczeń musi przede wszystkim zrozumieć, że od chwili zapięcia pasów staje się „częścią samolotu „. Bez względu na pozycję, jaką przyjmuje samolot, kabiną do góry czy w dół, pilot zawsze siedzi w tej samej pozycji względem samolotu... również przyrządy pokładowe reagują w zwykły sposób. Jeśli się to rozumie, jest oczywiste, iż pilotowi wystarczy tylko „obserwować” dokąd leci i „pilotować” maszynę. Dokładnie to samo robił podczas wcześniejszych lotów...

Czy można powiedzieć coś jaśniej? Bardziej zachęcająco?

pętla jest najłatwiejszą figurą w akrobacji ze względu na najmniejszy stopień złożoności... ustaw manetkę gazu w położeniu jak podczas zwykłego lotu, teraz wprowadź samolot w łagodne nurkowanie... osiągnąwszy wystarczającą prędkość, przejdź znowu do łagodnego wznoszenia i rozpocznij lot po górnej części luku.

W myślach Freddy wykonała już tysiące pętli. Podciągnęła ryana na tysiąc pięćset metrów, absolutnie bezpieczną wysokość do tej figury. Listę błędów robionych przez uczniów, która znajdowała się w podręczniku, mogłaby recytować z pamięci w obie strony, obudzona ze snu. Tłumaczące wszystko schematy wryły jej się głęboko w mózgu. Tak naprawdę, nie miała jeszcze okazji robić pętli. W każdym razie nie w samolocie. Ale tego dnia leciała nowiutką maszyną z nowiutkim silnikiem, preferowanym przez Texa Rankina, krajowego mistrza w akrobacji. Czy nie sam Rankin powiedział, że pilot umiejący precyzyjnie kreślić figury jest bezpieczniejszy w powietrzu? I czy nie zasłużyła sobie na zrobienie czegoś szczególnego dla uczczenia różnych okazji? Powinna uczcić skończenie szkoły. I zdobycie licencji pilota w zeszłym miesiącu. I jeszcze myśl, która dziś jej przyszła do głowy: koniec kompleksów wobec

pomnikowych postaci Amy Johnson, Earhart i Cochrane. Tak!

Freddy ostrożnie wprowadziła ryana w lot nurkowy i kiedy dzięki samej sile bezwładności samolot nabrał odpowiedniej prędkości, zaczęła podciągać jego dziób do góry. Stopniowo przesuwiała manetkę gazu, aż do całkowitego wciśnięcia gałki, kiedy moc wzrosła do maksimum. Sto dwadzieścia pięć niez mordowanych koni mechanicznych słuchało rozkazów, galopując naprzód przy najlżejszym ruchu jej ręki. Co za upojenie: po godzinach żmudnej nawigacji, z jej ściśle odliczonymi, czysto matematycznymi radościami, wykonać taki szaleńczy, ożywiający bicie serca skok w niebo.

Kręciła pętlę. Osiągnąwszy jej szczytowy punkt, w którym przeszła do lotu w pozycji odwróconej, cofnęła do tyłu głowę obserwując dziób samolotu przecinający horyzont. Była niczym maluch na huśtawce, który potrafi zrobić pełny obrót, umie przez jedną chwilę oślepiającego uniesienia zaprzeczyć prawom grawitacji. Ryan dopełnił pętli i wznosząc się, płynnie wrócił do pierwotnego położenia. Freddy stwierdziła, że śmieje się jak dowodzące dziecko, ale w pełni panuje nad maszyną. Wywinęła jeszcze jedną pętlę. I jeszcze jedną. I jeszcze. Może po dziesiątej zmusiła się w końcu do przerwania ewolucji, choć tylko dlatego, że przypomniła sobie o bliskości Dry Springs.

Lecąc rozważnie niczym podstarzały dżentelmen na niedzielnej przejażdżce, aczkolwiek z mimowolnym szerokim uśmiechem na twarzy, stopniowo wytraciła wysokość i zademonstrowała jak zwykle precyzyjne lądowanie. Rozejrzała się po placu. Panował niezmacony spokój. Dookoła kręciło się kilku innych pilotów, część z nich startowała do krótkich lotów o zachodzie słońca, inni odstawiali samoloty na miejsca, ale przy hangarze

szkoły McGuire'a nie było widać nikogo.

Z piracką dumą Freddy przywiązała ryana, podśpiewując przy tym *Dopóki się znów nie spotkamy*. Wypełniła właśnie dziennik pokładowy, kiedy usłyszała, że ktoś ląduje na taylorze, a potem silnik maszyny przestaje pracować.

- Coś ty wyrabiała, do jasnej cholery! - ryknął Mac, wpadając do kantoru w furii, z ręką uniesioną do uderzenia. Freddy cofnęła się przerażona. Schowała się za biurkiem i Mac opuścił rękę. - Odpowiadaj! - krzyczał z wściekłością, o jaką nie podejrzewałaby go nigdy.

- Ćwiczyłam... pętle - wyjąkała Freddy.

- Jak śmiałaś sobie pozwolić na taką brawurę! Mogłaś się zabić, ty głupi, głupi dzieciaku! Nie rozumiesz tego?

- W książce jest napisane...

- W jakiej książce, do cholery?

- W moim *Podręczniku pilotażu...* Mac, tam wszystko jest, do najdrobniejszego szczegółu... Dokładnie wiedziałam, co mam robić, a według podręcznika pętla stanowi najłatwiejszą figurę. Zachowałam wszystkie środki ostrożności, ten samolot nadaje się do najtrudniejszych akrobacji... - Urwała, powstrzymana morderczym spojrzeniem Maca.

- Niech cię szlag trafi, Freddy. Nikomu, nikomu nie wolno zaczynać figur bez instruktora i spadochronu. Zabrakło ci nawet bystrości, żeby uprzytomnić sobie, że będzie cię wyraźnie widać z każdego samolotu lecącego w promieniu osiemdziesięciu kilometrów. Ty durny, bezczelny dzieciaku! Nigdy nie widziałem takiego pokazu kryminalnej beztroski! Za to, co zrobiłaś, mogłabyś stracić licencję. Mogło ci się zrobić ciemno przed oczami i koniec! Ty cholerna kretynko! W dolnej części pętli ryan

osiąga prawie czterysta pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Czy wiedziałaś o tym drobiazgu? Niech cię cholera weźmie! - Mac skrzyżował ramiona. Ze ściśniętymi pięściami i wargami wpatrywał się we Freddy, czekając na odpowiedź.

Freddy rozejrzała się po nie umeblowanym kantorku, gorączkowo szukając schronienia. Nie znalazłszy, rzuciła się do ściany, chcąc ukryć twarz. Nie była w stanie pohamować burzy gromadzącego się w niej spazmatycznego szlochu. Mac miał rację, zachowała się beznadziejnie, nie miała nic na swoje usprawiedliwienie. Czowała tylko bezdenny wstyd i niesamowite upokorzenie. Przepraszanie nie miałoby sensu. Przepięstwo było zbyt poważne. Doprowadziła Maca do szału. Skruszona poczuciem tak ciężkiej winy, płakała coraz gwałtowniej. Szarpana wyrzutami sumienia, upodlona, biła pięściami w ścianę. W końcu, po kilku długich minutach, zasłoniła twarz dłońmi i chwiejnym krokiem zaczęła przesuwać się do wyjścia z kantorku, najszybciej jak umiała. Pragnęła jedynie schronienia w sanktuarium matczynego samochodu.

- Wróć! - ryknął Mac. Nie przystanąła. Nie wytrzymałaby jego wściekłości ani chwili dłużej. Mac rzucił się do niej, odwrócił ją i siłą oderwał jej dłonie od twarzy. - Czy masz zamiar jeszcze kiedyś próbować czegoś takiego? - spytał stanowczo.

Nie mogła wydobyć z siebie słowa, ale pokręciła głową w sposób nie pozostawiający cienia wątpliwości, po czym ruszyła do samochodu. Mac chwycił ją znowu.

- Nigdzie nie pojedziesz, póki się nie opanujesz! Na miłość boską, siadaj i przestań szlochać!

Wytarła oczy i wydmuchnęła nos, ciągle drżąc jeszcze od

zamierającego płaczu. Mac stał plecami do niej i przyglądał się samolotom na placu, lądującym jeden po drugim. Niedzielni piloci opornie wracali na ziemię. W końcu Freddy odzyskała zdolność mówienia.

- Czy już mogę jechać do domu?

- Nie, nie możesz. Nie możesz, zanim się wyraźnie nie dogadamy.

Dlaczego robiłaś te pętle?

- Czuję się... szczęśliwa.

- I dlatego postanowiłaś poprobować figur?

- Tak.

- Dlaczego zrobiłaś pętlę aż tyle razy?

- To takie wspaniałe wrażenie. Podobało mi się.

- Czy obiecujesz, że nigdy więcej tego nie zrobisz?

- Obiecuję.

- Nie wierzę ci.

- Mac! Przysięgam, że nie. Jak cię mogę przekonać? Dostałam za swoje. Ja przecież nie mam zwyczaju kłamać. Nie wierzysz mi?

- Nie. Nie uważam, że jesteś nieuczciwa, myślę, że w tej chwili z całym przekonaniem obiecujesz nie próbować już figur. Ale któregoś dnia, w bezpiecznym miejscu, kiedy będziesz wiedziała, że jestem o setki kilometrów od ciebie, pokusa okaże się za silna i nie będziesz umiała jej się oprzeć. Skoro zaczęłaś, nie będziesz w stanie wymazać tego z pamięci. Wiem przecież coś na ten temat. Tak się stanie, bez względu na to, co mówisz w tej chwili.

- Myśl co chcesz, ja tego nie mogę zmienić - powiedziała żałośnie Freddy. To znaczyło, że Mac już nigdy nie pozwoli polecieć jej na ryanie. Znowu przesadzi ją na wolniejszego i dysponującego mniejszą mocą

taylora, jeśli w ogóle zgodzi się, żeby wsiadła do jego samolotu.

- Akrobacja lotnicza jest wiedzą, Freddy, nie ma nic wspólnego z małpimi skokami. Niefrasobliwość jest nie do przyjęcia. Nie do wybaczenia. Akrobacja wymaga więcej pracy, więcej precyzji osiąganey przez powtarzanie ćwiczeń niż pozostałe dziedziny latania.

- Rozumiem, Mac. Nie śniłabym nawet... - zaczęła Freddy beznadziejnie. Cynicznie spojrział na nią spod oka.

- Nie śniłabyś? Przecież akurat to robisz. Za dobrze cię znam, dzieciaku. Jeśli jest w związku z tobą coś, czego mogę być pewien, to właśnie że będziesz śniła. Dobrze, nauczę cię akrobacji. To jedyny sposób na upewnienie się, że następnym razem, kiedy wykręcisz taki numer jak dzisiaj, będziesz przynajmniej wiedziała, co robisz.

- Mac?... Mac?

- A teraz wynocha stąd. Do domu!

Patrząc jak Freddy odjeżdża, McGuire pomyślał, że nigdy w życiu nie był równie bliski uderzenia kobiety. A kiedy zanosła się tak straszliwym płaczem, miał ochotę ją pocieszyć jak jeszcze nikogo. Chryste! Ten dzieciak sprawiał więcej kłopotów niż był wart. Ale, do diabła, trzeba przyznać, że pętle wyglądały nieźle.

Eve siedziała odprężona w rozświetlonym salonie i przeglądała poranne gazety. Paul wyszedł do konsulatu, obie córki były w szkole, sprawny personel kuchenny wciąż jeszcze krzątał się, przygotowując lunch, na który miały przyjść panie z francuskiej społeczności w Los Angeles. Jeszcze poprzedniego dnia Eve ścięła róże w ogrodzie i rozmieściła je w całym domu, mogła więc oddać się beztrószkiemu śledzeniu nowości ze świata, a przynajmniej takiego obrazu tych nowości, jaki miejscowa gazeta uznała za stosowny”

Był maj 1936 roku. Francję paraliżowały strajki po wyborczym zwycięstwie Frontu Ludowego, w którym znalazło się zaskakująco wielu socjalistów i komunistów; wojna Mussoliniego przeciwko Etiopii już się skończyła i włoski namiestnik zdobył władzę nad milionami kilometrów kwadratowych w północnej Afryce; Wehrmacht na rozkaz Hitlera zajął poprzednio zdemilitaryzowaną strefę w Nadrenii, rzucając wyzwanie Lidze Narodów, a krok ten potępiły w oględny sposób Belgia, Anglia, Francja i Włochy, chociaż jednocześnie nie zrobiono nic, by Hitlera powstrzymać. W Los Angeles na pierwszej stronie było małżeństwo Douglasa Fairbanka seniora z lady Sylwią Ashley.

Eve z ulgą zajęła się artykułem o ślubie. Jego bohaterką była kobieta, która według plotek urodziła się jako córka służącego, przez krótki czas była „gwiazdką” w londyńskim teatrze rewiowym, cokolwiek miałyby to znaczyć, potem udało jej się pobrać z dziedzicem tytułu i fortuny hrabiego Shaftsbury. Teraz, w osiem lat później, rozwiódłszy się z lordem Ashleyem, usidliła jedną z największych gwiazd filmowych Hollywoodu.

Eve z fascynacją pochyliła się nad zdjęciami cywilnej uroczystości,

która odbyła się w Paryżu. Niezaprzeczalnie lady Ashley nosiła się z wielką wytwornością. Jasny wełniany płaszcz był wykończony olbrzymim szalowym kołnierzem z ciemnych soboli, pod wielkim naszyjnikiem z diamentów i pereł pysznił się bukiet czterech okazałych orchidei, paznokcie pokrywała ta sama ciemna czerwień, która znajdowała się na ustach. Przerzywane brwi nadawały oczom wydłużony, niemal orientalny kształt. Mimo klasycznych rysów, w istocie nie można było nazwać lady Ashley piękną, Eve dostrzegła na jej twarzy cień chłodu. Obok żony, mocno opalony Fairbanks promieniał natychmiast widoczną radością mężczyzny, który zaspokoił pragnienie serca.

Para na zdjęciu triumfowała. Bez wysiłku wzniosłszy się ponad skandal wywołany przez rozwód Fairbanksa z Mary Pickford, spędziła cały rok na przedślubnym rejsie wspaniałym jachtem dookoła świata, pomawiana o cudzołóstwo i ścigana zazdrością. Przyglądając się fotografii kobiety tak wyraźnie otoczonej luk susem i czcią, pożądaną przez mężczyzn, którzy zrobiliby wszystko, żeby ją posiadać, Eve zastanawiała się, ile z amerykańskich pań domu deklarujących zgorszenie tym małżeństwem ochoczo zamieniłoby się miejscami z lady Ashley. Miliony? Dziesiątki milionów?

Cisnęła gazetę do kosza na papiery. Zmieniły się czasy, zmieniły normy i ona sama, niegdyś tak surowo oceniona, musiała starać się, by nie okazywać nadmiernej skłonności do łatwych osądów.

Z drugiej strony, były przecież Delphine i Freddy, i nawet jeśli Eve czuła potrzebę powściągnięcia własnej opinii o Sylviach Ashley tego świata, to miała obowiązki wobec córek. Przez lata, które dla Eve pęczniały tłumionym buntem, Delphine prześlizgiwała się z wielką

łatwością. Miała w sobie, matka musiała to przyznać, coś z frywolnego, pobleżającego sobie dzieciaka o elastyczności urodzonej kokietki, ale jej osobowości nie cechował nawet najmniejszy ślad złośliwości. W grach z płcią przeciwną okazywała wirtuozerię, nie sprawiała jednak wrażenia osoby z upodobaniem czerpiącej łatwą przyjemność z zadawania mężczyźnie cierpień. Była czułą, pełną życia dziewczyną, prawda że kapryśną, ale w zasadzie dobrą. Delphine nie wydawała się obdarzona silnymi przekonaniem moralnymi, lecz czy miał je ktokolwiek w jej wieku w tym szczególnym mieście?

Eve odczuwała brak Delphine, która przeniosła się do domu studenckiego. Paul chciał, żeby ucząc się w college'u córka mieszkała w domu, ale miasteczko uniwersyteckie leżało zdecydowanie za daleko na codzienne podróże tam i z powrotem. Zresztą Eve wydawało się, że starsza córka będzie o wiele bardziej szczęśliwa w otoczeniu rówieśniczek. Mieszkając w domu, straciłaby okazję zawarcia naprawdę głębokich przyjaźni, a mówi się przecież, że właśnie przyjaciele z college'u pozostają na całe życie.

Eve była bardzo zadowolona, że Freddy chodzi jeszcze do szkoły średniej. Następnej jesieni także młodsza córka miała iść na uniwersytet i być może zamieszkać w domu studenckim, ale w skrytości ducha Eve żywiła nadzieję, że do tego ostatniego nie dojdzie. Nie cierpiała amerykańskiego systemu, który nieodwołalnie i mechanicznie odrywał dzieci od domu. Wiedziała jednak, iż Freddy nie zechce chodzić do college'u zbyt odległego od wiele dla niej znaczącego lotniska w Dry Springs.

Martwiła się za to, że Freddy traci tyle z szaleństw młodości, którymi

żyje Delphine. Nie przypominała sobie, żeby młodsza córka zawarła bliższą znajomość podczas nauki w szkole, oczywiście z wyjątkiem wymyślonej dziewczyny z Beverly Hills. Freddy miała zbyt odmienne zainteresowania niż rówieśnicy. Wydawała się przy tym tak młoda na swą lotniczą pasję, za młoda na jednostronne upodobania. Gdyby tylko Freddy upodobniła się trochę do Delphine, a Delphine do Freddy...

Głupia jesteś, powiedziała do siebie Eve i ruszyła do kuchni upewnić się, czy przygotowania do lunchu postępują właściwie. Sprawdzając miseczki do mycia rąk, pomyślała jeszcze, że dzięki Bogu gospodyni lunchu, w odróżnieniu od gości, nie musi nosić kapelusza. Jedno zmartwienie mniej.

* * *

Delphine odłożyła papierosa i rozejrzała się po sypialni najlepszej przyjaciółki Margie Hall. Pokój, z kosztownym, niedawno zmienionym wyposażeniem w biało-różowej tonacji, był świątynią nieskalanego państwa. Zupełnie nie pasował do chromowozłotych krótkich loków, młodego pragnącego ciała ani lekceważących zielonych oczu mieszkanki, ale Margie twierdziła, że może wytrzymać z tym wystrojem, póki ma w ten sposób matkę z głowy.

Matka Margie rozwiodła się właśnie po raz trzeci i niezwłocznie wyszła za mąż. Po raz trzeci zmieniono więc wystrój w pokoju Margie. Była to metoda niedawnej pani Hall na wynagrodzenie córce ewentualnych cierpień z jej powodu. Margie ze swej strony wolała takie traktowanie niż prośby o zrozumienie. Miała też szansę, iż architekt wnętrz sprowadzony po następnym rozwodzie będzie miał gust bardziej po jej myśli.

Matka Margie spędzała właśnie w Europie kolejny miesiąc miodowy. Ojciec, jak wieść niosła, siedział w Meksyku, nie dawał jednak znaku życia od wielu lat. Małżeństwo służących, które prowadziło dom nie zadając pytań, słuchało radia w służbówce nad garażem. Delphine i Margie sadowiły się do jednego z częstych nocnych posiedzeń, na które Eve wyraziła zgodę u zarządzającej domem studenckim.

Eve trudno było dyskwalifikować Margie z powodu rozbitego życia rodzinnego czy też jej nieokiełznania. Według zakonnic od Sacre Coeur, które Eve wypytała, była to posłuszna, punktualna, grzeczna dziewczynka, ciężko pracująca na dostatecznym stopniu. Żywiołowa, to prawda, ale dla dziecka mającego taką matkę niepodatność na depresję jest prawdziwym błogosławieństwem. Włosy? Cóż, dar natury, nie farbowane. Może niefortunnie rzucają się w oczy, ale nie ma na to rady.

Gdyby Eve odbyła wycieczkę z przewodnikiem do buduaru Margie, dowiedziałaby się, że jej instynktowne niepokoje mają podstawy. Margie posiadała dziesięć razy więcej kosmetyków niż Delphine. Melinowała je w przykrytej puchatą tkaniną toaletce. W szafach trzymała zadziwiająco liczbę wyrafinowanych i modnych sukni wieczorowych, eleganckich płaszczy i butów na wysokich obcasach, projektowanych bez wyjątku dla dojrzałej młodej kobiety, nie dla osiemnastolatki. W tajnej przegródce różowobiałego biurka Margie spoczywał pokaźny zapas gotówki, wynik licznych wypraw, jakie obie dziewczęta podejmowały pod męską eskortą do nielegalnych domów gry, które prosperowały w wielu miejscach Los Angeles przy biernej postawie miejskiej administracji, z każdym rokiem bardziej skorumpowanej.

Te dwie olśniewające istoty zdecydowanie przynosiły szczęście,

opowiadało sobie o tym coraz więcej mężczyzn w mieście. Margie i Delphine pełniły funkcję nader ozdobnych maskotek, którym towarzyszący mężczyźni wsuwali do rąk banknoty o znacznych nominałach, każąc zatrzymać ewentualną wygraną i przyjść po więcej w razie niepowodzenia. Wszystkie stroje kupione za wygrane pieniądze Delphine trzymała w szafach przyjaciółki.

Nielegalna produkcja alkoholu doprowadziła do zniesienia prohibicji, a skoro ludzie mogli już napić się bez ryzyka, rozpętało się też szaleństwo hazardu daleko przekraczające dotychczasowe rozmiary. Każdy, kto miał odpowiednie dojskie, mógł wygrać lub stracić mnóstwo pieniędzy w dziesiątkach miejsc leżących wzdłuż pasa sięgającego od klubów dla lepszych gości na Sunset Boulevard aż po zwykłe szopy na wybrzeżu, a nawet dalej, w głąb oceanu, taksówki wodne dowoziły bowiem chętnych do domów gry na statkach „Monte Carlo” i „Johanna Smith”.

W klubach, gdzie były zadomowione Delphine i Margie, szampan i kawior podawano na koszt firmy, a wchodzących obowiązywały wieczorowe stroje. Szeptano, że gangi ze Wschodu zamierzają przejąć kontrolę nad hazardem na Zachodnim Wybrzeżu, co jeszcze dodawało smaku zakazanej działalności.

Oczywiście Delphine postarała się, żeby rodzice pozostali całkowicie nieświadomi jej nocnego życia. Pod żadnym pozorem nie dopuszczała, by mężczyźni przyjeżdżali po nią do domu studenckiego. Bystrooka, podejrzliwa przełożona, pani Robinson, natychmiast zadzwoniłaby do jej matki, zobaczywszy Delphine wychodzącą z kimkolwiek nie będącym studentem, czyli niezdarnym dzieciakiem w wieku Delphine, zazwyczaj nie mającym ani centa. Tacy chłopcy zaś szybko stali się dla niej o wiele

za młodzi i za mało doświadczeni, żeby zawracać sobie nimi głowę.

Dziewczęta były nierozłączne. Pomagały sobie w czasie egzaminów, toteż obu udawało się utrzymywać oceny na przyzwoitym poziomie, mimo że trzy lub cztery noce w tygodniu poświęcały na taniec i hazard. Dopiero przed samym świtem kończyły wieczór jajecznicą u Sardiego. Potem opiekunowie odstawiali je z powrotem do Bel Air, żeby mogły się kilka godzin przespać przed rozpoczęciem zajęć. Często zdarzało im się opuszczać wykłady, obie bowiem miały łatwość zapamiętywania i poświęcając kilka dni na naukę, potrafiły odrobić zaległości.

W soboty Delphine i Margie brały kapitał z wygranych i obchodziły najlepsze sklepy w okolicy, radośnie zaopatrując się w nowe stroje oraz bieliznę i siadając potem do późnego lunchu z poczuciem wyższości wobec reszty dziewcząt, których pojęcie dobrze spędzonego czasu obejmowało wyjście na mecz futbolowy i filiżankę ponczu rumowo-owocowego, pitą w domu studenckim w towarzystwie starszych studentów.

Obie podtrzymywały się wzajemnie, kiedy zbyt dużo wypity; wspólnie próbowały nowe środki na kaca; nie miały nic przeciwko zamianom mężczyzn, wszyscy bowiem byli podobni; dzieliły się z sobą wiedzą o najnowszych uczesaniach i zwrotach w slangu; porównywały techniki pocałunków i pieszczot, a także ostrzegały się przed mężczyznami, którzy starali się skłonić je, by „posunęły się za daleko”, gdyż obie były jeszcze grzecznymi dziewczynkami i ceniły sobie własne dziewictwo.

Ich ulubionym tematem, którego nigdy nie zostawiały odłogiem, a zarazem jedynym odstępstwem od ideału w ich życiu był niechybny fakt,

iż miały zaledwie epizody w dramacie rozgrywanym co noc w restauracjach i nocnych klubach Hollywoodu. Nie były gwiazdami filmu. Nawet gdy wyglądały najbardziej urzekająco i wystroily się wyjątkowo pięknie, nikt się na nie nie gapił i nie prosił ich o autografy. Krążyły jak po domu w świecie znanym reszcie kraju tylko z filmowych magazynów i budzącym u wielu ludzi ciągle marzenia, ale inną wartość miało rozpoznawanie przez kierownika sali w Coconut Grove, inną natomiast znalezienie się w ścisku fanów i fotoreporterów.

- Spróbuj pomyśleć o tym w ten sposób - zaproponowała Margie. - Gdyby twoje zdjęcie rzeczywiście ukazało się w gazetach, to rodzice zamknęliby cię o chlebie i wodzie.

- Gdyby moje zdjęcie ukazało się w gazetach, to dlatego, że zdobyłam sławę - dowodziła Delphine - a na to rodzice nic nie mogliby poradzić.

W obliczu tego niezbitego rozumowania obie zamilkły. Znały wprawdzie aktorów, ale żaden z nich nie grał niczego poza ogonami. Mężczyźni z pieniędzmi, zabierający je na tańce i do domów gry, byli młodymi kawalerami, za dnia zajmującymi się biznesem. Aktorów zapraszano tylko ze względu na aspirujące gwiazdki, które przyprowadzali ze sobą.

- Głowa do góry, Delphine - poradziła Margie, wyciągając z kryjówki pięćset dolarów i dzieląc banknoty na dwa równe pliki. - Gwiazdy filmowe muszą wstawać o wiele za wcześnie, poza tym bez przerwy zakochują się i odkochują, a musisz przyznać, że dla osoby, która chce się dobrze bawić, jest to potrzask. Słuchaj, nie wiem jak ty, ale ja nie mam co włożyć dziś wieczorem, a tymczasem siedzimy i wypłakujemy się

dlatego, że ty nie jesteś Lupe Velez, a ja nie jestem Adrienne Ames. Chyba że się mylę? - Masz kiepski gust, Margie. Dla ciebie Myrna Lou, dla mnie Greta Garbo.

- Chodź już, mordko, czeka nas wspaniała noc. W zatoce Santa Monica, dwanaście mil od brzegu, otworzyli nowe pływające kasyno. Będą tam wszyscy, którzy się liczą. Delphine! Przestań się smucić... Czas na zakupy!

* * *

Freddy przyszła na lekcję za wcześnie, ale McGuire skinął jej, żeby poczekała w hangarze. Rozmawiał akurat z gościem. Freddy spotkała już tego mężczyznę. Nazywał się Swede Castelli i zajmował się koordynacją efektów specjalnych w stosunkowo niewielkiej wytwórni I. W. Davidsona. Często przyjeżdżał do Dry Springs korzystać z konsultacji Maca, kiedy kręcono kolejny film o lotnikach z lat wojny światowej.

Wojna skończyła się w roku 1918. Terence McGuire był wtedy dwudziestoletnim bohaterem. Wrócił z Francji do domu, wierząc święcie, że przyszłość transportu opiera się na samolotach, i po kilku rozczarowujących próbach rozkręcenia niewielkiej linii lotniczej odkrył, że żaden wytwórca nawet nie myśli o produkowaniu maszyn, których ładowność umożliwiłaby długodystansowe loty między dużymi miastami i przewóz pasażerów. Ludzie, którzy chcieli podróżować, jeździli koleją.

W końcu McGuire pogodził się z rzeczywistością i pozostałe mu pieniądze do ostatniego centa władował w Curtissa JN-4. Tą mocną, lecz niedużą maszyną zarabiał na bardzo skromne życie, odwiedzając jarmarki. Zdarzało mu się tam, że lotniskiem stawał się plac do baseballu, tor wyścigowy, a nawet pastwisko. Po pokazie akrobacji zabierał pasażerów

na krótkie przeloty, po pięć dolarów od głowy, nastął jednak dzień, w którym ludzie nie chcieli płacić za tę atrakcję więcej niż dolara.

W dwadzieścia lat po pierwszym silnikowym locie braci Wright samoloty zdawały się przebrzmiałą nowiną. Armii lądowej i marynarki nie interesowało utrzymywanie sił powietrznych, toteż dla człowieka, który nie umiał sobie wyobrazić życia poza lataniem, jedynym rozwiązaniem stało się przeniesienie do Hollywood i kariera zawodowego pilota kaskadera w filmie.

Przez długi czas z powodzeniem latał dla Fox Studios, gdzie miało swoją siedzibę piętnaście różnych przedsiębiorstw filmowych. Tam radośnie i do woli korzystał z umiejętności, zapału i młodości, mając jako towarzyszy podobnych sobie ludzi, którzy byli gotowi pracować za stawki wahające się od stu dolarów za lot odwrócony tuż nad ziemią do tysiąca pięciuset za eksplozję samolotu w powietrzu i skok na spadochronie. Żaden kaskader nie zarobił nigdy ani dolara, nie ryzykując życia, każdego centa zdobywał zaś dzięki własnemu ciału. McGuire latał z Dickiem Grace'em i Charlesem Stofferem, z Frankiem Backerem, Lonnie'em Hayem, Clernentem Philipsem, Frankiem Clarkiem i Frankiem Tomickiem, z Dickiem Curwoodem i Duke'em Greenem, z Maurice'em Murphym, Leo Nomesem i Rossem Cookiem; spośród dziesiątek przyjaciół, których zdobył do roku 1930, zostało tylko niewielu. Żaden nie zmarł naturalną śmiercią. Żyli wesoło, w atmosferze brawury, z dnia na dzień, i odchodzili niemal z wyboru w pełni sił.

Na początku nowej dekady Terence McGuire stwierdził nagle, jak wielu z jego kolegów, żyjących bez narzekań i jakby żartem, przegrało zakłady ze śmiercią. Wziął wtedy zaoszczędzone pieniądze i otworzył za

nie szkołę lotniczą.

Rządziły wyłącznie prawa statystyki. Wszyscy, którzy zginęli, byli świetnymi pilotami i McGuire wiedział, że prędzej czy później musi przyjść również jego kolej. Wyszedł cało z ponad trzydziestu starannie wyreżyserowanych katastrof, choć przyplacił to złamanymi kośćmi i potłuczeniami.

Być może różnił się od kolegów, ale chciał żyć z widokiem na przyszłość. Mimo to nie był w stanie definitywnie odwrócić się od Hollywoodu. Co prawda nie latał już jako kaskader, ale zebrał bezcenne modele samolotów, trudne do znalezienia antyki, takie jak 220 spad, niemiecki fokker D. VII i angielski camel, doprowadził je do stanu używalności i wypożyczał wytwórniom filmowym, uzupełniając w ten sposób niepewne dochody szkoły. Jego umiejętność planowania i organizowania symulowanych walk w powietrzu sprawiła, że był człowiekiem poszukiwanym przez producentów filmów wojennych. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że brakowało mu dawnych dni, wypełnionych niebezpieczeństwami, złych lecz jednocześnie wielkich.

Swede Castelli, zanim się wycofał, był podobnie jak Mac pilotem kaskaderem. Widząc go, Freddy pomyślała jednak, że w odróżnieniu od Maca nabrał wyglądu poważnego dyrektora, w dodatku zbyt dobrze odżywionego. Mac, w porównaniu z tym człowiekiem w garniturze biznesmena, który musiał być przecież jego rówieśnikiem, sprawiał wrażenie młodego... jakby należał do zupełnie innego pokolenia, raczej tego co Freddy niż Castelli.

W istocie nie pomyślała nawet, że od czasu ich pierwszego spotkania pięć lat temu, kiedy miała jedenaście i pół roku, Macowi zmienił się kolor

włosów. Sprowokowana dociekaniem matki, spytała go o wiek. Powiedział, że ma czterdzieści lat i wyjaśnił, dlaczego jest o wiele młodszy od jej ojca, który również walczył na wojnie. Rozzuchwalona spytała go jeszcze o żonę. Odparł, iż wszyscy rozsądni kaskaderzy czynią sobie punkt honoru z wolności i niezwiązania, zresztą minął mu już wiek do żeniaczki, a on nabrał zbyt wielu kawalerskich przyzwyczajęń, żeby zmieniać sobie życie.

- Koniec przesłuchania, dzieciaku?

Przyglądając mu się, jak planuje symulowaną walkę z udziałem sześciu samolotów, uzmysłowiła sobie, że zadała tak osobiste pytanie, jak jeszcze nigdy, mimo to Mac był jej najlepszym przyjacielem na świecie. Zabawne, że można mieć kogoś, kogo uważa się za najlepszego przyjaciela, chociaż on z pewnością nie odwzajemnia tego uczucia. A jednak tak się rzeczy miały.

Freddy zatrzymała wzrok na McGuierze, korzystając z rzadkiej okazji obserwowania własnego instruktora. Podczas lekcji była na to zbyt skupiona, nawet gdy z wielką uwagą wsłuchiwała się w jego słowa. Stawał się wtedy po prostu częścią samolotu. Kiedy wracali, Freddy miała zawsze dokładnie wyliczony czas, prawie nigdy nie zostawało jej więcej niż kilka minut na powtórzenie lekcji i już musiała wlec się z lotniska do domu. Mac mówił z tak żywą i wyrazistą gestykulacją, że Freddy bez trudu wyobrażała sobie szlaki wszystkich sześciu samolotów, którymi dyrygował na biurku niczym w powietrzu.

Terence McGuire był pochodzenia szkocko-irlandzkiego, co stawało się oczywiste dla każdego, kto spojrzał na jego gęstą grzywę jasnobrunatnych włosów z rudawym połyskiem i jasnozielone oczy

przysłonięte firanką nieoczekiwanie długich rzęs. Miał pełną wdzięku pocziwą twarz, z której piegi nie znikwały nawet pod najmocniejszą opalenizną. Był chudy i wysportowany, umięśniony jak gimnastyk, liczył niecały metr osiemdziesiąt wzrostu. Freddy dostrzegła, że życie wycisnęło na nim piętno, z którego każdy zainteresowany mógłby wyczytać, iż mężczyzna ten spędził więcej czasu jako instruktor w powietrzu niż przebywał na ziemi. Było coś... coś swobodnego w jego giętkim sposobie poruszania się i sprężystej postawie człowieka gotowego podjąć każde wyzwanie; tę samą swobodę widziało się w bezpośredniości badawczego spojrzenia i szybkim, ogarniającym całą postać uśmiechu. Dla Freddy uśmiech Maca zawsze oznaczał obietnicę tego, co lubiła najbardziej. Uzmysłowiła sobie, że Mac nigdy tej obietnicy nie złamał. Na przekór otwartości i swobodzie zachowania był człowiekiem nie znoszącym kompromisów, narzucającym sobie dyscyplinę i panującym nad sobą. Zastanawiała się, czy zdarzy jej się jeszcze spotkać mężczyznę z podobnym uśmiechem, takim uśmiechem, za który można powierzyć komuś własne życie.

- Freddy, dzieciaku, bądź miła i zrób nam jeszcze kawy. - Mac wskazał garnuszek stojący na zapalanej maszynie benzynowej.

Przyniosła mu garnuszek do biurka.

- Czy mogę się poczęstować? - spytała.

- Nie, jesteś za młoda - odparł machinalnie.

- Matka pozwala mi pić kawę - zaprotestowała.

- Ale ja nie.

Do diabła, pomyślała Freddy. Czy ja mam dwa lata? Niedługo skończę siedemnaście, pijam kawę z mlekiem na śniadanie, od kiedy

chodzę do średniej szkoły, a ten skubaniec traktuje mnie jak małe dziecko. I wciąż nazywa mnie „dzieciakiem”. Bardzo mi się to nie podoba.

Z ponurą miną, ale bez słowa słuchała rozmowy, która przestała już ją interesować. W miesiącu, w którym skoncentrowała się na akrobacji, stwierdziła, że wszystkie efektowne i skomplikowane figury opierają się na pięciu podstawowych: przechyle, becze, pętli, korkociągu i przeciągnięciu, połączonych na różne sposoby.

Ponieważ wielu pilotów ginęło w katastrofach, nie mogąc zapanować nad przeciągnięciem lub korkociągiem, trudne i monotonne ćwiczenia, które przechodziła, bez wątplenia zwiększały jej bezpieczeństwo jako pilota. Ćwiczenia rozwijały także umiejętność „wyczuwania” fotela pilota, gdyż w czasie wykonywania figury sama precyzja nie może zastąpić prawie nieopisywalnej umiejętności pilotażu według „wyczucia samolotu”. Freddy pomyślała posępnie, że jakby nie dość tego, do każdej figury na ryanie należało podchodzić z inną prędkością. Pojedynczą beczkę wykonywało się zwalniając do stu czterdziestu kilometrów na godzinę, podwójna wymagała przyspieszenia do stu dziewięćdziesięciu, pionową zaś robiło się najlepiej lecąc z prędkością dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę.

Koniec z rolą szalonego dziecka na podniebnej huśtawce! Freddy czuła się, jakby właśnie zatrzasnęła drzwi kantorku, zostawiając Maca i Swede'a Castelliego z ich gadaniną, wskoczyła do pierwszego z brzegu samolotu i odleciała. Przenikało ją pragnienie, nostalgia, rozdzierająca tęsknota za startem dokądś, dokądkolwiek, gdzie nie musiałaby się przejmować nawigacją, precyzją, wiatrami w górnych warstwach atmosfery, punktami kontrolnymi ani niczym, co stawałoby między nią i

ekstazą, zachwytem, który pamiętała z pierwszego samodzielnego lotu, kiedy wołała ją Wenus i przyzywał Koziorożec. Wiedziała, że w rzeczywistości nie może dzisiaj ot tak, po prostu odlecieć, ale zrobiłaby to, zrobiłaby na pewno, jeszcze jak... gdyby tylko miała własny samolot.

* * *

- Eve, Eve, zbudź się - wołał Paul w popłochu, odebrawszy telefon o czwartej nad ranem.

- Co...? Która godzina? Co się stało? - spytała sennie, z oczami mrużącymi się na znak protestu przeciwko światłu lampy przy łóżku.

- Chodzi o Delphine. Dzwoniła z posterunku policji w śródmieściu... Połowy z tego, co powiedziała, nie zrozumiałem, ale jadę ją stamtąd wydostać. Przywiozę ją tutaj jak najszybciej. Nie chciałem, żebyś obudziła się i zobaczyła, że mnie nie ma.

- Z posterunku policji? Czy miała wypadek? Chyba nie jest ranna? - spytała przerażona Eve.

- Nie, w ogóle nie o to chodzi. Mówiła raczej od rzeczy. Powiedziała, że po prostu rzucała kości. Ale widzisz, kochanie, robiła wrażenie mocno rozhisteryzowanej i w dodatku...

- W dodatku?

- Pijanej - powiedział ponuro.

W ponad dwie godziny później Paul wrócił razem z Delphine wytrzeźwiała z przerażenia. Dziewczyna miała żałośnie wyglądającą, bezbronną twarz, z której usunęła makijaż, na ile tylko mogła, ale wciąż nosiła kosztowną czarno-białą wieczorową suknię z kreponu i wykończone futrem bolerko, w tym bowiem stroju aresztowano ją na pokładzie pływającego kasyna, luksusowo przebudowanego frachtowca „Rex”.

Weszła do domu z godnością, jaką jeszcze mogła z siebie wykrzesać, ale zobaczywszy Eve, wybuchnęła płaczem i ciężko opadła w salonie na kanapę, na której czekała matka.

Eve spojrzała pytająco na Paula, on jednak tylko pokręcił głową. W oczach miał cień niedowierzania i smutku. Eve przesunęła się w kierunku Delphine, położyła dłonie na obu policzkach przenikniętej beznadziejnością twarzy córki i mocno ją przytuliła.

- Już dobrze, dobrze, cokolwiek się stało, nie mogło to być nic naprawdę złego - powiedziała skołowanym głosem. Widząc w takim stanie zawsze opanowaną i pewną siebie, ale w oczach matki niezmiennie delikatną i kruchą Delphine, Eve nie potrafiła myśleć o niczym z wyjątkiem pocieszenia córki.

- Obawiam się, że jednak było - powiedział spokojnie Paul, skinieniem głowy dając do zrozumienia, że chce z nią porozmawiać na osobności.

- Delphine, kochanie, idź na górę i włóż któryś ze szlafroków, a kiedy będziesz gotowa, zejdź do kuchni. Przygotuję śniadanie - powiedziała Eve, łagodnie popychając Delphine w kierunku schodów. Gdy tylko usłyszała zamykające się drzwi do dawnego pokoju córki, zwróciła się do Paula.

- O co tu chodzi, dobry Boże?

- Policja zrobiła nalot na jedno z pływających kasyn. Delphine i Margie siedziały w celi z dziesiątkami innych kobiet. Wszystkie były szalowo ubrane, podobnie jak ona, wiele z nich było ponadto pijanych, kilka do nieprzytomności. Mężczyzn trzymali w innej celi. Co za dom wariatów: prawnicy, szeroko znani ludzie filmu, fotografowie,

reporterzy... Gdybym nie był dyplomata, w żaden sposób nie wy dostałbym jej tak łatwo.

- Ale kto mógł ją skłonić do pójścia w takie miejsce?

- Podała mi nazwisko mężczyzny. Nic mi nie mówi. Udało mi się wy dostać również Margie. Odwiozłem ją do domu. Wątpię, czy do jutra wytrzeźwieje. Zapewniała mnie bez przerwy, że były w „obłądnym miejscu”, zdaje się, że jest tam ruletka, a także kości, bingo, faraon, oczko i trzy setki jednoręki bandytów.

Lepiej niż w Tijuanie, nie ma co. Margie sprawiała wrażenie osoby dobrze znającej się na rzeczy. Upierała się, że nie było się czego obawiać, statek bowiem ma setki szalup, więc jest całkiem „bezpieczny”. -Usiłował się uśmiechnąć, lecz bez powodzenia. - Była tak pijana, że nie zdawała sobie sprawy, kim jestem. Głośno bełkotała o pieniądzach, które ukradła im policja. Podobno przed nalotem miały z Delphine kilka tysięcy dolarów. Przez całą drogę do drzwi domagała się, żebym spróbował je odebrać. Chciała skopać policjantów. - Niesmak nadał głosowi Paula suche, obojętne brzmienie.

- Ale... w to przecież nie można uwierzyć, Paul, nie można... prawda? - mamrotała Eve bezgranicznie skonsternowana. - Chłopcy z college'u... w tym wieku chodzą do jaskiń hazardu... i zachęcają dziewczęta do picia dużych ilości alkoholu? Co robi pani Robinson jako przełożona, jeśli pozwala im wychodzić z takimi chłopcami?

- Nie do końca pojmujesz, kochanie. Ale nie miałaś też okazji posłuchać wrzasków Margie. Jeśli nie kłamała, a wierzę jej, bo była o wiele za bardzo pijana i rozwścieczona, żeby kłamać, to znaczy, że obie wraz z Delphine mają znakomite notowania w elicie nocnego życia

Hollywoodu i są przyzwyczajone do eleganckiego traktowania, stosownego do ich pozycji. Chadzają wyłącznie do najlepszych klubów, którym nie grożą takie zniewagi jak nalot policji. Margie nie była w stanie uwierzyć, że ktoś istotnie odważył się je aresztować.

- Nocne życie? Nocne kluby?

- Domy gry, i to najbardziej ekskluzywne. Takie, do których z pewnością nie wpuszcza się chłopców z college'u. Chodzą tam z mężczyznami, dojrzałymi mężczyznami, którzy dają im pieniądze na hazard.

- Och, Paul, nie Delphine! Może Margie, ale nie Delphine.

- Delphine też, kochanie, obie. Boję się, że nie ma co do tego wątpliwości. Bawią się tak od roku, tyle zrozumiałem aż za jasno. I cokolwiek się stało, maczały w tym palce razem.

- Nie wierzę jej. Dopóki nie porozmawiam z Delphine, nie uwierzę tej dziewczynie. Nigdy nie wierzyłam Margie. Powinnam okazać się mądrzejsza i nie słuchać zakonnicy - Eve broniła się przed sprawozdaniem Paula z drżącym sercem, które już wiedziało.

- Powinniśmy najpierw zjeść śniadanie - powiedział Paul, ze znużeniem wzruszając ramionami. - Kiedy skończymy, możemy zanieść tacę do pokoju Delphine. Nie chcę, żeby służba się dowiedziała.

- Pójdę porozmawiać z Delphine od razu. Nie mogłabym jeść śniadania.

Eve weszła i zobaczyła, że Delphine wzięła prysznic i wysuszyła włosy ręcznikiem. Miała na sobie stary szlafrok z białej chenille, siedziała przed toaletką, starannie kształtując przedziałek na środku głowy, tak że włosy opadały jej teraz jak zawsze, ciągnąc się falami aż po drobny

podbródek. Na twarzy była bledsza niż zwykle, ale robiła wrażenie, jakby całkiem wróciła do normalnego stanu, szare oczy spoglądały pewnie i spokojnie. Po łzach nie pozostało ani śladu.

- Kochanie, ojciec powiedział mi... Margie... Ojciec sądzi...

- Byłam w samochodzie, mamó, i wiem, co powiedziała Margie - odparła chłodno Delphine. W jej głosie brzmiało coś szczególnego, jakby udało jej się osiągnąć dystans do zaistniałej sytuacji. - Ależ kochanie, to nie... przecież ty nie...

- Mamó, naprawdę uważam, że razem z ojcem robicie za wiele hałasu o to... Wierz mi, że gdybym miała inny sposób na wydostanie się z paki, skorzystałabym z niego na pewno. Szansa, że zdarzy się policyjny nalot, jest jak jeden do miliona. Dzisiaj akurat byliśmy w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu, to wszystko. Znalazłyśmy się w pułapce, gdy tylko weszli na pokład. A przynajmniej tysiąc osób bezkarnie zdołało uciec. Co za niesprawiedliwość.

- Niesprawiedliwość? - nie dowierzała Eve.

- Dziś wieczorem można było aresztować większą część Hollywoodu. Bawili się na statku szefowie wytwórni, wielkie gwiazdy, wszyscy, którzy coś znaczą. Margie i ja miałyśmy po prostu niefart. O nalocie będą pewnie pisali w gazetach, ale żadnych nazwisk nie wymienią. Nigdy tak nie robią, na tym możesz polegać. Przyznaję, że się przestraszyłam, i oczywiście byłam rozstrojona, kiedy mnie wsadzili, ale nie sądzę, żeby mi się to jeszcze kiedyś przytrafiło. - Przyjrzała się nierównemu paznokciowi, wzięła pilni czek i zaczęła wygładzać koniuszek.

- Delphine, przestań i spójrz na mnie! Czy sądzisz, że mówisz o

rzeczach, o których chcę z tobą rozmawiać? Co robiłaś w takim miejscu? Czy uprawiasz hazard? Kim jest mężczyzna, który cię tam zabrał? Skąd miałaś tę sukienkę i bolerko? Co się, na Boga, dzieje w twoim życiu, Delphine?

- Tak groźnie o tym mówisz, mamó. Margie i ja znamy wielu sympatycznych, rozrywkowych mężczyzn, którzy lubią dokądś wyjść wieczorem. Są zwykłymi znajomymi, nikim więcej - powiedziała Delphine lekceważąco. - To tylko dobra zabawa... hazard jest częścią wieczornych wyjść tak samo, jak obiad, taniec czy program w knajpie. Wszyscy to robią. W żaden sposób nie rozumiem, co w tym złego. Na przepuszczenie tych pieniędzy możemy sobie pozwolić, nikomu nie zabieramy. Nawiasem mówiąc, wychodzę na plus do tego stopnia, że jeszcze uzupełniam z nich kieszonkowe na stroje. A wiesz przecież, że nauka na tym nie cierpi, bo dostajesz ze szkoły karty informacyjne.

- A picie?

- Ktoś chyba podsunął mi dzisiaj coś mocniejszego niż sobie zażyczyłam. Powinnam była wykazać więcej ostrożności. Margie też. - Delphine spojrzała prosto w oczy matki, osadzone poniżej szerokich, a jednocześnie delikatnych brwi, oczy jak zawsze szczere.

Eve wstała, nie mogąc znieść przekonania, że Delphine kłamie, że nie pierwszy raz się upiła, a już na pewno nie po raz pierwszy uprawiała hazard.

- De lat mieli mężczyźni, którzy byli z tobą i Margie? - spytała.

- Jed i Bob? Chyba trochę po dwudziestce - obojętnie powiedziała Delphine, szukając w szafie czegoś do włożenia.

- A jak dobrze ich znacie? - dociekała Eve.

- Całkiem nieźle. Świetni faceci. Mam nadzieję, że już ich wypuścili z paki - odparła Delphine ze współczującym śmieszkiem. Wybrała różową bawełnianą sukienkę i rozłożyła ją na łóżku. - Na szczęście zostało tutaj dużo moich starych ciuchów - oznajmiła, uśmiechając się do Eve, jakby rozmowa została zakończona.

- Delphine, zamierzam powiedzieć pani Robinson, że odbieram ci pozwolenie na spanie u Margie. Bezwzględnie. Nie możemy powstrzymać cię przed przyjaźnią z tą dziewczyną, ale nie będę tolerowała stylu życia, jaki prowadzisz. Ojciec i ja będziemy przynajmniej mieli pewność, że stosujesz się do reguł akademika i chodzisz spać o przyzwoitej porze.

- Nie możesz tego zrobić! Zrujnujesz mi życie! - Twarz Delphine wykrzywił nagły gniew.

- O ile wiem, sama rujnujesz sobie życie - powiedziała stanowczo Eve, całkowicie zdecydowana. Ruszyła do drzwi sypialni i otworzyła je. Nie było sensu dalej prowadzić tej dyskusji. Należało oddać Delphine pod kontrolę.

Delphine podbiegła do drzwi i przytrzymała je, uniemożliwiając matce wyjście. Pochyliła się do niej i syknęła:

- Jakie masz prawo, żeby tak do mnie mówić?

- Co? - Eve nie wierzyła własnym uszom.

- Skoro chcesz mnie traktować jak dziecko, to mam do ciebie kilka pytań. Ile miałaś lat, kiedy zamieszkałaś z kochankiem w Paryżu? Byłaś młodsza niż ja teraz, może nie? Na ile lat przed ślubem z tatą się to działo? I na ilu kochanków?

Eve pojęła intencję ukrytą w słowach, zanim jeszcze była w stanie je zarejestrować i nadać im sens. Żadna odpowiedź nie przyszła jej do głowy,

szybkim gestem z powrotem zatrzasnęła drzwi, żeby nikt nie usłyszał Delphine.

Delphine wydeła wargi w poczuciu słuszności.

- Dowiedziałam się wszystkiego od Bruna tego lata, które spędziliśmy we Francji. Jesteś straszną hipokrytką, mamó. Czemu nie zamkniesz mnie w pokoju, tutaj w domu, i nie usiądziesz na straży? Wtedy mogłabyś nabrać całkowitej pewności, że nie zrobię tego co ty. Dla twojej wiadomości powiem, że jakoś jestem jeszcze dziewicą i zamierzam nią pozostać, ale na pewno nie dlatego, że polecisz pani Robinson, żeby nie puszczala mnie na noc do Margie. Twoim rodzicom nie udało się powstrzymać cię przed zrobieniem tego, na co miałaś ochotę.

Ilu kochanków? - pomyślała Eve, porażona pytaniem. Bez względu na to, co powiedziałyby córce, nigdy nie zdołałyby sprawić, by ta przyjęła prawdę. Umysł Delphine został zatruty, na tę szkodę nie było lekarstwa. Eve zmobilizowała więc siły, żeby się opanować.

- Delphine, nie mam obowiązku tłumaczyć ci się z własnego życia. Nie potrafię zabronić ci słuchania plotek. Ponoszę jednak za ciebie odpowiedzialność. Dlatego zamierzam zaraz zadzwonić do pani Robinson.

- Hipokrytką! Hipokrytką! - Eve wyszła z pokoju, a głos Delphine zamienił się w histeryczny wrzask.

Nigdy nie wolno powtórzyć Paulowi słów Delphine, uświadomiła sobie Eve, schodząc po schodach z ręką na poręczu, jakby była starą kobietą. Paul zanadto rozgniewałby się i zasmucił insynuacjami córki. Ilu kochanków? Delphine nigdy nie uwierzyłaby w prawdę. A Paul? Aż do spotkania z nim Eve nie miała nikogo oprócz Alaina Marais, ale od czasu pierwszego obiadu u Ritza nigdy nie wracali do tego tematu. Zawsze

wydawało się jej, że Paul zrozumiał znaczenie tych rozmienionych na drobne, odległych i świadomie przez nią nie ożywianych lat. A jeśli po prostu obawiał się spytać?

* * *

W zamku Valmont znajdowało się dziesięć gościnnych pokoi. Zanim Anette de Lancel dostała list od Eve, większość z nich była już rozdysponowana na wszystkie letnie weekendy. Nie był to wynik francuskiej gościnności, lecz handlu szampanem, który sprawiał, że Lancelowie często i wystawnie podejmowali innych ludzi.

Na wieki przed zorganizowaniem właściwej eksportowej dystrybucji francuskich perfum i francuskiej mody, w czasie koronacji Ludwika XIV w roku 1666, grupa młodych szlachciców z Szampanii mądrze podsyciła, zdawałoby się naturalne, ludzkie pragnienie picia szampana jak najczęściej i w jak największych ilościach.

Markiz de Sillery, książę de Mortmart, wicehrabia de Lancel, markiz de Bois-Dauphin, markiz de Saint-Evremond i inni zebrali się i pojechali do Wersalu, zamierzając rozsmakować dwór w produkowanych przez siebie szampańskich winach, w owym czasie bowiem dwór ustalał we Francji modę na wszystko, od guzików po architekturę.

Po triumfie w Wersalu grupka rozszerzyła wpływy, podbijając Anglię, gdzie zapotrzebowanie na szampan stało się wkrótce tak wielkie, że trunek osiągnął niezwykle wygórowaną cenę. Równie przedsiębiorczy synowie i wnukowie przejeżdżali tysiące kilometrów, by sprzedawać szampan wielkim książętom Rosji i twórcom młodej republiki, Stanów Zjednoczonych. W końcu zorganizowano również wielkie rynki w Australii i Ameryce Południowej. Podobne cele kierowały panem Moetem,

który po zajęciu Szampanii przez Rosję, Austrię i Prusy w wyniku klęski Napoleona pod Waterloo, odważył się uszczuplić zapasy butelek na korzyść korpusu oficerskiego zwycięskich armii, zakładając iż wyrobi w ten sposób smak na szampana w siłach okupacyjnych, zgodnie z porzekadłem „Kto raz się napił, napije się znowu”. Wróciwszy do domów, oficerowie rzeczywiście stali się wiernymi klientami.

Równocześnie z duchem marketingu i reklamy, który obudził się w posiadaczach winnic, rozwijali oni również zupełnie niezwykle we Francji podejście do gościnności. W Szampanii nigdy nie było wielu hoteli, dlatego przez stulecia rodziny z tego regionu podejmowały w domostwach lub zamkach gości ze wszystkich stron świata, w których pija się szampana. Rzadko zdarza się, by drobny czy potężny producent szampana samotnie spożywał obiad, chyba że nastaje pięć długich zimowych miesięcy.

- Posłuchaj tylko, Jean-Luc - powiedziała wicehrabina de Lancel, podniecona do tego stopnia, że z listu Eve odczytała na głos co drugie zdanie: „... ważne, żeby Delphine poznała... świat, w którym tradycja odgrywa dużą rolę, a ona ma miejsce tak samo, jak jej rodzina... całkiem niemożliwe w tak młodym mieście, jak Los Angeles... oboje czujemy, że jest jeszcze za młoda... wizyta u was mogłaby diametralnie zmienić jej niedojrzałe zachowanie...

- Wizyta? Oczywiście. Kiedy?

- Już, natychmiast! I to właśnie jest takie zadziwiające. „Normandia” odlatuje z Nowego Jorku za trzy dni, a podróż trwa chyba niecały dzień. Trochę to niespodziewane, ale cóż, tacy są dzisiaj młodzi ludzie... Eve zastanawia się, czy możemy zatrzymać Delphine przez całe lato. Jak może

w to wątpić! Oczywiście przewróci nam to plany do góry nogami, ale jakoś sobie z tym poradzimy. Jean-Luc, musimy natychmiast zadzwonić. Która godzina jest teraz w Kalifornii?

- Jedenasta wieczorem? - strzelił, próbując odejmowania, ale żona już znikła, dostojnie drepcząc do stolika w holu, na którym stał telefon, i jednocześnie zmieniając w myślach układ pokoi gościnnych. Niedojrzałe zachowanie, też coś! Czego Eve oczekuje od tego kochanego dziecka?

Każdy dobrze prowadzony prywatny bank potrzebuje przynajmniej jednego urzędnika bardzo szczególnego rodzaju, człowieka, w którego kwalifikacjach znajomość bankowości jest najmniej istotna. Podobnie do najbardziej cenionych i wyrafinowanych gejsz w Japonii, owi urzędnicy mają za zadanie przyciągać bogatą klientelę i pielęgnować jej zaufanie do banku.

Skończywszy służbę wojskową w roku 1935, Bruno de Lancel zrozumiał, że trzeba się rozejrzeć za jakimś zajęciem. Uznał to za nader irytującą cenę niebycia jednym z Saint-Fraycourtów, których wyłączną troskę stanowiło jak najprzyjemniejsze wypełnianie wolnego czasu. Na nieszczęście, Bruno nie miał żadnych prywatnych dochodów, a nie chciał już dłużej mieszkać u dziadków.

Wkrótce odkrył jednak, iż obowiązki związane ze stanowiskiem, jakie przyjął w banku braci Duvivier, nie różniły się zbytnio od tych, jakie mogłyby stać się udziałem markiza Saint-Fraycourt przed rewolucją. Należało jak najczęściej polować w sezonie i dobrze, choć nie za dobrze, grać w karty z odpowiednimi ludźmi w odpowiednich klubach; pożądane były wizyty w operze, w teatrach, na balecie i na otwarciach głośnych wystaw. Wielkie znaczenie miało pokazywanie się na najważniejszych gonitwach na torach Francji, Anglii i Irlandii, nie mówiąc o znaczących wydarzeniach towarzyskich w życiu paryskiej elity, co rozumiało się samo przez się. Bank pokrywał wydatki związane z tymi zajęciami, dodatkowo zaś wypłacał niewielką pensję i prowizję od każdego nowego rachunku, do którego otwarcia Bruno się przyczynił.

Nawet gdyby Bruno pragnął spędzić więcej niż kilka minut czerwca

1936 roku w siedzibie banku Duvivier, byłoby to trudne, zważywszy na wymagania, które musiał spełniać na swej posiadzie. Trzej bracia Duvivier zachwycali się nim bez zastrzeżeń. Bruno przynosił im dochód znacznie przekraczający koszty własne, zdołał przyciągnąć do banku pewną liczbę nowych klientów, na osobiste kontakty z którymi bracia nie mogli liczyć.

Korzyścią, której zupełnie nie doceniali, decydując się na zatrudnienie Bruna, był jego kawalerski stan. Najmłodszy z braci powiedział kiedyś po przemyśleniu, że brak żony podwaja wartość Bruna.

- Potraja - poprawił najstarszy brat. Średni, jak zwykle, uznał, że obaj nie mają racji:

- Póki Lancel się nie ożeni, jest bezcenny. Potem musimy zweryfikować szacunek. Bruno mógł sobie znaleźć dziewczynę, której rodzina i powiązania zależały od tych samych niefortunnie skurczonych horyzontów finansowych, co w przypadku Saint-Fraycourtów. Mógł też łaskawie ożenić się z pieniędzmi spoza własnego świata. Mógł wreszcie, co byłoby dla banku najlepsze, połączyć się z dziedziczką pochodzącą z wybitnej rodziny, dziedziczką, której rodzice nie bez podstaw oczekiwaliby od niej małżeństwa z kimś dorównującym jej bogactwem.

W rozważaniach na temat końcowych efektów inwestycji pod nazwą Bruno bracia Duvivier mieli nie znanego im sprzymierzeńca, czyli markizę Saint-Fraycourt, która dzień w dzień snuła podobne przewidywania. Jediną stroną zaangażowaną w małżeństwo Bruna, której właściwie nie interesowało powodzenie sprawy, był sam Bruno. Zupełnie nie martwił się przyszłością, święcie przeświadczony, że ma podstawy spodziewać się idealnej żony. Ponieważ jednak skończył dopiero dwadzieścia jeden lat, jego przyszła połowica, bez względu na to kim była, z pewnością siedziała

jeszcze gdzieś w klasztorze, ucząc się wszystkiego, czego dziewczęta zwykły uczyć się w klasztorach.

Bruno wiedział jedną zasadniczą rzecz o przyszłej żonie i tylko przy tym punkcie zamierzał trwać niewzruszenie. Dziewczyna musiała wnieść gwarancję, że odziedziczy ziemię. Wielką połąć ziemi. Za ziemię rodową Bruno był gotów podpisać kontrakt małżeński z córką diabła... pod warunkiem że ten byłby Francuzem. Saint-Fraycourtowie stracili pradawne posiadłości i większość dochodów podczas krachu Banque de l'Union Financiere w roku 1882. Ziemię Lancelów czekał podział pomiędzy Bruna, żonę jego ojca i pozostałe dzieci.

Chociaż z finansowego punktu widzenia bardzo pocieszająca była świadomość, iż któregoś dnia, w odległej przyszłości, nawet bardzo odległej, jako że wuj Guillame i ojciec należeli do tych, którzy dożywają późnego wieku, Bruno będzie partycypował w dochodach z szampana Lancelów, to jednak nigdy nie miał stać się wyłącznym właścicielem winnic. Z tego powodu musiał ożenić się z ziemią, podobnie jak wielu ludzi musi żenić się z pieniędzmi. Zżerał go głód posiadania własnych lasów, pól i zamku, setek hektarów, po których mógłby przechadzać się oraz jeździć konno jako jedyny i bezdyskusyjny pan.

Tymczasem zaś liczba codziennych obowiązków towarzyskich tak go przygniatała, że Bruno naprawdę z trudnością wykrawał cenny czas na wybranie materiału na koszule, odwiedzenie szewca czy zamówienie smokingu u krawca.

Mimo to były sprawy, których nawet najlepsi służący nie mogli za niego załatwić. Bruno myślał o tym, stojąc niecierpliwie w pracowni krawca, który dopasowywał wykrój do ramienia. Przypomniła mu się

Sabine de Koville, nieznacznie uśmiechnął się do siebie. Ta dokładnie go pouczyła, czego oczekuje, była na swój sposób doskonała.

Tak, uczyniła mu wielką przysługę, kiedy miał zaledwie siedemnaście lat i nie znał jeszcze kobiety. Nadal odwiedzał ją od czasu do czasu, by zaspokoić jej nieskomplikowane i jasne potrzeby. Mógł dzisiaj wpaść do niej na herbatę. Albo nie. Było przecież wiele innych kobiet o bardziej złożonych wymaganiach niż Sabine, równie utalentowanych i... pikantnych. Jakże cieszyła go każda tchnąca świeżością niespodzianka doznana od kobiety: wyborne ryszotkowe wizje córki księcia, pragnienie kary odczuwane przez wzniosłą damę prowadzącą salon literacki, ale także Sabine de Koville, która reagowała jedynie na polecenia służącego. Upodlenie było konikiem Bruna.

Po pierwszym doświadczeniu z matką szkolnego przyjaciela odkrył wkrótce, iż nie jest zwykłym, klasycznym przypadkiem dorastającego młodzieńca uwiedzionego przez doświadczoną kobietę. Jego najgłębsze upodobania seksualne, w rzeczywistości jedyne, kierowały się ku kobietom około czterdziestki. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego człowiek miałby jeść zielone jabłko, mając pod ręką całkiem dojrzały owoc. Co innego koń, tego ostatecznie można było dobierać nieokiełznanego, żeby potem złamać go, nagiąć do własnych żądań.

Ale kobieta? O ileż przyjemniej brać te, które już odkryły swe najgłębsze i najtajniejsze pragnienia. W dziesięciu przypadkach na dziesięć nie doczekiwały się spełnienia swych potrzeb przez mężów, toteż bardzo łatwo było obdarzyć je ich własnymi fantazjami i przyglądać się, jak stają się całkowicie posłuszne; często najdumniejsze z nich okazywały największą uległość wobec woli Bruna.

Taka kombinacja nie zmuszała do wysiłku, a jednocześnie była wygodna, chcąc bowiem sprostać prawie niewykonalnym zadaniom swojej pracy, Bruno najczęściej nie miał ani minuty na dworskie gesty. Na szczęście jego niewyczerpany apetyt na dobrze zakonserwowane ciało, które miało już za sobą niezręczność i ignorancję młodości, przystawał do obfitego i łatwo dostępnego zasobu. Bruno nie potrafił zrozumieć przyjaciół, którzy marnowali czas i pieniądze na uganianie się za dziewczętami, jakby zdobywali coś wartego posiadania. Jak inteligentny mężczyzna może woleć nie przyprawione mięso?

- Cześć, Bruno - zawołał głos za jego plecami.

- O, Guy... Nie mogę się ruszyć. Zaraz będę wolny - odparł Bruno. W porze posiłku umówił się na partię tenisa ze stosunkowo niedawno poznanym Guyem Marchantem. Właśnie Guy byłby w stanie wyjaśnić mu magię młodych kobiet, zawsze bowiem biegał za tą czy inną, pytanie na ten temat nie wchodziło jednak w grę, gdyż zdradziłoby przy okazji zbyt wiele z prywatnych upodobań Bruna.

- Co sądzisz o Schmelingu? Wczoraj znokautował Joe Louisa. - zaczął Guy, przysuwając sobie krzesło. Był wysokim i chuderlawym młodzieńcem o ciepłym, nierównym uśmiechu i mądrze spoglądających oczach.

- Nie zdziwiło mnie to szczególnie - odparł Bruno. - Prawdę mówiąc, raczej nie interesuję się boksem. W przyszłym miesiącu jadę do Wimbledonu. Może pojedziesz ze mną. Grają Gottfried von Cramm i Fred Perry, trzeba obejrzeć.

- Zobaczę, czy uda mi się dostać urlop w biurze - odparł Guy - Nie zawsze mam taką możliwość.

- Panie de Lancel, może zechce się pan obrócić o parę centymetrów w moją stronę - zażyczył sobie krawiec, sięgając po następne szpilki. Bruno spełnił prośbę i zorientował się, że stoi dokładnie przed własnym lustrzanym odbiciem. Obrzucił się przelotnym spojrzeniem, całkiem pozbawionym próżności. Doskonale znał własny wygląd i nie miał potrzeby dodawania sobie pewności przez spoglądanie w lustro, jak wielu innych mężczyzn. Niesłychanie podobał się kobietom i sprawiało mu to przyjemność, ale nie było zaskoczeniem. Fakt, iż coś w układzie rysów jego twarzy budziło także zaufanie mężczyzn, miał natomiast duże znaczenie.

Ku własnemu zdziwieniu Bruno stwierdził, że podoba mu się bankowość, a właściwie robienie pieniędzy, do którego bankowość była jedną z niewątpliwych dróg dla dżentelmena. Zaczął pracować u braci Duvivier, potrzebował bowiem zajęcia. Pierwsze sukcesy w przyciąganiu nowych klientów dla firmy przyszły niemal same; odniósł je na boisku do squasha, na tygodniowym polowaniu w pobliżu Tours i po aukcji koni czystej krwi w Newmarket.

Prowizja za tych klientów dała mu przedsmak poczucia ekonomicznej swobody. Znalazł mieszkanie odpowiadające jego gustom i wprowadził się do przestronnej kamienicy przy Rue de l'Universite. Należała ona do dalekiego kuzyna, który jak wiele innych osób, stracił większość pieniędzy na giełdzie i był zmuszony zamienić połowę domu w mieszkania z osobnymi wejściami. Z następnych prowizji, które Bruno zawczasu przeczuwał wyostrzonymi zmysłami, można było wkrótce opłacić gosposię, najlepszych krawców, służącego, starczyło też na dwa pierwsze konie w życiu Bruna.

Teraz, w rok po przyjęciu pracy w banku, jego ambicje poważnie wzrosły. Stwierdził, że wprawdzie można wiele zarobić nie ryzykując wyłamania się z własnej klasy, to jednak stanowczo więcej pieniędzy leży i czeka w ruchliwym świecie znajdującym się całkiem poza sztywnymi i niezmiennymi granicami Faubourg Saint-Germain, w dostatnim mieszczańskim świecie Guya Marchan ta, który właśnie siedział obok, niecierpliwie przytupując, chciał bowiem szybko znaleźć się na korcie.

Przyciąganie tego rodzaju pieniędzy było raczej sprawą przyjmowania zaproszeń niż prowokowania takich, które normalnie obejmowałyby Bruna ze względu na jego pozycję. Bruno myślał o tym w chwili, gdy krawiec z oszałamiającą precyzją przypinał szpilkami nieskazitelny mankiet. Musiał kreować się na osobę nieco bardziej przystępną i pozbawioną dystansu niż wierny etykiecie arystokrata. Potrzebował tego, wyławiając starszych ludzi, którzy nigdy, w żadnych okolicznościach, nie postawiliby nogi w salonie jego babki Saint-Fraycourt; pozwalał sobie wobec nich na minimalne rozluźnienie konwenansów, tak by ośmielić żony do wystąpienia z zaproszeniem, w innym przypadku absolutnie nierealnym z lęku przed wyniosłą odpowiedzią.

Pierwsze zaproszenia zawsze dotyczyły dużych, formalnych zgromadzeń, teoretycznie bowiem odmowa w takiej sytuacji nie powinna wywoływać u gospodyni in spe poczucia, że mierzy za wysoko. Bruno przyjmował je, schlebiał tym gospodarzom i ośmielał panie domu do bardziej zuchwałych kroków.

Młodość była dla Bruna bezcennym walorem.

Dwudziestojednoletniego wicehrabiego de Saint-Fraycourt de Lancel mógł zaprosić także ten, komu nawet nie śniłoby się zaproszenie któregoś ze starszych członków arystokracji Ancien Régime. Prowizje Bruna pęczniały. Wybierał te z licznych zaproszeń, które prowadziły go na obiady w niewielkim gronie, rejsy jachtem, weekendy na wsi, czyli stwarzały pożądane warunki. Wkrótce pensja Bruna stała się śmiesznie mała w porównaniu z dochodami czerpanymi z prowizji.

Guy Marchant, którego Bruno spotkał niecałe pół roku wcześniej, był jedynym synem Pierre'a Marchanta, właściciela najbardziej dochodowej kroniki filmowej we Francji, *Marchant Actualites*. Jej dystrybucja rozciągała się na cały świat i miała szerszy zasięg niż *Fox-Movietone*, *Pathe Journal* i *Clair Journal* razem wzięte.

Bruno poznał pana i panią Marchant w Bois, w klubie, gdzie grano w polo. Wkrótce na jego drodze stanął również Guy, człowiek zaledwie o trzy lata starszy od Bruna, lecz już głęboko zaangażowany w prowadzenie rozrośniętego przedsiębiorstwa rodziny.

Bruno uznał Guya za jak najodpowiedniejszą osobę, ten rodzaj dobrze wychowanego i bystrego wytworu górnej warstwy klasy średniej, który w końcu dzięki małżeństwu, taka bowiem była jedyna droga, mógł wznieść się do dolnych poziomów klasy wyższej. Wolno też było mu oczekiwać, iż zanim skończy pięćdziesiątkę jego córka znajdzie sobie męża z tytułem, nawet wybitnego, jeśli oczywiście ojcu będzie na tym zależało. W ten sposób wnuk mógł być urodzonym arystokratą.

Guy Marchant należał do przyszłości w równym stopniu jak sam Bruno, toteż obaj zaprzyjaźnili się, choć nie w sposób, który Bruno na zawsze zarezerwował dla kolegów ze szkoły. Jak dotąd Marchantowie nie

ulokowali jednak funduszy w banku Duviviera. Tym lepiej dla nich, pomyślał Bruno. Gdyby rzucili się w interesy z jego pracodawcami, jak wielu ludzi wcześniej, Guy straciłby dla Bruna na atrakcyjności, znajomość nie byłaby już taka godna kultywowania. Marchantowie w istocie sądzili, iż Bruno spędza z nimi czas dla nich samych. Już sam ten fakt zasługiwał na mimowolny szacunek. Dowodził ich poczucia własnej wartości, jeśli nawet niczego poza tym.

- Bruno, jak długo jeszcze? - spytał Guy, spoglądając na zegarek.

- Czy już kończymy? - Bruno niecierpliwie spytał krawca.

- Wszystko w swoim czasie, panie de Lancel - odparł krawiec obojętnie. Jeszcze jeden człowiek świadom swojej wartości, uznał Bruno i pogodził się ze stratą następnego kwadransa.

* * *

Była połowa lipca. Delphine siedziała na podłodze najlepszego pokoju gościnnego w zamku Valmont, otoczona zawartością olbrzymiego kufra z garderobą, który nadszedł przed godziną Margie, wierna Margie, w beznadziejnym geście pocieszenia spakowała wszystkie wieczorowe suknie Delphine i wysłała je statkiem. Delphine przekopała kufer, wyciągając suknię za suknią, płaszcz za płaszczem, z miłością przyglądając się każdej sztuce z bliska, potem zaś ostrożnie układając luksusowe tkaniny o wyrafinowanych barwach w wachlarz na dywanie. Przez wieki kulturalnej dominacji mądrzy Francuzi nigdy nie zdołali wynaleźć szafy w ścianie. Dwudrzwiowa szafa Delphine była już przepelniona, na powieszenie dziesiątków wieczorowych strojów brakowało miejsca.

Kufer został całkowicie rozpakowany i Delphine z narastającym

smutkiem zajrzała do jednej z wieczorowych torebek. Znalazła koronkową chustkę do nosa, czarną i srebrną puderniczkę, szpilkę z perłową główką, która kiedyś przytrzymała bukiet na ramieniu, dwie ćwierćdolarówki, szminkę Coty, firmową książeczkę zapalek z Trocadero i jedną z wielu papierośnic. Z czią, jakby przyglądała się reliktom wymarłej cywilizacji, wyjęła przedmioty i rozłożyła je na kolanie, pogrążając się nad nimi w ponurych myślach, zatrutych nasilającą się melancholią. Otworzyła papierośnicę i znalazła jednego jedyne go pogniecionego lucky strike'a. Czule przekręciła go w palcach, wciągnęła w nozdrza zapach, po czym, przypominając sobie, że drzwi są zamknięte na klucz, zapaliła go zapałką z Trocadero, głęboko się zaciągnęła i natychmiast wybuchnęła płaczem.

Dobrze znany gest przywołał przed jej oczy przeszłość: taneczną muzykę wypełniającą powietrze, cudowny flirt, zawsze na krawędzi ryzyka, pierwszy łyk z chłodnej szklanki do koktajli, konspiracyjne mrugnięcie Margie, grzechot kości, szczekliwe anonse krupiera i, och, podniecenie, tę zapierającą dech w piersiach codzienną strawę, do której przyzwyczała ją świadomość, że po szalonym, pełnym uciech wieczorze przyjdzie następny, że nigdy nie grozi jej monotonia, wszystko może się zdarzyć.

Nienawidzę Szampanii! - myślała, a łyki płynęły po łuku jej policzków. Nienawidzę! Nie miała tu co robić, dokąd iść, nie miała z kim porozmawiać poza babką, która sprawiała wrażenie przekonanej, że Delphine interesują odległe szczegóły z historii rodu, i dziadkiem, skazującym ją na umieranie z nudów podczas odkrywania sekretów winorośli. Do tego musiała grzecznie znosić niezliczone posiłki z udziałem gromady gości, zbyt starych by ją interesowali, rozmawiających wyłącznie

o zbiorach winorośli i jedzeniu; odgrywała tam rolę przebywającej w gościnie wnuczki z Ameryki, której przez grzeczność należy zadać parę pytań, by zaraz zapomnieć o niej wraz z odkorkowaniem nowej butelki. Nienawidziła tego! Była jednak jeńcem aż do rozpoczęcia roku w college'u, gdzie z kolei nie mogła spodziewać się niczego innego niż mieszkania w domu studenckim pod czujnym okiem pani Robinson.

Po pierwszym zaciągnięciu się Delphine odłożyła papierosa, należało schować go na później. W zamku był tylko tytoń fajkowy jej dziadka oraz cygara wuja Guillame. Żaden z nich zresztą nie palił przed skollczeniem obiadu, po posiłku obaj udawali się do palarni, dokąd Delphine nigdy nie zapraszano. Byłoby dla nich nie do pomyślenia, gdyby kupiła we wsi coś tak ordynarnego, jak francuskie papierosy, i paliła w ich obecności.

Oczekiwano od niej siedzenia z babką przy nauce haftu, czytaniu Balzaca lub słuchaniu muzyki klasycznej z gramofonu, póki nie przyjdzie czas na sen. Delphine wiedziała, że zasadniczą sprawą jest, by w oczach babki stać się wzorem wszystkich cnót, doszła bowiem do wniosku, iż w czasie ostatniej rozmowy z matką posunęła się za daleko, o wiele za daleko. Popełniła gruby błąd taktyczny i jedynie sprawozdania babki uznającej Delphine za samą przyzwoitość i dobro mogły przyczynić się do pewnej liberalizacji planów, jakie rodzice wiązali z dwoma latami, pozostałymi Delphine do skończenia uniwersytetu.

Co noc kładła się do łóżka trzeźwa i o wczesnej porze, w wielkim pustym pokoju ze ścianami pokrytymi spłowiała tkaniną w niebiesko-białe wzory, dopasowanymi kolorystycznie, nieco zużytymi skrzydłami pościeli i wypucowaną do połysku, trzeszczącą podłogą. Delphine szlochała, czując coraz większe rozżalenie z powodu brakujących szaf, trzeszczących

podłóg, spłowiałych tkanin i z powodu dżinu, którego w tej cholernej, zarośniętej winoroślą prowincji nie było pewnie ani na lekarstwo, a jeśli nawet był, to i tak przecież nikt nie zamierzał częstować nim Delphine.

Anette de Lancel usłyszała szloch Delphine przez grube drzwi, przechodząc korytarzem. Przystanąła niepewnie. Nie chciała, by posadzono ją o węszenie, ale jakże mogła przejść obojętnie do własnych spraw słysząc, że ukochana wnuczka płacze. Delphine trochę tęskniła za domem, było to oczywiste od samego początku, ale okazywała tyle słodyczy i uprzejmości, tak chętnie słuchała wszystkiego o zamku, Lancelach i uprawie winorośli, że opinia Eve, iż dziewczynka powinna odczuć głębsze powiązanie z rodziną, zdawała się całkiem słuszną. Podjęła decyzję i zapukała do drzwi.

- Kto tam? - rozległ się stłumiony głos Delphine.

- Babcia, kochanie. Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję bardzo. Nic mi nie jest.

- Kochanie, coś ci jednak musi być. Wpuść mnie, proszę.

Delphine osuszyła oczy małą chusteczką, westchnęła i otworzyła drzwi przed madame de Lancel, która wsunęła się do pokoju i stanęła jak wryta na widok dywanu pokrytego jedwabistą, delikatną, drogocenną masą migotliwych długich sukni.

- Skąd to wszystko? - spytała zaskoczona.

- Z Los Angeles. Moje wieczorowe stroje... popatrz, babciu, tylko popatrz, jakie śliczne... jakie śliczne... - Delphine poddała się nowej fali łez, przyciskając do piersi białą futrzaną kurteczkę i kołysząc się tam i z powrotem w napadzie żalu. Anette de Lancel objęła dziewczynę i próbowała ją pocieszyć, głaszcząc jak małe dziecko, a jednocześnie w

osłupieniu przyglądała się kolekcji wieczorowych strojów, o której posiadanie nie podejrzewałyby nawet żadnej z paryskich dam. - Delphine, kochanie... czy w domu potrzebujesz tego wszystkiego?

- O tak - szlochała Delphine. - Wszyscy potrzebują Mamy tyle zabawy... tyle zabawy, babciu. - Przecież ty się musisz tutaj potwornie, ale to potwornie nudzić, kochanie. Nigdy nie przyszło mi to do głowy - Anette de Lancel zdrewniała ze zgrozy uświadamiając sobie, że Delphine oderwano od życia, które najwyraźniej obfitowało w odpowiednią liczbę okazji do noszenia tylu wieczorowych strojów. Eve powinna ją przynajmniej ostrzec... ale jak miło i taktownie ze strony Delphine... nie obudziła w nich najmniejszych podejrzeń, że się nudzi.

- To nie dlatego... zupełnie nie... Po prostu brakuje mi przyjaciół. Nie powinnam płakać. Jesteście dla mnie tacy dobrzy - powiedziała, boleśnie zwieszając śliczną główkę i budząc litość nieudanym uśmiechem. - Łatwo być dla ciebie dobrym, kochanie, ale powinnam była pomyśleć, że potrzebujesz towarzystwa w swoim wieku. Nie mogę sobie wybaczyć. Tyle że tutaj na wsi... młodzi ludzie... szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy takich znajdę Zatelefonuję do wszystkich znajomych i sprawdzę, może ich wnuki.. Delphine, obiecuję ci, że zrobię, co będę mogła.

- Dziękuję, babciu - powiedziała z wdzięcznością Delphine, posepnie myśląc o wnukach sąsiadów. - Ale to naprawdę nie ma znaczenia. Tylko... czy mogłabym dostać do pokoju jeszcze jedną szafę?

- Ojej! Zaraz każę wstawić. Takie śliczne rzeczy na podłódze! - Anette de Lancel wyszła zaaferowana ciesząc się, iż może zrobić coś konkretnego dla Delphine. A co do wnuków przyjaciół, również musi ich ściągnąć. Latem na pewno jest po domach wielu odpowiednich chłopców i

dziewcząt. Zaalarmuje wszystkie rody w Szampanii, znajdzie ich i... i... wyda bal! Tak, bal dla młodych ludzi, bal nocy letniej, jaki rzadko, jeśli w ogóle, widywano w Szampanii u szczytu winnego sezonu.

* * *

- Jean-Luc, już zupełnie nie wiem, co robić - skarżyła się Anette de Lancel po dniu spędzonym przy telefonie. - Wnuki Chandonów pojechały do Anglii, Lansonowie mają pięciu, wyobraź sobie tylko, pięciu wnuków, ale żadnego nie spodziewają się w domu w ciągu najbliższych tygodni, dzieci Roedererów są wszystkie w Normandii, wiesz przecież, że nic nie powstrzyma ich przed jazdą na kucach, pani Budin z Perrier-Jouet mówi, że jej syn jest niestety za młody, pani Bollinger ma dwóch bratanków, ale obaj są w podróży, wszyscy Ruinartowie siedzą w Bordeaux... Mam zaledwie cztery dziewczęta i dwóch chłopców, chociaż dzwoniłam do wszystkich znajomych. Do wszystkich!

- Właściwym okresem na bal jest Boże Narodzenie - odparł wicehrabia de Lancel.

- To wyjątkowo pomocna uwaga, Jean-Luc.

- Anette, martwisz się bez powodu. Jeśli Delphine się nudzi, to niech się nudzi. Pamiętaj, że nie my wpadliśmy na pomysł zaproszenia jej tu na lato.

- Jak możesz mieć tak mało serca? Biedna dziewczyna, z tymi wszystkimi nadzwyczajnymi wieczorowymi kreacjami... mógłbyś sobie przynajmniej wyobrazić rozrywki, do jakich jest przyzwyczajona.

- Może było ich za dużo? Czy to nie dlatego Eve przysłała ją tutaj? Chciała dać córce trochę czasu na refleksję. Zdaje się, że pamiętam coś takiego z listu.

- Miała na refleksję sześć niczym nie zakłóconych tygodni.

Muszę wydać dla niej przyjęcie, Jean-Luc, nawet jeśli nie uda się zorganizować balu. Ale przy pięciu dziewczętach, wliczając w to Delphine, i dwóch chłopcach? Nie, to zupełnie niemożliwe.

- Mogłabyś zaprosić same dziewczęta - podsunął wicehrabia. - Przecież chodzi przede wszystkim o to, żeby spotkała się z kimś w swoim wieku, prawda?

- Zdziwiasz mnie, Jean-Luc, naprawdę zdziwiasz. Czyżbyś już nie pamiętał niczego z lat młodości?

- Tyle co i ty, ośmielę się powiedzieć. Oboje zbliżamy się do osiemdziesiątych urodzin.

- Nie musisz mi o tym przypominać, Jean-Luc. Zresztą jestem od ciebie o wiele młodsza.

- O trzy lata i dwa miesiące.

- Och, dlaczego ja za ciebie wyszłam?

- Byłam najlepszą partią w okolicy.

- To ja byłam najlepszą partią w okolicy. Czyżbyś zapomniał, ile arpentów winnic wniosłam w posagu? -Dwieście sześćdziesiąt.

- Dwieście sześćdziesiąt jeden.

- Jak zwykle masz świetną pamięć, kochana. W każdym razie przed obiadem dzwoniłem do Bruna. Obiecał mi, że przywiezie ze sobą młodych ludzi, kiedy będziesz chciała. Odpowiednich młodych ludzi. Mam nadzieję, że zasłużyłem na pocałunek.

- Bruno! Jak mogłam o nim nie pomyśleć?

- Spojrzenie, moja najdroższa, spojrzenie jest tym, co odróżnia mężczyznę od kobiety, szerokość spojrzenia, umiejętność wybiegnięcia

myślą poza Szampanię, dostrzeganie możliwości szybkiego wykonania planu... hej, Anette, wiesz przecież, że nie cierpię, kiedy rzuca się we mnie poduszką... Uspokój się, to nie te lata!

* * *

Goście z Paryża, którzy przyjechali na obiad wydany dla Delphine, zostali zaproszeni do spędzenia nocy w zamku. Brunowi towarzyszyło trzech będących niezmiennie w dyspozycji przyjaciół, i z sześciu młodych ludzi obecnych przy stole pięciu zakochało się w Delphine. Bruno musiał przyznać, że jego amerykańska siostra przyrodnia niewątpliwie przysparza mu splendoru. Z owych pięciu najmocniej poraziło Guya Marchanta, który jeszcze długo po zamknięciu za sobą drzwi sypialni siedział przy oknie wpatrzony w księżycową noc, tak rozkojarzony przyływem miłości, że nawet nie rozluźnił muszki ani nie zdjął butów.

Nigdy nie było na świecie tak pięknej dziewczyny. I nigdy drugiej takiej nie będzie. Czuł, że umrze, jeśli nie uda mu się spędzić z nią reszty życia.

Wstał i zaczął przechadzać się wielkimi krokami dookoła pokoju. Co kilka rund przystawał w tym samym miejscu przy oknie i patrzył na gwiazdy. Guy Marchant żywo, choć po amatorsku, interesował się astronomią i w drodze do Valmont poczęstował Bruna filozoficzną refleksją na temat względności kondycji świata, wyciągniętą z książki angielskiego autora, sir Jamesa Hopwooda Jeansa.

- Jeans - mówił do Bruna - ocenia na podstawie obrazu wszechświata widzianego wielkim teleskopem na Mount Wilson, że gdyby gwiazdy miały wielkość ziaren piasku i obsypały się na powierzchnię Anglii, to powstałaby warstwa o grubości setek metrów. Setek metrów, Bruno.

Dalej, nasza Ziemia jest milionową częścią jednego z tych ziaren, rozumiesz Bruno? Tylko jedną milionową Jedną milionową zaledwie jednego z ziaren piasku, które wznoszą się setki metrów nad powierzchnią Anglii i wznosiłyby się dokładnie tak samo nad powierzchnią Francji. Rozumiesz więc, Bruno, że nic z tego, co robimy, nie ma w tym kontekście znaczenia. Czy więc nie jesteśmy w istocie śmieszni?

Mówił to jednak, zanim poznał Delphine. Teraz rozmiar wszechświata był nie tylko zapomniany, ale także całkowicie niematerialny i nieistotny. Największego, bezpośrednio doznawanego znaczenia nabrały dla Guya jego własne uczucia.

Ciągnęły się godziny i Guy osiągnął w końcu zdolność myślenia w kategoriach stosownych dla młodego biznesmena. Bez wątpienia nie mógł oczekiwać, że Lancelowie zaproszą go do siebie na resztę lata. Bez wątpienia musiał ożenić się z Delphine przed jej wyjazdem do Stanów Zjednoczonych, gdzie na pewno setki mężczyzn starają się skłonić ją do małżeństwa. Bez wątpienia, chcąc zdobyć Delphine, musiał niezwłocznie znaleźć się z nią sam na sam, wiedział bowiem z nieomylnym instynktem zakochanego człowieka, że jeszcze czterej inni mężczyźni obecni na obiedzie zostali przez nią oczarowani.

Usiłując zdobyć się na maksimum racjonalizmu, rozmyślał, czy jest w nim coś, czego nie mieliby konkurenci. Czy Delphine uśmiechała się do niego częściej niż do innych? Czy tańczyła z nim po obiedzie częściej niż z innymi? Czy powiedziała mu coś o swoich zainteresowaniach, na czym mógłby się oprzeć? Nie, tańce i uśmiechy rozdzielała po równo, flirtując ze wszystkimi, co było tak samo rozczarowujące, jakby nie flirtowała z nikim.

Ale przecież... przecież... Delphine była z Hollywoodu. Los Angeles to Hollywood, wszystko jedno gdzie się faktycznie mieszka. Tego nauczyły Guya doświadczenia biznesmena zajmującego się kroniką filmową o światowym zasięgu. A ze wszystkich ludzi zgromadzonych dziś wieczorem w Valmont on jeden, nawet jeśli tylko mgliście, zdawał sobie sprawę z tego, co to znaczy „być z Hollywoodu”. On jeden uświadamiał sobie, że jeśli jesteś z Hollywoodu, musisz fascynować się filmem, bo w ten czy inny sposób, choćby niedostrzegalnie, czujesz się częścią filmowego świata. Czy Delphine mogły bardziej zainteresować odwiedziny w powszechnie znanym zamku rodziców Maxa, w sławnych stajniach należących do ojca Henriego albo na jachcie rodziny Victora, niż w jego własnej wytwórni filmowej? A także wielkich wytwórniach, które może jej pokazać w Billancourt i Boulogne, tam gdzie kręci się filmy dla kin. Tak, to jest jego przewaga! Teraz pozostało mu tylko z niej skorzystać. Uspokojony tą myślą, zaczął się wreszcie rozbierać. Następnego dnia musiał wszystko załatwić. Przy śniadaniu.

Nie, jeszcze przed śniadaniem, zanim inni będą mieli szansę.

* * *

Po kilku dniach zaproszenie do państwa Marchant zostało potwierdzone, przedtem jeszcze odbyła się długa i przekonująca dyskusja Bruna z babką, nadszedł również list do wicehrabiny od pani Marchant.

- Nie, Jean-Luc, z pewnością nie uważam, by Eve chciała widzieć Delphine siedzącą w Valmont dzień w dzień aż do powrotu, to nonsens. Ona nie jest więźniem, a ty masz zdecydowanie za bardzo wiktoriańskie poglądy, kochany - powiedziała cierpko Anette de Lancel zachwycona, iż Delphine uszczknie choćby błysk stołecznego życia. - Nawiasem mówiąc,

czego się spodziewałeś, prosząc Bruna o sprowadzenie młodych ludzi na obiad?

- Czy jesteś przekonana, że Delphine będzie pod odpowiednim nadzorem?

- Madame Marchant zapewniła mnie, że zaopiekuje się nią jak własną córką, a poza tym będzie z nią również Bruno. Naprawdę, Jean-Luc, zaskakujesz mnie.

- Nawet nie znasz madame Marchant - zrzędził wicehrabia zirytowany, że pozbawiono go miłej okazji, by jeszcze wzbogacić wiedzę Delphine o uprawie winogron, czym urozmaicił jej dotąd wiele godzin.

- Bruno mówi, że jest zachwycającą i wykształconą kobietą, na której w pełni można polegać.

- A czy Bruno zawsze ma rację? - spytał ostro.

- Cóż to za pytanie?

- Niemądre, kochanie. Chyba rzeczywiście się starzeję. A zatem muszę zastosować jedyny możliwy środek zapobiegawczy, w jaki wyposażyła nas natura, i wypić jeszcze kieliszek szampana. Czy zechcesz się ze mną napić?

- Całym sercem, najdroższy, całym sercem.

* * *

Wrodzony urok i subtelne piękno Delphine stanowiły kombinację o wielkiej mocy, a jej działanie tysiąckrotnie potęgowała jeszcze całkowita swoboda. Francuza przyzwyczajonego przez lata do cudzoziemców usiłujących nadrobić niebycie Francuzami, uciekających się do wszelkich możliwych sztuczek z osobistego repertuaru, by spowodować uznanie ich za członków ludzkiej rasy, natychmiast ujmowała postawa Delphine.

Dziewczyna autentycznie nie zwracała uwagi na akceptację francuskich Francuzów, a może po prostu o nią nie dbała.

Delphine wyrosła w trzech krajach, gdzie francuskość odróżniała wprawdzie jej rodziców od tubylców, niekoniecznie jednak zapewniała wyższość. Francuskość miała coś wspólnego z pracą ojca, językiem, którym rozmawiali w domu, i szkoleniem udzielanym przez matkę nowym kucharzom, ale nie wydawała się czymś szczególnie uświęconym. Nazwisko Lancel było dla niej niczym w zestawieniu z takimi, jak Selznick, Goldwyn czy Zanuck i nie zmieniały tego dziesięcioletnia edukacja w duchu dostojnych tradycji Szampanii.

Marchantowie zachwycali się tym, co odbierali u Delphine jako zupełną nieobecność formalnej sztywności, jedynej cechy nie omylnie oczekiwanej u członków starej arystokracji. Nigdy nie uwierzyliby, że na czystej krwi arystokratce Delphine robi wrażenie przynależność do nielicznych rodzin, które dorobiły się fortun w ciągu ostatnich dziesięcioleci, lub bycie aktorem czy aktorką, których zdjęcia trafiały do amerykańskich czasopism filmowych.

Ani trochę nie rozumieli planów Guya związanych z wizytą Delphine. Dziewczyna z pewnością wolałaby wjechać na szczyt wieży Eiffla, obejrzeć grób Napoleona, Place Vendôme, Luwr. A tu Gaumont, Pathe-Cinema, Kodak-Pathé... cóż za pomysły? Chyba żaden turysta nie pojechał nigdy do Billancourt. Dlaczego Delphine miałyby mieć ochotę na odwiedzanie miejsc tak podobnych do otoczenia, z którym musiała się oswoić w Hollywoodzie?

- Nie, madame Marchant, zapewniam panią, że z wielką chęcią obejrzę - potwierdziła szybko Delphine. Jeszcze jako uczennica szkoły

średniej była kilkakrotnie w wytwórniach filmowych, do których pracujący tam przyjaciele zapraszali rodziców. Mimo przerażenia, że wejdzie w drogę którejś z ważnych postaci, krzątających się tam z wielką pewnością siebie i wykonujących swoje zadania, Delphine zdołała rzucić kilka pospiesznych spojrzeń na pracę w studio. Zapamiętała je jak migawki z raju, była tam skazana na rolę obcego człowieka z zewnątrz.

- Jak sobie życzysz. - W głosie pani Marchant zabrzmiała rezygnacja.
- Tylko poczekaj chwilę, żebym mogła założyć kapelusz. - Przyglądała niebieskawe włosy starannie wypielegnowanymi dłońmi, na których lśniły diamenty.

- Mamo, jeśli nie chcesz z nami iść, to nie musisz - powiedział Guy. - W wytwórni spotkamy się z Brunem.

- Istotnie może, w takim razie... Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia - powiedziała matka Guya z jawnym wyrazem ulgi w uprzejmym spojrzeniu. Perspektywa spędzenia dnia na przyglądaniu się ludziom robiącym filmy była nieopisanie nudna. Kiedyś, przed laty, także jej wydawało się, że obserwacja filmowców może stanowić dobrą rozrywkę. W kilka godzin wyleczyła się z tego złudzenia.

Pomysł, by odgrywała przyzwoitkę, stanowił zresztą całkowity absurd. Guy, najmłodsze i ulubione z jej dzieci, był dżentelmenem w każdym calu i można było powierzyć jego opiece każdą dziewczynę... a co dopiero taką, która wzbudziła w nim miłosne cierpienia. Niepotrzebna troska wicehrabiny de Lancel o zupełnie samodzielną wnuczkę pochodziła z minionego wieku. Arystokraci z prowincji nie nadążali za biegiem czasu, chociaż przydawało im to wiele uroku. Ponadto, gdyby pani Marchant opuściła tego dnia trzecią przymiarkę nowych kostiumów u Chanel, nie

miała co liczyć, że będą gotowe na początek sezonu. Odprowadziła przeto młodych z dobrotliwym uśmiechem na twarzy, zatopiona w szczęśliwych marzeniach o tweedach, guzikach i podszewkach.

Delphine miała wrażenie, że droga z obszernego mieszkania Marchantów przy Avenue Foch do wytwórni filmowej Gaumont w Billancourt trwa wieczność. Mówiła niewiele, ale kiedy tylko usiadła obok Guya, ten wyczuł, że dziewczyna kipi podnieceniem. Pozwolił sobie na śmiałą nadzieję, że przyczynia się do tego radość z ich sam na sam. Rzucił niekiedy ukradkowe spojrzenie na jej profil, Delphine czuła na twarzy jego wzrok, ale postanowiła tego nie zauważać. Mogłaby spędzić ten dzień z Maxem, Victorem lub Henrim, po pamiętnym obiedzie wszyscy telefonowali bowiem z kuszącymi propozycjami, ale plan Guya się sprawdził, wybrała jego przynętę. Na razie Guy owi wystarczało to do pełni szczęścia.

Bruno przyłączył się do nich w wytwórni raczej z ciekawości niż z odczuwanego zobowiązania, iż będzie miał oko na Delphine. Marchantowie wciąż jeszcze nie stali się klientami banku braci Duvivier, co po nadzwyczajnych objawach łaski okazanych Guyowi Bruno uważał za niewdzięczność całkowicie nie do przyjęcia. Zaprosił go przecież do dziadków na obiad i wyjednał li babki pozwolenie na wizytę Delphine... Czyżby Guy nie orientował się, jak wielki dług ma u Bruna? A może nigdy nie miał w interesach ojca wystarczającego wpływu, żeby występować z propozycjami dotyczącymi miejsca lokaty kapitału? Obie możliwości były równie niewybaczalne. A jeśli zaskarbił sobie przyjaźń Bruna za szybko, jeśli pozwolił sobie na uznanie jej za coś oczywistego? Parweniusz! - pomyślał wściekle Bruno. Nie miał zwyczaju niefrasobliwie

pozwalać sobie na błędy spowodowane fałszywym osądem.

Czekając z Guyem i Delphine na wpuszczenie do wytwórni, z zadowoleniem obserwował przyrodną siostrę, która wydawała się jakby nieobecna, zamyślona, o wiele mniej skłonna do flirtów niż w wieczór obiadu w Valmont. Podobała mu się jej niezaprzeczalna elegancja. Delphine miała na sobie czerwony jedwabny kostium z granatowym wykończeniem, kupiony u Bullocka specjalnie na wyścigi w Santa Anita i Bruno pomyślał, że jeszcze nie widział, żeby wyglądała tak dorośle, do czego przyczyniał się również granatowy kapelusik ze słomki nasunięty na jedno oko.

- O, jest mój kolega - powiedział Guy, przedstawiając ich niskiemu blondynowi z przyjaznym uśmiechem, który w pośpiechu pojawił się przy głównej bramie. - Jacques Sette. Panna de Lancel, wicehrabia de Lancel. Jacques jest asystentem Bluforda, oprowadzi nas po wytwórni.

- Przepraszam, że musiałeś czekać, Guy, ale wiesz jak to jest.

Proszę państwa za mną... Guy zna drogę. Dzisiaj niestety nie mamy dużego ruchu, do kilku filmów kręci się plenery, wiele jest jeszcze w fazie przedprodukcyjnej. Ale w studio numer pięć pracują Gabin i Michele Morgan. Reżyseruje Rene Clair. Myślę, że będzie najciekawiej zacząć właśnie tam. - Wielkie nazwiska wyrzucił z siebie obojętnie, jakby do niego należały, a Delphine przyjrzała mu się z zazdrością.

Nad małymi drzwiami w wielkiej, jednolitej ścianie studia numer pięć paliła się czerwona lampka, musieli poczekać z wejściem, aż zgaśnie. Po chwili znaleźli się w oszałamiająco obszernym pomieszczeniu. Część studia była pogrążona w ciemności, niektóre miejsca oświetlono tak jaskrawo, że biel iluminacji zdawała się rozbrzmiewać niskim pomrukiem.

- Uwaga - ostrzegł Jacques Sette i bez ceremonii wziął Delphine za rękę, przeprowadzając ją dookoła kabli zasilających reflektory i rekwizytów ustawionych na podłodze. Dziewczyna rozglądała się wszędzie naraz i nie pojmowała niczego, póki Sette nie zatrzymał ich tuż poza obrębem przestrzeni, od której aura skupienia promieniowała z równą siłą jak światło reflektorów.

Delphine z bijącym sercem pomyślała, że wyczuwa atmosferę podniecenia. Przystanęli o kilka metrów od dekoracji przedstawiającej wnętrze jadalni, w której Jean Gabin i Michele Morgan siedzieli nad przerwany posiłek wraz z czwórką nie znanych Delphine aktorów. Charakteryzatorka krążyła wokół stołu, pudrując czoła, dotykając warg, poprawiając kosmyki włosów. Aktorzy siedzieli nieruchomo, jakby w zawieszeniu. Gabin zażartował i wszyscy wybuchnęli śmiechem, ale bezruch trwał kilka minut. Tymczasem dwaj mężczyźni, jeden stojący, drugi w reżyserskim fotelu, konferowali. W końcu wymiana zdań się skończyła, charakteryzatorka opuściła plan, stojący mężczyzna podszedł do swojej kamery i coś powiedział do kolegi, zapadło głębokie milczenie, które przerwał ktoś niewidoczny, ogłaszając z agresywną władczością:

- Cisza na planie! Kamera.

Delphine zadrżała z podniecenia. Zanim Sette zauważył, postąpiła o kilka miękkich, somnabulicznych kroków naprzód. Jacques skoczył i złapał ją za ramię, wciągając z powrotem do strefy przeznaczonej dla obserwatorów. Spojrzała na niego z przeproszającą miną. Nie zdawała sobie sprawy, że się porusza.

W minutę później scenę znowu przerwano.

- Chodźmy - szepnął jej Bruno do ucha. - To już nie jest ciekawe. -

Delphine pokręciła głową. Scena zaczęła się znowu, ale po niecałych dwóch minutach niezadowolony Rene Clair zatrzymał ją głośnym „Stop!”. Wszedł na plan i zaczął udzielać aktorom szczegółowych objaśnień, zbyt cichych by usłyszeli je goście. Gabin kilkakrotnie skinął głową, Michele Morgan wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się, a Delphine miała wrażenie, iż bogowie raczyli zstąpić z Olimpu, by pokazać się jej w ludzkich powłokach.

Zmieniono ustawienie świateł, operator włożył do oka niewielki przedmiot, wydał dyspozycje, powiedział kilka słów do pomocnika, po czym w asyście zniecierpliwionych oczekiwaniem Guya i Bruna oraz Delphine, znieruchomiącej niczym ogrodowa rzeźba, scena rozpoczęła się znowu. Tym razem dobiegła końca.

- Dziękuję... Kopiować! - powiedział Rene Clair z cieniem zadowolenia w głosie. Światła zgasły, aktorzy wstali i rozproszyli się.

- Najwyższy czas - powiedział Bruno ziewając z nudy.

- Po południu będą tu znowu. Teraz rozeszli się coś zjeść. Zrobili dopiero jedno dobre ujęcie - wyjaśnił Sette. - Ale mam wrażenie, że wam już wystarczy.

- Do końca życia - odparł Bruno.

- Ostrzegalem cię - przypomniał Guy.

- Nie dość wyraźnie. Chodź, Delphine.

- Nie - powiedziała.

- O co ci chodzi? Tu już nie ma nic do oglądania.

- Chcę zobaczyć ich jeszcze raz.

- Jak pani sobie życzy - powiedział Jacques Sette, rzucając zaskoczony spojrzenie na Guya. - Ale tutaj nie będzie się nic działo przez

najbliższe dwie godziny. Posiłek należy do świętości, szczególnie w filmie. Czy mogę zaprosić was wszystkich do stołówki?

- Ależ tak! Z najwyższą przyjemnością.

- Przesadzasz, Delphine - skarcił ją Bruno. Przez to rozpaczliwe gapienie się bez końca zgłodniał jednak, a miejsca nigdzie nie zamówił. Musieli coś zjeść.

* * *

Stołówka, jak zawsze w wytwórniach, miała obszerne wydzielone pomieszczenie dla dyrekcji i ważniejszych aktorów. Delphine chciwie rozglądała się dookoła w nadziei zobaczenia Jeana Gabina lub Michele Morgan, ale po przedpołudniu spędzonym przy stole w jadalni oboje zdecydowali się na chwilę prywatności i posiłek w garderobie.

Sette zaprowadził ich do stolika i wybrał dla Delphine najlepiej wyglądające krzesło w całym pomieszczeniu.

- Najpierw kieliszek wina - zaproponował i zamówił.

- Proszę mi powiedzieć, kto tutaj siedzi - błagalnie odezwała się Delphine. Sette przebiegł wzrokiem po pomieszczeniu, spodziewając się wyłowić gwiazdę, której nazwiskiem mógłby zaspokoić to stanowcze życzenie, ale poza reżyserami, Jeanem Renoirem, Pierre'em Prevertem, Marcelem Carne, Nico Ambertem i Mutant-Larą, nie dostrzegł właściwie nikogo; jedynie aktorów charakterystycznych, nie znanych w Stanach Zjednoczonych. Delphine obdarzyła każdego ze wskazanych reżyserów spojrzeniem, ale byli to zwyczajni ludzie, nie aktorzy filmowi, toteż pragnienie paliło ją nadal. Rozczarowana upiła łyk wina i potoczyła wzrokiem po pokoju, mając w wielkich oczach wyraz rozmarzenia, lecz również czujności.

Niedaleko ich stolika jedli wspólnie trzech mężczyźni.

- Popatrzcie na dziewczynę - zwrócił uwagę kolegów Nico Ambert. - Na tę, która siedzi z Sette'em. -Wszyscy trzech odchyłili się lekko i zlustrowali Delphine od stóp do głów, jakby była kanapą na aukcji.

- Macie pojęcie, kto to jest? - spytał Jules LeMaitre, kierownik produkcji u Amberta, zajmujący się obsadą.

- Nie aktorka - uznał Yves Block, operator w *Mayerlingu* Amberta, którego produkcja miała się rozpocząć zgodnie z harmonogramem za miesiąc. Wszyscy trzech siedzieli w stołówce od rana, dyskutując szczegóły filmu, którego planowanie osiągnęło półmetek.

- Dlaczego tak sądzisz, Yves? - spytał LeMaitre.

- Za mało zwraca uwagę na to, co robi - odparł operator. - Rozgląda się dookoła jak turystka... żadna aktorka nie pozwoliłaby sobie na coś takiego, nawet w obcej wytwórni. Poza tym nigdy nie widziałem tej twarzy. Czy nie sądzicie, że gdyby była aktorką, to przynajmniej jeden z nas powinien ją rozpoznać?

- Gdyby była aktorką, to powinna rozpoznać mnie - powiedział życiowo Nico Ambert. Reżyser, postawny człowiek tuż po trzydziestce, miał oliwkową skórę, czarne włosy i typowy ciepłokrwisty wygląd człowieka z południa, bardziej Włocha niż Francuza. Nawet odpoczywając emanował energią, otoczony nimbem autorytetu; w jego twarzy wyróżniały się kształtny nos, bystre oczy i grymas niepokoju na ustach. Był człowiekiem przyzwyczajonym do posiadania władzy i umiał z niej robić użytek: liczni mężczyźni bali się go, a kobiety pożądały.

Delphine zdawała sobie sprawę, że trzech mężczyźni przyglądają się jej, ale jak wszyscy w tej norze zwanej stołówką nic dla niej nie znaczyli.

Była przyzwyczajona do skupiania na sobie męskiej uwagi, zachowywała się więc swobodnie, wykazując równie niewiele zainteresowania obserwatorami, co imponująca tropikalna ryba, wystawiona w akwarium na widok publiczny.

- Ona nie jest Francuzką - powiedział Ambert. - Zbyt schludna, a zarazem zbyt strojna, spójrz też na buty... na pewno nie francuskie.

- Ale mówi po francusku - stwierdził Jules LeMaitre. - Widać to po ruchu warg i gestykulacji... jak sądzisz, Block?

Operator w milczeniu badał twarz Delphine. Był encyklopedią składni rysów. Często zapytywał, czemu ludzi dziwi, iż nie spotyka się dwóch jednakowych śnieżynek, skoro twarze, nawet u bliźniaków, nie są identyczne.

Block nie wierzył w piękno. Wiedział, że światła mogą zmienić najdoskonalszą twarz w pospolitą, nużącą rzeźbę. Widział już zbyt wiele gwiazdzistych oczu tracących blask w chwili, gdy padała na nie kamera.

Ławy olbrzymich łukowych reflektorów i obiektyw kamery współdziałały w diabolicznym spisku, szpecąc wygląd mężczyzn i kobiet, istot obdarzonych przez naturę niezwykłą urodą. Czasami jednak światła i kamera zdawały się żałować swych surowych wyroków, zawierały pakt i znajdowały fascynujące cechy w twarzy na pozór całkiem przeciętnej. Najbardziej czarująca kobieta, jaką zdarzyło mu się filmować, miała nos rzucający paskudny cień, bez względu na sposób oświetlenia. Filmował też kobietę przytłaczająco banalnej urody, przed kamerą jednak jej rysy układały się w niesłychanie tajemniczą twarz kapłanki, która złożyła rytualny ślub milczenia.

Block umiał całkiem bezmyślnie wyczytać z twarzy to, co

najważniejsze: ocenić, czy rozstaw oczu jest dostateczny, czy nosa nie psują wyraźne i typowe niedoskonałości większości nosów, umiał oszacować wielkość podbródka i długość szyi, a także podstawową i absolutnie decydującą wartość geometryczną, czyli umiejscowienie ust w stosunku do oczu. Póki jednak nie przemówiły światła, nie odpowiedziała im kamera, wolał, żeby nie pytano go o zdanie..

- Trudno powiedzieć - odparł w końcu Yves Block.

- Chcesz ją spróbować? - nalegał Jules LeMaitre.

- Decyzja należy do Nica.

- Yves, skreć kawałek filmu z tą dziewczyną - postanowił Nico Ambert.

- Do roli Marii?

- A jakiejżby innej?

- Możemy wziąć Simone - przypomniał Jules.

- Jeśli będziemy chcieli... niczego jeszcze nie podpisywaliśmy. Jules, ty znasz Sette'a, prawda?

- Jasne. Jest asystentem u Bluforda.

- Podejź do niego i przedstaw się. Jeśli dziewczyna nie mówi z akcentem nie do przyjęcia, powiedz jej, czego od niej chcemy. I załatwmy to dzisiaj po południu. Pojutrze spotykam się z agentem Simone.

- Chwileczkę, Nico. Skąd w ogóle pomysł, żeby do roli Marii brać pod uwagę kogoś całkowicie nowego.

- Nawet wolałbym kogoś nowego. *Mayerling* już kręcono, wystawiano w teatrze... Historię Marii von Vetsera, arcyksięcia Rudolfa i ich samobójczej umowy na zamku Mayerling wszyscy znają. Nowa twarz dodałaby filmowi posmaku czegoś nieoczekiwanego.

- Można spróbować - bez entuzjazmu zgodził się Jules. Miał już w głowie ostateczną obsadę i nie życzył sobie żadnych zakłóceń w gotowej konstelacji, ale spełnianie zachcianek reżysera stanowiło część jego pracy. Przy Ambercie nie mówiło się o spełnianiu zachcianek, po prostu należało okazywać mu posłuszeństwo. LeMaitre odłożył widelec i podszedł do stolika Sette'a.

- Cześć Jacques, robisz dzisiaj za przewodnika?

- Z wszystkimi honorami. Pozwól, że cię przedstawię: panno de Lancel, to jest Jules LeMaitre, kierownik produkcji, człowiek bez iluzji i skrupułów, innymi słowy jeden z wielkich. Jules, to są nasi goście, wicehrabia de Lancel i Guy Marchant z *Marchant Actualités*.

Wymieniając z Delphine pozdrowienia, LeMaitre stwierdził po kilku słowach, że akcent dziewczyny jest równie francuski jak jego własny, ale z niuansów prezencji, zbyt subtelnych by wyrazić je słowami, wywnioskował, iż nie jest ona Francuzką i nie należy do świata filmu.

- Czy pani przyjechała obejrzeć Paryż? - spytał uprzejmie, po wymianie uścisków dłoni, odwracając się od trzech jej towarzyszy.

- Na kilka dni. Potem wracam do Szampanii.

- Czyli mieszka pani w Szampanii i ma pieczę nad wyśmienitymi winami - rzucił na próbę.

- Mieszkam w Los Angeles - odparła Delphine z uśmiechem. Mężczyzna był nienaturalnie ugrzeczny.

- O, więc z pewnością grywa pani w filmach.

- Nie - roześmiała się Delphine, której to zdanie pochlebiło, mimo nad wyraz bezpośredniego zachowania LeMaitre'a. Nigdy nie słyszała czegoś takiego z ust kierownika produkcji. - Prawdę mówiąc, studiuje na

uniwersytecie.

- Aha, intelektualistka. Urocze. Mam do pani jeszcze jedno pytanie. Nic niedyskretnego. Mój szef, Nico Ambert, który jest reżyserem, zastanawiał się, czy nie poddałaby się pani dla zabawy małemu testowi ekranowemu. Gdyby miała pani wolną chwilę dziś po południu...

- Do diabła! Wiedziałem, że coś knujesz, LeMaitre - powiedział Sette, rozdrażniony zamachem na gościa. Bo gdyby Bluford, jego szef, chciał ją obejrzeć? Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej.

- To niemożliwe, Delphine - zaprotestował Guy Marchant, wpadając w popłoch. - Bruno, powiedz Delphine, że absolutnie nie wolno jej tego robić. Jestem pewien, że twoja babka dostałaby szału.

- Nie bądź dupkiem, Guy - odpalił Bruno. - Dlaczego miałyby nie spróbować, do licha? O ile wiem, nie ma nic niemoralnego w próbnych zdjęciach. - Zastanawiał się, co Marchant właściwie sobie wyobraża, że chce decydować o tym, co dla Delphine jest właściwe, a co nie, przy okazji pouczając jego, Bruna. Plebejskość zawsze wyłazi z człowieka. Trzeba o tym pamiętać.

- Posłuchaj, Bruno, czy należy się zgadzać tylko dlatego, że wpadła w oko jakiemuś facetowi. Jest w tym coś nieprzyzwoitego... Zupełnie jakby wyciągnął rękę, poklepał ją po ramieniu i powiedział „chodź ze mną”. To nie jest *comme il faut*. - Guy w zapamiętaniu uniósł się z krzesła.

- Nie jest *comme il faut*! Sam mogę ocenić, Guy. Nie, rzeczywiście nie jest *comme il faut* - zakpił Bruno.

- Słuchaj, Guy, a ty też, Bruno, chcę spytać, co was to właściwie obchodzi? - powiedziała spokojnie Delphine. - Pan zadał mi pytanie, a ja odpowiadam, że dla zabawy z przyjemnością spróbuję.

- Delphine, proszę cię, pomyśl dobrze. Stracisz całe popołudnie - bezradnie rzucił Guy.

- Popołudnie jest moje, a nie twoje. Panie Sette, dziękuję za posiłek. Było mi bardzo miło. - Delphine wstała i spojrzała wprost na kierownika produkcji. - Jestem gotowa do próbnych zdjęć, a właściwie będę gotowa, jeśli ktoś zajmie się moim makijażem. Czy mogę z panem iść?

- Proszę bardzo, mademoiselle.

- Chwileczkę, LeMaitre - powstrzymał go Sette. - W którym studio będziecie kręcić?

- W siódemce. Mniej więcej za godzinę.

- Dobrze. Tam się wszyscy spotkamy.

- Wolałabym poddać się temu testowi bez przyjaciół i rodziny na widowni - powiedziała Delphine. - Guy, bądź aniołem, spotkamy się potem przed wytwórnią. A ty Bruno wiesz, że nie musisz czekać. Będę zupełnie bezpieczna z panem LeMaitre.

- Jestem tego absolutnie pewien. Zadzwoń jutro. Baw się dobrze. - Bruno pocałował ją w policzek i szybko opuścił stołówkę Jego śladem poszedł Guy Marchant, wciąż gestykulujący w jałowym proteście. Jacques Sette ponuro podpisał rachunek. Wiadomość bez wątpienia musi dotrzeć do Bluforda i bez względu na wynik zdjęć za coś mu się oberwie.

* * *

Charakteryzatorka była gruba, przyjacielska i nieskazitelnie profesjonalna. Do Delphine zwracała się familiarnie i zachwycała się jej kapeluszem nawet wtedy, gdy zdjęła go, żeby zmienić fryzurę, wygładzając pofalowane włosy szczotką, tak że opadały teraz prawie do ramion i dramatycznie odkrywały czoło. Potem wykonała kilka

niewyobrażalnych sztuczek z tuszem do rzęs, a na policzki i dookoła oczu nałożyła ciemny podkład, tworząc cienie podkreślające naturalne kontury twarzy w sposób, który przechodził najśmielsze wyobrażenia Delphine o tym, co można i powinno się z nimi zrobić. Protestującej dziewczynie wyjaśniła, że na białoczarnej kliszy dzieło będzie miało tak naturalny wygląd, jakby Delphine miała na sobie tylko zwykły makijaż. Zapięła z zachwytem nad szerokością czoła Delphine, wielkością oczu i doskonałym, drobnym owalem podbródka.

- Kształt serca, najprawdziwszego małego serca - powtórzyła, jakby do siebie.

W końcu zrobiła użytek ze szminki Delphine i pozwoliła dziewczynie opuścić charakterystyczną. Przed drzwiami czekał cierpliwie LeMaitre.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Teraz chodźmy na spotkanie z panem Ambertem. - Poprowadził ją przez mroczne studio numer siedem do reżyserskiego fotela. Nico Ambert wstał i wyciągnawszy dłoń, jeszcze raz zmierzył Delphine od stóp do głów, ani przez chwilę nie kryjąc się z taksującym spojrzeniem. Głos zabrzmiał jednak uprzejmie.

- Cieszę się, że przyjęła pani moje zaproszenie. Mam nadzieję, że się pani nie denerwuje.

- A powinnam? - Delphine usłyszała własną przekorną odpowiedź, jakby mówiła do chłopca, który wrócił do domu. Żałowała tylko, że nie ma z nią Margie. Dopiero wtedy sytuacja nabrałaby realnych wymiarów.

Od kiedy kierownik produkcji podszedł do niej w stołówce, Delphine czuła się jak pogrążona w gorączkowym, lecz cudownym śnie. Każdy atom rzeczywistości nabierał w oszłamiającej atmosferze studia

wyjatkowego znaczenia, tu bowiem najzwyczajniejsze drzwi mogły prowadzić do świata cudów. Prawie nie myślała o istocie próbnych zdjęć, tak bardzo poruszyły ją widoki i zapachy tego, o czym w zmieszaniu myślała jako o kulisach studia. Próbowwała wchłonąć i zapamiętać wszystko, co dzieje się dookoła, nierozzerwalnie się z tym zespolić, tak jak wcześniej, gdy pochłonęła ją scena z Gabinem i Michele Morgan.

- Czy pani powinna? - powtórzył Ambert. - Nie, oczywiście, że nie. Proszę usiąść tutaj przy mnie. Pokażę, co będzie pani czytała. To bardzo proste. Dla pani są wersy podkreślone na czerwono, ja będę dopowiadał resztę... stworzymy wspólnie mały dialog. Byłoby znakomicie, gdyby udało się pani nie spoglądać w kierunku kamery. Czy chce pani najpierw przeczytać tekst po cichu dla siebie?

- Nie jestem aktorką- powiedziała Delphine - więc co to da?

- Może się pani zorientuje w tekście?

- Niech pan mnie zorientuje. Tak będzie chyba lepiej.

- Czy zna pani historię z zamku Mayerling?

- Nie bardzo.

- Nie szkodzi. W tej scenie spotyka się młoda arystokratka z następcą tronu Habsburgów. Dzieje się to na balu... oboje razem tańczą... i zakochują się w sobie.

- To brzmi w znajomy sposób - powiedziała Delphine z uśmiechem. - Gdzie mam czytać?

- O, tam. Może pani zdejmie okrycie. W świetle reflektorów będzie gorąco. Delphine zrzuciła z ramion czerwony żakiet i cisnęła go na oparcie krzesła.

Zostawszy tylko w spódnicy od kompletu i prostej białej bluzce z

jedwabiu, podeszła pięć metrów do stołka wskazanego przez Amberta. Gdy tylko usiadła, reżyser wydał polecenie i ława reflektorów strzeliła światłem. Delphine poderwała ramię i z okrzykiem zaskoczenia zasłoniła oczy.

- Proszę powiedzieć, kiedy zacznie pani widzieć wystarczająco wyraźnie, żeby czytać - powiedział, pokonując głosem odległość między nimi z taką wyrazistością, jakby siedział tuż przy niej.

Delphine odczekała, uświadamiając sobie po raz pierwszy ciężar wielu męskich oczu mierzających ją z chciwym, choć profesjonalnym zainteresowaniem. Uderzyło ją to nagle jak światła reflektorów i jak światła reflektorów okazało się pożądane, budząc pierwotną koncentrację. Nigdy Delphine nie czuła w sobie tyle życia, nie była tak bardzo sobą, nie miała takiej mocy.

W czasie gdy przyzwyczajała się do blasku, poczuła, że w jej wnętrzu gwałtownie narasta ciepło. Doznania nie wywołało światło reflektorów rozgrzewających skórę. Żar wybuchł w głębi brzucha, rozlewał się szybko i niepowstrzymanie w dół, aż wcisnął się między nogi, zmuszając ją do skrzyżowania ud, by nie ujawniły mimowolnych i nagłych skurczów sromu. Siedziała w szpadach świateł, trzymając się oburącz stołka. Wypuściła scenopis na podłogę, szarpnął nią potężny orgazm. Przygryzła wargi, napięła się jak struna, wypychając piersi do przodu i ciągnąc ramiona do tyłu, jednocześnie z całej siły ścisnęła uda, żeby nie zdradzić się przed patrzącymi mężczyznami. Nico Ambert poczuł, jak jego penis odpowiada na podniecenie dziewczyny nabrzmieniem i wzwodem. Coś takiego nie zdarzyło mu się od lat.

Na planie panowała całkowita cisza.

- Jules, podaj jej scenopis - mruknął Ambert zobaczywszy, że Delphine nieco doszła do siebie. Sam był za twardy, żeby się poruszyć.

LeMaitre wsunął dziewczynie scenopis do ręki. Nico zaczął czytać długą tyradę, rozmyślnie wybraną, by partnerka poczuła się swobodnie.

Delphine słuchała, widząc słowa, lecz nic z nich nie rozumiejąc, chwila orgazmu była jeszcze zbyt świeża, przyspieszony oddech nie pozwolił dziewczynie wypowiedzieć jej kwestii. Żar wciąż był w niej, rozdmuchany, spalający, wiedziała, że niewiele brakuje do następnej kulminacji. To na pewno przez reflektory, pomyślała. Na pewno przez światła.

- Mademoiselle?

- Słucham - powiedziała omdłym głosem.

- Czy widzi pani dość wyraźnie, żeby czytać?

- Spróbuję. - Wzięła głęboki oddech i nadludzkim wysiłkiem skoncentrowała się na scenopisie. Wkrótce wersy ułożyły się sensownie i Delphine zaczęła czytać, nieświadoma kamery, nieświadoma widzów, całą istotą skupiona na czerwonych podkreśleniach, tylko wtedy bowiem panowała nad ciałem. Głos Amberta odpowiadał na jej kwestie. Kto, do jasnej cholery, zastanawiał się reżyser, nauczył ją olewać kamerę? Delphine czytała, Ambert rzucał odpowiedź i znów wchodziła Delphine, replika goniła replikę w tańcu słów, aż do końca niedługiej sceny.

Reżyser dał znak, by zgaszono światła, w nagłym mroku wstał i szybko podszedł do siedzącej jeszcze Delphine, zaszokowanej tak raptownym końcem. Wziął ją na nagie ramię, wysuwające się z krótkiego rękawa bluzki.

- Rewelacyjnie. Choć zdaje się, że miała pani trudne zadanie -

powiedział cicho i Delphine poczuła się, jakby zaczynała scenę od nowa.

- Tam było tak... jasno.

- Rozumiem. Chciałaby pani teraz przed spotkaniem z przyjaciółmi posiedzieć gdzieś w spokojnym miejscu.

- Tak.

- Chodźmy. - Szybko sprowadził ją z planu. Przeszli przez las dekoracji do jego garderoby. Nico odwrócił się, oparł plecami o drzwi i pociągnął Delphine do siebie. Wycisnął na jej otwartych ustach barbarzyński, ekstatyczny pocałunek.

- Czy wiesz... Czy ty wiesz? - zapytał z brutalną siłą w głosie.

- Co? - Głęboko wciągnęła powietrze, doskonale zdając sobie sprawę z odpowiedzi.

- Coś ty mi zrobiła? Poczuj sama. - Przyłgął do niej tak mocno, że cała, olbrzymia, zwierzęca długość jego członka odcisnęła się na jej brzuchu. Mężczyźni próbowali tego dziesiątki razy i zawsze Delphine robiła zręczne uniki. Tym razem Ambert omal nie doprowadził jej do omdlenia. Zamknęła oczy, jej usta żarłocznie wyczekiwały brutalnych, nieuniknionych pocałunków. Nico zaniósł ją na tapczan, położył tam i rozpiął jej bluzkę; ściągając ubrania z obojga, przez cały czas muskał wargami jej sutki. Delphine pozwalała mężczyznom dotykać sutków, ale nie całować, a tym bardziej oglądać. Teraz naga, całkiem odkryta, szczęśliwa w zawstydzeniu, czuła się, jakby znów objęło ją światło reflektorów. Niepokojny, doświadczony język sprawił, że zrobiła się niewyobrażalnie mokra, ale Ambert wiedział już o niej za dużo, żeby dopuścić do następnego orgazmu. Boleśnie pociągnął ją za włosy.

- Jeszcze nie - szepnął. - Jeszcze nie, ty kurewko, nie zrobisz tego

znów beze mnie. - Otworzył jej uda i wsunął między nie głowę, wciągając w nozdrza woń świadcząca o jej gotowości, uważał jednak, by nie dotknąć nigdzie w okolicy łonowego owłosienia. Wypchnęła biodra do góry, wysoko, bez cienia skromności, ale Nico wydał z siebie przeczący pomruk i ukląkł nad nią trzymając penis w dłoni. Wciskał go w Delphine z lubieżnością mężczyzny, któremu kazano czekać tak długo, że uważa teraz, by nie poruszać się zbyt szybko. Pomału, pomału wchodził w nią z sadystyczną, egoistyczną łapczywością skrytą pod maską delikatności. Była tak mokra, tak otwarta i tak dziko spragniona, że przebił cienką ściankę jej dziewictwa, zanim któreś z nich to spostrzegło, i wdarł się w nią pełną długością. Dopiero teraz przestał trzymać ją za włosy, żeby mogła skupić się na pręcie, który wypełnił jej podbrzusze. Obojgu niemal zaparło dech, czuli, jak Nico rośnie w niej, rośnie do nieziemskich rozmiarów.

- Wszyscy mężczyźni w wytwórni trzymali kutasy w garści - mruknął, leżąc na niej nieruchomo. - A ty wiedziałaś o tym, wiedziałaś, ty mała dziwko.

Delphine krzyknęła:

- Nie mogę czekać, nie mogę - i uległa niepohamowanym, szarpiącym ją spazmom, które przyszły jednocześnie z jego podrywającą, raniącą eksplozją o szaleńczej sile.

Trzeciego września 1936 roku Los Angeles dzieliła jeszcze doba od znalezienia się na cztery dni w centrum uwagi miłośników lotnictwa z całego świata. Udekorowane i poszerzone lotnisko Mines Field przechrzczono na Miejski Port Lotniczy. Miejscowi organizatorzy dorocznych Narodowych Zawodów Lotniczych, odbywających się po raz szesnasty, ale w Mieście Aniołów po raz pierwszy, uznali, że jeśli ktokolwiek może pokazać światu, jak należy przygotować widowisko, to właśnie oni.

Freddy znała prawie na pamięć niezliczone artykuły prasowe poświęcone zbliżającym się wydarzeniom. Wiedziała, że Harold Lloyd jako mistrz ceremonii poprowadzi długą paradę pojazdów mechanicznych i zespołów do portu lotniczego; wiedziała z dokładnością do minuty, kiedy bomba wybuchająca w powietrzu nad lotniskiem oznajmi przybycie doborowych eskadr pościgowych marynarki, sił lądowych i powietrznych, które zademonstrują szyki i figury stosowane podczas walki powietrznej w ataku i obronie; wiedziała też, o której godzinie odbędą się pokazy akrobacji moto-szybowcowej i gdzie należy oczekiwać masowych zawodów w skokach spadochronowych. Wiedziała, że Douglas Fairbanks senior z żoną i Benita Hume planują wydanie pikniku z koszami i naczyniami w kolorze kanarkowym, że oczekuje się Adrienne Ames w brązowym tweedzie, wraz z jej byłym mężem Bruce'em Cabotem, że wśród gości honorowych znajdą się Carole Lombard i Kay Francis. Znała nawet nazwiska i twarze dziewcząt ze śmietanki towarzyskiej Beverly Hills, wybranych na hostessy do powitania lotników podczas balu wojska i marynarki, kończącego pierwszy dzień zawodów.

Te punkty programu nie obchodziły jej jednak ani trochę. Były wyłącznie dekoracją, zapychającą dziury między wyścigami.

Uwagę Freddy przyciągały jedynie trzy wydarzenia: transkontynentalny przelot szybkościowy ze wschodniego wybrzeża do Los Angeles o nagrodę Bendix; derby Ruth Chatterton dla „pilotów sportowych”, które zaczęły się przed sześcioma dniami w Cleveland i etapami zbliżały się do mety - stosowano w nich wyrównanie w zależności od typu maszyny; wreszcie Puchar Amelii Earhart, przelot szybkościowy po zamkniętym obwodzie wytyczonym przez znaki orientacyjne na ziemi, jedyna konkurencja przeznaczona wyłącznie dla kobiet, z udziałem ośmiu zawodniczek.

Wśród tych trzech wyścigów najmocniej oddziaływały na jej wyobraźnię derby Chatterton, budziły w niej tęsknotę, jakiej Freddy nie czuła od czasu, gdy wyczekiwała pierwszego samodzielnego lotu. Gdyby miała samolot, mogłaby wziąć udział w tym wyścigu. Mogłaby wziąć i wzięłaby udział. Może nawet zwyciężyłaby. Gdyby tylko miała własny samolot.

W derbach startowało na najrozmaitszych maszynach trzydzieścioro dwoje zawodników, usiłujących jak najpełniej wykorzystać potencjał własnego sprzętu. Gazety były pełne informacji o Chince Katharine Sui Fun Ceung, lecącej na malutkiej cessnie, i o eleganckiej londyńskiej panie Peggy Salaman, której matka z uśmiechem powiedziała reporterowi: „Naprawdę nie można tańczyć przez cały dzień, dlatego Peggy zajęła się lotnictwem”. Cholera, jaką nienawiść czuła Freddy do Peggy Salaman i jej pieprzonej mamusi z szerokim gestem!

Derby Chatterton były tak bolesnym tematem, że unikając myślenia

o nich, Freddy jak w transie chodziła w kółko, próbując skupić wyłączną uwagę na szczęśliwie całkiem dla niej nieosiągalnym przelocie o nagrodę Bendix, w którym startowała grupa sławnych pilotów, jeszcze teraz, w ostatniej chwili, wprowadzających drobne udoskonalenia w samolotach zgromadzonych na Floyd Bennett Field. A działo się to po tygodniach krążących wszędzie wzajemnie sprzecznych pogłosek, opowieści o opływowych kształtach samolotów jakich jeszcze nie widziano, o tajnych testach cudownych projektów maszyn, dokonywanych w tunelach aerodynamicznych, o nowych silnikach nie spotykanej dotychczas mocy, o desperackich wysiłkach czynionych w dzień i w nocy, by wszelkimi środkami dodać samolotom choćby odrobinę prędkości. Z pogłosek rodziły się tajemnicze wiadomości z ostatniej chwili i histeria w prasie.

Przelot o nagrodę Bendix był wyścigiem całowicie otwartym. Jedyna reguła głosiła, iż piloci startujący z Floyd Bennett czwartego września o świcie mają dotrzeć do Los Angeles tego samego dnia przed godziną szóstą po południu. Aviation Magazine, biblia Freddy, podawał, iż faworytem jest Benny Howard, który rok wcześniej wygrał te same zawody na sławnym samolocie „Mister Mulligan”. Aviation typowało na czarnego konia Amelię Earhart w nowym Lockheedzie Electra lub niewiele jej ustępującą Jacqueline Cochrane. Za sportowy gest wymieniano też Howarda Hughesa, który nie zgodził się wziąć udziału w przelocie o nagrodę Bendix, uważając iż jego eksperymentalny samolot jest nie do pobicia dla pilotów dysponujących mniejszą ilością pieniędzy.

Freddy na dzień przed wyścigiem niezmiernie ćwicząca zawroty i świece w Taylorze należącym do Maca i osiagającym w najlepszym razie przeciętną sto czterdzieści kilometrów na godzinę, smutno medytowała

nad Howardem Hughesem i jego stu dwudziestoma milionami oraz nad Amelią Earhart, w której samolocie Lockheed utopił osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Manewrując starym, poczciwym taylorem pomyślała ze złością, że dużo jej do nich brakuje.

Większość popołudni w czerwcu, lipcu i sierpniu spędziła na opanowywaniu podstaw akrobacji. W końcu doszła do tego, że z Macem siedzącym obok wykonywała tak skomplikowane figury, jak wąż morski, kubańska beczka, kubańska ósemka, odwrócona beczka Franka Clarka, i diabelski młyn Rankina. Cieszyło ją to niezmiernie, ale jeśli chodzi o zaoszczędzenie środków na kupno własnego samolotu, nie była ani o krok bliższa tego celu, nie potrafiła bowiem powstrzymać się od wydania ostatniego centa na lekcje akrobatyki.

Za dwa tygodnie miał się rozpocząć wstępny rok studiów na uniwersytecie. Freddy myślała o tym posepnie. Dostała już świadectwo ukończenia szkoły średniej. Matka wzięła ją po zakupy, żeby wybrać stroje do college'u. A co z lataniem? Czyżby musiała się ograniczyć do weekendów? Dlatego wykorzystanie każdej letniej chwili nabrało zasadniczego znaczenia, nawet gdyby miało kosztować Freddy całą pensję.

Żałośnie przypomniała sobie, że wstępny rok polega na zaliczeniu obowiązkowych kursów, które na uniwersytecie starannie zaplanowano, by zapewnić jej obycie w najróżniejszych przedmiotach ogólnych.

- Do diabła z tym! Nie chcę mieć ani trochę obycia! - wykrzyknęła wściekle do niewzruszonego wysokościomierza, do nieszczęsnego szybkościomierza i drażka, którego racją istnienia było posłuszeństwo wobec niej.

Cóż innego jej pozostało? Wstąpić do marynarki i zwiedzić szmat świata? Zaciągnąć się do Legii Cudzoziemskiej? Uciec z cyrkowcami? Dupa. Chłopaka wzięliby tam na pewno, ale nie niespełna siedemnastoletnią dziewczynę. Marne widoki. Przeznaczenie wiodło ją wprost ku zapchanej sali lekcyjnej w college'u i kursowi języka angielskiego.

Gdyby Freddy mogła zdjąć nogi z pedałów steru, tupałaby z rozczarowania tak wściekle, że wybiłaby dziurę w poszyciu samolotu. Zamiast tego wykonała ostatnią, nieskazitelną świecę, ostry zakręt ze wznoszeniem o sto osiemdziesiąt stopni, i podeszła do lądowania w Dry Springs.

Mac i Swede Castelli, który przyjechał na lotnisko, żeby omówić z McGuire'em nowe akrobacyjne zamówienia, stali przed hangarem, przyglądając się jej lądowaniu. Wskoczyła z samolotu, ściągnęła gogle, odpięła spadochron, przewiesiła go przez ramię i podeszła do nich. Wiatr ścisnął miedzianym lassem włosy pełnej życia, wysmukłej postaci o chodzie Robin Hooda, tym chodzie z lekkim, nieświadomym kołysaniem na boki, podkreślanym przez sznurowane buty do kostki i bryczesy, które Freddy kupiła znosiwszy levisy. Ramiona wystawały jej z podwiniętych rękawów męskiej koszuli, w której zawsze latała samolotem.

- Hej, mała panno. Ładna była ten świeca - powiedział Swede Castelli tonem, który Freddy natychmiast uznała za protekcyjny. Wszyscy starzy piloci akrobacyjni byli przekonani, że nikt im nigdy nie dorówna. No, może nie wszyscy, może z wyjątkiem Maca. Freddy nie cierpiała również, kiedy ktoś nazywał ją „małą panną”.

- Czysta zabawa, panie Castelli - odparła krótko Freddy. - Bagatelka.

- Wyglądało w porządku, dzieciaku - powiedział McGuire.

- Ho ho, Mac, chyba nie wytrzymam twoich zachwyków. Słowo daję, że się zarumienię - powiedziała kwaśno i znikła w kantorku. A więc i Mac. Wszyscy są tacy sami, pomyślała z goryczą.

- Co ją gryzie? - zainteresował się Castelli.

- Chce być Amelią Earhart - wyjaśnił Mac.

- Ja też. Zresztą chyba każdy?

- To bardzo uczuciowy dzieciak. - Mac wzruszył ramionami.

- Dzieciak? Posłuchaj, Mac. Ta dziewczyna nie jest już dzieckiem. Zrobił się z niej smakowity kąsek, marzenie...

- To jest dzieciak, Swede. A ty „masz starcze, kosmate myśli. - W głosie Maca niespodziewanie zabrzmiała złość.

- Zobacz, jak ona ładniutko chodzi. Nie narzekaj, McGuire - powiedział Castelli, jak zwykle w nastroju do żartów, kiedy Freddy z powrotem pojawiła się przed hangarem, idąc w kierunku samochodu. Swede skinął dłonią Macowi i zbierał się do odejścia. - Czy „nie” to twoje ostatnie słowo? - zawołał przez ramię, zbliżając się z Freddy do samochodów.

- Na pewno - odparł Mac.

- Są za to dobre pieniądze - krzyknął jeszcze, wyraźnie bez nadziei na zmianę negatywnej decyzji Maca.

- Nic się nie da zrobić chłopie, już ci mówiłem. Wycofałem się z tej branży.

- Ech - powiedział Castelli do Freddy; z lekkim niesmakiem. - Zrobiliby to dla mnie. Wiem, że zrobiliby to, gdyby nie peruka, której nigdy nie chciał włożyć. Ale tym razem warto.

- O co właściwie chodzi? - obojętnie spytała Freddy. Mac nadal odrzucał oferty filmowych specjalistów od efektów specjalnych, którzy nie wierzyli mu, że raz na zawsze wycofał się z interesu.

- Jest film pod tytułem *Korkociąg*. Dałem mu do wyboru Alice Faye, Constance Bennett i Nancy Kelly... mógłby dublować jedną z nich. Reżyser, Roy De Ruth, specjalnie prosił o Maca. Nie może zapomnieć, jak fantastycznie robił Jean Harlow w *Aniołach piekła*.

- Ale to był niemy film... Pamiętam go sprzed ośmiu lat.

- Oni nie chcą, żeby cokolwiek mówił, mała panno. Po prostu ma założyć perukę i fiu do góry. Czy to naprawdę za wielkie wymagania? Czy jest w nich coś obraźliwego?

- Nie - zachichotała Freddy, wyrwana z minorowego nastroju wizją Maca w platynowoblond peruce.

- Trudno, muszę znaleźć trzech innych facetów. Wziąłbym się za tę robotę sam, ale straciłem dziewczęcą figurę. Chodzisz na zawody?

- Codziennie - odparła, nagle sobie o nich przypominając.

- Posłuchaj, mała panno, może w przyszłym roku albo jeszcze w następnym sama weźmiesz w nich udział. Nigdy nie wiadomo - powiedział uprzejmie, wpatrując się w chmurę, która rzuciła mu cień na twarz.

- Dziękuję, panie Castelli. Ale nie wydaje mi się.

- Hej, chwileczkę. A może ty chciałabyś spróbować? Podolałabyś bez problemów. Mac mówił mi, jak wiele się nauczyłaś. No więc?

- To dopiero jest niemożliwe - powiedziała Freddy, rozbawiona jego zapalem. - O wiele bardziej niemożliwe niż mój występ w przyszłorocznych zawodach.

- Dlaczego? Powiedz tylko, co cię powstrzymuje?

Freddy doszła do lśniącego lasalle'a ze składanym dachem, należącego do Eve. Sięgnęła do wnętrza, wyjęła stamtąd bladoniebieską kaszmirowy sweter rozpinany z przodu i zarzuciła go sobie na szyję. Rękawy, pospiesznie zawiązane pod brodą, przytrzymały jej wysmagane wiatrem włosy, zamieniając je w płomienne obramowanie szczerej twarzy.

- Za dwa tygodnie zaczynam naukę w college'u, ot co - powiedziała, pochylając się do drzwi samochodu. - Mam nieodwołalną randkę z Beowulfem, panie Castelli. Poza tym mój ojciec, bardzo konserwatywny człowiek, zabiłby mnie, gdybym się zgodziła, potem zabiłaby mnie moja matka, a gdyby jeszcze zostało ze mnie cokolwiek do zabicia, to dokończyłby Mac. - Zdecydowana postawa Freddy, nawet bardziej niż elegancki i bardzo kosztowny samochód, przekonała Swede'a Castellego, że stuka w niewłaściwe drzwi. Ta niezwykła mała panna była osobą z towarzystwa, mającą po prostu nietypowe hobby.

- Rozumiem. Ale spytać nie zaszkodzi, prawda?

- Prawda, panie Castelli.

- Wobec tego pozdrów Beowulfa. Szczęśliwy z niego facet.

* * *

Zanim jeszcze skończyły się Narodowe Zawody Lotnicze, dziewiątego września, w dniu wielkiego przyjęcia wydawanego przez Eve na cześć jedyne francuskiego uczestnika, porucznika Michela Detroyata, Freddy czuła, że jest jakby nie ta sama, tyle w niej kłębiło się emocji.

Z bijącym sercem patrzyła, jak Louise Thaden przelatuje nad linią mety wyścigu o nagrodę Bendix, ląduje w niewłaściwym kierunku i w skromności przekonana, że przyleciała jako ostatnia, kołuje niemal poza

granice lotniska. Dopiero rozkrzyczane tysiące ludzi dopadły samolotu, by uświadomić jej, że wygrała. Przeleciała nad Stanami Zjednoczonymi w niecałe piętnaście godzin, zostawiając za sobą wszystkie eksperymentalne maszyny wyścigowe z rasowanymi silnikami. Zwyciężyła lecąc beechcraftem. Freddy zadrezczała się myślą o tym, rozdarła między podziw i nowe fale najbardziej jadowitej zazdrości, bo przecież taką zwykłą, małą maszyną każdy potrafiłby latać i każdy, kto dysponował kilkoma tysiącami dolarów, mógłby ją kupić.

Wieczorem po zakończeniu przelotu o nagrodę Bendix Freddy kręciła się wokół namiotu wzniesionego przez Dziewięćdziesiątki Dziewiątki, narodową organizację kobiet z licencją pilota. Widziała Thaden i zdobywczynię drugiego miejsca, Laurę Ingalls, i Earhart, i Cochrane i dziesiątki innych kobiet pilotów” wchodzących do środka by fetować zwycięstwa, ale nie mogła się do nich przyłączyć, mimo iż byłoby to zupełnie naturalne. Freddy stwierdziła, że zniewala ją paraliżujący wstyd, silniejszy niż pragnienie poznania bohaterek i złożenia im gratulacji. Miała w torebce licencję pilota, ale zwyczajnie nie była w stanie wejść do namiotu i się przedstawić, chociaż zgodnie z logiką wiedziała, że spotkałoby ją natychmiastowe ciepłe przyjęcie. Nie mam się tam po co pokazywać, mówiła sobie żałośnie, przez kilka minut nasłuchiwała odgłosów radości dochodzących z wnętrza, aż nie mogła znieść ich dłużej i uciekła.

Derby Chatterton wygrał, dzięki Bogu, mężczyzna i Freddy szybko przestała o nich myśleć.

- Freddy, dobrze wiesz, że spodziewam się twojej obecności na wieczornym przyjęciu - powiedziała Eve, wchodząc do sypialni, gdzie

córka siedziała z wzrokiem wbitym w ścianę Eve drażył matczynej niepokój, widziała, jak z każdym dniem zawodów dziecko oddala się od niej coraz bardziej. Początkowo była pewna, że Freddy wykaże niezwykle podniecenie i z wypiekami na twarzy będzie śledzić wydarzenie z lotniczego świata, które dzieje się w jej rodzinnym mieście. W gazetach pisano o nim tak wiele, że nawet Eve i Paul wiedzieli na ten temat wszystko. Ale nie, Freddy dzień w dzień spędzała każdą minutę na lotnisku i wracała do domu zagubiona we własnych myślach, z dziwnie zamglonymi oczami, co Eve przypisywała długiemu przebywaniu w słonecznym blasku padającym na trybuny.

- Oczywiście mam - odparła Freddy. - Przyjdę. - Uznała, że solidna dawka francuskiej śmietanki towarzyskiej z Los Angeles oderwie jej myśli od własnego ja i fatalnego samopoczucia. Poza tym paliła ją ciekawość, by rzucić okiem na sławnego honorowego gościa, króla światowej akrobatyki lotniczej. Tego człowieka zazdrość Freddy nie sięgała, zupełnie jakby był Charlesem Lindberghiem. Albo Saint-Exuperym, jeśli szukać dalej.

Michel Detroyat wbił w dumę całą Francję i stał się niekwestionowaną gwiazdą zawodów, dając nadzwyczajny pokaz w samolocie caudron z silnikiem renault, wyścigowej maszynie na dopracowanie której armia francuska wydała milion dolarów. Był to pierwszy samolot na świecie mający opływowe kształty. Detroyat zdobył w nim dwadzieścia tysięcy dolarów, zwyciężając w Pucharze Thompsona, otwartych zawodach dla mężczyzn. Uzyskał miażdżącą przewagę nad rywalami. Wyższość jego samolotu była tak wyraźna, że Detroyat wycofał się z wyścigów, „żeby dać innym szansę na zwycięstwo”.

- Kochanie, włóż tę nową białą płócienną sukienkę - poinstruowała

córkę Eve.

- Ależ mam... - próbowała się sprzeciwić.

- Jest najbardziej stosowna z twoich sukienek. - Eve zakończyła rozmowę tonem, którego używała wyłącznie trenując wypełnianie oficjalnych obowiązków żony dyplomaty. Freddy miała zaś dość rozsądku, by nie rozwlekać sprawy.

* * *

Późnym popołudniem ogród przy domu Lancelów wypełnił się setkami gości. W kolejce do uściśnięcia dłoni Detroyata czekało tylu z nich, że Freddy mogła tylko obserwować sławnego pilota i podsłuchiwać rozmowy, schowana za stojącą przy nim Eve. Pomyślała, że nie jest przystojny. Miał za długi i za szeroki nos, i podwójny podbródek, ale oczy błyszczące pod prostymi i niezwykle gęstymi brwiami nadrabiały te braki.

Wyglądał równie beztrosko jak szczęśliwy chłopczyk. Wyraźnie przywykł do bycia na świeczniku, odpowiadał bowiem, nie tracąc ożywienia, na te same, powtarzane do znudzenia trywialne uwagi.

- Tak, proszę pani, w przyszłym roku zamierzam bronić pucharu. Dziękuję pani, cieszę się, że pokazy nie zawiodły oczekiwań. Tak, proszę pana, bardzo mi się podoba w Los Angeles, dziękuję bardzo. Tak, proszę pani, ma pani rację, mój ojciec jest głównodowodzącym Francuskich Sił Powietrznych, przekażę mu wyrazy pani szacunku, dziękuję. Tak proszę pana, macie tutaj wspaniały klimat, mam nadzieję, że kiedyś jeszcze tu wrócę, dziękuję. Tak, proszę pani, Kalifornia jest naprawdę najpiękniejszym miejscem na świecie, dziękuję.

Gadki szmatki należą, zdaje się, do kosztów sławy, pomyślała Freddy, a kolejka tymczasem chudła, goście odchodzili po napoje

orzeźwiający. W końcu, zgodnie z regułą obowiązującą wszelkich gości honorowych, Detroyat stwierdził, że stoi kompletnie sam, horda obcych ludzi natomiast, złożony wyrazy szacunku, zapomniała o nim i zajęła się kultywowaniem innych znajomości. Freddy wyszła do niego niemal z krzaków.

- Poruczniku Detroyat - zorientowała się, że wyrzuca z siebie francuskie słowa jak karabin maszynowy - czy możliwość szybkiego startu na caudronie zawdzięcza pan dwu biegowemu i dwupołożeniowemu śmigłu Ratiera oraz pneumatycznemu sterowaniu wypuszczaniem i chowaniem podwozia?

- Proszę?

- Pytałam...

- Zrozumiałem, mademoiselle. Odpowiedź jest twierdząca.

- Tak myślałam. A proszę mi powiedzieć, ile ma pan ustawień pośrednich między maksymalnymi obrotami śmigła i obrotami startowymi?

- Dwanaście, mademoiselle.

- Bardzo mnie to interesowało. A więc dwanaście. Hmm... Nic dziwnego, że pan ze wszystkimi wygrywa. A co stałoby się, gdyby zawiódł system chowania podwozia? Bo pan mówił, że tam jest sprężone powietrze, prawda?

- Tak, mademoiselle. Ale na szczęście mam również awaryjną pompę ręczną.

- A czy tunel wlotu powietrza sięga aż do dziobu samolotu?

- Może... - Urwał, nie potrafiąc już zachować powagi. W końcu jakoś opanował napad śmiechu. - Może chce pani obejrzeć samolot,

mademoiselle?

- Chętnie - odparła Freddy - ale czy zechciałby mi pan powiedzieć, co go tak rozśmieszyło?

- Jediną osobą na tym przyjęciu, która zadaje inteligentne pytania jest jeune fille. Och, ten tunel wlotu powietrza... - I znowu zaniósł się niepowstrzymanym śmiechem.

- Jestem pilotem, proszę pana, nie żadną jeune fille - powiedziała Freddy z taką godnością, że przestał się śmiać i spojrzał na nią badawczo.

- Rzeczywiście, powinienem to wiedzieć - powiedział w końcu. - Naprawdę powinienem.

- Prawdę mówiąc, skąd mógł się pan domyślić? - stwierdziła Freddy wybacząco.

- Właśnie mogłem. To oczywiste. Ma pani opaleniznę pilota. - Wskazał szeroki dekolt i krótkie rękawy jej sukienki; spalony słońcem trójkąt zaczynający się przy szyi sięgał wierzchołkiem w dół, między piersi, i ostro odcinał się od reszty białej skóry. - Nawet na rękach - powiedział, spoglądając na jej ogorzałe ramiona gwałtownie bielejące w pół drogi do łokci, w miejscu do którego dochodziły zakasane rękawy.

- Próbowałam to wytłumaczyć mamie, ale upierała się, żebym włożyła tę sukienkę.

- Nawet piloci mają mamy. Na czym pani lata?

- Na ryanie... kiedy tylko udaje mi się dostać go w swoje ręce.

- *Tiens*, znam tę maszynę. Kiedyś dla zabawy ścigaliśmy się z Texem Rankinem na dwóch identycznych. O mało nie wygrał. - Czy robi pan węza morskiego? To jest wynalazek Rankina. Właśnie się tego uczyłam.

Detroyat wyglądał na spłoszonego.

- To nie jest figura dla młodych dam pilotujących samolot. Pomysł nie wydaje mi się rozsądny. Muszę go pani odradzić.

- Zajmuję się akrobacją - powiedziała Freddy, starając się by zabrzmiało to jak najskromniej, rozmawiała przecież z mistrzem nad mistrzami. Nie mogła jednak pohamować dumy wyzierającej jej z oczu. - Dopiero się uczę, ale...

- Ale już pani umie węża morskiego?

- Tak.

- Nie pozostaje mi nic innego jak gratulacje, mademoiselle - powiedział poważnie, bez śladu kpiny, wyraźnie pod wrażeniem. - Pozdrawiam panią jak pilot pilota. - Uścisnął jej dłoń i właśnie nią potrząsał, kiedy podeszła Eve i bezceremonialnie go odciągnęła.

- Pani de Lancel, kim do licha jest ta nieziemsko romantycznie wyglądająca dziewczyna w białej płócienniej sukience? - spytał Detroyat. - Chciałbym pokazać jej mój samolot.

- Nie myśli pan chyba o mojej córce, poruczniku? - spytała Eve z nagłą czujnością.

- Pani córka? Pilotem?

- Owszem, zgadza się. Zaskakujące, prawda? Jak na dziewczynkę, która ma tylko szesnaście lat...

- Tylko... szesnaście?

- Tylko szesnaście - powtórzyła stanowczo. - To jeszcze dziecko.

- o.

- Proszę ze mną, poruczniku. Przewodniczący rady Szpitala Francuskiego chciałby złożyć panu gratulacje.

- Bardzo się cieszę - westchnął dzielny oficer. - Nie mogę się

doczekać.

* * *

W nocy po przyjęciu na cześć Detroyata Freddy nie mogła zasnąć, krew pulsowała jej w nerwowym podnieceniu. Pozdrawiam panią jak pilot pilota, tak powiedział. Nie „małą pannę”, nie „dzieciaka”, tylko „pilota”. Dlaczego nikt inny nie chciał widzieć w niej pilota? Dla Maca była wiecznym studentem. Mac oglądał jej raczkowanie w powietrzu i nigdy o tym nie zapomni. Nigdy nie pozwoli jej o tym zapomnieć. Czasami miała ochotę uderzyć go za to. Dla ojca była córką i tylko córką. Z pilotem ojciec musiał się pogodzić, ale wołał o tym nie myśleć, a z pewnością nie rozmawiał na ten temat z Freddy. Matka, pożyczwszy jej raz samochód, jakby zapomniała dokąd Freddy nim jeździ i co tam robi. Żadne z rodziców nie miało najmniejszego pojęcia o akrobacjach, gdyż oboje wyraźnie dali jej do zrozumienia, że nie życzą sobie i nie oczekują informacji o postępach Freddy w lataniu.

Uczciwie mówiąc, gdyby Freddy rzeczywiście była gotowa uznać się za pilota, to czy nie śmiałyby wejść prosto do namiotu Dziewięćdziesiątek Dziewiątek i przyłączyć się do tych rodaczek, które dzieliły z nią pasję. Była przecież jedną z nich. Czyż nie?

Do diabła, mało się ceni; zgadzając się, by ludzie, na których jej zależy, sądzili ją i niepoważnie traktowali, zaniża własną wartość, nie dopuszcza do siebie, w każdym razie nie dłużej niż na minutę lub dwie, myśli, jak daleko zaszła. Jest pilotem. Zdecydowanie dobrym pilotem!

Czyżby onieśmielał ją młody wiek? Za parę miesięcy kończy siedemnaście lat, z pewnością dość dużo, by choć w głębi serca uwierzyć w siebie, w to czym się jest. Wystarczyło spojrzeć na Delphine, niecałe

półtora roku starszą, kruchą, zawsze trzymaną pod kloszem Delphine, która nie umiała obrać ziemniaka, która orientowała się w kursie życia według dat manicure, a teraz została ni mniej ni więcej tylko gwiazdą we francuskim filmie. Zaczęło się od historycznych telefonów babki, potem przyszedł list od samej Delphine, dziwnie nieuchwytny telefonicznie, list który szedł wiele dni i zawierał szczęśliwą wiadomość, iż siostra podpisała kontrakt z wytwórnią Gaumont. Zaczęła pracę, jeszcze nim przesyłka doszła na miejsce. Nie wiadomo czemu, wszyscy uznali, że winę ponosi Bruno, ale nikt nie potrafił zgryźć tego orzecha, powstrzymać biegu wypadków.

Delphine wystartowała więc w wielki świat, a tymczasem ona, Freddy, bez namysłu odrzuciła ofertę, zrezygnowała z całkiem osiągalnej pracy kaskadera tylko dlatego, że ci sami rodzice, którzy nie zrobili nic prócz zgiełkliwego, lecz całkowicie jałowego alarmu, gdy Delphine została filmową aktorką, zarządzili teraz, że Freddy ma iść na studia. Do diabła z takimi zachętami! Ten numer nie przejdzie. Nie z pilotem.

* * *

Biuro Swede'a Castellego w wytwórni I. W. Davidsona było zagracone zgodnie z oczekiwaniami, ale większe niż się Freddy spodziewała. Poza biurkiem stał tam wielki stół konferencyjny, pokryty modelami samolotów, ściany zawieszono do ostatniego skrawka mapami, w kątach leżały na stertach zdjęcia maszyn używanych podczas wojny światowej, tu i ówdzie podparte fotografiami Castellego z dni, kiedy sam był kaskaderem.

- Ładnie - szczerze powiedziała Freddy, przeciągając się na krześle naprzeciwko biurka. - Podoba mi się tutaj. - Siedziała tam w bryczesach,

opierając nogi na podłodze. Włożyła tego dnia sięgające niemal kolan buty do jazdy konnej, chociaż ze względu na wygodę nigdy w nich nie latała. Wiedziała jednak, że wywierają wrażenie niczym pruskie oficerki. W bryczesy wpuściła stary czarny golf, a ściągnęła je najokazalszym skórzanym pasem, jaki posiadała. Pomyślała z satysfakcją, że od szyi w dół jest nie do odróżnienia od barona von Richthofena.

- Czy oferta jest jeszcze aktualna? - zapytała wprost.

- Pewnie że tak. Ale zdaje się, że masz randkę z Beowulfem. I co z rodzicami, mała panno?

- Moje zmartwienie. A nazywam się Freddy, nie „mała panna”.

- Czy to aby nie jest kawał? - zapytał sceptycznie.

- Ja nikomu nie robię kawałów, Swede. Jestem pilotem. Widziałeś, że znam się na rzeczy. Sto razy przyglądałam się Macowi przygotowującemu układy akrobacji, a poza tym wiem na pewno, że zrobisz mi dużo lepsze zbliżenia niż facetom, bo nie zaczynam po południu mieć wąsów. W peruce będę bardziej podobna do Alice Faye czy Constance Bennett niż ktokolwiek z branży. Mam rację?

- Całkowitą. Ale Mac... mówiłaś mi, że nie zgodzi się na twój udział. Nie chcę stwarzać głupich sytuacji, pracujemy razem tyle czasu, to najlepszy kumpel jakiego miałem.

- Przemyślałam to, Swede. Mac nauczył mnie latać i zachowuje się wobec mnie jak matka kwoka.

- Coś jakbym zauważył.

- Czy to znaczy, że moim naczelnym zadaniem życiowym jest uszczęśliwianie Maca? Która kwoka chce, żeby pisklęta wyniosły się z kurnika? Żadna. Ale czy to znaczy, że pisklęta zawsze siedzą w kurniku?

Wiesz, że tak nie jest. Prawo natury. Przyszedł czas, żebym się usamodzielniała i Mac musi to zrozumieć. Potrzebuję tej roboty. Naprawdę jej potrzebuję i obiecuję ci, że dam z siebie wszystko.

- Tak mówi bogata panna? No dobra, po co ci ta robota?

- Przez całe lato pracowałam na rannej zmianie w piekarni Van de Kampa, żeby opłacić latanie. Teraz chcę mieć własny samolot. Nie tylko chcę, ale muszę. - Freddy pochyliła się i z łokciami na kolanach, podpierając brodę dłońmi, spojrzała w oczy Swede'a z niczym nie zmaconą siłą i pewnością. Dojrzała do tego przez ostatnią noc.

- Zawsze brałem cię za bogatą pannę.

- Bogatą, czyli z pieniędzmi. Błąd. Rodzicom żyje się bez problemów, ale nie dostaję od nich złamanego centa na latanie. Samochód jest pożyczony. Posłuchaj, Swede, jeśli mnie nie weźmiesz, zrobi to ktoś inny. Filmy o lotnikach robią w Hollywood wszędzie. Zaczęłam od ciebie, bo cię znam, ale jeśli się wahasz, powiedz tylko słowo i już znikam.

- Masz pracę, Freddy. Do diabła, masz ją od wczoraj. Zaśmiała się radośnie.

- Czy będę dublować Alice Faye, czy Constance Bennett?

- Obie. I jeszcze Nancy Kelly. Zamierzam korzystać z twoich usług jak najobficiej.

- A pieniądze? - spytała Freddy, stając z dłońmi opartymi na biodrach.

- Pieniądze?

- Mówiłeś, że są dobre, ale nie jak dobre.

- Pięćdziesiąt dolców dziennie, tak samo jak dla Maca. Po rozpoczęciu zdjęć praca pięć do sześciu razy w tygodniu.

- I dodatki za figury?

- Freddy, mam wrażenie, że znasz stawki równie dobrze jak ja. Dodatki jak dla wszystkich. Setka za lot odwrócony, chociaż w scenariuszu tego nie ma, i coraz więcej aż do tysiąca dwustu za korkociąg ze smugaczami, zrobiony do samej ziemi, i tysiąca pięciuset za wybuch w powietrzu i skok na spadochronie. Na to możesz liczyć, w scenariuszu przewidziano. Nie ma samolotów rozbijających się o ziemię, ale i tak nie pozwoliłbym ci na ten numer. Kobiety nigdy go nie robią. Tradycja. A co do samolotu, to zanim skończą kręcić ten film, będzie cię stać na całą eskadrę.

- Pieeeeprzę to - powiedziała z wolna Freddy.

- Nie ma co pieprzyć - stwierdził urażony Castelli. - To są bardzo dobre pieniądze.

- Miałam na myśli, że pieprzę to czekanie.

* * *

Nie spodoba im się nowina, bez względu na to kiedy im powiem, rozmyślała Freddy, ale może inteligentny wybór chwili trochę zwiększy moje szanse. Najmilszy okres w ciągu dnia nastawał przed obiadem, kiedy rodzice, siedząc razem w salonie, delektowali się szampanem. Zdaniem ojca otworzenie nawet najmniejszej butelki szampana było nie do pomyślenia w trzech sytuacjach: po pierwsze, bez towarzystwa, po drugie, w porze popołudniowej, po trzecie gdyby chciał zrobić to człowiek nie pochodzący z rodzimej prowincji tego szlachetnego wina. Jemu samemu, zgodnie ze zwyczajem, zaraz po urodzeniu podano na język kilka kropli, a matka dopiła trunku z kieliszka zachwycona, że jej synek, jak wszystkie niemowlęta w Szampanii, natychmiast przestał płakać.

Freddy postanowiła nie wspominać o pieniądzach. Gdyby udało jej się dostać angaż nawet w całkiem przeciętnej liczbie filmów, miałyby z nich w ciągu roku znacznie większy dochód niż zarobki ojca. Poza tym musiała oczywiście obiecać, że nie wyprowadzi się z domu, chyba że na zdjęcia w plenerze.

- Och, kochanie, wyglądasz dziś wieczorem... wyjątkowo ładnie - powiedziała Eve, gdy Freddy weszła do salonu. Nie uważała za właściwe podkreślania przed córkami ich urody, ale właśnie teraz widok Freddy sprawił, że trudno jej się było powstrzymać. Dziewczynka wyraźnie doszła do siebie po niezrozumiałym przygnębieniu podczas zawodów lotniczych. Dziwny, cierpiący wyraz znikł z jej twarzy, a wdzięczna niebieska sukienka w odcieniu barwinka, którą tego dnia włożyła, odbijała się w bezkresnym błękitcie oczu lśniących pod wysokimi, skośnymi brwiami niczym u Eve. Było coś zwracającego uwagę w jej stanowczej, sprężystej pozie chociaż stała całkiem nieruchomo, oparta o gzyms kominka, i wpatrywała się w nich z uśmiechem, którego Eve nie dostrzegła, uśmiechem błędzącym po wydatnych, pięknie ukształtowanych ustach, i jakby uciekającym ich kącikami. Ten wewnętrzny w istocie uśmiech, nie przytłumiony, pewny, rozświetlał całą twarz triumfalną radością, jawnie sprzeczną z poważnym spojrzeniem, które Freddy kierowała na rodziców.

- Cóż to za dobra nowina? - Eve nie mogła powstrzymać się od pytania. Młodsza córka zawsze tak wyraźnie objawiała uczucia. Była to jedna z cech budzących do niej największą sympatię. - Ufam, że nie porucznik Detroyat.

- Niezupełnie. Chociaż muszę przyznać, że mi się podobał, ale nowina jest lepsza. Dostałam pracę.

- Freddy, nie żartuj, proszę. Pracowałeś przez całe lato. Nie możesz się obarczać dodatkową pracą, będąc w college'u. Musisz sobie z tego zdać sprawę.

- Matka ma rację - powiedział Paul. - Dyskutowaliśmy o tym i postanowiliśmy sfinansować ci lekcje latania w weekendy, jeżeli będziesz miała zadowalające oceny. Nie możemy cię zmuszać do robienia dwóch rzeczy naraz, a rozumiemy, że nie chcesz się całkowicie rozstać z lataniem.

- Doceniam to, tato. Wiem co czujesz. Ale nie dostałam dorywczej pracy. To jest stałe zajęcie.

- Co to ma znaczyć? - spytał Paul, odstawiając szklanę.

- Pracę etatową.

- Wykluczone - powiedział złowrogo.

- Freddy, o czym ty mówisz? - wykrzyknęła Eve.

- Nie idę do college'u, mam. Nie mogłabym. Zamieniłabym się w skwaszoną dziewczynkę z uczelni. Doszłam do tego ubiegłej nocy. Powinnam to zrozumieć znacznie wcześniej, ale nie byłam dostatecznie pewna... pewna siebie, tego co dla mnie najlepsze, tego co dla mnie właściwe.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że dorosłaś wystarczająco, żeby wiedzieć, co będzie najlepsze? - zripostował Paul, ze wszystkich sił powstrzymując wściekłość.

- Wiem, tato. Po prostu wiem.

- Chwileczkę, Paul. Freddy, nie powiedziałaś nam, jaką pracę dostałaś.

- Oczywiście związaną z samolotami. Chodzi o latanie precyzyjne na

potrzeby filmu.

- Mój Boże! Postradałaś zmysły! Co to znaczy „latanie precyzyjne”?

- Głos Eve zadrżał w popłochu.

- Specjalny rodzaj latania, jaki ćwiczyłam. Latanie z figurami, jeśli wolisz. Mam do tego talent i dobrze to robię.

- Ale nic z tych rzeczy, które robił Detroyat? -jęknęła Eve.

- Z tych nie, mam. On jest najlepszy na świecie. Ja też jestem dobra, ale nie do tego stopnia. Jeszcze nie.

- Do diabła, Freddy. Nie zgadzam się! Po prostu nie pozwolę ci na coś takiego. Nie ma o tym mowy ani teraz, ani w przyszłości. Nie ma mowy. Nie wolno ci, słyszysz, nie wolno! Nie dostajesz od nas pozwolenia - grzmiał Paul, który wstał i przesłaniał Freddy jak góra.

- Wobec tego będę musiała obejść się bez pozwolenia - odparła, zuchwale podchodząc do ojca. - Nie uda ci się mnie powstrzymać.

- Marie-Frédérique, ostrzegam cię po raz pierwszy i ostatni. Miałem dość takiego zachowania u Delphine. Nie popełnię tego samego błędu po raz drugi. Jeśli myślisz, że możesz robić co ci się podoba i ujdzie ci to na sucho, to się diabelnie mylisz. Albo postąpisz tak, jak ci mówię, albo natychmiast wyniesiesz się z tego domu i nie wrócisz, dopóki nie nabierzesz rozumu. Nie będę tolerował nieposłuszeństwa żadnej córki. Rozumiesz?

- Tak, tato. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

- Freddy! Dokąd idziesz?

- Spakować się, mam. To nie potrwa długo.

* * *

Freddy szybko wypełniła walizkę podstawowymi rzeczami,

zostawiając szmizjerki, pastelowe sweterki i spódniczki, całą tę słodką, kosztowną garderobę dla studentki college'u, co do sztuki mającą jeszcze nalepki z ceną. Narzuciła na sukienkę skórzaną kurtkę lotniczą i omiotła pokój ostatnim spojrzeniem. Nie wyglądał już jak jej pokój, zostawiała go bez emocji. Wiedziała, że Eve nie przyjdzie na górę jej powstrzymać. W sprawach dyscypliny rodzice zawsze byli jednomyślni, a jedyne odstępstwo od tej normy, jakie utkwilo jej w pamięci, zdarzyło się, kiedy matka zajęła zdecydowanie odmienne stanowisko niż ojciec, wykazując zrozumienie dla pobudek, z których Freddy zdecydowała się na pierwszy samodzielny lot.

Kiedy spokojnie opuszczała dom, zostawiając klucz od wejścia i kluczyki od samochodu Eve na stoliku przy drzwiach, rodzice siedzieli w salonie. Freddy bez wahania złapała na drodze okazję do doliny San Fernando. Wiedziała, dokąd jedzie i w trzy kwadranse później pokonywała ostatnie kilkaset metrów dzielące ją od niewielkiego domu w pobliżu lotniska Dry Springs, gdzie mieszkał McGuire. Nigdy tam nie była, ale pamiętała adres.

Było już prawie ciemno, ale w domu nie paliła się żadna lampa. Garaż był natomiast jasno oświetlony, a kiedy Freddy podeszła, usłyszała pogwizdywanie i dźwięk młotka. Mac, z kasztanowymi włosami spadającymi na czoło i aż po rzęsy, był zajęty restaurowaniem jednego z ostatnich znalezisk, rzadkiego, dwudziestoletniego fokkera D. VII z żelaznym krzyżem wymalowanym na ogonie i drugim na długim, delikatnym kadłubie. Często kręcono filmy wojenne przerabiając na fokkery samoloty curtiss hawk i M. B. 3, ale nic nie mogło dorównać oryginałom, a te stawały się coraz rzadsze, od kiedy Howard Hughes zużył

większą część podczas zdjęć do *Aniołów piekła*.

Duży zbiór Maca, który obejmował samoloty z okresu wojny światowej i przez ostatnie sześć lat ciągle się powiększał, był w wielokrotnym użyciu, śmierć bowiem spotykała maszynę dopiero, gdy leżała po katastrofie, zamieniona do najmniejszej części w kupę złomu. McGuire zatrudniał teraz kilku asystentów do opieki nad samolotami, ale trudniejsze prace wołał wykonywać sam.

Freddy postawiła walizkę i pewnym, rozluźnionym krokiem weszła do garażu, z rękami nonszalancko wbitymi w kieszenie skórzanej kurtki.

- Hej, Mac. Może ci pomóc? Zaskoczony, z łoskotem upuścił młotek.

- Co tu robisz, do diabła?

- Miałam jako alternatywę samotne zameldowanie się w hotelu. Nie wyglądała zachęcająco.

- Wyprowadziłaś się z domu? - zapytał nie dowierzając.

- Poproszono mnie o to. Wyrzucono mnie. „Żeby twoja noga więcej tu nie powstała!”. Miałam odlot mniej więcej w tym stylu. - Freddy szarżowała z szerokim uśmiechem na twarzy i zwiodłaby każdego, ale nie Maca.

- Chwileczkę Co jest grane? Twoi rodzice nigdy nie wyrzuciliby cię, żebyś sama włączyła się wieczorem. Skąd ten pasztet, coś ty narobiła?

- Powiedziałam im, że postanowiłam nie iść do college'u. Nie wytrzymałabym tego, Mac. Naprawdę nie wytrzymałabym. Na samą myśl o tym czułam się, jakby pochowano mnie żywcem w bibliotecznym kurzu. To nie dla mnie.

- Chryste - powiedział z niesmakiem. - To się nazywa przesada. Rozumiem naturalnie ich rozczarowanie, ale żeby zachowywać się z tego

powodu, jakby świat się kończył... jawna głupota. - Odłożył młotek i zgasił światła w garażu. - Chodź do domu, dzieciaku, tam będziesz mi mogła opowiedzieć. Jestem pewien, że uda ci się wspólnie z nimi dojść do lepszego rozwiązania niż taki melodramat. Czy rodzice wiedzą, gdzie jesteś?

- Nie. Nie pytali, a ja im nie powiedziałam.

- Zamierzam ich zawiadomić, żeby się nie martwili... ale najpierw porozmawiajmy na ten temat.

Wziął jej walizkę, wprowadził Freddy do ciemnego domu i zapalił światło w salonie.

- Usiądź i czuj się swobodnie. Chcesz coli? Nie? Trudno, będę musiał napić się sam.

- A nie mógłbyś przypadkiem dać mi zamiast tego kanapki? - spytała Freddy, przyglądając się, jak Mac nalewa sobie szkockiej i dodaje wody.

- Wyprowadziłaś się z domu przed obiadem? Fatalne wycucie czasu. Chodź do kuchni, zobaczę, czy znajdę resztki wyschniętego chleba.

Freddy rozglądała się dookoła z wielkim zaciekawieniem. Dom był niezwykle czysty i schludny, niemal bezosobowy. Prawdziwe życie Maca toczyło się w powietrzu, ale spodziewała się czegoś w rodzaju biura Swede'a Castellego, zabałaganionego, męskiego miejsca, pełnego pamiątek. Tu jednak nie było zdjęć, nie było też obrazów ani roślin. Półki ugięły się pod zaczytanymi książkami, których Freddy nigdy nie widziała w kantorku na lotnisku, a pokój miał wygodne, nawet dobre umeblowanie, tyle że najwyraźniej nigdy go nie używano. W kuchni było równie porządnie jak w salonie, z tą różnicą że Freddy dostrzegła ślady życia: wygodny, dawno malowany stół, na którym stał dzbanek marchwi, i sporą

kuchenkę z zestawem przyborów kuchennych na blacie obok. Na kuchence stał wielki gar, Mac zapalił pod nim gaz. - Duszone mięso. Masz szczęście, dzieciaku. Podgrzeję Freddy usiadła przy stole na jednym z czterech okrągłych krzeseł z wygiętym oparciem. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest głodna i zmęczona. Wciąż jeszcze była tak rozpalona podjętą decyzją, tak pełna zdecydowania, tak pewna swego, że po scenie z rodzicami nie miała nawet okazji przystanąć, uparczywie parła naprzód.

- Czy można dostać trochę? - spytała, pokazując na szklaneczkę Maca.

- Oszalałaś, Freddy? To jest whisky. Jeśli chce ci się pić, mam pełno coli. Freddy poczuła nagłą iskrę złości.

- Zaczynam mieć kompletnie dość pytań, czy oszalałam, czy postradałam zmysły, czy nie zwariowałam.

Czuję się zdrowsza na umyśle niż kiedykolwiek i chcę trochę whisky, profesorze. Mac odwrócił się od gara z duszonym mięsem i spojrzał na nią groźnie.

- Aha. A ja zaczynam mieć kompletnie dość tytułu profesora.

- Nigdy cię tak przedtem nie nazwałam!

- W sumie i tak o jeden raz za dużo. Skończ z tym.

- W porządku, stary zrędo.

- O, zdaje się, że szukamy guza - powiedział łagodnie. - Nic dziwnego, że ojciec cię wykopał. Czy jego też nazwałaś starym zrędem?

- Nie, a zresztą nie twój interes.

- Sama zrobiłaś z tego mój interes, pokazując się tutaj. Teraz zjedz mięso i siedź cicho. Jesteś po prostu głodna.

Freddy pochłoneła całą porcję najlepszej duszonej wołowiny, jaką zdarzyło jej się jeść, a potem jeszcze dokładkę. Mac siedział naprzeciwko, sącząc whisky i patrząc, jak czubek jej jaskrawo lśniące czupryny pochyla się nad talerzem. Pomyślał, że gdy Freddy się naje, przemówi jej trochę do rozumu i zadzwoni do rodziców.

Uważał, że nie ma dla niej innego wyjścia niż college, mimo iż osobiście traktował studia jak nudziarstwo, a strata świetnego pilota była dla niego szokująca. Ale chcąc zachować umiejętności, nawet świetny pilot musi stale latać... obowiązują tu inne reguły niż przy jeździe samochodem. Kiedy Freddy zostanie wciągnięta przez uniwersyteckie życie, dzieląc uwagę między studia i randki, nigdy nie zostanie jej dość czasu. Zamieni się w niedzielnego pilota, gatunek z którym Mac miał do czynienia na co dzień, w końcu zaś pewnie w ogóle przestanie latać, jak kilka innych znanych mu kobiet, które zapowiadały się na wspaniałych lotników. Zamiast ścigać chmury, zacznie chodzić na mecze futbolowe, ma na to widoki. Takie jest życie... potem mąż, któregoś dnia także dzieci...

Oczywisty przypadek z oczywistym końcem. Mac nie rozumiał, dlaczego czuje się, jakby poniósł osobistą stratę, niemal jakby go zraniono, dlaczego odczuwa wrażenie zastanawiająco podobne do lęku. Freddy urodziła się istotą latającą, jak on, ale do tego istotą płci żeńskiej, w lataniu po prostu nie było dla niej przyszłości. Nawet mężczyzna z trudem pozostawał wierny temu zajęciu, z trudem utrzymywał się w kursie. Mac dobrze o tym wiedział. Poczuł zalew tak przemożnego żalu nad nieuniknioną przyszłością Freddy, że wstrzymał oddech, by nie zdradzić nagłej fali uczuć. Musiał teraz odezwać się głosem doświadczonego

człowieka, stanowczo. I bezosobowo.

- Lepiej? - spytał, gdy Freddy zmiotła do czysta zawartość talerza.

- O wiele. Gdzie nauczyłeś się gotować?

- Dla człowieka, który żyje samotnie, alternatywą jest głód. Okazało się mniej więcej tak, jak będzie z twoim college'em: nie miałem innego wyjścia.

- Dobrze mówisz, Mac, ale mnie to nie bierze.

- Posłuchaj, Freddy. Rozumiem cię, naprawdę wiem, co czujesz, ale zapędziłaś się w ślepy zaułek i samym uporem z niego nie wyleziesz. Ile masz pieniędzy?

- Trzy dolce pięćdziesiąt. I ubranie na grzbiecie, i to co w walizce, w tym nawet szczoteczkę do zębów, której nie zapomniałam zabrać. Nie wiem, dlaczego cię to tak śmieszy. Lubię podróże bez nadmiaru maneli.

- Ciekawe, jak daleko zajedziesz za trzy dolce pięćdziesiąt?

- Pożyjemy, zobaczymy. - Uniosła ręce do karku i uroczym, dumnym gestem odgarnęła ciężką masę włosów. Pomyślała, że jest gotowa, nawet jeśli Constance Bennett i Alice Faye jeszcze nie są.

- Posłuchaj, dzieciaku, dzisiaj wieczorem jesteś troszkę upojona własnymi siłami. Znam to uczucie. Ale jutro wszystko się zmieni. Jutro pójde latać, a ty będziesz godzić się w domu z rodzicami i dochodzić do porozumienia... Jeśli pójdziesz do szkoły, może dadzą ci pieniądze na latanie w weekendy. To jedyny sposób, a lepsze coś niż nic. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Już mi to proponowali - powiedziała cicho Freddy. - Odrzuciłam tę ofertę.

- Coś ty zrobiła! Po tylu latach orki, żeby zdobyć gotówkę na lekcje,

odrzucasz ich pomoc?

- Właśnie tak. - Wstała, zaniosiła talerz oraz sztucce do zlewu i opłukała je pod bieżącą wodą. - Masz ścierkę, Mac? Czy po prostu zostawiasz naczynia, żeby obciekły? Która część tej alternatywy prowadzi w ślepy zaułek?

- Wiesz, Freddy, jesteś dziś wieczorem taka bezczelna, że nie będę tracił czasu na wybijanie ci głupot z głowy. I tak mnie nie posłuchasz. Jaki jest wasz numer telefonu? Zaraz zadzwonię do twoich starych, żeby przestali się martwić. Nie? Dobra, spytam o numer w centrali. - Podniósł słuchawkę telefonu zawieszzonego na ścianie.

- Poczekaj! Nie dzwoń do nich! Mac, proszę!

- Przykro mi, Freddy. Nic się nie da zrobić. - Wybrał na tarczy zero centrali, Freddy wyrwała mu słuchawkę z ręki i odwiesiła z powrotem.

- Jest... jest jeszcze coś, o czym ci nie powiedziałam. Nie chodzi o sam college.

- Powinienem był się domyślić - powiedział, całkiem bez humoru. - No więc co jeszcze?

- Mam pracę. Mogę się sama utrzymać.

- Nie zamierzasz chyba tracić życia na harówkę w piekarni czy coś podobnego? Nie, na pewno nie.

- Będę zawodowo latać.

- Co masz na myśli, mówiąc o zawodowym lataniu? W tej branży nie ma działek dla dziewcząt.

- Teraz są. Pracuję dla Swede'a Castellego. Zaangażował mnie do dublowania Alice Faye, Constance Bennett i Nancy Kelly w *Korkociagu*.

- Będziesz kaskaderką?

- Skoro odrzuciłeś tę ofertę...

- Kaskaderką!

- Nie ma tam nic, co przekraczałoby moje możliwości. Wiesz o tym najlepiej...

- Czytałem scenariusz, Freddy. Nie zamierzasz chyba tego robić. Tam jest korkociąg do ziemi! I wybuch w powietrzu ze skokiem na spadochronie... ZE SKOKIEM... Gówno, nie będziesz tego robić!

- Gówno, właśnie że będę - wrzasnęła na niego z wyrazem absolutnej determinacji. McGuire zamachnął się i uderzył ją z całej siły w policzek.

- Po moim trupie! - wrzasnął, Freddy rzuciła się na niego, z zapamiętaniem kopiąc go wysokimi butami po nogach i z wściekłością młóćąc silnymi rękami po głowie. Udało mu się w końcu przygwoździć jej rękę do boków ciała. Trzymał je, nie zwracając uwagi na szaleńcze kopnięcia, aż Freddy przestała sama. Wciąż ścisnął ją mocno jak skamieniały, nie mogąc rozluźnić chwytu. Stali tak przez minutę spleceni, nieruchomi, dyszący, wpatrując się w siebie zaszokowanymi, pytającymi oczami. Potem Freddy zapanowała nad niepewnością, pochyliła się do przodu, i przytknęła wargi do jego ust.

- Tego nie zrobię - jęknął i pocałował ją, zawierając w pocałunku całą wygłodzoną, stęsknioną, oszalałą miłość, której istnienia tak długo nie chciał zauważyć.

Całowali się bez końca. Za każdym razem, gdy odrywali się od siebie, by złapać oddech, widok twarzy kochanej osoby, widok warg, które oboje, nie chcąc się do tego przyznać, widywali w snach, przyzywali tęsknotą już od dawna, ten widok pchał ich znowu ku sobie, wzmagął burzę przesyconych pragnieniem pocałunków, tak wyczekiwanych, że

każdy z nich wywoływał doznanie słodkiego, rozdzierającego bólu. Nie mogli znaleźć się dość blisko siebie, chcieli stać się jednym ciałem, pojąć swoje wargi, połączyć się nierozdzielnie i mieć drugą osobę tylko dla siebie, w sposób niedostępny dla innych ludzkich istot. Oszołomieni pocałunkami ledwo mogli ustać, chwiali się i ślaniai na środku kuchni.

- Chcę, żebyś się ze mną kochał -jęknęła w końcu Freddy.

- Nie mogę, wiesz przecież, że nie mogę.

- Tak bardzo cię kocham... Zawsze cię kochałam... Jest za... późno, żeby powiedzieć „nie”... Teraz już za późno.

- Nie mógłbym... To nieuczciwe...

- Najbardziej uczciwe z tego, co jest na świecie. Przecież kochasz mnie tak bardzo jak ja ciebie.

- Bardziej. Bardziej niż umiesz sobie wyobrazić, bardziej niż myślałem, że można kochać. Jesteś moją jedyną miłością. Oddałbym za ciebie życie.

- Więc jak mogłoby to być nieuczciwe? - spytała z tak niepojętą czułością, pełna tak wzniosłej, wszechobecnej radości, że Mac zdał sobie sprawę, iż zabraknie mu siły, by się jej oprzeć. Co gorsza, nie chciał tego. Nic nie mogło ich powstrzymać.

W łóżku poczuł własną niezręczność, niezgrabność, nagłe wahanie, ale Freddy powiodła go za sobą; jej absolutna niewinność była jak ciepłe brzmienie wiolonczeli, prowadzącej melodię słyszalną tylko dla nich dwojga. Niespożyte pragnienie stopienia się w jedno, które spalało ich w kuchni, nieco osłabło, złagodniało, skoro wyznali sobie miłość, która kryła się w nich od lat.

Zdawało się, jakby nagle otworzyła się przed nimi nieskończoność,

jakby mieli teraz bezkres czasu na powolne odkrywanie krok po kroku tego, do czego jeszcze przed momentem gnali bez opamiętania. Mieli czas na dotknięcia budzące delikatny zachwyty. Każdy włos na głowie Maca był cudowny, każda szczecinka na policzkach znaczyła wszystko. Freddy uczyła się kształtu jego uszu, muskając je ustami, i czubkami palców drażniła brwi. Zupełnie nie wiedziała, jak doznaje twarz mężczyzny, ogarniała ją wielka, choć niespieszna ciekawość. W tych samodzielnie wynajdywanych pieszczotach była całkiem bezwstydna. Mac leżał na plecach i poddawał się jej próbom, zbyt szczęśliwy, by wybiegać myślą poza tę cudowną chwilę. Patrzył, jak Freddy pochyla się nad nim i siłą woli starał się zmusić do cierpliwości, nawet gdy długie, zmysłowe palce zaczęły przesuwać mu się po karku i ramionach, a dziewczyna nieśmiało pocałowała go w szyję.

- Poczekaj - szepnął. - Jeszcze nie. - Jej nagie ciało wyglądało tak wspaniale, że nie ośmielił się zatrzymać na nim spojrzenia na dłużej. W zadziwieniu dostrzegł, że sutki Freddy nabrzmiały i intensywnie zaróżowione sterczą na prześlicznych białawych piersiach, chociaż jeszcze nawet ich nie dotknął. Och, musiał je spotkać jak najszybciej. Zmieszany pomyślał, że proszą o to. Obrócił Freddy, położył ją na prześcieradle i skłonił się nad jej ciałem.

Freddy znieruchomiała zaszokowana. Mocno zacisnęła powieki. Nigdy w życiu nie było jej tak dobrze. Leżała na plecach, omal nie pozbawiona tchu, pragnąc by Mac nie przestawał, dalej pieścił ją z uwielbieniem. Wyraźnie czuła prąd elektryczny o mocy błyskawicy, biegnący od piersi w dół ciała, budzący nieznane dotychczas doznanie w udach. Zastanawiała się, jak długo zdoła wytrwać bez najmniejszego

poruszenia, nim rozkosz doprowadzi ją do szaleństwa. I wtedy, czując lekkie, kuszące palce Maca sunące po jej biodrach, zrozumiała, że żadne prawo do takiego trwania jej nie zmusza. Wypchnęła ciało do góry, ku niemu.

Czas, który wydawał się Freddy nieskończonością, skurczył się nagle wraz z wybuchem pulsującej, namiętnej potrzeby poznania Maca bez reszty, poznania i bycia poznaną.

Niecierpliwie rozchyliła nogi jakby w nie swoim geście, o zdolność do którego nie podejrzewałaby się nigdy. Mac zrozumiał, ale coś go powstrzymywało, wahał się, Freddy parła jednak z taką uporczywością, że wszedł w nią. Nagle zatrzymał się. Osiągnął barierę, o której dotąd nie pamiętał.

- Nie, dalej nie. Zranię cię - szepnął.

- Chcę tego - krzyknęła, pożerana miłością i namiętnością. - Chcę ciebie, chcę ciebie - krzyknęła znowu, a kiedy Mac zachował całkowity bezruch, skurczyła się, mobilizując całą siłę nóg, pleców i bioder, po czym w niecierpliwym, gwałtownym rzucie wyprężyła ciało w łuk i wybór przestał należeć do Maca. Teraz podążali naprzód zjednoczeni wspólną wolą, wspólną potrzebą i wspólnym celem. Niewinna dziewczyna i doświadczony mężczyzna dotarli tam razem. Tak głębokie było ich uczucie, tak dobrze oboje się znali, tak często uczyli się nawzajem tego, co dla nich najważniejsze na świecie, że w końcu połączyła ich prawda miłości.

Paul de Lancel nie był człowiekiem z natury skłonny do wściekłości. Wychowywał się w Szampanii, dzień w dzień chłonąc spokój, który niczym mgła podnosił się z łagodnych stoków tej żyznej krainy. Dorósł w pogodnych latach poprzedzających wojnę światową. Był też dobrze wyćwiczony w artystycznych kompromisach dyplomacji, w dodatku wiódł radosne życie z kobietą, którą darzył uwielbieniem już od niemal dwudziestu lat.

Teraz jednak zuchwałe wyznanie Freddy doprowadziło go do stanu, w którym wściekłość, kipiąca, bezrefleksyjna wściekłość owładnęła nim całkowicie. Była absolutna, do tego zaś wyjątkowo uporczywa, w odróżnieniu bowiem od ludzi o bardziej porywczym charakterze, Paul nie nauczył się nigdy, że pielęgnowanie targającego gniewu jest nieproduktywne. Wściekłość odmieniła go do tego stopnia, że Eve nawet nie starała się z nim dyskutować, nie pozwoliłby jej wspomnieć choćby imienia Freddy. Pograżał się w dzikim gniewie ze ślełą determinacją więźnia kopiącego tunel i podobnie jak więzień nie miał innego sposobu, by ująć przed realiami własnej sytuacji.

Freddy musi dostać lekcję, której nigdy nie zapomni. Ktoś musi mnie słuchać! Cały jego gniew streszczał się w tych słowach, jakby Paul był trzeciorzędnym pogromcą lwów, a nie rozsądnym człowiekiem pragmatycznej profesji. W ogóle nie dopuszczał myśli sięgających dalej.

Freddy płaciła pośrednio za nie rozładowaną zajadłą urazę Paula wobec Bruna, syna który traktował go wyłącznie z uprzejmością należną obcym ludziom, który odrzucił go z powodów zbyt bolesnych, by się w nie zagłębiać. Freddy płaciła też za świeżą jeszcze gorycz rozczarowania

związanego z Delphine, córką o dwuznacznym i wątpliwym prowadzeniu, która nie dała Paulowi żadnych szans na sprzeciwienie się kontraktowi z wytwórnią Gaumont, stawiając go przed faktem dokonanym.

Jego bezradność, jako ojca, wobec wszystkich trojga dzieci do tego stopnia wyprowadzała go z równowagi, że nie mógł świadomie myśleć na ten temat. Łatwiej było wymazać Freddy z życia, odrzucić ją raz na zawsze. Nie zasługiwała na nic. Mogła przecież obejść się bez rodziny. A więc niech tak będzie. Ktoś musi go słuchać.

Freddy skupiła na sobie reakcje wobec nieopisanych zawodów, jakie sprawili Bruno i Delphine. Jej własny niewybaczalny bunt był ostatnim zrywem, na który Paul mógł ostro zareagować, bez względu na koszt.

W pierwszych tygodniach po odejściu Freddy, Eve ledwie poznawała własnego męża. Budził się tak wcześnie, że zanim zeszła na dół zrobić śniadanie, często wychodził już do konsulatu, zostawiając jedynie wiadomość u kucharki Sophie. Wracał do domu i zakopywał się w gazetach, aż do obiadu prawie się do żony nie odzywając. Podczas obiadu nalewał sobie trzy razy więcej wina niż miał w zwyczaju i dzięki temu udawało mu się prowadzić zdawkową rozmowę o szczegółach spędzanego osobno dnia. Potem następował długi, samotny spacer, zakończony powrotem do domu. Paul informował, iż źle spał ubiegłej nocy i niezwłocznie zamierza się położyć. Od czasu odejścia Freddy nie zdarzało mu się wybuchnąć śmiechem, a żonę całował jakby z obowiązku.

Eve zastanawiała się, czy i na nią Paul jest zły. Nie mogła oprzeć się przekonaniu, że tak, chociaż nigdy nie przyznałaby tego głośno. Bądź co bądź to właśnie ona namówiła Paula, żeby pozwolił Freddy brać lekcje po pierwszym samodzielnym locie, ponadto pożyczyła córce samochód. W

oczach męża z pewnością nie była bez winy, ale ponieważ Paul nie zniósłby najmniejszej wzmianki o Freddy, Eve nie chciała brać na siebie części odpowiedzialności za wydarzenia, które doprowadziły do aktu anarchii.

Nie była nawet w stanie przekazać mężowi najświeższych wiadomości o córce, mimo iż Freddy co tydzień telefonicznie dawała znak życia, kiedy Paul siedział w pracy. Freddy nie zdradzała się przed Eve ze szczegółami obecnego życia. Nie mówiła, gdzie wynajmuje mieszkanie, ale zapewniała niespokojną matkę, że czuje się dobrze i bezpiecznie. W jej głosie pobrzmiwało oczywiste szczęście. Eve próbowała powiedzieć o tym Paulowi, ale ten przerwał jej natychmiast, gdy zorientował się, do czego zmierza rozmowa.

- Nie obchodzi mnie to - powiedział głosem tak nasyconym morderczą furją, że Eve bez słowa wyszła z pokoju, po raz pierwszy w życiu pełna lęku przed człowiekiem, którego poślubiła.

Eve wytrzymała takie życie do dni poprzedzających święta Bożego Narodzenia 1936 roku. Paul mógł w dowolnej chwili wykorzystać którąś ze swych filmowych znajomości i telefonicznie wykryć miejsce pracy Freddy. Eve zrozumiała jednak, że mąż nigdy tego nie zrobi. Pomyślała ze złością, że minęły prawie trzy miesiące i dość ma przejmowania się dumą Paula, zatelefonowała więc sama. Jakże pragnęła zobaczyć dziewczynkę, przytulić swoje dziecko. W dzień później znalazła już odpowiedź na podstawowe pytanie i pojechała samochodem na farmę w pobliżu Oxnard, gdzie pracował zespół kręcący *Korkociąg*.

- Słucham panią? - zainteresował się strażnik przy bramie w drucianym ogrodzeniu, postawionym dookoła terenu, na którym pracowali

filmowcy, żeby zabezpieczyć ich przed miejscowymi ciekawskimi.

- Jestem umówiona - raźnie odparła Eve. Otworzył przed nią bramę bez dalszego wypytywania. Zostawiła wóz za grupą baraków, w miejscu gdzie zobaczyła inne samochody, i pewnym krokiem ruszyła w kierunku największej budowli. Nie czuła najmniejszego zakłopotania naruszeniem terenów filmowego pleneru. Ktoś, kto był gwiazdą w Olimpii, raz na zawsze pozbywał się tremy przed wdarciem się w przestrzeń spektaklu oficjalnie zamkniętego dla publiczności. Kulisy zawsze były kulisami, gdziekolwiek się na nie natykała, czy to w jej obecnym świecie, czy też w dawnym królestwie Jacquesa Charlesa.

- Czy znajdę tu gdzieś Freddy de Lancel? - spytała pierwszą spotkaną osobę wyglądającą, jakby mogła wiedzieć.

- Freddy? Musi pani spytać tam. Nie znam rozkładu kaskaderów - odparł mężczyzna, wskazując inny barak, w którym znajdowało się zaimprovizowane biuro kierownika produkcji.

- Rozkładu kaskaderów? - powiedziała Eve, usiłując zatuszować zaskoczenie.

- Aha.

- A czy nie powinnam pytać raczej o rozkład latania precyzyjnego?

- Bez różnicy, proszę pani.

- A... akrobatyka? Latanie z figurami?

- Wszystko jeden diabeł.

- Dziękuję. - Odwróciła się w kierunku wskazanego baraku.

Pomyślała z trwogą, że postara się nie rozważać tego, co usłyszała, póki nie dowie się więcej. Terminologia związana z zajęciem Freddy była najwyraźniej dostatecznie nie ostra, żeby jedno mogło znaczyć drugie,

trzecie, a nawet i czwarte.

W kierownictwie produkcji wysłali ją do jeszcze innego budynku, hangaru oddalonego o kilkaset metrów. Eve szła tam, czując suchy wiatr chłuszczący spódnicę jej eleganckiego ciemnozielonego kostiumu i prawie zrywający z głowy miękki filcowy kapelusz. Niebo było odległe, nieważne. Wypełniał je gładki, bezchmurny, wodnisty błękit wymalowany przez wiatr, który był dla Kalifornii tym samym, czym mistral dla południa Francji. Eve przemierzała plac pokryty suchą, lekko pylistą żółcią kalifornijskiej zimy. Wkrótce miały nadejść styczniowe deszcze, pierwsze zwiastuny wiosny. Szła tamtędy, równie szykowna i elegancka jako czterdziestolatka, jak dwadzieścia lat wcześniej. Jej oczy wciąż fascynowały ciemnym odcieniem, włosy nadal romantycznie mieniły się miedzią i złotem. Eve przyciągnęła falę aprobujących i zaciekawionych spojrzeń krzątających się techników, którym zawsze udawało się zaoszczędzić trochę czasu na odprowadzenie wzrokiem pięknej kobiety.

Eve zajrzała do hangaru, który po drodze w rozslonecznionej przestrzeni wydawał się mroczny. Kilka osób stało tam wokół samolotu, wyglądającego bardziej nowocześnie niż maszyny oglądane przez Eve na zdjęciach z zawodów lotniczych. Podeszła i rozpoznała Alice Faye w kremowej koszuli z wieloma klapami i kieszeniami, przypominającej krojem wojskowy mundur. Koszula była wpuszczona w dopasowane kolorystycznie, najwęższe spodnie, jakie zdarzyło się widzieć Eve. Smukłą talię Alice Faye opinał jej kremowy zamszowy pas, szyję niedbale owijał biały jedwabny szalik, a spod kremowego skórzanego kasku sterczały charakterystyczne loki do ramion w kolorze platynowoblond. Gogle zsunięte na szczyt kasku odsłaniały całą twarz: znajome czarne brwi,

wielkie oczy obramowane przesadnie poczernionymi rzęsami, jaskrawo uszminekowane, zmysłowe usta, stanowiące intrygujący kontrast do agresywnych blond włosów.

Dwaj mężczyźni pochylali się razem z nią nad kabiną samolotu. Jeden był krągły, w średnim wieku, w drugim Eve rozpoznała Spencera Tracy'ego, który okazał się wyższy, niż sądziła. Potem podeszła o wiele bliżej i zorientowała się, że mimo wszystko nie jest to Spencer Tracy, tylko aktor wyglądający podobnie. Dwaj mężczyźni prowadzili ożywioną rozmowę na temat pasów, które miały przytrzymać pilota w fotelu tej wspaniałej wyścigowej maszyny, młodszy był z nich wyraźnie niezadowolony.

- Nie obchodzi mnie, Swede, czy to jest najlepszy możliwy sprzęt na całym pieprzonym świecie. Zrób nowe. Mają być trzy razy mocniejsze albo Freddy nie leci.

- Tracimy dzień - protestował Swede Castelli - może nawet dwa.

- Słyszałeś, co powiedział Mac - odezwała się Alice Faye. - Tak czy owak dzisiaj jest za duży wiatr na latanie. Samolot z kamerą będzie się huśtał.

- Freddy - odetchnęła Eve. Alice Faye obróciła się.

- Mama! O Boże, jak się cieszę, że cię widzę! Och, mamó, mamó, jak się czujesz? Pocałuj mnie. Jak się czuje tata? A Delphine? Opowiedz mi wszystko! Jak mnie znalazłaś? Pocałuj mnie jeszcze raz. Och... to jest Swede Castelli, a to jest Mac, Terence McGuire. Chłopcy, to jest moja długo zaginiona mama. Nie myślałaś chyba Swede, że mam mamę, prawda? Och, mamó, wszędzie pomazałam cię szminką. Pozwól, że zetrę, tylko pożycz mi chustkę, bo w tym durnym mundurku nie ma miejsca na

nic poza mną.

Freddy radośnie tańczyła wokół Eve, obejmując ją, puszczając, żeby się przyjrzeć, i znów obejmując. Eve pomyślała w oszołomieniu, że dziecko z pewnością nie głoduje, córka nie tylko urosła, ale również zaokrągliła się tak, iż chudzielec nabrał proporcji namiętnej gwiazdy filmowej. Freddy dostrzegła jej zaskoczenie.

- To nie ja, mamó, tylko wata. W tym kostiumie nadal siedzi twoja mała dziewczynka.

- Nabrałaś mnie - powiedziała Eve bez tchu. - Nie poznałam cię. Myślałam, że jesteś Alice Faye.

- O to chodzi, pani de Lancel - powiedział Swede Castelli promieniejąc. - Powinna ją pani zobaczyć jako Connie Bennett, są jak dwie krople wody.

- Swede, weźmy mamę na filiżankę kawy. Tu już chyba skończyliśmy, prawda?

- Muszę iść i dać do zrobienia tę uprząż, a potem pogadać o paru rzeczach z Royem dei Ruthem. Ty i Mac zmykajcie. Spotykamy się tu jutro rano, nawet gdybym miał te rzemienie szyć osobiście.

- Swede, dokąd ci się tak spieszy? Przecież masz czas na filiżankę kawy - nalegała Freddy, kiedy cała czwórka opuściła hangar, idąc w stronę prowizorycznego bufetu.

- Powiniennem iść. Miło było panią poznać, madame de Lancel.

Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy. - Szybko oddalił się w poszukiwaniu reżysera, którego chciał dopaść jeszcze przed zajęciem się uprzążą. Mac sprawdzał cały ekwipunek dla Freddy i Castelli oceniał, że zaspokojenie jego wymagań związanych z bezpieczeństwem i

zastosowaniem podwójnych środków ostrożności, pochłonęło już wiele dni produkcji. Z drugiej strony Freddy oszczędzała w powietrzu o wiele więcej czasu, niż tracili na ziemi. Jak kaskaderzy kaskaderami nigdy jeszcze nie było dublowania, które budziłoby w Castellim mniej niepokoju. Nie było też w historii filmu równie przekonujących zdjęć kobiety w locie.

Pijąc kawę i jedząc keks, na który Freddy koniecznie namawiała, Eve biła się z myślami, usiłując odepchnąć od siebie uczucie zmieszania cisnące się do niej wraz ze strumieniem wrażeń. Nie krzykliwy makijaż i platynowoblond peruka sprawiały, że córka wyglądała tak bardzo obco. Było w niej jeszcze coś... Eve nie umiała tego nazwać... coś odmiennego. Głos pozostał ten sam, podobnie jak afektowane zachowanie, a jednak zaszła zasadnicza zmiana. Nie tylko dlatego, że córka dorosła, zarabiała na własne utrzymanie i prowadziła niezależne życie. Obu tych tematów Freddy i Eve unikały za obopólnym porozumieniem. Czegoś jeszcze Eve nie potrafiła określić. Czegoś nowego.

Odważyła się zadać kilka pytań panu McGuire'owi, chcąc sprawdzić, czy ten nie rzuci trochę światła na przemianę córki, ale dostała odpowiedzi, jakich mogła oczekiwać od instruktora, który uczył Freddy latać: wyważone, spokojne i rozsądne. Wyjaśnił jej w popularny sposób istotę kilku figur. Słuchając, Eve uznała Maca za człowieka budzącego wyjątkowe zaufanie. Gdyby spotkała go wcześniej, byłaby pewna, że podczas lekcji Freddy jest w dobrych rękach.

Postanowiła wrócić któregoś dnia. Chciała spróbować, czy uda się doprowadzić do rozmowy na osobności, kiedy Freddy nie będzie schowana za maską makijażu. Załatwiła jednak podstawową sprawę:

upewniła się, że z Freddy wszystko jest w porządku. Miała nadzieję przekazać część własnej otuchy Paulowi. Ale nawet gdyby nic z tego nie wyszło, to przynajmniej znów była z córką w kontakcie.

Eve pilnowała się przed przyjmowaniem nadmiernie matczynej postawy. Nie dość, że minęły już trzy miesiące od wyraźnego ogłoszenia niezależności przez Freddy, ale również był z nimi pan McGuire, obcy człowiek. Eve nigdy nie podjęłaby rozmowy na tematy rodzinne przy świadkach. Nie pytała, gdzie Freddy mieszka, kto jej gotuje, jak załatwia pranie ani nawet co planuje po skończeniu filmu. Mimo trudnego do wyjaśnienia, lecz natrętnego zakłopotania czuła zadowolenie, że po prostu siedzi przy dziecku i ma świadomość jego oczywistego szczęścia. Freddy uwielbiała tę pracę i w opinii pana McGuire'a wywiązywała się ze swych zadań znakomicie. Ta wiedza na pierwszy raz jej wystarczała. Eve wstała i ruszyła do samochodu.

Wracając z Oxnard wzdłuż wybrzeża koncentrowała się na biegnącej zakosami drodze. Nadal była lekko zamroczona przeżyciem, którego dostarczyło jej pojednanie z córką, toteż stanowczo zdecydowała na razie wyrzucić z głowy myśli o Freddy, żeby spokojnie pokonać kręty szlak i odzyskać zwykłą minę przed powrotem do domu. Nie chciała mówić Paulowi, gdzie spędziła cały dzień.

Śpiewała pod nosem urywki prawie zapomnianych już piosenek i wracała myślą do ludzi music-hallu, którzy je spopularyzowali. Na długie minuty Eve znowu ustąpiła miejsca Maddy. Przypomniał jej się Chevalier i jeden z jego pierwszych przebojów. *Je n'peuxpas vivre sans amour*, śpiewała za nim Maddy, *J'en reve la nuit et le jour*. Mimowolne wspomnienia sprzed niemal dwudziestu pięciu lat pojawiały się i przez

chwilę trwały. Nagle Eve z piskiem hamulców ściągnęła samochód na pobocze. Znieruchomiała, w eleganckim małym coupe, siedziała z głośno bijącym sercem, purpurowymi policzkami i trzęsącymi się rękami.

Na miłość Boską, co za głupota z jej strony! To było równie jasne, jakby dali na zapowiedzi. Równie wyraźne, jak szminka na ustach Freddy. Ci dwoje kochają się jak szaleńcy. Kochankowie. Nie ma co do tego dwóch zdań. To jasne. Jasne... Widoczne w każdym spojrzeniu chybiającym tego drugiego, w każdej chwili nie znaczonej zetknięciem ich rąk, w każdym nie wypowiedzianym słowie. Jak mogło jej się zdarzyć, że przegapiła taką oczywistą namiętność? Taką... pewną. Bez upiększeń. Niezaprzeczalną. Czyżby oślepiła ją maska Alice Faye? Czyżby spoglądając na Freddy nadal widziała tylko małą dziewczynkę? Ale przecież ona, jej córka, zaszła już tak daleko, głęboko, dotarła w odległe miejsce, do krainy, gdzie matki nie mają wstępu. A on, ten biedny człowiek, nigdy nie wyleczy się z Freddy. Taki już jego los.

W końcu Eve znów zapaliła silnik. W westchnieniu, które wydała, było tyleż rezygnacji, co doświadczenia. Nie miało znaczenia, jak do tego doszło, nad przyszłością zaś nie panowała ani ona, ani ktokolwiek inny. Freddy była olśniewająco szczęśliwa. A Eve... cóż, musiała przyznać, że czuje cień zazdrości. Przyznawała się do tego, póki jeszcze była sama, póki miała na to czas... zazdrościła Freddy dobrze pamiętanej, niepowtarzalnej pierwszej namiętności... a nawet... nim jeszcze nie przestała szokować jej wiedza, która nagle przyszła... nawet i do tego musiała się przyznać, że czuje również trochę zwykłej kobiecej zazdrości o mężczyznę. O tego nadzwyczaj pociągającego mężczyznę roztaczającego spokojny, władczy urok i o jego krzepkie, umięśnione ciało, o tego

mężczyznę budzącego silne... pożądanie. Tak, córka wybrała dobrze.

* * *

La matinée grasse. Delphine leżała w łóżku, czuła przyjemne zamroczenie i na wpół śpiąc myślała, że dzięki nazwie i rodzajowi oficjalnego statusu, nadanym conceptowi „tłustego”, soczystego poranka, totalnie rozleniwionego, bezwartościowego, nicponiowatego poranka, ów, nie specyficznie francuski przecież, wynalazek zdaje się w mniejszym stopniu słabostką, a w większym tradycją. W każdym razie jeśli ktokolwiek zasługiwał na matinée grasse, to właśnie ona, miesiącami przecież grała w filmach, koniec jednego był początkiem następnego. Delphine pouczyła osobistą służącą, Annabelle, że spędzi całe rano u siebie w pokoju i nie wolno jej przeszkadzać pod żadnym pozorem, nawet gdyby przywieźli zamówione rośliny egzotyczne.

Dziesiątego kwietnia 1938 roku padał deszcz, ale przez niemal dwa lata paryskiego życia Delphine przyzwyczaiła się do takiej pogody. Deszcze nie przygnębiały jej, nigdy bowiem nie wchodziły jej w drogę. Szofer woził ją wszędzie zgrabnym popielatym delahaye'em; większość czasu spędzała w wytwórni, gdzie pogoda się nie liczyła. Jej dom pełen bukietów od wielbicieli zawsze wyglądał jak kwiaciarnia, a poza tym, w odróżnieniu od większości francuskich domów, był ciepły i przytulny.

Po niezwykłym sukcesie w *Mayerlingu* Delphine zaczęła się rozglądać za miejscem do mieszkania, a tymczasem jej nowy agent wynegocjował z wytwórnią Gaumont o wiele korzystniejszy kontrakt niż pierwszy. W Szesnastej Dzielnicy, najbogatszej części prawobrzeżnego Paryża, od Avenue Foch odchodzi kilka mało znanych i bardzo urokliwych ślepych zaułków, nazywanych „villa”, które powstały w

połowie dziewiętnastego stulecia. Domy przy tych niefrancuskich uliczkach przypominają angielskie budynki postawione na miejscu dawnych stajni: są niewielkie, komfortowe, gwarantują prywatność, a za każdym z nich ciągnie się ogród. Delphine upatrzyła sobie jeden z nich przy Villa Mozart.

Przypominał jej wiktoriański domek dla lalki. Zbudowano go z różowych, pobielanych cegieł, a drewniane elementy pomalowano na turkusowo. Po frontowej ścianie pięło się dzikie wino zacieńające okna, a w ogrodzie na tyłach rosły krzewy hortensji i wierzba płacząca. Słońce, jeśli akurat świeciło, padało rano od frontu, a po południu od tyłu. Na każdym z pięter były dwa pokoje i łazienka, a na parterze znajdowały się jadalnia, kuchnia i salon. Dom miał ponadto niewielką, ale dobrze odosobnioną piwnicę. Niedawno założono w nim wydajne ogrzewanie. Delphine kupiła go bez namysłu za pierwsze zarobione pieniądze.

Inna osiemnastolatka, zbudziwszy się któregoś dnia jako gwiazda, mimo iż miała na koncie zaledwie jeden film, mogłaby wydać pieniądze na futra, biżuterię czy samochód albo przytłoczona ciężarem sukcesu nie tknąć z nich ani centa.

Delphine chciała tylko jednego: fortocy. Dotąd zawsze mieszkała w domach, gdzie z tytułu starszeństwa ktoś inny dbał, by zachowywała się odpowiedzialnie. Budynek przy Villa Mozart gwarantował jej zaspokajanie rosnących wymagań ciała w atmosferze prywatności.

U podnóża schodów nie czuwała ciekawska, natrętna konsjerżka, która przyglądałaby się wchodzącym i wychodzącym gościom, co było normą w paryskich kamienicach. Na Villa Mozart urzędował tylko jeden stróż, Louis, z żoną Claudine, oboje mieszkali przy wylocie uliczki, o

ponad sto metrów od frontowych drzwi Delphine, zresztą całkowicie niewidoczni, bo za ich oknem zaułek zakręcał.

Kiedykolwiek Delphine powiadamiała stróżostwo, że oczekuje gościa, natychmiast otwierali bramę blokującą uliczkę dla miejskiego ruchu, nie domagając się żadnych dodatkowych informacji. Dostawali za to częste i sute napiwki. Mimo iż nie mieszkali na jej posesji, Delphine wystarczająco przesiąknęła już paryskością, by zdawać sobie sprawę z konieczności zaskarżenia ich łask.

Delphine najęła służbę, ale wymagała od niej mieszkania poza domem. Szofer Robert, osobista służąca, kucharka i pokojowa przychodzili do pracy wczesnym rankiem i opuszczali dom po skończeniu zajęć. Wynagradzała ich szczerze, o wiele szczerzej niż gdyby dała każdemu pokój i wyżywienie, ale opłacało się. Jeśli nawet ktoś ze służby dostrzegł rano dowód, że Delphine nie spędziła nocy sama, to zadowolenie z tych łatwych zarobków nie pozwalało mu obudzić w niej podejrzenia, iż nie prowadzi życia w atmosferze całkowitej prywatności, którą z taką starannością budowała.

Między sobą służba miała wiele do powiedzenia na temat pana Nico Amberta i młodej chlebodawczyni. Louis z zachwytem oświadczył żonie, że w zeszłym tygodniu Ambert spędził na Villa Mozart pięć nocy. Rzeczywiście, miał nawet własny klucz do frontowych drzwi. Annabelle, osobista służąca, która usłyszała tę nowinę bezpośrednio od Claudine, kiedy szła do pracy, powtórzyła ją z odpowiednim mrugnięciem kucharce Helene. Claudine wprowadziła w swoim czasie do domu swoją siostrę Violet jako pokojową, która wykonywała wszystkie prace domowe, miała więc z pierwszej ręki szczegółowe informacje o stanie sypialni Delphine,

wiedziała, ile razy trzeba było zmieniać pościel i z jakich powodów.

- Ależ buhaj musi być z tego Nica Amberta - mówiła wszystkim z grymasem zazdrości. - Szybko się go nie zaspokoi, a przy tym jest nieokrzesany i męski jak doker.

Fortecę przy Villa Mozart spowijała mocniejsza i szczelniej szapajęczyna informacji, niż gdyby Delphine zamieszkała na najbardziej plotkarskim podwórzu Paryża, ona sama jednak nigdy nie miała przyswoić sobie dość paryskości, by się tego domyślić. Kadencja Nico Amberta trwała sześć miesięcy, póki *Mayerling* nie został skończony i Delphine nie podpisała kontraktu na główną rolę w filmie *Spotkanie z miłością* z Claude'em Dauphinem jako partnerem.

Ambert nauczył ją więcej niż zamierzał, i często Delphine, wydostawszy się z objęć kochanka zaledwie kilka godzin wcześniej, wolno przechadzała się wśród filmowych dekoracji, jakby kontemplowała następną scenę, w rzeczywistości natomiast zastanawiała się, który z będących tam mężczyzn zaczyna twardnieć z podniecenia, śledząc ją wzrokiem. Niekiedy przystawała, witała się z silnym, młodym pracownikiem technicznym, jednocześnie jakby mimo woli spuszczać wzrok ku jego kroczu, by niezauważalnym, lecz doświadczonym spojrzeniem oszacować wielkość organu w czasie, gdy zadawała zupełnie konkretne i sensowne pytanie dotyczące planu. Słuchając odpowiedzi, refleksyjnie przygryzała dolną wargę i patrzyła rozmówcy prosto w twarz, póki nie dostrzegła w niej krwistych oznak pożądania. Wtedy znowu szybko przesuwiała wzrok ku dołowi i sprawdzała, do jakich rozmiarów urósł członek, jak bardzo wypycha spodnie. Potem z przyjaznym uśmiechem rzucała słówko pożegnania, widząc oczami wyobraźni

olbrzymi, zwiedziony narząd, który tak łatwo mogłaby wyciągnąć z kryjówki, cudowną twardość nabrzmiałego krwią kawału ciała, na którego przyjęcie była gotowa, tymczasem bowiem dojrzewiała do wzięcia go głęboko w siebie.

Nigdy tego nie zrobiła. Upajała się żądzami personelu, rozpaliała go, nikomu nie dając jednak pretekstu do nazwania jej lubieżną dziwką. Delphine narkotyzowała się potrzebą seksualną. Uwielbiała cudowny, odurzający, rozkoszny ból narastającego napięcia i rozszalałą wyobraźnię. Z zachwytem spędzała godziny w straszliwym podnieceniu, mokra i spragniona, póki nie zapaliły się światła na planie, póki kamery nie poszły w ruch, póki reżyser nie zakończył zdjęć. Dopiero wtedy pozwalała sobie na orgazmy, które tak zręcznie ukrywała.

Dla reżysera *Spotkania z miłością* porzuciła Amberta. Nie chciał oddać klucza do frontowych drzwi, dzięki czemu Delphine nigdy więcej nie popełniła takiego błędu. Kiedy zaczęła kolejny film, *Sprawa serca* z Charlesem Boyerem, rzuciła się w ramiona producenta. Reżyser jej nie pociągał. Na aktorów natomiast nie zwracała uwagi. Byli zbyt egocentryczni jak na jej zainteresowania. Im przystojniej wyglądali, tym mniej atrakcyjni wydawali się Delphine. Pocałunki na planie nigdy nie miały tej zmysłowej realności, jak choćby wielkie ręce elektryka przy pracy.

Namiętność, którą kamera rejestrowała w najbardziej romantycznych scenach miłosnych, Delphine czerpała ze świadomości, iż personel techniczny, gdyby miał choć cień szansy, rzuciłby się na nią i brał ją bez końca, ustawiając się w kolejce. Teraz, w dalszym ciągu rozkoszując się porankiem spędzonym w łóżku, pomyślała chciwie, że byłaby na to

gotowa. Więcej niż gotowa. Tych ludzi obejmował jednak zakaz. Chełpiliby się. Jedna wpadka, jeden fałszywy krok i dowiedzieliby się wszyscy. Reżyserzy, producenci, kompozytorzy, scenografowie czy scenarzyści byli dla gwiazdy odpowiednimi partnerami, nie mogła jednak ryzykować plotek wiążących ją z pracownikami technicznymi, choćby ich surowa, nieokrzesa męskość przyprawiała ją o wewnętrzne drżenie.

Nie mogła nawet napomknąć o tym Margie. Przyjaciółka przyjechała do niej w odwiedziny na Boże Narodzenie i Delphine oczekiwała, że będzie mogła się zwierzyć dawnej kumpelce z części nowego życia. Wkrótce jednak zrozumiała z niesmakiem beznadziejność tego pomysłu. Margie była wyraźnie pod wrażeniem gwiazdorstwa Delphine i nie potrafiła traktować jej ze swobodą współnika zakazanych uczynków, czego wcześniej Delphine w ogóle nie brała pod uwagę.

Co gorsza, dwudziestoletnia Margie, rówieśnica Delphine, pozostawała dziewicą, nadal żyjąc zgodnie z regułami dla grzecznych dziewczynek, których obie przestrzegały w college'u. Margie była na ostatnim roku, zaręczyła się z obiecującym lekarzem z Pasadeny i Delphine odniosła wrażenie, że wzniosła perspektywa gigantycznego wesela w czerwcu głęboko odmieniła przyjaciółkę. Po jednej czy dwóch wizytach w wytwórni Margie przyznała się, że wolałaby spędzić czas w Paryżu na wybieraniu bielizny do wyprawy ślubnej, kupowaniu rękawiczek i perfum oraz poszukiwaniu zakładu, który wykonałby obrusy na przyszły stół w jadalni. Na stół w jadalni, pomyślała Delphine z niedowierzaniem. Tak, Margie Hall szybko zmierza ku osiadłemu życiu i za kilka miesięcy stanie się matroną z Pasadeny. Któregoś niezbyt odległego dnia znajdzie wśród blond loków siwe pasemko i nawet nie

przyjdzie jej do głowy, żeby coś z nim zrobić. W Pasadenie nie miewa się takich pomysłów.

Delphine rozmyślała w zadziwieniu, jak ludzkie drogi mogą się rozejść. Zakochana Margie była całkowicie obcym człowiekiem. Zakochana. Czy i Delphine przyjdzie się kiedyś zakochać? Żywiła nadzieję, że nie. Miłość zmienia ludzi, ona zaś nie pragnęła przemeblowywać życia. Obecna Margie miała z nią tak mało wspólnego, jak ludzie ustawiający się przed kasami po bilety na jej filmy. Z *Mayerlingiem* było ich już siedem. Wszystkie odniosły sukces. Na równi z Delphine francuska publiczność stawiała wyłącznie Michele Morgan i Danielle Darrieux.

Istnienie tych dwóch aktorek stanowiło przyczynę, dla której Delphine nie kusiły oferty z Hollywoodu. Obie kręciły we Francji mniej więcej tyle samo filmów co ona. Obie były od niej starsze, zachwycająco piękne, a przy tym równie ambitne. Gdyby Delphine oderwała się od triumfalnej kariery dla zrobienia filmu w Kalifornii, któraś z dwóch rywalek na pewno podebrałaby rolę należącą się tylko jej. Przeżyła już rozczarowanie, kiedy Morgan dostała rolę w *Ludziach za mgłą* z Jeanem Gabinem, rolę której Delphine wielce pożałowała. Zdjęcia do filmu Marcela Carne właśnie się zaczynały, a wszyscy znajomi, którzy mówili o nim od miesięcy, używali wyłącznie doprowadzającego do szału słowa „arcydzieło”.

Delphine wzięła do ręki egzemplarz *Le Figaro*, który Annabelle położyła na tacy ze śniadaniem, i otworzyła gazetę na stronie z wywiadem Marcela Carne. Przeczytała go już wcześniej od deski do deski. Nie pracowała dotąd ani z Carneem, ani z Gabinem i wiedziała, że nie osiągnie

zadowolenia, póki się to nie stanie.

Marszcząc brwi z irytacji, odwróciła się od wywiadu. Chcąc zająć umysł czym innym, rzuciła okiem na pierwszą stronę. Dziewięćdziesiąt dziewięć i siedem dziesiątych procenta głosujących w Austrii wypowiedziało się za dokonaniem przez Hitlera „zjednoczeniem” ich kraju z Niemcami. Delphine leniwie pomyślała, że liczba wydaje się całkiem chora. Spostrzegła, że Ottona von Habsburga nie dopuszczono do głosowania, wcześniej został aresztowany pod zarzutem zdrady stanu, domagał się bowiem, by europejskie mocarstwa wystąpiły przeciwko Niemcom. Cóż, Habsburgowie też nie obeszlili się najlepiej z biedną Marią Vetsera. We Francji ustąpił Leon Blum, premierem został Daladier.. któżby umiał ich odróżnić? Co z tej zmiany miałyby wynikać? Kogo to obchodzi? Wydarzenia polityczne we Francji były jeszcze bardziej zawikłane niż w innych krajach świata, Delphine sądziła jednak, że chyba powinna coś o nich wiedzieć, skoro ludzie tyle na ten temat mówią. Nie wypadało okazywać całkowitej ignorancji. W Tunezji trwały zamieszki... zdaje się, że jak zwykle. Przybył nowy środek podróży: William Boeing przedstawił olbrzymi samolot, nazwany „314”.

Była to jedyna ciekawa wiadomość w gazecie. Podano, że pasażerowie mogą zejść po schodkach na dolny pokład i spotkać się w barze... Delphine zastanawiała się, co porabia Freddy. Obejrzała *Korkociąg*, ale nie dostrzegła najmniejszego śladu siostry, mimo że bardzo uważała, a z listów matki wiedziała przecież, że siostra kręci film za filmem, tak jak i ona. Tyle że Freddy nie jest gwiazdą. Delphine cisnęła nudną gazetę na podłogę. Należało pouczyć Annabelle, że *matinée grasse* w żadnym wypadku nie może obejmować czytania gazet.

Przypomniała sobie o wieczornym obiedzie z Brunem i chwilowa złość minęła. Cudownie było mieć zaufanego brata. Łączył ich stosunek, jakiego Delphine nie mogłaby utrzymywać z żadnym innym mężczyzną. Bruno nigdy nie węszył, nie wypytywał o jej prywatne życie, nie wydawał sądów i nie próbował sprawiać wrażenia, że ma nad nią roztaczać opiekę. Zawsze mogła za to zwrócić się do niego o radę i liczyć na obiektywną odpowiedź.

Bruno znał się na subtelnych niuansach francuskiego życia, które, co Delphine przyznawała, miały dla niej na zawsze pozostać obce. Wiedział, które z kuszących zaproszeń pod żadnym pozorem nie mogą być przyjęte, których krawców należy popierać, gdzie kupować papier listowy i jak wygląda jedyny właściwy sposób wykonania tłoczeń, wiedział także dlaczego kariera wymaga od niej pokazania się na przyjęciu z okazji Nagrody Łuku Triumfalnego i Nagrody Diany, ale nie w Monte Carlo. Wybierał dla niej wino, rekomendował najlepszych szewców w Paryżu, nalegał, by dla osiągnięcia właściwej pozycji wyrzuciła wszystkie amerykańskie stroje i starannie dobrała sobie elegancki samochód. Delphine zdawała sobie sprawę, jak błogosławiony efekt na wszystkich, począwszy od agenta, a skończywszy na służbie i producentach filmów, wywiera fakt, iż opiekuje się nią brat, wicehrabia de Saint-Fraycourt de Lancel. Boże, jakie wrażenie wywierały na Francuzach tytuły!

W ramach rekompensaty Delphine służyła Brunowi jako hostessa, kiedy tylko ją o to poprosił.

- *Cherie* - dzwonił i pytał - czy mogłabyś wyświadczyć mi wielką przysługę i zasiąść na prezydialnym miejscu przy moim stole? Przyjdzie na obiad starszawy dżentelmen, który ma nieziemskie ilości pieniędzy i

jeszcze nie zdecydował, gdzie je ulokować. - Wkładała wtedy najbardziej pociągającą z nowych wieczorowych sukien i oczarowywała wszystkich, z sobą włącznie, grając naraz dwie pozostające w chwiejnej równowadze role. Na kameralnych obiadach u Bruna była jednocześnie gwiazdą filmową Delphine de Lancel i mademoiselle de Lancel, córką starej arystokracji szampańskiej, całkowicie i we wszystkim polegającą na radach brata. Od czasu do czasu rzucała spojrzenie na Bruna i widziała wtedy podziw dla jej sprawności w obu rolach.

Brat sekundował jej nadzwyczajnie. Delphine wydawało się, że są stworzeni z jednej gliny, a najważniejsze, że Bruno całym sercem zgadzał się z nią w opinii na temat miłości, którą nazywał całkiem bezużytecznym, niestosownym uczuciem, wynalezionym w braku lepszego zajęcia przez kogoś z chorobliwie rozwiniętą wyobraźnią. Najpewniej przez bezrobotnego drobnomieszczańskiego trubadura.

Po tygodniu od przyjęcia, czasami nawet szybciej, dostawała świecidełko od Cartiera ślicznie przybrane sztucznymi kamieniami, wraz z liścikiem Bruna zawierającym informację, że poznany przez nią dżentelmen podjął już najmądrzejszą z mądrych decyzję co do ulokowania kapitału. Ileż zabawy miała, montując wraz z Brunem te drobne gierki. A ponieważ należeli do jednej rodziny, interes był wspólny.

Przecież któregoś dnia ona, Freddy i Bruno wejdą w posiadanie rodowej siedziby Lancelów. Brat na szczęście będzie wiedział, co zrobić z winnicami, gdyż z pewnością ani ona, ani siostra nie będą chciały obarczać się taką odpowiedzialnością. Chociaż... gdyby się nad tym zastanowić... posiadanie zamku na własność mogłoby być zabawne. Michele Morgan nie ma zamku. Danielle Darrieux też nie. A nawet gdyby

któraś z nich kupiła, to odziedziczony zamek jest czymś zgoła innym. Nie ma co rozważać, Valmont trąci nudą, z tą myślą Delphine wstała z łóżka i przeciągnęła się Ubóstwiała swój mały dom. Z rzadka tylko zamieniała go na hotelowy apartament w kurorcie, w którym spędzała krótkie wakacje między filmami.

Dzwoniąc na służącą stwierdziła, że leniwy poranek się skończył. Po południu miała pierwsze spotkanie z reżyserem nowego filmu, *Dzień i noc*. Nazywał się Armand Sadowski, po trzech filmach było o nim głośno w całym filmowym świecie. Mówiono, że jest błyskotliwy, że trudny, że genialny, że ciężki we współpracy. Czekając na Annabelle, Delphine próbowała go sobie wyobrazić. Czy chciałaby iść z nim do łóżka? Czy jest dobry jako kochanek? Trudno było pytać o to agenta.

* * *

Zwykle Delphine szła na pierwsze spotkanie z reżyserem do restauracji wybranej przez jej agenta, Jeana Abela. Abel lubił mieć jak najściślejszą kontrolę nad interesami, a człowiek, który wybrał odpowiedni lokal, zamówił dobre wino i zapłacił ile trzeba za posiłek, stawał się panem sytuacji. Pertraktacje na temat udziału Delphine w *Dniu i nocy* zakończono już dawno. Oczywiście próbnym zdjęć nikt nie wymagał. Kontrakty były podpisane, ale przy kręceniu każdego filmu nieuchronnie zdarzają się konflikty, toteż Abel chciał zacząć współpracę z Sadowskim, stojąc na pewnym gruncie. Reżyser był jednak zbyt zajęty filmem, który kończył, i nie zgodził się opuścić planu na rzecz restauracji.

Zamiast tego wyznaczył Delphine spotkanie późnym popołudniem we własnym biurze w Billancourt, na co Abel musiał w końcu z wielkimi oporami przystać, Sadowski miał bowiem zaledwie weekend przerwy

między dwoma filmami. Agent planował podjechać po Delphine samochodem i podrzucić ją na tę niefortuną konferencję bez przystawek i wina. Delphine uważała jednak, że to zły pomysł. Woląca zostać zawieziona własnym samochodem, potrzebowała go bowiem później, gdyż czekała ją dawno planowana przymiarka u krawcowej. Mogli spotkać się z Abelem w Billancourt.

Na spotkanie z Sadowskim Delphine ubrała się bardzo starannie. Rola w *Dniu i nocy* wymagała od niej zagrania roztrzepanej, bogatej dziewczyny podejrzanej o morderstwo, która zakochuje się w inspektorze policji. Wiedziała już, że kostiumy, projektowane przez Pierre Goularda, są inspirowane surrealistycznymi, zwariowanymi, czasem nawet jawnie wariackimi strojami od Elsy Schiaparelli. Inspirowane? Uczciwie należałoby powiedzieć, że zostały skopiowane. Krzykliwe i agresywne kostiumy dobrze pasowały do postaci, nie odpowiadały jednak obrazowi Delphine, jaki powinien powstać w wyobraźni nowo spotkanego reżysera.

Delphine po mistrzowsku opanowała sztukę doboru strojów. Im więcej sławy zyskiwała, tym bardziej przekonywała się, jak potężną bronią we wszelkiego rodzaju kontaktach może okazać się ubiór. Od gwiazdy filmowej wszyscy oczekiwali wyglądu gwiazdy filmowej. Osiągnięcie tego było jednak za łatwe, za bardzo schlebiali pospolitości. Raziło oczywistością. Pospolitość rozwiązania była do pewnego stopnia wybaczalna, oczywistość nigdy. Gwiazda filmowa wystrojona w najnowszą suknię Jeana Patou, nosząca najbardziej ekstrawagancki kapelusz Paulette i srebrnego lisa zarzuconego na ramię... nie, po trzykroć nie. Można było w ten sposób występować publicznie, ale nie zaczynać niepewną potyczkę, w której bywał potrzebny wszelki oręż. Po co od razu

alarmować system obronny reżysera? Nie należy przecież wykluczać, że poczuje do niego nieodpartą niechęć. Tak już się zdarzało.

Wybrała całkowicie gładki, cienki sweterek w tak mglistym i niematerialnym odcieniu szarości, że podkreślał matową biel jej skóry jeszcze lepiej niż zrobiłaby to czerń. Dodała do tego prostą, świetnie skrojoną spódniczkę z szarego tweedu, o ton ciemniejszą niż sweter, jasnoszare jedwabne pończochy, czarne botki bez ozdób i na niskim obcasie oraz klasyczny angielski deszczowiec z paskiem. Całości dopełniały małe węgielki kolczyków i nieduży czarny berecik z aksamitu, jak u studentki. Delphine pomyślała beznamiętnie, że gdyby nie jej twarz, gdyby nie należała do najpiękniejszych kobiet na świecie, mogłaby być całkowicie anonimową postacią, nikim, kimkolwiek. Delphine nie była próżna. W jej profesji wygląd rozważało się i oceniało z takim chłodem i powagą, jak kwartalny bilans dużego przedsiębiorstwa. Szlifierz diamentów w Amsterdamie nie taksuje kamienia surowiej, niż Delphine spoglądała na kształt swego nosa, znakomitą krzywiznę ust i cienie kładące się na policzkach. Usatysfakcjonowana ściągnęła pasek płaszcza i zsunęła beret na czoło tak, że zasłonił częściowo linię włosów, po której Delphine stawała się natychmiast rozpoznawalna.

W wytwórni skierowała się prosto do działu montażu. Abel powinien był na nią czekać na parkingu, ale się spóźnił, prawdopodobnie deszcz utrudniał jazdę. Przeszła obok kilku pobieżnie znanych osób, ale nikt nie zwracał na nią uwagi, chyba że świadomie spotkała jego spojrzenie, uśmiechnęła się i pozdrowiła skinieniem głowy. Z zadowoleniem pomyślała, że deszczowiec istotnie przekształcił ją w osobę jakich wiele.

Chryste, z jaką przyjemnością znalazła się znowu w wytwórni. Od

skończenia ostatniego filmu nie pracowała przez dwa tygodnie. Potrzebowała czasu, żeby zająć się licznymi szczegółami wyrafinowanej garderoby, dla której nie miała ani minuty w okresie kręcenia filmu. Był to jakby dwutygodniowy pobyt w dziwnym zakonie, nadmiernie przesyconym zapachem perfum, przegrzany i bardzo światowy, w królestwie nieprzytomnych, szczebioczących, podnieconych kobiet myślących tylko o jednym. Dzięki Bogu wróciła już do świata mężczyzn.

Delphine przystanęła przy otwartych drzwiach, spoglądając na demontowany właśnie plan. Czowała charakterystyczną woń stygnących reflektorów i przyglądała się, jak elektrycy i robotnicy rozbierają masywną dekorację. Oddech przyspieszył jej na widok mężczyzn, którzy z brutalną siłą podciągali elementy na linach, pchali, szarpali i windowali do góry, w zapamiętaniu pracą nie zwracając na nią uwagi, beztrząsco wykrzykując coś do siebie i spiesząc się, by jak najszybciej iść do domu. Cofnęła się z otwartych drzwi na korytarz, chcąc uniknąć zderzenia z wynoszonym fragmentem scenografii. Niespodziewanie została mocno uderzona w lewe ramię; przechodzący obok człowiek szeroko gestykulował i tłumaczył coś trzem rozmówcom.

- Hej, to boli! - wykrzyknęła zaskoczona. Mężczyzna, który ją potrafił, był już o kilka kroków od niej, odwrócił się jednak i surowo pogroził jej palcem.

- Przepraszam, ale to cholernie głupie miejsce dla gapiów - wykrzyknął i jeszcze w ciągu tej kwestii pokazał jej plecy, wracając do ożywionej rozmowy.

- Spieprzaj - głośno powiedziała Delphine po angielsku. Rozejrzała się wściekle za kimś, komu mogłaby się poskarżyć na takie grubiaństwo,

ale korytarz był pusty. Pomyślała, że Abel niewybaczalnie się spóźnia. Zadowanie ze stanu niewidzialności, który udało jej się osiągnąć, całkiem uleciało. Ruszyła przez hol, w końcu odnalazła dział montażu, bezceremonialnie pchnęła drzwi i szorstko odezwała się do portiera:

- Szukam pana Sadowskiego.

- Jest zajęty. O co chodzi?

- Oczekuje mnie - powiedziała Delphine, rozdrażniona.

- Pani nazwisko, proszę?

- Mademoiselle de Lancel - chłodno rzuciła Delphine. Portier zamrugął.

- Proszę wybaczyć, mademoiselle. Nie poznałem. Zaraz dam znać. Może pani spocznie?

- Nie, dziękuję. - Delphine stała, ze zniecierpliwienia przytupując nogą. Nie chciała rozsiadać się, jakby nie miała nic lepszego do roboty, tylko czekać w dyżurce na każde zawołanie Sadowskiego. Powinni ją natychmiast wprowadzić do reżysera. Abel tego nie dopilnował, do diabła z nim.

- Panie Sadowski, jest tu mademoiselle de Lancel - powiedział portier do słuchawki telefonu. - Tak, rozumiem. - Odwrócił się do Delphine. - Przyjmie panią zaraz po spotkaniu, które ma teraz.

Delphine gapiała się na niego bliska szafu. Spojrzała na zegarek. Spóźniła się trochę. Gdyby przyszła o czasie, już miałyby za sobą dziesięć minut czekania. Pomyślała, że głupio wygląda, stojąc jak żebrak. Usiadła na niewygodnym krześle i badawczo wpatrywała się w korytarz, spodziewając się w każdej chwili zobaczyć tam Abela pełnego skruchy. W absolutnej ciszy minęło pięć długich minut, portier czytał jakieś pismo.

Delphine wstała. Nie zamierzała czekać ani minuty dłużej. To przekraczało granice możliwości. Kilku mężczyzn wypadło z jednego z pomieszczeń, zawzięcie się kłócąc. Przeszli obok Delphine.

- Teraz może pani wejść, proszę bardzo - powiedział portier.

- Naprawdę? - warknęła Delphine. Zmieszany portier wprowadził ją do małego biurowego pokoju i znikł, zamykając za nią drzwi. Siedział tam mężczyzna, odwrócony tyłem do Delphine. Trzymał w górze długi pasek filmu i starannie oglądał go pod światło padające od okna. Głośno bluznął potokiem nader twórczych inwektyw, a Delphine zatrzymała się tymczasem przed jego biurkiem. Ujrzała człowieka, który uderzył ją w holu. Nie mogła doczekać się chwili, gdy Sadowski się odwróci. Sądziła, że padnie zorientowawszy się, z jakim brakiem wychowania potraktował własną gwiazdę. Była góra, tego już nic nie mogło zmienić.

Ciągle przeglądając film, reżyser rzucił beztrąsko przez ramię:

- Delphine, kotku, usiądź. Za minutę będę cały dla ciebie. Dobrze, że ci nie zrobiłem krzywdy... powinnaś być ostrożniejsza. Kobiety bijam tylko celowo... - Zawiesił głos, przypatrując się czemuś na kliszy. - Cholera! Niech szlag trafi tego operatora. Kretyn, neandertalczyk. Jak mi ten skurwiel wpadnie w ręce, to flaki z niego wypruję. Nie, to niemożliwe, absolutnie niemożliwe, żeby poszło coś takiego. I oczywiście jest za późno na wszystko poza przemontowaniem sceny. Będziemy siedzieć tutaj cały weekend. Kurwa!.

Odłożył film, obrócił krzesło i nagle się uśmiechnął. Uniósł się lekko, po czym wyciągnął rękę nad biurkiem, pochylając się do przodu. Wymienił z Delphine szybki uścisk dłoni.

- Paskudne rzemiosło, kotku, prawda?

Delphine stwierdziła, że jest bardzo wysoki i ma zadziwiającą głowę. Masa czarnych włosów, prościutkich, śmiesznie długich, rozpryskiwała się we wszystkich kierunkach. Był młody, miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Twarz przywodziła na myśl sokoła. Delphine widziała w niej tylko oczy, nos i wyraz energii życiowej. Zza biurka tryskało chyba więcej owej energii, niż gdyby monsieur Sadowski toczył pojedynek. Reżyser miał wielkie rogowe okulary, teraz leżały przed nim na biurku, on zaś pocierał miejsce na nosie, w które go uwierały.

- Abela jeszcze nie ma. I dobrze, mnie jest niepotrzebny, sam nalegał. - Jego mowa była szybka, gęsta. Delphine nie mogła wydobyć z siebie słowa. Reżyser zwracał się do niej per „ty” i poufale nazywał ją po imieniu. Coś takiego było możliwe między reżyserem i doświadczonym pracownikiem ekipy, którzy się dobrze znali, ale nigdy poza tym. A już absolutnie nigdy między reżyserem i gwiazdą, chyba że od dawna utrzymywali prywatne stosunki. Co on właściwie, do cholery, sobie wyobraża.

Sadowski znów zajął miejsce i lustrował ją w milczeniu przez okulary, namiotem z dłoni częściowo zakrywając twarz. Patrzył na nią, jakby siedział w pokoju sam i miał przed sobą kupiony w chwili zamroczenia obraz, do którego zupełnie nie był przekonany.

- Zdejmij beret i płaszcz - powiedział w końcu.

- Wolalabym nie - sztywno odparła Delphine.

- Zimno ci?

- Zdecydowanie nie.

- Więc zdejmij beret i płaszcz - powiedział niecierpliwie. - Zobaczymy, jak wyglądasz.

- Czyżby pan nie widział moich filmów? - Podkreśliła formalne „pan”, ale nie zwrócił na to uwagi.

- Widziałem. Inaczej nie zaangażowałbym cię. Chcę zobaczyć, jak wyglądasz dla mnie, nie dla innych reżyserów. Szybko, dziecinko, pośpiesz się. Nie mam na to całego dnia.

Nadal siedząc, Delphine zdjęła beret i strząsnęła z siebie płaszcz, pozwalając mu swobodnie opaść do talii, jednocześnie dyskretnie wypatrywała podziwu w oczach Sadowskiego. Nie przekonana, podejrzliwa, pełna niechęci twarz reżysera nie zmieniła się ani na jotę Delphine westchnęła. Czekwała, równie wyprana z emocji jak on.

- Wstań i obróć się - polecił raptownie. Oczy, pozbawione okularowej tarczy, były czarne, tęczówki szerokie, źrenice małe, jakby patrzył na nią hipnotyzer.

- Jak pan może? Nie jestem tancerką!

- A co, czekasz, żebym ukląkł i cię błagał? - Spojrzał jej w twarz. - Podobałoby ci się coś takiego? Ech, aktorki! Zawsze to samo. Zapomnij o tym, kotku, tutaj nie ma takich rzeczy. Ja nie trenuję konwersacji, tylko robię filmy. Nie masz stanika?

- Nie noszę - skłamała Delphine.

- O tym ja będę decydował. - Gestem pokazał jej, żeby wstała. Delphine kpiąco pochyliła głowę i postanowiła się unieść wiedząc, że jej uroda będzie jak najcięższy wyrzut wobec chamskiego, agresywnego zachowania. Obróciła się o milimetry, dając mu czas na spokornienie. Kiedy znówu spojrzała wprost na niego, uważała, by nie dopuścić na twarz wyrazu triumfu, nie pozwolić sobie na najlżejsze poruszenie brwi. Reżyser zabrał sprzed twarzy namiot z dłoni i oparł podbródek na rękę, kręcąc bez

przekonania głową.

- Nie wiem. Po prostu nie wiem... może tak, może nie... Chyba warto spróbować.

- O czym pan mówi?

- O twojej małej maskaradzie, zasranej przebierance w sweterek i spódniczkę a la Shirley Tempie. Widzę szansę, że to zagra. Nie jest takie beznadziejne, jak się wydaje, może coś z tego wyciśniesz... Dobra, zrobimy zdjęcia próbne Chloe w kostiumie i z makijażem, to wszystko się okaże.

- Słucham? Strzelił palcami.

- Zbudź się, Delphine! Mówię o Chloe, postaci, którą masz grać, tej bogatej kurewce. Zdaje się, że z jej powodu tutaj jesteśmy. Najwyraźniej doszłaś do wniosku, że Chloe byłaby gotowa wziąć inspektora policji na skromność, żeby sprowadzić go na fałszywy trop po morderstwie. To jest pomysł. Sprytny. Przyznaję, że dziecinny i całkiem oczywisty dla kogoś, kto ma odrobinę oleju w głowie, ale jednak stanowczo sprytny. Robisz wtedy wrażenie niewinnej. Lubię aktorki próbujące wnieść twórczy wkład. Oczywiście, jeśli nie robią tego za często. Nie podpalaj się do tego, kochanie.

- To...

- Dobra, skończyliśmy. Możesz iść. - Z powrotem odwrócił krzesło i zajął się przeglądaniem paska filmu, plecami do niej.

- Fryzjer pana szuka - wypaliła Delphine.

- Wiem. Mówiono mi o tym. Musi poczekać, zanim ta jebana scena nie zacznie wyglądać tak, jak powinna. Ale jeśli ci przeszkadza moja fryzura, to przynieś nożyczki i zajmij się nią sama. Nie krępuj się.

- Asshole - powiedziała Delphine po angielsku.

Sadowski obrócił się z krzesłem i spojrział na nią z autentyczną przyjemnością iskrzącą się w oczach.

- Tak! Świetnie! Zapomniałem, że jesteś Amerykanką. Mam kuzynów w Pittsburghu... „Asshole”, na to nie ma dobrego wyrażenia po francusku, prawda? - Skinął dłonią ku drzwiom. - Do poniedziałku. Widzimy się o świcie. A kiedy mówię, że o świcie, to znaczy, że właśnie o świcie, kotku. Nie zaśpij. Uczciwie ostrzegam. I więcej nie będę.

- A jeśli przypadkiem zaśpię? - spytała Delphine, dysząc z wściekłości.

- Nie martw się, nie zaśpisz. Przecież nie chcesz mi robić kłopotów, kotku, bo wiesz, że ten numer nie przejdzie. Nie mam racji? A teraz spadaj. Widzisz, że jestem zajęty?

Freddy sprawdziła, czy kask pewnie się trzyma. Ciemne loki Brendy Marshall powiewały jej dookoła głowy, łaskotały w nos i wciskały się do oczu. Miała przed sobą tablicę przyrządów w odkrytej kabinie zmodyfikowanego starego gee bee. Po prawie dwóch latach pracy kaskaderki wiedziała wystarczająco dużo, by nie wysilać się na przekonywanie działu kostiumów, że żadna kobieta nie lata z uwodzicielsko rozpuszczonymi włosami, wysypującymi się spod kasku na ramiona. Uważała zresztą, że złodziejka biżuterii o złotym sercu i stalowych nerwach, która zawsze ucieka z miejsca przestępstwa samolotem, bo w taką postać Freddy wcielała się jako *Kobieta w trykocie*, jest zdolna niemal do wszystkiego, z pilotowaniem samolotu w sukni wieczorowej włącznie, o czym można się było przekonać w zeszłym tygodniu.

Sprawdziła wysokość. Była dokładnie na tysiąc trzystu metrach, zgodnie z planem. Zdjęła ręce z przyrządów sterowniczych. Przedtem starannie wyrównała lot. Tego pogodnego sierpniowego dnia roku 1938 w górze nie było żadnych nieoczekiwanych prądów, maszyna sama z siebie leciała prosto i poziomo, i mogła tak lecieć jeszcze długo. Na wewnętrznej stronie klapy na rękawie Freddy miała wszyte lustro, skorzystała z niego teraz, żeby sprawdzić, czy nie starła się szminka. Była w porządku, równie jaskrawa jak przed godziną, gdy oderwała od niej rękę charakteryzatorka. Gotowa do pracy, Freddy rozejrzała się za czterema samolotami przenoszącymi kamery. Jeden leciał w pobliżu po lewej stronie, trzy pozostałe poniżej, na różnych wysokościach, ale w ciasnym szyku gwarantującym, że skok zostanie dokładnie sfilmowany. Zakołysała

skrzydłami maszyny na znak, że może zaczynać, i czekała na odzew od czterech sąsiadów. Tego rodzaju ewolucje były nie do powtórzenia.

Wielkie, mocne samoloty z kamerami odpowiedziały sygnałami oznaczającymi, iż włączono kamery. Dobra, Brenda, czas wysiadać, powiedziała Freddy w myśli i zrobiła spłoszoną minę, która jednak szybko ustąpiła miejsca zdecydowanej. Złapała aksamitny woreczek pełen klejnotów, wepchnęła go do kurtki, szybko zaciągnęła zamek błyskawiczny i przesunęła się wraz ze spadochronem i całym majdanem do burty samolotu.

- Żegnajcie, chłopaki i dziewczyny, nie ma sprawy - wykrzyknęła zdanie z dialogu, który wydawał jej się równie księżycowy, jak intryga. Widziała, że kamera w samolocie lecącym równolegle utrwała ruch jej ust; pod ten obraz Brenda Marshall miała potem podłożyć głos. Przycisnęła jaskrawoczerwony przycisk z boku kabiny, wybuch dynamitu powinien nastąpić w piętnaście sekund później, kiedy Freddy będzie już na tyle daleko, żeby żaden z odłamków nie zabłądził w jej kierunku. Jednocześnie z naciśnięciem guzika wyskoczyła z samolotu, fachowo unikając zderzenia z zewnętrzną stroną burty i porwania przez podmuch wiatru. Poczula się swobodnie. Po doliczeniu do dziesięciu, mogła otworzyć spadochron.

- Raz... dwa... trzy... - Zaczęła sięgać do linki. Nad nią, o dwanaście sekund za wcześnie i o wiele za blisko, eksplodował samolot. Fala uderzeniowa przedwczesnego wybuchu pozbawiła ją przytomności. Wszędzie dookoła opadającego ciała unosiły się ogniste języki rozpylonego paliwa i poszarpane szczątki samolotu. Ciężki silnik przeleciał o metr od Freddy, palące się skrzydła chybiły jej o milimetry. Bezwładne, nieruchome ciało w lotniczym kombinezonie spadało prosto

ku ziemi. Odzyskawszy przytomność, Freddy nie zdawała sobie sprawy, jak długo już leci. Odruchowo pociągnęła za pierścień linki wyzwalającej. W parę sekund później ruch ku dołowi spowolniał, nad nią otworzyła się wielka biała czasza jedwabnego spadochronu. W oszołomieniu Freddy stwierdziła z ulgą, że ogień jej nie sięgnął, na szczęście ominęło ją rozpryskujące się paliwo. Kołyszącym ruchem zmieniając położenie ciała, zlustrowała całe niebo sprawdzając, czy gdzieś niebezpiecznie blisko nie widać resztek samolotu. Powietrze dookoła było wypełnione spadającymi odłamkami, ale wszystkie znajdowały się w przyzwoitej odległości. Trzy samoloty z kamerami trzymały zaplanowany kurs.

Tym razem producent dostanie więcej niż należy mu się za jego pieniądze, pomyślała Freddy, podnosząc wzrok ku błogosławionej czaszy spadochronu, który otworzył się tak niezwłocznie. W wielu miejscach krople płonącej benzyny przedarły się przez zbawczy parasol, znacząc go kółeczkami o ognistych brzegach. Płomyki rozpełzały się coraz szerzej, pochłaniając jedwab, który dla Freddy znaczył życie. Spojrzała ku ziemi. Oceniała, że do lądowania brakuje jej jeszcze ponad sześćset metrów. Pęd powietrza rozniecał ogień i do tego czasu spadochron zamieniłby się w popiół, a jeśliby nawet coś z niego zostało, to nie tyle, żeby zamortyzować jej upadek.

Spadochron otworzył się łatwo, zamknięcie go w powietrzu graniczyło z niemożliwością. Freddy chwyciła linki będące w jej zasięgu i ściągała je do siebie, ze wszystkich sił walcząc o życie. Stopniowo spadochron zaczął się poddawać, czasza uwolniła część powietrza, a zagarnięte linki zahamowały jego dopływ od spodu.

Freddy spadała coraz szybciej. Już tylko bania u szczytu czaszy,

gdzie pozostało uwieszone powietrze, zwalniała jej lot ku ziemi. Dziewczyna nie odważyła się podnieść wzroku, żeby sprawdzić, czy ogień nadal pożera materiał. Wszystkie zmysły skupiła na wybraniu odpowiedniej chwili do puszczenia linek i ponownego otwarcia spadochronu, by ten złagodził upadek, zanim spłonie.

- Teraz! - wykrzyknęła, ponad wyznaczonym kołem, w którym pracowali operatorzy. Widziała Maca, biegnącego do miejsca jej lądowania. Rozłożyła ramiona, zwalniając trzymane linki. Ostro nią szarpnęło, spadochron wydał się znowu, ale pęd był zbyt wielki, niestety odrobinę za wielki. Wylądowała fatalnie, ciężko uderzając o ziemię. Lewe ramię i prawa noga w kostce złamały się w tej samej chwili. Próbowwała jeszcze zdrowym ramieniem wypuścić ze spadochronu powietrze, żeby nie pociągnął jej po ziemi, i w tym momencie zemdląca. Kiedy odzyskała przytomność, Mac leżał na niej, przytrzymując jej ciało, żeby nie powlókł go wiatr, a kamery pracowały nadal. Usłyszała jeszcze wołanie reżysera:

- Kręcić, kręcić, dopiszemy to do scenariusza.

* * *

- Obiecujesz, że nie dostanie mi się mydło do oczu? - spytała Freddy z niepokojem, klęcząc na podłodze łazienki, rozebrana do pasa. Kostkę i ramię ciągle miała w gipsie. Podczas wypisywania ze szpitala kilka dni wcześniej ostrzeżono ją, żeby nie zmoczyła opatrunku. Mac doszedł więc do wniosku, że może jej umyć głowę wyłącznie, jeśli Freddy uklęknie i zwiesi głowę do wanny, opierając ramiona na jej krawędzi.

- Dlaczego miałyby się dostać?

- Przypadkiem... To jest tajemnicza sprawa... starasz się nie wiem jak, żeby nie zachłapać komuś oczu, a i tak zawsze się tym kończy.

Wyjątkowo tego nie cierpię.

- Lubisz wyskakiwać z samolotów, ale nie cierpisz mydła w oczach?

- Zaczynasz mnie rozumieć.

- Pochyl głowę, mocno zamknij oczy i o nic się nie martw.

- Czekaj! - zawołała w popłochu. - Najniebezpieczniej jest potem. Z mydleniem nie ma kłopotu, jak zamierzasz spłukiwać?

- Tym oto garnkiem. Prosta sprawa. Napełniam go z obu kranów i wylewam ci wodę na głowę.

- Jezu! Idź po dzbanek, będzie miał dziobek - poleciła. - Garnek, też coś... tylko mężczyzna może wpaść na taki pomysł.

- Proponuję konewkę. Polewam wtedy to tu, to tam i przez cały czas panuję nad sytuacją.

- Wspaniale... Chociaż nie, trwałoby to za długo. Weź dzbanek.

- Nigdzie nie odchodź, Freddy. Zaraz wrócę. - Zbiegł po schodach do kuchni i znalazł naczynie. Zdawał sobie sprawę, iż nie potrafi powstrzymać się przed matczyną nadopiekuńczością, ale znów miał Freddy, jeśli nawet nie zdrową, to przecież całą, i tak cholernie się tym cieszył, że gdyby tylko zachciała, umyłby jej włosy wilgotną szczoteczką do zębów, pasemko po pasemku. Ciężkie, zakłócające harmonię gipsowe opatrunki podkreślały kruchość, subtelność rysunku stóp i przegubów, ale w ciele drzemały niewiarygodne siły. Mimo lęku, że Freddy upadnie i połamie się jeszcze bardziej, Mac musiał podtrzymywać ją podczas prób poruszania się na jednej nodze. Jego drogocenna dziewczyna była niesłychanie dzielna, pełna życia i niepokonana. Aż za bardzo, pomyślał, sadząc z powrotem po trzy stopnie do góry.

Po umyciu głowy Mac, nie zważając na protesty Freddy, zaniósł ją

do łóżka i zaczął jej suszyć włosy ręcznikiem. Na szczęście były teraz przycięte krócej niż w czasie, gdy Freddy nie pracowała jako kaskaderka, musiała bowiem często wciskać je pod perukę, więc od czasu do czasu dla wygody robiła postrzyżyny, ale i tak miała trudności ze zbuntowaną gęstwiną skłębionych pasemek. Kiedy włosy trochę wyschły, Mac zaczął je rozczesywać, delikatnie pracując nad każdym wilgotnym, splątanym puklem. Patrzyła na niego zachwyconymi, rozmarzonymi oczami pół dziecka, pół kobiety i Mac pomyślał, że przypomina anioła ze sceny Zwiastowania na obrazie Leonarda.

- Gdzie nabyłeś takiej techniki? - spytała.

- Jako dziecko miałem włochatego i wiecznie śmierdzącego psa.

- Nigdy mi o tym nie opowiadałeś.

- Uciekł.

- To najsmutniejsza historia, jaką słyszałam w życiu - chlipnęła Freddy i wybuchnęła płaczem.

Mac, który tylko żartował, w osłupieniu próbował ukoić jej rozpacz, ale im mocniej ją przytulał, im bardziej tłumaczył, że historia z psem nie zdarzyła się naprawdę, tym bardziej Freddy łkała. Zaczęły nią wstrząsać paroksyzmy szlochu, przerywane żalonym zawodzeniem „Biedny, biedny piesek”, w końcu ucichła i ułożyła się w ramionach Maca, pociągając nosem.

- O co w tym chodziło? - spytał, gdy się uspokoiła.

- Nie wiem - odparła głucho, przyciskając twarz do jego piersi.

- Musisz mieć opóźnioną reakcję na wypadek.

Usiadła i przecząco kręcąc głową, obdarzyła go cząstką dawnego uśmiechu.

- Niemożliwe. Przemyślałam ten wypadek i rozumiem, co się stało - zapewniła, podobnie jak robiła to wielokrotnie podczas tygodnia spędzonego w szpitalu. - Technicy, którzy pakowali dynamit do samolotu, źle obliczyli długość lontu, chociaż z pewnością nigdy się do tego nie przyznają. Nic innego nie mogło zawieść. Wszystko poza tym poszło doskonale.

- Czym innym jest zrozumienie, a czym innym emocjonalne uporanie się z problemem, pogodzenie się z faktem, że coś takiego ci się zdarzyło. Przeżyłaś wielki szok, nawet jeśli wciąż nie dopuszczasz do siebie tej myśli.

- Nie mówię, że nie przeżyłam szoku. Zniszczyłam też najlepszy spadochron. Ale wypadki zdarzały mi się i przedtem. Kości już łamałam.

- Takiego wypadku nie miałaś - powiedział Mac ponuro. - Freddy, kiedy zamierzasz skończyć z kaskaderskimi wyczynami?

- A kiedy zamierzasz się ze mną ożenić?

Rozdzieliło ich milczenie. Od osiemnastych urodzin, które minęły przed ponad pół rokiem, Freddy wspominała o małżeństwie kilkakrotnie, ale nie wprost, dyskretnie, aluzyjnie, w sposób pozwalający McGuire'owi ironicznie zmarszczyć brwi, potraktować te słowa, jakby nie mogły być niczym innym niż zuchwałym żartem, i ciągnąć poprzedni temat. Teraz Freddy zadała pytanie tonem jawnego, bezwstydnego i neodpartego wezwania, które wymuszało odpowiedź. Mac bał się tej chwili. Była nieunikniona, z miesiąca na miesiąc majaczyła coraz groźniej. Zawahał się, a potem pokręcił głową.

- Freddy, posłuchaj...

- Nie lubię odpowiedzi zaczynających się w ten sposób. Powiedz,

kiedy.

- Freddy, kochanie...

- Popatrz na mnie, Mac. Kiedy... kiedy?

- Nie mogę - rzucił rozpaczliwie. - Nie mogę.

- Nie jesteś żonaty. Co rozumiesz przez „nie mogę”? Przecież możesz, nic prostszego jak lecieć dzisiaj do Vegas. Jeszcze przed zachodem słońca bylibyśmy małżeństwem. Chcesz powiedzieć, że tego nie zrobisz.

- Właśnie. Nie postąpiłbym uczciwie. To byłoby niewybaczalne. Widzisz, Freddy, masz dopiero osiemnaście lat, ja mam czterdzieści dwa... dzielą nas pokolenia... jestem dla ciebie za stary!

- Doskonale wiesz, jak mało mnie to obchodzi - odparła zapamiętale.

- Nigdy nie kochałam nikogo oprócz ciebie. Nigdy nie poślubię nikogo oprócz ciebie. Nigdy, przysięgam. Żebyś najbardziej się zestarzał, nigdy się ode mnie nie uwolnisz, o tym też wiesz, Mac. Będę z tobą, kiedy stuknie ci setka, a ja będę dobiegać osiemdziesiątki. Różnica wieku z czasem maleje.

- Freddy, wyciągasz najbardziej absurdalny z możliwych argumentów. To nonsens. Zapominasz o latach, które dzielą osiemnaście i osiemdziesiąt. Ty jesteś jeszcze dzieckiem... dobrze, dobrze, wiem, ale to prawda... jako kobieta masz przed sobą młodość, a ja jestem mężczyzną w średnim wieku i moje najlepsze lata już minęły. Taka jest prawda.

- Nie postępujesz uczciwie! - powiedziała, uniesiona poczuciem niesprawiedliwości.

- Do diabła z tym. Czy myślisz, że nie wiem? Nie postąpiłem uczciwie, kiedy kochałem się z tobą pierwszy raz. Mogłem wtedy

powiedzieć „nie” i nie doszłoby do niczego. Od tyłu cholernych dni wyrzucam sobie tę słabość, ale nie miałem na nią sposobu. Za długo byłem w tobie zakochany, nie potrafiłem ci się oprzeć i nadal nie potrafię w niczym... poza tą jedną sprawą. Nie ożenię się z tobą, Freddy. Popełnilibyśmy błąd.

- Nie dziwię się, że pies uciekł - lekko powiedziała Freddy.

- Prawdę mówiąc, wcale nie chcę, żebyśmy się pobrali. Myślałam po prostu, że powinnam zrobić z ciebie uczciwego człowieka, skoro jednak jesteś moralizującym starym przykiem, to zmieniałam zdanie.

- Wiedziałem, że dostrzeżesz światło - skłamał z równą swobodą. Czyżby Freddy po tych wszystkich latach wciąż jeszcze sądziła, że Mac nie umie jej przejrzeć? Ona, ta dziewczyna, która nigdy w życiu nie poddawała się, gdy czegoś pragnęła. Czyżby myślała, że Mac uwierzy w jej nagłą zmianę poglądów na temat małżeństwa? - Gąbka czeka, chcesz się umyć?

- Ani trochę. Jeszcze jestem czysta od wczoraj. Możesz sprawdzić, jeśli nie wierzysz. No, proszę bardzo, nie mam łaskotek.

* * *

- Delphine zadała mi dziś rano niezwykle dziwne pytanie - doniosła mężowi Anette de Lancel i zamilkła. Wicehrabia Jean-Luc de Lancel westchnął zrezygowany, acz zadowolony, osiągając stan możliwy jedynie po dziesięcioleciach małżeństwa. Wiedział, że bez względu na dziwaczność słów Delphine jego przeznaczeniem jest poznać je do najdrobniejszego szczegółu, w otoczce spekulacji i komentarzy na temat ludzkiego postępowania, równie nieistotnych dla tego, co zostało powiedziane, jak iluminacja pojedynczego inicjału w długim

średniowiecznym rękopisie. Poznanie jednak miało przyjść nie wcześniej, niż wicehrabia okaże się godzien najważniejszej informacji i wyciągnie ją z własnej żony. Zabrał się do tego wielokrotnie wykonywanego zadania uzbrojony w dobrze mrożony szampan, który miał wnieść odrobinę chłodu w tę wyjątkowo gorącą sierpniową noc 1938 roku. Wicehrabiemu udało się szybciej niż zwykle.

- Chciała wiedzieć, oczywiście tylko hipotetycznie, czy słyszałam kiedyś o absolutnie pewnym sposobie na odkochanie się - oświeciła go Anette de Lancel tonem, w którym fascynacja mieszała się z niepokojem.

- Co jej powiedziałaś? - spytał, wbrew sobie okazując zainteresowanie.

- Och, Jean-Luc, wyraźnie do ciebie nie dotarło. Jeśli Delphine chce się odkochiwać, to najwyraźniej jest zakochana w kimś nieodpowiednim. I musi być całkiem w kropce, jeśli zwraca się o radę do mnie. W innym wypadku ktoś tak niezależny jak Delphine nie szukałby zwykłej babcinej rady.

- Nigdy nie sądziłbym, że ona jest w stanie się zakochać - powiedział nieco zaskoczony Jean-Luc.

- Jean-Luc! - Anette przeżyła prawdziwy szok.

- Nigdy w życiu nie widziałem dziewczyny mniej podatnej na uczucia, zwłaszcza nie odwzajemnione. Ale od kiedy wprosiła się do nas, ostentacyjnie demonstruje apatię. Myślałem, że to ma związek z jej teatralną karierą.

- Nie teatralną, kochanie, tylko filmową.

- Bez znaczenia, jedno i drugie nic niewarte. Nadal chciałbym usłyszeć, co jej poradziłaś.

- Powiedziałam, że gdyby ktoś, oczywiście hipotetyczny, był zakochany wbrew własnej woli, to powinien jak najbardziej plastycznie wyobrazić sobie wszystkie najobrzydliwsze przywary odnośnej osoby, jakie tylko potrafi, i to póki nie jest za późno... a ona na to, że podsunęłam jej dobry pomysł, ale moim zdaniem nie miała zamiaru nawet go spróbować, chociaż ja istotnie uważam tę radę za zupełnie niezłą. Podziękowała mi w ten swój słodki, smutny sposób i pojechała wozem biednego Guillame'a na długą samotną przejażdżkę.

- Hmm. - Jean-Luc wziął Anette za rękę. Ich starszy syn, czerstwy do ostatniej chwili, zmarł na raka zaledwie przed trzema miesiącami. Co prawda nie pogrzyżył w żałobie żony i dzieci, których nigdy nie miał, ale pozostawił poczucie bolesnej straty rodzicom i robotnikom z winnic, darzącym go szacunkiem, nawet jeśli bez szczególnej sympatii.

- Nie martw się, kochanie - powiedział. - U dziewcząt w tym wieku miłość nie jest poważną sprawą. Delphine z tego wyrośnie. - Ma już dwadzieścia lat, nie czternaście. Wystarczy, żeby... och, w ogóle wystarczy. Martwię się, i nic na to nie poradzę.

- Tylko nie pozwól się w to wplątać, Anette, błagam cię. Ostatnim razem, kiedy wplątaliśmy się w sprawy Delphine, wydałaś dla niej obiad. Wiesz, do czego doprowadził - ostrzegł wicehrabia, przygotowując się do wspinaczki na stare łoża, które dzielili od prawie sześćdziesięciu lat.

* * *

Delphine siedziała przy oknie w swoim pokoju, spoglądała na wielki zagadkowy sierpniowy księżyc i gorzko przeklinała siebie samą. Coś takiego po prostu nie mogło jej się przytrafić! Stało w sprzeczności z niewzruszonymi ideami, by czerpać z życia maksimum przyjemności, z

latami spędzonymi na ćwiczeniach w dochodzeniu do władzy nad mężczyznami i utrzymywaniu jej, z wyrafinowaniem, do którego dojrzewała, pewnie przechodząc drogę od college'u aż po autentyczną światowość zdobytą w Paryżu pod czujnym okiem Bruna, z wszystkim, czego dowiedziała się o własnym ciele i sposobach zaspokajania go przy pomocy pół tuzina kochanków. Spłynęło to na nią wbrew woli, tej woli, której była pewna jako narzędzia wykorzystywanego dla własnych interesów. A co najgorsze, stało w sprzeczności z głęboko zakorzenionym instynktem samozachowawczym Delphine.

Nie zakochuje się w człowieku typu Armanda Sadowskiego! Delphine biła pięściami w parapet, póki nie zsiniały jej kanty dłoni. Taki człowiek jak Armand Sadowski nie może się nawet podobać. A przecież jej się podobał. Przecież spodobał jej się dawno! Kiedy zdarzyło się coś tak nieprawdopodobnego? Czy już po pierwszych tygodniach filmu, kiedy stwierdziła, że reżyser wymusza na niej najlepszą rolę w życiu, a jej gra nie jest wynikiem rozbudzenia nieokiełznanego seksu, na którym opierała się przez cały czas, od pierwszych zdjęć próbnych do *Mayerlingu* u Nico Amberta? Czy zdecydowało po prostu nagłe olśnienie, świadomość, że potrafi grać, uwolnienie się od powracających lęków, że jest zwykłą narcystyczną dziewczynką, która rozbudzona przez personel techniczny, światła i kamery w jakiś sposób czerpie z podniecenia to, co w jej grze jest najważniejsze.

Od pierwszego dnia wspólnej pracy Delphine zapomniała o personelu technicznym. Ci ludzie istnieli po prostu, by spełniać polecenia wydawane przez innych. Światła służyły wyłącznie oświetleniu, kamery obracały się jedynie po to, by dokonać zapisu na taśmie. Od rozpoczęcia

tego filmu żaden mężczyzna nawet nie dotknął Delphine.

Dopuszczała myśl, że odczuwa czysto zawodowy, absolutnie normalny podziw dla człowieka, który umiał nią pokierować jak nikt inny. Może coś w rodzaju klasycznego podziwu Galatei dla Pigmaliona? Zdarzało się już branie takich uczuć za miłość. Przeniesienie, słyszała ten termin w ustach innych aktorek, a także aktorów. Każdy wie, że trzeba być odrobinę zakochanym w swoim reżyserze. Wszyscy reżyserzy mają w ten czy inny sposób nader uwodzicielską osobowość, inaczej nie mogliby dostać pracy. Jest to nieodłączna część wielkiej gry w robienie filmu. Odrobinę, myślała Delphine, zakochanym tylko odrobinę. To byłoby do przyjęcia. Ale gdyby zakochała się tylko odrobinę, uczucie wygasłoby po skończeniu filmu, miesiąc temu, w czerwcu. Do tej pory powinna znaleźć sobie kochanka i, jeśli zakochała się tylko odrobinę, wykurować się.

Być może jej uczucia wybuchły, kiedy stwierdziła, że nie spotkała jeszcze mężczyzny, na którym robiłaby tak małe wrażenie, jak na Sadowskim. Małe nie jest właściwym słowem, poprawiła się Delphine w myśli. Nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, w najmniejszym stopniu. Czy to nie leży w ludzkiej naturze, że osoba tak przywykła do rozniecania miłości, jak Delphine czuje masochistyczne przyciąganie do mężczyzny, którego Margie Hall nazwałaby trudnym do zdobycia. Musiało tak właśnie być. Gdyby Sadowski okazał jedną z oznak zauroczenia, dobrze znanych Delphine, jej tak zwana miłość miałaby okazję się rozwiąć i najprawdopodobniej rozwiąłaby się. Delphine nie udało się jednak dostrzec najmniejszej oznaki. Teraz oddała się na chwilę wyobrażeniu Armanda Sadowskiego przejawiającego romantyczne zainteresowanie jej osobą, a w głowie zawirowało jej tak oszałamiająco, że księżyc zakołysał

się na niebie, niczym latawiec na końcu sznurka w wietrzny dzień.

Nie. Szybko odwracając spojrzenie od księżyca, Delphine uznała, że wszystko zaczęło się w nieokreślonej chwili podczas kręcenia filmu i było bezpośrednim wynikiem oddziaływania osobowości manipulatora. Bo jak inaczej można nazwać Sadowskiego jeśli nie manipulatorem? On po prostu wiedział, jakie psychologiczne mechanizmy uruchomić, jakie słowa wybrać i jak się zachować, żeby ludzie spełniali jego życzenia. Przyglądała mu się podobnie jak reszta obsady. Terroryzował, sugerował, perswadował i prześwietlał ich co do jednego, obcesową żywiołowością dochodząc do tego, czego chciał.

Dlaczego więc inne aktorki nie zakochały się w nim również? Spędzała z nimi godziny na jałowych, lecz krążących wokół tematu plotkach, okazując przyjazne uczucia, odbierane jako coś całkiem niespodziewanego. Wszyscy rozmawiali o Sadowskim bez skrępowania. Ciekawił ludzi, ale tylko jako reżyser, nikt więcej. Niemal pewna opinia głosiła, że nie jest żonaty, nie przypisywano mu związku z żadną konkretną dziewczyną, wiadano, że przed wiekami rodzina przyjechała do Francji z Polski, utrzymywano także, iż Sadowski jest Żydem, ale kto doszedłby w tym ładu z Polakami? Reżyser nie dawał innych tematów do plotek, nie okazywał nikomu osobistego zainteresowania, więc również zainteresowanie ludzi kończyło się na tym i zwracało znów ku ich własnym sprawom, co Delphine przyjmowała z dobrze maskowaną irytacją. Być może Żyd, być może stanu wolnego, na pewno polskiego pochodzenia. Niewiele danych do przemyśleń.

Spróbuj choć raz w życiu być uczciwa, surowo zbesztła się Delphine. Wszystko zaczęło się, kiedy zdjął okulary i spojrzał na ciebie.

Tyle wystarczyło, żeby wyzwolić w tobie miłość. Zwykły obrót na krześle i spojrzenie. Jesteś mięczakiem. Beznadziejnym mięczakiem, niczym więcej. I co teraz zamierzasz?

* * *

Gipsowe opatrunki z ramienia i kostki Freddy zdjęto pod koniec sierpnia. Było jasne, że wkrótce dziewczyna odzyska pełnię sił. Zaangażowała do codziennych ćwiczeń trenera, akrobatę, od którego nauczyła się kiedyś wielu sztuczek pomagających utrzymać równowagę w różnych sytuacjach. Poruszała się już bez lęku o upadek, więc Mac mógł zostawić ją samą w domu i wrócić do rutynowych zajęć. Dawał lekcje i prowadził swój dwutorowy interes, wynajmując samoloty i przygotowując układy akrobatyczne do serialu, inspirowanego przygodami Eddiego Rickenbackera.

Przed końcem września Freddy znowu mogła latać własnym samolotem. Wcześniej, za pierwsze duże pieniądze, które zarobiła, wpłaciła zaliczkę na niezwykle ekstrawagancki samolot sportowy rider, nie mogąc oprzeć się pięknu projektu jednej z pierwszych maszyn o całkiem aerodynamicznym kształcie, z czterystu pięćdziesięciokonnym silnikiem marki Pratt and Whitney. Rider był w całości pomalowany na białą i miał chowane podwozie. Z jego kabiny widziało się więcej niż w innych samolotach, którymi latała Freddy. Na riderze zdobyła pierwszą nagrodę w karierze pilota, w maju 1937 roku podczas Międzynarodowych Zawodów Akrobatycznych w Saint Louis. W sierpniu 1937 roku dzielnie współzawodniczyła w wyścigu Stres-Damaszek-Paryż, ukończyła go na trzecim miejscu, zatrzymana przez niespodziewaną burzę nad Alpami. W październiku 1937 roku przeleciała z Vancouver do Agua Caliente w

Meksyku w ciągu pięciu godzin i ośmiu minut, dotarła na metę w zaledwie czternaście minut po Franku W. Fullerze juniorze. Czasu nie miała się co wstydzić, choć był o kwadrans za długi do zwycięstwa. Dostała jednak puchar za drugie miejsce, a w początkach roku 1938 wygrała kilka pomniejszych konkursów lotniczych o lokalnym znaczeniu. Od wiosny zaczęła tak intensywnie pracować dla filmu, że nie miała wolnej chwili na zawody.

Teraz, lecąc wzdłuż wybrzeża w kierunku Santa Cruz, zastanawiała się, czy skorzystać z urlopu, jaki zaproponowano jej w wytwórni, żeby ewentualnie poświęcić go na nowe sportowe wyczyny. Z powodu wypadku nie mogła wziąć udziału w Narodowych Zawodach Lotniczych, dziś nie miało to już dla niej znaczenia. I co z tego, że Cochrane zdobyła nagrodę Bendix? Samo latanie było dla Freddy wystarczająco ważne. Nie musiała niczego dowodzić. Tego ranka, przebiegając wzrokiem po rozproszonych polach stokrotek, uformowanych przez chmury sunące na niebie, nie była w nastroju do oszczędzania za wszelką cenę minuty, która przynosi zwycięstwo, nie dbała o błędy w nawigacji, nie przejmowała się tym, że pozwalał Pacyfikowi określać położenie samolotu bez sprawdzania go na żadnej mapie i po prostu cieszyła się lawendową taflą.

Właśnie tą radością żyli wszyscy piloci wychodzący z hangaru do maszyny z jednym krótkim zdaniem: „Idę latać”. Te niedbale rzucone słowa zawsze były podszyte emocją. Freddy zadziwiło, jak nieuchronnie potrzebowała tego rodzaju zaspokojenia, od kiedy po raz pierwszy stało się jej udziałem. Bardziej niż przyznawała się przed sobą brakowało jej czegoś tak oczywistego i prostego, jak fizycznego kontaktu z samolotem: nieprzerwanego dźwięku silnika, który nie jest rykiem ani warkotem,

pomrukiem ani pulsującym łoskotem, który brzmi całkowicie nieporównywalnie i jest tylko dźwiękiem samolotowego silnika. Brakowało jej pachnących skórzanych siedzeń, pasów biegnących w poprzek ciała, i jeszcze manetki gazu, drążka, pedałów steru. Brakowało jej własnej maszyny.

Do tego dnia nie w pełni zdawała sobie sprawę z dwoistości latania. Mogłaby wypełnić strony lirycznymi opisami nieba, dziesiątki stron nieskończenie szczegółowymi spostrzeżeniami na temat widoku ziemi z powietrza, ale przecież bez osobistego kontaktu z maszyną nie wyszłaby poza wrażenia zwykłego pasażera. Gdyby nie miała władzy nad sterami, nie byłaby wolna. Jakie to proste. Właśnie tak wyglądała jedyna wolność w stanie czystym, jaką kiedykolwiek poznała. Nie mogła na długo odsuwać tej wolności od siebie.

Przez pewien czas leciała bezmyślnie, machinalnie operując przyrządami sterowniczymi, oddając je we władzę odruchów, sama zaś pogrążyła się w nienazwanym, pierwotnym uczuciu wiążącym ją z samolotem.

W końcu Freddy zorientowała się, że jest głodna i spojrzała na mapę w poszukiwaniu najbliższego lotniska. Od Santa Cruz dzieliło ją niecałe pół godziny lotu. Biały rider mógł na każde życzenie osiągnąć prędkość czterystu kilometrów na godzinę, a w kawiarni na lotnisku w Santa Cruz było przyjemnie. Zawracając samolot prosto ku małemu miastu na wybrzeżu, żałowała, że nie wzięła ze sobą kanapki. W ów dzień nawet ta krótka chwila nawigacji wydawała się za długa, była wszakże mniejszym złem niż głodowanie.

Przygotowując się do wytracenia wysokości, Freddy myślała o

własnym szczęściu. Była szczęśliwa. Nie tylko z powodu lotu, na który się wybrała. Także z powodu Maca. Zresztą miał on udział w jej wszystkich szczęśliwych chwilach. Ale ostatniego wieczoru po obiedzie Freddy nagle zachciało się lodów. Mac wskoczył do samochodu i przywiózł więcej, niż byli w stanie zjeść, a ona powiedziała, och zupełnie lekko, żartobliwie, bez żadnych ukrytych zamiarów, że byłby cudownym ojcem. Nawet nie zmarszczył brwi. Nie zasępił się, nie protestował, że jest za stary, że nie nadaje się do tego, nie wywlekał żadnego ze swoich śmiesznych skrupułów. Powiedział po prostu: „Nie potrzebuję innego dzieciaka, kiedy mam ciebie”, ale coś zabłysło mu w oczach i Freddy pojęła, że dotknęła czulej struny. Prawdopodobnie Mac bardzo pragnął mieć dziecko, ale za nic nie przyznałby się do tego przed sobą. Właśnie w tej chwili Freddy zyskała w końcu przekonanie, że uda jej się kiedyś nakłonić go do małżeństwa, choćby zachodząc w ciążę. Kiedyś w niedalekiej przyszłości.

* * *

Ostatniego dnia września 1938 roku Paul de Lancel czytał wieczorne gazety z bolesnym skupieniem. Już od miesiąca nie koncentrował uwagi na niczym poza kryzysem w Europie, przez większość Kalifornijczyków uważanym za jedną z wielu zmian sytuacji w dalekich krajach, których nie kończące się spory należy ignorować w najwyższym możliwym stopniu.

W tym miesiącu trzykrotnie pojawiło się zagrożenie wojną. Na początku września Flitler zażądał w końcu bezwarunkowego przyłączenia czeskich Sudetów do Niemiec, odchodząc od poprzedniego stanowiska, w myśl którego pragnął jedynie chronić prawa niemieckiej mniejszości w tym regionie, tak bogatym w kopalnie, przemysł i umocnienia.

Brytyjski premier Neville Chamberlain trzykrotnie latał do Niemiec

łagodzić zapędy groźnego dyktatora. Czesi chcieli zbrojnie wystąpić w obronie ojczyzny, ale w Europie tylko oni mieli melodię do walki, jeśli nie liczyć Stalina, którego nie wzięto pod uwagę. Pozostające w sojuszu z Czechosłowacją, Wielka Brytania i Francja nie przejawiały ani trochę bojowego zapału, wszak zaledwie dwadzieścia lat wcześniej miliony mężczyzn zginęły za nic podczas wojny światowej. Trzydziestego września Hitler i Chamberlain, za zgodą premiera Francji, Daladiera, podpisali Układ Monachijski. Tym razem nie miało dojść do wojny. Zwyciężył zdrowy rozsądek.

- Dzięki Bogu - powiedział Paul do Eve.

- Naprawdę sądzisz, że nie ma innych powodów do zmartwień?

- Oczywiście, że są. Zawsze jest ich mnóstwo... ale przynajmniej w tej gazecie widać podstawowe przejawy dobrej woli. Posłuchaj tylko: „Układ podpisany ostatniego wieczoru, a także angielsko-niemiecki traktat morski uważamy za symboliczny wyraz pragnienia obu narodów, które nie chcą nigdy więcej znaleźć się w stanie wojny”. Nawet jako cyniczny dyplomata muszę powiedzieć, że wygląda to na krok we właściwym kierunku.

- A co z Czechami?

- Francja i Wielka Brytania są zobowiązane do chronienia ich integralności. Czesi zawsze stanowili problem, ale nikt nie będzie zaczynał z ich powodu nowej wojny. W porządku, możemy teraz na nowo zająć się własnymi planami. Jak sądzisz, kochanie, czy powinniśmy wybrać się do Francji w końcu października, czy zarezerwować sobie czas wczesną wiosną?

- Ile urlopu masz szansę dostać?

- Część tegorocznego już wykorzystałem. Jeśli poczekamy do wiosny, będzie nas stać na kilka miesięcy, a gdybyśmy jednak pojechali w październiku, spóźnilibyśmy się na najpiękniejszą porę roku w Szampanii.

- Szkoda, że nie mogliśmy pojechać po śmierci Guillame'a - powiedziała Eve w zamyśleniu.

- Ja też żałuję. Ale listy ojca bardzo jasno wyrażają jego odczucia. Nie chce słyszeć ani słowa o tym, że mógłbym porzucić dyplomację, żeby mu pomóc w prowadzeniu interesów. Uważa, zdaje się, że przeszkadzałbym bardziej niż pomagał - smutno powiedział Paul. - To prawda, nie znam się na produkcji szampana ani na handlu winem, ale na naukę nigdy nie jest za późno. Z listów wynika jednak, że zarządcy gruntów bez kłopotu zastąpią Guillame'a. Ich ojcowie również pracowali dla mojego ojca, a dziadowie dla mojego dziadka, i tak dalej przez pokolenia, jak głęboko sięga pamięć. Wszyscy cieszą się bezgranicznym zaufaniem, podobnie jak bracia Martinowie, ci trzej dozorczy piwnic. Ojciec jest zresztą o wiele za bardzo żywotny, żeby zrezygnować z decydowania o biegu rzeczy, za bardzo żywotny i zbyt przyzwyczajony do robienia po swojemu.

- Jak chciałbyś się przyzwyczajać do rolniczego życia, mając pięćdziesiąt trzy lata? - spytała Eve z powątpiewaniem. - W dodatku gdzieś, gdzie koniec października bywa paskudnie zimny, a do wiosny pozostaje w najlepszym razie pięć miesięcy.

- Czyżbyś sugerowała, że Kalifornia mnie zniszczyła?

- To się zdarza najlepszym. Nawet Francuzom. Jeśli mieszkasz tutaj odpowiednio długo, we krwi zachodzą chemiczne zmiany, zupełnie jak w strefie tropikalnej. A któregoś dnia, i to o wiele za szybko, szampan

Lancelów i zamek Valmont będą do ciebie należeć niezależnie od twojej woli. A także mojej, jeśli już o to chodzi. Uczciwie mówiąc, mnie ta myśl raczej przeraża. Dlaczego więc przyspieszać jej urzeczywistnienie? Myślę, że powinniśmy poczekać do wiosny. Moglibyśmy spędzić miesiąc w Paryżu z Delphine i miesiąc w Szampanii.

- Zgoda. Maj w Paryżu z Delphine, czerwiec w Szampanii z rodzicami i nauką, w jaki sposób pszczoła kocha się z kwiatkiem winorośli - powiedział Paul z ożywieniem.

Eve pomyślała, że jeszcze raz udało mu się przebrnąć przez rozmowę o wszystkim poza sprawami Chin i Japonii, nie czyniąc najdrobniejszej aluzji do faktu, że mają jeszcze jedną córkę, która mieszka, czego Paul musi się domyślać, o niewiele kilometrów od nich. Skoro jednak nie chciał o niej nic wiedzieć, Eve nie zamierzała na siłę go informować. Wystarczało jej, że ma Paula z powrotem, że mąż otrząsnął się z tych potwornych uczuć, jakie władały nim w pierwszych miesiącach po odejściu Freddy, że odnalazł miłość dla żony, tak wielką i głęboką jak przedtem. Temat Freddy był dla nich jak nie wypowiedziany, nie spisany Układ Monachijski. Dawno postanowili, że nie będą o niego prowadzić wojny.

* * *

Na początku września Delphine zaczęła nowy film. Grała w nim główną rolę, mając za partnera Jean-Pierre'a Aumonta. Przystępowała do pracy z nadzieją, że na planie zdarzy się coś, co zmieni naturę jej obsesji, doszła bowiem do wniosku, że opanowała ją raczej obsesja niż miłość.

Przy końcu września zrozumiała jednak, że nie zdawała sobie sprawy z głębi własnego problemu. Wciąż jeszcze mogła grać. Mogła liczyć na

wrodzony talent i technikę nabytą przez ostatnie dwa lata niemal nieustannej pracy, dzięki którym z powodzeniem zaliczała ujęcie za ujęciem. Nawet w najbardziej skomplikowanych scenach zręcznie odbijała kwestie podrzucane jej przez innych aktorów. Miała świetny słuch do tekstu, opierała na nim sukcesy co najmniej w połowie. Kamera zawsze dobywała z jej twarzy więcej emocji, niż Delphine w rzeczywistości czuła. Nowy reżyser był nią zachwycony, ją zaś zadowalał, choć nie budził w niej natchnienia. Abel załatwiał tymczasem film z Jeanem Gabinem, toteż przyszłość zapowiadała się różowo.

We znaki dawała się terażniejszość. Delphine za późno kładła się do łóżka i miała trudności z zaśnięciem, niepokojona myślami o Sadowskim. Budziła się za wcześnie, raptownie wyrywana ze snu myślami poświęconymi Sadowskiemu. W ciągu dnia, gdy tylko nie wypowiadała kwestii na planie, myślała o Sadowskim. Miała tego dość.

Był wyłącznie jeden sposób na odbycie egzorcyzmów: stanąć z nim twarzą w twarz. Obsesja nie wytrzyma konfrontacji z rzeczywistością, ale chcąc się jej pozbyć, należy najpierw wydobyć ją na światło dzienne, poddać leczniczemu działaniu słońca. Delphine czekały chwile zakłopotania, upokorzenia, ośmieszenia, miała postąpić wbrew wszystkim własnym zasadom, ale zarazem wiedziała, że jeśli zwyczajnie opowie o własnych uczuciach, Sadowski okaże taką niewrażliwość, taką odporność na jej wynurzenia, że szok wreszcie wybije ją z nienaturalnego stanu. Najlepiej byłoby, gdyby zaskarbiła sobie jego współczucie. Oczywiście, Sadowski okazałby się dostatecznie prymitywny, żeby dać jej to do zrozumienia. Współczucie! To powinno załatwić sprawę.

Zadzwoiła do niego i powiedziała, że potrzebuje rady w związku z

nowym filmem. Ma kłopot z reżyserią.

- Posłuchaj, kotku, jestem zajęty jak cholera, ale oczywiście jeśli masz problem, spróbuję wygospodarować dla ciebie czas. Spotkamy się o wpół do dziewiątej u Lippa... chociaż nie, wolę zjeść na planie, będziemy poprawiać diablo skomplikowane ujęcia. Przyjdź do mnie o dziesiątej. Jeżeli nie będzie mnie w domu, to znaczy, że zabiłem aktora. Wiesz, gdzie mieszkam? W porządku, do zobaczenia.

Czy wiedziała gdzie mieszka? Już od sześciu miesięcy przechodziła tamtędy dziesiątki razy, mając nadzieję na przypadkowe spotkanie. Mogła się tam dostać autobusem, metrem lub piechotą. Gdyby musiała, doczołgałaby się przez cały Paryż. Zamówiła jednak taksówkę, nie chciała bowiem, by jej szofer snuł domysły, dlaczego pojechała dokądś o dziesiątej wieczorem po to, żeby wyjść stamtąd w pół godziny później, niczym złodziej.

Nie było sensu zawracać sobie głowy ubieraniem się w szczególny sposób. Jej strój nie robił przecież na nim żadnego wrażenia. Z drugiej strony do egzorcyzmów wydawała się pasować jedynie czarna suknia. Coś uduchowionego. Skromnego i surowego. Nowa kreacja Chanel z jednym jedynym sznurem pereł, bardzo dobrych pereł, kupionych w zeszłym roku za radą Bruna. Te gorsze perły również byłyby dobre, chociaż bardziej... Znowu zaczynasz, nieuleczalna idiotko! - złażała się Delphine, szczękając zębami mimo ciepła panującego w pokoju. Ubierasz się, żeby oczarować mężczyznę: którego nie można oczarować. Zracjonalizowała swoje zachowanie myślą, że Chanel dobrze jej zrobi na morale i wsunęła się w czarną suknię koktajlową z dużym dekoltem, która była przebojem jesiennej kolekcji. Oficerowie stojący przed sądem wojskowym noszą

najlepsze mundury. Nawet Mata Hari zadbała o dobrą prezencję w czasie egzekucji, pomyślała Delphine, drżącymi, lecz wprawnymi rękami nakładając makijaż i poprawiając fryzurę. W końcu doszła do tego, że wyglądała młodziej niż na swoje dwadzieścia lat i dwa razy piękniej niż zwykle, tyle przestachu miała w oczach i tyle smutku w twarzy o kształcie serca.

Otuliła się czarnym płaszczem z kolekcji Chanel i postanowiła nie wkładać kapelusza. Było już dość późno, mogła więc wyjść bez nakrycia głowy. Siedząc w taksówce wiozącej ją na lewy brzeg Sekwany, pragnęła przede wszystkim mieć scenariusz. Prawdziwe egzorcyzmy zawsze odbywały się według scenariusza uświęconego tradycją, jednak Delphine nie miała dla siebie żadnych wskazówek oprócz przekonania, że musi pozbyć się obsesji, bo inaczej stanie się z nią coś złego.

Armand Sadowski mieszkał niemal dokładnie nad restauracją Lippa, w starej i dosyć zrujnowanej kamienicy, która zdawała się chylić ku Boulevard Saint-Germain. Delphine spojrzała z rozmarzeniem na zatłoczony taras Café Flore po drugiej stronie ulicy. Szczęśliwi ludzie pili, przyzywali kelnerów, gawędzili i wyglądali na pełnych zadowolenia, ciesząc się ostatnią ciepłą nocą tej jesieni. Odwróciła się od miłego, cudownie zwyczajnego widoku i zmusiła się do pchnięcia ciężkich, skrzypiących drzwi, zapytania konsjerżki o piętro i wspięcia się po stromych, nie przykrytych chodnikiem schodach na najwyższe piętro.

Armand Sadowski, jakby dziwnie podniecony, energicznie otworzył drzwi po drugim dzwonku. Był w koszuli, bez krawata i nie ogolony. Delphine zdążyła już zapomnieć o jego wzroście, pomyślała o tym zmieszana zbyt gwałtownym przejściem z klatki schodowej do

mieszkania.

- Co sądzisz na ten temat? - spytał pospiesznie, bez przywitania, wyciągając wieczorną gazetę.

- Jeszcze nie miałam czasu przeczytać.

- Chyba mamy pokój. Niemcy nie chcą walczyć podobnie jak i my. Hitler w końcu podpisał układ.

- Może nie ma ochoty atakować Linii Maginota.

- Nawet ty już słyszałaś o Linii Maginota? Zadziwiające. - Uśmiechnął się szeroko i skinął, żeby weszła dalej.

- Wszyscy na świecie słyszeli o Linii Maginota. Dla Francuzów nie ma innych tematów. Och, po co ja przyszłam?

- Po radę. Powiedziałaś, że masz kłopot z nowym reżyserem.

- Właściwie nie.

- Tak podejrzewałem. Bardziej prawdopodobne, że to on ma kłopot z tobą. Napijesz się?

- Dżinu. Nalej bez niczego.

- Ech, Amerykanie - powiedział, kręcąc głową. - Tylko Amerykanie piją czysty dżin.

- Anglicy też - odparła znużonym głosem. Opuściła ją wszelka przedsiębiorczość.

- Hej, kotku, usiądź. Zapominam o dobrym wychowaniu. - Podał jej szklaneczkę i wskazał na wielki skórzany fotel. Nawet nie rozejrzała się po przestronnym, zabałaganionym pokoju, tylko opadła na fotel i upiła łyk.

- Co cię sprowadza? W czym kłopot?

- Kocham cię.

Wyrzucenie tego z siebie przyszło jej łatwiej, niż się spodziewała,

gdyż mówiła po francusku, co zawsze było jakby maską. Nie zniosłaby tych samych słów po angielsku. Opróżniła szklaneczkę z dżinu i tępo wbiła wzrok w jej głęboką pustkę.

Sadowski zdjął w zamyśleniu okulary i wpatrywał się w Delphine przez minutę lub dwie.

- Na to wygląda - powiedział w końcu.

- Nawet nie jesteś zaskoczony! Mój Boże, co za osobowość! - Delphine poderwała głowę w nieoczekiwanym napadzie złości, jakże pożądanej złości.

- Dużo czasu ci zajęło, żeby sobie o tym przypomnieć - powiedział, jakby jej nie słyszał, jakby ciągnął rozmowę, która zaczęła się w inny sposób. Może także nie z nią?

- Gadałeś o mnie z innymi? - spytała podejrzliwie.

- Czemu miałbym to robić?

- Nieważne, teraz już i tak wiesz. Czy masz mi coś do powiedzenia?

- Jesteś niewypowiedzianie zepsuta.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Coś jeszcze? - rześko spytała Delphine.

Powiedzenie, że jest zepsuta, nie działało na korzyść egzorcyzmów, bez względu na jej wściekłość. Gdyby tylko zechciał jej współczuć. Do diabła z jego zdjętymi okularami. Miała ochotę pieścić lekko zarysowane znaki, jakie zostawiły na nosie między oczami, tymi pięknymi oczami, krótkowzrocznymi czy dalekowzrocznymi, wszystko jedno. Miała ochotę przytulić twarz do włosków jego haniebnej jednodniowej brody, miała ochotę nabrać pełne garście za długich, splątanych włosów i przycisnąć je do warg.

- Jesteś potwornie uprzywilejowana. Nie zrobiłaś niczego, żeby na to

zasłużyć poza tym, że masz wyjątkowo efektowną urodę. Zawsze ją miałaś, zawsze będziesz miała i zawsze będziesz czerpać z niej korzyści.

- Nie moja wina. Nic nie poradzę na urodę.

- Nie powiedziałem, że wina. Powiedziałem, że to potworne. -
Zadumał się.

- Cóż to ma wspólnego z tym, że cię kocham? - Delphine znowu zmusiła się do wydobywania z siebie tych trudnych słów. Zdawało jej się, że za pierwszym razem Sadowski nie zwrócił na nie dostatecznej uwagi.

- Jeśli już o tym mowa, to słyszałem, że zaszłaś za skórę wielu facetom.

- Co mam zrobić, jeśli ludzie się we mnie zakochują? Nie mogę odwzajemniać miłości na komendę -powiedziała Delphine, zepchnięta do defensywy. Nie wiedziała, co konkretnie o niej słyszał. W jak złym świetle ją to stawiało?

- Wiem, że masz zdradliwe upodobania seksualne. Jesteś jak kula bilardowa: im więcej karamboli, tym lepiej. Powinno się stawiać ostrzeżenia drukowanymi literami, kiedy hulasz na wolności, kotku.

- Nigdy przedtem nie byłam zakochana - powiedziała Delphine z nadzieją, że to ją tłumaczy.

- To nie jest wytłumaczenie.

- Jakbym słyszała własną matkę.

- I co z tego? Wiem też, że specjalizujesz się w reżyserach, a niekiedy dobierasz producenta na deser. -Niesmaczne.

- Ale prawdziwe. Nie cofnę tego. Nie interesuje mnie miejsce w świecie twoich fantazji, w roli jeszcze jednego uhonorowanego reżysera.

- Nigdy ci tego nie proponowałam! Kiedy razem pracowaliśmy, nie

zrobiłam najmniejszego gestu w twoim kierunku. Chciałabym żeby to była fantazja. Ale nie jesteś już moim reżyserem. Nie rozumiesz? Kocham cię.

- Rozumiem, kotku. Aż za dobrze. Jest w tobie coś demonicznego. Szczerze mówiąc, boję się ciebie jak cholera.

- Pedzio! Głupi pedzio! Idę - Delphine uniosła się chcąc wyjść. Powiedział dość na dobry początek egzorcyzmów, a więcej nie byłaby w stanie znieść. Zbyt wiele bólu sprawiało jej, że jest tutaj i nie może go dotknąć... nawet jeśli opowiadał o niej pieprzne kawałki, wszystko jedno jakie, było to i tak lepsze niż całkowite milczenie.

- Siadaj. Jeszcze z tobą nie skończyłem. Nie zastanawiasz się, skąd wiem, że mnie kochasz?

- Gównu mnie to obchodzi. Z typową dla siebie wnikliwością wszystko analizujesz - powiedziała opryskliwie. - Wiedza o tym, co ludzie czują, należy do twojego fachu. Prawdopodobnie odkryłam się przed tobą dziesiątki razy. Co za różnica? Przecież nie będziemy teraz urządzać seminarium na temat obrazu uczuć w mimowolnej miłości postrzeganej oczami błyskotliwego reżysera Armanda Sadowskiego.

- Zamknij się, Delphine. Za dużo gadasz. - Zdawało się, że ożywia go wizja jakiegoś zagadkowego żartu.

- Rzygać mi się chce, kiedy patrzę na twoje zadowolenie z siebie. Żałuję, że tu w ogóle przyszłam. Powinna być dwa razy pomyśleć.

- Ja też cię kocham - powiedział wolno. Żart przysł. - Kocham cię bardziej, niż się ciebie boję. Stąd właśnie wiedziałem, że mówisz prawdę.

- Ty? Kochasz mnie? - porywczo rzuciła Delphine nie dowierzając. - Niemożliwe, żebyś mnie kochał. Gdyby tak było, powiedziałbyś mi. Nie musiałabym tutaj przychodzić... i... rzucać się do twoich stóp.

- Miałem nadzieję, że jeśli mnie kochasz, to dasz mi o tym znać, kiedy przyjdzie czas.

- Jeśli? - Gdzie się podziały jej egzorcyzmy? Dlaczego dzieląc włos na czworo rozmawiają tu o miłości, która nie istnieje, która nie może istnieć, bo przecież Sadowski nie potrafiłby tego ukryć? Dlaczego nie powstał w niej ślad złości? Dlaczego słucha go, jakby od tego zależało jej życie?

- Jak mogłem być pewny? Wtedy, gdy cię ustawiałem na planie, mogła to być część dogłębnie przerobionego ćwiczenia.

- Och.

- Nie inaczej.

Siedzieli twarzami do siebie, z wzrokiem wbitym w podłogę, porwani uniesieniem, zawstydzeni, podnieceni, oniemiali. Pozbyli się przeszłości, przyszłość była nieznana, a świat obracał się i obracał, aż zmienił się dla nich na zawsze.

- Kiedy? - spytała w końcu Delphine, z powrotem opadając na znany grunt, by upewnić się, że oszałamiająca terażniejszość jest prawdą. - Kiedy się we mnie zakochałeś?

- Nieważne.

- Musisz mi powiedzieć.

- To jest cholernie głupie, za głupie.

- Kiedy? - Była nieubłagana. Miał wobec niej ten dług.

- Wtedy gdy obróciłem się i spojrzałem na ciebie w moim biurze pierwszego dnia, przy pierwszym spotkaniu... Nie wiedziałem o tobie niczego. Nawet w Hollywood nie spodobałby się tak prostacki scenariusz.

- Mnie tak. Mnie by się spodobał. Ale dlaczego? Dlaczego się we

mnie zakochałeś?

- I kto tu teraz wszystko analizuje?

- Mam swoje prawa - stwierdziła władczo, absolutnie przekonana, że tak jest. - Dlaczego?

- Dopadłaś mnie, kotku. Nie wiem. Bez żadnego sensownego powodu, po prostu zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Boże! Wierz mi, że tego nie chciałem. Chodź tutaj.

- Pomyślała, że gdyby udało jej się go rozdrażnić, egzorcyzmy musiałyby się powieść. A tak była to zwykła, prosta, bezcenna i doskonała miłość. Magia.

- Ech, aktorki! - Doskoczył do niej jednym susem i postawił ją na ziemi. Otoczył ramionami szyję i rozpiął jej perły. - Odłóż je gdzieś. Są stanowczo za dobre, żeby miały się zapodziać w tym bałaganie.

- Nie pocałujesz mnie?

- Wszystko w swoim czasie. Najpierw muszę cię rozebrać. Rozpiąć guzik po guziku. Z tą suknią trzeba się obchodzić bardzo ostrożnie. Jest aż za odpowiednia.

- Do czego za odpowiednia?

- Jasne, że do sceny, w której dziewczyna wyznaje facetowi miłość. To bardzo mądrze dobrana suknia: taka surowa, taka bezkompromisowa, taka wycięta, głęboko wycięta. Biedny frajer, nie miał najmniejszej szansy.

* * *

Po pierwszym locie riderem od czasu wypadku Freddy poszła spać wyjątkowo wcześnie.

Mac siedział przy stole w kuchni przed kartką papieru, a na podłodze

leżała gazeta, przeczytana przed chwilą i zepchnięta tam z niesmakiem znużenia. Mac walczył w powietrzu ze zbyt wieloma nieustraszonymi, chytrymi pilotami, żeby uwierzyć, że Niemcy się kiedykolwiek poddadzą. Ostatnie dwadzieścia lat widział jako długie, trudne i niepewne zawieszenie broni, a Monachium było dla Niemców jeszcze jedną zwycięską bitwą.

Gdzie uderzą teraz? I jak szybko? Od 1933 roku, kiedy Mac po raz pierwszy wyraźnie usłyszał huk dział w oddali, wydarzenia następowały coraz szybciej. Po poświęceniu Sudetów pytanie „czy?” przestało być aktualne, teraz pozostała tylko wątpliwość „kiedy?”. Ponuro myślał, iż każdy człowiek, który wie, jak nieuchwytnie stają się granice państw widziane z powietrza, zdaje sobie sprawę, że izolacjonizm nie może trwać. Jeszcze rok? Może mniej?

Nowina z Monachium tylko wzmocniła postanowienie, jakie powziął poprzedniego wieczoru, kiedy usłyszał od Freddy, że byłby dobrym ojcem. Stała się ostatnim ostrzeżeniem, kazała mu przekroczyć linię, nad którą stał przez minione tygodnie, wahając się z rozdartym sercem i nienawiścią do siebie. Freddy nie zaszła w ciążę. Wiedział, że jest to jednak, podobnie jak kolejna wojna, tylko kwestią czasu. Wziął pióro i zaczął pisać, z wysiłkiem szukając każdego słowa, które musiał przenieść na papier. W końcu zrezygnował ze wszystkiego poza najważniejszym.

Freddy, Kochanie,

Muszę cię opuścić. To dla nas jedyne wyjście. Wiem, że chcesz wyjść za mąż. Wiem, że twoim zdaniem ożeniłbym się z tobą, gdybyś zaszła w ciążę. Odchodzę, żeby pozwolić ci żyć własnym życiem, bo tak powinno być. Przecież jeszcze nawet nie zaczęłaś go na dobre. Nie mogę podcinać

ci skrzydeł.

Wiesz, co sędzę o naszym małżeństwie. Postąpiłem nielojalnie w przeszłości, a byłoby znacznie gorzej, gdybym teraz popełnił jeszcze większe nadużycie. Mówiłem ci to tak jasno, jak tylko potrafiłem, i będę w kółko powtarzał, chociaż bez skutku. Nigdy nie wierzysz, że naprawdę myślę w ten sposób. I nigdy nie przestaniesz mi ufać, jeśli nie odejdę. Wszystko, co mam, jest twoje: dom, samoloty, interes. Zatrzymaj je lub sprzedaj, jak chcesz.

Nie myśl tylko nigdy, że nie dość cię kochałem. Gdybym był młody, ożeniłbym się z tobą jutro... a właściwie już od dawna bylibyśmy małżeństwem. Pozwalam ci iść swoją drogą właśnie dlatego, że tak bardzo cię Kocham. Nie jestem dla ciebie przyszłością, mija najmiłsza dziewczyno.

Mac

Jeszcze raz przeczytał list, odłożył pióro, wziął kartkę, złożył ją na pół i napisał na odwrocie imię Freddy. Potem przycisnął róg listu dzbankiem, w którym zawsze stały na stole polne kwiaty, i podszedł do szafy po torbę, którą spakował, gdy Freddy latała. Pomyślał, że gdyby był lepszy sposób, na pewno przyszedłby mu do głowy. Ale nie było. Freddy wyleczy się z cierpienia. On nie.

Wiele godzin później, jadąc samochodem na północ ze stanowczo zbyt dużą prędkością, uświadomił sobie, dokąd zmierza. Przez setki kilometrów myślał wyłącznie o tym, by oddalić się jak najbardziej zanim zmieni zdanie, by dotrzeć do miejsca w którym nie ma wspomnień. Dopiero o świcie poczuł się bezpieczny, wkrótce bowiem Freddy miała przeczytać jego list.

Pomyślał, że mógł polecieć samolotem. Przeleciałby granicę i zgłosił

się w Vancouver. Powinna tam być baza Kanadyjskich Sił Powietrznych. A jeśli nie tam, to w Toronto. Wojsko zawsze potrzebuje instruktorów i nie patrzy na wiek. Nikt nie chce tej roboty, a już na pewno nie z początkującymi. Przynajmniej im pomoże, przynajmniej zostało dla niego jeszcze coś wartego zrobienia, bez względu na to, co zostało z jego życia.

Freddy przemknęła szaleńczo przez pas startowy w Dry Springs, wyciskając z samochodu ostatki mocy. Zahamowała z poślizgiem i piskiem hamulców o pół metra od samolotu. Wypadła z wozu, odwiązała ridera, kopnięciem usunęła podstawki spod kół, wskoczyła do kabiny, z impetem uderzyła w starter, ruszyła i w sekundy potem była już nad ziemią. Po raz pierwszy i ostatni w życiu nie sprawdziła maszyny przed wejściem do środka i nie wykonała koniecznych czynności związanych z próbą silnika przed startem.

List Maca znalazła przed niecałą półgodziną i poczuła, że jeśli natychmiast nie wzniesie się w niebo, to nie wytrzyma bólu. Nie umiała go opanować. Nie miała sił, by dalej istnieć, osunąwszy się we wszechogarniające, niewypowiedziane cierpienie. Musiała od niego uciec, jeśli nie chciała oszaleć. Podciągnęła dziób samolotu jak można najbardziej i na maksymalnej prędkości wspinała się wyżej i wyżej w ponure, zachmurzone niebo, bez przerwy zajęta korygowaniem położenia maszyny w odpowiedzi na raz po raz rozlegający się przenikliwy sygnał, ostrzegający przed nadmiernym przeciągnięciem, które mogło się skończyć nie kontrolowanym stromym nurkowaniem. Dyszała niczym pies i mrużąc oczy wpatrywała się w szarość nasączoną białym, oślepiającym światłem. Zapomniała o goglach, poza tym miała na sobie tylko koszulę i sweter, w których usiadła do śniadania, toteż na dużej wysokości wkrótce zaczęła trząść się z zimna. Mimo to nadal pchała maszynę do góry, pragnąc jedynie zdobywać wysokość. Nagle przebiła ciemne opary i znalazła się ponad chmurami. Nieuchronne, raptowne zderzenie z błękitem wstrząsnęło nią, to do niego gnała na oślep jak biegacz rzutem sięgający

taśmy na mecie; nagle straciła wszystkie siły, bezwładnie zgarbiła się nad tablicą przyrządów.

Rider wyjęty spod kontroli pilota szybko ustawił się w położeniu, do którego został zaprojektowany, i po chwili Freddy leciała równoległe do powierzchni ziemi o sto, może dwieście metrów nad białą połacią chmur.

Promienie słońca, padające na kabinę, ogrzały ją, i po pewnym czasie Freddy przestała drżeć. Podniosła głowę i znów zawładnęła maszyną. Poniżej przeświecały tu i ówdzie szczeliny w chmurach. Freddy zanurkowała w jednej z nich ruchem morświna i ponownie mogła nabierać wysokości, wspinając się ponad chmurę następną szczeliną, zrobiła to jeszcze raz, I Jeszcze, koncentrując się na silnym ruchu. Dostrzegła obłok o niezwykłym kształcie, obleciała go z rzemieślniczą precyzją, przez cały czas zanurzając w nim jedno skrzydło, drugim zaś pozostając na zewnątrz. Znajdowała wąskie, kręte, jaskrawo oświetlone aleje błękitu wśród masywnych ścian bieli i podążała nimi nie dbając, dokąd prowadzą. Czasem chowała się w chmurze, widząc nie dalej niż na piętnaście metrów, potem niespodziewanie, całkiem przypadkowo, wypadła z niej na spotkanie nieznanego.

Freddy bawiła się z chmurami, póki mogła. Przelatywała je zygzakiem, obrysowywała krawędzie, rozcinała skrzydłami od góry, dołu i na boki, czasem taranując je jak bańki mydlane, innym razem muskając lekko niczym starą koronkę. Nie patrzyła w dół. Kiedy w końcu rzuciła okiem na tablicę przyrządów, stwierdziła, że kończy jej się paliwo. Nie miała pojęcia, jak długo leci. Częściowo odzyskawszy zdolność podejmowania decyzji, zeszła poniżej poziomu chmur, żeby sprawdzić, gdzie jest.

Na dole we wszystkich kierunkach ciągnęła się pustynia. Żadnych dróg, drzew ani jakichkolwiek znaków orientacyjnych. Wszyscy piloci znający dolinę San Fernando wiedzą, że po kilku minutach lotu trafia się tam nad rozległy pustynny teren, którego żaden człowiek nie ujął jeszcze na mapie. Freddy była równie zagubiona, jakby wyleciała tysiąc kilometrów w morze, tyle że jak wszyscy ludzie morza miała na pokładzie busolę. Posłuszna starodawnym prawom obowiązującym wszystkich, którzy pragną przygód i pragną je przeżyć, zwróciła ridera na zachód. Do Dry Springs doleciała resztkami paliwa.

Kołując doprowadziła samolot na odległy kraniec pasa i tam go zatrzymała. Zgasiła silnik, ale nie mogła się zmusić, żeby wysiąść. Wydawało jej się, że póki pozostaje na miejscu, znajduje się jakby na wyspie, jest bezpieczna. Póki siedziała w kabinie, nie istniała zła przeszłość. Dopiero gdy jej myśli ułożyły się w słowa, zrozumiała, że wróciła rzeczywistość. A gdy pojęła, iż samolot jest tylko azylem, azyl przestał istnieć. Freddy leciutko dotykała przyrządów, dziękując każdemu z osobna. Okazały się pobłażliwe, nie kazały jej zapłacić za chorobliwie beztroski start. Przygnieciona własną bezmyślnością, podkołowała liderem po paliwo i zatankowała do pełna, potem odstawiła go na miejsce i przywiązała, siłą narzucając sobie dokładność.

I co teraz? - pomyślała, zawiązawszy i sprawdziwszy ostatni węzeł. I co teraz? Stała przy samolocie, dotykała poszycia, zupełnie nic wiedząc, co ze sobą począć. Skrzyżowała ramiona i oparła się o kadłub ridera, nie widzącymi oczami wpatrując się w brudną ziemię pod stopami.

- Freddy, gdzie jest Mac?

- Co? - Podniosła wzrok. Stał przed nią Gavin Ludwig, jeden z

asystentów Maca.

- Nie wiem, co zrobić ze stukasem, nad którym pracuję powiedział Gavin. - Czy mam zadzwonić do Swede'a i zawiadomić go, że skończyłem, czy poczekać, żeby Mac sprawdził?

- Jesteś zadowolony z maszyny?

- Moim zdaniem wygląda lepiej niż nowa.

- To zadzwoń do Swede'a i zapytaj, co z nią zrobić.

- Ech, lepiej jeszcze poczekam. Mac jest taki drobiazgowy, gdy chodzi o samoloty.

- Mac musiał wyjechać na pewien czas. Zostawił mnie na gospodarstwie, póki nie wróci. Zadzwoń do Swede'a.

- Dobrze, Freddy... jeśli tak mówisz. Kiedy Mac wróci? Nigdy nie wspominał, że się dokądś wybiera.

- Za tydzień, może dwa. Ma sprawy rodzinne. Wiesz, jak to jest.

- Każdy wie. Czyli teraz ty szefujesz?

- Codziennie od świtu do nocy.

- Na biurku Maca leży kilka kartek z wiadomościami o różnych porannych sprawach. Mogą poczekać do jutra, ale gdybyś przechodziła tamtędy dzisiaj...

- Gdzie jeszcze powinnam zajrzeć, Gavin?

- Latanie już masz za sobą.

- Owszem.

- Nie najlepszy dzień na coś takiego - powiedział, spoglądając na ciągnące chmury.

- Nie najgorszy - odparła Freddy. - Lepiej latać w chmurach, niż nie latać wcale, tego jestem cholernie pewna.

* * *

Wracając późnym popołudniem z lotniska do domu, Freddy zatrzymała się na bazarze i kupiła wszystkie składniki potrzebne do duszonej wołowiny w najbardziej skomplikowanej postaci, do której Mac używał czerwonego wina i jarzyn. Przysięgła sobie, że przed jego powrotem nauczy się ją przyrządzać. Dla czego tylko on miał być mistrzem tej potrawy? Czemu miała nadal pozwalać, żeby obarczał ją sporządzaniem jedynie najłatwiejszych potraw, takich jak hamburgery czy smażony kurczak? Przed ladą rzeźnika zawahała się. Czy kupić też kości na zupę, kości ze szpikiem i nóżki cielece i zrobić zupę mięsną? Była to druga ze specjalności Maca, do których przyrządzania nigdy nie została dopuszczona. Tak, pomyślała, prosząc rzeźnika o potrzebne artykuły, mam świetną okazję, żeby dorównać mu w umiejętnościach kulinarnych.

Freddy zwała zakupy w kuchni. List Maca wciąż leżał złożony na stole. Wzięła go, zapaliła gaz i nie rozkładając kartki, zamieniła ją w popiół, potem dziarsko weszła po schodach, żeby posłać łóżko, które rano zostawiła rozgrzebane.

Po doprowadzeniu sypialni do nieskazitelnego porządku Freddy poszła do łazienki. Stał tam kosz wypełniony do połowy koszulami Maca. Przełożyła je do wielkiej torby, żeby nazajutrz odwieźć do pralni. Kiedy Mac wróci, znajdzie wszystkie koszule równo ułożone na swoich półkach. Doprowadziła do ładu zawartość szafy. Upewniła się, że wszystkie buty stoją w jednej linii, a marynarki wiszą równo, poprawiła ułożenie swetrów, zewsząd powybierała skarpetki oraz bieliznę i położyła koło zlewu do prania.

Zanim skończyła, zrobiło się ciemno. Freddy włączyła wszystkie

światła w sypialni i zeszła do salonu. Tam też zapaliła wszystkie lampy, zauważając przy okazji, że powinna zająć się półkami na książki. Mac nigdy nie dał się przekonać, że książki należy ustawiać równo. Teraz nadarzyła się sposobność wniesienia tutaj ładu. Można było nawet zamówić parę półek na przyszłość. Książki posiadane przez Maca wypełniły już niemal szczerbnie całe przeznaczone na nie miejsce. Co więcej, ściśnięto je do granic możliwości, toteż przyszłe zakupy musiały skończyć w stertach na podłodze, jeśli Freddy nie zrobi czegoś w tej sprawie, korzystając z nieobecności właściciela.

Nalała sobie mały kieliszek whisky i poszła do kuchni zabrać się do jarzyn. Freddy specjalizowała się w obieraniu, krojeniu i rozdrabnianiu. Było to jedno z pierwszych zadań, jakie Mac jej powierzył, kiedy z nim zamieszkała. Szybko skrobiąc marchewkę, zastanawiała się, jak długo można odwlekać powrót do domu. Uznała, że według jej szacunku należy spodziewać się tygodni. Potrzeba co najmniej dwóch, żeby Mac przewyciężył skrupuły. Szczególnie po takim niepotrzebnie dramatycznym liście. Gdyby zjawił się zawstydzony szybciej niż po kilku tygodniach, wyszedłby na głupiego i oboje wiedzieliby o tym, choćby starali się nie wracać do, tematu. Może potrzeba miesiąca? Niewykluczone. Jeśli się dobrze zastanowić, to nawet prawdopodobne. Mac jest zawziętym sukinsynem i stać go na przeciąganie tej chorobliwej sytuacji przez miesiąc albo nawet nieco dłużej, ale nie dużo. Stanowczo nie wytrzymałby tak długo.

Łuskając groszek i obserwując wołowinę brązowiejącą na wielkiej patelni, Freddy stwierdziła, że bez wątpienia Mac wróci wkrótce po Wszystkich Świętych. W zeszłym roku na trzydziestego pierwszego

października ponacinali dynię i zrobili z niej latarnię, którą postawili na ganku dla dzieci sąsiadów. Nie wolno jej zapomnieć w tym roku, bo inaczej dzieciaki przeżyją ciężkie rozczarowanie.

Oстрыm nożem zaczęła obcinać czubki selerów. Uporała się z nimi bez kłopotu. Warto byłoby pomalować kuchnię, pomyślała, przechodząc do ziemniaków. W zasadzie malowanie przydałoby się w całym domu, a także na zewnątrz. Mac pozostawiony samemu sobie odkładał takie zajęcia bez końca. Ale skoro wyjechał, trzeba to załatwić, póki gospodarstwem zajmuje się Freddy. Kiedy wróci, będzie musiał przyznać, że dom wygląda o wiele lepiej. A jeśli już o tym pomyślała, powinna również wybrać materiał i zmienić zasłony w sypialni, może nawet narzuty na meble w salonie. Pokój wyglądałby lepiej, a gdyby był przytulniejszy, spędziliby w nim więcej czasu, zamiast kursować z kuchni do sypialni i z powrotem. Przed powrotem Maca było tak wiele do zrobienia, że Freddy nie wiedziała, czy zdąży ze wszystkim na czas.

Nie miało to znaczenia. Kiedy prace się zaczną, nic już jej nie powstrzyma, nawet gdyby tymczasem Mac wrócił do domu.

Mac nie znosił zmian. Ten człowiek żył przyzwyczajeniami. Od kiedy go poznała, nie przesunął w niewygodnym kantorku nawet najmniejszego mebla, poza dostawieniem pudełka na mapy, które Freddy zrobiła dla niego podczas warsztatów. Cóż, póki można, trzeba również kantorek uczynić wygodniejszym. Bez perkali, to byłaby przesada, ale dywan i parę znośnych krzeseł nie zaszkodziłoby z pewnością. W ten sposób dostałoby się Macowi za zostawienie jej wolnej ręki w interesach. Nauczyłby się na przyszłość nie dawać tak łatwo carte blanche pod wpływem chwilowego fatalnego nastroju, właśnie nastroju, bo co innego

wyjaśniałoby fakt, iż tak uczciwy człowiek wynosi się cichaczem z domu w środku nocy.

Ktoś musiał tymczasowo przejąć jego prywatne lekcje, bo inaczej Mac straciłby uczniów. Freddy mogła dostać licencję instruktorską przed końcem tygodnia. Musiała po prostu pójść na egzamin. Trudno byłoby jej powiedzieć, dlaczego nie postarała się o licencję wcześniej. Trzeba zawiadomić uczniów Maca, żeby poczekali, aż Freddy dostanie uprawnienia i zacznie z nimi ćwiczyć. Jeśli nie ściągnie sobie na głowę więcej latania, to chwilowo będzie mogła również zająć się przygotowaniem układów akrobatycznych do sobotniego serialu. Wziąwszy wszystko pod uwagę, doszła do wniosku, że lepiej pilnować stanu posiadania, niż szukać innej pracy. Chciała, żeby Mac po powrocie do tego, co w takim pośpiechu opuścił, musiał przyznać, że dobrze rządziła podczas jego nieobecności.

Freddy wsadziła wszystkie warzywa do wysokiego żeliwnego gara, dołożyła kilka poszatkowanych soczystych pomidorów, podsmażoną wołowinę, trzy liście bobkowe i trochę domowego chleba, który Mac zawsze trzymał pod ręką w pudełku. Oparłszy ręce na biodrach, stanęła nad garem i przyjrzała się zawartości. Wino i przyprawy zamierzała dodać później. Wyglądało na to, że nie pozostało jej nic prócz czekania, aż potrawa będzie gotowa. Spojrzała na zegarek. Dziewiąta. W jaki sposób zrobiło się tak późno? Podczas tej krzątaniny czas płynął. Obiad mógł być gotowy... o północy. Wołowina dusi się trzy godziny. Co gorsza, zdaniem Maca, po pierwszym duszeniu nie nadaje się jeszcze do jedzenia. Musi poczekać do następnego dnia, a jeszcze lepiej dwa dni, potem należy ją odgrzać i dopiero wtedy nabiera pełnego aromatu. Do diabła z

pogłębianiem aromatu. Freddy postanowiła zjeść wołowinę od razu pierwszego wieczoru. W ten sposób do północy miała czas na rozpoczęcie porządków w książkach. Nalała sobie jeszcze jedną małą whisky i pomaszerowała zaatakować półki.

* * *

W okresie, gdy Delphine podejmowała w swoim małym domu kochanka za kochankiem, kobiety ze służby znalazły w jej rozwiązłym zachowaniu źródło nader przyjemnych zainteresowań, a także rozrywki kompensującej niewyżycie. Zresztą po gwiazdzie filmowej spodziewały się co najmniej czegoś w tym stylu. Delphine zmieniała przyjaciół jak rękawiczki, tego nikt nie kwestionował, ale zachowywała się przy tym właściwie, przyjmowała ich pod własnym dachem, toteż w komentarzach nie posuwano się tak daleko, by zgłaszać zastrzeżenia natury moralnej.

Teraz jednak, gdy Delphine spędzała wszystkie noce poza domem, a służbę pozostawiała w absolutnej niewiedzy co do miejsca pobytu, chlebobawczyni zaczęła sprawiać znacznie gorsze wrażenie niż przeciętna flądra.

- Kto wie - spekulowała pogardliwie sprzątaczką Annabelle - z iloma mężczyznami się spotyka?

- Kto wie, w jakich to brudach nurza się mademoiselle de Lancel? - podsuwała Claudine, żona stróża, wydając z siebie zgorszone parsknięcia.

- Kto wie, z jakimi mężczyznami się parzy? - snuła domysły Violet, osobista służąca, tonem głosu wyraźnie dając do zrozumienia, że posądza Delphine o wielką różnorodność fascynujących rodzajów zepsucia, z których każdy jest bardziej zboczony od poprzedniego.

W rozmowach między sobą służba powtarzała z pryncypialnym

oburzeniem, iż Delphine jest winna grzesznych postępów obejmowanych czasownikiem „decoucher”, który oznacza dosłownie „spać w innym miejscu niż we własnym domu”, ale przenosi również wybitnie amoralny podtekst. W 1939 roku jedynie Francuzki zupełnie nie dbające o reputację postępowały w sposób uprawniający innych do użycia terminu „decoucher”, mającego jawnie pejoratywny odcień.

Te trzy kobiety, a także kucharka Helene, podzielały bez reszty nową opinię o Delphine. W tym, iż chlebodawczyni umknęła ich pilnej obserwacji, widziały powód do osobistej urazy, drażniła je głęboka zawiść, że przestały posiadać wiedzę, która tak długo dawała im poczucie władzy nad Delphine. Co gorsza, czuły się zagrożone bojąc się, że wolność Delphine źle wpłynie na ich dochody.

Delphine nie mieszkała w domu i wszyscy ponosili na tym straty. Wprawdzie nadal wypłacała służbie pensje, ale znikły liczne dodatki, skończyło się bowiem rozrzutne prowadzenie domu. Przepadły obfite procenty, które wszyscy przyzwyczaili się obcinać z domowych rachunków, Delphine bowiem nie zawracała sobie głowy drobiazgowymi rozliczeniami, zgodnie z głupią amerykańską manierą wykazując nadmierne zaufanie. W dodatku miała przedtem zwyczaj dawania służbie częstych napiwków i prezentów, traktowała domniemanych strażników własnej prywatności z beztróską i naiwną szczodrością. Również po tym nie zostało śladu, skoro Delphine nigdy nie było w domu. W miarę jak z upływem miesięcy chlebodawczyni nadal spędzała noce w nieznanach łózkach, naturalna zazdrość, którą cztery kobiety ze służby zawsze odczuwały wobec kogoś tak bogatego, młodego, pięknego i swobodnego jak Delphine, wyszła na powierzchnię i rosła w siłę.

* * *

Nikt na świecie nie wie,. Gdzie jesteśmy, myślała Delphine, dogłębnie przesiąknięta szczęściem, które wydawało się nieodwracalne, tak absolutne, że nawet zapomniała być w związku z nim przesadna. Osiągnęła spełnienie, po raz pierwszy w życiu osiągnęła taki spełnienie, o jakiego istnieniu jej się nie śniło. Uświadomiła to sobie, leżąc w salonie mieszkania na kanapie przy Boulevard Saint-Germain, ciepło otulona narzutą z grubego szkockiego sukna. Przyglądała się, jak Armand czyta przyniesiony z wytwórni scenariusz nowego filmu, pełen komplikacji, jakich jeszcze nie spotkał w swojej karierze. Była całkowicie odarta z wyrachowania, z ambicji, porzuciła postawę obserwatora innych, która towarzyszyła jej, jak Delphine sięgała pamięcią.

- O czym myślisz? - spytał, nie odrywając wzroku od tekstu.
- O niczym - odparła. - Zupełnie o niczym.
- To dobrze. Tak trzymać - powiedział i wrócił do lektury.

Nawet zatopiony po uszy w pracy, nie był w stanie wytrzymać dłużej niż kwadrans bez kontaktu z Delphine. Kiedy siedziała blisko niego, wyciągał rękę i niezauważalnie dotykał jej dłoni, kiedy dzielił ich pokój, rzucał jakąś uwagę i zadowalał się każdą odpowiedzią. Delphine zastanawiała się, czy w ogóle słucha jej słów, czy chodzi mu jedynie o brzmienie głosu. Nigdy o to nie spytała, bo nie miało to znaczenia. Wystarczało jej, że Armand jest tam, gdzie i ona. Mógł spędzać długie godziny na czytaniu, Delphine nie pragnęła w tym czasie niczego poza byciem w tym samym pokoju, ograniczała się do podtrzymywania ognia. Gdy wychodził do wytwórni, kręciła się po domu, o wiele więcej uwagi poświęcając marzeniom niż odkurzaniu, przygasała aż do jego powrotu.

Z poprzedniego życia brakowało jej jedynie pieca, który utrzymywał ciepło w domu. O żadnym z grzejników w mieszkaniu Armanda nie można było z pewnością powiedzieć, że działa, jeśli stało się dalej niż pół metra od takiego starożytnego urządzenia. Zgodnie z teorią Delphine, mieszkańcy dolnych pięter wysysali całe ciepło, nie pozwalając mu dojść wyżej. Armand utrzymywał, że ciepło unosi się i gromadzi na górze dowolnej struktury, muszą więc znajdować się w najlepszej sytuacji. Był to jedyny temat, co do którego nie mogli osiągnąć zgody, teraz jednak kończył się marzec, konsjerżka przestała palić i w ten sposób pozbawiła ich powodu do sprzeczek.

- Kiedy się pobierzemy, znajdziemy miejsce z lepszym ogrzewaniem - często powtarzał Armand w zimie, ale Delphine uznała w duchu; że woli raczej zamarznąć niż wyprowadzić się z tego mieszkania, na którym wycisnęła piętno pięcioletnia obecność Armanda. Na ścianach wisiały bez ładu i składu awangardowe obrazy, kupowane od handlarzy sztuką z sąsiedztwa, w pokoju czernił się wielki fortepian, na którym Armand równie entuzjastycznie grywał z natchnioną werwą ragtime'y i paskudnie bębnił Chopina, stały też zniszczone, wygodne meble znalezione na pchlim targu, a podłogę przykrywały dywany podarowane Armandowi przez rodziców, kiedy zakładał własne gospodarstwo. Tutaj był pokój, w którym wyznał jej miłość, i tutaj była sypialnia, w której spali i kochali się. Gdyby w przyszłości mieli znaleźć sobie inne miejsce, na pewno nie znaczyłoby ono dla niej tak wiele.

Wstała i dołożyła polano do ognia. Wkrótce czekało ich zejście po schodach do małej restauracji w pobliżu, odwiedzali ją prawie co wieczór. Żadne z nich nie gotowało. Kiedy nie jedli poza domem, kupowali gotowe

sałatki, sery i sosy w jednym z licznych sklepów delikatesowych w okolicy, po czym urządzali sobie piknik przy kominku, w którym od początku października prawie codziennie trzeba było rozpalać ogień. Każdego ranka Armand schodził na dół i przynosił rogalik. Podawał go Delphine do łóżka razem z *café au lait*, którą jakoś nauczył się przyrządzać. Delphine uznała, że w nowym wcieleniu nie potrzebuje strojów, jakie kupowała poprzednio, nie widziała też miejsca dla bieliźniarki ani eleganckiego szewca. Zdawało jej się, że ubrania, które po trochu przeniosła z domu, wystarczą jej do końca życia, zwykle nosiła bowiem marynarskie spodnie od Chaneli swetry Armanda, wkładane często po dwa, a nawet po trzy. Wracając na parę godzin na Villa Mozart, żeby zapłacić służbie i przekonać się, że dom jeszcze stoi, Delphine ubierała się we własny kostium i kapelusz, w drodze z Boulevard Saint-Gernain i z powrotem nigdy nie używała jednak własnego samochodu ani nie zatrudniała szofera. Domu ani wozu nie sprzedała, wiedziała bowiem, że ich posiadanie stanowi dla niej fasadę, jaką wciąż jeszcze należy utrzymywać.

Delphine była przekonana, że dobrze ukryła przed światem swoje życie z Armandem Sadowskim. Po tym, jak powiedział jej z niesmakiem, że nie chce stać się jeszcze jednym z wielu kochanków, postanowiła zachować ich związek w tajemnicy, póki nie dojrzeje w niej gotowość do małżeństwa. Od kiedy po raz pierwszy wspólnie spędzili noc, odrzucała wszystkie propozycje ról, niezmiennie częstując agenta pomysłowymi wymówkami. Nie mogła powiedzieć Abelowi prawdy, wyznać, że jest zbyt skoncentrowana na miłości, by tracić energię na granie, uczenie się kwestii i borykanie się z komplikacjami życia gwiazdy. Odrzuciła również

ofertę robienia nowego filmu z Armandem, zdając sobie sprawę, że w czasie pracy zdradziłaby się ze swymi uczuciami przed całą wytwórnią. Udawanie już jej nie pociągało.

Rzeczywistość też nie była atrakcyjna. Franco przejął władzę w Hiszpanii i został uznany przez Francję oraz Anglię, ale Delphine udało się o tym nie przeczytać, podobnie jak zdołała uniknąć wiadomości o sukcesie filmu Marcela Pagnola *Żona piekarza*. Triumf Katherine Hepburn w *Drapieżnym maleństwie* pozostał dla niej równie obcy jak Nagroda Nobla dla Enrico Fermiego za łańcuchową reakcję rozszczepienia. Delphine nie chciała nic o tym wiedzieć. Nawet małżeństwo było aktem, który obejmował potykanie się z rzeczywistością publiczną. Wykręcała się od tego za każdym razem, gdy Armand sugerował, że mogliby się pobrać. Delphine zaangażowała wszystkie siły percepcji w odgradzanie się od świata, w utrzymywanie niewzruszonego bezpieczeństwa jaskini prawdziwej miłości, którą stworzyła wespół z Armandem. Jediną jej troskę stanowiło tam zapewnienie zapasu drewna do kominka, co wiązało się z odpowiednim zachęceniem chłopaka, pracującego w pobliskim składzie opału, do wniesienia zakupu na górę.

Przy kioskach gazeciarzy przechodziła na drugą stronę ulicy, nigdy nie oglądała afiszy rozlepianych na murach, wybierała restauracje, w których nie można podsłuchać rozmowy ludzi przy sąsiednim stoliku, nie siadywała w kafejkach, wszystkie bowiem były wypełnione ludźmi dyskutującymi o polityce, nigdy też nie włączała radia, a Armand wiedział, że gazet do domu się nie przynosi.

Przez całą złowieszczą zimę i napawającą lękiem wiosną roku 1939 Delphine trzymała świat na dystans i żyła radością życia z Armandem

Sadowskim, który miał w sobie dość miłości, by rozumieć, co Delphine robi, a jednocześnie o wiele za dużo, by pozwolić sobie choćby jednym słowem na zburzenie kruchej iluzji.

* * *

- Mademoiselle de Lancel - powiedziała Violet w tydzień później, już na początku kwietnia, gdy Delphine składała kolejną wizytę w domu przy Villa Mozart. - W zeszłym tygodniu dwa razy telefonował pan wicehrabia. Powiedziałam, że pani nie ma w domu i obiecałam przekazać wiadomość, że dzwonił. Co mu powiedzieć następnym razem? Chyba niepokoi go pani milczenie.

- Nie przejmuj się, Violet, sama do niego zadzwonię - powiedziała niechętnie Delphine. Z powodzeniem unikała Bruna od września, znajdując dla niego równie pomysłowy, choć odmienny zestaw pretekstów jak ten, który wynajdywała, żeby wykręcić się od propozycji angażu. Bruno był jednak wytrwalszy od Abela i w odróżnieniu od tamtego chciał się z nią spotkać prywatnie, nie zawodowo. Wiedziała, że nie uda się zwodzić go dużo dłużej, mimo iż najgłębszy instynkt zabraniał jej dopuszczać kogokolwiek, nawet Bruna, do wdarcia się w jej idyllę, zbudowaną z żelazną konsekwencją. Rozsądek nakazał jej przynajmniej w tym przypadku zdobyć się na wysiłek. Może spotkamy się w ciągu dnia, myślała, dzwoniąc do banku.

- Delphine, muszę się z tobą spotkać - powiedział Bruno. - Od miesiący cię nie widziałem.

- To podłe z mojej strony, Bruno, mój aniele, że tak cię zaniedbuję, ale miałam absolutnie wariacką zimę. Robota, robota i jeszcze raz robota, spotkania, producenci, wszyscy czegoś chcą, ani sekundy dla siebie,

krótko mówiąc, czuję się jak więzień. Takie są uroki filmu! Bardzo mi Ciebie brakuje. Może przekąsimy coś wspólnie w południe. Obiad nie wchodzi w grę.

- Czy pasuje ci pojutrze?

- Doskonale. Gdzie się spotkamy?

- Może w moim nowym zakątku. Nawet go jeszcze nie widziałas, a zatrudniłam znakomitego kucharza. Nie lubię jeść w restauracji, za często muszę to robić zawodowo.

- Mieszkaś na Rue de Lille, prawda? Adres mam.

- Wobec tego czekam o pierwszej. Do środy.

Delphine odwiesiła słuchawkę ze zrezygnowanym westchnieniem i udała się na przegląd szaf, w poszukiwaniu stroju, który mogłaby włożyć na wizytę u Bruna. W tym roku nie kupiła nic wiosennego, ale dziesiątki kompletów z poprzedniej wiosny wisiały stłoczone jeden przy drugim. Wybrała granatowy, a do niego białą jedwabną bluzkę z niebieskim wzorem, który harmonizował z podszewką zakietu. Komplet był ciasno dopasowany w talii, miał poszerzaną spódniczkę tuż za kolana i nieco powiększone ramiona, nadal będące na porządku dnia. Delphine pomyślała, że jeszcze nie wyszedł z mody, a granat z bielą zawsze sygnalizują wiosnę. Violet przyniosła tymczasem słomkowy kapelusz z szerokim, lekko podwiniętym do góry rondem i kokardą z tyłu, zrobioną z tego samego jedwabiu co bluzka, buty na wysokich obcasach, torebkę, rękawiczki i pończochy; wszystko w swoim czasie zostało kupione specjalnie do tego kompletu.

- Czy mogłabyś mi to zapakować, Violet, a potem wezwać taksówkę?

- Czy nie potrzeba pani innych strojów, mademoiselle? Tylko ten? Może jeszcze coś na wieczór? - spytała Violet.

- Dzisiaj nie - odparła Delphine tonem, który wykluczał dalsze pytania.

Stojąc w dwa dni później na Rue de Lille, stwierdziła ze zdziwieniem, że Bruno najwyraźniej zajmuje całość wielkiego domu. Na dzwonek zjawił się kamerdyner we fraku i wprowadził ją do obszernego holu z podłogą wyłożoną białym i czarnym marmurem. Jediną ozdobą tego wybitnie męskiego, przypominającego muzeum pomieszczenia były zbroje i tkaniny ze scenami batalistycznymi. Delphine poczuła się jak w średniowiecznym zamku. Poprowadzono ją szerokimi głównymi schodami do olśniewającej biblioteki w tonacji czerwono-złotej, gdzie na jej powitanie z fotela zerwał się sam Bruno.

- Nareszcie! - powiedział, całując ją w oba policzki. - Co za elegancja, przeszłaś samą siebie.

- Dziękuję, Bruno, mój aniele. Bardzo się cieszę, że cię widzę. Czyżby to był twój nowy „zakątek”, żartownisiu? Dobrze ci się musi powodzić.

- Istotnie, nie narzekam, choć nie ma w tym twojej zasługi, ty paskudna dziewczyno.

- Od kiedy kolekcjonujesz zbroje?

- Należały do moich przodków z rodu Saint-Fraycourtów. Dziadek umarł i wszystko mi zostawił. W końcu znalazłem miejsce na te okazy.

- Słusznie, zapomniałam o świętych Saint-Fraycourtach. Szkoda, że nigdy nie poznałam twoich dziadków.

- Wiesz przecież, jacy byli staroświeccy. Nigdy nie zdobyliby się na

zmianę nastawienia do twojej matki.

- Pewnie sami na tym stracili - lekko powiedziała Delphine, nie dopuszczając do siebie urazy z powodu absurdalnego snobizmu ludzi, do których nie czuła najmniejszej sympatii. Cóż takiego mogła zrobić Eve, czego Delphine nie znalazłaby z własnego doświadczenia, i to dziesięciokrotnie lepiej? Chętnie napisałaby matce w jednym z listów do domu, że teraz ją rozumie, ale niestety zanadto odkryłaby się w ten sposób.

- Stracili niewątpliwie - odparł Bruno, podając jej kieliszek szampana. - Może wzniesiemy toast za wspólnych dziadków? Za Lancelów!

- Za babcię i dziadka - powiedziała Delphine z poczuciem winy. Zanedbała ich ostatnio tak jak wszystkich, żyjąc jedynie miłością. W zimie czasami telefonowała do nich, ale nie odwiedzała Valmont, odkąd szukała tam schronienia, próbując wyleczyć się z Armanda Sadowskiego. Zdawało jej się, że wspomina jakby inne życie, ale przecież działało się to w sierpniu, ledwie przed ośmioma miesiącami. Długo tam nie byłam, o wiele za długo jak na ich wiek, pomyślała i przyrzekła sobie wkrótce pojechać, choćby tylko na jeden dzień.

Delphine jadła bez apetytu posiłek z pięciu dań, podawanych przez dwóch służących, a Bruno opowiadał o swoich najnowszych koniach, o zainteresowaniu grą w squasha, o podróżach w służbie banku braci Duvivier. Delphine wiedziała, że brat zamierza ją namówić do wyświadczenia mu przysługi, inaczej nie spieszyłby się tak, nie miałby powodu koniecznie się z nią spotykać. Póki jednak nie doszedł do sedna i nie wyłożył prośby, rozkoszowała się siedzeniem tam w prześlicznym

kostiumie i prześlicznym kapeluszu, odpowiadając uśmiechem i zastanawiając się jednocześnie, skąd się bierze tak wyrefinowany styl życia u nieżonatego mężczyzny.

- Jesteś prawdziwą pięknnością, Delphine - zauważył nagle Bruno, kiedy wróciwszy do biblioteki, raczyli się bez świadków filiżanką kawy.

- Niektórzy chyba tak myślą - odparła. Miałam rację, pomyślała. Potrzebował jej pomocy, najwyraźniej chodziło o mężczyznę, którego poparcie chciał zdobyć.

- Prawdziwą pięknnością, wręcz niezwykle utalentowaną. Co więcej, masz w sobie wiele uroku, a to jest o wiele rzadsze niż piękno i równie cenne jak talent. W dodatku nosisz nazwisko Lancel, należące do jednego z najstarszych arystokratycznych rodów z prowincji. Masz wszystko, co może mieć kobieta. Żaden mężczyzna nie potrafi ci się oprzeć.

- Bruno, czyżbyś zamierzał mnie komuś sprzedać? - W obliczu tej ceremonialności Delphine nie mogła się nie roześmiać.

- Marnujesz się, Delphine, musisz z tym skończyć. To zbrodnia.

- O czym, do diabła, mówisz? - spytała zdezorientowana. Czyżby Bruno wiedział, że od miesiący nie zagrała w żadnym filmie?

- Mówię o przygodzie z Armandem Sadowskim.

- To akurat nie jest twoja sprawa, Bruno. Jak śmiesz? Posuwasz się za daleko! - Delphine z trzaskiem odstawiła filiżankę.

- Nie, Delphine. Musisz mnie posłuchać, dla własnego dobra!

Cały Paryż wie, że z nim mieszkasz. Słyszałem to od dziesiątek najrozmaitszych ludzi.

- Skąd ludzie mogą o tym wiedzieć? - W osłupieniu zapomniała o gniewie.

- Nie możecie ukryć się przed wszystkimi sąsiadami. Mieszkacie zaledwie o kilka ulic stąd, w sercu Szóstej Dzielnicy, będącej w waszych oczach siedliskiem cyganerii. Jadacie w pobliskich bistrach... nie jesteście tam jedynymi klientami, zapewniam cię. Kupujecie żywność w tych samych sklepach, w których zaopatrują się wszystkie kucharki, wchodzicie i wychodzicie drzwiami kamienicy sąsiadującej z restauracją Lippa, gdzie prędzej czy później każdy, kto należy do świata filmu, teatru lub polityki, zalicza przekąskę albo obiad.

- I co z tego, Bruno? Czyżby ci ludzie spędzali czas na przyglądaniu się przechodniom? Nie mają nic lepszego do roboty?

- Ludzie rozpoznają cię, jeszcze tego nie zauważyłaś? Masz tak znaną twarz, że nie możesz nawet przejść przez ulicę, nie budząc poruszenia. Wszystko jedno, jak się ubierasz, wszyscy wiedzą kim jesteś, w chwili gdy na ciebie spojrzą. A kiedy tylko wyjdiesz ze sklepu, niosąc te swoje jajka czy sery, mówią: „Widzieliście Delphine de Lancel, tę gwiazdę filmową. Ma romans z reżyserem Sadowskim. Byli tu któregoś dnia, gruchając jak dwa gołąbki”. Właściciel sklepu powtarza kucharce księżnej, kucharka powtarza osobistej służącej księżnej, a w tydzień później księżna stroi sobie ze mnie żarty na ten temat. Proste, prawda? Jeśli zaś mowa o świecie kina, to Guy Marchant wie o tym od miesiący. Usłyszał od trzech różnych ludzi, z których każdy regularnie bywa u Lippa. On powiedział mi pierwszy.

- Niech się udławiają swoimi plotami wszystkie księżne z eleganckiego świata i wszyscy filmowi marchantowie! Niech się udławiają, a ty razem z nimi!

- Posłuchaj, do diabła! Gdybyś miała zwykłą przygodę miłosną,

nawet nie próbowałbym ci przemówić do rozumu, ale z Sadowskim, z tym Żydem... jak możesz, Delphine?

Delphine zachłysnęła się powietrzem. Chłód pogardy w jego głosie zaszokował ją, zupełnie jakby dostała w twarz końskim łajnem, rzuconym przez ulicznego łobuza. Nie wierzyła własnym uszom.

- „Z tym Żydem”? Chyba nie to chciałeś powiedzieć, Bruno?

- Właśnie to. Sadowski jest Żydem, polskim Żydem, nie zaprzeczysz.

- Nie widzę powodu. Oczywiście, że jest Żydem. Ale co z tego? Co zaś do polskości, to jego rodzice urodzili się we Francji, a on sam czuje się znacznie bardziej francuski niż ja. Jest takim samym Francuzem jak ty, Bruno. - Delphine trzęsa się w napadzie furii.

- Jego przodkowie dwa pokolenia wstecz wyszli z jakiegoś polskiego getta, ale nawet gdyby od stuleci mieszkali we Francji, Sadowski nie byłby przez to ani trochę mniej Żydem - odpalił Bruno.

- Rozumiem, że twoim jedynym argumentem przeciwko niemu jest antysemityzm. Nie wstyd ci, Bruno? Czy nie robi ci się niedobrze na myśl o własnych poglądach?

- Wiedziałem, że źle mnie zrozumiesz. Nie jestem antysemitą bardziej niż pierwszy lepszy człowiek z ulicy. Póki Żydzi nie wchodzą mi w drogę, ja trzymam się z dala od nich. Mam jednak obowiązek cię chronić. Jesteś moją siostrą... przyrodnią, ale płynie w naszych żyłach ta sama krew. Jeśli pozostajesz w związku z Żydem, nie oznacza to dla ciebie niczego oprócz kłopotu. Musiałaś przecież czytać o krokach, jakie podjął Hitler przeciwko Żydom w Niemczech. Musiałaś zauważyć, że napływają do Francji ze wszystkich krajów Europy, nie tylko z Niemiec, usiłując znaleźć miejsce, gdzie byliby bezpieczni.

Niektórzy, najbystrzejsi, wyjeżdżają do Stanów Zjednoczonych albo do Szwajcarii. Myślisz, że Sadowski stanie się mniej Żydem przez to, że jest Francuzem? Czy myślisz, że Niemcy potraktują go inaczej, bo jego rodzice urodzili się tutaj?

- Niemcy potraktują go inaczej? Dlaczego miałyby nas cokolwiek łączyć z Niemcami? - W głosie Delphine strach mieszał się pół na pół z wściekłością.

- Mój Boże, Delphine, aż nie mogę uwierzyć w twoją ignorancję! Będziemy walczyć z Niemcami i przegramy.

- Oszalałeś. Idę do domu. - Delphine wstała i złapała za torebkę.

- Siadaj i posłuchaj, co mam do powiedzenia. - Bruno położył dłonie na jej ramionach i z powrotem popchnął ją na fotel. - Skoro jesteś... splamiona związkiem z Żydem, powinnaś przynajmniej powiedzieć mu, co się dzieje. W zeszłym miesiącu Chamberlain wystąpił z gwarancjami, że Anglia przyłączy się do wojny w razie ataku na Polskę. Daladier złożył taką samą obietnicę. Oznacza to, że również Francja przyłączy się do wojny w razie ataku na Polskę. Wojna, Delphine, wojna...

- Ale dlaczego za Polskę? Dlaczego mielibyśmy walczyć za Polskę?

- wykrzyknęła Delphine z oczami szerokimi od przerażenia.

- Bóg jeden wie. Sześć lat temu mogliśmy powstrzymać Hitlera. Teraz jest o wiele za późno.

- Nie wolno ci tak mówić, Bruno. Jesteś defetystą, panikarzem. Mamy Linie Maginota i największą armię w Europie - wyrzucała z siebie Delphine, odchodząc od zmysłów. Zmuszała się do dyskusji o sprawach, od których z takim wysiłkiem odpędzała myśli.

- Linia Maginota go nie powstrzyma - pogardliwie pokręcił głową

Bruno. - Belgia jest neutralna, Luksemburg jest neutralny, Rosja jest neutralna. Amerykanie są przekonani, że wojna się zbliża, i nie zamierzają się do niej włączyć. Wasz Charles Lindbergh, który wie o siłach powietrznych więcej niż ktokolwiek we Francji, objechał Niemcy i widział Luftwaffe. Twierdzi, że Niemcy dysponują taką siłą, jakiej chyba nikt nie potrafi pobić...

- Ale Układ Monachijski...?

- Delphine, daruj mi rozmowę o Układzie Monachijskim. - Lekceważenie jej słów gryzło niczym kwas. - Monachium stanowiło jedynie pozwolenie na dalszy marsz Hitlera. Wojna będzie i my ją przegramy...

- Jesteś geniuszem wojskowości... a może wyrocznią? - wypaliła Delphine prosto w twarz Bruna.

- A kiedy już przegramy wojnę, moja miła Delphine, wtedy twojego żydowskiego chłopca potraktują tak samo jak Żydów w Niemczech. Pozbawią go pracy, miejsca do mieszkania, obywatelstwa, nawet prawa jazdy. Będzie musiał uciekać z Francji, oczywiście jeśli znajdzie pieniądze, żeby się wydostać. Chcesz dzielić z nim taki los? Bo to cię czeka, jeśli z nim zostaniesz, ostrzegam Cię!

- Kłamiesz! Nic takiego się nie zdarzy. Jeśli wybuchnie wojna, Francja i Anglia pobiją Hitlera. Jesteś głupcem i odrażającym tchórzem, Bruno. Wstyd mi pokrewieństwa z tobą. - Delphine wstała i podeszła do drzwi. - Idź lepiej na dół i wciśnij się w jedną ze zbroi twoich nieustraszonych przodków. Może odejdzie ci trochę cykorii. A gdyby przypadkiem Hitler przyszedł cię tu szukać, to będziesz miał dobrą kryjówkę.

* * *

- Czy polecisz do Nowego Jorku na Targi Światowe? - spytał Gavin Ludwig. Był maj 1939 roku. Mechanik wpadł do kantorku w Dry Springs napić się coli i znalazł szefową przy biurku nad rachunkami.

- Nie stać mnie na paliwo - odparła Freddy. Gavin zaniósł się śmiechem. Tylko Freddy wiedziała, ile prawdy kryje się w jej słowach. Była zmuszona zaangażować trzech mężczyzn do udzielania lekcji pilotażu. Amerykanie garnęli się do nauki latania jak nigdy przedtem, ale żaden bez wyjątku nie chciał zgodzić się na kobietę instruktora. Freddy mogła zatrzymać uczniów Maca, wyłącznie obiecując im mężczyznę. W ciągu ośmiu miesięcy, jakie upłynęły od odejścia Maca, dodała mu jeszcze dwóch kolegów, ponadto czekało ją wpłacenie zaliczki na nową maszynę, waco N&C z silnikiem Jacobsa i wygodnym miejscem z tyłu. Nadawała się zarówno do lekcji, jak i do świadczenia nowej usługi, czyli ekspresowych skoków do Las Vegas i z powrotem tego samego wieczoru, przeznaczonych dla osób chcących potajemnie zawrzeć małżeństwo. Freddy nienawidziła tego nudziarstwa, ale nawet z rolą matrymonialnego taksówkarza musiała się pogodzić, jeśli chciała zarobić na życie.

Jak to się dzieje, że ludzie mają do mnie zaufanie, kiedy trzeba dolecieć z nimi na czas do kościoła, ale nie kiedy uczy się ich latać? - zastanawiała się Freddy. Była wszak jedną z nielicznych kobiet w Stanach Zjednoczonych, w sumie zaledwie siedemdziesięciu trzech, które miały uprawnienia do zawodowego przewozu pasażerów, a przecież każdy mężczyzna, nawet zupełnie świeży instruktor, dawał uczniom więcej pewności siebie, nawet jeśli w istocie rozbiłby samolot przy co najmniej stu skomplikowanych manewrach, które potrafiła wykonać kobieta.

Czyżby uczniowie sądzili, że maszynę pilotuje się kutasem?

Trzej mężczyźni, którzy teoretycznie pracowali dla niej, dostawali pieniądze za każdą przelatana godzinę, trzeba też było utrzymać samoloty, wypłacić co tydzień Gavinowi pensję mechanika, władować fortunę w ubezpieczenia, regulować miesięczną należność za wynajem hangaru i kantorku, pokryć niemałe koszty paliwa... Szkoła, jak stwierdziła Freddy, zarabiała jedynie na sobie i utrzymanie ridera. Okazjonalne loty do Las Vegas zapewniały jej wyżywienie i pozwoliły dokonać wpłaty na nową maszynę. Inaczej trzeba byłoby zamknąć szkołę.

Nerwowo odepchnęła się od biurka i zaczęła krążyć po hangarze, w którym stały zgromadzone samoloty z kolekcji staroci, wszystkie wypucowane i lśniące, bez śladu kurzu lub rdzy, pomalowane jakby fabrycznie nowe: curtiss pusher z roku 1910, fokker D. VII i dwa nieuporty 28, rozpoznawczy thomas morse, garland lincoln LF-1 i stukas. Dlaczego, kurwa, nie trzymam koni i powozów, pomyślała gniewnie, kopiąc czubkiem buta w koło jednego z nieuportów. Albo jednorożców, albo jednośladów? Byłoby z nich więcej pożytku niż z tych starych ptaków, które przez ostatni rok nie budziły najmniejszego zainteresowania filmowców. Rynek na filmy z okresu wojny światowej wysechł całkowicie w miarę, jak cień nowej wojny stawał się coraz wyraźniejszy. Freddy doglądała tych staroci osobiście, ucząc się konserwacji silników, nie była bowiem w stanie zapłacić nikomu za właściwe wykonanie tej precyzyjnej roboty, a nie chciała pozwolić, by samoloty, choć całkowicie nieużyteczne, zamieniły się w kupę złomu.

Poprzedniego roku w styczniu rozpoczęto produkcję filmu *Skrzydła wojennej marynarki*, który miał kosztować miliony dolarów. Marynarka

wypożyczyła kompanii Warner Brothers około czterystu pięćdziesięciu samolotów treningowych i zadaniowych, a także pięćdziesiąt PBY-1, gigantycznych latających łodzi typu „Catalina”. Jej biednych starych pokrak nikt już nie potrzebował. Eskadra starodawnych samolotów miała tyle wspólnego z filmami robionymi w 1939 roku, co gwiazdy niemego kina. Freddy natomiast tyle samo łączyło z pilotami, pracującymi jako kaskaderzy w sekwencjach Skrzydła wojennej marynarki kręconych w Penascoli, co i z Lilian Gish. Mogłaby wprawdzie otrzymać angaż jako dublerka Olivii de Havilland, która grała tam obiekt miłości wszystkich mężczyzn, tyle że nikt w marynarce nie pozwoliłby kobiecie nawet zbliżyć się do samolotu w jakimkolwiek innym celu poza przesłaniem pocałunku. Interesy szły bez wątpienia marnie i nie zanosilo się na poprawę. Mimo to Freddy wciąż mogła latać, nawet jeśli było to kosztowne przyzwyczajenie. Była to również konieczność. Absolutna konieczność.

Ilekcroć wściekłość ogarniała ją za bardzo, Freddy wskakiwała do ridera i uciekała w górę, w kierunku błękitnego horyzontu, póki nie doznała ulgi, z którą przychodziło też odczucie, że można już bezpiecznie postawić stopę na twardym gruncie.

Jakoś udało jej się przetrzymać pierwsze miesiące nieobecności Maca, dzięki wierze w jego powrót następnego dnia, ale rankiem któregoś z tych pustych następnych dni nagle uświadomiła sobie, że Mac nie ma zamiaru pojawić się z powrotem. Natychmiast zaczęła ją dusić wściekłość, którą zwykle odsuwała od siebie, pracując bez ustanku.

Wściekłość szarpała wewnątrz Freddy, była zbyt silna, by wyrazić ją słowami. Jak on mógł mi coś takiego zrobić? Tylko to jedno zdanie przychodziło jej do głowy, powracało znowu i znowu, jakby jej umysłem

zawładnęła mantra z religii Wschodu. Freddy bała się, że oszaleje. Siedem prostych słów powtarzanych we wszystkich odcieniach uczuć, od bezdennego żalu nad sobą po morderczą nienawiść do człowieka który ją porzucił, znaczyło tyle, że musi borykać się z życiem sama, bez jedyne go człowieka, na którym polegała. Jak on mógł mi coś takiego zrobić?

Freddy nie mogła nikomu zadać tego pytania, nie potrafiła bowiem przyznać, że Mac odszedł. Według niego, kochał tak bardzo, że musiał ją opuścić... Cokolwiek chciał przez to powiedzieć, takie wytłumaczenie nie wystarcza, myślała. Była jednym wielkim bólem, jakby niezmienna, nie słabnąca wściekłość odarła ją ze skóry. Cokolwiek chciał przez to powiedzieć, takie wytłumaczenie przenigdy nie mogło wystarczyć. Teraz pragnęła tylko zobaczyć Maca wracającego do niej na kolanach, chciała powiedzieć mu, jak bardzo ją zranił, jak bardzo zawiódł, jak wielką nienawiść w niej wzbudził, a potem zostawić go na zawsze.

Wieczorami, siedząc samotnie w domu, Freddy znajdowała nieco ulgi, sącząc po obiedzie whisky i dokładnie przeglądając gazety oraz magazyny lotnicze, jakie tylko wpadły jej w ręce. To zajęcie w końcu ją usypiało. Stanowczo za często łapała się jednak na myśli, że w którymś z magazynów być może natknie się na nazwisko Maca.

Nigdy go tam nie zobaczyła, za to zdobyła wiedzę o postępie lotnictwa we wszystkich krajach. Nowości miały teraz oczywiste znaczenie dla całego świata i Freddy z głęboką fascynacją śledziła rozwój sił powietrznych w Europie, a także w Stanach Zjednoczonych. Wydawca Aviation Magazine wrócił właśnie z podróży, w czasie której dokonał wielu obserwacji. Sklasyfikował Niemcy i Rosję na pierwszym miejscu pod względem liczby samolotów wojskowych, za nimi szły Włochy,

potem Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, a listę zamykała Francja. Biorąc pod uwagę jakość, przyznał pierwsze miejsce Niemcom i Stanom Zjednoczonym, a najdynamiczniejszą produkcję zauważył w Niemczech.

Następnego dnia po podpisaniu Układu Monachijskiego w Wielkiej Brytanii rozpoczęto organizowanie Cywilnej Straży Powietrznej. Dofinansowano szkolenie pilotów zarówno płci męskiej, jak i żeńskiej.

Przyjmowano bowiem każdego w wieku od osiemnastu do pięćdziesięciu lat, kto przeszedł pomyślnie zadania lekarskie. Freddy z zainteresowaniem śledziła przebieg tego eksperymentu, szczególnie od kiedy w prasie wybuchła burza wokół zadań pełnionych przez pilotki, które w RAF-ie, czyli Królewskich Siłach Powietrznych, zdawały się uczestniczyć we wszystkim poza lotami bojowymi, mimo wielu głośnych i zaciekłych sprzeciwów.

C. G. Grey, wydawca *The Aeroplane*, angielskiego odpowiednika *Aviation Magazine*, napisał wstępniak, który doprowadził Freddy do furii nie mającej nic wspólnego z Macem.

Zagrożenie polega na tym, że kobieta myśli, iż powinna latać nowoczesnym bombowcem, podczas gdy w rzeczywistości nie ma dość inteligencji, żeby dobrze wymyć szmatą podłogę w szpitalu. Uważa się za zdolną do udziału w lotach rozpoznawczych, chociaż nie potrafi ugotować mężowi obiadu.

Zastanawiała się, co zrobiłoby z panem C. G. Greyem, dostawszy go w swoje ręce, dwieście angielskich kobiet, które zostały już członkami Cywilnej Straży Powietrznej i według słów kapitana Balfoura, podsekretarza stanu do spraw lotnictwa, w razie mobilizacji miały być wykorzystane jako personel latający na samolotach transportowych.

Wątpliwy los C. G. Greya dostarczył Freddy tematu do konwersacji w czasie lunchu, jaki zjadła z matką w swoje dziewiętnaste urodziny, jeszcze w styczniu. Przez kilka wcześniejszych miesięcy Freddy bardzo uważała, by nie za wiele spotykać się z matką, obawiała się bowiem, iż Eve, która wyraźnie czuła sympatię do Maca, zacznie zadawać jej pytania, na które Freddy nie miała odpowiedzi. Matka utrzymywała jednak rozmowę w lekkim tonie i zadowalała się ogólnikami.

Zresztą przy wszystkich spotkaniach Eve powstrzymywała się od wnikania w prywatne życie córki, co Freddy dostrzegała z wdzięcznością. Nie mogła przecież opowiadać o swej biedzie ani wściekłości, matka padłaby chyba z wrażenia, gdyby dowiedziała się, że córka nie jest już dziewczicą, a tym bardziej że mieszkała z mężczyzną. Z drugiej strony, nie chciała też matki okłamywać, jak Swede'a Castellego, który wytrwale, nawet za wytrwale jak na gust Freddy, wpadał lub telefonował raz w tygodniu. Okazywał wtedy ojcowskie zainteresowanie jej osiągnięciami w prowadzeniu szkoły, choć był niedostatecznie bystry bądź zaaferowany czymś zupełnie innym, przyjmował bowiem bez zastrzeżeń bajeczkę o przedłużającym się pobycie Maca na Wschodnim Wybrzeżu. Freddy wiedziała, że Mac nie ma żadnej rodziny, ale wynalazła mu staruszków rodziców w Maine, którzy wymagali opieki, a Swede, na szczęście, wierzył w jej każde słowo.

Swede Castelli był jedynym mężczyzną, z którym Freddy mogła... rozmawiać, nie mając się na baczności. Musiała zwolnić kilku z zaangażowanych przez siebie instruktorów, gdyż ustawicznie się do niej dobierali, co z kolei stworzyło ciągły problem z zastępcami. Po odejściu Maca Freddy przestała przeglądać się w lustrze, ale najwyraźniej uczucia

gryzące ją od wewnątrz jak żółwie kajmanowe nie naznaczyły twarzy, bo tylko najbardziej zatwardziali żonkosie spośród mężczyzn, pracujących dla niej w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy, nie próbowali z nią żadnych sztuczek. Zastanawiała się nawet, czy nie powinna nosić papierowej torby na głowie.

Freddy wciąż jeszcze łąziła po hangarze, znajdując nikłą pociechę w bliskości czcigodnych, arystokratycznych samolotów, które kochała prawie tak samo jak Mac, kiedy usłyszała, że przed szkołą zatrzymuje się samochód. Wyszła na zewnątrz, zamrugała kilka razy oślepiona jaskrawym światłem i przystawiła do czoła daszek z dłoni. Swede Castelli ciężko wysiadł ze starego sedana, gramoląc się bez końca. Powinien stanowczo schudnąć, pomyślała Freddy, jak na byłego kaskadera porusza się o wiele za wolno. Przynajmniej będzie szczęśliwy, gdy zobaczy, że wszyscy trzej instruktorzy są w powietrzu i dają lekcje. Jeśli choć jeden marudził gdzieś na ziemi, czekając aż pojawi się uczeń, zawsze miało się wrażenie, że interesy idą za wolno.

Podeszła do niego z przyjaznym powitaniem. Wiatr szarpał ją za włosy, niemal zakrywając jej twarz. Pochyliła się, żeby pocałować Swede'a w policzek.

- Halo Freddy - powiedział, otaczając ją ramieniem. - Jesteś sama? Strasznie tu spokojnie. - Rozejrzała się dookoła, porównując ożywiony ruch na terenie lotniska i pustkę wokół szkoły.

- Nie bądź taki ponury, Swede. Wszyscy instruktorzy latają z uczniami. Muszą zarobić na życie. Ale poczekaj chwilę, zobaczysz parę przerażających lądowań w wykonaniu młodych adeptów sztuki. Masz je jak w banku.

- A może miałabyś ochotę pójść na filiżankę kawy? - spytał.

- Pewnie, jak można prowadzić taki interes bez kawy? - odparła Freddy myśląc, że Swede potrzebuje raczej czegoś mocniejszego. Wielki, łysiejący mężczyzna wyglądał bardzo blado i Freddy poczuła nagłą troskę o niego. Wydawało się, że od ostatniej wizyty, zaledwie tydzień temu, postarzał się o lata. Widocznie nie dopisywało mu zdrowie, w każdym razie po zwykłym u niego radosnym wyrazie twarzy nie było śladu. - Zapraszam do mojego kantoru nad kantorami - powiedziała Freddy z wyszukany ukłonem, który miał wywołać uśmiech na twarzy Swede'a. - Wypróbujesz nowe fotele.

Podawała Swede'owi duży kubek kawy, parzonej nieustannie, tak że zawsze na palniku stał przygotowany garnuszek. Uczniowie drżącym głosem prosili o kawę przed odlotem, a potem pili ją w euforii tuż po wylądowaniu, na zakończenie godzinnej lekcji. Freddy szacowała, że uczniowie, instruktorzy i Gavin wlewają w siebie w ciągu dnia tyle kawy, że przekraczają jej obroty w stoisku ze słodyczami u Van de Kampa. Stanowczo powinni płacić. Wtedy może ledwo bilansująca się szkoła stałaby się dochodowym przedsięwzięciem.

Freddy rozsiadła się na drugim z niedrogich, lecz wygodnych foteli, które kupiła chcąc uczynić kantorek przytulniejszym, i spojrzała z sympatią na dziwnie milkliwego Swede'a, gorliwie popijającego aromatyczną kawę. Wytrwale pracował nad kubkiem, póki go nie opróżnił, potem ostrożnie odstawił naczynie na biurko, jakby zrobiono je z najdelikatniejszej porcelany.

- Słuchaj, Freddy, muszę z tobą porozmawiać. - Wydobył chusteczkę i z nieświadomym westchnieniem otarł czoło.

- Chodzi o Maca.

- Czy nie możesz z tym poczekać, Swede? - powiedziała Freddy prosząco, usiłując ukryć zniecierpliwienie. Nie była w nastroju do kłecenia kolejnej bajeczki o synowskim oddaniu Maca w Maine.

Swede Castelli jakby nie usłyszał pytania Freddy.

- Chodzi o Maca - powtórzył smutno. - Miałem z nim kontakt, Freddy.

- Niemożliwe! - Słowo wyrwało jej się z ust, zanim zdążyła pomyśleć.

- Mac telefonował do mnie co tydzień... od kiedy wyjechał. Musiał... musiał wiedzieć, jak się czujesz... i upewnić się, że dajesz sobie radę.

- Przez cały czas wiedziałeś i nie powiedziałaś mi! - Poderwała się z fotela i stanęła przed nim. Z jej oczu były oskarżenie i gniew człowieka, którego oszukano.

- Mac wymusił na mnie obietnicę, że nic ci nie powiem. Przysiągłem mu. Nie mogłem złamać słowa. Jesteśmy starymi kumplami... chyba rozumiesz, co to znaczy. Ufał mi, że dotrzymam obietnicy i tak się stało. Nie myśl Freddy, że było mi łatwo. Mierziło mnie udawanie, że nie znam prawdy. Jezu, Freddy, tak mi było przykro, kiedy wymyślałaś przede mną te wszystkie bajeczki, ale przecież musiałem cię odwiedzać. Mac dzwonił i gdybym nie mógł mu powiedzieć, że jest z tobą wszystko w porządku, oszalałby chyba. Och, Freddy.

- Co się stało? - spytała w popłochu Freddy nie wiedząc, skąd przyszły jej do głowy te słowa. Stała nad Swede'em jak żywa groźba.

- Chwileczkę, Freddy, pozwól, że powiem to po swojemu... Mac... Mac jest... w Kanadzie.

- Gdzie w Kanadzie? - wykrzyknęła. Dostanie się do niego. Jutro mogą być razem. Jeśli zaraz polecą riderem, potrzebuje tylko paru godzin.

- Niedaleko Ottawy, w bazie Kanadyjskich Sił Powietrznych - odparł Swede. Freddy obróciła się i gwałtownie ruszyła do drzwi, Swede wstał i powstrzymał ją ramieniem. - Nie, Freddy, posłuchaj. Muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

- Jeszcze coś? - powtórzyła czując, jak na dźwięk nowego, budzącego lęk tonu w głosie Swede'a, ogarnia ją panika.

- Mac nie żyje - powiedział Swede z bólem. Łzy napłynęły mu do oczu. - Był wypadek... wpadł w korkociąg... w sekundy było po wszystkim. Dzisiaj rano dostałem list od jego dowódcy. Mac nie miał krewnych, więc zostawił na wszelki wypadek moje nazwisko. Z listu wynika, że zginął w czasie lekcji, ucząc jakiegoś smarkacza, który zeszywniał ze strachu za sterami. Prawdopodobnie to było przyczyną. Mogła też zawieść maszyna. Jeszcze nie wiedzą na pewno. Generał twierdzi, że pewnie nigdy się nie dowiedzą... Pogrzeb był wczoraj. Wojskowy pogrzeb... obu.

- Pogrzeb - powtórzyła Freddy. - Pogrzeb? Mac! Mac? Mój Mac? Kłamiesz, przecież ty kłamiesz! Proszę, powiedz, że kłamiesz, Swede. Proszę cię. - Błagalny głos załamał się, po szoku przyszło zrozumienie. Swede Castelli niezgrabnie otoczył Freddy ramionami, jakby mógł ją osłonić przed własnymi słowami.

- Chciałbym kłamać - usłyszała go Freddy. - Ten człowiek był moim jedynym bratem.

- Och, Swede - zawołała. Głos ledwie się przebijał przez niepowstrzymany szloch. - Jak mam żyć, skoro Maca nie ma? Powiedz,

Swede, jak mam żyć? Skąd wziąć chęć do życia?

- Tak mi przykro, Freddy. Było... cudownie widzieć was dwoje razem.

- Nie musiałeś mnie opuszczać, Mac. Nie musiałeś odchodzić.

- On był pewien, że musiał. Zawsze powtarzał mi, że postąpił w jedyny słuszny sposób i wie o tym. Kochał cię tak diabelnie, że miłość oderwała go od ciebie.

Oboje podnieśli wzrok, słysząc przed kantorkiem pytanie jednego z instruktorów, a potem odpowiedź ucznia. Samolot musiał wylądować przed chwilą. Freddy pospiesznie zamknęła drzwi kantorku.

- Może powinnaś wrócić do rodziny - powiedział niespokojnie Swede widząc, że Freddy szłocha coraz gwałtowniej.

- Pamiętasz, poznałem kiedyś twoją matkę. Zrobiłoby ci dobrze, gdybyś teraz była z nią.

- Swede... jak mogłabym wyprowadzić się z naszego domu?

- Mimo niepowstrzymanego, rujnującego smutku Freddy usiłowała jakoś zareagować na próby pocieszenia.

- Nie wiesz, że mieliśmy dom... mały, słodki dom... jak mogłabym się z niego wyprowadzić? To jedyne, co mi zostało po Macu.

- Rozumiem - odparł. - Ale obiecaj, że kiedy przyjdzie czas, pomyślisz o mojej radzie.

- Kiedy przyjdzie czas? Nigdy nie przyjdzie. Pamiętaj; Swede, nigdy, nigdy póki żyję.

- Freddy, chciałbym zrobić coś, żeby ci pomóc. Proszę, pozwól mi.

- Czy mógłbyś, przyjść do mnie jutro wieczorem i powtórzyć wszystko, co Mac ci mówił? Opowiedzieć, jak żył w Kanadzie? Przyjdź i

opowiedz mi jeszcze raz... jak bardzo mnie kochał!

Tego wieczoru, po zapadnięciu zmroku Freddy wróciła do hangaru pełnego wspaniałych starych samolotów. Po jednym wytaczała te kruche, majestatyczne, uwielbiane ptaki na otwartą trawiastą przestrzeń po drugiej stronie pasa startowego. Każdy z nich mógłby jeszcze wzlecieć, mógłby unieść mężczyznę... lub kobietę... daleko, daleko na spotkanie błękitnego horyzontu.

Zgrupowała je ciasno, przepchnęła najlżejsze tak, by zachodziły skrzydłami na pozostałe, potem wyniosła kanister z benzyną i ostrożnie rozlała ją na samoloty i dookoła. Obchodziła maszyny powoli, po raz ostatni pieszcząc ich skrzydła, dźwigary i kadłuby, wprawiając śmigła w ostatni obrót i głośno wymawiając legendarne nazwy, które w ustach Maca brzmiały z taką miłością. Nad każdym z tych samolotów Mac spędził setki godzin, przywracając im pierwotny blask.

W końcu, czując w sobie opór, lecz stanowczo, zapaliła zapałkę i przytknęła ją do najbliższego samolotu. Kiedy ogień strzelał już wysoko, a szlachetna eskadra duchów wyruszyła śladem Maca, Freddy przed odwróceniem się wypowiedziała jeszcze trzy słowa:

- Spokojnego lotu, Mac!

- Jak sobie radzisz, Jane? Dajesz odmrożeniom imiona czy je numerujesz? - spytała Freddy, zwracając się do koleżanki z pokoju. Obie niechętnie wysuwały się spod zimnych koców na spotkanie jeszcze większego zimna panującego dookoła wczesnym styczniowym rankiem roku 1941. Freddy skubnęła firankę, robiąc szparę wyjrzała w czarny, zmrożony, brytyjski przedświt i czym prędzej znów zasłoniła okno.

- Och, zdrobniałe imiona... chłopaków, ale tylko tych, którzy mi się oświadczyli. - Czcigodna Jane Longbridge ziewnęła i chwiejnie ruszyła ku umywalce, starając się nadać głosowi radosne brzmienie. - Numery byłyby zbyt przygnębiające. Nie wierzę, żeby ktoś naprawdę chciał wiedzieć, ile ma odmrożeń.

- Nigdy nie narzekałaś? - zapytała Freddy. Odmrożenia zostawiały na skórze bolesne czerwone znaki, piekły przy dotyku, swędziały i nabrzmiwały, przybierając pośrednią formę między odciskiem a kurzajką. Zimą wyrastały na palcach stóp i dłoni, i najwyraźniej czuły się tam dobrze, mimo iż Freddy wkładała kilka par wełnianych skarpet pod buty do latania, a wychodząc zawsze miała na rękach rękawice z grubą podszewką.

- Przywykłam w szkole. Wówczas wściekle narzekałam, ale bez skutku. Przełożoną zainteresowały dopiero owrzodzenia. Paskudztwo, ale dostałam kilka tygodni zwolnienia z wuefu. Warto było. Nie znosiłam wuefu. - Kasztanowowłosa Jane szybko opryskała twarz, dziarsko umyła zęby i z aprobatą przejrzała się w lustrze, jak co rano bezwstydnie podziwiając przez chwilę proste włosy, proste zęby i prosty nos, które w zestawieniu z niesfornie pewnymi swego, wielkimi piwnymi oczami i

przekornym, łatwo przychodzącym uśmiechem tworzyły obraz jednej z najładniejszych dziewczyn pod słońcem, co Jane często stwierdzała z niejakim samozadowoleniem, acz zupełnie zasadnie.

- Tyle w tym Dickensa, że robi się mdło - rzuciła Freddy, zajmując miejsce przy umywalce.

- W odmrożeniach?

- W szkole, gdzie dzieci ich dostają. Co za sens być czcigodną córką barona? Nie powiedziałaś o tym matce?

- Nie wysilałam się Szkada czasu. Matka uwielbia wuef Pewnie kiedyś była dumna z odmrożeń. - Jane zacisnęła zęby i zrzuciła z siebie górną, a następnie dolną połowę grubej piżamy, szybko wciskając się w zestaw drogocennej wełnianej bielizny na zimę, jeszcze sprzed wojny. Freddy sypiała we własnych rzeczach z wełny, nakładając na nie obszerną niedźwiedziową podszewkę od kombinezonu i był to jej jedyny sposób na utrzymanie względnie przyzwoitej temperatury ciała w całkowicie nie ogrzewanej sypialni kwatery dzielonej z Jane. Trwała jedna z najbardziej ostrych zim w historii. Przez ostatni miesiąc nawet niemieckie siły powietrzne musiały odwołać Blitz. Zmasowane nocne naloty bombowe, rozpoczęte po zeszłorocznym fiasku Luftwaffe, której nie udało się rozbić RAF-u w bitwie o Anglię, zostały czasowo powstrzymane przez wyjątkowo niesprzyjającą pogodę nad Wielką Brytanią.

Freddy była w Anglii już prawie od półtora roku, czyli od końca czerwca 1939, kiedy to sprzedała dom w Kalifornii. Wraz ze śmiercią Maca przestał istnieć powód utrzymywania szkoły. Zastanawiając się, co robić dalej, dochodziła zawsze do jednej odpowiedzi: znaleźć sposób, by włączyć się w to, za co zginął Mac. Stany Zjednoczone były neutralne,

zresztą w żadnej z formacji tamtejszych sił powietrznych nie było miejsca dla kobiet. Istniała jednak Cywilna Straż Powietrzna w Wielkiej Brytanii wspólnie z czterema tysiącami rekrutów, którzy chcieli nauczyć się latać.

W testamencie, który przechowywał Swede Castelli, Mac zostawił wszystko Freddy. Sprzedała więc dom i samoloty ćwiczebne, z ulubionym białym liderem włącznie. Zanim udała się jako ochotnik do Wielkiej Brytanii, pożegnała Eve i Paula, godząc się w końcu z ojcem. W Anglii zatrudniono ją niezwłocznie jako instruktora na kursach pilotażu.

W trzy miesiące później, pierwszego września 1939 roku, Hitler najechał na Polskę, a w dwa dni później Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom.

Pierwszego stycznia 1940 roku starannie wyselekcjonowano małą grupę najsprawniejszych kobiet instruktorów Cywilnej Straży Powietrznej, między którymi znalazła się Freddy. Zaproponowano im podpisanie kontraktów z ATA, Pomocniczym Transportem Powietrznym. Była to wcześniej instytucja cywilna zrzeszająca wyłącznie mężczyzn, odpowiedzialna za dostarczanie samolotów dla RAF-u z fabryk na lotniska, gdzie tak desperacko ich potrzebowano.

W rok później liczba kobiet latających w ATA zaczęła rosnąć a mężczyźni, którzy dotąd zajmowali ich miejsca, przechodzili coraz liczniej do sił zbrojnych. Kobiety dowiodły, że potrafią latać w równie ostrych i niesprzyjających warunkach, jak mężczyźni. Pracowały przez trzynaście dni z rzędu, żeby doczekać dwudniowej przerwy. Startowały w powietrze i dostarczały samoloty przy tak fatalnej pogodzie, iż odwoływano wszystkie loty bojowe. Latały bez radia i jakichkolwiek pomocy nawigacyjnych poza kompasem. Manewrowały nad krajem pokrytym dziesiątkami tysięcy

balonów zaporowych, których stalowe liny stanowiły pułapkę dla wszystkich samolotów, wrogich i przyjacielskich.

Pogoda nad wyspą zmieniała się nieoczekiwanie i zdarzało się, że zupełnie bez ostrzeżenia, z sekundy na sekundę pilot znajdował się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Kraj był upstrzony lotniskami RAF-u strzeżonymi przez działka przeciwlotnicze, których obsługa najpierw strzelała, a potem zadawała pytania, trwała wszak wojna i wróg był tak blisko, że pilot ATA nie mógł czuć się zaskoczony, gdy podchodząc do lądowania, dostrzegł nagle messerschmitty nurkujące nad pasem przygotowanym na jego przyjęcie.

W zimie słońce wschodziło o dziewiątej a zachodziło o piątej po południu, w Wielkiej Brytanii przez całą wojnę, bez przerwy, obowiązywał bowiem optymistyczny z nazwy „brytyjski podwójny czas letni”, inaczej mówiąc czas służący oszczędności światła. Było jeszcze ciemno, kiedy Freddy i Jane dojechały do bazy w Hatfield wysłużonym MG, którym Jane niegdyś terroryzowała okolicę. Tego dnia przypadała rocznica pierwszego lotu w ATA wykonanego przez kobietę i komendantka bazy, Pauline Gower, zapowiedziała na wieczór jubileuszowe przyjęcie.

Poprzedniego dnia było strasznie: mroźnie, śnieżnie, mgliście, deszczowo i chmurnie. Jane, zerkając w niebo, wesoło mruknęła coś o wszelkiej możliwej zarazie, a loty z Hatfield zostały zawieszono niedługo po dwunastej. Freddy i Jane spędzili więc popołudnie w swojej wynajętej norze. Na zmianę parzyły herbatę i drzemały, ciesząc się rzadkim, a przy tym nieoczekiwanym wolnym dniem. W innych bazach niektórzy piloci postanowili jednak wystartować. Była wśród nich Amy Johnson,

rozwidziona już z Jimem Mollisonem, która wstąpiła do ATA wkrótce po Freddy. Światowej sławy pilotka, kobieta podziwiana przez Freddy od tylu lat, wyleciała z Blackpool w hrabstwie Lancashire na dwusilnikowym Oksfordzie, samolocie, który również Freddy i Jane pilotowały teraz najczęściej. Miała go dostarczyć niedaleko, do bazy sił powietrznych w Kidlington, na wybrzeżu, w hrabstwie Somerset.

Freddy i Jane wyskoczyły z MG, spiesząc do względnego ciepła pokoju pilotów, gdzie odebrały rozkazy mówiące, na jakich samolotach polecą tego dnia w przypadku pomyślnych warunków atmosferycznych. Ściskając rozkazy, skierowały się do kasyna, drewnianej chałupy, w której bez końca pito herbatę i kawę oraz plotkowano. Były tam również tarcza do lotek, stół bilardowy i aktualne gazety. Piloci przynieśli szachownice i planszę do tryktraka, mówiło się też o urządzeniu szkoły brydżowej w pokoju pilotów. Jane i Freddy przysięgały sobie nawzajem, że do niej nie wstąpią: Jane brylowała w rzutach lotkami, Freddy najchętniej wrzucała karty do czapki upierając się, że wymaga to lepszej koordynacji ruchów i sprawności niż pozostałe gry. W rzeczywistości, czuwając w pogotowiu była za bardzo podenerwowana, by skoncentrować się na bardziej skomplikowanej rozrywce.

- Oho, coś się stało - powiedziała Jane w chwili, gdy wkroczyły do kasyna. Pilotki zgromadziły się razem, pozostawiwszy kawę, i w zaaferowaniu rozmawiały przyciszonymi głosami z wyrazem niedowierzania na twarzach.

- Co jest? - spytała Freddy, zaczepiając Helen Jones.

- Amy Johnson. Rozbiła się wczoraj u ujścia Tamizy.

- O Boże... nie! - wykrzyknęła Freddy.

- Miała duże opóźnienie, zapadał wieczór - powiedziała Helen. - Musiała zgubić się nad chmurami i skończyło się jej paliwo, bo doleciała do miejsca sto pięćdziesiąt kilometrów od Kidlington. Podali już oficjalnie... wyłowili z wody torbę Amy. Wyskoczyła na spadochronie nad chmurami i wylądowała w morzu. Niewiele brakowało, by ją uratowali. Na trałowcu chroniącym konwój widzieli, jak tonie oksford, próbowali ją wyciągnąć, ale dostała się pod rufę.

Freddy odwróciła się gwałtownie od reszty zebranych i podeszła do okna. Wyjrzała, ale nie zobaczyła niczego, szok przesłonił jej widzenie. Amy Johnson, która jako pierwsza kobieta samotnie lecąc do Australii przeżyła burze piaskowe, monsuny i dziesiątki przymusowych lądowań, diabeł w ludzkiej skórze, o którym śpiewano Amy, cudowna Amy, odważna do szaleństwa Amy, która przekroczyła wszelkie granice wytrzymałości ustanawiając rekord przelotu Londyn - Tokio w kategorii lekkich samolotów, brawurowa Amy, która wykonała rekordowy lot z Paryża do Cape Town i z powrotem ubrana w kostium od Elsy Schiaparelli i dopasowany płaszcz... wydawało się niemożliwe, że Amy Johnson, jej Amy, najbardziej doświadczona pilotka Wielkiej Brytanii zginęła jako pierwsza z nich.

- Rozumiem cię, Freddy - powiedziała Jane, otaczając ją ramieniem.

- Kiedy miałam dziewięć lat, przeleciała do Australii w małym starym samolociku, a teraz mam prawie dwadzieścia jeden, a ona ginie, próbując przelecieć całkiem pewnym dwusilnikowcem z Blackpool do Kidlington. Miała dopiero trzydzieści osiem lat. Nie mogę uwierzyć. Jak to się mogło stać?

- Pewnie nigdy się nie dowiemy. Chodź, Freddy, rzucimy karty,

Która wygra, płaci za obiad - dziarsko zaproponowała Jane.

- Gdyby nie była nad wodą... gdyby nie było tak mroźno...

- Bez gdybania, maluśka. Amy sama wczoraj decydowała, czy lot jest bezpieczny. Mogła zostać w Blackpool. Wszystkie możemy wybierać w każdej chwili spędzanej w powietrzu. Wolno nam wylądować, kiedy kroi się coś niedobrego, i przeczekać na ziemi, aż się rozjaśni. Wiesz o tym i ona też wiedziała. Postanowiła lecieć, chociaż większość na jej miejscu nie poleciałaby. Szlak biegnie nad wyspą, daleko od brzegów, obie pokonywałyśmy go dziesiątki razy. Ona leciała górą, leciała nad chmurami i zabłądziła. W innym wypadku nie znalazłaby się nad wodą. Nikt nam nie każe latać nad chmurami... w żadnym wypadku. Charakter zawinił w równym stopniu jak pogoda, kotku.

- Charakter - powtórzyła zamyślona Freddy.

- Czy nie jest tak, że każda z nas zawiera w lataniu swój charakter?

Freddy rozejrzała się wśród kobiet wypełniających pomieszczenie. Zatrzymała wzrok kolejno na Winifred Crossley, która tak jak ona była kaskaderką na Rosemary Rees, która nie tylko odkrywała nowe podniebne szlaki, lecz również tańczyła w balecie, na Gabrielle Patterson, mężatce, mającej dzieci, która zdobyła uprawnienia instruktora już w 1935 roku, na Joan Hughes, która zaczęła latać mając piętnaście lat i nie była starsza niż Freddy i Jane, na Margie Fairweather, której brat był dyrektorem generalnym linii lotniczych BOAC, a mąż również latał jako pilot w ATA. Tworzyły razem najwspanialsze i godne najwyższej uwagi towarzystwo kobiet pilotów na świecie i rzeczywiście latanie każdej z nich miało odmienny charakter. Startowały do nowych lotów, prezentując najróżniejsze kombinacje odwagi i przezorności, sportowej brawury i

tępego poszanowania dla przepisów, precyzji i skłonności do ryzyka. Która z nich zdecydowałaby się wczoraj wystartować z Blackpool? Bardzo możliwe, że żadna... albo jedna... albo może dwie. Nie wiadomo, zgadywanie nic nie da. Odwróciła się do Jane.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego tak dobrze sobie radziłaś w tej potwornej szkole, bez względu na wuef.

- Rzucamy karty, czy zamierzasz mi się podlizywać?

- Pobawmy się trochę. Sądząc po tak zwanym wschodzie słońca, nasze latanie dzisiaj znowu jest problematyczne. Czy opowiadałam ci kiedyś o wschodzie słońca w Kalifornii? Nie uwierzysz, ale tam ogląda się go codziennie, nawet w zimie. A czy wiesz, że Anglia jest na tej samej szerokości geograficznej co Labrador? Dziwne miejsce, żeby się osiedlać.

- Jeszcze jedno słowo i zmienię sobie współmieszkanekę.

* * *

Rocznicowe przyjęcie w ATA odwołano. Freddy i Jane z paroma innymi pilotkami ATA poszły do pubu w Hatfield, wypityły po drinku za Amy Johnson i spokojnie rozeszły się do kwater przez mroźne, mroczne ulice zaciemnionego miasta.

Dziewiątego i dziesiątego stycznia 1941 roku rozkład lotów Jane i Freddy przewidywał dla obu dwa dni wolnego. Po raz pierwszy Freddy mogła przyjąć od dawna czekające zaproszenie Jane do odwiedzenia jej rodzinnego dworu w hrabstwie Kent. Longbridge Grange było siedzibą ojca Jane, lorda Geralda Henry'ego Wilmota, czternastego barona Longbridge, i matki Jane, lady Penelope Juliet Longbridge, z domu Fortescue.

Pod ciężkimi granatowymi płaszczami wojskowymi Jane i Freddy

miały na sobie dobrze skrojone, obcisłe i po męsku wyglądające mundury: granatowe spodnie i taką samą kurtkę, z dwiema kieszeniami na piersiach zapinanymi na guziki i dwiema dużymi kieszeniami, również zapinanymi na guziki, poniżej pasa z mosiężną klamrą. Nad prawą kieszenią na piersi miały wyszytą złotym brokatem parę złotych skrzydeł, szeroką na dziesięć centymetrów. Na ramionach złociły im się po dwie belki, jedna szersza, jedna węższa. Freddy miała też na ramieniu czerwono-biało-niebieskie insygnia, które świadczyły, że jest Amerykanką. Pod kurtkami obie dziewczyny nosiły niebieskie koszule RAF-u i czarne męskie krawaty. Ze względu na zimno postanowiły włożyć grube spodnie i buty do latania, które w rozumieniu regulaminu nie nadawały się do noszenia poza lotniskiem. Obie zapakowały granatową spódniczkę, czarne pończochy i praktyczne czarne buty, czyli resztę przepisowego uniformu na czas spędzany na ziemi, i wdzięcznie nasunęły na czoło granatowe furażerki.

Załatwiły sobie przelot masywnym ansonem, jedną z niezastąpionych taksówek powietrznych, która docierała z pilotami w miejsca, skąd odbierali samoloty, a po wykonaniu zadania odstawiała ich z powrotem do bazy. Zarówno Freddy, jak i Jane czasami pilotowały ansona, którego kadłub był dość obszerny, by pomieścić piętnastu stłoczonych pilotów ze spadochronami. Strata choćby jednego ansona stanowiłaby katastrofę, toteż latali nimi tylko najbardziej zaufani piloci.

Po krótkim czasie wysadzono je na lotnisku w hrabstwie Kent, dokąd wyjechała po nie matka Jane, która oszczędzała racje paliwa na tę od dawna planowaną wizytę. Lady Penelope uściskała córkę i wyciągnęła rękę do Freddy, ale nagle rozmyśliła się i ją także uściskała.

- Tak się cieszę, że w końcu tu jesteś, kochanie; Jane nieustannie o

tobie pisze. Myślę, że w końcu znalazła się pod dobrym wpływem - powiedziała przystojna, kasztanowowłosa kobieta, skrycie rzucając dumne spojrzenie na córkę.

- Tak naprawdę, to Jane wywiera dobry wpływ na mnie - rzuciła Freddy ze śmiechem.

- Ależ - to nonsens., Niemożliwość. Znamy naszą Jane. A jest niepoprawna chociaż czasami bywa słodka. Wsiadajcie do samochodu, nim zamarzniecie. Nie możemy się spóźnić na lunch.

Prowadziła samochód szybko i wprawnie, wskazując przy okazji liczne miejsca na polach, teraz pokrytych śniegiem, gdzie w najgorszym okresie Blitzu spadły bomby.

- Jestem pewna, że w nas nie celowali, przecież nie stwarzamy zagrożenia, ale dom leży prawie dokładnie pod szlakiem lotniczym wiodącym z Londynu do portów nad kanałem. Co za plaga... przez jeden z tych samolotów odleciał cały tynk w salonie... Zeszłej jesieni bomba zapalająca doszczętnie zrujnowała korty, a na drodze do wsi ciągle leży ten nieznośny niewypał. Świącie wierzę, że w końcu ktoś sobie o nim przypomni i rozbroi go przed topnieniem śniegów. Kompletna bzdura. Dzięki temu zamieszaniu pamiętam jednak co wieczór o sprawdzeniu, czy dom jest właściwie zaciemniony.

- Kto jest urzędowo opiekunem domu, mamusiu? - spytała Jane.

- Ech, Jane! Oczywiście, że ja! Przecież nie mogę liczyć na nikogo innego. Twój biedny ojciec nie widzi w nocy, choćby się najbardziej starał. Za to nowy ogrodnik Smali, ni mniej ni więcej tylko siedemdziesięciopięciolatek, wydaje się całkiem do rzeczy. W wolnych chwilach robi koktajle Mołotowa na wypadek inwazji. Mamy ich

imponujący zapas. Powiedziałam mu, że zagrożenie inwazją już ustąpiło... mam rację, prawda Jane? powiedziałam mu, ale on jest całkiem głuchy, więc nie zwrócił uwagi. - Obróciła się i przeniosła spojrzenie na Freddy. - Kochanie, Jane pisała nam, że twoi rodzice są w Londynie. Czy bardzo im tam źle?

- Nie tak bardzo. Cierpią trochę niewygód i trochę są przestraszeni, ale nic gorszego ich nie spotyka. Ostatnio kiedy miałam wolne, pojechałam do Londynu ich odwiedzić. Akurat zbombardowano dom przy końcu ich ulicy. Poza tym wszystko jest w porządku.

- Rozumiem, że ojciec przyjechał, żeby przyłączyć się do sił de Gaulle'a.

- Wyjechał z Los Angeles na pierwszy radiowy apel de Gaulle'a z Londynu, w czerwcu 1940 roku. Włączył się tu do działalności Wolnej Francji. Pracuje z Gustavem Moutetem i grupą dziennikarzy, którzy założyli codzienną gazetę France. Matka jest kierowcą ambulansu... W tym tygodniu ma dyżur.

- Dzielna kobieta - powiedziała lady Penelope uważając, by nie zapytać o Delphine, Jane pisała jej bowiem, że od czasu zajęcia Paryża nikt z rodziny nie miał o niej pewnych wieści. Samochód przejechał szybko przez małą wioskę i zwolnił przed wielką bramą. - Witajcie, kochane, jesteśmy na miejscu.

Lady Penelope pokonała długi podjazd wysadzany dębami i zatrzymała się przed budynkiem, który sprawiał wrażenie, jakby wytrysnął ze śnieżnych zasp, tak ściśle był połączony z nagimi, lecz pięknie ukształtowanymi drzewami i ciemnozielonymi krzewami cisu, które go otaczały. W grubych ścianach dworu były widoczne solidne dębowe bale i

kremowe cegły. Oba te materiały pochodziły z okolicy obfitej w wapienne grunty i zalesione wzgórza. Nie było człowieka, który doliczyłby się wszystkich poziomów dachu Longbridge Grange, stylów, w jakich wykonano szczyty kryte dachówką lub cegłą, albo pomysłowo rozmnożonych kominów. Liczne i asymetryczne okna dzieliły się na rzędy małych szybek, z których większość była tak wiekowa, że miała kolor lawendy. Ostatnim razem, kiedy lady Penelope kazała usunąć trochę tynku w najmniejszej spizarni, robotnicy znaleźli dwie monety wybite w 1460 roku. Czas zachowywał się wobec Longbridge Grange wybiórczo, nie ocalając niczego, co nie byłoby wyjątkowo przyjemne dla oka.

Longbridge Grange miało pięć skrzydeł, z których każde odbijało losy rodziny w innym okresie. Mimo rozmiarów uroczo rozpełzającego się budynku nic w nim nie przypominało klasycznej w formie, majestatycznej siedziby ludzkiej. Zawsze był to po prostu dwór otoczony grupą rozległych, zamożnych farm należących do Longbridge'ów, z dużą tłocznią do jabłecznika, obszernymi stajniami, powozownią, gołębnikiem i pewną liczbą oddalonych stodół i budynków gospodarczych. Tuż za progiem Longbridge Grange Freddy poczuła się, jakby wchodziła do przyjaznego, pachnącego lasu. Sosnowe gałązki ozdabiały wszystkie drzwi, leżały też na gzymsach wielu kominków, a w holu wciąż jeszcze wisiała bożonarodzeniowa jemioła. Wszędzie szalały na powitanie szczekające psy.

Jane Longbridge by ja pod względem wieku druga w siedmioosobowym rodzeństwie. Dwaj młodszy bracia mieszkali obecnie w internatach, ale najmłodsza trójka, złożona z samych dziewczynek, dziewięcioletnich bliźniaczek i siedmioletniej maskotki rodziny, chodziła

do szkoły w pobliskiej wsi. Z okazji przyjazdu Freddy i Jane pozwolono im zostać w domu. Wszystkie trzy wstydlawie uściśniły rękę Freddy, a potem obkoczyły Jane, omal nie przewracając jej z zachwytu.

- Chodźcie wszyscy. Lunch czeka w kuchni - przerwała im lady Penelope, spoglądając z dystansem na rozhasane potomstwo i psy, jakby nie umiała sobie wyobrazić, skąd się to wszystko wzięło.

- W kuchni, mamó? - spytała zaskoczona Jane.

- Najcieplejsze pomieszczenie, kochanie. Zamknęłam większość domu na cztery spusty i pozostawiłam własnemu losowi. Kiedy już wygramy wojnę; trzeba będzie zrobić diabelne odkurzenie, ale zacznę się tym martwić w swoim czasie.

* * *

Przez większość popołudnia Jane i Freddy bawiły się z dziewczynkami, z upodobaniem odbierając pieszczotliwe wyrazy uwielbienia. W końcu Freddy poszła do siebie na górę zdrzemnąć się przed obiadem. Zaciągnęła story zaciemniające okno i na godzinę zapadła w zdrowy sen. Zасыpiając myślała z przyjemnością, że od chwili wejścia do dworu jest jej przez cały czas prawie, jeśli nie zupełnie ciepło. Miała za sobą pięć godzin luksusu... może nawet pięć i pół.

Zbudziło ją pukanie do drzwi. Weszła Jane w szlafroku, ciepłych skarpetkach i bamboszach.

- Nalałam ci wody na kąpiel - powiedziała cichym, konspiracyjnym szeptem.

- Kąpiel?

- Gorącą, prawdziwą kąpiel. Przedwojenną. I absolutnie nielegalną. Liczę, że nie powiesz o tym nikomu. To musi pozostać naszą tajemnicą.

- Chcesz powiedzieć...

- W wannie jest ponad dziesięć centymetrów wody - oznajmiła Jane uroczyście.

- Och, Jane, jak mogłaś? - wykrzyknęła Freddy. - Wiesz, że nie powinnaś. To sprzeczne z wszelkimi rozporządzeniami.

- Bez głupich obiekcji. Po prostu chodź ze mną. Spokojnie... wszyscy są zajęci w innych częściach domu. Nie chcę usłyszeć od ciebie ani piśnięcia.

Przyłożyła palce do ust i podawszy Freddy szlafrok, poprowadziła ją korytarzem do drzwi obszernej łazienki, w której solidna wiktoriańska wanna na mosiężnych lwich łapach górowała nad całym pomieszczeniem. Freddy podeszła na palcach do wanny, zajrzała do środka i z wrażenia głęboko odetchnęła. W głębi parowała chyba półmetrowa warstwa wody. Tak pełnej wanny nie zdarzyło jej się widzieć od początku wojny. Uprzejma gospodyni na kwaterze pozwalała im na jedną letnią kąpiel tygodniowo w dziesięciu centymetrach wody, zgodnie z rozporządzeniem. Poza tym musiały myć się po kawałku, stojąc przed umywalką w pokoju. Tu był prawdziwy skarb!

Freddy rozebrała się i szybko zanurzyła w wodzie stwierdzając, że woda sięga nieco wyżej niż do talii. Wzięła od Jane mydło, mocno wtarła je we włosy, aż zrobiła się piana, i spłukała dokładnie, po czym zaczęła się szorować wielką gąbką, która leżała na krześle koło wanny.

- O Boże, jak dobrze. Dobrze, dobrze, dobrze! Będę się tu moczyć, póki woda nie wystygnie. Póki nie zamarznie. Żadna siła mnie stąd nie wyciągnie!

- Stygnie ci woda, maluśka? - spytała niespokojnie Jane.

- No... owszem. Trochę. Nie, Jane, nie wolno ci odkręcać kranu. To nielojalne w stosunku do innych. I tak już mam straszne poczucie winy. Jak będę mogła spojrzeć w twarz twojej matce? - Wygładzone przez wodę włosy odsłaniały twarz pełną rozkoszy.

Ciało Freddy zaróżowiło się od tarcia.

- Nie wygłupiaj się. Mama ma jeszcze góry drewna. - Jane podeszła gwałtownie do drzwi i szarpnięciem otworzyła je na oścież.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! - zabrzmiał chór i do łazienki wkroczyły trzy siostrzyczki Jane, każda z parującym kociołkiem. Za nimi kroczyła szeroko uśmiechnięta lady Penelope, dźwigająca okazały gar, z którego para unosiła się dużo obficie. Stały dookoła wanny i pod dyktando Jane odśpiewały *Happy Birthday to You*, ceremonialnie dolewając przy tym wody. Do ostatniej frazy dołączył się niespodzianie głos mężczyzny.

- Wstań, wstań, wstań, pokaż swoją twarz... - zabrzmiało, a cała piątka pań Longbridge z brzękiem odrzuciła puste kociołki i wykrzyknęła:

- Tony! - Zupełnie zapomniały o gościu, oblegając najstarszego z braci.

Freddy schowała się pod wodą, niemal zgięta w pół, trzęsąc się ze śmiechu. Czy i to Jane zaplanowała? Czyżby coś tak w jej stylu mogło być przypadkiem?

- Tony, chodź tutaj i przywitaj się - zakomenderowała Jane.

- Pani podporucznik Marie-Frédérique de Lancel, czy mogę przedstawić brata, czcigodnego majora Antony'ego Wilmota Alistaira Longbridge'a. Freddy, Tony.

- Czy jesteś absolutnie pewna, że to on? - podejrzliwie spytała

Freddy, osłaniając piersi rękami.

- O tak, dobrze go pamiętam - odparła Jane.

- Dobry wieczór, majorze Longbridge - Freddy udało się wdzięcznie skinąć, nie podnosząc głowy.

- Dobry wieczór, pani podporucznik. W cywilu, jak widzę.

- Na przepustce, sir.

- Zawsze się tak mówi.

- Zapewniam, sir, że to prawda.

- Czy może pani tego dowieść?

- Nie.

- Wobec tego muszę uwierzyć na słowo.

- Dziękuję, wasza wysokość.

- Bez przesady, „sir” wystarczy. Spocznij.

- Antony, natychmiast wyjdź z łazienki! - powiedziała lady Penelope,

- Pozwól Freddy w spokoju dokończyć kąpieli.

- Przecież to są jej urodziny, mamó. Nie sądzisz, że jest spragniona towarzystwa? Po prostu posiedzę tutaj i pogawędzimy. Jane może wyjść. Dzieci, przynieście jeszcze pani podporucznik gorącej wody.

- Antony, zaraz stracę cierpliwość - powiedziała ostrzegawczo matka.

- Och, w porządku, mateńko, skoro nalegasz - powiedział niechętnie, nie odstępując krawędzi wanny. - Wiesz przecież, że jest wojna. Stare zwyczaje muszą ustąpić nowym i tak dalej. Hej, mamó, nie szczyp mnie. Do diabła, już idę.

* * *

Mruczając coś podobnego do inkantacji druida, Jane przebijała się

przez rzędy przedwojennych wieczorowych sukni wiszących w garderobie.

- Nie sądziłam, że ludzie jeszcze ubierają się do obiadu - powiedziała Freddy, przyglądając się przyjaciółce.

- Czyżbyś wyobrażała sobie, że pozwolimy ci zjeść urodzinowy obiad w mundurze?

- Od czasu publicznej kąpieli zupełnie nie wiem, co myśleć... ani czego się spodziewać. - Freddy szcztokowała głowę, próbując wygładzić fryzurę, ale tego dnia w powietrzu czuło się siarczasty mróz i włosy były jeszcze bardziej samowolne niż zwykle, mimo iż po przycięciu do regulaminowej długości obowiązującej w ATA nie zasłaniały kołnierza munduru. Słyszała ich trzaski i czuła, jak naelektryzowane stają dęba, tak że aż łaskoczą ją w dłonie.

- Ale nam się udało. Tony się objawił - radośnie zaśmiała się Jane. - Chyba mu się spodobałaś.

- Mam nadzieję, że w tym obłoku pary nie mógł mnie dobrze obejrzeć. W każdym razie ja jego nie mogłam.

- Czy wszyscy Amerykanie są tacy pruderyjni?

- A czy wszyscy Brytyjczycy są tacy rozpasani?

- Tony? On jest absolutnie nieszkodliwy - odparła Jane przez ramię, przybierając pozę rozsądnej młodszej siostry, wydającej sąd o dwudziestopięcioletnim bracie. - Przecież nie próbował do ciebie wchodzić, prawda? Bo to byłoby rozpasane, bezczelne, niegrzeczne... mogłoby nawet wskazywać na podstawowe braki w dobrym wychowaniu. On po prostu chciał się zaprzyjaźnić. Nasz Tony to towarzyski facet z wielkim sercem... poczciwiec. Nie będzie ci sprawiał kłopotów, maluśka.

Chyba że sama ich szukasz... albo jesteś niemieckim pilotem messerschmitta czy junkersa 88. W takim przypadku kłopot jest niewątpliwy, i to poważny. O, znalazłam! Zastanawiałam się, gdzie ją wcisnęłam.

Jane wyłoniła się z garderoby, trzymając wieszak ze srebrzystą sukienką bez ramion, która miotła po całym pokoju migotliwe, świetliste strzały. Luźny dół wyglądał, jakby sam z siebie mógł poderwać się do walca. Talię znaczyła szeroka, czarna aksamitna szarfa z kokardą na boku, od której pasemka aksamitu zwisały prawie do ziemi. Na drugim ramiączku wisiała czarna aksamitna chusta w kształcie wielkiej, udrapowanej kokardy oblamowanej srebrem.

- Chyba wystarczająco uroczyste - powiedziała Jane, wyciągając rękę z wieszakami. - Na wypadek, gdyby zrobiło ci się zimno, masz do sukni chustę. Przymierz to wszystko i zobacz, czy pasuje.

- Na pewno! Nic mnie nie powstrzyma przed włożeniem tej sukni. - Freddy nie mogła złapać tchu, czując prawie niewyobrażalną rozkosz. Wszystko, co przytrafiło jej się od chwili wejścia do Longbridge Grange przypominało piknik na trawie, improwizowany, całkiem niespodziewany i cudownie nie pasujący do wojennej rzeczywistości Anglii. Czuła się radośnie oszołomiona, nieprzyzwoicie podniecona, niewypowiedzianie zadowolona z siebie. Nawet odmrożenia przestały jej dolegać.

- Buty! - powiedziała Jane, stukając się w czoło, i spiesząc z powrotem do garderoby. Wróciła ze srebrnymi bucikami i cienką srebrną bielizną. - O czym jeszcze zapomniałam?

- Nie ma diademu?

- Do obiadu nie jest absolutnie niezbędny. Chociaż... chociaż...

- Żartowałam.

- Tak czy owak, klejnoty są w sejfie. Trzeba zrezygnować z diademu. Szkoda, że... Lepiej się ubierajmy. Papa już powinien być w domu i na pewno zbierze mu się na marudzenie, jeśli nie dostanie przed obiadem swojego drinka. Wołaj, gdybyś potrzebowała pomocy. Spotkamy się za pół godziny na dole.

- Dobrze. Dziękuję za tę sukienkę, Jane.

- Kiedy ją nosiłam, pięć razy mi się oświadczali... przynosi szczęście... oczywiście nie tym biedakom. Naprawdę jest mi ich żal.

- Po prostu pechowcy - powiedziała Freddy, przyglądając się, jak dół sukni faluje podczas obrotów. - Nie ma co się z nimi pieprzyć, Jane.

- Ale było, maluśka, było.

* * *

Zanim Freddy udało się ubrać w nietypową kreację, uszminkować i zakończyć jałowe próby poskromienia lśniących czystością rudych włosów, które plątały się od czoła ku tyłowi głowy w beztróskim nieładzie, dorośli członkowie rodziny Longbridge'ów zgromadzili się już w bibliotece przed okazałym ogniem w kominku. Wszyscy mówili szybko i, zdawało się, jednocześnie, a tymczasem lord Gerald, uzbrojony w srebrny mieszacz do koktajli, zaczął przygotowywać dla wszystkich martini.

Freddy zawahała się przed samymi drzwiami, zanim jeszcze ją dostrzeżono. Przepelniała ją całkiem zbijająca z tropu mieszanka uczuć. Longbridge'owie byli rodziną, ona była kimś z zewnątrz, a przecież powitali ją dziś jak jeszcze nigdy nikt obcy jej nie witał. Wiedziała, że zna Jane lepiej niż własną siostrę, ale nigdy przedtem nie spotkała jej ojca, a

Tony ledwie zamajaczył jej przed oczami w mundurze Królewskich Sił Powietrznych. Niewątpliwie odczuwała wstyd, jakiego nie pamiętała u siebie od lat, ale nie było w niej lęku, nie mogło go być w tej wyjątkowej, teatralnej sukni, która, zgodnie z przewidywaniami Freddy, pasowała bez zarzutu. Trwały jej dwudzieste pierwsze urodziny. Była honorowym gościem. I, dobry Boże, wszyscy na nią czekali.

Ta myśl w połączeniu z dźwiękiem, który powiedział jej, że ojciec Jane miesza dzin z wermutem i za kilka sekund będzie mógł nalewać, pchnęła ją naprzód i Freddy weszła do pokoju płynnym krokiem. Przystanęła jeszcze raz, wstyd znowu wziął górę, cała czwórka obecnych przerwała bowiem rozmowę i odwróciła się w jej kierunku. Nastąpiła chwila całkowitej, osłupiałej ciszy, która, mimo nieświadomości Freddy, stanowiła wyraz najwyższego uznania dla jej wyglądu, potem lord Gerald Longbridge odstawił mieszacz i podszedł do Freddy.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, panno de Lancel - powiedział, ujmując jej dłonie i z zaskoczeniem spoglądając w zwycięski błękit przenikliwych oczu. - Syn mówi, że ominęła mnie najważniejsza chwila dnia, a właściwie roku. Powiedziałbym, że to nielojalne. Nie wiem, jak pani teraz wkradnie się w moje łaski, skoro zostałem tak paskudnie potraktowany. Chyba będę musiał uznać panią za wyjątek, a najlepiej gdyby pani jutro powtórzyła pokaz, tylko proszę mnie tym razem lojalnie ostrzec, żebym znowu nie został na lodzie. Ponadto, zastanawiało mnie, czy przypadkiem nie pija pani martini?

- Owszem, lordzie Geraldzie, z przyjemnością Czy zechce pan mówić do mnie Freddy? - Roześmiała się, po zawstydzeniu nie zostało śladu, spłoszył je ten przystojny, siwy czarodziej z równie bystrymi

oczami jak u Jane.

- Niech będzie Freddy - odparł, podając jej ramię - Podejdz, proszę, do ognia. Muszę nalać te drinki, zanim alkohol się ulotni. - Przeprowadził ją przez duży, słabo oświetlony, wysoki pokój do miejsca, w którym stały Jane, daleka od powściągliwości w zamaszystej szkarłatnej sukni z atłasu, i lady Penelope, wspaniale wyglądająca w brązowym aksamicie z kremową koronką Tony, niepostrzeżenie dla kobiet, wycofał się do ubranej na biało choinki w rogu i udawał, że bawi się lampkami, chcąc popatrzeć na Freddy, zanim ta się z nim przywita.

Odkąd weszła do pokoju, wydawało mu się, że otaczają świetlny obłok. Było coś niebiańskiego w jej nagłym, milczącym i srebrzystym pojawieniu się, coś co kazało mu pomyśleć o pierwszym, zawsze zaskakującym, zawsze jakby groźnym, zawsze przyspieszającym bicie serca błysku planety Wenus. Czyżby to była ta sama psotna, wesoła dziewczyna z kąpieli? Czyżby metamorfoza była tak łatwa? Zastanawiał się, czy jeszcze przed końcem obiadu Freddy nie zamieni się w aleję wysadzaną kwitnącymi drzewami.

- Pomóż mi, Tony - poprosił ojciec. - Jeśli możesz, to podaj Freddy martini.

Niosąc wychłodzony kieliszek w kierunku kominka, major Antony Longbridge omal nie potknął się o dywan, leżący niezmiennie w tym samym miejscu od sześciu pokoleń. Freddy podniosła wzrok.

- Jeszcze raz dobry wieczór, majorze - powiedziała. - W cywilu, jak widzę?

- Ach, o to chodzi. - Spojrzał na smoking. - Pomyślałem... no, jest szczególna okazja... bluza od munduru wymagała prasowania... sądziłem,

że w tym będzie mi wygodniej... zresztą w domu... na przepustce...

- Im zawsze udaje się znaleźć usprawiedliwienie, prawda, Jane? -
Freddy dezaprobująco pokręciła głową.

- Szokujące. Ci faceci z RAF-u nie mają morale. Ubierają się jak capy. Myślą, że regulaminowy wygląd jest nie dla nich. On się chyba nawet nie ogolił przed obiadem - przyznała Jane.

Freddy powstrzymała się od sprawdzenia ręką. Rzucając na Tony'ego przelotne spojrzenie w chwili, gdy podawał jej drinka, pomyślała, że poznałaby w nim Anglika nawet gdyby spotkała go na Sumatrze lub pod Biegunem Południowym. Wyraźnie było to widać po twarzy o niezwykle harmonijnej, prostej budowie z jasno zarysowaną strukturą: długie, wystające kości sprawiały, że rysy były ostre i zdecydowane. Tony miał wysokie czoło, gładkie, brunatne włosy rozcięte po jednej stronie przedziałkiem, zaczesane do tyłu i lekko falujące. Oczy były bladoniebieskie, brwi rzadkie, nos spiczasty i wydatny, usta szerokie, mięsiste i grube, policzki płaskie i rumiane, uszy duże, ale nie odstające. Podłużna, frapująca głowa nie miała w sobie ani jednego miękkiego rysu, niczego pospolitego. Tony był potężny, ale przy swoim wzroście wydawał się szczupły. Przyjmował władczą, zdradzającą autorytet postawę. Freddy uznała, że nie dostrzega ani trochę brytyjskiego ugrzecznienia i uśmiechnęła się do niego jak do żadnego mężczyzny od niemal trzech lat.

- Ogolić mi się udało - powiedział Tony, nie zwracając uwagi na siostrę - chociaż woda nie była za gorąca.

- Muszę uwierzyć na słowo - lekko odparła Freddy i natchniona do najbardziej wyrachowanego gestu kokieterii, na jaki zdobyła się w życiu, odwróciła się od niego, by wypytać lady Penelope o pochodzenie koronki.

* * *

Obiad w pokoju ogrzewanym przez dwa duże kominki podawała starsza kobieta, której pomagał czternastoletni chłopiec. Oboje pochodzili z pobliskiej wsi i wciąż jeszcze można było ich zatrudnić do pomocy kucharzowi przy szczególnych okazjach. Ten dziwny dobór służby w czasie posiłku, jedzonego wśród ogólnej wesołości, stanowił jedyne przypomnienie o wojnie. Wszystkie osoby przy stole błogosławiły trzaskający mróz, który spowodował czasową przerwę w działaniach wojennych, nikt jednak nie wspominał o pogodzie, jakby zwrócenie na nią uwagi mogło rozwiązać czar.

Gdyby braci Wtigh uduszono jako niemowlęta, gdyby spadkobiercy Jerzego III nadal rządili Nowym Światem, a spadkobiercy Ludwika XIV władali Francją, nie zmieniłoby to niczego w rozmowie toczonej przy owym cywilizowanym, oświetlonym świecami stole. Gdyby jednak w Szampanii nie rosły już winogrona, gdyby nie urodzili się Mozart i Gershwin, gdyby nie hodowano rączych i silnych koni, gdyby w londyńskiej dzielnicy Bloomsbury nigdy nie mieszkali artyści albo gdyby Fred Astaire nie kupił sobie pierwszej pary butów do stepowania, to musiano by znaleźć inne tematy do rozmowy.

Kiedy niespieszny posiłek dobiegł końca, lord Gerald wyszedł do kuchni i wrócił z gąsiorem dom perignonu. Otworzył go niemal tak samo wprawnie jak dziadek we wspomnieniach Freddy i z pomocą Tony'ego poczęstował wszystkich.

- Wznoszę bardzo szczególny toast - powiedział. - Dziś właśnie panna Marie-Frédérique de Lancel, dla przyjaciół Freddy, osiągnęła najbardziej interesujący wiek. Aleksander Pope pisał o „dziarskiej

młodzi”, która „wzdycha do dwudziestych pierwszych urodzin”... Samuel Johnson mówił o „spoglądaniu z góry z dwudziestojednoletnią pewnością siebie”... Thackeray pisał o wspaniałych dniach, gdy miał dwadzieścia jeden lat. Wszyscy w tym pokoju przekroczyli już ten magiczny wiek, niektórzy zaledwie o kilka miesięcy, jak ty Jane, inni, jak ja, o wiele lat. Wszystko jedno. Ważne, że Freddy nie musi już się spieszyć do tych urodzin. Żyje we wspaniałych dniach dwudziestego drugiego roku i zasługuje na wszelką radość, jaką z sobą niosą. Niechaj ta radość będzie wielka i niechaj rośnie z każdym mijającym rokiem. Za Freddy!

Freddy siedziała czerwona na twarzy, a obecni pili jej zdrowie. Jej rumieniec jeszcze się pogłębił, kiedy lady Penelope zadzwoniła i chłopiec ze służby, który najwyraźniej czekał za drzwiami, wkroczył z kilkoma niezbyt zręcznymi pakunkami, po czym położył je przed Freddy.

- Oj nie - zaczęła protestować. - Wszyscy jesteście dla mnie tacy dobrzy. Moim prezentem była ta fantastyczna kąpiel.

- Nonsens, kochanie. To jest tylko improwizacja, nie mogliśmy zrobić zakupów, ale musisz mieć pamiątki po tak ważnym wydarzeniu - powiedziała lady Penelope.

- Dalej, Freddy. Otwórz - zawtórowała jej Jane.

W prezencie od lady Penelope dostała gruby, miękki lazurkowy golf, własnoręcznie zrobiony przez matkę Jane na drutach. Tylko Jane wiedziała, że pierwotnie był przeznaczony dla niej. Lord Gerald ofiarował srebrną piersiówkę z monogramem, którą zawsze nosił na polowania, i butelkę drogiej żytniej whisky do przelania.

- Tę piersiówkę nosiłem ze sobą zawsze - wyjaśnił - na wypadek katastrofy statku albo ataku słońca samotnika.

Jane znalazła w swoim sezamie czarną koszulę nocną z szyfonu i koronki, którą uznała za bosko nieprzyzwoitą, zbyt nieprzyzwoitą, by nosić ją bez specjalnej okazji, która w nie wyjaśniony sposób nie przytrafiła jej się przed wstąpieniem do ATA.

- Wierz albo nie, maluśka, ale przyda ci się, skoro osiągnęłaś już odpowiedni wiek - szepnęła do ucha Freddy.

Freddy okazała dość rozsądku, by nie przypominać sobie, kiedy ostatnio czuła się tak szczęśliwa.

* * *

Już dawno minęła północ, kiedy w końcu Freddy położyła się do łóżka. Oficjalnie urodziny się skończyły, ale uroczysty nastrój wciąż musował w niej jak wino, była nadmiernie podniecona, żeby zasnąć. Zresztą nie chciała. Za bardzo potrzebowała takiego przyływu radosnych uczuć, żeby pozwolić im po prostu zgasnąć we śnie. Leżała pod kocami z oczami szeroko otwartymi na mroczny pokój, miała mi sobie czarną szyfonową koszulę nocną, niebieski sweter i parę wełnianych skarpet. Uśmiechała się do niewidocznego sufitu.

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi. To Jane, pomyślała Freddy, spragniona pogawędki, która na powrót ożywiłaby miniony wieczór.

- Proszę - zawołała. Drzwi otworzyły się, ukazał się w nich Tony ze świecą na niskim lichterzu. W migotliwym świetle Freddy dostrzegła, że brat Jane wciąż ma na sobie spodnie i koszulę od smokingu, ale marynarkę zamienił na sweter zapinany z przodu. Nie wszedł do pokoju, czekał na progu.

- Przyniosłem ci prezent - powiedział. - Nie wiedziałem, że masz dzisiaj urodziny i że tutaj będziesz, więc podczas obiadu nie byłem

przygotowany... Może ci się spodoba.

- Nie mogłeś z tym poczekać do rana? - podsunęła Freddy.

- To jest specjalny nocny prezent - powiedział. Wyciągnął przed siebie podłużny przedmiot owinięty licznymi wstążkami, tu i ówdzie przybrany ozdobami z choinki. Zawartość była nie do odgadnięcia. - Rano nie ma z tego pożytku.

- Wobec tego wezmę teraz.

- Tak myślałem... od razu przyda się o wiele bardziej. - Podeszedł do łóżka i wsunął mieniący się przedmiot w ręce Freddy. „To” było bardzo ciepłe i uginało się pod dotykiem.

- Boże... - westchnęła. - Co...?

- Mój termofor - wyjaśnił, zadowolony z niespodzianki. - Nappełniłem go dwie minuty temu. Dużo czasu zajęło mi pakowanie.

- Och, Tony... przecież nie dajesz mi swojego całkiem prywatnego termoforu? Chyba nie mogłabym cię go pozbawić.

- Jestem z nim bardzo zaprzyjaźniony... przeżyliśmy razem wiele długich, zimowych nocy, ale teraz termofor chce należeć do ciebie. Muszę sobie znaleźć inny i oswoić... to nie powinno być trudne. Termofory zwykle przychodzą, kiedy na nie gwizdnąć. Zatrzymaj go, proszę.

- Jeśli na pewno tego chcesz, to z przyjemnością. Będę myślała o tobie, napełniając go wieczorem. Dobranoc, Tony.

- Dobranoc, Freddy - powiedział, biorąc krzesło i przysuwając je do łóżka. Odstawił świecę na podłogę, usiadł. - Mam jeszcze jedną sprawę... skoro nie śpisz... może zamienilibyśmy słówko?

- Ale tylko słówko - powiedziała, ściągając niewprawnie zrobione opakowanie z termoforu i układając go przy sobie pod kocami

naciągniętymi po szyję.

- Bo widzisz... Właśnie mnie przenieśli. Zostałem dowódcą nowej eskadry, gromadki facetów, których nigdy nie widziałem na oczy... no i pomyślałem, że mogłabyś mi wyjaśnić, jak się z nimi dogadać.

- Wyjaśnić dowódcy z Królewskich Sił Powietrznych, jak się ma dogadać z własnymi pilotami? Ha! Dobranoc, Tony.

- Ale to są Jankesi, eskadra „Orzeł”. Siedzą tutaj od września, ale walki jeszcze nie widzieli... Podczas bitwy o Anglię nie miał kto trenować tych kowbojów... Potem zaczęła się zła pogoda, eskadra wciąż jest w gotowości, a dowódca zachorował... w ten sposób te skurczybyki trafiły pod moją komendę. Pomyślałem, że jesteś mniej lub bardziej Jankeską, więc możesz mi dać radę na dobry początek. Nie mam pojęcia, jak się do nich zabrać. Ciężka sprawa... gromada facetów z innego kraju. Chyba rozumiesz, dlaczego potrzebuję pomocy.

- Po prostu nazywaj ich „chłopcami” zamiast „facetami”, „skurczybykami” czy „kowbojami” i wszystko będzie dobrze. Dobranoc, Tony.

- Chłopcami? To brzmi strasznie trywialnie. Czy jesteś pewna, Freddy?

- Absolutnie. Taka adaptacja językowa w zupełności wystarczy. Co do reszty, bądź pewny, że kupią slang RAF-u albo nauczą cię własnego. Dobranoc, Tony.

- Bardzo ci dziękuję. Poczuję się o wiele pewniej. Wstał z krzesła i usiadł na krawędzi łóżka.

- Niesamowicie miło z twojej strony, że poświęciłaś mi czas, Freddy.

- Zawsze do usług. Dobranoc, Tony.

- Dobranoc Freddy - powiedział, pochylił się nad nią i pocałował w roześmiane usta. - Och Freddy, kochana, śliczna Freddy... Chyba powinniśmy spróbować jeszcze raz - mruknął, wziął ją w ramiona i całował, całował, całował. Oboje byli niebezpiecznie złąknieni własnej bliskości, wewnątrz obojga rządziła chęć poznawania dotykiem, objęciem, uściskiem, która tliła się w nich niepowstrzymanie, od kiedy Freddy pojawiła się w drzwiach biblioteki.

Byli tak zdziwieni długo dojrzewającą eksplozją pocałunków, jakby mieli drogę ucieczki od tej cudownej wyższej konieczności, której spełnienie odwlekali aż do bólu. Tony głośno jęknął w szczęśliwym uniesieniu i leżąc na kocach, otoczył ramionami sweter Freddy, przyciągając dziewczynę do siebie. Przez długie, zachwycające minuty w milczeniu poddawali się zachłannemu odkrywaniu siebie nieskończonymi pocałunkami. Dzielili ich grube warstwy wełny, w rozedrganym świetle świecy stojącej na podłodze widzieli się tylko chwilami.

- Tony, czy jest ci wygodnie?

- Nieszczególnie...

- Mógłbyś... no, zdjąć buty.

- Już zdjąłem.

- I sweter... i koszulę... i spodnie...

- I zamarznąć.

- Ogrzeję cię.

- Naprawdę? Nie mógłbym... nie powinienem... och, kochanie, jeśli wejdziesz do tego łóżka...

- Czy aby na pewno jesteś pilotem? - spytała bystro, zrozumiałwszy w końcu, że w Tony'm jest zbyt wiele z dżentelmena, by we własnym domu

próbował się z nią kochać bez wyraźnej zachęty.

- Bez wątpienia.

- To przestań się szczypać jak nygus - powiedziała, używając terminu, którym w RAF-ie określano naziemny personel.

Przy tych słowach świeca, postawiona przez Tony'ego na podłodze, wypaliła się i pograżyła ich w zupełnej ciemności.

- Do diabła! - mruknął Tony, próbując wyczuć świeczkę dłonią. Wykazał tyle energii, że tylko usłyszał, jak lichtarz odlatuje w kąt pokoju. Usiłował znaleźć drugą świecę na nocnym stoliku Freddy, udało mu się jednak wyłącznie przewrócić stojącą przy łóżku lampę, która upadła z łoskotem i brzękiem szkła. - Cholera - warknął, ostrożnie wstał i błyskawicznie pozbył się ubrania, pozwalając mu opaść na podłogę w nieładzie. Nagi wskoczył do łóżka Freddy i sięgnął, żeby ją objąć.

- Auu - zawyła Freddy, gdy z hukiem zderzyli się czołami.

- Zabolalo? - spytał niespokojnie.

- Nie inaczej. A ciebie?

- Zdaje się, że mam złamany nos. Dotknij... jak myślisz? Nie, do diabła! To jest ucho.

- Nie chcę dotykać nosa. Mogłabym ci wydłubać oko - zaprotestowała Freddy.

- Czy ty zupełnie nie widzisz po ciemku? - mruknął zrzędlawie, próbując ściągnąć jej sweter.

- Drzesz mi koszulę! Uważaj! Oj, odczep się, ty brutalu! Zerwałeś mi ramiączko. I zabierz kolano z mojego żołądka.

- Chyba łokieć.

- Łokieć? Co robisz tak daleko? Wracaj tu szybko! Jesteś za

wysoki...

- Nie masz zapalek? - spytał błagalnie Tony, z głową uwięzioną pod jej pachą. Freddy zaczęła trząść się ze śmiechu.

- Leż spokojnie, Tony! Ja wiem, gdzie jestem. Zdejmę ubranie. Jeśli przez minutę poczekasz bez ruchu, to znajdę cię i zajmę się tobą.

- W porządku. - Leżał nieruchomo, a tymczasem Freddy ściągnęła przez głowę sweter, wyslizgnęła się z nocnej koszuli i zdjęła skarpety. Tony nasłuchiwał, jak odrzucane na bok kawałki garderoby spadają na ziemię. Potem, wdychając aromatyczne powietrze jaskini pod kocami, poddał się badawczym, postępującym ze zwycięskim ciepłem dłoniom.

- Ojej, majorze, co my tu mamy? Aha, gorący termofor... Już się zląkłam. A to co?

- Nie dotykaj tego.

- Czemu nie? - niewinnie spytała Freddy. - W dotyku jest całkiem... przyjazne.

- Zostaw to - błagał.

- Ale dlaczego? Nie wiesz, że jest wojna? Nic nie może się zmarnować. - Szczodrym, nieodpartym ruchem przerzuciła nogę nad jego biodrem. - Co ty wiesz? - szepnęła. - Akurat mam na to miejsce.

* * *

Tej nocy w środku zimy Freddy i Tony spali z przerwami. Razem zapadali w drzemkę, by wkrótce zbudzić się i stwierdzić, że znowu jest w nich pragnienie. Odnaleźli w swych ciałach najcieplejsze, najbardziej intymne miejsca, dwoje cierpliwych, zapalonych badaczy zgłębiających nieznaną to czubkami palców, to językiem, to nosami muskających powieki. Wymieniali szepnięcia zachwytu i wdzięczności i wracali w

krainę snu. Budzili się zdezorientowani, póki dotknięciami nie ustanowili nowych granic do przekroczenia, nowych reguł, które trzeba złamać. Przy którymś przebudzeniu Tony'emu wydało się, że tym razem spali dłużej. Zmusił się do wstania i zrobienia centymetrowej szpary w zaciemnieniu. Odskoczył od okna, dał nura pod koce.

- Do diabła!

- Co się stało? - spytała Freddy w popłochu.

- Dzieci... są dokładnie przed twoim oknem... właśnie skończyły lepić bałwana. Bóg jeden wie, która jest godzina.

- Spójrz na zegarek, kochanie.

- Zostawiłem go wieczorem w pokoju.

- Pomyślą po prostu, że późno poszliśmy spać.

- Nie Jane - powiedział z głębokim przeświadczeniem.

- Nic mnie to nie obchodzi - oświadczyła Freddy. - Pocałuj mnie, ty wariacie.

- Chcę, żeby wszyscy wiedzieli! Powiem im! - oznajmił triumfalnie.

- Nie! Ani mi się waź!

- Jaki jest adres twoich rodziców w Londynie? - dopytywał się Tony.

- Co ty chcesz zrobić? Zatelefonować i powiedzieć, że właśnie spędziłeś ze mną noc? - zainteresowała się Freddy z najwyższym niepokojem.

Tony wyglądał, jakby był zdolny do wszystkiego.

- Będę w Londynie w przyszłym tygodniu. Chcę się spotkać z twoim ojcem.

- Po jakie лихо?

- Żeby poinformować o moich zamiarach, oczywiście. Poproszę go o

pozwolenie - powiedział Tony z całą godnością, na jaką mógł się zdobyć.

- Mój Boże - powiedziała cicho Freddy, mając przed oczami tę scenę.

- Nie sądzę, żeby to był najlepszy pomysł. Mógłbyś go... zaskoczyć.

- Ale ja zamierzam się z tobą ożenić. No, zakładam, że zdajesz sobie z tego sprawę. Dlatego muszę z nim porozmawiać.

- Nie rozmawiasz najpierw ze mną?

- Owszem. Ale wszystko w swoim czasie. Bez wątpienia muszę najpierw się przedstawić. Czy będzie go strasznie raziło, że nie mówię za dobrze po francusku?

- Nie - zachichotała Freddy. - Nie sądzę. Naprawdę zamierzasz... prosić o pozwolenie na... ojej... na staranie się o mnie?

- Stanowczo. Chyba że masz coś przeciwko temu.

- Nie będę się upierać. Nie mam siły.

- Wobec tego spotkam się z nim, zgoda?

- Teraz myślę, że... ojciec zasługuje na taką piękną niespodziankę po tych wszystkich latach.

- Co to znaczy Freddy, kochanie?

- Może któregoś dnia ci powiem. A może nie.

- Któregoś dnia powiesz mi wszystko - stwierdził pewnym siebie tonem.

- Dopiero po twoich długich i usilnych staraniach. A i wtedy niekoniecznie. Obawiam się, Antony, że ostatnie wydarzenia mogły ci dać za dużo pewności w związku ze mną.

- Och Freddy, uwielbiam cię... absolutnie i na zawsze. Kochasz mnie?

- Trochę.

- Nie więcej?
- O wiele więcej.
- A o ile? - dopytywał się.
- Powiedziałabym ci... ale termofor cieknie.

Delphine stała w oszołomieniu na progu mieszkania przy Boulevard Saint-Germain, nasłuchując kroków Armanda, oddalających się w dół po schodach. Jeszcze minutę temu otaczał ją ramionami, chronił, częściowo osłaniając murem miłości, nawet jeśli prawda o jego odejściu wkradała się już do jej zamierającego serca. Teraz została naprawdę sama, bo w chwili rozstania Armand stał się jednym z Francuzów, którzy opuścili dom na trudny do przewidzenia okres, otrzymawszy rozkaz stawienia się do jednostek wojskowych w związku z powszechną mobilizacją, ogłoszoną drugiego września 1939 roku.

Przez kilka beznadziejnych, przenikniętych niedowierzaniem godzin, zbyt posępnych by płakać, Delphine tępo łąziła po mieszkaniu, czasem wygrywając jednym palcem melodię na fortepianie, czasem kuląc się pod szkocką narzutą, i bez powodzenia próbując wyobrazić sobie, że w każdej chwili może usłyszeć kroki wspinające się po schodach, zgrzyt klucza w zamku, zobaczyć Armanda wchodzącego do pokoju.

W chwili rozstania z Armandem Delphine straciła zdolność do przeciwstawiania się rzeczywistości. Przez wiele miesięcy żyła nią, utrzymując się w stanie zawieszenia, niczym akrobata na wysoko rozpiętej linie. Równowaga zależała jednak od obecności Armanda, Delphine stworzyła ją bowiem by uniknąć dnia, w którego nadejście nie chciała wierzyć.

W końcu przyszedł jej na pomoc instynkt samozachowawczy i stwierdziła, że nastał czas powrotu do małej fortecy przy Villa Mozart, rozważenia nowej sytuacji i przyjrzenia się na miejscu arsenałowi dóbr i koneksji zgromadzonych w latach poprzedzających spotkanie jedyne

człowieka, którego kochała.

Pierwszą czynnością, wykonaną po zamknięciu się w sypialni różowo-turkusowego wiktoriańskiego domu, było podejście do biurka, wyciągnięcie szuflady i otwarcie kasetki. Wśród wielu innych dokumentów i aksamitnych saszetek kryjących kolekcję biżuterii leżał jej niebieski paszport francuski i zielono oprawiony amerykański. O wiele lat wcześniej, kiedy stało się jasne, że w Los Angeles pozostaną na dłużej, Paul de Lancel podjął kroki, żeby zapewnić obu córkom podwójne, francuskie i amerykańskie obywatelstwo. Chociaż obie urodziły się Francuzkami i miały francuskich rodziców, to zawsze mieszkały poza Francją, a Paul jako dyplomata nigdy nie lekceważył mocy amerykańskiego paszportu.

Ważąc w dłoni oba dokumenty, Delphine zrozumiała, że czeka ją podjęcie decyzji. Mogła wyjechać z Europy i wrócić do domu w Stanach Zjednoczonych, co pospiesznie robiła większość Amerykanów mieszkających w Paryżu, nawet podobnie jak ona na stałe. Wkrótce, prawdopodobnie po niecałych dwóch tygodniach, znalazłaby się z powrotem w Los Angeles. Mogła zatrzymać się w hotelu w Beverly Hills, wystarczyło telefonicznie zarezerwować pokój, podnosząc słuchawkę aparatu stojącego na biurku. Przez moment bawiła się tym pomysłem, plastycznie wyobrażając sobie, jak zamawia lunch w Brown Derby, je go razem z agentem i dyskutuje o wyborze scenariuszy. Nic w tej scenie nie było nieprawdopodobne, nic z niej nie zamykało się jedynie w sferze życzeń. Przeciwnie, każdy szczegół odznaczał się praktycyzmem, wykonalnością, osiągalnością. Wystarczyło jedynie odwiedzić biuro armatora, żeby tę wizję przyszłości urzeczywistnić. A przecież

sprzeciwiało się jej każde z najgłębszych uczuć Delphine, mimo że obraz rysował się w umyśle tak wyraźnie.

Jak wyglądała alternatywa, gdyby Delphine postanowiła nie kupować biletu na parowiec? Francuski przemysł filmowy został zamknięty na cztery spusty w dniu ogłoszenia mobilizacji, podobnie jak większość cywilnych branż. Wszyscy aktorzy, członkowie ekip filmowych i pracownicy fizyczni zniknęli tak samo jak Armand. Przerwano produkcję dwudziestu filmów. Delphine nie miała pracy, nie miała nikogo na utrzymaniu i nie pełniła żadnej użytecznej funkcji w opanowanym wojną kraju.

A jednak nie mogła po prostu wyjechać. Armand Sadowski był gdzieś blisko niej, deptał tę samą francuską ziemię co ona, wdychał to samo francuskie powietrze. Tymczasem nie było żadnego sposobu dowiedzenia się, gdzie dokładnie jest określony żołnierz, ale wkrótce sytuacja musiała się wyklarować. W każdej chwili Armand mógł zatelefonować do niej z koszar, jeśli założyć, że był w koszarach, a nie w okopach. Być może za dwa, trzy miesiące dostanie przepustkę, bo przecież, przynajmniej dotąd, walka nigdzie nie rozgorzała. Poza tym każdego dnia Delphine spodziewała się pierwszego listu od Armanda... obiecał, że będzie pisał jak najczęściej. Póki pozostawała dokładnie tu, gdzie teraz, póki trzymała się niewzruszenie Paryża, byli połączeni, dzielili wspólną przyszłość. Jak mogła pozwolić sobie choćby na myśl o odgradzeniu się od niego dziesięcioma tysiącami kilometrów?

Z poczuciem ulgi Delphine schowała paszporty do kasetki. W istocie nie musiała podejmować żadnej decyzji.

* * *

Zimą roku 1940 trwała drôle de guerre, Phony War, czyli wojna na niby, podczas której armia francuska nie wykonywała żadnych manewrów i nawet RAF zrzucał jedynie ulotki. Armand Sadowski odbywał służbę w jednostce stacjonującej w północno-zachodniej części Linii Maginota. W kwietniu Niemcy zajęli Norwegię i Danię. Dziesiątego maja Hitler skończył z wojną na niby, atakując w drodze do podboju Francji nie znajdujące się w stanie wojny Holandię, Belgię i Luksemburg. Sypiąca się i zdemoralizowana armia francuska walczyła przeciwko postępującemu nieprzyjacielowi u boku oddziałów angielskich. Po dwóch tygodniach armie obu sprzymierzonych krajów znajdowały się w pełnym odwrocie ku wybrzeżom Atlantyku w rejonie Dunkierki.

Majowy cud ewakuacji z Dunkierki zachował większość brytyjskich sił na późniejszy okres, ale Francuzi zostali pobici na wybrzeżu własnej ojczyzny, odcięto ich, nie pozostawiając im drogi odwrotu. Armand Sadowski wraz z tysiącami innych Francuzów dostał się do niewoli. Po kilku dniach został wysłany do pracy w fabryce zbrojeniowej w Niemczech.

Podczas walk o Dunkierkę Delphine czekała z napięciem na wieści. Czekwała nadal w czasie okupacji Paryża, czekała przez cały czerwcowy dzień, kiedy podpisano zawieszenie broni między Francją i Niemcami, a resztki francuskiej armii pozostałe w ojczyźnie zostały zdemobilizowane. Niezachwianie i uparcie przeczekała chaos lipca i sierpnia. Pod koniec września została nagrodzona. Przyszła kartka z Niemiec, informująca Delphine, że Armand żyje i ma co jeść.

Teraz, gdy Niemcy przestały być w stanie wojny z Francją, stało się ważne, by uniknąć niepokojów wśród ludności cywilnej. Jeńcom

wojennym pozwalano pisać kartki do domu raz na dwa tygodnie. Podobnie jak wszyscy francuscy obywatele, którzy dostawali takie kartki, Delphine szybko zrozumiała, że można je traktować wyłącznie jako dowód, że jeńiec żyje i jest w stanie utrzymać ołówkę, mimo to wraz z tysiącami innych kobiet liczyła każdy dzień upływający między kolejnymi kartkami, które napływały z diabelską nieregularnością.

Jesienią 1941 roku Delphine miała dziewiętnaście takich kart, trzymanyh w bezcennym pliku i zamykanych w kasetce. Jeszcze w czerwcu ożył na nowo francuski świat filmowy. W ciągu niecałych czterech miesięcy rozpoczęto produkcję trzydziestu pięciu filmów. Instytucja pod nazwą COIC zyskała poparcie całej branży w negocjacjach z rządem Vichy oraz niemieckimi okupantami.

Delphine widziała z przerażającą ostrością, że w filmie nie pracuje już ani jeden Żyd, ale ponowny start przemysłu zbiegł się w czasie z rozmowami, które doprowadziły do uwolnienia pewnej liczby jeńców wojennych. Nawet jeśli Armand nie mógłby aż do pobicia Niemiec pracować jako reżyser, to była szansa, że zostanie odesłany do Francji. Delphine powtarzała to sobie bez końca i żyła tą nadzieją.

Najsilniejszym, najlepiej finansowanym i najaktywniejszym producentem we Francji została nowa wytwórnia, pod nazwą Continental. Podpisali z nią kontrakty tak znani reżyserzy, jak Marcel Carne, Georges Lacombe, Hemi Decon i Christian-Jaque, oraz tak znane gwiazdy jak Pierre Fresnay, Danielle Darrieux, Jean-Louis Barrault, Louis Jordan, Fernandel, Michel Simon i Edwige Feuillere. Podpisała kontrakt także Delphine de Lancel, równie nieświadoma czy też równie apolityczna jak pozostali, którzy ani nie wiedzieli, ani nie dbali o to, że Continental

znajduje się pod całkowitą kontrolą Niemców, a jego szef, autokratyczny Alfred Grevin, czuwający nad działalnością wytwórni, składa sprawozdania bezpośrednio Goebbelsowi i jest osobistym przyjacielem Goeringa.

Ulubione przez Continental absurdalne, rozrywkowe kryminały i slapstickowe, nieprawdopodobne komedie miały zastąpić amerykańskie filmy, które cieszyły się wielkim powodzeniem, zanim zostały zakazane. Continental produkował także filmy według scenariuszy Georges'a Simenona o nieśmiertelnym inspektorze Maigret, a także wypracowane z olbrzymią troską o szczegóły ekranizacje klasyki Zoli i Balzaca.

Zgodnie z wielką tradycją twórców filmu, obowiązującą zawsze i wszędzie, Continental produkował obrazy, które publiczność chciała oglądać. Stanowiły one wojenny ekwiwalent tego, co kręcono w Hollywoodzie podczas kryzysu, kiedy filmy o bogaczach zdobyły taką popularność. W filmach Continentalu nie było proniemieckiej propagandy, ponieważ nigdy nie doszło do wojny. Wszyscy mieli tam co jeść, tytoniu nie racjonowano, alkohol lał się strumieniami, nikt nie marzył, a po niemiecku w ogóle nie mówiono. Akcja większości tytułów była osadzona we Francji zamieszkałej wyłącznie przez Francuzów i toczyła się w połowie wyidealizowanych lat trzydziestych.

Delphine z wdzięcznością poddała się znowu rygorowi pracy, obowiązki zajmowały ją bowiem do tego stopnia, że zostawało jej szczęśliwie mało czasu na myślenie. Rzuciła się w wir produkcji seryjnego filmu ściągniętego z *Chudzielca*. Grała w nim postać o imieniu Mila-Malou, sekretarkę niejakiego inspektora Wensa, w którego roli występował wielki Pierre Fresnay. Delphine, która nigdy przedtem nie

zaznała zazdrości wobec innej kobiety, zazdrościła beztroskiej, głupiutkiej, frywolnej Mili-Malou. Zwariowana sekretarka przypominała jej o życiu, jakie Delphine prowadziła trzy lata wcześniej.

* * *

Kiedy elitarne oddziały pancerne, które nawet nie powąchały prochu, zostały zdemobilizowane po zawieszeniu broni, Bruno wrócił jak mógł najszybciej do Paryża. Ani trochę nie pocieszało go, że trafnie przepowiedział wybuch wojny. Problem polegał na tym, jak maksymalnie uprzyjemnić sobie przyszłość, która, w co Bruno ani przez chwilę nie wątpił, będzie upływać pod panowaniem tysiącletniej Rzeszy. Rozmyślając stwierdził, że autentycznie mądry człowiek, który nie miałby nic przeciwko nudzie, powinien już przed laty osiąść w Szwajcarii, nie było jednak sensu żałować straconej okazji. Bank braci Duvivier nie otworzył podwoi po zawieszeniu broni, a w gigantycznym zamieszaniu, które charakteryzowało następne dni, Bruno nie widział przyszłości dla żadnego prywatnego banku.

Stawiał więc sobie pytanie, co rozsądny Francuz powinien zrobić w takiej sytuacji. Jakie miejsce każdy Francuz i każda Francuzka uważają za najlepsze do mieszkania, gdy porządek polityczny ulega zamięnieniu? Gdzie znajduje się naturalny port, w którym można przycumować zanim sytuacja się wyjaśni i przeczekać, aż powrót do normalnego życia stanie się możliwy? Gdzie zawsze jest coś do jedzenia i coś do sprzedania? W rodzinnym majątku, jeśli ktoś ma majątek, w rodzinnym zamku, jeśli ktoś ma zamek. Ziemia. W końcu tylko ona się liczy. Tak rozmyślał Bruno w drodze do Szampanii.

Zanim dotarł do Valmont, władze okupacyjne mianowały już fűhrera

Szampanii. Został nim Herr Klaebisch, członek wybitnego rodu nadreńskich winiarzy. Kiedy wicehrabia Jean-Luc de Lancel powiedział wnukowi, że kancelaria Klaebischa w Reims zarządziła w ich regionie cotygodniową wysyłkę trzech do czterech tysięcy butelek szampana dla niemieckich sił zbrojnych, Bruno tylko wzruszył ramionami. Niczego innego nie należało się spodziewać, pomyślał, a wskazuje to, że Niemcy są poważnie zainteresowani w utrzymaniu produktywności robotników rolnych w Szampanii i zachowaniu na miejscach właścicieli winnic. Postanowił dowiedzieć się wszystkiego co możliwe o zajęciu, które nigdy przedtem go nie interesowało. Wojenne losy muszą, z konieczności, łączyć dobre ze złym, powiedział sobie Bruno, decydując się na opanowanie zasad uprawy winorośli.

W ciągu roku Bruno, pamiętając bez przerwy, że jego największym klientem jest Wehrmacht, zdołał nauczyć się zadziwiająco dużo o produkcji szampana. Objeżdżał winnice Lancelów na grzbiecie pięknego konia, któremu nigdy nie żałował obroku. Zgodnie z przewidywaniami, i jemu nie zdarzało się głodować. Jeszcze przed majową inwazją Anette de Lancel, mając w pamięci poprzednią wojnę światową, poleciła zamienić żyzną ziemię różanego ogrodu w warzywnik, a niektórym ze starszych członków służby powierzono hodowlę kurcząt, królików, świń, byka i kilku krów. Cały ten inwentarz trzymano w budynkach gospodarskich postawionych na dyskretnie schowanej polanie w niewielkim lesie należącym do zamkowych posiadłości. Domownicy w Valmont rzucili się do tych zadań z wielkim zapałem wiedząc, że wicehrabina nie dopuści, by głodowali, nawet jeśli nie mogą oczekiwać takich uczt, jak przed wojną.

Nieoceniony triumwirat piwnicznych Jean-Luca, kuzyni Martin,

przekroczył już granicę wieku, w którym mobilizowano mężczyzn bez wyjątku. Ponieważ wszyscy trzej byli niezastąpieni w specjalistycznej pracy, pozwolono im przy niej pozostać. Wielu innych wyspecjalizowanych rolników, których wzięto do niewoli, kiedy nieprzyjaciel wkraczał przez Szampanię do Francji, dwa razy do roku wysyłano do domu: na niezwykle ważną czynność, jaką jest marcowe przycinanie winorośli, i na zbiory we wrześniu. Niemniej jednak, podobnie jak inni producenci wina, także Lancelowie musieli teraz polegać na smutno uszczuplonych zasobach siły roboczej i tak samo jak w czasie pierwszej wojny światowej w winnicach Szampanii jako robotnicy pojawili się starcy, kobiety i dzieci. Pod czujnym okiem Bruna krzepkim wieśniakom, bardzo zaangażowanym i lojalnym wobec Lancelów, udawało się utrzymać produktywność winnic. Stary wicehrabia opadł z sił w ciągu jednej nocy, tej po wybuchu wojny. Robotnicy widzieli więc w Brunie jego następcę i nie kwestionowali poleceń.

Dlaczego, zapytywał się Bruno, jadąc konno na inspekcję winnic, miałby być tak głupi, by twierdzić, że niemiecki charakter jest monolitem? Bez wątplenia w szeregach zwycięzców można było odnaleźć cały przekrój najbardziej fascynujących przypadków natury ludzkiej, podobnie jak zdarzyło się to Brunowi wśród możnych Paryża, po wejściu w świat finansjery. Musiał jednak przyznać, że waluta jego osobowości zdewaluowała się: tytuł i nazwisko rodowe nie wzbudzały natychmiastowego szacunku, a przyjmowanie zaproszeń nie dawało już korzyści towarzyskich, które mógł zamienić w interes.

Czy jednak nie było możliwe, że wśród zdobywców znajdują się tacy, którzy zareagują na traktowanie ich bez ukrytej wrogości, jakiej

doświadczali od większości narodu? Wszelkie zachowania mające posmak nadgorliwej przyjaźni, czy to ze strony Lancela, czy innego Francuza, budziłyby u nich podejrzenia, ale z pewnością maniery... same maniery mogły być klinem wybijającym mu drogę do pewnych... sposobności. Muszą przecież istnieć jakieś sposobności, mówił sobie Bruno, takie, których nie można jeszcze wyraźnie przewidzieć. Człowiekowi wykazującemu czujność zawsze trafiają się sposobności, i podczas wojny, i podczas pokoju, a teraz, w warunkach zawieszenia broni, w owym dwuznacznym, nie ustabilizowanym okresie, powinno być ich więcej niż zwykle. Francja przegrała wojnę, ale Bruno nie zamierzał przegrać zawieszenia broni.

Führer Szampanii regularnie przysyłał inspektorów, którzy przyjeżdżali lśnącymi czarnymi citroenami w wyglansowanych czarnych oficerkach, chcąc upewnić się, że producenci szampana robią wszystko, żeby sprostać postawionym przed nimi zadaniom. Potężna Luftwaffe i potężna Kriegsmarine miały priorytet w dostawach szampana, a przy okazji także potężne pragnienie, toteż było powszechnie wiadomo, że sprytnym winiarzom z Szampanii należy się dokładnie przyglądać. Często więc inspektorzy rekrutowali się spośród ludzi, którzy w cywilu sami zajmowali się produkcją win, bo sens miało jedynie wysyłanie na kontrolę osób, które potrafią odróżnić właściwie pielęgnowaną winorośl odmiany Pinot Meunier od rzepy.

W jaki sposób, dumał Bruno, można wykorzystać maniery, nie popadając w służalczość? Trudno zapraszać człowieka na kieliszek wyjątkowo doskonałego wina, które niemalże należy do niego. Można okazać uprzejmość, ale wartość uprzejmości jest znikoma, skoro jej brak

może kosztować życie.

Gdyby jednak, nie wzbudzając podejrzeń, poprosić tych doświadczonych winiarzy o radę? Wydaje się to stosowne dla kogoś urodzonego poza Szampanią, kto nie został wychowany do pracy w winnicy. Prosząc o radę, można dać do zrozumienia, że przedstawia się osobiste kłopoty nie przyjacielowi, bo o tym nie ma mowy, nie może być mowy... lecz komuś, kogo uważa się za równego sobie. Ilu ludzi, zastanawiał się, obserwując w lustrze podczas golenia budzące wyjątkowe zaufanie rysy własnej twarzy, ilu ludzi nie znajduje przyjemności w dawaniu rad? Ilu ludzi nie czerpie przyjemności z równego traktowania przez arystokratę, nawet pokonanego?

Po zaskakująco krótkim czasie niektórzy z głównych urzędników w kancelarii fűhrera Szampanii w Reims dowiedzieli się, iż młody Lancel z Valmont jest, co zrozumiałe, ignorantem w pewnych podstawowych sprawach związanych z uprawą winorośli. Towarzysząc im w czasie inspekcji, wyjaśniał, że zajmuje swą odpowiedzialną pozycję jedynie ze względu na wiek dziadka, który nie pozwala mu właściwie prowadzić interesów, a już z pewnością doglądać winnic z końskiego grzbietu, co niezmordowanie czynił Bruno.

Inspektorzy z pewnością nie współczuli paryskiemu bankierowi, który ugrzązł w Szampanii, sami również tam ugrzęźli, z drugiej strony jednak zdecydowanie nie rozmawiało się z nim tak ciężko, jak z wieloma innymi właścicielami. Co więcej, Lancel był dość bystry, by w razie potrzeby prosić o radę, robił to zresztą często, w dodatku nie upierał się i korzystał z podsuwanych sugestii. Gdyby więcej Francuzów przypominało Lancela, praca inspektora byłaby stanowczo łatwiejsza. A także, jeśli się

zastanowić, przyjemniejsza. Wcale nie cieszyło ich przecież życie z dala od domów i rodzin, życie diabelską papierkową robotą przysyłaną z Berlina, wiążącą się z naciskami na dostarczanie kontyngentów szampana i doświadczaniem wystudiowanego lekceważenia, z jakim traktowała ich większość mieszkańców regionu Reims i Epernay.

U Bruna de Lancel żaden z inspektorów nie był traktowany jak okupant, żaden z nich nie podejrzewał też dobrze ukrytej dumy i zwykle widocznej buty gospodarza. Polityka Bruna była też nie do wykrycia dla Francuza, który zadałby sobie trud obserwowania go. Opierała się jedynie na istotnym niuansie w zachowaniu, na bezkonfliktowej neutralności, na miłym z natury głosie, na gotowości patrzenia tamtym w twarz, rzucenia od czasu do czasu drobnego, nie szkodliwego żartu, założenia, że i oni są ludźmi. Wszystko to Bruno robił z wrodzonym wdziękiem, z którym jeszcze nie tak dawno wyruszał na połów zleceń dla swojego banku.

* * *

W pierwszych miesiącach po przyjeździe do Valmont Bruno wystarał się o ausweis, dokument który uprawniał go do odwiedzania Paryża. Wyjaśnienie celu podróży nie sprawiło mu najmniej szych kłopotów, jego była rezydencja w Paryżu usprawiedliwiała wszak kilkudniowy wyjazd na sprawdzenie, czy dom jest nietknięty.

Zbliżając się do frontowych drzwi, zobaczył niemieckiego wartownika. Ostrożnie obszedł budynek i zadzwonił do wejścia dla służby. Otworzył mu Georges, stary kamerdyner.

- Pan hrabia, dzięki Bogu!

- Jak wróciłeś, Georges? - spytał Bruno po wejściu do „biura”, inaczej mówiąc uniwersalnej spiżarni przy kuchni. - Kiedy przejeżdżałem

przez Paryż po zawieszeniu broni, dom był pusty.

- Wszyscy uciekliśmy z Paryża - odparł Georges - a gdy udało nam się wrócić, dowiedzieliśmy się, że pan wyjechał do zamku. Oczywiście, rozumieliśmy to... pana obowiązki są tam.

- Kto tu teraz mieszka? - zainteresował się Bruno, stwierdziwszy przelotnym spojrzeniem zaraz po wejściu, że Georges akurat poleruje jego najlepsze srebra. Z kuchni dobiegał zapach smażącej się wołowiny, a „biuro” aż lśniło od czystości.

- Dom został zarekwirowany przez generała von Sterna, który pracuje w biurze do spraw kultury u generała von Choltitza i wyśmienie mówi po francusku. Mieliśmy szczęście, panie hrabio. Generał wszystkich zatrzymał, nawet pańskiego osobistego pokojowca, Borysa, który jest przekonany, że von Stern nigdy przedtem nie korzystał z usług kogoś takiego. Dzięki Bogu, generał jest bardzo spokojnym człowiekiem, interesuje się antykami, z wielkim podziwem ogląda pańską kolekcję zbroi i książek. Nic nie zostało zmienione, dom jest w takim stanie, w jakim pan go pozostawił.

- Generał nie ma żony ani dzieci?

- Wątpię. Nie ma fotografii, a z mojego doświadczenia wynika, że to pewny znak. Często przyprawdza do domu jakąś ulicznicę, ale nigdy nie zostaje z nią na noc.

- Robi przyjęcia?

- Czasami spotyka się z kilkoma oficerami, równie spokojnymi jak on sam. Dyskutują o malarstwie i architekturze, a nie o wojnie. - Georges wzruszył ramionami. - Obiady są dalekie od doskonałości, panie hrabio, ale oni jedzą z apetytem i uprzyjemniają sobie życie najlepszymi okazami

z pańskiej piwnicy.

- Nie jest najgorzej, Georges. Pocieszyłeś mnie. Może byłoby rozsądnie ze względu na was, gdybym okazał generałowi uprzejmość i podziękował za opiekę nad moimi skarbami? - mruknął Bruno.

- Pan hrabia chciał naturalnie powiedzieć „za czasową opiekę”? - spytał Georges z cichą nadzieją.

- Naturalnie, że czasową, nie ma o co pytać - odparł Bruno. Podał kamerdynerowi wizytówkę. - Pokaż to von Sternowi. Zapytaj, czy mogę wpaść jutro, kiedy mu będzie wygodnie, żeby podziękować. Chcę się zorientować, jakiego rodzaju człowiek sypia w moim łóżku.

- Rozumiem, panie hrabio. Co słyhać u panny de Lancel, a także u państwa hrabiostwa, jeśli wolno spytać?

- Smutne wieści, Georges, smutne. Mademoiselle Delphine odcięła się chyba od całego świata... nawet ja nie mam od niej żadnych wiadomości... a dziadkowi zaczyna doskwierać wiek. Tylko babka zachowała jeszcze dawnego ducha.

- Wszyscy liczymy na pana hrabiego. Wiele o panu myślimy.

- Dziękuję, Georges. Zostaw mi w hotelu wiadomość w sprawie spotkania z twoim generałem.

- Tylko nie z „moim”, panie hrabio - sprzeciwił się Georges, prowadząc Bruna do drzwi.

- Żartowałem, Georges. Trzeba się czasem pośmiać.

Bruno nabrał wyobrażenia o generale von Sternie w ciągu kilku minut. Uznał go za Prusaka z najdrobniejszej arystokracji, od dawna zbiedniałej. Ten człowiek pasował do tytułu generała równie dobrze jak Bruno. Był kawalerem wchodzącym w średni wiek. Ze względu na

fachową wiedzę należał do grupy ekspertów wybranych przez Goeringa i spędzał dni na poszukiwaniach najwybitniejszych dzieł sztuki we Francji, żeby wysłać je do Niemiec, do osobistej kolekcji marszałka. Bruno uznał go za łagodnego człowieka, wystarczająco dobrze wychowanego, by czuć lekkie zakłopotanie wobec Bruna, zupełnie jakby generał zdawał sobie sprawę, że status zdobywcy nie daje mu bynajmniej praw do wspaniałej siedziby przy Rue de Lille.

Bruno szybko rozwiął jego niepokój.

- Słyszałem straszne historie, panie generale, o domach, historycznych domach, które potraktowano jak koszary. Może pan sobie wyobrazić, z jaką ulgą widzę człowieka, który kocha piękno i ma dla niego zrozumienie - powiedział Bruno, przyjmując pozę idealnego gościa, który rozgląda się po bibliotece, jakby nie miał z nią nic wspólnego, ale czuje się dość swobodnie, by okazać jej należny podziw.

- To jeden z najpiękniejszych domów w tym najpiękniejszym z miast, panie hrabio - powiedział von Stern z dobrze ukrytą, lecz mimo to widoczną przyjemnością w oczach.

- Zbudowano go, kiedy Ludwik XV był młodym człowiekiem. Zawsze wydawało mi się, że ci którzy mają szczęście w nim mieszkać, są jedynie zarządcami, niczym fortunni kustosze w muzeum.

- Odwiedza pan muzea, hrabio?

- Pasjami. To była moja racja życia. Przed wojną spędzałem w muzeach każdą wolną godzinę. Wszystkie urlopy poświęcałem na podróże: Florencja, Rzym, Londyn, Berlin, Monachium, Madryt, Amsterdam... To były dni, prawda generale?

Von Stern westchnął.

- Oj, były. I wróca, jestem o tym przekonany. Wkrótce cała Europa będzie żyć w pokoju pod przewodnictwem fűhrera.

- Musimy żywić nadzieję na pokój, panie generale, bo inaczej całe piękno na świecie zostanie zniszczone. Myślę, że podzielamy tę opinię bez problemów.

- Wypijemy za pokój, panie hrabio?

- Chętnie, panie generale, bardzo chętnie - zgodził się Bruno. Reguły zakazujące bratania się z wrogiem były przeznaczone dla niemieckich żołnierzy i francuskich dziwki, ale nie dla dżentelmenów, którzy mogą znaleźć wspólne tematy i mieć sobie coś do zaoferowania. Bruno był pewien, że von Stern żyje samotnie nie z wyboru. Myśląc to, odprężył się we własnym fotelu i oczekiwał zaproszenia na obiad, które bez wątplenia wkrótce miało nastąpić.

* * *

Kocham cię, kocham, myślała Freddy w ekstazie. Kocham każdego z twoich tysiąc dwustu pięćdziesięciu dzikich i mocnych koni, kocham przezroczystą, pleksiglasową osłonę kabiny, kocham zbieżne, eliptyczne skrzydła i hałaśliwy wylot gazów, i przytulną, wąskąabinę, i szaleńczo zatłoczoną tablicę przyrządów. Kocham nawet za długą osłonę wspaniałego silnika merlin, która zasłania mi widok przy lądowaniu oraz starcie, i ciężki dziób, przez który muszę hamować, jakbyś był dziecięcym wózkiem. Kocham cię dziesięć razy bardziej niż wszystkie solidne, poważne hurricane'y, którymi latałam, dałabym wszystko, żeby gonić tobą po całym niebie, nabierać wysokości przed walką, ciągnąć w górę przy maksymalnie przesuniętej manetce gazu całą mocą dwóch tysięcy siedmiuset pięćdziesięciu twoich cholernie cudownych obrotów silnika,

potem rozciąć powietrze w diabło głębokim locie nurkowym, póki oboje nie poczujemy, że zabawiliśmy się, jak na to zasługujemy, a na deser chciałabym wyrównać lot przy siedmiuset kilometrach na godzinę i rwać naprzód ile sił, bo wiem, że potrafię, a Bóg wie, wszyscy wiedzą, że ty także, przecież gdy jesteś w powietrzu, tak łatwo tobą sterować. Równy z ciebie gość i dlatego kocham cię tak zwyczajnie, wybaczam ci wszystko. Do ciebie mówię, przecież ty jesteś mark 5 spitfire. Co dobrego jeszcze powiesz o sobie?

- Pieprzone bydlę - stwierdziła głośno, bo widok znajomej wapiennej rozpadliny w miniaturowym krajobrazie, który był Anglią, przypomniawszy jej, że odbywa rutynowy lot, dostarczając spitfire'a z fabryki w Eastleigh na lotnisko w Lee-on-Solent. Z tej wysokości mogła wyraźnie dostrzec za kanałem zielone pola Francji, z których dzień w dzień startowały niemieckie samoloty, dokonujące nalotów na Anglię.

Ten wrześniowy dzień 1941 roku był wręcz stworzony do latania. Nad Anglią nie było mgły, nawet najmniejszego zamglenia, tylko kilka dużych, oddalonych od siebie chmur wisiało nad kanałem. Późnopołudniowe słońce, świecące pod ostrym kątem z niezwykłą jaskrawością, grzało jej kark między hełmem i kołnierzem munduru. Tego nietypowego dnia, przed którego nastaniem Freddy dostarczyła do miejsca przeznaczenia dwa inne samoloty, przydzielono jej zdecydowanie za krótki, ledwie pół godzinny lot. Co gorsza, piloci ATA latali nowymi spitfire'ami z prędkością przelotową trzystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, służącą docieraniu silnika. Zabieg ten był dla Freddy źródłem poważnych frustracji, mimo iż zdążyła się do niego przyzwycząić.

Latała teraz spitfire'ami codziennie, wraz z Jane bowiem dostała

czasowe przeniesienie do oddziału konwojowego nr 15 w Hamble z zadaniem odstawiania lśniących, wyspecjalizowanych samolotów bojowych, które w dużych ilościach produkowano miesiąc w miesiąc w zakładach Vickersa. Pozostawianie grupy nowych samolotów na placu przed fabryką groziło olbrzymim niebezpieczeństwem, gdyż nieoczekiwane ataki bombowe Niemców miały w ten sposób naturalny cel, toteż maszyny trzeba było usuwać jak najszybciej.

Po dostarczeniu przez Freddy spitfire'a do nowej bazy, malowano na nim numery identyfikacyjne, uzbrajano go, niekiedy zaopatrywano w dodatkowe zbiorniki paliwa, przeznaczone do lotów długodystansowych, albo w aparat fotograficzny, jeśli samolot miał być wykorzystywany do zadań szpiegowskich. Malowano także znaki świadczące o narodowości pilota, a jeśli był on dowódcą dywizjonu lub skrzydła, to na tyle kadłuba wypisywano jego inicjały. Tak przygotowany samolot zaczynał nosić w powietrzu jakiegoś szczęśliwca spośród pilotów, stawał się powodem do dumy, absolutną własnością, na której nikt inny nie latał, chyba że pilot zachorował lub zginął. Teraz i tylko teraz spitfire należał wyłącznie do Freddy.

Rzuciła okiem w lewo, chcąc stwierdzić, ile drogi pozostało jej jeszcze do lotniska na wybrzeżu, kiedy z wyjątkowo rozległej masy chmur nad kanałem wyłoniły się dwie plamki. Coś w ich wyglądzie natychmiast przykuło uwagę Freddy. Wytężyła wzrok, mobilizując nadzwyczajną dalekowzroczność. Nawet z tej odległości dostrzegła, że coś nie gra. Podobnie jak połowa mieszkańców Anglii, Freddy dobrze znała widok walki powietrznej z ziemi, ale i teraz, będąc w górze, z pozycji obu samolotów wyczytała natychmiast, że jeden poluje na drugi.

Nawet kiedy nabrała wysokości, żeby móc dogodnie obserwować, mówiła sobie, że powinna zejść niżej i zniknąć stamtąd. Miała za sobą słońce, więc była niewidoczna. Samoloty szybko osiągnęły miejsce odległe od niej o jakieś dwa kilometry i stały się rozpoznawalne. Pierwszą maszyną, walczącą o życie, był spitfire z bocznym przechyłem świadczącym, iż pilot nie panuje nad lotkami jednego ze skrzydeł. Drugi samolot, messerschmitt 109F, którego osiągi były zbliżone do spitfire'a, miał nad Anglikiem przewagę, siedział mu na ogonie. Spitfire robił gwałtowne uniki przed ogniem messerschmitta. Freddy wyraźnie dostrzegła smugowe pociski, ostrzegające pilota, że kończy mu się amunicja.

- Nie! - wykrzyknęła Freddy. Spitfire został trafiony w zbiornik paliwa, płomienie strzeliły z silnika i zaczęły obejmować maszynę, zbliżając się do kabiny. Osłona otworzyła się i pilot wyskoczył. Freddy wstrzymała dech, póki nie zobaczyła, że otwiera spadochron. Zwycięski messerschmitt, puszczy się maltańskim krzyżem i swastyką, zataczał kręgi nad niedawnym polem walki. Chce być pewny zestrzelenia, pomyślała Freddy. Ale spitfire runął do kanału, a messerschmitt nadal krążył, zamiast skierować się do bazy. Nie otwierając ognia, wytracał wysokość, spiralnym ruchem obiegając opadającego lotnika. Ten skurwysyn ma zamiar upolować tamtego w powietrzu, stwierdziła Freddy, a ponieważ kończy mu się amunicja, odwleka atak, czekając na najlepszą pozycję do strzału.

Freddy przesunęła maksymalnie manetkę gazu i szarpnęła maszyną do przodu. Silnik zareagował natychmiast. Jednocześnie wszystko, czego dowiedziała się o walce w powietrzu od Maca, cała mądrość RAF-u, którą

przekazał jej Tony, i wszystkie akrobacyjne układy, jakie aranżowała dla filmu, zlały się w jedno niezbite przekonanie: nadzieję mogła pokładać tylko we frontalnym ataku.

W nie uzbrojonym samolocie pozostawało jej liczyć na odstraszenie przeciwnika. Musiała błyskawicznie, z pełną prędkością spaść na niego, na wprost działka, pozorując, iż zamierza ostrzelać kabinę od przodu, ale czeka z otwarciem ognia do ostatniej chwili.

Zorientowała się, że Niemiec ją zauważył, przestał bowiem krążyć i zwrócił dziób samolotu w jej kierunku. Freddy machinalnie oceniła odległość: dzieliły ich mniej więcej trzy tysiące metrów. Dokładny strzał był możliwy z dwustu trzydziestu. Niezłomnie trzymała brawurowy kurs, oba samoloty szybko zbliżały się do siebie. W każdej z mijających chwil współtworzyły statyczny obraz tańca wojennego. O jakieś trzysta metrów od spitfire'a Freddy, messerschmitt zrobił ostry zwrot, gwałtownie nabrał wysokości i zaczął uciekać na wschód.

- Mam cię, skurwysynu! Mam cię! - wykrzyknęła, zwycięsko podskakując na fotelu i ruszając w pościg za niemieckim myśliwcem. Dopiero po dłuższej chwili otrzeźwiała i stwierdziła, że zachowuje się jak maniak. Z galopującym tętnem i poziomem adrenaliny we krwi podniesionym jak jeszcze nigdy, Freddy niechętnie posłuchała głosu rozsądku i zawróciła na zachód. Zobaczyła akurat, jak pilot spitfire'a ląduje w wodzie.

Był ubrany w kamizelkę ratunkową. Oswobodził się z upręży spadochronu i w czasie gdy Freddy ze zmniejszoną prędkością osłaniała miejsce wodowania, nadmuchał jednoosobowy ponton, małą, owalną łódeczkę, która uratowała życie wielu alianckim lotnikom. Wymachiwał

do niej podwójnym wiosłem na znak, że wszystko jest w porządku, ale Freddy nadal krążyła nisko nad nim, póki nie dostrzegła, że jedna z motorówek Powietrzno-Morskiej Służby Ratowniczej odcumowuje ze stanowiska przy brzegu i zbliża się w kierunku pilota. Nie mogła oprzeć się pokusie, by nie zmniejszyć prędkości spitfire'a do minimum, stu kilometrów na godzinę, przy których samolot zaczynał nurkować. Pod wpływem impulsu odciągnęła osłonę kabiny i wychyliła się, próbując wymienić pozdrowienie z lotnikiem unoszącym się na falach. Wyraźna była tylko plama śniadej, roześmianej twarzy.

Freddy widziała, że mężczyzna usiłuje coś do niej wołać. Starał się kilkakrotnie, ale niczego nie usłyszała. Zsunęła z głowy hełm, odsłaniając uszy i oswabdzając kilka pasemek włosów, które pochwycił wiatr, ale wciąż leciała za szybko, żeby zrozumieć słowa. Motorówka już niemal osiągnęła cel i dalszego pozostawania w tym miejscu niczym nie można było usprawiedliwić. Freddy odetchnęła. Z żalem zamknęłaabinę, pchnęła drążek i przygotowała się do zmiany kursu na własny cel, do którego miała lecieć nad tak dobrze poznanym już terenem, że potrafiłaby powiedzieć, kiedy na której farmie były sianokosy.

* * *

- Freddy, czy wiesz coś na ten temat? - spytała kapitan Lydia James, dowódca żeńskiego oddziału konwojowego, prezentując gazetę. Nie wiedząc, o co chodzi, Freddy przebiegła wzrokiem stronicę. *Tajemniczy spitfire ratuje pilota RAF-u* głosił wielki tytuł na pierwszej kolumnie, poniżej zaś znajdował się opis jej wyczynu, dokonany przez reportera, który znajdował się na posterunku Powietrzno-Morskiej Służby Ratowniczej w chwili, gdy pilot zestrzelonego spitfire'a został

przywieziony, zmoczony ale cały.

- Nie rozumiem, Lydio.

- Wypytywano mnie o ten incydent... o tego „tajemniczego spitfire'a”. Wczoraj latałaś w tym rejonie. Czy nie zauważyłaś niczego niezwykłego?

- Nie, Lydio. Musiałam przegapić.

- Dziwne, nikt nic nie widział. Wyciągnięty z wody lotnik utrzymuje, że na samolocie, który go uratował, nie zauważył żadnych znaków rozpoznawczych, ale pilot miał rude włosy. Sądzi się, że to mógł być ktoś od nas.

- Mało prawdopodobne, żeby nie uzbrojony samolot porywał się na messerschmitta. Kto odważyłby się na coś tak szaleńczego... chyba że któryś z mężczyzn? Dlaczegoypytywali akurat ciebie? Przecież na jedną latającą kobietę przypada trzech mężczyzn. Nie wspomnę już o tym, że taki wyczyn jest sprzeczny z wszelkimi regulaminami ATA. Pilot RAF-u był prawdopodobnie w szoku.

- Właśnie to samo im powiedziałam - oświadczyła kapitan James normalnym, urzędowym tonem. - No dobrze, Freddy. Powodzenia jutro... czy może pannie młodej takich rzeczy się nie mówi?

- Och, myślę że jest to zupełnie na miejscu. Dziękuję, Lydio. I wielkie dzięki za tydzień urlopu okolicznościowego.

- To chyba normalne w takiej sytuacji, nie uważasz?

- Normalne, ale cudowne. - Freddy odwróciła się tyłem do dowódcy, zamierzając odejść.

- Aha, Freddy, jeszcze jedno...

- Tak?

- Jeśli chcesz pozostać w ATA...
- Tak, Lydio?
- To nie rób tego więcej.

* * *

W dzień ślubu Freddy, Longbridge Grange drzemało, wyciągnięte od niechcienia w leniwych błyskach wrześniejszego słońca, całe spowite aromatem późnych, żółto kwitnących pnących róż. Eve i Paul de Lancel, a także mieszkający w internatach bracia Tony'ego, Nigel i Andrew, przybyli poprzedniego wieczoru. Wraz z pozostałymi Longbridge'ami niecierpliwie czekali przed frontowymi drzwiami. W końcu Freddy i Jane dotarły w MG karmionym benzyną nazwaną przez część pilotów ATA ślubnym prezentem.

Starania Tony'ego były długie i usilne, zgodnie z ostrzeżeniem Freddy, która nie zamierzała rzucać się w małżeństwo bez przemyślenia konsekwencji. Przekonanie, że powinna uszczęśliwić walczącego mężczyznę, tak typowe dla wielu nie biorących udziału w boju kobiet, było jej obce, bo Freddy należała do tej garstki kobiet w historii czynów wojennych, której praca była niemal niezastąpiona.

Chociaż dwa dni wolnego, jakie miała Freddy po trzynastu dniach służby, rzadko przypadają w czasie, gdy Tony'emu udało się akurat zdobyć całodzienną przepustkę, to od czasu do czasu zdarzało im się spędzić razem kilka godzin w nocy, po zakończeniu lotów. W końcu Freddy skapitulowała przed zdecydowaniem i namiętnością. Mimo oporów zakochała się, wciąż jednak zadając sobie wiele pytań, rzucając ukradkowe spojrzenia w przeszłość, które Tony odbierał jako czarujące niedopowiedzenia.

Wśród radosnych pozdrowień i przesyłanych na odległość pocałunków Freddy wygramoliła się z MG, powstrzymywana dość skutecznie przez trzy małe dziewczynki, które uwiesiły jej się dookoła nóg.

- Gdzie jest mój Antony? - skierowała pytanie do lady Penelope zaskoczona, że nie widzi narzeczonego.

- W drodze. Telefonował dziesięć minut temu... Głupia sprawa, kochanie, ale wygląda na to, że będziesz miała obcego świadka. Że też Patrick musiał akurat zachorować na świnkę!

- Zrób dzisiaj, co masz zrobić jutro - wykrzyknęła Jane. - Kogo wobec tego obiecał nam Tony?

- Chłopaka ze swojej eskadry... Tak mi się zdaje, ale połączenie było niedobre, a Tony się spieszył. Freddy podeszła wycałować Paula i Eve, którzy zdawali się czuć całkiem swobodnie w gromadzie dzieci Longbridge'ów. Oboje byli tu już wcześniej. Na wiosnę i w lecie 1941 roku przyjeżdżali kilka razy na zaproszenie lady Penelope. Między obydwojma małżeństwami wytworzyło się ciepłe, niewymuszone, przyjazne uczucie, podtrzymywane zarówno wzajemną sympatią, jak i nadziejami, że Freddy i Tony w końcu się pobiorą, co najwyraźniej powinni byli zrobić.

- Czy wypada, żeby panna młoda głodowała? - rzuciła Freddy, nie kierując pytania do nikogo w szczególności. Paul otoczył ją ramieniem, wziął pod brodę i pocałował w czoło. Wymienił szybkie spojrzenie z Eve. Gdzie była teraz Delphine? W oczach obojga kryło się pytanie, które dręczyło ich od tak dawna. Nauczyli się mówić o niej jak najmniej. W okupowanej Francji córka była równie nieosiągalna jakby wylądowała na

ciemnej stronie księżyca, ale nigdy nie przestali się tym martwić. Eve przeniosła spojrzenie na Freddy.

- Będiesz potrzebowała dużo sił - oznajmiła. Eve brała udział w przygotowaniu wszystkich punktów uroczystości: od ceremonii ślubnej w wiejskim kościele, na którą zaproszono całe sąsiedztwo, po przyjęcie w Longbridge Grange, gdzie oczekiwano jedynie rodziny, ze względu na wojenne kłopoty z przejazdem ograniczonej do około sześćdziesięciu osób, co i tak wydawało się Freddy olbrzymią liczbą.

W asyście dziewczynek, najmłodszej Sophie oraz bliźniaczek Sarah i Kate, Freddy i Jane zjadły kanapki w spizarni. Ostrzeżono je, by nawet nie próbowały wchodzić do kuchni, gdzie kilka kobiet z pobliskich majątków pomagało lady Penelope i Eve nadawać ostatni szlif weselnym potrawom.

Według tradycji ślub powinien się odbyć w południe, ale ponieważ ani panna młoda, ani pan młody nie mogli być pewni, że zdążą, przesunięto go na trzecią po południu, tak by jeszcze skorzystać z dziennego oświetlenia, a jednocześnie umożliwić zaproszonym na przyjęcie gościom dotarcie na miejsce przed zmrokiem i zaciemnieniem.

- Nie sędzę, żeby to był najlepszy pomysł - mruknęła Freddy do Jane, przełknąwszy resztkę ostatniej kanapki.

- Co się stało... ssie cię w dołku? Za szybko jadłaś, jesteś podniecona, i to wszystko.

- Podniecona... Cholera, jestem w panice. Jestem przerażona. Nie mogę, Jane. Popelniam błąd. Prawie nie znam Antony'ego. Nie powinnam była pozwolić ci się namówić.

- Ja cię namawiałam? - W głosie Jane brzmiało oburzenie. - Nie pisnęłam ani słowa. Czy naprawdę myślisz, że chcę cię za szwagierkę, ty

jankeski półdupku? Mój brat mógłby mieć córkę księcia... a poleciał na zwykłą ślicznotkę. W czasie pokoju nie miałybyś u niego najmniejszej szansy. Co gorsza, jesteś również francuskim półdupkiem, a w mojej rodzinie Wilhelmowi Zdobywcy nigdy nie wybaczone. Powinien siedzieć po swojej stronie kanału i zostawić Brytanię Anglosasom. Jeśli chcesz, to pójde powiedzieć mamie, żeby odwołała całą imprezę. Straciliśmy już świadka, więc możemy i pannę młodą. Ślubne prezenty nie są zbyt wiele warte... nie ma tam nic, czego nie można byłoby odesłać. Ludzie rozumieją... w czasie wojny wszyscy muszą się nauczyć elastyczności. Gdyby Antony nie był moim bratem, mogłabym sama się z nim pobrać, żeby nierozczarowywać gości, ale jeśli chcesz, to powiedz, znajdziemy się z powrotem w Hamble, zanim ktokolwiek zorientuje się, że znikłyśmy. A jeszcze lepiej zrobimy, jadąc do Londynu, żeby podłapać jakichś przystojnych, gorących i wygłodzonych podoficerów, i naprawdę fajnie się zabawić.

- Dobra, dobra, będę grzeczna - stwierdziła ponuro Freddy.

Ubrała się w sypialni Jane, obskakiwana przez lady Penelope i Eve. Przeszukano cały strych Longbridge'ów w poszukiwaniu sukni ślubnych, ale żadna nie pasowała na Freddy, która była wyższa niż panny młode poprzednich pokoleń Longbridge'ów. Wojenne ograniczenia i brak kartek na ubrania sprawiły, że kupno nowej sukni było niemożliwe, mimo to lady Penelope postanowiła, że najstarszy syn weźmie ślub z dziewczyną, która wygląda jak panna młoda.

Wojna przekształciła jej talent do makatek w niemal profesjonalne umiejętności krawieckie. Lady Penelope wzięła górę od późnowiktoriańskiej sukni z dużym, głębokim, lamowanym dekoltem i

bufiastymi rękawami, zaczynającymi się tuż poniżej obnażonych ramion. Bezlitośnie zdewastowała dwie suknie z czasów Jerzego III. Jedna z nich miała plisowany, obszerny dół z czystej satyny, trzymany w talii szerokim pasem; co prawda nie sięgała podłogi, ale znakomicie posłużyła jako podkład pod wierzchnią warstwę, wykonaną w całości z koronki i zakończoną ponad metrowym koronkowym trenem. Sophie, Sarah i Kate spędziły poranek na wiciu wianka z malutkich, białych pąków róży i mocowaniu we właściwym miejscu krótkiego welonu, należącego do rodowego dziedzictwa, jeszcze z czasów Karola II.

Freddy bez protestów przyglądała się w lustrze postępującej transformacji jej osoby. Pomyślała, że z każdą dodawaną warstwą uszlachetnionej przez czas, wiekowej kreacji może odrobinę łatwiej pogodzić się ze ślubem, gdyż im mniej rozpoznaje swoje codzienne ja, tym mniej nierealny wydaje się pomysł z małżeństwem. Jedyne znajome widoki w lustrze stanowiły włosy, strzelające w górę niczym sztuczne ognie z kremowych chmur otulających pannę młodą.

Tyłu ludzi zawierało małżeństwa, powiedziała sobie Freddy. Mężatką była jej matka, mężatką była lady Penelope, która miała teraz stać się dla niej po prostu Penelope, choć na pewno nie Penny... Freddy знаła setki mężatek raczej nie widzących w swoim stanie niczego nienormalnego czy też uciążliwego. Dlaczego więc tego uroczego popołudnia zawieranie małżeństwa wydawało jej się takim dziwactwem? Nawiasem mówiąc, nadeszła właśnie najodpowiedniejsza pora dnia do odbycia lotu.

- Czy Antony też już jest jak malowanie? W odprasowanym garniturze i reszcie tej gali? - spytała z czystej ciekawości.

- Antony? - Głos zabrzmiał jak z innego świata, Jane była zbyt zajęta zapinaniem bladozielonej sukni świadka, żeby z uwagą odpowiedzieć.

- Twój brat Antony. Pan młody, jak mi mówiono.

- O mój Boże! - Jane wybiegła sprawdzić i wróciła po kilku minutach, histerycznie się jękając: - Nie ma po nim śladu. Nikt nic nie wie!

- Zdaje się, że wcześniej wspominałaś coś o podoficerach - zainteresowała się Freddy.

- Jane, uspokój się - łagodziła Eve. - Przecież telefonował, że jedzie, prawda?

- Przed godzinami!

- Pewnie się rozmyślił - orzekła zamyślona Freddy. - To się zdarza, nawet w najlepszych rodzinach.

- Ja z nim rozmawiałam - wtrąciła się nagle sześciolatka Sophie.

- Kiedy, ty diablico? - spytała z naciskiem matka.

- Parę minut temu. Byłam na dole i zadzwonił telefon. Odebrałam. Antony przekazał mi wiadomość.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś? - Lady Penelope zapytała niemal szeptem, żeby powstrzymać się od krzyknienia.

- To była wiadomość dla mnie. Nie kazał mi nikomu powtarzać - odparła z godnością Sophie. - Spóźni się, bo złapał gumę. Mamy czekać na niego w kościele. Lady Penelope spojrzała na zegarek.

- Sophie, Kate, Sarah, idźcie włożyć sukienki druchen. Dokładnie za dwadzieścia minut wychodzimy.

- A jeśli będziemy musieli czekać w kościele, mamó? - powiedziała złowieszczo Sophie czując, że gra w tej chwili główną rolę.

- Sophie Harriet Heleno Longbridge... zaczynasz... wyczerpywać... moją... cierpliwość. - Słyszac te nie wrózące nic dobrego słowa, trzy dziewczynki znikły w jednej chwili z błyskiem białych pończoch i skrzypem bucików.

* * *

Korowód ślubny z powozami na czele, za którymi podążała cała wieś i wszyscy właściciele sąsiednich majątków, pieszo, konno i w następnych powozach, przybył akurat na czas, by zobaczyć samochód pana młodego wpadający na teren kościoła. Tony i jego świadek zdolali wbiec do przedsionka i przedostać się w głąb świątyni tuż przed trzema uderzeniami zegara na wieży.

Skoro tylko Freddy ruszyła przejściem między ławkami, oparta na ramieniu Paula, zamieniła się w postać z gobelinu. Szła mając w uszach dźwięki szlchetnego, dobrze znanego marsza, potem statecznej sarabandy, w końcu zaś muzyki, która nie mogła dotrzeć do nikogo w kościele, kto nie był wyczulony na dźwięki bombowców wysoko w górze.

- A więc to jest twoja dziewczyna - westchnął świadek, Jock Hampton, rzuciwszy pierwsze spojrzenie na majestatyczną, wysoką, zawoalowaną postać, przybliżającą się z oddali. Zaledwie parę godzin temu wybierał się na noc do Londynu. - Teraz rozumiem ten wariacki pośpiech.

- Zamknij się - powiedział Tony kącikiem ust, nie chcąc, by dźwięk ludzkiego głosu znalazł się między nim a Freddy, chociaż panna młoda była zmieniona do niepoznania. Mimo wysokiego wzrostu i wyprostowanych pleców Tony'emu brakowało jeszcze przynajmniej pięciu centymetrów wzrostu do chuderlawego blondyna z Kalifornii, który był z

eskadrą „Orzeł” od samego początku, na miesiące zanim Tony został dowódcą. Dwaj młodzi mężczyźni w niebieskich mundurach RAF-u w milczeniu czekali, aż przy dźwięku organów Paul przywiedzie Freddy do ołtarza i włoży jej dłoń w rękę Tony'ego.

Jock Hampton cofnął się o krok i przyglądał się, jak państwo młodzi powtarzają słowa przysięgi. W półmroku starego kościoła prawie nie widział rysów Freddy, zasłoniętych welonem. Rodowa koronka otaczała ją tak ściśle, że ukrywała nawet kolor włosów i dopiero gdy Freddy odrzuciła welon, chcąc pocałować pana młodego po ceremonii, Jock po raz pierwszy zobaczył ją naprawdę. Włosy stanęły mu dęba, zanim jeszcze zdołał coś sensownego pomyśleć. Nie z powodu jej piękna, prześcigającego marzenia, lecz dlatego że zdarzyło mu się już kiedyś ją widzieć i wiedział, że tej twarzy nie zapomni. Po raz pierwszy miał Freddy przed oczami dwadzieścia cztery godziny temu, kiedy zsunęła z głowy hełm i pomachała do niego ręką... w chwilę po tym, jak uratowała mu życie.

* * *

Dla uczestników weselnego przyjęcia otwarto największy pokój w najstarszym skrzydle Longbridge Grange. Freddy obtańczyła wszystkich nowych krewnych i dopiero kiedy wykonywała coś na kształt bokserskiego treningu ze szwagrem Nigelem, Jock Hampton uznał, że wypada jej przerwać.

- Próbowałem powiedzieć „dziękuję” - odezwał się, biorąc ją w ramiona.

Freddy dawno już ściągnęła welon i teraz promiennie błyszczące włosy powiewały jej w pasemkach wokół twarzy, musiała bowiem tańczyć z całym mnóstwem mężczyzn w wieku od dwunastu do osiemdziesięciu

lat, z których każdy utrzymywał, że jest bliskim krewnym. Świadek był jedynym mężczyzną, z którego strony nie oczekiwała żadnych zadań dla jej skołowanego umysłu.

Zbita z tropu Freddy podniosła wzrok i przyjrzała się Jockowi Hamptonowi. Pomyślała najpierw, że widzi typowo kalifornijską twarz. Takie typy jak on chodziły z nią do szkoły średniej: herosi boisk futbolowych, zawsze wyżsi od wszystkich dookoła, atletycznie zbudowani chłopcy z przyszłością, niewiele młodszy od świadka, którego lekko osmalone blond włosy opadały na czoło w sposób zarówno nieregulaminowy, jak niemodny. Mężczyźni z takimi włosami musieli zwykle używać rozmaitych mazideł, żeby jakoś je ulizać. Wygląda na twardego faceta, doszła do wniosku Freddy, z ulgą stwierdzając, że Jock cudownie tańczy; twardego i niesubordynowanego, a przy tym ma tajemniczo roześmiane ogniki w czysto niebieskich oczach, wokół których opalenizna podkreśla zmarszczki zdecydowanie bardziej niż u ludzi nie będących pilotami. Ten rycerski wiking, który pojawił się niespodzianie na weselu, był nieoswojony i niepokorny, co do tego Freddy miała pewność. Jego rysy, choć wyraziste, nie były ostre. Miał w sobie coś z gangstera. Gdzie Tony go wynalazł? Freddy spojrzała pytająco na Jocka. O czym on mówi?

- Wczoraj - wyjaśnił. - Próbowałem powiedzieć „dziękuję” za uratowanie życia... ten facet w pontonie... czyżby mnie pani nie pamiętała? Robi pani takie rzeczy codziennie?

- To pan?

- Owszem. Odwalila pani ładny kawałek latania.

- O, ty sukinsynu! Ty pyszczymordo! Ty kretynie! O mało nie

wypieprzyli mnie z ATA przez twoje zasrane opowieści. Dlaczego, do kurwy śmierci, nie umiesz zachować szczegółów dla siebie, baranie? Durniu! Nie, musiałeś pobiec do jakiegoś reportera i wszystko mu wygadać... ze wszystkich głupich, świrowatych... - Raptownie przestała tańczyć i niemal zawisła na nim, zbytnio zaskoczona własnym wybuchem, żeby zrobić następny krok.

- Zdecydowanie ma pani talent do wyrażania własnych myśli - stwierdził Jock podtrzymując ją. - Cieszę się, że dzisiaj nie ma pani amunicji.

- Wczoraj też nie miałam. Latamy nie uzbrojonymi maszynami, mądralo.

- Blefowała pani?

- Prawdę mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym szczególnie.

- Nieźle, nieźle, pani Longbridge. Nie jestem pewien, czy zazdrozczę mojemu wspaniałemu dowódcy. Czy on wie, z jakiego rodzaju maniaczką się ożenił?

- Och, odpierdol się mądralo! Muszę mieć jakąś rozrywkę dla odmiany! Twój kumple obstawiają wszystkie akcje, a my musimy konwojować to żelastwo. Podobałoby ci się robienie w kółko czegoś takiego? A tak w ogóle, to jak się nazywasz?

- Jock Hampton.

- Dobra, Jock. Nie waż się kiedykolwiek wspomnieć Antony'emu o tym, co zrobiłam. Nie waż się wspominać o tym nikomu, słyszysz? Bo inaczej zajmę się tobą ze szczególną uwagą. A kiedy już się kimś zajmę, to zostaje zajęty na amen.

- Obiecuję. Za bardzo się pani boję, żeby choć pamiętać.

- O czym pamiętać? - spytała, podejrzliwie mrużąc oczy.
- Już nawet nie pamiętam, o czym miałem nie pamiętać.
- Może nie jesteś taki niewiarygodnie tępy, jak mi się wydawało.
- Chyba nadszedł czas na krojenie tortu, pani Longbridge.
- Przestań zmieniać temat.

- Naprawdę. Czekaają na panią. Ale czy pozwoli mi jeszcze pani coś dodać? Są okoliczności łagodzące. Potem już nigdy nie wrócę do tego tematu, słowo.

- Niech będzie, tylko kończ z tym szybko.

- Nie powiedziałem reporterowi, że to była dziewczyna. Wspomniałem tylko o rudych włosach. A przecież od razu widziałem, że są za długie jak na mężczyznę.

Freddy zamyśliła się nad jego słowami.

- Rzeczywiście nie powiedziałeś - odparła powoli. - Czy to znaczy, że powinnam cię przeprosić za wszystko, co usłyszałeś?

- Panna młoda nie musi za nic przeproszać.

- Mimo wszystko przepraszam. Nie powinnam była ci mówić, żebyś się odpierdolił. Nie w dzień wesela.

Muszę mieć tę dziewczynę, pomyślał Jock Hampton. Ona powinna być moja.

Plakat rozlepiono na ścianach budynków w całej Francji na początku roku 1943. Przedstawiał monumentalnego, muskularnego i dobrze odżywionego młodego Francuza w niebieskim kombinezonie, dumnie stojącego pod pomarańczowym niebem, przed grupą narzędzi. W oddali majaczyła malutka wieża Eiffla, a wysokie liternictwo w kolorach czerwonym, białym i niebieskim głosiło: „Pracując w Niemczech jesteś ambasadorem francuskości”.

Ile razy Bruno przechodził obok tego plakatu, nawiedzała go refleksja, że francuskość zawsze będzie pożądanym towarem, bez względu na formę... chociaż równocześnie gratulował sobie, że osobiście nie musi demonstrować francuskości przymusową pracą w Niemczech, którą plakat przedstawiał tak chwalebnie. Zwalniały go obowiązki w Valmont. W roku 1942 dziadek umarł na zapalenie płuc, Bruno został gospodarzem majątności Lancelów, zamku Valmont i otaczających go winnic. Po śmierci męża załamana Anette de Lancel chowała się bez przerwy w swoich pokojach i nie wykazywała już najmniejszego zainteresowania prowadzeniem majątku.

Mimo względnie życzliwych stosunków, jakie Bruno osiągnął i utrzymywał z wysłannikami fűhrera Szampanii, nie był w stanie zmienić podstawowego faktu, tego mianowicie, iż jego szampan jest traktowany jako łup wojenny. Wprawdzie Niemcy pozwolili w końcu winiarzom sprzedawać prawie dwadzieścia pięć procent rocznej produkcji cywilnym odbiorcom we Francji, Belgii, Finlandii i Szwecji, ale owo ustępstwo zapewniało jedynie ciągłość zbiorów. Nie było mowy o żadnym zbytku.

Jakim cholernie niezyskownym interesem stał się szampan, myślał

gniewnie Bruno po pogrzebie dziadka, spoglądając w dal ponad oceanem winnic w pofalowanej dolinie pod zamkiem. Francuskość? Owszem, Bruno jej nie negował, ale równie dobrze mógłby być rzeźnikiem przyglądającym się ladzie pokrytej podrobami - flakami, wątrokami, mózdkami i trzustkami - widok ten dawał mu bowiem takie samo poczucie przyjemności estetycznej. Po ostatnich dwóch latach umiał doglądać uprawy winogron w stopniu wystarczającym do potrzeb i o wiele za wysokim do tego, czego kiedykolwiek chciał się nauczyć.

Nie miał zamiaru pozostawać na tym piekielnym francuskim zadupiu po zakończeniu wojny, a koniec musiał przecież wreszcie przyjść, kiedy wszystkie państwa świata wyczerpią zasoby. Któż jednak mógł odgadnąć, ile lat trzeba na ten koniec czekać. Kto mógł nieomylnie przewidzieć, gdzie ulokują się centra władzy? W Paryżu o postępach wojny wiedziano niewiele, a jeszcze mniej w Szampanii, odległej od bitewnych pól. Bruno zakładał, podobnie jak miliony innych ludzi, że ostatecznie Francja pozostanie w jakiś sposób związana z Niemcami i przy odrobinie szczęścia będzie traktowana bardziej jak młodszy partner współtworzący Rzeszę niż podbite terytorium.

Bruno wymacał palcem klucz do rozległych piwnic pełnych szampana lancel, który spoczywał tam nie tknięty od początku wojny. Niemcy nie podejrzewali jego istnienia, wiedzieli o nim prócz Bruna jedynie trzej Martinowie, którzy uzupełnili jeszcze skarbiec rocznikiem 1939. Dopiero na dzień przed śmiercią dziadek dał wnukowi w posiadanie ów święty klucz.

Bruno przypomniał sobie, że kiedy po raz pierwszy odwiedził piwnice w 1933 roku, dziadek powiedział, iż po ewentualnej wojnie

Lancel wracający do Valmont będzie mógł odtworzyć winnice sprzedając wielki zapas szampana. Dla Bruna zamek mógłby obrócić się w perzynę, a wapienny grunt spod upraw winorośli nadawałby się do sadzenia kapusty. Bruno osiągnąłby absolutne zadowolenie, gdyby nie musiał już nigdy w życiu patrzeć na żadną winorośl ani doglądać zbioru winogron. Do diabła z francuskością!

Czy kochałby tę ziemię, gdyby któregoś dnia miała należeć do niego w całości, nie skażona równymi dziedzicznymi udziałami przyrodnich siostr? Nie, nawet wtedy nie. Czułby się usatysfakcjonowany posiadaniem, ale nigdy nie mógłby kochać ziemi, która wymaga od właściciela tak wiele. Ziemia powinna istnieć, żeby się nią cieszyć, a nie żeby jej służyć. Zamek powinien służyć obfitością zwierzyny, końmi i polowaniami, wspaniałością dzieł sztuki i architektury, odwiedzinami dawno nieżyjących królów i blichtrzem stuleci, tak jak rodowa siedziba Saint-Fraycourtów w czasie, gdy jeszcze do nich należała. Valmont nie miało dosyć blasku. Dziełami sztuki były tu jedynie portrety rodzinne i dobre, lecz nieefektywne meble. A Szampania była zdecydowanie krainą rolniczą, mimo iż tak wiele osiągnęto dzięki szczególności jej gruntowi szlachetności szczepu winogron.

Gdyby był jedynym właścicielem, mógłby nająć zarządcę, który wyciskałby zyski z każdego hektara do ostatniej kropli. Przyjeżdżałby wtedy do Valmont jedynie upewnić się, że nie jest oszukiwany. Jaki sens miał arystokratyczny tytuł, skoro w Valmont Bruno borykał się z tymi samymi kłopotami, co liczni wieśniacy, posiadający małe skrawki ziemi z własnymi uprawami winorośli?

Pozostawały jeszcze zapasy szampana w piwnicach. O, to była

zupełnie inna sprawa. Stanowiły teraz fortunę, lepszą niż złoto, fortunę na której Bruno musiał położyć rękę. Śmierć dziadka umożliwiła mu dokonanie sprzedaży, a z jej zorganizowaniem trzeba się było spieszyć, każdego bowiem dnia snu zielonych butelek ubranych w błyszczące etykiety przybliżał się o jeden dzień koniec wojny. Jeśli nawet Niemcy staną się bezdyskusyjnymi panami całej Europy, to wraz z nieuniknionym zawieszeniem broni musiał przyjść okres niepewności i zamieszania, podobnie jak po upadku Francji.

Bruno obiecał sobie, że tym razem będzie lepiej przygotowany. Szampan należy zamienić na bezpieczną walutę i zdeponować w stabilnym kraju, tak by móc potem uchwycić najlepszą sposobność, jaką przyniesie czas pokoju. Bruno miał już dwadzieścia osiem lat, z czego trzy stracone tutaj. Co za francuskość!

Poszedł więc zatelefonować do swojego uprzejmego znajomego, generała von Sterna, który tymczasem poczuł się przy Rue de Lille całkiem jak u siebie; odbywał zresztą takie rozmowy jak mógł najczęściej. Po niedługiej chwili udało się osiągnąć dżentelmeńskie porozumienie w sprawie losu kilkusettyśięcznego zapasu butelek szampana, ułożonych w stosach ponad dwumetrowej wysokości, który to zapas stanowił ciężko wypracowaną siłę rodu Lancelów, jego krew, jego przyszłość.

Podczas poszukiwań dzieł sztuki generał zdobył o wiele większą wiedzę o tym, kto, co i komu sprzedaje w okupowanej Francji, niż była mu ściśle niezbędna do wypełnienia własnego zadania. Natychmiast zrozumiał problem Bruna i za pomocą kilku rozmów telefonicznych, spotkania i porozumienia co do podziału łupu rozwiązał go ku obopólnemu zadowoleniu.

W ramach przygotowań zmieniono na stałe trasę nie rzucającego się w oczy konwoju ciężarówek, będących w dyspozycji generała, tak żeby można było robić krótkie nocne wypadki do Valmont. Zdyscyplinowani niemieccy żołnierze własnymi rękami przynosili butelki z szampanem na wózki, ładowali ciężarówki z ostrożnością i szacunkiem należnym obrazom lub rzeźbom. Nie było tłuczenia szkła, szabru ani wandalizmu, żadnych niepokojów, które mogłyby przyciągnąć uwagę kogoś z mieszkańców zamku. Niczego nie wiedzieli również urzędnicy z kancelarii fűhrera, jako że nie odwiedzali piwnic Szampanii po zapadnięciu zmroku.

Z miesiąca na miesiąc tajne podziemie Valmont wykrwawiało się, w końcu siła Lancelów rozplynęła się na czarnym rynku, a Bruno, korzystając ze znajomości w szwajcarskiej finansjerze, położył solidny fundament pod swą fortunę. Nikt na tym nie ucierpiał z wyjątkiem trzech kuzynów Martin, lojalnych piwnicznych, którzy mieli nieszczęście wiedzieć o istnieniu zapasu. Bruno uznał, że jedynym rozsądnym wyjściem będzie pozbycie się tych ludzi wraz z ich niewygodnymi wspomnieniami. Nie wolno było dopuścić, żeby Martinowie zobaczyli puste podziemia skarbcza.

Oficer z kancelarii fűhrera w Reims, który przyjechał na kolejną inspekcję winnic Lancelów, zastał dobrze znany widok: poważnie zakłopotany Bruno znowu potrzebował rady.

- Czuję się w obowiązku poinformować, że mam podstawy posądzać trzech z moich najbardziej zaufanych ludzi o przystąpienie do ruchu oporu - wyznał Bruno. - Nie wiem, co robić... mój dziadek darzył ich głęboką przyjaźnią... ale nie mogę z czystym sumieniem osłaniać ich, bo osłanianie

byłoby w istocie współudziałem.

- Hrabio, podjął pan rozsądną i patriotyczną decyzję Proszę podać mi ich nazwiska i nie myśleć o tym więcej. Przekażę sprawę do gestapo w Reims.

Będzie mi brakowało ich doświadczenia, zamyślił się Bruno, usłyszawszy o egzekucji trzech Martinów. Musiał jednak przyznać, że gestapo ma swoje dobre strony.

* * *

Dałabym wiele, żeby usłyszeć Cary'ego Granta wybuchającego swym ironicznym śmiechem, zobaczyć Freda Astaire'a ze stepowaniem zdobywającego kolejne stopnie schodów albo Myrnę Loi robiącą idiotę z jakiegoś mężczyzny, myślała Delphine, sztywno trzymając głowę, żeby fryzjerka mogła ukryć jej włosy pod peruką, która miała zamienić ją w Marię Józefinę. Amerykańskie filmy pozostały jednak tylko nostalgicznym wspomnieniem, od czasu kiedy zakazano ich w 1940 roku. Tego dnia charakteryzowano ją do następnego z koturnowych, kosztownych, historycznych lub biograficznych dramatów, które w ostatnich latach stały się tak popularne wśród francuskich producentów.

„Prestiż” i „wysoka sztuka” były teraz kluczowymi hasłami dla twórców filmu, producenci wysiadali w bufetach i debatowali nad wartościami scenariuszy, przyjmując jako kryterium dostateczne gloryfikowanie francuskiej kultury i tradycji. Okupowana Francja była izolowana od świata, ale nie można jej było odebrać wzniosłej przeszłości. Filmowcy zwrócili się wstecz, ku dumnemu nacjonalizmowi lat dawnej chwały, ku wizjom minionej świetności.

Wielu producentów utrzymywało, że posługuje się wielkimi

obrazami epickimi, by ofiarować nadzieję i natchnienie francuskiemu narodowi w okresie klęski. Inni, otwarcie pogodzeni z nowymi władzami, przyznawali, że znaleźli potrzebny im schron, uciekając w historię lub nawet w ponadczasowe mity i legendy, gdyż nawet cień tragicznej współczesnej rzeczywistości nie mógł w żadnym wypadku paść na ekran. Zdobywcy byli jednak o wiele za sprytni, żeby nie rozumieć konieczności zachowania pozorów, szczególnie dla mas pokonanego narodu, które tłumnie waliły do kin jak nigdy przedtem.

W ostatnich pięciu filmach Delphine nosiła stylowe peruki i kostiumy do ziemi. Wszystkie pięć kręcono w zamkach, które Niemcy udostępniłi do scen plenerowych, albo w studiach z niezwykle starannie wypracowaną scenografią. Scenariusze były pełne podniosłego języka literackiego, akcja odznaczała się formalną dyscypliną, poszukiwano w niej doskonałości uczuć, powracano do klasycyzmu, który nie pozostawiał miejsca na spontaniczny śmiech i sprawność rzemiosła z wczesnych filmów Continentalu.

Delphine siedziała w garderobie i z okrucieństwem profesjonalistki przyglądała się własnej twarzy w lustrze. Tak, mogła jeszcze podołać wścibskiemu spojrzeniu kamery podczas zbliżenia, ale sama nie rozumiała, jak to się dzieje, skoro od prawie czterech miesięcy nie miała najmniejszej wiadomości od Armanda. Kiedy w domu zdejmowała makijaż, widziała podkrążone oczy, pozostałość długich, przeszlochanych nocy, spędzonych na borykaniu się z desperacją i bezsennością. To, co sama widziała dziś, jutro mogła dostrzec kamera. Delphine myślała o tym z troską, podobnie jak wielu ludzi nie była w stanie znieść braku pracy. Musiała słuchać rad, rozmawiać z kimś, inaczej groziło jej załamanie pod

ciężarem rosnącego lęku o bezpieczeństwo Armanda. Uświadomiła to sobie, kiedy przypinano jej do peruki diadem z diamentów i szmaragdów.

Do kogo jednak mogła się zwrócić? Od 1940 roku utrzymywała stałą korespondencję z babką w Valmont, znajdując w otwieraniu serca przed starą kobietą tę samą ulgę, jaką miałyby prowadząc dziennik. Odpowiedzi dostawała coraz rzadziej, zupełnie jakby wysyłała listy w butelce, ale i tak miała dzięki temu nikłe, absolutnie konieczne poczucie związku z rodziną, które równie poprawiało jej samopoczucie, jak cienka rękawiczka noszona pod mufką przez damę z czasów królowej Wiktorii. Anette de Lancel, będąca po osiemdziesiątce, z pewnością nie mogła już znaleźć rozwiązania problemów dręczących wnuczkę, jak stało się to kiedyś, gdy siedem, czy może siedemset, lat temu wydała ów uroczysty sierpniowy obiad w zamku i zmieniła tym życie Delphine.

Delphine stwierdziła z niechęcią, że nadszedł czas na odnalezienie Bruna. Miał rację z wybuchem wojny, miał rację co do traktowania francuskich Żydów przez Niemców i Delphine żałowała niezliczoną ilość razy, że nie znalazła dość rozumu, by go wówczas posłuchać. Spoglądając wstecz, ledwie mogła uwierzyć, że tak ślepo układali wraz z Armandem swoje życie, a przecież wykazali po prostu równie małą zdolność przewidywania, jak niemal wszyscy, z wyjątkiem garstki mądrych pesymistów z Robertem Siodmakiem, Maxem Ophulsem, Borisem Kaufmanem i Jean-Pierre'em Aumontem, którzy w porę wyjechali z Francji.

Delphine zatelefonowała do Valmont i dowiedziała się, że Bruno wyjechał na kilka dni do Paryża. Dodzwoniła się do hotelu i ze zdziwieniem usłyszała w jego głosie tak wielką przyjemność, jakby ich

ostatnie spotkanie w ogóle nie miało miejsca.

- Oczywiście, gąsko, że znajdę czas, żeby się z tobą spotkać. Jak mogłoby być inaczej? - wykrzyknął i umówili się na następny dzień w domu przy Villa Mozart. Na to spotkanie Delphine ubrała się elegancko i zrobiła staranny makijaż. Kiedy skończyła, dokonała oceny wyglądu i stwierdziła, że nie różni się bardzo od dziewczyny widzianej przez Bruna ostatnio, czyli prawie cztery lata temu. Nie wolno jej było poddawać się panice, która wypełniała ją prawie bez reszty, instynkt Delphine sprzeciwiał się okazywaniu najmniejszej słabości w tej sytuacji.

Wykwintna jak zawsze, pomyślał Bruno, witając się z Delphine. Przyrodnia siostra miała teraz dwadzieścia pięć lat, i choć zawsze robiła duże wrażenie, to przecież dojrzała, z dziewczyny stała się kobietą. Ale nieodparty urok twarzy podobnej do serca, wielkich, szeroko rozstawionych oczu, mający zwykle magiczną moc, tym razem był ledwo widoczny. Co, z wyjątkiem wielkiej straty, mogło ograbić Delphine z jej władzy, zastanawiał się Bruno, póki nie spojrzał w szare jak mgła oczy, bo wtedy zorientował się natychmiast, że jest w nich przerażenie.

Poczęstowała go aperitifem i przez kilka minut gawędzili o niczym. Delphine upewniła się tymczasem, że Bruno nadal jest równie nieskory do szybkich sądów, równie łatwy w rozmowie, jak w dniach, kiedy byli ze sobą blisko i wymieniali uprzejmości nie pytając o powody.

- Martwię się, Bruno - powiedziała raptownie. - Armanda wzięli do niewoli pod Dunkierką i wysłali na roboty w Niemczech, w fabryce. Pisał do mnie kartki z wiadomością, że jest zdrowy i cały... od czterech miesięcy milczy.

- Co zrobiłaś, żeby się dowiedzieć, gdzie jest? - spytał Bruno tonem

człowieka interesów. A więc jednak, pomyślał, ciągle jeszcze ten pieprzony Żyd. Pech i głupota. W dodatku całkiem niepotrzebne. - A co mogę zrobić? Nie wiem, od czego zacząć.

- Przecież na pewno masz przyjaciół... ludzi, którzy mogliby się zainteresować...

- Mam przyjaciół w wytwórni, nawet więcej niż przyjaciół, bo kumpli, ale w jaki sposób któryś z nich mógłby mi pomóc?

- Nie myślę o nich, *cherie*. Zakładam, że zapraszają cię do salonów niemieckiego ambasadora Obetza, a także do Herr Eptinga z Instytutu Niemieckiego...

- Zapraszają, oczywiście, ale chodzić tam? Nigdy nie brałam tego pod uwagę.

- I to jest błąd, gąsko, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Odcięłaś się od potencjalnych przyjaciół, od cennych kontaktów, od ludzi którzy ewentualnie mogliby ci pomóc.

- Niemcy?

- A kto inny? Oni mają władzę w Europie. Kto oprócz Niemców?

- Dlaczego jakiś Niemiec miałby mi pomagać w znajdowaniu Żyda?

- Ech, Delphine, widzisz wszystko w czarno-białej tonacji, zgodnie z przyzwyczajeniem. W czasie pokoju była to urocza cecha, ale w obecnych okolicznościach razi zbędną naiwnością. Od dłuższego czasu miałaś regularne wiadomości od Sadowskiego. Dla mnie jest to znak, że uważano go za Francuza polskiego pochodzenia i traktowano tak samo, jak innych jeńców wojennych. Czy on jest obrzezany? Nie? Jego szczęście. W tych czasach byłoby zdecydowanie niemądrze rozpytywać o Żyda Sadowskiego, ale o francuskiego obywatela, znanego reżysera Armanda

Sadowskiego przecież można. Naturalnie chcąc zdobyć wiadomości o nim, będziesz musiała użyć swoich wpływów.

- Moich wpływów? Jakich wpływów?

- Jesteś dziś sławniejsza niż kiedykolwiek, nie wiesz o tym? A sława daje wpływy, jeśli umiejętnie się nią posługiwać. Niekorzystanie z takich wpływów równa się paleniu prawdziwych pieniędzy, moja droga. One nie będą trwać wiecznie, jak sztabki złota pod podłogą.

- Nie wiedziałabym, od czego zacząć.

- Czy nie dlatego zadzwoniłaś do mnie?

- Chciałam... chciałam prosić cię o radę.

- Oddaj się w moje ręce, Delphine.

- Och, Bruno, czy naprawdę sądzisz, że jest nadzieja? - wykrzyknęła Delphine, nie potrafiąc ukryć niepewności.

- Oczywiście, że jest - pocieszył ją. - Muszę się zastanowić, od kogo najlepiej zacząć, ale jeśli będziesz ze mną współpracować i podążać za moimi radami, zrobisz dla Sadowskiego wszystko, co można w dzisiejszej sytuacji.

- Dobrze, Bruno. Dobrze. Zrobię, cokolwiek powiesz.

* * *

Idąc szybkim krokiem do hoteliku na lewym brzegu Sekwany, Bruno podśpiewywał z wielkiej satysfakcji. Odejście Delphine z jego życia pozbawiło go poważnego atutu. Posiadanie takiej siostry dawało korzyści w przeszłości, a teraz mogło dawać jeszcze większe. Oczywiście, Delphine musiała wierzyć, że jej Żyd jeszcze żyje. Szkoda, byłaby stanowczo bardziej przydatna, gdyby starczyło jej inteligencji na dojście do wniosku, że zginął. Ale przecież pozbawiona nadziei stałaby się zupełnie

bezużyteczna. No cóż, nadzieję mógł jej dawać, to nic nie kosztuje, co jednak mogła zrobić dla niego Delphine?

Nie potrzebuję przychylności niemieckiego ambasadora w Paryżu ani przedstawicieli niemieckiej kultury i sztuki, myślał Bruno, przechodząc nad Sekwaną. Nie miało znaczenia, że Delphine nie dbała o Obetza, Eptinga czy nawet Grevena, swojego szefa z Continentalu, co byłoby dla niej dziecinnie łatwe.

Jego generał von Stern natomiast... tak, von Stern wart był osobnej uwagi. Okazał nadzwyczajną zręczność w sprawie szampana. Dlaczego nie mieliby zrobić razem następnych interesów?

Przemierzając paryskie chodniki, Bruno rozmyślał nad wiadomością, a właściwie pogłoskami, gdyż wiadomości w prasie prawie nie było, że zaledwie kilka miesięcy temu, zimą 1943 roku, poważne niemieckie siły zostały pobite pod Stalingradem. Zastanawiał się, czy jest to znak, że Niemcy nie okażą się wyłączną siłą w Europie, czy też po drodze od zwycięstwa do zwycięstwa trafił się błąd w sztuce. Wszak nawet Napoleon nie był w stanie podbić rosyjskiej zimy.

W zasadzie nie miało znaczenia, że nie potrafił zinterpretować stalingradzkiej lekcji. Cokolwiek znaczyła, jedynie wzmacniała przeświadczenie Bruna, że czas na zbudowanie fortuny jest teraz, przed końcem wojny.

Von Stern był zbyt szczwanym lisem, by wyznawać inny pogląd. Obaj pragnęli tego samego, dostatku w przyszłości.

Ale von Stern pożywał jeszcze czegoś, czego pożywali zawsze zdobywcy wielkich i wspaniałych miast: akceptacji. Generał urósł w siłę i ustalił swoją pozycję, obiady, które wydawał, nie zamykały się już w

ciasnym kręgu spokojnych, znajomych oficerów. Zapraszał do siebie Francuzów i Francuzki, podobnie jak ambasador i szef instytutu. Niektórzy, choć z pewnością nie wszyscy, przychodzili na obiady przy Rue de Lille. Von Stern często napomykał Brunowi, że chciałby mieć honor poznania Delphine. Bruno musiał szukać wykrętów. Było to w swoim czasie kłopotliwe, ale teraz okazało się zrzędzeniem losu. O ile lepiej było przedstawić Delphine po tylu rozczarowaniach generała niż przedtem, kiedy jeszcze piwnice Valmont były pełne.

Tak, dając nadzieję, można było mieć władzę nad Delphine. Powinna włożyć najpiękniejsze klejnoty, najbardziej elegancką suknię wieczorową i zasiąść do stołu von Sterna, a on, Bruno, wypowie tych kilka słów, które pozwolą jej żywić nadzieję. Każde z nich dostanie akurat tyle, ile chce... będzie to jednak dla niego równie cenne jak skarbiec, który został zamknięty na cztery spusty i zapomniany, jakby nigdy nie istniał.

* * *

Coraz bardziej lubię Freddy, myślała lady Penelope Longbridge, krzątając się po kamiennej podłodze kuchni w niezwykle gorącą majową niedzielę 1944 roku i przygotowując lunch na świeżym powietrzu dla całej rodziny. Tylko czy dziewczyna nie angażuje się odrobinę za bardzo w latanie wielkimi bombowcami po całym kraju? Freddy i Jane przeszły w Marton Moor kurs pilotażu czterosilnikowych samolotów już rok temu, toteż można było oczekiwać, że przez ten czas smak przygody nieco Freddy spowszednieje. Co do lady Penelope, zajęcie wydawało jej się trochę... nie odpowiednie dla damy. Z niepokojem myślała o obu dziewczętach za sterami bombowca, nawet jeśli leciał z nimi mechanik pokładowy, a czasem także drugi pilot.

Cudownym zajęciem dla kobiety było latanie jednomiejscowym spitfire'em z fabryki na lotnisko, gdzie czekał już pilot, który potem używał maszyny w walce. Tak samo w stajniach kobiety dosiadały koni wyścigowych i jadąc łagodnym kłusem, dostarczały je dżokejom na tor. Ale o tym, co robią Freddy i Jane, lady Penelope nie szepnęłaby nikomu poza poczciwym Geraldem. Co tu dużo mówić, do dziewcząt nie pasowało pilotowanie olbrzymich stirlingów, hali faxów i lancasterów, by nie wspominać latających fortec B-17, o których obie przebąkiwały od ostatniego lata. Lady Penelope nigdy nie przypuszczała, że zaznajomi się z ciśnieniem elektronicznej turbosprężarki doładowującej, bo właśnie o czymś takim rozmawiały córka z synową, pożerając jajecznicę z absolutnie wspaniałego proszku, przywiezionego poprzedniego dnia przez Jocka, który zawitał na weekend. Słuchało się ich jak starych mechaników w zapuszczonym garażu.

Zastanawiało ją, co Freddy będzie robić po wojnie, gdy przyjdzie jej wrócić do normalnego życia. Do lądowania w Europie nie pozostało już chyba wiele czasu, sądząc po wyrazie oczekiwania i napięcia na twarzach Tony'ego, Jane, Freddy i Jocka. Wieki minęły od poprzedniego razu, kiedy całej czwórce zdarzyło się przyjechać jednocześnie, stwierdziła Penelope Longbridge, tnąc w plasterki masę konserwowej wołowiny. Również ten niecodzienny luksus był darem Jocka Hamptona.

Dlaczego właściwie martwiło ją, jak dostosuje się do przyszłości Freddy, a nie jej własna córka? Czy dlatego, że Freddy miała stanąć wobec zupełnie nowego sposobu bycia, podczas gdy Jane wystarczyło z powrotem wejść w życie, do jakiego została wychowana? Nie spodziewała się zresztą, że Freddy przekształci się we wzorową Angielkę z dnia na

dzień. Miała w sobie zbyt wiele z pirata, te płomieniste włosy, miękki chód, dziarską gestykulację.. zbyt wiele, by można było sobie wyobrazić, że bez problemu wejdzie w rolę damy mieszkającej we dworze. A przecież... któregoś dnia zostanie panią na Longbridge Grange, żoną piętnastego barona, a także kobietą, widzianą przez ludzi mieszkających w tej części Kentu jako stanowicielka norm.

Niezaprzeczalnie Freddy nie miała zielonego pojęcia o oczekiwaniach wobec niej... oczywiście skończyła dopiero dwadzieścia cztery lata. Kochana dziewczyna będzie po prostu musiała nauczyć się okazywania więcej niż przelotnego zainteresowania kościelnym kwestom, balowi myśliwskiemu, Lidze Kobiet, szpitalowi, miejscowemu pokazowi koni, nadchodzącym wyborom w hrabstwie... Och, po wojnie będzie tyle wydarzeń, do których trzeba wrócić! Czy jednak Freddy wie choć w zarysach, ile czasu i planowania wymaga organizacja przyzwoitego proszonego obiadu? Czy wie przynajmniej, jak zrobić listę zakupów? I czy jest gotowa nauczyć się gry w brydża? Przecież nie może wrzucać kart do kapelusza, który nosi się w Ascot! Bez wątpienia musi zrozumieć, że kiedy wraz z Tonym zamieszkają na wsi, brydż będzie zasadniczą sprawą. Penelope Longbridge nieświadomie westchnęła.

Jane była natomiast całkiem bezwstydna, matka musiała patrzeć na jej wyczyny z przymrużeniem oka, bo inaczej groziłoby jej, że zwariuje. Gorszenie się nie miało sensu. Lady Penelope wiedziała o mężczyznach w życiu Jane, czego nawet poczciwy Gerald nie podejrzewał, ale jakoś zupełnie się nie przejmowała. Każda porządna rodzina ma od czasu do czasu swoją legendarną Jane. Potem taka figlarna dziewczyna dobrze, naprawdę dobrze wychodzi za mąż i ma tuzin szczęśliwych dzieciaków.

Jane była zjawiskiem, zgoda, ale w odróżnieniu od Freddy nie dawała powodów do obaw.

Zdążyć jeszcze pomyśleć o tym po wojnie, energicznie powiedziała sobie Penelope Longbridge i przyjrzała się efektowi przygotowań. Koszyk batoników czekoladowych na deser, butelka whisky do podania przez lunchem, mnóstwo kanapek z konserwy wołowej na cienkich kromkach wojennego chleba, nieco zamaskowanych masłem z puszki, sałatka z gotowanych ziemniaków, brukselek i cebuli, przyprawiona na jej własny sposób, polegający na zastąpieniu brakującej oliwy dużą ilością pieprzu. Poza chlebem i sałatką całe menu zawdzięczali szerokiemu gestowi Jocka. Od kiedy eskadrę „Orzeł” przeniesiono do amerykańskich sił powietrznych, Jock nigdy nie odwiedzał Longbridge Grange bez kosza żywności, przygotowanego przez szefa kasyna, który zrobiłby wszystko, żeby dogodzić swojemu dowódcy eskadry, podpułkownikowi Hamptonowi.

* * *

Kocham Freddy do szaleństwa, myślał podpułkownik Antony Longbridge, składając stos przygotowanych na lunch pod gołym niebem, nadzartych przez mole koców i poduch pod jedną z kwitnących grusz w pobliżu gołębnika. Kochał ją, a jednak Freddy była teraz jakby kimś innym niż dziewczyna, z którą się żenił. Choć, uczciwie mówiąc, możliwe, że to on się zmienił, odkąd zaczął mieć te pieprzone kłopoty z zatokami. Dolegliwość nie przeszkadzała mu ani trochę, jeśli nie osiągał akurat pułapu siedmiu tysięcy metrów ani nie schodził z tej wysokości lotem nurkowym, uznano go jednak za niezdolnego do służby w powietrzu, musiał usiąść za biurkiem i dowodzić dywizjonem złożonym z trzydziestu

sześciu myśliwców, zamiast samemu pilotować maszynę. Jeśli człowiek nie może wylatać własnego limitu, to znaczy, że nadaje się całkiem do dupy. Zatoki! Chryste, co za cholerna przypadłość. Uczciwie, a nawet przesadnie uczciwie mówiąc, chodziło mu chyba o różnicę między jego przywiązaniem do ziemi i wolnością pilota, jaką cieszyła się Freddy. Może właśnie dlatego wydawała mu się teraz inna.

Na czym dokładnie polegała ta inność? Przecież Freddy nie zawsze miała wokół siebie aurę... czyżby dowódczą? Tę aurę roztaczała teraz. W mundurze lotniczym sprawiała tak pewne siebie wrażenie, jakby rządziła światem. Tony zamierzał spalić ten mundur po wojnie. Spalić go, do czarnych butów przywiązać kamienie i zatopić je w rzece, pociąć na milion kawałeczków furazerkę, zabrać plakietkę ze skrzydłami i schować ją na wieki, a żonie powiedzieć, żeby zapuściła włosy do kolan i nosiła sukienki, w których będzie widać cycki aż po same czubki, diabli z gadaniem ludzi. Potem zamierzał spuścić jej dobre lanie, niech wie, kto jest szefem... Nie mógł się tego doczekać! Przecież nie zawsze Freddy była tak bardzo zauroczona własnym zajęciem, żeby w rzadkich chwilach, kiedy udawało im się spędzić razem jej dwa dni wolnego, doprowadzać nieustannym kłapaniem o swoich bombowcach do tego, żeby Tony tracił cierpliwość i kazał jej się zamknąć. Był z niej dumny, do diabła, kto nie byłby dumny z tak odważnej żony, ale bombowiec to po prostu zaszary, niezgrabny autobus na skrzydłach. Czyżby Freddy tego nie zauważała? Czyżby nie rozumiała, że wraz z wynalezieniem celownika bombowego Nortona nie dokona się zbawienia świata? Wydawałoby się, że powinna być nieco bardziej... taktowna... opowiadając, jaką ma radochę w powietrzu, powinna wziąć pod uwagę jego sytuację, on przecież się nie

sprawdza, w każdym razie nie tak, jak chciałby.

Właśnie, myślał Tony, usiadłszy na kocu z dłońmi splecionymi przed kolanami, byłoby normalne, gdyby Freddy wycofała się dwa lata temu, po urodzeniu Annie. Pomocniczy Transport Powietrzny był wszak instytucją cywilną i mogła odejść, nikt nie powiedziałby jej złego słowa. Ale nie, latała dzień w dzień aż do szóstego miesiąca ciąży, kiedy nie potrafiła już wcisnąć się w kombinezon, mimo najsprytniejszych metod popuszczania pasków w talii. Dopiero wtedy pozwoliła się uziemić w Longbridge Grange, gdzie prawdopodobnie doprowadzała do obłądu matkę, tak jak teraz jego... Trzeba przyznać, że nie planowali dziecka w środku wojny, ale kiedy ludzie biorą ślub, takie rzeczy mimo wszystko się zdarzają. Co miał niby robić? Przepraszać? Potem Freddy z łatwością kotki urodziła dziecko pod koniec ósmego miesiąca, jakby nie zamierzała czekać ani chwili dłużej niż to bezwzględnie konieczne, a po trzech dalszych miesiącach wróciła do ATA, silna, pełna życia i zawadiackich pomysłów jak zawsze. Zostawiła niemowlę z obiema babciami, Sophie, Kate, Sarah i wszystkimi, którzy poczuwali się do opieki i naturalnie opiekowali się, tak że mała Annie, biedny brzdąc, myślała prawdopodobnie, że ma sześć albo i siedem matek.

Myśl o Annie wywołała uśmiech na twarzy Tony'ego. Ten wścibski duszek nigdy nie chodził, jeśli mógł biegać, znał wszystkie rośliny w ogrodzonym warzywniku przy kuchni, wszystkie drzewa i krzaki cisu rosnące wokół domu, wszystkie róże, konie, psy, które pojawiały się w pobliżu. Dziewczynka wykazywała poważne, omal przedwczesne zainteresowanie żyjącymi istotami, zdecydowanie przedkładanymi nad zabawki. Utrzymywała niepewną równowagę na malutkich stopach,

wdziękiem smukłych nóżek przywodząc na myśl modrzew, a kapryśnością i upodobaniem do czystości, kocię. Taka była jego kruszynka Annie, do tego niczym nie latała, nawet balonem, a gdyby udało mu się postawić na swoim, nie miała latać również w przyszłości. Dorastając powinna zachować stateczność i subtelność, jakimi cechuje się teraz, mieszkać na zielonej wsi, uczyć się jazdy konnej i szycia, podobnie jak jego matka, i oczywiście mówić po francusku, co już zaczynała robić z Eve, która przyjeżdżała odwiedzać dziewczynkę w Longbridge Grange, kiedy tylko mogła. Ach, jego Annie będzie prawdziwą angielską lady. A kiedy skończy się wojna, natychmiast po obwieszczeniu pokoju, Tony zapłodni Freddy jeszcze raz, i kiedy urodzi się następne dziecko, zrobi to znowu, i znowu, póki nie będzie ich dość, by zaczęła się dziwić, w jaki sposób udawało jej się zapełnić wszystkie długie, leniwe godziny zmarnowane podczas wojny. Bombowce? Myśliwce? Będzie go pytała, co to jest. Niemożliwe, żeby jakakolwiek maszyna ciekawiła matkę tyłu dzieci... szczególnie jeśli musi stawiać na pierwszym miejscu męża, jak każda dobra żona!

* * *

Kocham Freddy, naprawdę ją kocham, myślała Jane, pomagając matce wynosić z domu żywność na lunch. Im dłużej jednak ją znała, tym bardziej stwierdzała, że jest w niej coś nie wypowiedzianego, stojącego na drodze do jedności, tak ważnej w przykładowej rodzinie. Czasami wydawało jej się, że rozmawiają o wszystkim, o czym mogą rozmawiać dwie kobiety, szczególnie jeśli są szwagierkami i kumplami zza sterów samolotu, ale wtedy nagle Freddy odbiegała dokądś spojrzeniem, jakby dostrzegała coś nigdy nie widzianego przez Jane, jakby myślała o czymś,

czego Jane nigdy nie zrozumie. Jane nie pytała Freddy o te chwile, choć wiedziała, że w przeszłości szwagierki kryje się tajemnica, oczywiście związana z mężczyzną, bo z czym innym; tajemnica, znacząca zbyt wiele, by Freddy ją wyjawiała. Jej wiecznie zaskakujący błękit oczu stawał się wtedy zamglony, a przelotny, radosny uśmiech, marszczący jej nos, znikał na dobre, przez moment Freddy zdawała się całkiem nieobecna.

Jakikolwiek był ten sekret, z pewnością wyjaśniał, dlaczego latanie znaczyło dla Freddy więcej niż dla niej. Jane zazdrościła jej ciągłej namiętności, niczym zamężna kobieta, która znudzona małżonkiem, z zazdrością wspominała pierwszą miłość. Jane nie przypuszczała, żeby po wojnie miała chęć choćby spojrzeć na samolot. Wkrótce miało minąć pięć lat gramolenia się do tego żelastwa. Oczywiście wykonywanie takiej pracy było cudownie podniecające, stanowiło wyzwanie, zwłaszcza w miarę wzrostu komplikacji, bez wątpienia też stanowiło najprostszą drogę do zastąpienia mężczyzny w walce. Przy okazji miało coś ze sportu, szczególnie jeśli wylosowało się do konwojowania bombowców. Freddy cholernie się myliła w sprawie tej sprężarki, o wiele bezpieczniej było zdać się na dodatkowe śmigła, po jednym na każdy silnik, któż jednak mógłby wygrać w takim teoretycznym sporze?

Jane odstawiła półmisek pełen kanapek z wołowiną i starannie przykryła go na wypadek najazdu robactwa. Spojrzała na Tony'ego, który siedział głęboko zamyślony, i doszła do wniosku, że wygląd brata pasuje do jej odczuć. Część zapachu uleciała z niej po śmierci Margie Fairweather, która latała z nimi od samego początku, a ostatnio rozbiła się, gdy zawiódł silnik proctora. Udało jej się bezpiecznie wylądować na polu, ale nadziała się na niewidoczny rów i samolot eksplodował, zanim zdążyła zgasić

silnik. Śmierć trafiała się w ATA częściej, o wiele częściej, ale ta była najsmutniejsza ze wszystkich, Margie pozostawiła bowiem malutkie dziecko. Jej mąż, Douglas, również pilot ATA, zginął cztery miesiące wcześniej w ochotniczej misji nad Morzem Irlandzkim, podczas złej pogody. Czy Freddy nigdy nie myślała o Annie, kiedy siadała za sterami najcięższych samolotów, jakimi latano w tej wojnie? Jakoś nie można jej jednak było o to spytać, podobnie jak nie można było pytać Jocka, dlaczego nadal lata ze swoją eskadrą, skoro miał już do wyboru tyle różnych propozycji, że starczyłoby mu, żeby dziesięć razy z honorem zająć się pilotowaniem spraw z za biurka. Należało pogodzić się z faktem, że Freddy chce ryzykować, bez względu na dziecko.

Zastanawiała się, gdzie jest Jock. Prawdopodobnie opowiadał Freddy o bombardowaniu Niemiec, które przygotowywało grunt pod rychłe, już bardzo rychłe lądowanie w Europie. O czym by innym? Gdy leciało się teraz nad Anglią, cały kraj wyglądał jak jedna wielka scenografia do zbliżającej się walki. Ludzie i sprzęt byli rozmieszczeni na otwartym polu i w portach tak gęsto, że cudem tylko cała wyspa nie tonęła pod ich ciężarem. Co zrobi z sobą Jock po zwycięstwie, o które wszyscy się modlili.

Tony i Freddy będą niewątpliwie mieszkać tutaj na wsi i prowadzić życie, jakie wiodło piętnaście generacji właścicieli Longbridge i okolicznych arystokratów bawiących się uprawą roli. Ona zaś pojedzie do Londynu, przeżyje serię bajecznych przygód, każda następna bardziej ekscytująca, aż w końcu zabawi się po raz ostatni, znajdzie mężczyznę, który ją zadowoli i dokona, zdaniem mamy, jedyne słusznego wyboru.

Ale Jock? Jane Longbridge usiadła na kocu plecami do brata, nie

chcąc sprawiać wrażenia, że płoszy mu myśli, i zadumała się nad Jockiem Hamptonem. Może mimo wszystko miała szczęście, że podstępne, chytre usiłowania Freddy, by połączyć ich w parę, zawiodły. Bo co byłoby, gdyby Jock się w niej zakochał, zgodnie z intencjami Freddy? Przeżywałyby teraz lęk przed powrotem wraz z mężem do Kalifornii i przystosowywaniem się do nowego kraju i nowego sposobu życia. Byłaby jeszcze jedną wojenną żoną.

Nie, istotnie udało się jej, że nic z tego nie wyszło. Już prawie wyleczyła się z miłości do Jocka, w każdym razie modliła się, żeby tak było. Gdyby ktoś kiedyś powiedział jej, że zrobi coś tak banalnie dziewczęcego, jak zwrócenie uwagi na mężczyznę, który jej nie kocha, rozbiłaby mu na głowie pierwszą znaną butelkę... niestety, kochała go absurdalnie, namiętnie i boleśnie, chociaż nie wiedział o tym nikt, nawet Freddy. Przepisała więc sobie kurację tyleż upokarzającą, co budzącą zaufanie.

Wystarczyło patrzeć na Jocka w towarzystwie Freddy i widzieć, że ten przystojny blondyn, Kalifornijczyk w każdym calu, którego twarz Jane pragnęła głaskać już od dnia wesela, nadal jest zakochany w szwagierce, choć Freddy nic o tym nie wie. Czowała wtedy, że jej własne serce zaczyna powolutku stygnąć. Za trochę, bardzo niedługo, wokół serca wytworzy się skorupa, twarda niczym u kraba, i wtedy myśli o Jocku Hamptonie, jego oczach i wargach, jego twarzy Wikinga przestaną dręczyć ją w nocy i pogrążyć dni w ciemności.

Co do Freddy, Jane gratulowała sobie, że może uczciwie i całkiem szczerze powiedzieć, iż nigdy nie była zazdrosna o inną dziewczynę, nie zamierzała więc zaczynać teraz. Biedny Jock.. Po zakończeniu wojny na

pewno wyjedzie z Anglii i chociaż stanie się honorowym członkiem rodziny, to kto wie, jak często będzie mógł przyjeżdżać. I czy jego miłość przetrwa widok Freddy w otoczeniu gromadki dzieci, Freddy mającej na głowie prowadzenie domu? Zrobi się pewnie pulchniutka, włosy zaczną jej blaknąć, może nawet odrobinę siwieć, będzie myśleć o najmłodszym dziecku, chorym psie, albo kucharce, która źle gotuje... Za parę lat życie niechybnie podetnie jej skrzydła... Anglia się do niej dobierze. Jane pomyślała z zadowoleniem, że w tym samym czasie będzie jeszcze używała życia ile wlezie. Dziesięć lat przelotnych miłości trudno uznać za godne wynagrodzenie strat poniesionych w okresie, gdy po dwóch dniach wolnych następowało trzynaście dni służby. Zastanawiała się, jak szybko po wojnie znowu znajdą się w Anglii przyzwoite pończochy.

* * *

Nadal podoba mi się Freddy, myślał Jock Hampton, opierając się na parapecie w swoim pokoju i patrząc na Tony'ego oraz Jane, którzy siedzieli na kocach pod kwitnącą gruszą, sprawiając wrażenie pogodnie zadumanych. Tylko dlaczego Freddy wciąż śpiewa mojej chrześniaczce *Dopóki się znów nie spotkamy?* Przez rok po jej ślubie, kiedy jeszcze eskadra „Orzeł” nie poniosła strat, Freddy przychodziła wraz z Tonym do ulubionego pubu Orłów, gdy tylko miała przepustkę. Każdego wieczoru siedzieli tam pijąc, paląc i starając się nie myśleć o ludziach, którzy nie wrócili z ostatniego lotu bojowego, a Freddy godzinami śpiewała im piosenki, których nauczyła się od Eve, zarówno współczesne, jak i te z pierwszej wojny światowej. Wieczór nie kończył się, zanim Freddy nie odśpiewała końcowego wersu, ostatnich słów *Dopóki się znów nie spotkamy*, które Jock, wbrew wszelkiej logice, zawsze uważał za prywatną

obietnicę skierowaną bezpośrednio do niego.

Sąsiedni pokój należał do Annie i nawet przez grubą ścianę Jock słyszał dźwięczny głos Freddy, wirującej z dziewczynką po pokoju w rytm walca. Czyżby Freddy nie wiedziała, że tego rodzaju melodyjka zapada głęboko w pamięć i przez miesiące nie przestaje doprowadzać do obłędu? Dlaczego nie może śpiewać głupotek o zwierzątkach albo czegoś podobnego?

Zawsze mógł ją poprosić, żeby przestała, ale jak powiedzieć matce, że jej piosenki śpiewane dziecku stanowią udrękę. Jak wytłumaczyć, że zajmuje go słuchanie przez ścianę starej melodii, kiedy powinien koncentrować się na dziesiątkach ślicznych, chętnych dziewczyn, które w Londynie trzeba odpędzać kijami? Nie bez powodu mówią o skrzydłach pilotów, że rozchylają kobietom nogi... wiedzieli o tym nawet podporucznicy, ale ranga miała oczywiście przywileje.

Mógł wyjść i dołączyć do Jane i Tony'ego albo pomóc w kuchni lady Penelope, gdyż kucharka się starzała i nie było z niej wiele pociechy, coś jednak trzymało go w pokoju, z którego obserwował. Pewnie zawiniła pogoda. Wszyscy w Anglii twierdzą, że przyszedł najcieplejszy maj w historii. Gdyby wrócił do domu, do San Capistrano w Kalifornii, byłby to po prostu jeszcze jeden ładny dzień, ten rodzaj dnia, kiedy trudno się zdecydować na wybór pomiędzy surfingiem i tenisem, kończy się więc robiąc najpierw jedno, potem drugie. Kochał szybkość, niebezpieczeństwo, silne wrażenia, latanie. Usłyszał jedno słowo za dużo o wielkiej przygodzie za oceanem w Anglii, wyszperał więc pieniądze na bilet do Kanady, żeby przejść odpowiednie ćwiczenia i móc wstąpić do eskadry „Orzeł”.

Właśnie takiego dnia cztery lata temu Jock pożegnał rodzinę. Może dlatego czuł się teraz tak bardzo niespokojny. Nie tylko niespokojny... także markotny. Z nie wyjaśnionego powodu poddał się znużeniu... oczywistemu znużeniu, co było cholernie dziwne, bo od miesięcy nie miał okazji pojawić się w Longbridge Grange i powinien cieszyć się każdą sekundą pobytu. Przecież najprawdopodobniej czekały go potem loty na czele eskadry w nieprzyjacielską przestrzeń powietrzną nad Niemcami, eskortowanie powolnych bombowców ochranianych w drodze do celu przed artylerią przeciwlotniczą i myśliwcami. Najprawdopodobniej czekały go też powroty do bazy po gęsto poprzecinanym pociskami niebie, aż do linii brzegu rysującej się w dole, poza którą trzeba się bać już tylko zestrzelenia do wody, co zawsze łączy się z zasraną wilgocią i równie zasranym zimnem. A jednak w czasie pracy Jock nigdy nie odczuwał takiego znużenia. Niekiedy nachodziły go nuda, przerażenie, wściekłość, ale jedno można było powiedzieć o mustangu P-51, tym lśniącym myśliwcu, fantastycznym skrzydlatym uzbrojonym pudle: jego pilot nie miewał czasu na znużenie. A znużenie rozkojarzało Jocka tak samo, jak ciągły stan podgorączkowy, rozdrażnienie, irytacja, swędzące miejsce nie do podrapania, pragnienie nie do zaspokojenia żadną ilością płynu.

Jednym z powodów, dla których wciąż latał, była świadomość, że gdyby pozwolił się awansować do dowództwa, czułby znużenie przez cały czas, a nie jedynie z przerwami. Gdy tylko wpadał w oko dowództwu, natychmiast sadzano go do pracy na ziemi twierdząc, że należy mu się odpoczynek, ale nie udawało się utrzymać go długo. Jeśli człowiek chce latać, nie jest przy tym chory ani nie ma odchyłów, trzeba go wypuścić, pozwolić mu na to, choćby był podpułkownikiem.

Kiedy opuszczał dom z zamiarem dostania się do eskadry „Orzeł”, był jednym z wielu zwariowanych, oszalałych na punkcie latania, zielonych studenciaków. Miał dwadzieścia lat i nie mógł znieść myśli, że ominie go świetna zabawa. Teraz miał dwadzieścia cztery lata. Już podczas pierwszego zadania dowiedział się, że zabawa i wojna nie są tym samym, ale był bardzo zadowolony, że z fałszywych pobudek przybył we właściwe miejsce. Zanim eskadrę „Orzeł” przeniesiono do amerykańskich sił powietrznych, zestrzelili tyle maszyn niemieckich, że starczyłoby na sześć eskadr Luftwaffe, a działo się to jeszcze w 1942 roku, dwa wieki temu. Nieźle. Przecież nie mieli wtedy mustangów.

Cholera, czemu siedzi tutaj głupio filozofując, skoro mógłby się przydać w kuchni? Freddy naturalnie tam nie ma... ona prawdopodobnie nie wie nawet, jak przyrządzić znośną kanapkę z szynką. Po wojnie Tony'emu dostanie się beznadziejna żona, sama myśl o tym napełniała go smutkiem. Świetny facet, taki jak Tony, zasługiwał na lepszy los. Zasługiwał na dziewczynę, którą wychowano do robienia wszystkiego z wdziękiem, dziewczynę mającą we krwi tradycje tego samego rodzaju, dziewczynę, która poświęciłaby się przyjemnościom czasu pokoju, nie myśląc o niczym innym niż uszczęśliwienie męża. Jego najlepszy przyjaciel, najlepszy jakiego spotkał w życiu, miał wszelkie prawo do żony stawiającej go na absolutnie pierwszym miejscu. On sam rozpatrywał jako kandydatki na żonę wyłącznie dziewczęta tego gatunku, nie ma dwóch zdań.

Zamiast tego biedny Tony połączył się z Freddy, najbardziej władczą babą, jaką mężczyzna może sobie wyobrazić. Wszystko z nią było nie tak. Wykazywała za dużo uporów, za dużo odwagi, za dużo agresywności, za

dużo zdecydowania by robić po swojemu, wszystko jedno co. I cóż z tego, że kiedyś uratowała mu życie? Dowiodło to tylko jej bezgranicznej lekkomyślności. W jaki sposób biedny Paul i Eve wytrzymali z Freddy przez wszystkie te lata, kiedy uczyła się pilotażu? To przekraczało wyobrażenie Jocka. Równie dobrze mogliby mieć chłopaka, takiego jak on, zamiast rozbójnika w spódnicy w rodzaju Freddy, która nie wydawała się dostrzegać, że jest matką, a tym bardziej żoną.

Jock spojrział na trawnik na dole i zobaczył Freddy z Annie, wylaniające się w radosnym biegu. Freddy ubrała dziecko w malutki niebieski kombinezon. Czy nie typowy dla niej wygląd? Czyżby chciała zamienić jego chrześniaczkę w podobnego sobie rozbójnika? Czy jeden rodzinie Longbridge'ów nie wystarczy? A ona sama... popatrzcie, co jej się właściwie wydaje? Wskoczyła w kwiecistą sukienkę bez ramion, jakby była na zasranej francuskiej Riwierze. Cholera, ma nawet czerwone sandały na wysokim obcasie, musiała zrobić najazd na garderobę Jane. Przynajmniej zdjęła ten granatowy mundur, w którym zwykle żegluj niczym korsarz, szerokim uśmiechem zadufania oraz rozwścieczająco przyjaznym wyrazem oczu sprawiając wrażenie, że oczekuje od niego oddania honorów. Nie zdając sobie sprawy z własnych czynów, Jock wstał z krzesła przy oknie i ruszył śladem Freddy po schodach na dół. Nie mógł odeprzeć pokusy znalezienia się blisko niej, tak jak przedtem nie był w stanie oderwać się od dźwięku jej głosu, kiedy śpiewała córeczce.

* * *

Freddy wyciągnęła się na starym kocu niczym wychudzona wersja jednej z rudowłosych tygrysi Renoira, która akurat pożyczyła sukienkę z obrazu Matisse'a. Nagie ramiona skrzyżowała przed oczami, zasłaniając

się przed słonecznym blaskiem, od którego odwykła; ściągnęła buty, chcąc w cieple rozprostować palce u nóg.

Whisky, kanapki z wołowiną i batoniki tworzą, o dziwo, nader zadowalające zestawienie. Każdy z tych artykułów osobno jest zamkniętą doskonałością, ale wszystkie trzy serwowane po kolei zamieniają się w wielką ucztę, której nie można traktować jako zwykłej sumy części. Czyżby czuła tak głębokie zadowolenie z powodu obecności tylu kochanych ludzi, siedzących teraz niemal w zasięgu ręki. Za kilka godzin pociąg z Londynu przyjadą jej rodzice... gdyby jeszcze zjawiała się Delphine. Freddy uświadomiła sobie tę myśl i niespodziewanie ścisnęło jej się serce, jak zawsze kiedy docierało do niej, że już od dawna nikt z rodziny nie wie nic o Delphine.

Francja leżała tak boleśnie blisko. Minał ledwie dzień, od kiedy Freddy widziała francuskie wybrzeże z kabiny samolotu, a przecież równie dobrze wokół całego kraju mogłaby ciągnąć się betonowa ściana sięgająca chmur, nieprzenikniona ściana więzienia, nie dopuszczająca, by ktokolwiek zajrzał do wnętrza. Gdyby z Delphine coś się stało, ojciec zostałby powiadomiony przez dowództwo Wolnej Francji w Londynie, połączone siecią radiową z ruchem oporu. Informacje nie docierały jednak już od lat. Cała rodzina musiała się nawzajem pocieszać, że Delphine jakoś wiąże koniec z końcem, ale brak kontaktu doskwierał coraz bardziej. Freddy i rodzice rozmawiali o tym wyłącznie między sobą, byłoby bowiem nielojalnie kłaść jeszcze jeden ciężar na barki Longbridge'ów, którzy musieli się martwić o gromadę własnych dzieci, nie mówiąc o Annie.

Kochana Annie, pomyślała Freddy, słuchając Jocka, Tony'ego i

Geralda, na wyścigi próbujących zwabić brzdąca na kolana. Dziewczynka była chyba najmniej kłopotliwym dzieckiem świata. Wyglądała jak mała Delphine. Miała ten sam drobny podbródek i uniesione kąciki ust, nawet gdy się nie uśmiechała. Imię wybrano na cześć Anette de Lancel, w dużym stopniu żeby zrobić przyjemność dziadkowi, ale Freddy zawsze przypominało ono nazwę przyjętą przez wszystkich w ATA dla dostojnych ansonów, powietrznych taksówek przenoszących je do miejsc, z których odstawiało się samoloty, i zabierających z punktów docelowych. Od początku wojny przeleciały one nad terytorium Anglii około sześćdziesięciu milionów kilometrów. Freddy otworzyła oczy i zobaczyła Annie siedzącą na kolanach Geralda z ramionami owiniętymi wokół jego szyi.

Obok nich leżał Jock i ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w niebo. Gdyby tylko nie prowadził tak bandyckiego życia erotycznego, mógłby stworzyć ładną parkę z Jane. Freddy zakładała, że tak się powinno stać i próbowała tę możliwość urzeczywistnić. Wtedy wszyscy staliby się naprawdę jedną szczęśliwą rodziną. Położyła się z powrotem i znów zamknęła oczy myśląc, iż niektórzy, najpewniej także Jock, byli przeciwni jej decyzji o powrocie do latania tak szybko po urodzeniu Annie i pozostawieniu dziewczynki w Longbridge Grange pod opieką teściowej oraz grona nie opierzonych ciotek. Ale przecież przybyła do Anglii w 1939 roku, mając zamiar wykonać konkretną pracę. Wszystko jedno, z jakiego powodu. Nie miało znaczenia, że podąża śladami Maca. Tak czy owak, praca nie była ukończona, zwycięstwo jeszcze nie nadeszło. Jak mogła rozważać wycofanie się tylko po to, by spędzać cały czas z malutkim dzieckiem, skoro należała do wąskiej grupy trzynastu kobiet,

które przeszły kurs pilotowania czterosilnikowych samolotów? Rezygnacja nie wchodziła w grę, tym bardziej że Penelope chętnie otaczała Annie opieką, a miała w tym wprawę i doświadczenie.

W czasie dwudniowych przerw między lotami, a nawet w wolne wieczory, jeśli akurat mogła polecieć z innym pilotem ATA, Freddy odwiedzała córeczkę i pozostawała z nią, póki mogła być pewna, że zdąży wrócić na rano do bazy White Waltham.

Zastanawiała się, czy jest inny kraj, w którym lotniska leżałyby tak blisko siebie, jakby były stacjami metra. Trafiały się teraz częściej niż raz na piętnaście kilometrów, wiele z nich zrobiono na obszernych, trawiastych dziedzińcach posiadłości, na polach krykietowych, boiskach do polo i piłki nożnej. Część lotnisk była tak nowa, że nie uwzględniała ich żadna mapa, toteż Freddy i inni piloci ATA spędzali dużo czasu w Biurze Map i Sygnałów na zapamiętywaniu pozycji i znaków rozpoznawczych najnowszych lądowisk po drodze.

Stirlingi dostarczało się do Keevil, spitfire'y do Brize Horton, warwicki do Kemble, mosquito do Shawbury, halifaxy do Yorkshire, myślała ciągnąć senną litanie. Tak mijały jej dni. Jedynym samolotem, do pilotowania którego nie miała przygotowania, była latająca łódź, ale Freddy nie wątpiła, że gdyby musiała, podołałaby i temu zadaniu.

Leżąc z zamkniętymi oczami, wyobrażała sobie Anglię, przedstawioną na jednej wielkiej, skomplikowanej mapie, poprzecinanej licznymi szlakami, które tak mocno wryły jej się w pamięci. Znaczyły je linie kolejowe, drogi, lasy, fabryki, rzeki, zamki i dwory, wąskie korytarze pomiędzy tysiącami balonów zaporowych, które chroniły wielkie miasta, pochyle dachy kościołów, a nawet pozostałości rzymskich traktów, jeszcze

widoczne z powietrza. Czy kiedyś to wszystko miało stać się dla niej trójwymiarowym krajobrazem, przybrać równie konkretną formę, jak tutejszy dwór, otoczony wyraźnie odgraniczonymi i wygrodzonymi żyznymi polami, czy też na zawsze miało pozostać dwuwymiarową mapą.

Nad czym się zastanawiać? Nie ma sensu przejmowanie się tym, co będzie po wojnie, gdyż jedyną sprawą znaczącą w tej chwili jest zwycięstwo. Kiedy nastąpi? Kiedy dojdzie do lądowania w Europie? Leniwe wylegiwanie się w słońcu wywołało u niej poczucie próżnowania, Freddy miała jednak głęboko w kościach zmęczenie ostatnimi trzynastoma dniami i wiedziała, że musi wykorzystać ten moment wytchnienia. Jane była tak samo zmęczona... a może zdenerwowana? Przy śniadaniu zachowywała się bardzo opryskliwie.

Żeby tylko Tony wyglądał nieco szczęśliwiej. Za każdym razem, gdy widziała go po długiej przerwie wymuszonej przez ich obowiązki, zdawało jej się, że jest coraz bardziej zmęczony, napięty, prawie wściekły. Musiała mu ciążyć odpowiedzialność, którą teraz ponosił. Jak to jest, kiedy wieczór w wieczór wysyła się trzydzieści sześć samolotów w niebo, po spędzeniu całego dnia na planowaniu, wspólnie z oficerami odpowiedzialnymi za uzbrojenie i paliwo, kiedy organizuje się każdy lot i nerwowo przysypia po starcie maszyn, bo któryż dowódca dywizjonu może spokojnie spać, gdy jego ludzie znajdują się w powietrzu? Rano, jeszcze przed przewidywaną godziną powrotu samolotów do bazy, wstaje się i z obawą spogląda w niebo, wypatrując swoich. Nic dziwnego, że Tony jest taki wychudzony i nieobecny. Przy każdej okazji próbowała szczebiotaniem odwrócić jego myśli od przyczyn zatroskania, wszak konwojowanie było tak proste w porównaniu z pracą Tony'ego, ale nie

wyglądało na to, że jej wysiłki choć trochę pomagają.

Dzięki Bogu mieli Longbridge Grange, do którego czasami mogli wrócić. Freddy mieszkała z Jane i grupą innych dziewcząt w domku wynajętym pod White Waltham, Tony mieszkał w bazie. Był to kiepski sposób życia małżeńskiego, ale też wojna była kiepskim sposobem załatwiania spraw tego świata. Póki trwała należało wiele wytrzymać.

- Annie - powiedziała, lekko odchylając powieki. - Czy mogłabyś na chwilę zostawić tych miłych mężczyzn i przyjść do mamy na małego buziaka?

Delphine wyszła stanowczym krokiem z domu przy Villa Mozart, ale kiedy zobaczyła olbrzymiego czarnego mercedesa zaparkowanego na wąskiej brukowanej uliczce, raptownie przystanąła, jakby mimowolny opór wewnętrzny uniemożliwił jej wejście do samochodu przysłanego przez generała von Sterna. Miała czarną szyfonową chustę, wykończoną srebrnym lisem. Zarzuciła ją szybko na ramiona i przytrzymując oburącz, ciasno się nią otuliła, jakby cienkie okrycie mogło dać jej schronienie.

- Proszę bardzo, mademoiselle - powiedział uprzejmie kierowca w hitlerowskim mundurze, otwierając przed nią drzwi. Dopiero słysząc znajomą formułę grzecznościową, Delphine zdołała zmusić się, by wsiąść do mercedesa. Podczas jazdy do domu przy Rue de Lilie siedziała sztywno, odsunięta jak najdalej od szyby, żeby nie było jej widać z zewnątrz, nie chciała jednak opaść na poduszki siedzenia. Oddychała płytko, jej spojrzenie pełne nienawiści przylgnęło do dwóch hełmów na głowach kierowcy i siedzącego obok uzbrojonego żołnierza.

Musiła pozwolić generałowi na przysłanie samochodu. Od początku okupacji nie miała samochodu ani szofera, dla taksówek w 1943 roku nie starczało paliwa. Pozostawały jej jedynie rower, pójście piechotą albo metro. Jak więc mogła dostać się na oficjalny obiad w długiej wieczorowej sukni bez ramion i w diamentach, które Bruno poradził jej włożyć? Brat obiecał, że pełen ogłady, zaskakująco uprzejmy generał wysłucha jej obaw i rozpocznie poszukiwania Armanda. Zapewnił ją również, że nie ma powodów do zdenerwowania, gdyż będzie honorowym gościem i znajdzie się wśród ludzi z własnego świata.

Po wejściu do budynku przy Rue de Lille Delphine stwierdziła, że

choć według wszelkich znaków powinna się tu czuć jak w domu, to pozostaje odrętwiała i chłodna, przepelnia ją niesmak. W zakłopotanie wprawiała ją nie nerwowość, lecz odraza. Choć Georges, kamerdyner Bruna, którego Delphine dobrze знаła dawniej, pozdrowił ją nieoczekiwanie ciepło, nie mogła spojrzeć mu w oczy i podała chustę z ociąganiem. Choć Bruno osobiście czekał na nią w holu i z uśmiechem obiecującym powodzenie planu podał jej opiekuńcze ramię, pomagając wspiąć się na schody prowadzące do salonu, to leciutka suknia z czarnego szyfonu ciągnęła ją w dół niczym kolczuga. Choć generał von Stern przywitał ją ze staromodną dworskością, wykonując poprawny ukłon nad podaną dłonią, to usta Delphine były nieuległe, nikły uśmiech zawdzięczała jedynie treningowi.

W czasie obiadu Delphine siedziała sztywno wyprostowana niczym księżniczka z czasów króla Edwarda, mając pod sobą fotel, który znała z tylu innych okazji. Rozglądała się dookoła w posepnym, głębokim zdumieniu. Zastanawiała się, czy rujnowanie światowej otoczki paryskiego, proszonego obiadu nie jest czystym kanibalizmem.

Arletty, czarująca, ciemnowłosa aktorka, grała pierwsze skrzypce, opowiadając w typowy dla siebie, żartobliwy i błyskotliwy sposób o przedprodukcyjnych kłopotach z jej najbliższym filmem, *Komedianci*, który zgodnie z harmonogramem miano kręcić za parę miesięcy w Nicei. Na drugim końcu nieskazitelnie nakrytego stołu Sacha Guitry, który reżyserował jeden z kilku napoleońskich filmów Delphine, *Zdumiewająca przyszłość Désirée Clary*, na próżno usiłował zwrócić ostrze konwersacji w swoim kierunku, a tymczasem Albert Prejean, Junie Astor i Viviane Romance, która miała grać główną rolę w *Carmen* z Jeanem Marais,

zafascynowani słuchali, jak Arlette opisuje plany najkosztowniejszego filmu, do jakiego zabierano się we Francji.

Mógłby być rok 1937, pomyślała Delphine, upijając łyk wina z kieliszka, który kiedyś należał do Bruna, kieliszka o poręcznym kształcie i odpowiedniej wadze, dobrze znanego dłoniom Delphine. Mógłby, gdyby uroczy młody oficer, znany wszystkim w Paryżu jako kochanek Arlette, nie nosił nazistowskiego munduru. Siedziałyby tu po prostu w pogodnej atmosferze, jedząc obiad z grupą kolegów, gdyby nie to, że Junie, Albert i Viviane znaleźli się w zeszłym roku wśród nielicznych spośród wielu gwiazd Continentalu, które pojechały do Berlina i spotkały się z Goebbelsem na znak francusko-niemieckiej jedności. Jedynie myśl o Armandzie powstrzymywała ją od zerwania się z fotela, zbiegnięcia ze schodów i opuszczenia tego domu.

„Ludzie z jej własnego świata”, których obiecał Bruno, okazali się najbardziej notorycznymi kolaborantami z filmowego środowiska. Po obiedzie Bruno zaprowadził ją do biblioteki, gdzie samotnie siedział generał von Stern, sącząc koniak. Podniósł się na jej widok, Delphine zebrała fałdy sukienki i usiadła obok niego na wskazanym fotelu.

- Należę do wielkich admiratorów pani sztuki, mademoiselle - powiedział zapalczywie, pochylając się, żeby poczęstować ją papierosem.

- Dziękuję, panie generale, palę tylko w filmach, kiedy wymaga tego scenariusz.

- O ile wiem, ma pani kontrakt z Continentalem. Brawo. - Prześlizgnął wzrok po czubkach jej piersi. Zrobił to tak zręcznie, że Delphineomal nie przegapiła tego spojrzenia.

- Owszem, panie generale, pracuję dla Continentalu - odparła sucho.

- Greven jest moim dobrym przyjacielem. Robi cuda, czyż nie? - zapytał uprzejmie, lekko dotykając jej nagiego ramienia.

- Myślę, że filmy są tak dobre, jak tego można oczekiwać - stwierdziła, z wdziękiem usuwając się ku dalszej poręczy fotela i ciasno składając ręce na kolanie.

- Panie generale - zaczęła prosto z mostu, nie mogąc znieść rozmowy o niczym. - Brat powiedział mi... - Wyjaśniłem generałowi, że masz problem, Delphine - przerwał jej Bruno. - Rozumie twoją sytuację - Jak pani wie, mademoiselle, zawsze popieraliśmy talent w kinie - powiedział generał von Stern. Uśmiechnął się, patrząc przy tym prosto w oczy Delphine.

- Generale, czy może mi pan pomóc w znalezieniu Armanda Sadowkiego? - wykrzyknęła. Zabrzmiało to zbyt głośno. Pytanie było zbyt konkretne, a zachowanie Delphine zbyt gwałtowne, jak na delikatną transakcję, którą planował Bruno.

- Cieszyłbym się, gdybym mógł panią uspokoić, mademoiselle, jeśli tylko będzie to w mojej mocy - powiedział generał, uśmiechając się wciąż z tą samą natarczywością.

- Siostra miała na myśli, że byłaby głęboko wdzięczna za wszelkie informacje, które pozwoliłyby jej żywić nadzieję, generale - wtrącił Bruno, chwytając Delphine za ramię.

- Oczywiście, rozumiecie państwo, że taka... dająca nadzieję informacja jest w normalnych warunkach nie do zdobycia? - spytał generał. - Nawet dla mnie.

- Siostra ma tę świadomość, generale. Zdaje sobie sprawę, jak wielki dług miałaby wobec pana - odparł Bruno. - Rozumie, że jej prośba jest

bardzo niezwykła i zupełnie wbrew regulaminom.

- Ale czy spróbuje pan dowiedzieć się, gdzie on jest? - spytała szorstko Delphine, niecierpliwie odtrącając ostrzegawczo ściskające ją palce Bruna. - Czy mogę mieć nadzieję?

Generał von Stern wydał wargi w zamyśleniu, otwarcie taksując Delphine od stóp do głów. Cieszyło go, że może mierzyć głębię jej desperacji, toteż pozwolił upłynąć dłuższej chwili, zanim się odezwał, jakby Delphine była sprzedawczynią, on zaś obracał w dłoniach srebrny antyk, sprawdzając znak próby i usiłując się zdecydować, czy za określoną cenę towar mógłby okazać się interesującą zdobyczą.

- Zgódźmy się, że nie ma rzeczy niemożliwych - przyznał w końcu generał, uśmiech powrócił mu na twarz. - Sprawa wymaga czasu... szalenie ostrożnego wywiadu... trzeba to zrobić taktownie... delikatnie... muszę poświęcić temu uwagę osobiście. Będę też zmuszony prosić o uprzejmości... poważne uprzejmości... które wiążą się z rewanzem. Niestety, w naszych czasach nadzieja nie przychodzi łatwo. Ale przecież pani jest światową kobietą. Mój przyjaciel, a pani brat z pewnością dokładnie to wszystko wyjaśnił. A tymczasem będzie mi bardzo miło często tu panią widywać, mademoiselle de Lancel. Naprawdę często. Pani obecność uświetnia tu każdy pokój. To naprawdę honor dla mojego domu.

- Dziękuję, generale, ale jeśli chodzi o pana Sadowskiego...

- Nie zapomnę o naszej umowie.

Znowu dotknął jej ramienia. Zbywająco. Rozkazująco. Pieszczotliwie.

- Napijmy się kropelkę koniaku. Nawet nie tknęła pani swojego kieliszka. Czy brat opowiadał, że widziałem wszystkie pani filmy? Nie?

To nieładnie z jego strony. Należę do pani najbardziej zapalonych wielbicieli. Może... Któż to wie... Może będę miał wkrótce jakieś wiadomości... jeśli wszystko pójdzie zgodnie z oczekiwaniami. A co pani powie na zaproszenie do teatru w przyszłym tygodniu, mademoiselle de Lancel? W Komедii Francuskiej Raimu występuje w *Mieszczaninie szlachcicem*. Mam znakomite miejsca... spodziewam się, że mogę na panią liczyć.

Delphine przymusiła się do skinienia głową na znak fałszywej zgody. Nie, pomyślała, nie może pan na mnie liczyć, generale. Na pewno nie bardziej niż ja na pana.

Bruno ofiarował się towarzyszyć Delphine do domu. W milczeniu przejechali Sekwanę. Bruno kazał kierowcy poczekać, aż bezpiecznie odprowadzi siostrę do drzwi.

- Chwileczkę, Bruno - powiedziała Delphine, obracając się w otwartych już drzwiach.

- Muszę wracać. Nie lubię być poza domem tak późno po godzinie policyjnej.

- Nie zajmę ci dużo czasu. Co za wstętne, ciemne interesy robisz z tym generałem?

- Jak śmiesz! Nie robię z nim żadnych interesów.

- Potraktował mnie, jakbym była na sprzedaż. Nie. Jakbym już była sprzedana, a on czekał na dostawę do domu.

- Generał von Stern zachował się absolutnie poprawnie. W jaki to sposób obraził twoje nadmiernie wysubtelnione poczucie taktu?

- Bruno, widziałeś i słyszałeś. Nie udawaj, że nie wiesz, czego ode mnie oczekuje.

- Czy wyobrażasz sobie, że generał za nic zwali sobie na głowę kłopot z szukaniem twojego Żyda? Taka jesteś naiwna? Czyżbyś była kimś szczególnym, że nadzieja należy ci się z urzędu? To oczywiste, że musisz ofiarować mu coś w zamian.

- Czy to miałeś na myśli, mówiąc o posługiwaniu się wpływami? - spytała z tak gryzącą pogardą, że doprowadziła go do szału.

- Nie zasługujesz na moją pomoc. Sądzisz, że stać cię na dumę w takich czasach? Wobec tego mam dla ciebie nowinę, ty głupia suko. Duma jest dla zdobywców, nie dla pokonanych. Myślisz, że masz zbyt drogocenną cipkę, żeby korzystać z niej, gdy czegoś chcesz? Prosiłaś, żebym ci pomógł, przysłałaś z błaganiem, byłaś gotowa na wszystko... „Pomóż mi, Bruno, pomóż. Czy jest nadzieja, Bruno, czy jest cień nadziei?” A kiedy daję ci szansę, jakiej nigdy nie będziesz już miała, nigdy, to ty ją odrzucasz. Pozwól, że ci coś powiem, Delphine... jeśli potrzebujesz pomocy, bądź przygotowana na zapłatę! Jeśli upierasz się, że chcesz mieć nadzieję, to sprzedaj się, póki masz dobrego klienta!

- Cena jest za wysoka - rzuciła mu w twarz. - Dam sobie radę bez nadziei. Ale dla ciebie nie ma zbyt wysokich cen, mam rację, Bruno? Wciąż jeszcze nie powiedziałaś mi, jaki śmierdzący interes wspólnie szykujecie. Nie wierzę, żebyś był tylko jego alfonsem. W jakiej walucie ci płaci za te cenne usługi, jeśli jesteś gotów wrzucić mu do łóżka własną siostrę?

- Jesteś nienormalna! Nie dam ci drugiej szansy.

- To jedyna dobra nowina, jaką słyszałam od dłuższego czasu. - Delphine podniosła wzrok i spojrzała na mroczne rysy harmonijnej, nienawistnej twarzy Bruna. Roześmiała się urągliwie i popchnęła go z

całej siły. Bruno poleciał do tyłu, a Delphine zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

* * *

W wyzwaniu rzuconym Brunowi Delphine znalazła ożywiającą siłę, która przeniosła ją przez następne dni, ale wkrótce zuchwałe słowa zaczęły do niej wracać ponurym echem. Powiedziała, że da sobie radę bez nadziei, wypowiadając to twierdzenie nawet w nie wierzyła, ale nadziei nie można odłożyć na bok jak nie pasującej sukni. Nadzieja była dla niej torturą i należało ją przetrzymać jak gorączkę, ciągłą, kapryśną gorączkę, rosnącą i dającą o sobie znać bez ostrzeżenia; irracjonalną, szarpiącą gorączkę, wobec której wszystkie leki są bezradne.

Zdarzało jej się niespodziewanie budzić w nocy, jakby ktoś wołał jej imię. Wracała do niej wtedy ponura, nie chciana nadzieja. Rozpalała ją tak, że włosy wilgotniały jej od potu, a kropelki zbierały się także na szyi i czole. Następnego rana, podczas przymierzania kostiumu, miała wrażenie, że resztki tej kruchej, uporczywej, bezsensownej nadziei wyciekają z niej niczym krwotok, jakby krawca ze szpilkami w ustach obdarzono nagle władzą skazania jej na śmierć. Piosenka... Chevalier, radośnie śpiewający przez radio *Symfonię drewnianych podeszew*, w zestawieniu z faktem iż brakowało skóry na buty, mógł spowodować taką niezwykłą eksplozję zgasłego już płomienia nieproszonej nadziei, że Delphine byłaby w stanie jak iskra wylecieć przez okno własnej sypialni i unosić się nad Paryżem. A przecież tego samego wieczoru, na dźwięk głosu Charlesa Treneta, lamentującego *Co nam zostało z naszych miłości?*, jej serce mogła ogarnąć fala tak głębokiej, nieoczekiwanej i totalnej desperacji, że przepłaciłaby dziesięciokrotnie za każdą chwilę irracjonalnej, mimowolnej nadziei, która

przedtem tak ją rozpalala.

Wbrew sobie samej czula, ze wschod slonca albo cienki sierp mlodego księzyca moze wywolac chwile szarpiacej, bezpodstawnej nadziei, a przeciez rozpacza pachnial kazdy uschnięty kwiat, slyszala ja w ćwierkaniu ptaka, widziala w kurzu na klatce schodowej. Calkowicie bezradna trwala w pol drogi międy irracjonalnymi przyplywami nadziei, bez ktorej przysiegla dawać sobie rade, i rzeczywistoscia suchej jak wiór, zimnej jak grób desperacji, wiedzac, iz z ta ostatnia powinna się pogodzic, chociaz nie moze jej znieśc. Delphine stala się przesadna jak nigdy przedtem. Przestala czytac gazety, a gdy amerykanske oddzialy wyladowaly w Anzio, Rosjanie zas przerwali blokade Leningradu, zasnęgla w tej sprawie opinii dobrej dziesiatki wróżbitów. Wyszukiwala astrologów, kiedy Niemcy zajeli Węgy i gdy Luftwaffe stracila czterysta pięćdziesiat samolotów podczas jednego tygodnia w lutym 1944 roku. Kiedy w kwietniu generała de Gaulle'a mianowano naczelnym dowódcą sil zbrojnych Wolnej Francji, Delphine gonila po Paryżu za chiromantami i jasnowidzami. Mogla wytrzymac wyłacznie nadzieje, o ktorej wiedziala, iz jest złudna. Tylko falszywi prorocy potrafili usmierzyc ból niemożliwej do wygaszenia nadziei w jej sercu. Stawala się coraz chudsza i coraz piękniejsza. Niewiele brakowalo jej do obledu.

* * *

W dlugiej historii Paryża nigdy nie bylo epidemii, koronacji, rewolucji, fali balwochwalczych zachwytoów tlumu ani rządów terroru porównywalnych z masowa histeria i szalenstwem, jakie ogarnęly miasto w polowie sierpnia 1944 roku. Najbardziej nieprawdopodobne pogloski i nieokiełznana niepewnosć, niczym sfera wścieklych psów, swobodnie

gnały po wyprażonych słońcem ulicach. Oddziały niemieckie obsadziły mosty, duch powinien był osłabnąć, a przecież ludzie tłoczyli się wszędzie, nie wiedząc dlaczego, i znikali równie szybko jak się pojawiali. Na wszystkich twarzach malowały się wyczekiwanie, lęk i oszołomienie.

Nadchodziło wyzwolenie! W ponad dwa miesiące po lądowaniu Amerykanów, Anglików, Kanadyjczyków, i Wolnych Francuzów na brzegach Normandii w końcu nadchodziło wyzwolenie! Ale nie, okazało się, że wyzwolenia nie będzie. Eisenhower miał ominąć miasto, zamierzając ścigać Niemców aż do Renu. A jednak nic nie mogło powstrzymać wyzwolenia! Generał Leclerc postanowił nie słuchać rozkazów Eisenhowera i rozpocząć marsz na Paryż!

Z ust do ust biegły plotki, wierzono we wszystko i w nic, tylko uniesienie i niewyraźne początki powstania były widoczne wszędzie. Zastrajkowali kolejarze. Zastrajkowali pracownicy metra. Policja odbiła siedzibę prefektury, akurat w czasie rutynowej wysyłki tysiącosobowego transportu do niemieckiego obozu koncentracyjnego. Nastoletni Francuzi, świeżo uzbrojeni w karabiny, byli masakrowani na rogach ulic, gdzie zabawiali się jak dzieci. Trzaski strzałów, nie wiadomo niemieckich czy francuskich, słyszało się na dachach, w oknach, na ulicach. Kałuże krwi stały na chodnikach i skrzyżowaniach. W letniej atmosferze rozkwitał nie kontrolowany obłęd. Zastanawiano się, czy ktokolwiek wie, co się dzieje.

Dwudziestego sierpnia generał Dietrich von Choltitz poddał Paryż, obiecując nie niszczyć miasta mimo rozkazu Hitlera, w zamian za pozwolenie wycofania oddziałów w porządku. Trwało powstanie nie do stłumienia, przybierające coraz ostrzejsze formy. Niewprawni snajperzy atakowali wyspy niemieckich oddziałów. Gazety ruchu oporu, które przez

lata drukowano nielegalnie, były sprzedawane za dnia lubiącym ryzyko przechodniom, a o kilometr dalej zbrojne siły ruchu oporu walczyły o ratusz.

Dziewiętnastego sierpnia Continental został przejęty przez Komitet Wyzwolenia Kina Francuskiego, produkcję wszystkich filmów wstrzymano. Delphine, która mieszkała niedaleko komendy gestapo przy Avenue Foch, gdzie trwały zażarte boje, siedziała w domu. Zorientowała się, że jest zupełnie sama. Violet, Helene i Annabelle, zbyt rozsądne by ryzykować kręcenie się po ulicach, porzuciły pracę, a sąsiedzi, którzy wiedzieli nie więcej niż Delphine, ukryli się za szczelnie zamkniętymi okiennicami. Przez okna własnego domu Delphine nie dostrzegała na opustoszałej uliczce ani śladu życia.

Dwudziestego drugiego nie miała już żadnych zapasów oprócz kilku butelek wina, nawet kawałka spleśniałego chleba. Późnym popołudniem następnego dnia tak zgłodniała, że postanowiła zaryzykować wyprawę na pobliską handlową ulicę w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Od lat już nie kupowała żywności. Nie wiedziała nawet dokładnie, gdzie znajduje się piekarnia. Zaczęła szukać możliwie niepozornego stroju. Znalazła zapomnianą, jeszcze przedwojenną, niebieską bawełnianą spódnicę ściąganą czerwonym paskiem oraz starą białą bluzkę bez rękawów. Instynktownie lękając się rozpoznania, nie nałożyła na twarz makijażu i wyszczotkowała włosy tak, że niczym skrzydła opadły zacierając twarz.

Przechodząc obok pustego, nie wiedzieć czemu zamkniętego domku stróża i skręcając na główną ulicę, Delphine poczuła się całkowicie odsłonięta, prześladowała ją nienaturalna, surrealistyczna cisza. Czy to możliwe, że wszyscy opuścili miasto? A może tylko byli rozsądni i czekali

w domach zastanawiając się, co z tego wszystkiego wyniknie. Bez wątplenia im również musiało brakować żywności, chyba że okazali się dość mądrzy, by zgromadzić nieco zapasów.

Na handlowej ulicy były otwarte tylko dwa sklepy i Delphine, uzbrojona w książeczkę z kartkami na żywność, zdołała kupić dwie zwiędnięte rzepy, cebulę i trzy twarde bułki. Łapczywie pożarła jedną z nich w drodze do domu. Szła pod osłoną budynków, starając się posuwać jak najszybszym krokiem, ale nie biegiem. Z odczuciem ulgi skręciła we względnie bezpieczny zaułek Villa Mozart. Teraz już otwarcie pędziła w kierunku schronienia we własnych czterech ścianach. Bez tchu wyciągnęła z kieszeni klucz do frontowych drzwi i prawie wsunęła go w zamek, kiedy nagle zza rogu budynku wyłoniło się dwóch mężczyzn. Serce podskoczyło jej do gardła. Włóczędzy. Ubrani w szmaty, brodaci, zdesperowani i przerażający.

- Nie, proszę nie - szepnęła. Skamieniała, nie była zdolna do krzyku. Gorączkowo rozglądała się szukając pomocy, wiedziała jednak, że nigdzie jej nie znajdzie. Wyciągnęła przed siebie siatkę z zakupami licząc, że propozycja żywności zatrzyma groźbę w odpowiedniej odległości, ale mężczyźni wciąż podchodzili. Czuła już ich fetor.

- W porządku - powiedział gardłowo jeden z włóczęgów.

- Co? - Delphine cofnęła się skulona, wiedziała jednak, że zobaczyli w jej ręce klucz i jest już za późno.

- Twoje przebranie - powiedział włóczęga łamiącym się głosem. - Proste, patriotyczne, właśnie odpowiednie, kotku...

- Armand!

- ... Żeby powitać żołnierza... powitać go w domu... - Zemdlał w jej

ramionach.

* * *

Dwudziestego piątego sierpnia generał Omar Bradley rozkazał wkroczenie do Paryża dwóm oddziałom: francuskiej drugiej dywizji pod generałem Leclercem i dwunastemu pułkowi amerykańskiej czwartej dywizji, uzupełnionej o amerykańską sto drugą grupę zmechanizowaną.

Szlochając i wiwatując w gigantycznej ekstazie, której intensywność przekraczała możliwości pojedynczego człowieka, obywatele Paryża wylewali się ze wszystkich budynków na ulice. Na kościelnych wieżach bez przerwy biły dzwony, w ratuszu generał de Gaulle, poproszony o proklamowanie Republiki, odparł:

- Republika nigdy nie przestała istnieć.

Pułkownik Paul de Lancel był członkiem grupy towarzyszącej de Gaulle'owi. Pomógł wprowadzić w życie natchniony pomysł Gustava Mouteta, by do operacji związanych z lądowaniem w Normandii wykorzystać mapy z roku 1939. Dostarczyły one aliantom nieocenionych informacji. Paul nie był w stanie dodzwonić się do Szampanii, bo jeszcze zajmowali ją Niemcy. W trzy dni później, gdy dowiedział się, że trzecia armia generała Pattona wyzwoliła Epernay, pożyczył amerykańskiego jeepa i wyruszył na poszukiwanie rodziców.

Udało mu się wyrwać zaledwie parę godzin na spotkanie z Delphine. Kiedy otworzyła na oścież drzwi w odpowiedzi na niespodziewany dzwonek, impet powitania niemal zbił go z nóg. Delphine cieszyła się szaleńczo, ale Paul odniósł wrażenie, że wybuch uczuć nastąpił jeszcze przed jego przyjściem. Szybko zaprowadziła ojca na górę i przedstawiła mu Armanda Sadowskiego. Paul nie szukał dłużej przyczyn jej szczęścia.

Delphine była zwiewna i wąła jak łabędzi puch, ale najwyraźniej niezmordowanie pielęgnowała swojego żołnierza i jego przyjaciela, Normandczyka Julesa. Posyłała kobiety ze służby dosłownie wszędzie, żeby wykopały spod ziemi produkty na zupełną, którą Delphine łyżką po łyżce wlewała w wysokiego, przeraźliwie chudego i wymęczonego człowieka, leżącego niczym jeniec w jej sypialni. Wolno mu było tylko jeść i odpoczywać.

- Czy w domu też tak lubiła rządzić? - spytał Armand, tłumacząc Paulowi jak mężczyzna mężczyźnie, że mimo słabości znajdzie siłę, żeby się samemu ogolić.

- Owszem - odparł Paul - ale zawsze miała dobre intencje. - Ani przez chwilę nie czuł skrępowania wobec tego mężczyzny, o którego istnieniu właśnie się dowiedział. Delphine chciała namówić Armanda na opowieść o ucieczce, ale udało mu się tylko powiedzieć:

- Mieliśmy cholerne szczęście... - i zasnął.

Skąpe szczegóły jego przejść Paul poznał potem z drugiej ręki, od Delphine. Armand pracował przez kilka lat w wielkiej fabryce łożysk w Schweinfurcie. Przed śmiercią uchroniło go zapotrzebowanie Niemców na niewolniczy wysiłek. Podczas jednego z amerykańskich bombardowań Sadowski i jego przyjaciel Jules, który podobnie jak Armand liznął trochę niemieckiego, przebrali się w mundury zabitych strażników i pokonując liczne niebezpieczeństwa, przeszli na piechotę całe Niemcy, a potem przedostali się do Francji.

Właściwie nie zwracali niczyjej uwagi. Ratowało ich wojenne zamieszanie i obecność milionowych tłumów uciekinierów, którzy znaleźli się bez dachu nad głową na skutek nieustannego alianckiego

bombardowania. Już na terytorium Francji korzystali z pomocy wieśniaków i miejscowych grup ruchu oporu, od których dostali cywilne ubrania.

Przekazywani z rąk do rąk przez kolejne komórki ruchu oporu, Armand i Jules poruszali się z drażniącą powolnością; w końcu dotarli do Paryża. Po drodze musieli unikać niemieckich patroli, nie mieli przecież żadnych dokumentów.

- To nawet nie szczęście, tato, to cud - powiedziała Delphine, pełna miłostnego uwielbienia dla Armanda, i Paul stwierdził, że płoża, trzpiotowata, samowolna córka już nie istnieje, wyrosła na dwudziestosześcioletnią kobietę, której siłę miał dopiero poznać.

Zanim wczesnym rankiem Paul wyruszył do Szampanii, zdołał przekazać do Londynu krótką wiadomość dla Eve, że Delphine jest bezpieczna i czuje się dobrze. Jazda zajęła mu więcej czasu, niż się spodziewał, gdyż w każdej wsi podniecone tłumy zatrzymywały jeepa i wiwatowały, zupełnie jakby czciły baśniowego bohatera na smoku. Dopiero w południe Paul znalazł się przed wrotami zamku Valmont. Wysiadając z samochodu zawahał się, przypomniawszy mu się rozmowa, którą prowadził z Eve w 1938 roku, po podpisaniu Układu Monachijskiego. Zdecydował wtedy, niefrasobliwie i głupio, jakby zawsze miało się na wszystko czas, że odłożą wizytę we Francji do wiosny. Sprawy w konsulacie zmusiły go do przesunięcia wiosennej wizyty o kilka miesięcy, a potem, na oczach świata przyglądającego się z bezradnym niedowierzaniem, nad krajem zapadła długa, czarna, przerażająca noc okupacji.

Minęło ponad dziesięć lat, odkąd Paul ostatnio stąpił po ziemi

Szampanii, wiedział jednak, że w Valmont musiało stać się coś bardzo złego, jechał bowiem mając dookoła niewyobrażalny widok opustoszałych winnic, w których nie było przy pracy nikogo, nawet dziecka. Wrota zamku, które trzymały się na masywnych zawiasach, były rozwarte na oścież. Pies z kulawą nogą nie pojawił się sprawdzić, kto przyjechał.

Paul przekroczył próg swego dzieciństwa i pobiegł prosto do kuchni, serca zamku, ale nie znalazł tam nikogo. Szybko przeszukał pokoje gościnne, a w końcu sypialnie. Bez powodzenia. Zamek był milczący i pusty, nietknięty i nie zmieniony, zupełnie jakby padło na niego zaklęcie; we wszystkich pokojach widniały jednak ślady niedawnego użytkowania. Niemcy na pewno tu nie rezydowali. Paul wrócił do frontowego wejścia. Stał przy nim przez chwilę, głęboko zaniepokojony, kiedy zobaczył długi korowód mężczyzn i kobiet w czerni, zbliżający się do zamku. Stara kobieta wyłamała się z szeregu i podbiegła do niego niezdarnie.

- Monsieur Paul, czy to pan? - krzyknęła alarmująco, a jej poorana zmarszczkami twarz zwróciła się ku niemu jakby z nadzieją, że Paul okaże się kimś innym. - Czy to naprawdę pan? - Rozpoznał Jeanne, gospodynię, która w czasie gdy dorastał ponad czterdzieści lat temu była krąglutką, młodą służącą.

- Jeanne, Jeanne, moja najdroższa Jeanne, oczywiście, że to ja. Co tu się dzieje? Dlaczego zamek jest pusty? Gdzie są rodzice?

- Właśnie wracamy z cmentarza. Pochowaliśmy dzisiaj pańską matkę, monsieur Paul. - Wybuchnęła płaczem.

- A ojciec? Gdzie jest ojciec, Jeanne? - spytał, choć w załzawionych oczach widział już odpowiedź.

- Dwa lata minęły, jak nas opuścił, Panie świeć nad jego duszą.

Paul odwrócił się. Opustoszałe winnice, wyludniony zamek natychmiast powiedziały mu prawdę. Zawsze tak wyglądało, kiedy mieszkańcy Valmont żegnali kogoś ze swoich. Miał jednak nadzieję, że nie było to żadne z jego rodziców. Jeanne pociągnęła go za rękaw.

- Monsieur Paul, przynajmniej pan Bruno żyje, proszę o tym pamiętać - powiedziała, starając się go pocieszyć.

- Bruno... - Rozejrzał się po ciasnym kręgu ludzi czekających, by go powitać. Ich smutek mieszał się z zaskoczeniem wywołanym przez niezwykle widok francuskiego oficera w mundurze. - Właśnie, Bruno... Dlaczego go tu nie ma?

- Wyjechał zaraz po pogrzebie. Powiedział, że ma sprawy w Paryżu, ale wieczorem wróci. Z nim wszystko jest w porządku. Siedzi tu bezpiecznie od zawieszenia broni. To był straszny okres, bardzo zły i długi... najgorszy, jaki pamiętam... Wprost nie mogę uwierzyć, że się skończył. Prosimy do środka, zaraz znajdę coś do jedzenia, musi pan być głodny.

- Za chwilę, Jeanne, dziękuję. Najpierw... muszę iść na cmentarz.

* * *

Po powrocie z godzinnego czuwania przy grobach rodziców Paul spędził parę godzin na objeżdżaniu winnic Lancelów. Przystawał, gdziekolwiek zobaczył pracujących ludzi, żeby ich pozdrowić i zapytać o zdrowie. W pięćdziesiątym dziewiątym roku życia, w mundurze noszonym od czasu przyłączenia się do sił de Gaulle'a w 1940 roku wyglądał znakomicie: jego gęste blond włosy posiwiały, ale trzymał się prosto, potężna sylwetka prezentowała się jak zawsze sprężyste, w spojrzeniu zarazem inteligentnym i sceptycznym krył się władczy spokój. Wielu z

robotników w winnicach nie widziało go nigdy przedtem. Poza kilkoma wizytami podczas wakacji Paul nie był w Szampanii od początku pierwszej wojny światowej, czyli od trzydziestu lat. Starsi pamiętali jednak młodego chłopaka, a wszyscy bez względu na wiek witali go jak bohatera, bo był to przecież powrót Lancela do rodowej siedziby, żaden z nich zaś nie miał nigdy innego pracodawcy niż Lancel, tak samo jak ich ojcowie i ojcowie ojców.

Rozmawiając z ludźmi pracującymi w winnicach, Paul zebrał strzępki informacji: na początku 1944 roku władzę nad przedsiębiorstwami Moët & Chandon i Piper-Heidsieck przejęli Niemcy; przez ostatnie kilka lat gestapo aresztowało za antyniemiecką działalność wielu robotników, a także wiele wybitnych postaci ze starych rodów; kilkuset członków miejscowego ruchu oporu zamordowano lub deportowano; zmasowane bombardowanie przeprowadzone przez aliantów pod Mailly zniszczyło całą dywizję von Stauffena, skoncentrowaną tam przed lądowaniem aliantów w Normandii; jeszcze większe spustoszenie uczyniło bombardowanie Rilly, gdzie w tunelu w Górach Reimskich Niemcy składowali rakiety V-2. Zaledwie przed dziesięcioma dniami pociąg wyładowany po brzegi szampanem opuścił Reims i skierował się do Niemiec. W Szampanii brakowało teraz butelek, ale, jak z zapalem mówili wszyscy robotnicy, zbiory w trzech ostatnich latach udały się znakomicie. Wszyscy zgadzali się, że winnice bardzo ucierpiały w czasie wojny, nie wymieniano winorośli, w okresie lądowania aliantów wiele uszkodzono, ale niech pan tylko spojrzy, mówili, niech pan spojrzy na dojrzewające grona... czy nie wyglądają wspaniale? Wyzwolenie powinno przynieść dobre zbiory.

Tak, na Boga, tak, myślał Paul. Szampania przeżyła jeszcze jedną wojnę, bo jej mieszkańcy byli niezłomni, okazali hart, który wzruszył Paula tak głęboko, że łzy napłynęły mu do oczu na widok robotników, ręcznie plewających delikatne pędy winorośli, co stanowiło przedostatnią z dwudziestu siedmiu obowiązkowych czynności prowadzących do zbiorów. Ci ludzie, wczoraj oswobodzeni, dziś w południe pochowali jego matkę, którą z całego serca kochali, ale po południu znów pierwsze miejsce zajęła dla nich uprawa winorośli. Byli uparci, zdecydowani, odważni -jedyni winiarze we Francji, którzy wytrwali tak daleko na północy. Bez ich przywiązania do ziemi zwanej Szampanią wino zwane szampanem od dawna przestałoby istnieć, można je bowiem wytwarzać wyłącznie w chłodnym klimacie.

Paul zjadł obiad z Jeanne w kuchni, a następne godziny spędził w samotności paląc, bijąc się z myślami, włócząc się po zamku, za który wraz ze śmiercią Anette de Lancel stał się odpowiedzialny.

Nawet w marzeniach nigdy nie przyszło mu do głowy, że to Bruno okaże się głową rodu, Bruno, który musiał wykazać się naprawdę lojalnością i heroizmem, by przejąć funkcję długo pełnioną przez dziadka i mimo trudności minionych czterech lat pewną ręką utrzymywać winnice, zamek oraz dobra Lancelów. Ogarniało go coraz większe szczęście, stwierdził, że ma wobec syna wielki dług wdzięczności. Jak mógł go tak nie doceniać? Czy możliwe, że w końcu, po tylu latach, pojednani jak syn z ojcem będą wspólnie uzdrawiać winnice?

Tylko oni pozostali z mężczyzn rodu Lancelów, doprowadzenie tych wysiłków do zwycięskiego końca stanowiło więc nie tylko ich obowiązek, lecz również spuściznę. Musieli podjąć to zadanie dla dobra rodziny, rodu

Lancelów, lecz także wszystkich lojalnych robotników pracujących w winnicach. Paul wiedział, że czekają ich trudne lata odbudowy, przepelniały go jednak energia i poczucie absolutnej słuszności sprawy. Musiał się teraz wiele nauczyć; właściwie wszystkiego, ale produkcja szampana nie była tajemniczym procesem, podlegała ścisłym prawom, które ustalano od dnia, kiedy to Dom Perignon został piwnicznym w Hautvillers w 1668 roku. Najlepsi fachowcy jego ojca, chef de cave, nadzorcy winnic, żyli, krzepcy i aktywni, gotowi nauczyć go wszystkiego, czego potrzebuje.

Przechadzał się wielkimi krokami po salonie, z każdą chwilą bardziej podniecony. Nowe życie, na Boga, nowe życie po tylu latach służby zagranicznej! Witął je całym sercem, wiedząc że będzie w nie musiał włożyć wszystkie, na szczęście jeszcze nie zbywające siły i całą inteligencję. Mieli przed sobą wraz z Eve odmładzającą kurację w Szampanii. Jaką wspaniałą panią na zamku będzie jego żona! Przez lata prowadzenia ambulansu w bombardowanym Londynie dowiodła, że nie istnieją dla niej zbyt trudne zadania. Współ z Brunem przywróca tu życie pełne honoru, godności i produktywności, które Lancelowie wiedli przez stulecia.

Jednocześnie z niespodziewanym uniesieniem powoli narastał w nim szok. Zorientował się, że nie komu innemu, lecz jemu, Paulowi de Lancel, zabrakło zmysłu przewidywania. Zatopiony we własnych problemach, przez dziesiątki lat żyjąc z dala od Francji, nie okazał rozwagi w marzeniach o przyszłości. Nie miał gotowych planów na dzień, w którym stanie się jedynym posiadaczem starodawnego majątku rodowego Lancelów, jedynym posiadaczem winnic, ciągnących się jak okiem

sięgnąć wokół zamku, panem lasu, stajni, wszystkiego, co go teraz otaczało, aż po ostatnie jajko zniesione przez młodą kurę trzymaną w ukrytym kurniku, z którego Jeanne była taka dumna. Wyjechał z Szampanii jako zbyt młody człowiek, niedostatecznie ukształtowana osobowość, żeby śnić o przyszłości, która teraz przychodziła do niego sama i jawiła się z powabem i tajemniczością oblubienicy.

Mijały minuty, Paul wpadał w coraz bardziej świąteczny, radosny nastrój. Przewodzenie rodowi Lancelów miało nadać sens reszcie jego życia. Urodził się wszak w Szampanii i chociaż długo przebywał z dala od rodzinnej ziemi, nie było jeszcze za późno na powrót do domu. Paul całym sercem postanowił sprostać wyzwaniu, które dopiero teraz zaczynał dopuszczać do świadomości i pojmować. Jako rdzenny mieszkaniec Szampanii podejmując postanowienie, poczuł narastające pragnienie, toteż wstał i ruszył na poszukiwanie butelki najlepszego szampana dostępnego w całym regionie.

* * *

Nieco później, na godzinę przed wczesnym sierpniowym świtem, kiedy noc jest najgłębsza, Bruno wrócił do Valmont z Paryża. Pojechał tam sprawdzić, jak się mają rzeczy na Rue de Lilie. Generał von Stern opuścił dom, zostawiając go w tym samym stanie, w jakim zastał, wszystko było w porządku, a kamerdyner George już dyrygował służbą, przewidując powrót Bruna.

Generał znajdował się oczywiście w rękach władz, które przyjmowały kapitulację paryskiego garnizonu, Bruno nie lękał się jednak o jego przyszłość. W postawie generała zaradność zajmowała równie poczesne miejsce, co filozoficzne nastawienie do życia, toteż przez ostatni

rok, stworzywszy z Brunem wspólnotę umysłów i kontaktów, von Stern przeprowadził, podobnie jak jego partner, serię zyskownych operacji na czarnym rynku.

Niepowodzenie z Delphine nie przysłoniło mu wartości pieniędzy i zarówno jego, jak i Bruna walory spoczywały teraz bezpiecznie na koncie w Szwajcarii.

Wchodząc do zamku, w którym spędził wojnę, Bruno żałował, że nie może, choćby na kilka tygodni, odwlec powrotu, ale atmosfera w Paryżu była niebezpiecznie wybuchowa. Różne frakcje uchu oporu walczyły między sobą, oskarżenia mieszały się z kontroskarżeniami, dokonywano aresztowań znanych kolaborantów, grupy młodych ludzi, którzy najpierw robią, a potem myślą, włóczyły się po ulicach, podżegając do linczów, a co najgroźniejsze, każda godzina przynosiła nowe denuncjacje osób, podejrzewanych o zbyt przyjazne stosunki z byłym okupantem. Cztery lata rozczarowań i wściekłości owocowały erupcją w całym Paryżu. *Les reglements de comptes*, rozliczenia za postawę podczas wojny, były na porządku dziennym. Bruno nie miał się czego obawiać, niewątpliwie zachowali z von Sternem pełną dyskrecję, czy jednak ktokolwiek może mieć całkowitą pewność? Ludzie wiedzą niekiedy więcej, niż się można spodziewać. Przeciętniacy zazdrościli tym, którym idzie lepiej, jak zresztą zawsze, i denuncjacje stanowiły jedyny sposób zemsty za nierówność warunków. Dlaczego mam ponosić choć cień ryzyka, jeśli rozum podpowiada, że nadal należy zachowywać środki ostrożności, zadawał sobie pytanie Bruno. Nie, powrót do pięknego paryskiego domu jeszcze nie był bezpieczny, jeszcze nie przyszedł czas rezygnacji ze schronienia na wsi.

Jakże bardzo jednak gnębiło go pragnienie normalności! Od wspaniałej przyszłości dzieliło go kilka krótkich tygodni. Paryż znów stanie się tym, czym był zawsze w dziejach, stanie się sobą, a on będzie tego świadkiem, rozkoszując się odrodzeniem miasta. Wicehrabia Bruno Saint-Fraycourt de Lancel jeszcze raz zajmie miejsce w jedynym świecie, w którym i dla którego jego zdaniem warto żyć. Skończy się wałęsanie za pracą, nie będzie żadnych obowiązków, wystarczy pozwolić, żeby pieniądze przyciągały nowe pieniądze, on zaś w tym czasie będzie cieszył się swobodą dżentelmena, uprawiał sporty i płaścił się w splendorze, zaspokajając gusta chodzeniem po salonach przy Boulevard Saint-Germain, organizowaniem przyjęć we własnym pięknym domu, zaliczaniem nowych kobiet, oczywiście paryżanek, po koniecznej w ostatnich latach, chociaż nie pozbawionej smaku, diecie złożonej z prowincjuszek. Będzie też kolekcjonował dzieła sztuki malarskiej, ozdobne meble i inne wartościowe przedmioty, pozyskując je od zbiedniałych głupców zrujnowanych przez wojnę. Odkupi jeden z zamków Saint-Fraycourtów i zamieszka w nim, jakby historia zatrzymała się przed Wielką Rewolucją Francuską. Bruno myślał o tym, wspinając się na schody prowadzące do jego pokoju w Valmont. Po wzięciu wszystkiego pod uwagę musiał przyznać, że wojna wyszła mu na dobre. Już wkrótce, za kilka tygodni, miał powrócić triumfująco, niczym księżę w dzień koronacji, do świata starej arystokracji, który w ostatecznym rozrachunku stanowił jedyną miłość w życiu Bruna.

Wszedł do pokoju, zapalił światło i zmartwiały, mięśnie skurczyły mu się w popłochu.

- Co, do diabła! - wykrzyknął.

Z fotela uniosła się wysoka postać: Paul czekał po ciemku na syna.

- Mój Boże!

- Przestraszyłem cię, Bruno?

- Ależ to niemożliwe... jak ty... skąd... kiedy? - bełkotał osłupiały Bruno.

- Przyjechałem w południe.

- Znakomicie... Tak, wspaniale, co za niespodzianka, jesteś prawie równie szybki, jak Patton. Z pewnością rozmawiałeś z Jeanne. Mam nadzieję, że poczęstowała cię dobrym obiadem. - Maniery, które nigdy go nie zawodziły, szybko pomogły mu przetrwać moment pojawienia się ojca nie widzianego, nie bez woli Bruna, od jedenastu lat.

- Obiad był wyśmienity. Nie poczęstujesz mnie kieliszkiem szampana?

- Chcesz powiedzieć, że Jeanne nie otworzyła żadnej butelki? Trochę późno na szampana, już prawie rano, ale oczywiście możemy wznieść toast za twój powrót, czemu nie?

Musieliśmy, jak wszyscy, sprzedawać prawie całą produkcję Niemcom, Jeanne na pewno ci to mówiła, ale coś do picia jeszcze znajdę.

- Proponuję różowy szampan, Bruno. Różowy szampan z dobrego rocznika, ten rodzaj z którego tak dumny był twój dziadek. Nie zaproponujesz mi butelki najlepszego lancela?

- Dziwnie się zachowujesz ojczu, jak nie ty, zupełnie nie ty. Rozumiem... przeżyłeś szok z powodu śmierci babci... smutny powrót do domu... Powiniennem być zorientować się wcześniej. Może powinieneś trochę odpocząć.

Paul wydobyl z kieszeni klucz na złotym łańcuszku.

- Ojciec dał mi go, kiedy wyruszałem na wojnę w 1914 roku, żeby przypominał mi Valmont, gdziekolwiek będę. Posłużyłem się nim dziś wieczorem. Otworzyłem skarbiec.

Bruno mimowolnie cofnął się o krok.

- Nie muszę ci mówić, co znalazłem.

- Nie - zimno odparł Bruno. - Nie wysilaj się.

- Tam było zwykle pięćset tysięcy butelek, Bruno.

- Wykorzystałem je tak, jak zrobiłby to każdy inteligentny człowiek.

Ty miałeś w Londynie swoją wojnę w białych rękawiczkach, daleko od kraju pętałeś się za swoim dzielnym, elokwentnym generałem, a Niemca nawet nie widziałeś na oczy. Ja zrobiłem to, co musiałem.

- Dla czyjej korzyści? - Głos był wyprany z emocji. Mogłoby się wydawać, że Paul pyta jedynie z ciekawości.

- Dla własnej.

- Nawet nie dla Niemców?

- Powtarzam, że dla własnej. Nie mam zamiaru męczyć się wymyślaniem kłamstw na twój użytek. - Słowa trzaskały głęboką pogardą niczym bicz na wrażliwym ciele.

- Sprzedałeś oczywiście na czarnym rynku.

- Nazywaj to jak chcesz. Rynek jest rynkiem... różnica polega wyłącznie na tym, kto kupuje i sprzedaje.

- Co zrobiłeś z pieniędzmi?

- Są bezpieczne. Nigdy ich nie znajdziesz.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że ujdzie ci to na sucho?

- Sądzę? Już mi uszło. Stało się, skończone i kropka. Przecież nie odzyskasz tych butelek. A dowieść nie możesz niczego. Nikt poza nami

nie wie o istnieniu tego szampana.

- Czyli twoje słowo przeciwko mojemu.

- Dokładnie.

- Wyjedź z Szampanii - zażądał Paul.

- Z przyjemnością.

- Wyjedź z Francji.

- Nigdy! To jest mój kraj.

- Od tej chwili już nie. Jeśli nie wyjedziesz z Francji, oskarżę cię. Zapewniam cię, że oskarżenie będzie wiarygodne. Przysięgam, że sprowadzę na ciebie hańbę, jakiej nie umiesz sobie wyobrazić. Splamiłeś swoje nazwisko, splamiłeś rodzinę, tradycję, naszych zmarłych. Nie będzie człowieka we Francji, który myślałby o tobie bez odrazy. Jesteśmy pamiętliwi. Nie masz czego szukać w tym kraju.

- Nie uda się przekonać ludzi, żeby ci uwierzyli - Bruno wciąż szyderczo się uśmiechał.

- Nie próbuj tego sprawdzać. Człowiek, który sprzedał na czarnym rynku serce Valmont, nie zatrzymał się z pewnością w tym miejscu. Jakie zbrodnie popełniłeś jeszcze podczas wojny? Wszyscy przestępcy zostawiają ślady, szczególnie jeśli nie działają w pojedynkę. Czy wyobrażasz sobie, że rząd Wolnej Francji zapomni o porachunkach z takimi ludźmi jak ty? Nie daję ci wyboru.

Bruno obrócił się i skoczył do biurka, w którym trzymał pistolet. Gorączkowo zanurzył rękę w szufladzie, ale niczego nie znalazł, gdyż przed jego powrotem Paul przeszukał pokój.

- I do tego byłbyś zdolny? - wykrzyknął Paul. Uniósł szpicrutę, znaną pod nocnym stolikiem Bruna, i z nadnaturalną siłą człowieka,

który musi zabić odrażającego, bardzo jadowitego węża, uderzył. Wargi Bruna rozchyliły się, przez krew prześwitywały białe punkty zębów.

- Precz - powiedział Paul ścisząc głos. - Precz! - Kiedy Bruno stanął na nogi, ojciec zdzielił go szpicrutą jeszcze raz i jeszcze. Bił, póki Bruno nie odwrócił się i nie zaczął zbiegać po schodach. Paul ścigał go z uniesionym ramieniem, gotów posiekać twarz Bruna na kawałki, gdyby podły zdrajca nie chciał opuścić kraju, który splugawił.

- Wszyscy zgodnie twierdzą, że znakomicie sprzedają ciasta - powiedziała Freddy do siostry z szerokim, entuzjastycznym uśmiechem. - Mam dużo cennych doświadczeń od Van de Kampa, jeszcze z Los Angeles, a wprawy osiągniętej w sprzedawaniu słodczy nigdy się nie traci. Teściowa była niesamowicie zadowolona, powiedziała, że jak sięga pamięcią, na żadnej zimowej kweście tyle ciasta jeszcze nie poszło. Został na stoliku jeden jedyny placek, a szarlotka, którą sama upiekłam, znikła na samym początku. Zarobiłyśmy dwadzieścia pięć funtów dla doktora Barnardo.

Delphine wyciągnęła się rozkosznie na poduszkach sofy w salonie przestronnego nowego mieszkania, które, wreszcie po ślubie, wynajęli z Armandem naprzeciwko Ogrodów Luksemburskich. Freddy i Tony Longbridge'owie przyjechali do nich w kilkudniowe odwiedziny przed wizytą u Paula i Eve w Valmont. Był to ich pierwszy wyjazd z Anglii od zakończenia wojny w poprzednim roku.

- Kto to jest doktor Barnardo? - spytała Delphine bez konkretnego celu.

- Prowadzi sierocińce... Pieniądze idą na gwiazdkowe prezenty dla dzieci. Brałam też udział w wyprzedaży rupieci na nowy dach dla kościoła we wsi. Co tydzień w niedzielę rano siedzimy tam, śpiewając hymny najciszej jak umiemy, i czekamy, aż stary zwali się nam na głowy. W tej sytuacji prawdziwie porywające kazanie oznaczałoby klęskę.

- Straszne byłoby tak ginąć po tylu bombach, które nie spadły człowiekowi na głowę - mruknęła Delphine, ospale przyznając siostrze rację.

- Właśnie! Dlatego ofiarowałam się, że pomogę w sprzedaży - z zapalem ciągnęła Freddy. - Ponieważ benzyna jest nadal absolutnie nie do dostania, nawet jeśli się ma kartki, to zaprzęgam konia do wózka i objechałam całą okolicę. Nie wyobrażasz sobie nawet, jaki towar dali mi ludzie! Przewrócili strychy do góry nogami i wywlekli kupy staroci: książki, porcelanę, o której dawno zapomnieli, ubrania... wiesz jakie. Nie odrzuciłam ani jednej sztuki, nigdy nie wiadomo, cel przemówi do kupujących. I prawie wszystko poszło. Zaskakujące, ile można osiągnąć, mając jedną starą szkapę... Tony był ze mnie bardzo dumny.

- Tak jak powinien, czcigodna Freddy Longbridge - przyznała łaskawie Delphine.

- W czerwcu odbywa się kwesta na wolnym powietrzu, koło plebanii. Wszyscy twierdzą, że jest niewiarygodnie barwna. Ma być gajki i tańce dookoła, jazdy na kucach i pokaz zwierząt domowych. Ale najważniejszy punkt programu stanowią konkursy na najpiękniejsze kwiaty i warzywa. Podobno konkurencja bywa wyjątkowo silna. Bardzo prestiżowa sprawa! Jeszcze nie wybrałam między peoniami i pomidorami, ale zastanowiło mnie ostatnio, czy nie powinnam zająć się i tym, i tamtym. Zaraz po powrocie muszę podjąć decyzję i wziąć się do roboty. Czy nie sądzisz Delphine, że rozszerzając zainteresowania, zwiększasz trudność wyzwania?

- Absolutnie się z tobą zgadzam. Ja jednak najchętniej robiłabym furorę w tańcach dookoła gajki.

- Och, Delphine! To jest dla dzieci, nie dla starych, zamężnych kobiet w naszym wieku.

- Uważaj, kogo nazywasz starą zamężną kobietą - leniwie warknęła

Delphine, z zadowoleniem klepiąc się po brzuchu.

- No dobra, stara, zamężna i bardzo, bardzo ciężarna kobieto.

- Skreśl „stara” i na resztę się zgodzę.

- Zawsze byłaś próżna... Niech będzie, że należy ci się takie ustępstwo. W istocie, dwudziestoośmiolatka nie jest jeszcze stara. - Dwudziestosześcioletka też nie - stwierdziła kwaśno Delphine.

- Nawet jeśli ma już małą Annie.

- Nigdy nie myślę o wieku - powiedziała wesoło Freddy. - W Longbridge Grange jest za dużo zajęć. Biorę lekcje brydża, a teraz, kiedy część służby wróciła do pracy, Penelope uczy mnie wszystkiego, co trzeba wiedzieć o proszonych obiadach. Uczę się też haftu, żeby móc wyszywać serwetki na stół, i robótek na drutach, bo na przyszłoroczną kwestę chcę przygotować baby na imbryki i mniejsze na kieliszki z jajkami. Szarlotka jest za łatwa. Oczywiście mam też moją szkółkę niedzielną.

- Twoją własną szkółkę niedzielną? - spytała Delphine, okazując maksimum zainteresowania, na jakie pozwalała jej relaksowa pozycja.

- Najzupełniej. Taka jest tradycja Longbridge'ów. W każde niedzielne popołudnie od trzeciej do czwartej... tylko dla dzieci do dziesiątego roku życia. Potem chodzą do wikarego, przygotowują się do konfirmacji. Mam u siebie ich dzienniczki i każdemu dziecku, przychodzącemu przez sześć kolejnych tygodni, przybijam ładną pieczętkę, ale jeśli w którąś z niedziel dziecko nie przyjdzie, to chcąc dostać pieczętkę, musi zaczynać sześć tygodni od początku.

- Dosyć bezwzględne - zaproponowała Delphine.

- Jeśli mają być kolejne, to kolejne - żarliwie upierała się Freddy. - W ten sposób znakomicie ćwiczy się charakter. Penelope gra hymny na

fortepianie, dzieci śpiewają, a ja im czytam Biblię. Zaczynam być w tym dobra.

- Nigdy nie podejrzewałam cię o religijne skłonności... ale przecież ludzie się zmieniają. A my nie widziałyśmy się tak dawno. Jesteś na dobrej drodze do stania się nieskazitelną angielską lady.

- Mam nadzieję... Przecież poślubiłam ziemianina z arystokratycznym tytułem. Ojej, o mało nie zapomniałam opowiedzieć ci najfantastyczniejszej historii. Robię własne potpourri. Penelope ma tajny przepis rodzinny, od stuleci przekazywany z pokolenia na pokolenie, więc postanowiłam wymyślić własny. Zaczęłam od lawendy i róż, a potem najwyraźniej coś mi odbiło, dodałam płatki margerytek, bławatki, wrzos, szałwię, ostróżki, goździki, cytrynową werbenę, tymianek, marunę, liście mięty, marzannę, kwiaty rumianku, sproszkowany korzeń kosaćca, odrobinę fiołków, liście geranium, szczyptę sproszkowanej gałki muszkatołowej... chwileczkę, czy czegoś nie zapomniałam? O Boże, jeszcze pałeczki cynamonu! Oczywiście, sekret polega na zerwaniu kwiatów w odpowiednim momencie, kiedy nadają się do suszenia... Trzeba to robić rano, zaraz po zniknięciu rosy i wybierać tylko w pełni wykształcone kwiaty. Potem ostrożnie się to wszystko miesza i dodaje olejki zapachowe, to podstawa. Cały proces jest o wiele bardziej skomplikowany, niżby wydawało się z opisu. Będę miała wspaniałe potpourri, tylko musi osiągnąć odpowiedni wiek. Tymczasem ma zapach... trochę nie dokończony... ale teściowa wykazuje dużo optymizmu. Przyślę ci trochę, kiedy poczuje, że jestem z niego zadowolona. Delphine... Delphine... ty śpisz?

* * *

Godzinę później, po powrocie z przechadzki z Tonym, Armand zastał Delphine, jak odświeżona drzemką szczotkuje włosy.

- Czy ucięłyście sobie z Freddy miłą, intymną pogawędkę - spytał.

- Nawet fascynującą. A jak ci się rozmawiało z Tonym?

- Zdobyłem wiele informacji. Wiem już więcej niż chciałbym o głupocie rządu labourzystów, niedostatkach, braku funduszy, kontroli cen, niskiej wydajności pracy, wysokich podatkach i ogólnej niemożności zrobienia czegokolwiek w Anglii. Bardzo chciałem do was wrócić i posłuchać zajmujących poufnych wynurzeń dwóch dziewcząt.

- Nie masz czego żałować, że cię nie było. Niewiele straciłeś. Chyba że lubisz oglądać złe aktorstwo.

- Czyje? Delphine ziewnęła.

- Mojej siostrzyczki, ty tępolu. Ja błyskotliwie udawałam, że jej wierzę.

- Czy tak błyskotliwie jak zawsze?

- Bądź pewien, jak własnej dupy, Sadowski. Chyba mimo wszystko pozwolę ci na to popatrzeć.

* * *

Freddy podniosła wzrok znad tamborka słysząc, że Tony drze na drobne kawałki lotniczy papier listowy i wrzuca strzępki do małego ognia, płonącego w kominku, teoretycznie jako środek przeciwko wilgoci deszczowego popołudnia, wciskającej się do ich sypialni w Longbridge Grange. Był kwiecień 1946 roku, okres surowej wiosny z małymi, nierozwiniętymi pączkami i wzmożonym racjonowaniem.

- Ten list był chyba od Jocka. Ja też chciałam przeczytać - zaprotestowała Freddy.

- Szkoda mi było twojego czasu - odparł Tony, wyraźnie poirytowany listem przyjaciela.

- Znowu coś o jego nieumiarkowanym życiu erotycznym? Prawdę mówiąc, te obleśne szczegóły mnie się raczej podobają.

- Tym razem nawet nie to, kochanie. Naszedł go kolejny szalony pomysł. Chce wydzierżawić kilka samolotów i rozkręcić firmę transportową.

- To musi oznaczać, że jeszcze nie znalazł pracy - powiedziała Freddy w zamyśleniu. - Co jemu się właściwie wydaje? Jak długo będzie ciągnął na tej pokerowej fortunie?

- Niezbyt długo, jeśli tak dalej pójdzie. Zapalił się do tego pomysłu. Napisał, że może wynająć DC-3 po cztery tysiące rocznie, według specjalnych stawek dla weteranów... „tylko cztery tysiące”, wyobraź sobie. I jeszcze proponuje, żebyśmy zwinęli żagle, przenieśli się do Los Angeles i weszli z nim w spółkę. My! Też coś! Twierdzi, że ma na miejscu furę zdemobilizowanych pilotów i personelu naziemnego, którzy będą pracować za pół darmo, żeby tylko dostać zajęcie w lotnictwie. Jego zdaniem powinniśmy kłaść podwaliny nowego biznesu. Pieprzenie w bambus.

- Czy pisał o jaki rodzaj ładunków mu chodzi? - spytała Freddy.

- Znasz Jocka. Wymyślił sobie nowalijki. Pomyśl tylko: DC-3 pełen warzyw. Jock twierdzi, że samolot przenosi jednorazowo trzy i pół tony towaru. Klasyczny nonsens a la Hampton... latająca buda z nowalijkami.

- Istotnie, dziwaczne - zamyśliła się Freddy - ale gdzieś mu dzwoni.

- Jak to? - spytał Tony, zaskoczony niezwykle, refleksyjnym tonem głosu żony.

- Na zachodnim wybrzeżu rośnie dużo zielska, którego nie ma o tej porze na wschodzie, zresztą za łatwo je zniszczyć w czasie transportu, żeby wozić pociągiem... czyli rynek powinien być. - Freddy odłożyła tamborek. Wpatrywała się w ogień rozmarzonymi oczami wizjonera, które zobaczyły kraj nie obdarzony rzeczywistym bytem w pojęciu Tony'ego Longbridge'a.

- Stop, kochanie. Po pierwsze, po drugie i po trzecie, nawet gdyby pomysł był niezawodny, a przecież nie jest, nawet gdybyśmy chcieli go wprowadzić w życie, a przecież nie chcemy, to i tak nie wywieźlibyśmy z tego kraju żadnych pieniędzy, żeby wejść w spółkę z tym pomyślnym. Zapomniałaś o walutowych ograniczeniach? Gdyby Sadowscy nas nie sfinansowali, nie moglibyśmy nawet jechać do Paryża.

- Doskonale wiesz, że mam w Los Angeles piętnaście tysięcy dolarów, którym od 1939 roku leżą odsetki.

- To jest twoja prywatna sprawa.

- To jest moje wiano... nie poślubiłeś panny z pustymi rękami.

- Na ten temat nigdy się nie dogadamy. Twoje prywatne pieniądze nie mają nic wspólnego ze mną. Freddy nie zwróciła uwagi na typowe protesty męża.

- Gdybyśmy - powiedziała - gdybyśmy na przykład... zwróć uwagę na tryb warunkowy i nie naskakuj na mnie... więc gdybyśmy na przykład skorzystali z tych pieniędzy, moglibyśmy wynająć dwa samoloty i wciąż jeszcze mieć więcej niż dość na życie, póki interes nie zacznie przynosić zysku. Gdyby Jock wynajął także dwie, może trzy maszyny... tylko na przykład... to mielibyśmy razem pięć...

- Spokojnie!

- Pozwól mi skończyć myśl. Zastanawiam się, co Jock miał na myśli twierdząc, że ludzie będą pracować za półdarmo. Ile to właściwie jest „półdarmo”?

- Freddy! Czym ty się, do cholery, podniecasz? Pięć samolotów transportowych. Chyba nie bierzesz tego poważnie?

- Hmm... po prostu rozważam dla zabawy, niech pomysł trochę okrzepnie.

- Czy aby tylko dla zabawy?

- Cóż to szkodzi, Tony, że sobie wyobrazimy, zwyczajnie wyobrazimy te DC-3, jak załadowane po sam czubek startują do Nowego Jorku, Bostonu lub Chicago... ale oczywiście fantazjuję. Przecież nie moglibyśmy opuścić Longbridge Grange?

- Stanowczo nie.

- Mieszkasz tu przez całe życie. Jak mógłbyś nawet zacząć myśleć o zwinięciu żagli i przeniesieniu się w dziwne miejsce, gdzie słońce świeci co dzień przez cały rok, bo jeśli nie, to kasa zwraca pieniądze? - Freddy podeszła do okna i przystanęła, wpatrzona w posepny, nieubłagany deszcz, padający tygodniami podczas angielskiej wiosny. - Zastanawiam się, co jest nad tymi chmurami - mruknęła. - Czy Wenus pozostała tam, gdzie była?

- Co mówiłaś, kochanie?

- Nic takiego. - Uśmiechnęła się do niego łagodnie. - Nawet jeśli Jock chce założyć transportowy biznes, to nas do tego nie potrzebuje. Przecież pisał, że w Kalifornii piloci cisną się drzwiami i oknami. A my mamy tutaj nasze życie, ty zarządzasz majątkiem, a ja mam Annie i kwesty, i lekcje brydża, i szkółkę niedzielną. Ale... gdyby żadne z nas nie

brało pensji?... Nie, mniejsza o to.

- Nie ma bardziej irytującego zwrotu niż „mniejsza oto”, dobrze wiesz. Co byłoby, gdyby żadne z nas nie brało pensji? - spytał Tony.

- Zastanawiałam się... no, nad zyskami. Na początku nie byłoby żadnych, i to dosyć długo. Nie mielibyśmy słodkiego życia. Najpierw musielibyśmy tam jechać, znaleźć miejsce do mieszkania, kupić samochód, wynająć pomieszczenie na biuro, załatwić hangary, opłacić urzędników, zrobić nabór pilotów i załóg... Sporo kosztowałoby samo paliwo dla pięciu DC-3... - Zawiesiła głos, przyglądając się ociekającym cisom pod oknem. Zdawało się, jakby w pokoju wypełnionym blaskiem ognia płonącego na kominku otoczył ją nagle mglisty obłok tęsknoty, tak namacalny, że można było wyczuć jego drzenie w powietrzu.

- Dla pięciu DC-3, powiadasz? Czyżby te samoloty były już dla ciebie zupełnie realne? - spytał Tony z zagadkową nutą w głosie.

- Po prostu przypominam sobie wszystkie problemy finansowe, jakie miałam, prowadząc szkołę lotniczą.

- Ciężko było, prawda?

- Owszem. Naprawdę ciężko. - Odpowiadając odwróciła się do Tony'ego i przez chwilę w jej oczach zagościło spojrzenie zapalonego, szalonego, pełnego nadziei dzieciaka. Zanim Freddy zdążyła spuścić powieki, było za późno, Tony pochwycił to spojrzenie.

- Czy było trudniej niż sprzedawać ciasto?

- To nie ten sam poziom.

- Ciężej?

- Znacznie.

- Ale dałaś sobie radę, prawda?

- Jakoś mi się udało.

- Czy wywoływało to równie intensywne dreszcze emocji jak potpourri?

- Nie dokuczaj mi, Tony. Chciałbyś porównywać... latanie z... z... przecież latania nie można porównać z niczym. - Z wyrazem zdecydowania na twarzy Freddy zapięła sweter, usiadła i podniosła tamborek.

- Kogo ty chcesz oszukiwać, kochanie? Przecież umierasz z pragnienia, żeby spróbować tej kontrabandy. Czy naprawdę myślisz, że nie widzę, jak przystajesz i nasłuchujesz za każdym razem, kiedy przelatuje samolot?

- Przyzwyczajenie, zwykle przyzwyczajenie - warknęła Freddy, zalewając się rumieńcem.

- Guzik prawda! Gdybyś mogła, latałabyś na uszach.

- No dobrze, niech będzie, że pomysł Jocka mnie zainteresował - podniosła głos Freddy. - Ale jak moglibyśmy nawet zastanawiać się nad taką rewolucją, która oderwałaby cię od rodziny i oznaczała całkowitą zmianę stylu życia? Dlatego nie wracajmy już do tego tematu.

- Przecież ty naprawdę konasz z chęci spróbowania, może nie? Nie udawaj, że jest inaczej.

- Nie umiem przed tobą kłamać. Ale czasy się zmieniają. Wojna się skończyła. Mam tutaj dom...

- Opowiastki dla cioci, serdeńko. Nic na to nie poradzisz. Grasz fantastycznie, słowo daję, ale co ma wojna do twoich odczuć wobec latania? Moje biedne, uziemione maleństwo, skazane na jednego konia niemechanicznego, będącego w dodatku starą szkapą.

- Nigdy się nie skarżyłam - powiedziała bezradnie Freddy.

- Nie, i to jest właśnie przerażające. Uległość nie pasuje do ciebie. Wkurzasz mnie tym. Posłuchaj, Freddy, mówię szczerze: nie miałbym nic przeciwko drobnej odmianie. Tutaj ciągle włączę w paradę ojcu. Jego o wiele mniej niecierpliwi biurokracja, ma za to o wiele więcej doświadczenia. Gdyby naprawdę mnie potrzebował, nie mógłbym nawet myśleć o czymś takim, po prostu nie mógłbym, wiesz dobrze, ale nie decydujemy się na zawsze... Czemu, do diabła, nie spróbować? Jock nie jest głupim facetem, czuje interesy. A kiedy przepuścimy wszystkie pieniądze i wrócimy z podkulonymi ogonami...

- Czyli moje na wierzchu? - wykrzyknęła Freddy, nie wierząc własnym uszom. Tony skinął głową.

- HURA! - Freddy wyskoczyła z fotela tak wysoko, że czubkami rozczapierzonych palców zamiotła po belkach sufitu.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju wślizgnęła się Annie, ubrana w długą flanelową koszulę nocną w kwiatki.

- Czemu hura? - spytała.

- Wiesz, Annie, pojedziemy odwiedzić twojego kumpla Jocka, tam gdzie dorastała mama. Ona zwykle nazywa to miejsce Miastem Aniołów - powiedział Tony.

- To coś takiego jak w szkółce niedzielnej? - dopytywała się Annie nieufna, lecz gotowa poddać się czarowi pomysłu.

- Nic z tych rzeczy. To coś jak letni dzień, jak długi, ciepły błękitny wyjazd nad morze. A wiesz, co jest w tym wszystkim najlepsze? Twój tata nie będzie już musiał grać z biedną mamą w brydża. Nie powtarzaj jej, ale ona wciąż jeszcze nie widzi różnicy między pikami i atutem, a

najprawdopodobniej nigdy nie zobaczy.

* * *

- Więc jak nazwiemy firmę? - spytał Jock, nalewając sobie piwa w ogródku za niewielkim domem, który Freddy z Tonym znaleźli w końcu niedaleko portu lotniczego Burbank.

- Wydaje mi się, że nazwa powinna budzić zaufanie - odparł Tony. - Jak wam się podoba: Narodowy Ekspres Powietrzny? - Nie obraż się, stary dzemojadzie, ale trochę dęta ta nazwa.

- Niewątpliwie masz lepszy pomysł, ty stary gumożuju.

- Wolałbym coś w rodzaju Nasze Cargo Górą - Jock uśmiechnął się szeroko, dumny z własnej wynalazczości.

- Nie powierzyłabym towaru firmie pod takim szyldem - sprzeciwiła się Freddy. - Zupełnie jakby chodziło o szkolną drużynę futbolową, w dodatku z kiepskiej szkoły.

- Oj, Freddy, mnie się ten pomysł wydaje bajeczny - oświadczyła Brenda, ostatnia dziewczyna Jocka, a zarazem ochotniczy kierownik biura.

- Mogłabym podsunąć to hasło Heddzie Hopper, żeby je wykorzystała w kronice towarzyskiej.

- Brenda, siedź cicho, nie masz tutaj głosu - powiedział pośpiesznie Jock. - Brenda zna wielu ludzi w show-businesie - wyjaśnił Tony'emu i Freddy.

Freddy zlustrowała Brendę z zaciekawieniem. Dziewczyna miała ciemne włosy, tak długie i lśniące, że wyglądało, jakby na ramionach nosiła kałuże. Oszalaniający biust świadczył o pełnej kobiecej dojrzałości, choć należało wątpić, czy jego posiadaczka skończyła już średnią szkołę. Gdzie Jock znalazł coś takiego? Przysięgał, że Brenda umie pisać na

maszynie, stenografować, segregować korespondencję i prowadzić urzędowe rozmowy telefoniczne, ale dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie przycinała długich, zrobionych na ciemnoczerwono paznokci. I dlaczego miała południowy akcent, skoro twierdziła, że pochodzi z San Francisco?

- Masz jakiś pomysł, kochanie? - spytał Tony żonę.

- „Orły” - powiedziała Freddy bez wahania.

- „Orły”? Cóż to za nazwa? - zaproponował natychmiast Jock.

Ciągle jeszcze czuł się urażony, że Freddy spędziła kilka dni, ucząc jego i Tony'ego latania na wielkim, nie znanym im dwusilnikowcu, podczas gdy sama przetestowała maszynę po zaledwie półgodzinnym instruktażu. Sześć lat przelatał na spitfirze, a teraz przyszło mu godzinami uczyć się od niej pilotażu, jakby był dzieckiem.

- Słuchajcie, chłopcy - powiedziała Freddy cierpliwie. - Jesteście bohaterami, spotkaliście się dzięki eskadrze „Orzeł”, więc warto to jakoś wykorzystać. „Orły” brzmią krótko, trafiają w sedno, są łatwe do zapamiętania, nie mają skomplikowanych inicjałów.

- Wartość uczuciowa jest niewątpliwa - przyznał Tony. - Twoje kalafiory lecą z „Orłami”... to się pamięta.

- Jak uważasz, Jock? - spytała Freddy.

- Chyba mnie przegłosowaliście. „Orły” są w porządku.

- Jock, misiu - zaciągnęła po południowemu Brenda. - Co to takiego eskadra „Orzeł”?

* * *

- Gdzie się podziała nasza dama z DC-3? - spytał Jock Tony'ego. Obaj siedzieli w ciasnym biurze, wertując książki telefoniczno-adresowe

Los Angeles w poszukiwaniu potencjalnych klientów, a tymczasem w poczekalni Brenda bezskutecznie wyjaśniała tłumowi chętnych do zatrudnienia, że przyjęcia jeszcze się nie rozpoczęły.

- Nieobecna.

- Można było się spodziewać. Skoro macie teraz dziewczynę do dziecka, która u was mieszka, to Freddy pewnie poszła do miasta. Nie zauważyłeś, że przydałoby jej się coś nowego do włożenia? A może siedzi u fryzjera albo je lunch z przyjaciółkami... może wybiera się na popołudniówkę do teatru, może ucina gdzieś partyjkę remika... Daj kobiecie trochę czasu, to na pewno załatwi mniej, a wyda więcej niż byś sądził, że można. Ale zjawi się w biurze po południu?

- Ma jej nie być parę dni - powiedział Tony przez zaciśnięte zęby.

- O! Dokąd ją poniosło?

- Naprawdę nie wiem. Spójrz na kartkę, którą mi zostawiła. - Wyciągnął przed siebie kawałek papieru, Jock przeczytał na głos:

- Kochanie, proszę przypilnuj żeby Annie zjadła kolację i posiedź z nią. Wykap Annie, poczytaj jej książeczkę, która leży na nocnym stoliku, ale nie dłużej niż dwadzieścia minut. Połóż ją do łóżka, nocna lampka może być zapalona, gdyby Annie chciała. Helga przygotowuje ci obiad na wpół do ósmej. Wieczorem, proszę, zajrzyj kilka razy do Annie. Zostaw otwarte drzwi do siebie na wypadek, gdyby się zbudziła. Rano upewnij się, że zjadła całe śniadanie, Helga zaprowadzi ją do przedszkola i odbierze. Przed wyjściem do biura powiedz Heldze, na którą chcesz obiad. O mnie się nie martw. Zobaczymy się za kilka dni. Kocham cię. Muszę polatać.

Freddy.

- Znalazłem to dzisiaj rano - wściekle oznajmił Tony. - Szlag mnie

trafia.

- Czy zauważyłeś, że dwukrotnie powtarza się „proszę”? Cholernie miło z jej strony. Co miała na myśli pisząc, że: „musi polatać”?

- Chętnie podzieliłbym się z tobą wiedzą, gdybym tylko ją posiadał.

- Czym poleciała?

- Żadnym z naszych samolotów. Zacząłem od sprawdzenia. Może namówiła kogoś, żeby jej pożyczył - odparł kwaśno Tony.

- Albo ukradła - zamyślił się Jock.

- W Anglii nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego... mowy nie ma. Tak się zabrać cichcem... nie do przyjęcia! To na pewno wina tego pierdolonego miejsca! Od kiedy postawiła stopę w Kalifornii, jest jak nie ta sama. Nie potrafię tego dokładnie wyrazić, ale zachowuje się jakoś inaczej. Jakby miała na własność cały ten zafajdany świat. Jezu, z jaką chęcią sprawiłbym jej lanie!

- Brenda boi się jej jak cholera. Mówi, że Freddy wpędza ją w piekielny nastrój.

- Brenda nie jest taka głupia, na jaką wygląda.

- Co ty mówisz, Tony, jest głupia jak but.

* * *

W wynajętym szybkim, sportowym samolocie Freddy zatrzymała się kilkakrotnie w Dolinie Imperial na pustyni Kolorado, najbardziej wysuniętym na południe rolniczym terenie Kalifornii z wielkimi farmami, potem skierowała się na północ, ku wilgotnym ziemiom w delcie rzeki Sacramento, gdzie szparagi i pomidory dojrzewały przez dziesięć miesięcy w roku, następnie skoczyła do Salinas z dziesiątkami tysięcy żyznych hektarów dookoła, pognęła do Fresno po figi i winogrona, a po drodze

wiele razy lądowała w hrabstwach Imperial, Kern i Tulare, najbogatszych rolniczych regionach kraju. Wszędzie przelatywała nad farmami i sadami, które od czasu, gdy je ostatnio widziała, jeszcze się rozprzestrzeniły i dawały większe zyski.

Kierowała się cudownie kapryśnym planem lotu, zależnym jedynie od zachcianek i nastroju. Włóczyła się po niebie, przechodziła do lotu koszącego, podrywała samolot w górę, opadała, zataczała kręgi w tańcu przenoszącym samolot z jednego końca stanu w drugi. Póki miała paliwo, nie zawracała sobie głowy obliczeniami, a nawigację opierała na instynkcie, pamięci i zmiennej, chaotycznej, samowolnej fantazji. Śpiewała pod nosem, ciesząc się że może robić, co jej się żywnie podoba, znowu zatraciła się w szale latania bez przepisów i regulaminów, latania w ferworze wolności, latania które porzuciła siedem lat temu, znowu ogarniała ją ochota do zuchwałych przygód, do igrania z wiatrami, niebem, chmurami i przestrzenią. Przestrzenią! Boże! Jak brakowało jej przestrzeni w Anglii. Korytarze ATA były tak wąskie, że dostarczając samolot przeciskała się jak wąż przez labirynt, za to Kalifornia budziła ekstazę lśniącej, bezkresnej, płynnej przestrzeni, tej przestrzeni, która ponownie należała do niej. Jak mogła żyć tak długo bez widoku horyzontu? Jak wytrzymała, jak wmówiła sobie, że coś jest w stanie zastąpić wzniosłe zadziwienie niebem?

Gdziekolwiek dostrzegała zabudowania w sercu olbrzymiej farmy, kręciła kilka widowiskowych pętli, dodawała parę zawrotów i mrozących krew w żyłach świec, oznajmiając własne przybycie, potem elegancko lądowała na zapełnionym do połowy parkingu albo, gdy było to niemożliwe, na polu, w warunkach które każdy z pilotów ATA uznałby za

śmiesznie łatwe.

Idąc lekko kołyszącym krokiem do biura w poszukiwaniu szefa, brała ze sobą notatnik o bardzo urzędowym wyglądzie i piękne, nowe pióro Parkera z solidną złotą stalówką. Nosiła uniform złożony z części dawnego umundurowania: schludnej spódniczki ATA i niebieskiej koszuli RAF-u, wkładanej bez krawata i rozpiętej prawie po stanik. Nad prawą pierśią na koszuli miała naszyte dziesięciocentymetrowe skrzydła. Łatwopalne włosy zaczesywała wygodnie do tyłu i z oszukańczą nobliwością ściągała na karku, gdzie wymykały się jak mogły spod całkiem do nich niestosownej aksamitnej kokardy. Skróciła spódnicę o zwracające uwagę dziesięć centymetrów i ściągnęła ją ciasno czerwonym, skórzanym pasem. Sznurowane buty ATA i czarne pończochy zamieniła na nylony i parę czerwonych pantofli na najwyższym obcasie, jaki mogła znaleźć w Los Angeles. Jeśli zdarzyło się, że szefa nie było w biurze, zjawiał się bardzo szybko, zaalarmowany wieścią o gościu.

Przez cztery dni zdołała wzbudzić ciepłe uczucia i podziw największych ekspedytorów ziemiopłodów w najważniejszym rolniczo regionie świata. Oznajmiała im, starając się mijać z prawdą w możliwie delikatny sposób, że powstała znacząca firma transportowa. Rozsądnie i często powoływała się przy tym na kadry, rekrutujące się głównie z pilotów amerykańskiej eskadry „Orzeł”, co do jednego bohaterkich Nielicznych, którym Wszyscy zawdzięczali Tak Wiele. „Orły” mogą przetransportować całą produkcję farm, mówiła zainteresowanym mężczyznom, pochylając się do przodu tak, że materiał koszuli opinał się na piersiach, a zapal przekonywania omal nie sadzał jej na kolanach rozmówcy. Notatnik zaczynał pęcznieć od potencjalnych zamówień,

zapisków o cennych faktach i ważnych osobistościach, a także od informacji o hurtownikach w największych miastach całego kraju, którzy hałaśliwie domagają się kalifornijskich owoców, warzyw i kwiatów nadających się do sprzedaży po słonych cenach, dość wyśrubowanych, by pokryć nisko skalkulowany koszt transportu samolotem.

Po nawiązaniu przez „Orły” odpowiednich kontaktów sam tylko wygłodzony rynek kwiatowy Nowego Jorku, uzależniony od szklarni, może wchłonąć co tydzień nieprzeliczone tony świeżych ciętych kwiatów, stwierdziła Freddy, siedząc w kawiarni na lotnisku w Santa Paula przed ostatnim, krótkim etapem lotu, który miał się skończyć w domu. Medytowała nad dwoma kawałkami ciasta brzoskwińowego, ile ton świeżych brzoskwiń udałoby się sprzedać w Chicago. A gdyby na przykład Van de Kamp przerobił je tutaj na ciasta, to ile zapłaciłaby za taki towar w środku zimy sieć piekarni na wschodnim wybrzeżu? Ile ciast brzoskwińowych można załadować do samolotu, nie uszkadzając ich? Daj spokój wszystkiemu, co pieczone, ty tępa babo! - zreflektowała się. Kiedy się tego nauczysz? Ale wobec tego, jak załadować brzoskwinie nie obijając ich? Jak ładować winogrona, truskawki, delikatną sałatę, świeżego łososia z zatoki Monterrey? Jak ładować storczyki? „Orły” miały wszelkie szanse zmienić wygląd bukietów, przypinanych do sukien na balach w college'ach.

To są wszystko wtórne problemy, powiedziała sobie radośnie, wyciągając od właściciela kawiarni przepis na ciasto. Niech Tony i Jock martwią się o szczegóły. Powinni być bardzo rozemocjonowani, kiedy wróci z mnóstwem informacji... bezwzględnie jednak musiała polecieć na tę wyprawę sama. Jej mąż latał przez całą bitwę o Anglię, prawda, ale

czcigodny Antony Wilmot Alistair Longbridge nie miał w sobie nic z Jankesa. Jock był amerykański jak całonocna partia kości, ale akurat w bitwie o Anglię prawie nie latał, toteż mieszałoby jej szyki, gdyby musiała... wszak tylko odrobinę... koloryzować zasługi wspaniałych kadr pilotujących samoloty „Orłów”, mając tych dwóch jako słuchaczy. A już nie daj Boże, żeby próbowali się odezwać.

* * *

- Gdzie jest nowa Brenda? - krzyknął zdesperowany Jock, przyciskając do piersi dwie słuchawki telefoniczne, żeby nie usłyszał go żaden z właścicieli winnic, którzy jednocześnie próbowali z nim rozmawiać. - Potrzebuję tu pomocy, szybko!

Freddy, uwięziona za własnym biurkiem, skąd tłumaczyła trzem rozczarowanym, choć jeszcze chętnym byłym pilotom bombowym, że dwieście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie stanowi tymczasem szczyt możliwości „Orłów”, odkrzyknęła ponad ich głowami:

- Wczoraj wymówiła. Nie miałam jeszcze czasu znaleźć następnej. - Poirytowana zastanawiała się, dlaczego właśnie ona ma czuć się w obowiązku wynajdywania raz po raz nowej Brendy. Odkąd oryginał złamał ostatni paznokieć i wyniósł się rozsłochany i wściekły na wrogi, spiskujący los, kierownik biura zmieniał się cztery razy. Brendy nie znajdowały nic twórczego w historii, Brendy nie umiały opanować paniki, a tymczasem wyprawa Freddy ściągnęła lawinę przedwczesnych życzeń od klientów, których powinno obsługiwać pół tuzina kompetentnych urzędników.

- Kto przyjmuje telefony w poczekalni? Dochodzą stamtąd dźwięki zabawy sylwestrowej - powiedział Jock z obłędem w oczach. -

Przysięgłbym, że słyszałem głos Annie.

- Święta prawda, panie pułkowniku. Helga odbiera, a Annie jej pomaga.

- Gdzie jest Tony, na miłość Boską? - wrzasnął Jock.

- Pan pułkownik znajduje się w drodze powrotnej z Newark. Dostarczył tam trzy i pół tony goździków. Pułkownicy Levine i Carletti dostawili truskawki i pomidory do Detroit i Chicago. Także lecą z powrotem.

- Coś radosnego? - spytał Jock słowami, których piloci RAF-u używali po ataku, dowiadując się od kolegów, czy zestrzelili samolot nieprzyjaciela.

- Nic - odparła zwięźle Freddy, co oznaczało, iż żaden z trzech pilotów nie zdołał wynaleźć ładunku na drogę powrotną. Było to podstawowe zadanie, którego niespełnienie pochłaniało zysk z dostawy. Do Los Angeles wracało trzech „luzaków”. Poza „katastrofą” nie było w tym interesie gorszego słowa.

- Przyjaciele, czy moglibyście zaczekać chwilę na zewnątrz? - spytał Jock pilotów, którzy z zainteresowaniem śledzili rozmowę. - Muszę się szybko naradzić ze współnikiem.

- Nic z tego nie będzie - powiedział zdenerwowany do Freddy, kiedy pokój opustoszał.

- Jak możemy jednocześnie odrzucać zamówienia i ponosić straty? Jak długo twoim zdaniem to się może tak kręcić? Siedzimy tutaj przywaleni toną papierkowej roboty, chociaż według pierwotnego pomysłu my troje mieliśmy latać bez pensji. Te twoje Brendy rozplývają się z dnia na dzień. Nie zatrudniliśmy jeszcze dość mechaników. Gotowy

ładunek dojrzałych brzoskwiń czeka w Bakersfield na transport... czy masz choćby mgliste pojęcie, kiedy zaczniesz się psuć? Nie mogę wysłać żadnego dodatkowego samolotu, mając tylko trzech pilotów, a dzisiaj dostałem zamówienia na dostawę trzech ładunków jutro. Cholera! Ja i moje wspaniałe pomysły! Za kilka tygodni skończą się pieniądze na wypłaty. Będziemy mieli długi!

Freddy odchyliła krzesło do tyłu, przyjmując niemal poziomą pozycję, zarzuciła na biurko zgrabne nogi w czerwonych pantoflach, podciągnęła spódnicę kilka centymetrów powyżej kolan i założyła nogę na nogę. Sprawiała wrażenie, jakby milcząco radziła się sufitu. Jock tymczasem gwałtownie bębnił palcami po biurku, wyczekując odpowiedzi. Freddy poszperała w torebce, wydobyla kosmetyczkę i ostrożnie nałożyła na usta świeżą warstwę jaskrawoczerwonej szminki. Z aprobatą przyjrzała się własnemu obrazowi. Potem energicznie spuściła nogi na ziemię i lekkim, wdzięcznym krokiem skierowała się do drzwi.

- Nie możesz mnie tu zostawić! Co ty sobie, do cholery wyobrażasz? Znowu chcesz gdzieś polecieć? To nas na pewno wykończy!

- Pułkowniku Hampton - powiedziała Freddy z wypracowanym, perfidnie powabnym uśmiechem. - Zdecydowanie musi się pan uspokoić. Bardzo mi się nie podoba ten stan rozkojarzenia. Dostanie pan wrzodów. Trzeba ćwiczyć głębokie oddechy... Myśleć o miłych rzeczach... nawet pański umysł musi być niekiedy zdolny do dobrych myśli. Źle wyglądasz, kochany - zanuciła, mierzwiąc mu włosy i ciągnąc go za uszy. - Czy pan się odpowiednio odżywia, pułkowniku? Należy dostarczać organizmowi dość witamin. Już wiem, może pan zjeść lunch Annie... chrum, chrum, chrum, grzecznie do końca. Ja ją zabiorę ze sobą i nakarmię.

- Naprawdę wychodzisz? - spytał niedowierzająco, rozwścieczony do granic możliwości. - Kurwa, nie wierzę!

- Helga się tobą zajmie. Idę... kupić norki.

- Dziwka, dziwka, dziwka! - ryknął Jock w chwili, gdy dwa telefony na jego biurku i dwa na biurku Freddy zadzwoniły jednocześnie. - Teraz wiem, dlaczego nie pozwoliłaś mi wykitować, kiedy miałaś okazję. Ratowałaś mnie, żeby dokonać mordu osobiście!

- Czy nie masz napadu lekkiej paranoi? Nawet cię wtedy nie znałam - słodko powiedziała Freddy i miękким ruchem zamknęła za sobą drzwi.

Jock wsłuchiwał się w dzwonki telefonów, nawet nie próbując zareagować. Pokręcił blond głową, a w jego niepokornych rysach odmalowała się konsternacja. Dlaczego nagle poczuł się tak cholernie samotny? Dlaczego wydawało mu się, że go porzucono? „Lekka paranoja”? Modlił się, żeby diagnoza była tylko taka. Na lekką paranoję zgodziłby się bez zastrzeżeń.

* * *

Znajome biuro Swede'a Castellego było jak zawsze pełne modeli samolotów, fotek i pamiątek z lotów, ale Freddy nie pamiętała, żeby kiedykolwiek Swede miał w sobie tak mało pogody. Jej niespodziewane odwiedziny powitał z zachwytem, radośnie poderwał Annie z ziemi, spod wesołej powłoki przebijał jednak smutek.

- Dobrze, młoda damo, teraz usiądź tutaj - odezwał się do Annie.

- Och, nie jestem damą - odpowiedziała Annie poważnie. - Babcia Penelope jest baronową, babcia Eve wicehrabiną, ciocia Jane ma narzeczonego markiza, co oznacza, że któregoś dnia zostanie księżną, ale ja jestem po prostu małą Annie.

- O, biedulka. To krzycząca niesprawiedliwość. Może kiedyś przyjedzie po ciebie książkę.

- Jaki książkę? - zainteresowała się Annie.

- Córeczko, czy nie chcesz pobawić się modelami samolotów? - pospiesznie włączyła się Freddy.

- Wolałabym porozmawiać z panem Castellim, mamo.

- Później - odpędziła ją Freddy.

- Już się zastanawiałem, kiedy dojrzejesz do złożenia mi wizyty. Przecież wróciłaś kilka tygodni temu - powiedział Swede z łagodnym wyrzutem.

- To zbyt skomplikowane Swede, staruszkule. Nie podejmuję się wyjaśnień.

- Nie zwracaj sobie głowy. Umiem sobie wyobrazić, aż za dobrze. Pamiętasz te lata, kiedy tak nas zajmowało aranżowanie układów akrobatycznych, że prawie sypiałem w biurze? A pamiętasz, jak robiłaś film po filmie, nie pozwalając sobie nawet na weekend przerwy, zresztą podobnie jak wszyscy? A pamiętasz ten wspaniały mały interes, który prowadziłem? Koniec z tym, Freddy. Nikt już nie kręci filmów, do których potrzeba samolotów. Podczas wojny był duży ruch, robiło się wiele filmów o lotnictwie wojskowym. Ale teraz? Trzeba o tym zapomnieć. Przyszedł czas stawiania płotków wokół domków otoczonych różami, czas kwitnącej miłości i już nikt, ani jedna wytwórnia, nikt niczego nie chce od tego poczciwego, szalonego błękitu w górze. Siedzę tutaj i po prostu gapię się po ścianach marząc, żeby zadzwonił telefon. Od miesięcy nie wystawiam stąd nosa. Chyba będę musiał zlikwidować interes.

- Czy jest aż tak źle, Swede? Bardzo mi przykro.

- Albo aż tak dobrze, to zależy. Nigdy nie podejrzewałem, że mając dużo pieniędzy można mieć tak mało przyjemności. Coś tu nie gra. - Przygnębiony opadł na krzesło.

- Dużo pieniędzy? Bez roboty? Jak to możliwe?

- Do licha, długo cię nie było! Podczas wojny wszyscy robili pieniądze, a do niektórych fortuna się przykleiła. Na przykład do mnie. Wszystko, w co inwestowałem, obracało się w złoto. Zrobiłem się bogaty, malutka, naprawdę bogaty. Wyraźnie mam żyłkę do pieniędzy. Kłopot polega na tym, że nie jestem typem lubiącym siedzieć i przyglądać się forsie. Chciałbym, żeby było w tym trochę przyjemności, chociaż zdaje się, że nie wolno mi narzekać. Swoją zabawę miałem.

- To znaczy, że przychodzę w porę - powiedziała Freddy. - Mam dla ciebie zajęcie! Uniósł brwi.

- Gdzie? Przecież nie w twoim przewozowym interesie? Freddy, czy masz pojęcie, ile takich malutkich firm powstało i rozsypało się w Los Angeles przez ostatni rok? Setki.

- Wiem o tym. Okazuje się, że nie tylko Jock Hampton wpadł na pomysł transportowania towarów samolotem. Ale kilka firm przetrwa, do nich należy przyszłość. „Orły” będą jedną z tych firm.

- Skąd ta pewność?

- Bo ja tak mówię.

- Ta sama, stara Freddy. Rozstawiająca po kątach, nieprzejednana, zawzięta, uparta jak muł, apodyktyczna... Gdybyś nie była tak cholernie ładna, nikt by z tobą nie wytrzymał - westchnął Swede.

- Potrzebujemy cię, Swede.

- Do czego? Nie widzę się w roli kogoś śmigającego z ładunkiem,

nawet jeśli jakiś zdobędziesz. Jestem na to za stary i za bogaty. Prawdopodobnie również za gruby.

- Chodzi o to, żebyś organizował pracę. Nasz problem polega na tym, że za dużo spraw zważyło się zbyt szybko. Mamy sześć telefonów dzwoniących bez przerwy przez cały dzień. Naprawdę świetna robota. Dokładnie w twoim guście, Swede, zawsze cię to cieszyło. Wyprowadzając nasz interes na prostą, odzyskasz radość życia... prawie ci zazdroszczę. Najpierw musisz zdecydować, ile jeszcze samolotów powinniśmy wynająć i ilu pilotów zatrudnić, bo jeżeli nie przyjmujemy zleceń, którymi nas teraz obrzucają, to weźmie je ktoś inny. Potem musisz rozwiązać problem ładunków powrotnych... zadanie na wczoraj. Trzeba też znaleźć człowieka, który zajmie się konserwacją i naprawami samolotów. Musisz także natychmiast zatrudnić pomoc w biurze, przyjrzeć się stawkom za czartery do różnych miast...

- To wszystko? - Swede przestał spoglądać ponuro. Usiadł prosto.

- To zaledwie początek. W wolnych chwilach będziesz mógł też odbierać telefony, ale wolnych chwil z pewnością nie będziesz miał za dużo.

- Skąd są na to pieniądze?

- Parę dolców jeszcze mi zostało. Poza tym oczywiście jako przewodniczący zarządu będziesz musiał się czymś wykazać, skoro, jak mówisz, wszystko czego dotkniesz obraca się w złoto. No i narobimy wokół siebie dużo szumu.

Castelli spojrział przenikliwie na Freddy. Ten dzieciak porywał się na słońce nawet bez motyki. W tym nastroju Freddy byłaby gotowa wyskoczyć z samolotu nie mając spadochronu i zacząć latać o własnych

siłach... Swede nie wątpił, że potrafiłaby. Do diabła, nie umiał się jej oprzeć, zresztą w swoim czasie zarobił dzięki niej dużo pieniędzy. Co czekało go w najgorszym razie? Strata pewnej ilości nie przynoszących radości dolców. Za kilka dzwoniących telefonów zaryzykowałby o wiele więcej.

- Do diabła... zapisz mnie do tego interesu. Potrzebuję kilku dni na zwinięcie spraw tutaj...

Freddy objęła go i wycalowała z dubeltówki.

- Nie pożałujesz, obiecuję. Och, Swede. Zobaczysz, jak ci się spodoba. Nie mamy nic oprócz problemów! - Podniosła tabliczkę z napisem „Zaraz wracam” i potrząsnęła nią w zamyśleniu. - Postawiłam wóz na dole, blokując wyjazd. Rusz się, Swede, powinniśmy się stąd zabrać, zanim wlepią mi mandat za parkowanie. A w ciągu godziny muszę polecieć z transportem brzoskwiń do Nowego Jorku. Kiedy wrócę, pomogę ci przejąć władzę.

Oszołomiony był kaskader opuścił biuro za Freddy, która wypadła z niego klusem, z Annie tuptającą u boku. Dopiero w pół drogi do Burbank zorientował się, że Freddy nie dostałaby mandatu na parkingu wytwórni, ale przedtem był zbyt rozemocjonowany, żeby zwrócić na to uwagę.

* * *

Najgorsze w nowej kolekcji Diora jest to, że nogi są zakryte powyżej kostki, pomyślała Freddy, wdzięcznie wyslizgując się z buicka. Kreacja podkreślała za to jej wąską talię i tworzyła przesadne wyobrażenie o biodrach oraz piersiach. Ale nogi, panie Dior, niech pan na nie zwróci uwagę, właśnie nogi mącą w umysłach mężczyzn. Chociaż, jeśli przemyśleć sprawę, to gdy kobieta leży już w łóżku i chce się kochać, z

nóg jest niewiele pożytku. Można je owinać wokoło faceta, ale jeśli nie jest on fetyszystą uwielbiającym kolana ani oryginałem znajdującym upodobanie w udach, to cóż po nogach?

Szła powoli, świadoma starannie wypracowanego rusztowania pod niezwykle modnym, ciasno zapiętym żakietem z naturalnego, jedwabnego szantungu i zestawioną z nim bardzo obszerną szantungową spódnicą. Przy ciele Freddy miała tiulowy gorset, służący również jako stanik bez ramiączek i sprawiający oszukańczo wątle wrażenie, podczas gdy w rzeczywistości garderoba ta była obdarzona własną, niezłomną wolą, czerpaną z dziesiątek wąskich fiszbinów ukrytych w warstwach tiulu, które obejmowały kobietę niczym pas cnoty, sięgając od piersi aż poniżej bioder. Potem szły krynoliny różnej grubości, nadające spódnicy pożądane rozmiary. Sama spódnica miała trzy warstwy, pierwszą tiulową, drugą z czystej organdy i ostatnią z jedwabnego ponge, żeby pozostałe nie darły pończoch. Freddy zastanawiała się, czy jej babce zdarzało się, że strój ją tak formował, obciskał i ograniczał. Głęboki oddech kosztowałby ją prawdopodobnie tuzin guzików. Sięgnięcie ręką ponad głowę w ogóle nie wchodziło w grę. Powinna była się cieszyć, że jeszcze może zgiąć ręce w łokciach. Pozostawało jej jedynie dreptanie i drobne ruchy, bez żadnych skoków ani koziółków.

Taką cenę płaciło się za elegancję w roku 1949 i Freddy rozumiała, dlaczego sam Dior podczas pierwszego tournée po Stanach Zjednoczonych we wszystkich miastach spotykał tłumy rozwścieczonych kobiet z transparentami „Christian Dior do domu!”, a nawet „Diora na stos!”. Kiedy odkryła, że poza jego Nowym Stylem nie ma innych modnych sposobów ubierania się, poddała się, acz niechętnie, ale kapeluszcowi

powiedziała stanowczo „nie”. Odkąd przestała chodzić w mundurze, nie nosiła nakrycia głowy, i nie miała zamiaru zmieniać tego przyzwyczajenia. Poprzedniego dnia drogi fryzjer starannie przyciął jej włosy, wymodelował je, ułożył i uczesał, ale już po dwudziestu czterech godzinach na fryzurze nie pozostał nawet ślad tych usiłowań, odzyskała własny, trudny do przewidzenia i do nazwania kształt, stała się mieszaniną fal, loków i kędziorów, nachalną lecz przynajmniej swojską.

Freddy z dezaprobatą pokręciła głową, myśląc o nieposłuszeństwie włosów wobec mody. Jej głowa wyglądała jak olbrzymia lśniaca dalia z miedzi, drżąca w słonecznym świetle.

- Pani Longbridge? Frontowe drzwi są tam, proszę bardzo - powiedział Hal Lane, pośrednik w handlu nieruchomościami, usiłując zachęcić ją do wejścia. Już drugi dzień przedstawiał jej oferty i wciąż jeszcze trudno mu było uwierzyć, że w odróżnieniu od innych klientek, ta sprawia wrażenie, jakby kupno domu było ostatnią sprawą, która zajmuje jej myśli. Najważniejsze dla niego było jednak to, że żonę Antony'ego Longbridge'a bezwzględnie czekała przeprowadzka. Nie zawracała głowy dla samej przyjemności oglądania, jak robiło wiele kobiet, marnujących jego czas. Musiała przecież wyprowadzić się z tej rudery, którą wraz z mężem wynajęli przed trzema laty. Mieszkanie w takim odrapanym, ciasnym domu nie przystawało po prostu do dwojga współwłaścicieli największej firmy w kraju zajmującej się transportem powietrznym. Nawet jeśli nie brać pod uwagę ich własnej wygody, to przecież nie mogli podejmować tam gości. Jak wyobrazić sobie zapraszanie ludzi na obiad do miejsca wyglądającego gorzej niż najtańsza gospoda? Jego zdaniem Longbridge'owie poważnie spóźnili się z szukaniem czegoś

odpowiedniego dla ich pozycji. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego czekali aż tak długo.

- To jest chyba jedna z najładniejszych posiadłości w Hancock Park - oznajmił Hal Lane, gdy zbliżali się do frontowych drzwi. - Nawiązuje stylowo do budownictwa europejskiego.

Freddy oderwała wzrok od koronki, którą dotąd kontemlowała ze zmarszczonym czołem. Niespodziewanie przystanęła na chodniku.

- Panie Lane, powiedziałam wczoraj, że mam tylko dwa dni na szukanie domu, i ostrzegłam, że nie ma mowy o żadnej podrabianej angielszczyźnie. Dlaczego marnuje pan mój czas?

- Ale... ale to nie jest podrabiana angielszczyzna, pani Longbridge, to prawdziwa... och... królowa Elżbieta. Proszę poczekać, aż obejrzy pani wnętrze. Zobaczyć taką łazienkę i umrzeć.

- Widzę tu drewniany szkielet, paskudne czerwone cegielki, małe szyby, przez które prawie nie przenika światło. Przykro mi, ale wchodzenie nie ma sensu, panie Lane. - Spojrzała na zegarek. - Mamy jeszcze sześć godzin.

Ech, pomyślał, pomagając jej wsiąść z powrotem do buicka. Może i dobroduszną szcziotką, która chce się pogapić, byłaby mimo wszystko lepsza? Czemu tej się tak spieszy? Przebiegł szybko po wykazie i wyeliminował połowę pozycji, gdyż pani Longbridge bez wątpliwości nie była dość wyszkolona w niuansach języka nieruchomości, by rozumieć, że w Los Angeles dom w stylu angielskim, najlepiej Tudorów, budzi natychmiastowy szacunek i od razu nadaje odpowiedni status. Zapalił silnik w swoim nowym wozie.

Freddy siedziała z tyłu, nawet nie patrzyła na wysadzone drzewami

ulice z jaskrawymi zimowymi kwiatami i spryskiwaczami igrającymi na trawnikach w ten listopadowy dzień. O wyprowadzeniu się z ciasnego domku w Burbank myślała z mieszanymi uczuciami. Tyle się w nim zdarzyło. Nigdy nie zapomni tych podniecających, szaleńczych dni, które nastąpiły, gdy Swede Castelli przejął kierownictwo biura i w środku najgorszego kryzysu mieszkaniowego po wojnie zaangażował piętnastu nowych pilotów. W przerwach między lotami polowali oni na przyczepy lub motele, do których mogliby sprowadzić rodziny, a tymczasowo rozkładali się pokotem na podłodze w salonie u Longbridge'ów, z wyjątkiem szczęśliwca, który dostał się do łóżka Helgi. Każdego wieczoru wolnego od latania, Freddy dusiła dla nich olbrzymie porcje mięsa. Annie była odpowiedzialna za mleko, ciastka i papierowe serwetki, Tony trzymał pieczę nad barkiem, a Jock zawiadywał pokerem.

Tak wyglądały pierwsze dni transportowej wolnoamerykanki. Była tragedia trzech samolotów wypełnionych żywymi homarami z Maine, które, na ile udało się wyjaśnić, zdechły z przerażenia podczas burzy. Były dreszczyki emocji podczas dostarczania setek transportów sukienek i bluzek, które wysyłane z fabryk przy Siódmej Alei, sprzedawały się na pniu, dotarły do celu bez najmniejszego zagniecenia, a to dzięki wieszakom z ramiączkami, pospiesznie zainstalowanym w samolotach. Co tydzień leciały ich maszynami nakłady magazynów *Life* i *Time*, do których stopniowo dołączyło także kilkanaście innych poczytnych tytułów.

Przewozili „drogich nieodżałowanych”, jak wśród „Orłów” zwano liczne starannie zapakowane w skrzynie ciała nieboszczyków, transportowane do rodzinnych miast, gdzie wkładano je do trumny i urządzano należyty pogrzeb. Zdarzały się na pokładzie konie wyścigowe,

które po podróży samolotem dochodziły do siebie o wiele szybciej niż po długiej jeździe pociągiem lub ciężarówką, toteż piloci stawiali na nie całe swoje wypłaty. Najważniejsze okazały się jednak czartery.

Gdyby nie przewozili ludzi, żywych, oddychających ciał, nigdy nie związałyby końca z końcem, Freddy o tym wiedziała. Właśnie loty czarterowe pozwoliły im szczęśliwie przetrwać najwcześniejsze dni: miewali na pokładzie drużyny futbolowe, delegatów na konwencje wyborcze partii, chóry kościelne w drodze na konkursy, urlopowanych żołnierzy, studenckie grupy, cyrkowców z wszelkim możliwym inwentarzem, orkiestry dęte, zakonnice i pielęgniarki, które nie mogły czekać na rozwiązanie powojennych problemów transportowych. Zamienili samoloty DC-3 na czterosilnikowe DC-4, znaleźli odpowiednie składane siedzenia i odpowiedni lunch do przewożenia w pudełkach śniadaniowych, po czym po dziewięćdziesiąt dolarów od osoby zaczęli sprzedawać miejsca w samolocie grupom, które były gotowe pogodzić się z surowymi warunkami lotu, żeby tanio i bezpiecznie dostać się do celu, położonego najczęściej na drugim końcu Stanów.

Hal Lane zahamował przed domem z białymi kolumnami.

- Pani Longbridge, myślę że ta wspaniała rezydencja będzie naprawdę zasługiwać na uwagę.

- Boże litościwy - powiedziała Freddy - zupełnie jakbym wróciła do Tary.

- Tare skopiowano, ten budynek był pierwowzorem.

- Rzucę na niego okiem - powiedziała najradośniej jak umiała, dom znajdował się bowiem w promieniu zaznaczonym na mapie Lena'a i określającym maksymalną odległość od portu lotniczego, w jakiej Freddy

chciała mieszkać. Freddy przechodziła przez wielkie, puste pokoje, gasząc komentarze Lane'a tak machinalnie, jakby były warkotem silnika. Zastanawiała się, jak długo będzie musiała się przyzwyczajać do mieszkania na tylu metrach kwadratowych. Zaczęła od sypialni w małym domku Maca, potem było kilka kwater ATA dzielonych z Jane, z których przeniosła się do wygodnej sypialni i małego saloniku, danych do użytku jej i Tony'emu w Longbridge Grange, a potem do domku w Burbank. Czy mogłaby znaleźć tutaj tę przytulność, jaką miała podczas minionych dwudziestu dziewięciu lat?

Zastanawiała się, czy Jane miała ten sam problem, kiedy pobrała się ze swoim markizem, dostojnym Humphreym, i przeniosła się do antycznej siedziby Tudorów w hrabstwie Norfolk, majestatycznym skansenie feudalizmu. E, nie ma co się martwić, nie o Jane. Prawdopodobnie zamieniła połowę zamkowych pokoi w garderoby, a teraz, kiedy na podziw całej Anglii powiła dziedzica tytułu książęcego i znów majestatycznie paradowała w ciąży, niewątpliwie zarekwirowała całe skrzydło na pokoje dziecinne, pomieszczenia dla nianiek i pełnej uwielbienia służby wszelkiego rodzaju. Jane urodziła się do życia w zamku. Longbridge Grange było dla niej tylko początkiem drogi.

- Pani Longbridge, czy mogę zwrócić uwagę na tę toaletę? Nadzwyczajnie wyposażona. Jestem przekonany, iż ma pani świadomość, że gospodynię sędzi się po toalecie w tym samym stopniu, co po liście gości.

- Może zajrzemy do piwnicy - zaproponowała Freddy. Niechętnie sprowadził ją po zdradliwych schodach i patrzył, jak Freddy obchodzi piec, obdarza go kilkoma właściwie umiejscowionymi kopniakami, potem

rozpina żakiet i starannie sprawdza przewody prowadzące od pieca na górę.

- System ogrzewczy nie działa - powiedziała Freddy. - Przykro mi, ale nie jestem zainteresowana. Proszę wybaczyć, panie Lane. Co ma pan dalej na liście?

- Współczesną klasykę, początek pewnej linii rozwojowej. Coś mi mówi, że się pani spodoba.

Ten dom jest nowoczesny, ale chłodny jak biurowiec, mimo promieni słońca wpadających przez świetliki w dachu, uznała Freddy, refleksyjnie przyglądając się jednemu przytulnemu pokojowi, garderobie z cedrową boazerią. Ależ tu było miejsca. Może właśnie brak dostatecznej przestrzeni życiowej dręczył Tony'ego. Czy mogła to być choćby jedna z przyczyn, dla których stał się taki... odległy. Zastanowiło ją, kiedy po raz pierwszy zauważyła rosnący między nimi dystans. Czyżby nie zwróciła uwagi na początki rozdźwięku akurat w czasie kryzysu przedsiębiorstwa, dwuletniej bezlitosnej wojny na stawki z „Amerykańskimi Liniami Lotniczymi”? Wszyscy byli wtedy pochłonięci utrzymywaniem się na powierzchni, miesiąc w miesiąc tracili pieniądze i nikt nie miał czasu martwić się niuansami stosunków międzyludzkich, stwierdziła żałośnie Freddy. Co tydzień w piątek gigantyczna suma szła na wypłaty, mało czasu pozostawało na bycie rodziną.

Swede wpakował w „Orły” wszystkie swoje zasoby, ale pierwsze dwa lata udało im się przetrwać przede wszystkim dzięki opatrnościowemu kontraktowi z Zarządem Transportu Powietrznego na przewóz wojska z Kalifornii na Hawaje, Guam i do Honolulu. Kiedy Zarząd Lotnictwa Cywilnego działający z piekielną, zabójczą

powolnością, zakończył wreszcie wojnę na stawki w kwietniu 1948 roku, „Orły” należały do niewielu niezależnych firm w tej branży, które przetrwały z ponad dwóch tysięcy takich przedsięwzięć, podjętych przez weteranów po wojnie.

Freddy zamruwała, wychodząc z cedrowej garderoby i kierując się ku wyjściu.

- Dalej, panie Lane, dalej - powiedziała szeleszcząc w długim, surowym korytarzu pełnym kobiecym rynsztunkiem, czyli spódnicą z krynolinami. Następny dom był przyjemną budowlą w kolonialnym stylu, nie wywoływał poczucia zagrożenia. Freddy poświęciła mu maksimum uwagi, w tym samym czasie próbowała jednak uzmysłwić sobie chwilę, w której zorientowała się, że Tony nie tylko obsługuje barek podczas spotkań towarzyskich z pilotami, ale także co wieczór go podpira albo i ześlizguje się pod niego, nawet jeśli nie było gości.

Między 1946 i 1949 rokiem trwała przepychanka, znana pod nazwą sprawy frachtu lotniczego, podczas której „Orły” starały się wydostać od Zarządu Lotnictwa Cywilnego gwarancję wyłączności na określone trasy. Ta ostatnia i najważniejsza batalia firmy zakończyła się zwycięsko dopiero trzy miesiące temu, w sierpniu 1949 roku, a z trzynastu firm, które wystąpiły o tego typu gwarancję w roku 1946 tylko cztery poza „Orłami” dotrwały do dnia zwycięstwa nie bankrutując.

Kiedy, zastanawiała się Freddy, kiedy w czasie tych długich, pełnych napięcia lat bez centa zysku z ciężkiej pracy, bez dziesiątki na własne wydatki pomimo milionowych kontraktów, w której chwili tych lat, gdy wszyscy dawali z siebie wszystko, nierzadko najmując się do lotów czarterowych w innych firmach, Tony zaczął pić na umór. Na umór i z

desperacją, która przekraczała rozumienie Freddy. Jeszcze trzy miesiące temu los „Orłów” wisiał nie na włosku, lecz na jego dziesiątej części. Freddy nie mogła sobie przypomnieć pierwszego razu, kiedy musiała przyznać przed sobą, że jedyny sposób, w jaki Tony umie osiągnąć spokój i wyhamować wściekłość na Zarząd Lotnictwa Cywilnego, polega na wypiciu stanowczo zbyt dużej liczby drinków. Kiedy właściwie zdarzyło mu się pierwszy raz, że został w domu, zbyt mało zalany nie tylko by latać, lecz także by iść do biura. Przed rokiem? Dwoma laty?

Nic nie mogło zmienić jego wrodzonego uroku, ale z oczu Tony'ego dzień i noc biło teraz znużone oskarżenie, które wylażyło na wierzch, spychając w głąb dobroduszość, dżentelmeńską galanterię i poczucie humoru. Co gorsza, kiedy w końcu zebrali owoce własnych trudów, kiedy klientela zrobiła ich z dnia na dzień milionerami, Tony nadal pił ostro, może nawet bardziej niż przedtem.

- Daj spokój, Freddy, nie mówmy o tym - powtarzał za każdym razem, gdy próbowała poruszać ten temat, a piętno wspomnień, głęboko wyciśnięte w zamglonych oczach, powstrzymywało ją od nalegań.

- I jak się pani podoba? - spytał Hal Lane. Freddy zdjęła zakiet i przerzuciła go przez ramię, poluzowała strój w talii, otworzyła okno, podciągnęła do kolan wszystkie warstwy spódnicy, wspięła się na grzejnik, wychyliła się i wyciągnęła rękę daleko na zewnątrz. W kilka sekund później zeskoczyła z powrotem na podłogę, wymachując kawałkiem rynnny, który został jej w dłoni.

- Dach się do niczego nie nadaje - powiedziała. - Widać na pierwszy rzut oka, a nie wiadomo, jak bardzo zmurszałe jest drewno. Idziemy dalej, panie Lane. - Włożyła zakiet i skierowała się do wyjścia, po drodze

starając się obciągnąć bluzkę i wcisnąć ją za pasek.

Po krótkiej chwili buick znowu przystanął.

- Posiadłość z ogrodem, ostatnio odnowiona od góry do dołu. Bajeczna nieruchomość.

- Mam nadzieję - westchnęła Freddy, niecierpliwie zdążając w jej kierunku. Dom nie udawał angielskiego, co przemawiało na jego korzyść, ale był za to zbyt francuski. Freddy musiała jednak uczciwie przyznać, że nie zgłaszała pośrednikowi zastrzeżeń przeciwko takiemu wyglądowi, o czym przypomniała sobie już w środku. Fałszywa francuszczyzna nie budziła w niej równie gwałtownego sprzeciwu, co u Tony'ego absolutnie znienawidzony podrabiany styl angielski.

- Proszę spojrzeć na te schody. Perła architektury wnętrz - powiedział Lane. - Pani ma córkę, prawda? Proszę sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać, schodząc z tych schodów w ślubnej sukni. Tę całkowicie wyjątkową rezydencję projektowano z myślą o weselach.

- Annie ma dopiero siedem lat - powiedziała Freddy.

- Och, w takim przypadku przejdźmy może do pokoju wypoczynkowego z barkiem.

- Berek w Petit Trianon? I co jeszcze, panie Lane?

- Mimo wszystko jesteśmy w Kalifornii, pani Longbridge. Barki, pokoje wypoczynkowe, eleganckie toalety, grupy pokoi z oddzielnymi garderobami i łazienkami dla pana i pani są tu na porządku dziennym.

- Skoro pan tak uważa... Gdzie jest kuchnia? - Freddy wetknęła głowę do piekarnika, zbadała lodówkę i przyjrzała się spływowi wody ze zlewu. - Pójdę pospuszczać wodę. Może się pan nie trudzić chodzeniem ze mną. - Wróciła po trzech minutach. - Kanalizacja do generalnego remontu.

Szkoda, że nie załatwiono tego przed wymalowaniem fresków w wygódce.

- Może powinniśmy się zająć oglądaniem wyłącznie nowych nieruchomości - parsknął pośrednik. - Przynajmniej uniknęlibyśmy w ten sposób drobnych usterek konstrukcyjnych.

- Wątpię. Współczesne budownictwo nie dorównuje przedwojnemu. Teraz robi się wszystko na chybcika.

Freddy obejrzała jeszcze replikę bawarskiego domku myśliwskiego, willę w stylu Palladia i fantazyjną budowlę mauretańską, metodycznie sprawdzając wszystkie instalacje, podczas gdy Hal Lane w milczeniu ścisnął jej żakiet. Nigdy nie widział, żeby kobieta wczołgiwała się i wspinała w takie miejsca. Freddy bezceremonialnie przytrzymała jedną ręką szeleszczący ogon sukni i dobierała się do najróżniejszych urządzeń, kopiąc, badając wzrokiem, unosząc elementy, opukując, przyciskając i obracając, pośrednik tymczasem stwierdził, że dziwnie nie może sobie wyobrazić tej kobiety mieszkającej wraz z Tonym, Annie, Helgą i jeszcze nieznaną służbą w jednym z tych miejsc.

Freddy przypomniawszy sobie, że ma ostatni dzień na podjęcie decyzji. Resztę tygodnia miała poświęcić dziennikarzowi i fotoreporterowi z magazynu *Life*, którzy przyjechali z Nowego Jorku napisać duży artykuł o „Orłach”. Przez lata walki o utrzymanie się na powierzchni „Orły” zawsze miały silne poparcie prasy, za biegano zresztą o nie, ponieważ było równoznaczne z rozwojem interesów.

Dziennikarze koncentrowali się zwykle na Freddy: była przecież kobietą w świecie mężczyzn, miała trofea w zawodach samolotowych, przeszłość kaskadera w Hollywoodzie i nosiła z domu nazwisko Lancel. Czy możliwe, żeby Tony'ego wyprowadzało z równowagi to, że żona

ściąga na siebie tak wiele uwagi? Freddy zastanowiła się nad tym przez chwilę, po czym oddaliła myśl i już do niej nie wróciła. Bo przecież taka małostkowość byłaby zupełnie nie w jego stylu. Czyżby irytowało go, że w majestacie prawa jest milionerem, a przecież nie ma do wydania ani trochę własnej gotówki? Czyżby dręczył go ten formalny szczegół? Freddy nie wierzyła, żeby w tym tylko należało szukać przyczyn jego pijaństwa.

Kiedy dowiedzieli się o zwycięstwie, Jock poszedł się zabawić i przepuścił w pokera dziesięć tysięcy dolarów... musiał chyba starać się, żeby przegrać. Swede poleciał do Tijuany i przepadł na tydzień. Freddy udała się do Bullocka i zamówiła tuzin nowych sukienek oraz dwadzieścia par butów... Tony natomiast nie zrobił niczego szczególnego, poszedł po prostu do ogródka za domem i opróżnił prawie całą butelkę whisky, tak pochłonięty sączeniem kolejnych szklaneczek, że nawet Annie nie mogła przyciągnąć jego uwagi.

Freddy również wyszła z domu, nałała sobie drinka i wyciągnęła się obok na leżaku, od czasu do czasu rzucając spojrzenie na męża, zupełnie nie dostrzegana przez Tony'ego, który w głębokim smutku przyglądał się długiemu zachodowi słońca w gorący, sierpniowy wieczór. Smukły kształt jego głowy odznaczał się zwykłą szlachetnością, kalifornijski luz nie naruszył brytyjskiej godności, a zmiana dotyczyła czegoś o wiele głębszego. Kiedy Freddy spotkała go po raz pierwszy, Tony był bezdyskusyjnym panem tych przełomowych chwil, od których zależał dalszy los świata. Teraz było już wiadomo, że właśnie dzięki myśliwskim pilotom RAF-u, takim jak choćby Tony, Hitler nie miał cienia szansy na wygraną wojny. W tamtych dniach żaden z nich nie myślał jednak w

kategoriach historycznych, zbytnio zajmowała ich walka o przeżycie jeszcze jednego dnia, a przecież Tony był uosobieniem pewności siebie. Żył najczystsza odwagą, radością, zręcznego wojownika, poczuciem niepodzielnej władzy na niebie, poświęceniem wielkiemu i niebezpiecznemu, lecz z satysfakcją wykonywanemu obowiązkowi.

Ale teraz? Gdzieś uleciała jego energia, niemal zanikło poczucie celu i nic nie zajęło ich miejsca. Był urodzonym wojownikiem, który nie widzi wroga, gladiatorem bez oręża, dowódcą bez oddziałów. Freddy zastanawiała się, czy to ona jest romantyczna, czy mąż rzeczywiście nadal wspomina chwalebne dni, gdy prowadził swój dywizjon do walki. Czy było coś w jego życiu, co równałoby się ze wspaniałością tych heroicznym lat, oszałamiających jak narkotyki?

Tony nigdy o tym okresie nie rozmawiał, ani z nią ani z Jockiem, zupełnie inaczej niż dziesiątki pilotów czasu wojny, którzy najbardziej że wszystkiego uwielbiali ożywanie najdrobniejszych szczegółów walk w powietrzu, wspólnie z ludźmi, którzy dzielili ich doświadczenia.

Może Tony czuł nostalgię za rodziną, pozostawioną w Kencie? W 1949 roku Wielka Brytania nie osiągnęła jeszcze na tyle normalnego stanu, żeby pozwalać obywatelom na podróże zagraniczne nie dotyczące interesów, toteż mąż Freddy nie widział rodziców ani nikogo z rodzeństwa od ponad trzech lat. A może niespokojnie rozmyślał długimi godzinami, wyobrażając sobie gromadkę dzieci, których nie mieli? Przyglądając się jego twarzy bez wyrazu, bezbarwnym oczom, mglistemu spojrzeniu, letargicznemu grymasowi ładnych ust Freddy skuliła się, owładnięta bardzo przykrym doznaniem, Nie miała pojęcia, nad czym zastanawia się mąż, nie mogła jednak spróbować tego dociec, gdyż otaczało go morze

alkoholu.

Freddy uświadomiła sobie, że nie ma jeszcze trzydziestu lat, przyszłość „Orłów” jest zabezpieczona, więc mogą nareszcie postarać się o stworzenie takiej rodziny, jaka zawsze stanowiła pragnienie Tony'ego. W końcu mogła sobie pozwolić na następne dziecko, może nawet kilkoro. Po raz pierwszy od dnia, w którym została zmuszona do zajęcia się szkołą lotniczą, nie była potrzebna przy tej czy innej pracy, Stała się, wbrew własnym przyzwyczajeniom, kobietą dysponującą wolnym czasem.

Delphine i Armand mieli dwóch bliźniaków i jeszcze trzeciego młodszego synka, a mimo to Delphine była czołową gwiazdą kina francuskiego. Dzieci nie muszą oznaczać końca kariery.

Ale żeby zajść w ciążę, trzeba współżyć z mężem. Freddy i Tony natomiast nie żyli ze sobą od miesięcy. Od tak wielu miesięcy, że Freddy nawet nie odważyła się ich zliczyć. Czy przeprowadzka mogła to zmienić? Czy możliwe, że jedynie znużenie ich małą, zapchaną sypialnią sprawiło, iż po położeniu się do łóżka Tony zasypia niemal od razu, nie starcza mu nawet czasu na wieczorny pocałunek, który ewentualnie prowadziłby do czegoś więcej. Może winne było zamroczenie alkoholem? A może Tony poznał inną kobietę?

To akurat nie wydawało jej się prawdopodobne. Tony był nieobecny, ale nie w sposób, który kazałby jej sądzić, że mąż skupia zainteresowanie na kimś innym. Chyba że grzeszyła naiwnością albo całkiem nieświadomie zrobiła coś takiego, że przestała być dla niego pociągająca. Tony zawsze zauważał jej nową sukienkę.

Każdą z bardzo kobiecych i romantycznych kreacji, roztaczających wyrafinowany powab, komentował z uprzejmym, lecz pełnym rezerwy

podziwem. Freddy miała wówczas ochotę rozplakać się albo gryźć i drapać, widziała bowiem wyraźnie powolny, stopniowy rozkład ich wspólnego życia. Za brak zainteresowania Tony'ego seksem nie mogła winić dzwonowatych sukni, okrywających jej nogi aż do kostek. Problem powstał zanim jeszcze Freddy było stać na okazy z nowej kolekcji Diora.

Jeśli jednak była choćby najmniejsza szansa, że nowy dom pomoże im zbliżyć się do siebie z powrotem, musiała się jej chwycić.

- Proszę zatrzymać! - z podnieceniem rzuciła Freddy do pośrednika. - Przy tej tabliczce „Do sprzedania”.

Zjechał do krawężnika.

- Nie mam tego domu w wykazie - zaprotestował. - Nie możemy wejść do środka, bardzo mi przykro. Zresztą to jest... zwykły dom, nie posiadłość ani rezydencja, nie willa po prostu dom... prawda że duży, ale nie ma w nim nic wyjątkowego, słowo daję. Dookoła jest ładny ogród, lecz jak widać zaniedbany. Poza tym nie polecam raczej inwestowania w tej okolicy. Owszem, są to nie najgorsze tereny, ale za mało wysunięte na zachód. Jestem pewien, że pokażę pani coś o wiele odpowiedniejszego, nieruchomość znacznie bardziej stosowną do pani pozycji społecznej. Ten dom zbudowano tak dawno, że prawdopodobnie nie ma w nim nawet pokoju z barkiem.

Freddy stanęła i przez kilka minut przyglądała się budynkowi, nie zrobiła jednak najmniejszego kroku w jego kierunku, żeby sprawdzić wyposażenie.

- Wezmę go - powiedziała. - Proszę zadzwonić do mnie jutro w sprawie ceny. Oczywiście wystąpię też z własną propozycją, ale zamierzam dokonać kupna.

- Ależ pani Longbridge! Nawet nie widziała pani wnętrza.
- Znam je - powiedziała Freddy. - Wychowałam się w nim.

- Proszę mnie połączyć z agencją pośrednictwa pracy, miss Kelly - powiedział Bruno, wkraczając do swego imponującego biura w „Beecham Mercantile Trust”, wpływowym nowojorskim banku inwestycyjnym o randze ustalonej od ponad stu lat.

- Dobrze, proszę pana. Notatki na temat bieżących spraw i poczta leżą na biurku. Bruno podał jej płaszcz do powieszenia w szafie. Tego wczesnogrudniowego dnia 1949 roku na Manhattanie było zimno, ale Bruno przyzwyczał się, że z domu przy Sutton Place chodzi do pracy piechotą bez względu na pogodę, jeśli tylko nie leje. Miał trzydzieści cztery lata i odpowiedzialne stanowisko w banku, które często zmuszało go do rezygnacji z partii squasha w południe na rzecz lunchu, którego wymagały interesy. Przechadzka z 57 Ulicy na Wall Street zapewniała mu niezbędne minimum ćwiczeń fizycznych.

- Jest połączenie z panią McIver, sir.

- Dzień dobry, panie hrabio. Czym mogę służyć? - zabrzmiał optymistyczny głos właścicielki najbardziej ekskluzywnej agencji pośredniczącej w zatrudnianiu służby domowej.

- Pani McIver, proszę mi przysłać następnych kandydatów na rozmowy kwalifikacyjne. Kamerdynerów, kucharzy i pokojowych.

- Panie hrabio, dwa tygodnie temu wysłałam do pana najlepszych ludzi, jakich mogłam znaleźć. Czyżby żaden z nich panu nie odpowiadał?

- Ani jeden z nich nie dostałby pracy w Paryżu. Musi pani postarać się lepiej.

- Zapewniam, że przedtem osobiście kierowałam wszystkich tych ludzi na posady, na których pozostawali przez lata. Nie było wśród nich

takiego, którego nie zatrudniłabym z przyjemnością u siebie w domu.

- Moim zdaniem nie są dość dobrzy. Proszę próbować dalej.

- Będę robiła co w mojej mocy, sir. Wie pan jednak, że nie jest to łatwe. Zaraz się tym zajmę i zadzwonię do panny Kelly, żeby umówić kandydatów na rozmowy.

- Czekam. - Bruno energicznie odłożył słuchawkę.

Po drugiej stronie przewodu Nancy McIver uroczo uśmiechnęła się do telefonu. Gdyby wszyscy jej klienci byli tak obłędnie trudni do usatysfakcjonowania, jak ten Francuz, złota żyła, jaką miała prowadząc agencję, zamieniłaby się w platynową. Przez ostatnie trzy lata, bo tyle ciągnęły się ich wspólne interesy, żaden człowiek nie utrzymał się u Lancela dłużej niż dwa miesiące. Ten jednak musiał znowu zwracać się do jej agencji, nikt bowiem w Nowym Jorku nie miał do czynienia z tak ekskluzywną pomocą domową, śmietanką tej profesji wszelkich specjalności, od praczek którym rzadko zdarzało się splamić praniem czegokolwiek poza bielizną z rodowymi inicjałami, po majordomów, którzy absolutnie nie brali pod uwagę pracy w rodzinie nie posiadającej przynajmniej trzech nieruchomości z pełną obsadą służby. Ludzie kierowani do pracy przez panią McIver i rodziny ich zatrudniające stanowiły samoistne księstwo, którego granice biegły stale wokół niewielkiej części Manhattanu i przesuwały się w zależności od pory roku ku Sea Island, Palm Beach, Saratodze lub Southampton.

- Lancel znowu szaleje, Genny - powiedziała radośnie do asystentki.

- O co mu chodzi? To najtrudniejszy człowiek w całym mieście. Żadna zwariowana bogata wdowa nie sprawia nam tylu kłopotów co ten jeden jedyny kawaler.

- Pamiętaj, Genny, że jeśli nie ma ruchu w interesie, to nie zarabiamy. Daj mi teczkę Lancela, proszę.

- Przecież u niego byli już prawie wszyscy zarejestrowani przez nas ludzie. Za każdym razem dokonujemy cudów, żeby jeszcze kogoś znaleźć - oświadczyła Genny, wydobywając pękaty skoroszyt.

- Jeśli okaże się, że muszę wysłać do niego ludzi, których już wywalił, to i tak nie zauważy. Jego dom sprawia wrażenie, jakby przebiegał przez niego taśmociąg. A kłopot ma klient, który nie potrafi u siebie utrzymać dobrej służby, nie my. Taka jest żelazna zasada pośredników. Pamiętaj o tym.

- Zastanawiam się, jaki to jest człowiek.

- Uwierz mi, że nie powinno cię to interesować - stwierdziła pogardliwie Nancy McIver. - Istotne pytanie brzmi: za kogo się uważa.

* * *

- Bruno de Lancel? No nie, Marjorie, ten pomysł jest śmieszny - powiedziała Cynthia Beaumont do sekretarki.

- Myślałam, że skoro Larry Bell odwołał w ostatniej chwili udział w obiedzie, to warto spróbować.

- Do diabła z Lanym Bellem! Angina go nie usprawiedliwia. Czyżby nie mógł się zdobyć na mały wysiłek? Jak sobie wyobraża znalezienie jeszcze jednej osoby w tak krótkim terminie? Przecież nikt nie zwróciłby uwagi na jego gardło. Nie wsadzałabym mu do środka stetoskopu.

- Może obawiał się, że kogoś zarazi - zaryzykowała Marjorie patrząc, jak jej pracodawczyni, Cynthia Beaumont, wściekle chodzi lam i z powrotem po salonie i gniewnie przygląda się zrujnowanemu planowi usadzenia gości podczas starannie zaplanowanego, bardzo uroczystego

obiadu.

- To nie on. Larry Bell zaraziłby ludzi trądem, gdyby wiedział, że sprawa się nie wyda. Po prostu martwi się o własne zdrowie, paskudny egoista. Co go obchodzi mój obiad?

- Och, pani Beaumont! Wie pani przecież, że zapowiada się najważniejsze przyjęcie w sezonie - powiedziała Marjorie, starając się jak najzręczniejsz załagodzić sytuację. Po latach sekretarzowania li najwykwintniejszych nowojorskich dam wydających prośzone obiady dobrze wiedziała, że nie ma nic bardziej denerwującego nawet bardzo doświadczoną i zrównoważoną kobietę, niż niedyspozycja wolnego mężczyzny wychodząca na jaw w ostatniej chwili. Żadna z rozmówczyń nie była w stanie znieść przerażającej perspektywy posadzenia dwóch kobiet obok siebie, aczkolwiek prywatnie Marjorie uważała, iż mężczyźni wnoszą mało wesołości i wdzięku, siedzą jak mumie i czekają, aż się ktoś nimi zajmie, podczas gdy od nie mającej pary interesującej kobiety z ikrą można oczekiwać, że uczciwie zapracuje na obiad.

- Co robić, Marjorie? Co robić? Katastrofa! Zostało nam tylko parę godzin. Jak sądzisz, może Tim Black... ale nie, właśnie oświadczył mi, że jest zajęty. Skreślił go na stałe z listy gości, nigdy go nie lubiłam. Zresztą przysięgałam, że już go nie zaproszę po tym, jak podczas ostatniego przyjęcia nieprzyjemnie się podchmielił i zrobił niestosowną uwagę pani Astor. Och, co za pomysł, żeby wydawać prośzony obiad w grudniu. Powinnam się nauczyć, że od Święta Dziękczynienia aż po Nowy Rok żaden mężczyzna bez pary nie ma wolnego wieczoru.

- Ale przecież pan Beaumont obchodzi urodziny - zaprotestowała sekretarka. Nawet w zaprzątniętym własnymi sprawami nowojorskim

towarzystwie taka okazja stanowi świętość.

- Tak czy owak, w przyszłym roku musimy to zmienić. Nie mam zamiaru znowu przechodzić tego piekła. A teraz, Marjorie, wykaż się twórczym myśleniem.

- Pójdę do mojego biura i zatelefonuję do wszystkich mężczyzn z zapasowej listy, choćby półżywych.

- Włącz także lekarzy i dentystę. Może któryś z nich jest kawalerem albo się rozwodzi. Do Princeton, do Jamesa juniora zadzwonię sama.

- Jest akurat w połowie końcowych egzaminów.

- Mógłby przecież trochę się poświęcić dla własnej matki. Diabli biorą człowieka, kiedy pomyśli, że ma pięciu synów, z których czterech ożeniło się natychmiast po skończeniu college'u. Co za sens! Po co się męczyłam z rodzeniem tych niewdzięcznych okrutników? Pomyśl tylko: żaden z nich nie zadał sobie trudu pomyślenia o moich kłopotach. Niewdzięcznicy! Dbają wyłącznie o własne szczęście. Młodzi ludzie zupełnie dziś nie mają poczucia obowiązku, związku z tradycją, z rodziną. Udało ci się, że nie masz dzieci. Oszczędziłaś sobie wiele bólu.

- Może miałabym dziewczynkę.

- Niezamężną dziewczynę? Boże uchowaj! Zacznę się ubierać, a ty tymczasem dzwoń.

- Mimo wszystko spróbuję z Brunem de Lancel.

- Marjorie! Jak możesz nawet myśleć o zaproszeniu tego człowieka w ostatniej chwili... Planuję przyjęcie, na którym właśnie on byłby centralną postacią. Chociaż jedno jest pewne, Bruno de Lancel nigdy nie odwołałby wizyty w ostatniej chwili, chyba że leżałby na łożu śmierci. Za dobrze go wychowano, żeby coś takiego przyszło mu do głowy. Jakie on

ma wspaniałe maniery.

- Chciała pani, żebym wykazała się twórczym myśleniem.

- Twórczym, ale w granicach rozsądku. Nie oczekuję od ciebie telefonów do wszystkich osób z listy na Boże Narodzenie. Poza tym Lancel obraziłby się, gdybyś zaprosiła go na dziś wieczór zamiast kogoś, kto zawiódł.

- Bywa tutaj tak często, że na pewno zrozumie, jak każdy dobry znajomy. Nie powinien czuć się urażony.

- To nie ten rodzaj dobrego znajomego. Gdyby Lancel był Amerykaninem, powiedziałabym „tak”, bez wątpienia chętnie przyszedłby z pomocą, ale wiesz przecież, jaki on jest... chłodny. Nie zliczę, ile razy siedział po mojej prawicy, a przecież nie znam go wcale lepiej niż podczas pierwszej wizyty. Jego wspaniałe maniery nie obejmują mówienia o sobie. Nie można wszakże zaprzeczyć, że Lancel prezentuje się absolutnie bosko, jest bardzo bogaty i nieżonaty... no, i oczywiście ma tytuł... osobiście uważam, że przy tym wszystkim mógłby być nawet niekomunikatywny jak Sfinks, niedostępny jak papież poza audiencją i oficjalny jak królowa Anglii... chwileczkę... papież... może zaprosić kardynała Spellmana? Co o tym sądzisz, Marjorie?

- Jako wolnego mężczyznę dołączanego w ostatniej chwili?... Nie, jakoś tego nie widzę, pani Beaumont.

- Chyba masz rację - westchnęła strapiona Cynthia Beaumont.

Właśnie na takich niuansach Marjorie Stickley знаła się jak nikt. Opłacało się zatrudnić najlepszą sekretarkę w mieście, mimo iż zarabiała dwukrotnie więcej niż inne. Nawet gdyby kardynał miał wolny wieczór, a miał prawie na pewno, to nie należało występować do niego z taką

propozycją.

Kiedy Cynthia Beaumont wyszła z łazienki i zaczęła nakładać makijaż, chcąc doprowadzić twarz do stanu, w którym mogłaby pokazać się kwiaciarzowi mającemu udekorować dom, triumfalnie wróciła Marjorie.

- Rozmawiałam z Brunem de Lancel. Przyjdzie z największą przyjemnością.

- Fantastycznie! Jesteś nieocenionym skarbem! Uratowałaś mój obiad. Co mu powiedziałaś? Jak go namówiłaś?

- Och, to jest moja słodka tajemnica. Muszę teraz iść i powiedzieć kwiaciarzowi, że za kilka minut pani się zjawi, bo inaczej biedak załamie się nerwowo.

Sekretarka znikła w korytarzu prowadzącym do jadalni, myśląc o własnej żelaznej zasadzie: najgorszą odpowiedzią jest „Nie, dziękuję”. Miała już za sobą długą i zadowalającą karierę, odłożyła też sporą sumkę na czarną godzinę, bo nie unikała rozmów telefonicznych, jakie jej pracodawcy bali się odbyć osobiście. Ech, te kobiety z towarzystwa... Czasem niemal im współczuła. Ale nieczęsto. Co zaś do Bruna de Lancel, to reputacja człowieka sztywnego i nieprzystępnego tak przerażała liczne panie domu, że na jego wolny wieczór stawiało się właściwie z zamkniętymi oczami. Mógł sobie być snobem, towarzystwo to rozumiało, ale nie wobec ludzi, którzy mu dorównują. Za kogo on się właściwie uważa? - pomyślała pogardliwie Marjorie.

* * *

W piątek po południu Bruno wyszedł z banku wcześniej i udał się do firmy J. M. Kidder Inc. na czwartą przymiarkę kurtki jeździeckiej,

zamówionej już bardzo dawno.

- A więc wybiera się pan na polowanie na Main Line, hrabio? - spytał uprzejmie Allensby, dopasowując kurtkę Bruna.

Bruno odmruknął coś niewyraźnie. Nie potrafił pojąć, że jego wyjazdy mogły w jakikolwiek sposób obchodzić krawca.

- Mamy pod opieką wielu dżentelmenów z okolic Main Line. Wszyscy mi mówią, że dobrze się tam poluje.

Bruno parsknął. Jeśli ktoś uważał, że na dobre polowanie jedzie się w towarzystwie gromady tępych maklerów, prawników i biznesmenów z nieciekawych przedmieść, czyli z ludźmi nie wiedzącymi niczego o szlachetnym sporcie, którzy nigdy nie spędzili całego dnia polując na własnych gruntach, to istotnie trzeba było uznać polowanie w rejonie Main Line za dobre. Z drugiej jednak strony okolice Nowego Jorku nie dawały lepszych możliwości... A jak żyć bez polowania?

- Kołnierzyk jest nadal źle skrojony, Allensby.

- Co też pan hrabia mówi? Po ostatniej przymiarce skroiłem go jeszcze raz. Ten jest zupełnie nowy. Proszę zobaczyć, jak dobrze leży na szyi.

Bruno odchylił głowę do tyłu i skłonił do przodu, potem pokręcił nią na boki, w końcu zdołał sprawić, że między wzorowo skrojonym kołnierzykiem a szyją powstała szczelina na ułamek centymetra.

- Nie nadaje się. Zupełnie się nie nadaje. Trzeba odpruć i zrobić od początku. - Ściągnął kurtkę i cisnął ją na krzesło. - Proszę zadzwonić do mojej sekretarki i powiadomić ją o następnej przymiarce.

- Dobrze, proszę pana - powiedział zgodnie Allensby. Odkładając kurtkę, przypomniał sobie własną żelazną zasadę: Tylko pewien rodzaj

ludzi wyładowuje się na krawcu, i rodzaj ten nic jest wart splunienia. Ów Francuz, któremu wydaje się, że jego tytuł coś znaczy, mógł zażyczyć sobie dowolną liczbę przymiarek, w cenie kurtki taka ewentualność była uwzględniona od samego początku. A firma miała długą tradycję i przeżyła już wielu trudnych klientów, choć żadnego z tak harmonijnie zbudowaną klatką piersiową. Przymiarka z Lancelem powinna być przyjemnością, gdyby facet nie był takim skurwielem, pomyślał Allensby z pogardą. Za kogo, u licha, on się właściwie uważa?

* * *

Po wyjściu od krawca Bruno spojrzął na zegarek. Od ubierania się na obiad dzieliły go jeszcze dwie godziny. Miał czas na mały wypad, wiedział, że przed kominkiem, pełnym rozżarzonych szczap z drzew owocowych, czeka na niego kobieta, zwinięta w kłębek z dumnym wdziękiem rzadkiego i cennego kota. W powietrzu unosiła się tam cicha muzyka, a na twarzy kobiety, mającej wydęte, pełne wargi, które przyciągały wzrok niczym barbarzyńska ozdoba, gościł wyraz zniecierpliwienia. Była leniwą pijaczką z gładkim, cudownie obfitym ciałem, ciemnobrązowymi sutkami wielkości ćwierćdolarówki, ustami, które chętniej ssą niż mówią i mięsistymi pośladkami ukształtowanymi tak, jakby zawsze oczekiwały słodkiej kary wymierzanej przez Bruna z wielkim znawstwem. Kobieta miała natarczywe, zręczne i poszukujące ręce. Uważano ją za jedną z największych dam w tym mieście. Zbliżała się do czterdziestki i była nieprawdopodobnie bogata. Należała do Bruna od trzech miesięcy.

Bruno uświadomił sobie, że w tej właśnie minucie kobieta wyczekuje go całą istotą, pragnie by zrobił z nią, co mu się podoba, wcześniej

bowiem dostała przez telefon szczegółowe instrukcje, w jaki sposób ma się pieścić przed jego przyjściem. Wyobrażał sobie jej uda, rozrzucone szeroko, żeby łatwo mogła się dotykać wilgotnymi i doświadczonymi palcami, które uprzednio wylizała. Wiedział, że będzie się niespokojnie przeżyła i przygryzała wargi, powstrzymując przedwczesny orgazm.

Gdyby wszedł do jej pokoju, rzucił się na tapczan mówiąc, że jest zmęczony i pragnie tylko, by pochyliła się nad nim i powoli doprowadziła go do spełnienia grubymi, szerokimi ustami, zrobiłaby to natychmiast. Posłuchałaby go bez słowa, gdyby położył się na tapczanie nie dotykając jej, gdyby po prostu czekał, aż wprawne kobiece ręce nadadzą mu twardość, kazał jej wtedy być jeźdźcem, brutalnie dyktując rytm unoszenia się i opadania, póki nie osiągnąłby męskiego spełnienia, po które przyszedł. Gdyby kazał jej położyć się na dywanie, podedrzeć spódnicę, unieść kolana i rozłożyć dla niego nogi, a on wszedłby w nią i wziął ją szybko, egoistycznie niczym uczeń, byłaby mu za to wdzięczna. Gdyby zażyczył sobie, żeby nie ruszała się z krzesła, a on w tym czasie stojąc przed nią rozpiąłby spodnie i wsunął się do jej ust, bez najmniejszych protestów obdarzyłaby go wykwinną przyjemnością. Gdyby tylko usiadł na krawędzi fotela i kazał się dotykać, póki nie wykrzywią jej skurcze rozkoszy, poddałaby się i temu.

To był ten rodzaj kobiety. Jej wiek akurat odpowiadał upodobaniom Bruna. Wiedziała, czego chce, a chciała być traktowana jak kurwa. Żaden człowiek w Nowym Jorku nie odważył się nigdy potraktować jej tak jak Bruno. Była jego dziełem.

Na tym właśnie polega problem, pomyślał Bruno, zawracając z drogi do pachnącego pokoju, gdzie czekała na niego kobieta, i ruszył w kierunku

własnego domu. Potrafił przewidzieć wszystkie jej sekrety. Nie były dla niego nowością. Prawie zrównał się już wiekiem z doświadczonymi kobietami, które zawsze przedkładał nad inne, i z roku na rok trudniej mu było znaleźć taką, której najbardziej intymne i zakazane fantazje nie raziły brakiem świeżości. Rzadko już nowa kobieta podniecała go przez dłuższy czas, szczególnie jeśli należała do nowojorskiej śmietanki towarzyskiej, w tym kręgu bowiem postawy wobec seksu były na ogół pruderyjne i banalne. Nie miały podtekstów. Brunowi brakowało mrocznych, występnych scenariuszy znanych paryżankom. Tak, to właśnie olśniewające Amerykanki o wyszorowanej do czysta, rozczarowująco sterylnej wyobraźni Bruno winił za swój brak pożądania. Nie czuł wcale przyjemnych sensacji w okolicach moszny na myśl o kobiecie, która właśnie w tej chwili czeka na niego rozpalona, mokra i pełna pożądania. Zazdrościł jej pobudzenia. Tego wieczoru, gdy stwierdzi, że Bruno nie przychodzi, znajdzie jakiś sposób rozładowania lubieżnych pragnień przelewających się w niej od jego porannego telefonu. Miała szczęście, przeżywała godziny jątrzącego podniecenia, które dla niego były równie wyprane z oczekiwania, jak i cały dzień, jako że szedł potem na stereotypowy obiad.

Na co ekscytującego można mieć nadzieję w tym mieście, pytał się w przeddzień Bożego Narodzenia, obojętnie przemierzając roztaczające podniety ulice Nowego Jorku, gdzie w oczy przechodniów były dziesiątki obietnic, wszystkie wystawy na wyścigi przyciągały wzrok, a mimo ostrego powietrza na każdym skrzyżowaniu widziało się ożywiony ruch.

Nowy Jork. Paskudne, jakże paskudne miasto, bez wdzięku, bez cienia intymności, bez historii. Budynki były tu za wysokie albo za niskie i

bez wyjątku za nowe. Miały całkiem błędne proporcje, nieciekawe, niezgrabne. Ulice beznadziejnie proste, wąskie i regularne tworzyły nudną kratę. Brakowało drzew, nawet tak wyjątkowy teren jak park zamykał się w doskonałym prostokącie. Nie było ukrytych dziedzińców, zaułków bez przelotu, nieoczekiwanych miejsc, których widok zapiera dech. Przez miasto nie widać absolutnie niezbędne nabrzeże, bez którego miejski krajobraz jest zaledwie półżywy. Ludzie, którzy uważali się za eleganckich, zadowalali się mieszkaniem w blokach przy ciemnej, nadmiernie szerokiej ulicy zwanej Park Avenue, gdzie każdy ciekawski mógł się gapić w okna, nie było bowiem murów chroniących prywatność.

Nowojorskie towarzystwo. Idealne odzwierciedlenie miasta: zbyt hałaśliwe, pstre i niepoważne, pozbawione wdzięku i historii, otwarte dla każdego, kogo stać na wpisowe. Towarzystwo, które nigdy nie wykaże zrozumienia dla wymogów rodziny, dla wartości dziedzictwa, i nie poświęci im stosownej uwagi. Towarzystwo, do którego Bruno nijak nie mógł odnieść wyrazu „arystokracja”. Było jak wyrafinowany dowcip, który chce, by traktowano go serio. Bruno zastanawiał się, czy którakolwiek z podejmujących go, niezdrowo przejętych pań domu miała choćby słabe pojęcie o jego opinii na temat tego światka. Prawdopodobnie nie... były za głupie, by spodziewać się z jego strony totalnej pogardy, a maniery, które Bruno okazywał prawie odruchowo, nie dawały tej pogardy odczuć. Zresztą całe szczęście, bo tylko wśród tych ludzi mógł się obracać. Francuska mniejszość składała się z fryzjerów i kelnerów.

Jedyną znośną cechą Nowego Jorku stanowiła jego europejskość. Bruno nie wytrzymałby drugorzędnej, egocentrycznej, lecz prowincjonalnej Europy, takiej jak w Rzymie czy Madrycie, skąd miał

zaledwie kilka godzin drogi do zamkniętego przed nim Paryża. Tutaj, całkowicie odosobniony na wygnaniu, przynajmniej żył w mieście, gdzie głównym tematem są pieniądze, a pieniądze, w odróżnieniu od seksu, nigdy nie miały przestać go fascynować, nigdy nie były z góry przewidywalne ani nużące. Pościg za nimi nie mógł stracić na atrakcyjności. Bruno miał coraz więcej pieniędzy, ale nie postawił sobie pytania o cel ich zdobywania, chociaż nie znajdował za nie nawet zadowalającego służącego. Pieniądze były dobrem samym w sobie i samym z siebie.

Zbliżając się do domu, do którego nigdy nikogo nie zapraszał, domu wyposażonego na wzór nieruchomości przy Rue de Lille, Bruno zastanawiał się, czy znajdzie tam list od Jeanne.

Gospodyni z Valmont pozostała wobec niego lojalna. Od kiedy wyprowadziła się do zapomnianego domku w Epernay, regularnie pisała, przekazując mu najświeższe nowiny rodzinne, a Bruno uprzejmie odpowiadał, korespondencja z Jeanne była bowiem jedynym sposobem dowiedzenia się czegokolwiek o wydarzeniach w Szampanii. Paul de Lancel skończył dopiero sześćdziesiąt cztery lata, a w rodzinie Lancelów żyło się długo. Dziadek i babka Lancelowie zmarli dobrze po osiemdziesiątce. Ale przecież wypadki chodzą po ludziach, nawet tych z dobrymi genami. Ktoś może mieć katastrofę jadąc samochodem, zlecieć z konia, zlekceważyć zakażenie czy po prostu przewrócić się w łazience. Choroba może uderzyć bez ostrzeżenia. Wuj Guillame umarł stosunkowo młodo.

O, tak. Bruno wiedział, że wkrótce... nawet jeśli jeszcze nie teraz, to już niedługo, musi przyjść przeniknięty smutkiem list od Jeanne, który

przywróci go do życia. Gdyby nie ta nadzieja, oszalałby.

* * *

W piątkowe popołudnie w marcu 1950 roku Freddy przysiadła na biurku Tony'ego i spojrzała na niego z nadzieją.

- Chodź, przejedziemy się trochę. Jock i Swede są przygwożdżeni do biurek, ale nie ma potrzeby, żeby cała dyrekcja siedziała tutaj jednocześnie w ładną pogodę.

Tony podniósł wzrok znad czystego bloczka na notatki, nad którym marszczył czoło od wejścia do biura.

- Przejechać się? Dokąd? Jakież to dziwy natury tak cię ciągną?

Cudowny widok Hollywoodu? Piaszczyste połacie w Santa Monica? Czy przypadkiem nie chcesz powiedzieć, że masz ochotę rzucić się na nowy samolot? Czy przypadkiem nie myślałaś o locie bonanzą, a nie o przejażdżce?

- Nie, myślę o przejażdżce - cierpliwie powiedziała Freddy.

Tony był w kiepskim nastroju, trudno powiedzieć, czy na skutek nadmiaru whisky wypitej podczas lunchu, czy też ogólnego rozbicia duchowego. O tak wczesnej porze nie można było ustalić tego z całą pewnością.

- Chodź, złożymy dach w samochodzie. Umieram z pragnienia, żeby się stąd wydostać. Tu przestało być zabawnie, wszystko toczy się gładko, biznes kwitnie... Chodź, kochanie.

Tony westchnął niechętnie, ale wstał i wyszedł za nią na parking przed ich nowym budynkiem biurowym na lotnisku Burbank. Apatycznie usiadł na tylnym siedzeniu, a Freddy wyjechała z doliny San Fernando, kierując się ku wzgórzom Los Feliz.

Freddy podjechała na szczyt wzgórza jakby przypadkowo wybraną uliczką i zaparkowała przed typową kalifornijską wersją hiszpańskiej hacjendy: starym, rozciągniętym domem z dwoma dziedzińcami, kupionym przez nią w listopadzie, niecałe pięć miesięcy wcześniej. Niemal natychmiast po zakupie dwie ekipy budowlane zaczęły doprowadzać dom do idealnego stanu. W tym samym czasie architekt wewnątrz zwijał się jak w ukropie, przygotowując wyposażenie. Stare drzewa pomarańczowe rosnące wzdłuż podjazdu były teraz w pełnym kwitnieniu. Wcześniej architekt zieleni starannie przyciął każde z nich, a także przywrócił świetność ogrodowi, który Freddy tak dobrze pamiętała. Zaniedbany grunt został skopany i nawieziony, powstały na nim rozległe rabaty pierwiosnków i małych purpurowych fiołków. Wszędzie dookoła rosły bratki, ich żółte, białe i ciemnorubinowe buzie mieszały się w tłumie z błękitnymi punkcikami impertynenckich niezapominajek. Później miały rozkwitnąć krzewy w różanym ogrodzie, na których już nabrzmiewały pąki. Trawniki zieleniły się świeżo nawiezioną darnią. Cały dom odmalowano, czerwone dachówki były w znakomitym stanie. Freddy zgasiła silnik.

- Zdawało mi się, że mówiłaś coś o przejażdżce - stwierdził Tony. - Nie jechaliśmy nawet piętnastu minut.

- Podoba ci się ten dom? - spytała.

- W zasadzie tak. To jest chyba jedyny rodzaj architektury, który bez zastrzeżeń pasuje do Kalifornii. Dobrze wiesz, że zawsze lak uważałem.

- A my potrzebujemy nowego domu, prawda?

- Nie mogę zaprzeczyć.

- Czegoś właśnie w tym stylu? - dopytywała się z zapalem.

- Oznacza to, jak sędzę, że już go kupiłaś. - Tony spojrzał w twarz Freddy. Oczy miała spuszczone, ale lekki rumieniec i wystudiowana obojętność zawsze żywych i łatwo czytelnych rysów wystarczyły za odpowiedź. - Wygląda naprawdę przyjemnie. Domyślam się też, że jest w znakomitym stanie - ciągnął, nie czekając na jej słowa. - Nieskazitelny od dachu po piwnice. Wszystkie instalacje działające, sprawdzone, można się wprowadzać.

- Nie jesteś zaskoczony. - Radosne podniecenie wygasło. Podczas remontu, kiedy pracowały jeszcze ekipy budowlane i odnawiano ogród, codziennie udawało jej się wyslizgnąć na chwilę z biura, żeby obejrzeć postępy w pracy. To uporem, to pochlebstwem, groźbą albo bezwstydną kokieterią doprowadziła do tego, że wszystko wykonano do najmniejszego szczegółu zgodnie z jej życzeniami, w dodatku szybciej niż można było sobie wyobrazić. Dzień w dzień odbywała liczne rozmowy z dekoratorką wnętrz, a raz na tydzień spotykała się z nią i podejmowała ostateczne decyzje. Nikt z „Orłów” nie wiedział o tych jej zajęciach, a Freddy cała żyła swym cudownym sekretem.

- Właściwie dlaczego miałbym być? - odparł Tony. - Teraz, kiedy jesteśmy paskudnie bogaci, nowy dom był tylko sprawą czasu. A ty przecież lubisz stawiać kropkę nad i. - Uprzejmość w jego głosie zabrzmiała niczym fałszywy akord dobrze znanej melodii. Freddy nie słyszała dotąd takiej nuty w ustach tego uprzejmego przecież mężczyzny. Było w niej coś nowego, wymuszonego, jakby maskowała inne uczucie, którego Freddy nie umiała określić.

- Nawet jeśli nie jesteś zaskoczony - powiedziała, ukrywając dziecięce rozczarowanie, to chyba umieras z ciekawości, żeby zobaczyć

wnętrze?

- Nie wątpię, że jest urocze. I wiem, że czeka mnie uroczyste zwiedzanie, więc zaczynajmy. - Wysiadł z samochodu i pospieszył do frontowych drzwi.

Tyle razy Freddy rozgrywała tę scenę w wyobraźni, próbując przewidzieć reakcję Tony'ego, wyobrazić sobie jego zachwyty wizją nowego ułożenia codziennego życia, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że zachowa się tak minorowo, niemal z rezygnacją, jakby poczęstowano go daniem, które musi zjeść z grzeczności, chociaż wcale nie jest głodny. Może ma kaca, pomyślała Freddy, idąc za mężem i jednocześnie przekopując torebkę w poszukiwaniu klucza. Może zdobył się na maksimum grzeczności, jakie można osiągnąć przy pękającej czaszce i suchości w ustach? Kto go wie? Tony znosił alkohol stanowczo za dobrze. Czasami Freddy zauważała, że jest zalany w pestkę, dopiero gdy walił się z nóg.

Freddy oprowadziła Tony'ego po najważniejszych pomieszczeniach. Wszędzie były palmy i kwitnące rośliny w wiklinowych doniczkach, podłogi pokryte dużymi kwadratami meksykańskiej terakoty, na której tu i ówdzie leżały stonowane dywany. Meble, starannie wykonane, choć o prostych liniach, stanowiły ilustrację najgłębszego znaczenia wyrazu „wygoda”. Tkaniny w miękkich i ciepłych barwach były ręcznie malowane w niebanalne wzory. W każdym pokoju niezliczone okna zachęcały, by usiąść i godzinami przyglądać się w spokoju zmianom oświetlenia. Dom celowo pozbawiono splendoru, mimo obszerności pokoi i wysokich stropów. W takim wnętrzu mężczyzna powinien czuć się równie dobrze jak kobieta.

Przechodzili z pokoju do pokoju, w każdych drzwiach Tony przystawał i mruczał:

- Urocze, naprawdę urocze - a we Freddy wzbierała chęć dzielenia męża. Słuchało się go jak dobrze wychowanego gościa, nie jak człowieka oglądającego po raz pierwszy własny dom. Nie zajął do żadnej szafy, nie otworzył ani jednej szuflady, najmniejszy szczegół nie wywołał u niego nawet tyle zainteresowania, ile okazuje się chłopcu hotelowemu, wchodząc z nim do numeru. „Urocze”. Przecież nie kupiła domu i nie urządziła go po to, żeby Tony'ego zauroczyć. Chciała go uszczęśliwić. A przynajmniej uczynić bardziej szczęśliwym.

- Gdzie jest barek? - spytał Tony, gdy w końcu usiedli w salonie, z którego sześć par drzwi z lukami otwierało się na trzy strony, a za nimi ciągnął się wabiący ogród.

- Tam - odparła Freddy, wskazując długi, zachęcająco wyglądający stół zastawiony kryształowymi kieliszkami najrozmaitszych kształtów i wielkości, z wesołym ordynkiem butelek z alkoholem, wodą sodową, ginger ale, ze słoikami orzechów i oliwek oraz srebrną miską z cytrynami.

- Skąd się bierze lód? - spytał Tony, nalewając sobie whisky.

- Przynosi się w kubelku z kuchni - odparła Freddy z wymuszonym uśmiechem. Były to jego pierwsze pytania. - Ale przecież nic używasz lodu, kochanie, więc będzie nam potrzebny tylko do podejmowania gości - dodała, czując się jak ekspedientka wpychająca klientowi nie chciany towar.

Tony wypił whisky jednym haustem i nalał sobie drugą szklaneczkę.

- Masz ochotę na kropelkę? - spytał.

- Poproszę. To samo co ty.

- Na zdrowie - rzuciła Freddy, gdy podał jej szklaneczkę i usiadł po drugiej stronie małego stolika. Pomyślała, że nigdy nie wypowiedziała tych słów w równie dziwacznej atmosferze.

W powietrzu wisiało coś.... niepewnego... chociaż dom był nieodwołalnie ich i Tony wiedział o tym, nawet jeśli nie okazywał ani krzty entuzjazmu, którego niechybnie spodziewała się Freddy.

Uniósł szklaneczkę na kilkanaście centymetrów w geście będącym niewyraźną odpowiedzią na toast.

Zapadło milczenie. Freddy przyglądała się badawczo zawartości ciężkiej kryształowej szklaneczki, jakby leżały tam niewidoczne, za to bardzo bogate w informacje fusy z herbaty. Nerwowo dokończyła drinka. Tony musi się przyzwyczaić do świadomości posiadania własnego domu, powiedziała sobie, musi pozwolić, by przeniknęła przez skórę wszystkimi porami. Może w rzeczywistości zdziwił się o wiele bardziej, niżby się wydawało, i zupełnie nie wie, co powiedzieć.

- Nie myślisz chyba, że jest za duży? - spytała Freddy, przerywając ciszę. - Przecież będziemy mieć więcej dzieci, będziemy organizować przyjęcia i podejmować gości, a potem dzieci zaczną sprowadzać do domu własnych przyjaciół i wtedy dom przestanie się wydawać taki wielki jak teraz, kiedy siedzimy w nim tylko we dwoje.

- Widzę, że wszystko już zaplanowałaś. Świetna jesteś, cholera.

Powinienem pamiętać, że nie wolno mi cię nie doceniać. Wiem, że nie spodziewasz się dziecka, ale z pewnością rozesłałaś już zaproszenia na inaugurację nowego domu. Nie mam racji? Freddy całkowicie ścięło. Co mu się stało? Dlaczego jest taki niezadowolony? O co ją wini?

- Nie wysyłałam żadnych zaproszeń - powiedziała najdelikatniej jak

umiała, ignorując ton głosu męża. - Dom wykończono dopiero wczoraj. Ledwie wyschła farba. Ale właściwie co złego widzisz w moich marzeniach o jutrze? Napijesz się jeszcze?

- Nie, dziękuję.

- Co takiego? - spytała zaskoczona.

- Muszę być do tego trzeźwy - powiedział Tony, a Freddy poczuła, że krew jej zastyga. Teraz w jego głosie brzmiał prawdziwie tnący chłód, jakby mąż siłą powstrzymywał się przed wybuchem wściekłości.

- Trzeźwy? - spytała.

- Trzeźwy, świńsko trzeźwy. Często bywa inaczej, jak może zauważyłaś. Miałem nadzieję, że zrobię to po pijanemu, ale okazuje się, że wódka nie dodaje mi odwagi. W każdym razie nie do tego. - „Do tego”? Czyżby nie podobał ci się dom? Czy próbujesz mi powiedzieć, że nie chcesz tu mieszkać?

- To bardzo ładny dom. Ale akurat czegoś w tym stylu nie mogę już znieść. „To jest dom dla ciebie, Tony, wszystko gotowe, tylko się wprowadzać. Oto twoja przyszłość, Tony, przyjęcia, goście, wielka rodzina. Ojej, ale będziesz się dobrze bawił! Masz tu zajęcie, możesz nazwać się zastępcą, tu są miliony dolarów, a tu, Tony, tu jest całe twoje zasrane życie, do tego na srebrnym półmisku”. - Wziął swoją szklaneczkę i cisnął ją o kominiek. - Dobry Boże, Freddy, twoje dzisiejsze marzenia stają się jutro faktami. Kiedy czegoś chcesz, nic nie powstrzyma cię przed osiągnięciem tego. Samodzielnie. A ja jestem na dodatek. Ja jestem cholernym małżonkiem. Pomyliliśmy się, Freddy. Właśnie to miałem ci powiedzieć już od bardzo dawna. Musiałem zachować trzeźwość, żeby wypluć z siebie ten nagi fakt. Cholernie się pomyliliśmy. Chcę skończyć z

tym małżeństwem. Chcę rozwodu. Nie mogę być dłużej twoim mężem.

Brutalność w głosie Tony'ego oszołomiła ją tak samo jak słowa. Wydawał się tak pełen bólu i determinacji, jak zwierzę odgryzające sobie łapę, żeby uwolnić się z potrzasku.

- Oszalałeś! Jednak jesteś pijany! Guzik mnie obchodzi, że mówisz coś wręcz odwrotnego. Prawdopodobnie piłeś od samego rana, ty sukinsynu! - Freddy słuchała siebie samej jakby z oddalenia, nawet kiedy zerwała się i wrzasnęła na niego. - Gdybyś mógł się usłyszeć, wstydziłbyś się.

- Wstydzę się. Wstydzę się od lat. Już prawie przyzwyczailem się do tego uczucia, ale dzięki Bogu niezupełnie. Posłuchaj mnie, Freddy, posłuchaj do końca. Nie ma znaczenia, czy uważasz mnie za pijanego, czy nie. Nie o to chodzi. Faktem jest, że w chwili kiedy przyjechaliśmy do Stanów wzięłaś nasze życia we własne ręce. Cholernie szybko zajęłaś całą scenę. Byłaś niezwycięzona, nie do pobicia. A ja nie miałem nic do powiedzenia. Gdyby to nie zależało od ciebie, wrócilibyśmy goli do Anglii po kilku miesiącach. To ty postawiłaś „Orły” na nogi. Jock i ja nie zrobilibyśmy tego bez ciebie. Ty potrzebowałaś Swede'a, ale nikt nie potrzebował mnie. Nie wniosłem w to wszystko najmniejszego wkładu poza przewozem towarów... a to mógłby robić każdy pilot. Byłem od samego początku ciężarem, a ty...

- Tony, przestań! Jak możesz być taki okropnie niesprawiedliwy? Nie potrafiłabym wytrzymać przez te wszystkie lata, gdybyś nie trwał przy mnie, nie miałabym energii. Nie pociągnęłabym bez ciebie, kiedy było tak ciężko...

- Gówna prawda. Potrafiłabyś i pociągnęłabyś. Nie poddałabyś się za

nic, zawsze znalazłabyś sposób. A ja ciągle wciskałem sobie to samo ratujące twarz kłamstwo, że mnie potrzebujesz. Że potrzebuje mnie Annie. Tylko w ten sposób mogłem uchronić się przed spojrzeniem prawdzie w oczy... Skoro jednak przyszedł gigantyczny sukces, nie został już żaden pretekst, nie mam jak się oszukiwać. Wielka walka skończona. Tylko nie próbuj mi wmawiać, że kiedyś zamierzasz zejść z tej sceny. To nie byłabyś ty. A ja nie potrafię współzawodniczyć i nie będę żył w ten sposób. To mnie zabija, Freddy. Nie zostało mi już ani trochę szacunku dla samego siebie. Czy rozumiesz, co to znaczy?

- Tony, posłuchaj, wróć z tobą do Anglii. Przeszanę pracować, możemy wszystko urządzić tak, jak było na początku, tyle że teraz mamy pieniądze. Przypomnij sobie, powrót do domu miał być tylko eksperymentem, nikt nie mówił, że na zawsze. - Freddy mówiła z największym opanowaniem, na jakie ją było stać. Tony nie mógł myśleć tego wszystkiego, co mówił. Gdyby udało jej się zachować spokój, gdyby nie wpadła w panikę, gdyby zaczęła logicznie rozumować razem z nim...

- Biedna, mała Freddy. Ty chyba naprawdę wierzysz, że jesteś w stanie dokonać wszystkiego. Nawet zmienić własny charakter. Ty uczciwie sądzisz, że jeszcze kiedyś mogłabyś grać rolę pani arystokratycznego domu? Byłaś wtedy strasznie biedna... chociaż tak wspaniale robiłaś dobrą minę do złej gry, że w czasie gdy nie mieliśmy wyboru, nie domyśliłem się, ile cię to kosztuje. Teraz jednak oznaczałoby to śmieszna przebieranek, całkiem jakby znakomity koń wyścigowy u szczytu formy udawał, że woli ciągnąć bryczkę po wiejskiej drodze. Czyżbyś nie słyszała tego, co sama przed chwilą powiedziałaś? „Powrót do domu był tylko eksperymentem”... dom tutaj, w Kalifornii, jest dla

ciebie, dla mnie domem jest Longbridge Grange. Potwornie mi go brakuje, Freddy. Brakuje mi deszczu i wszystkiego. Nie możemy się nawzajem winić. Żadne z nas nie ma wewnętrznych predyspozycji do życia w szczęściu poza ojczyzną. Jesteś za bardzo Amerykanką, a ja jestem za bardzo Brytyjczykiem. To nigdy nie miało przyszłości. Gdybyśmy nie przeprowadzili się do Kalifornii, nie byłabyś w stanie wytrzymać mieszkania w Anglii, bez zduszenia w sobie wszystkiego, co robiło z ciebie... dziewczynę, którą kochałem.

- Ale... ale... co nam nie wyszło? - spytała Freddy. Tony był trzeźwy, stwierdziła to z przerażeniem, i nawet mimo wielkiego bólu nie mogła zaprzeczyć, że lata spędzone w roli wiejskiej damy wspominała jak zły żart. Musiały istnieć jakieś słowa, żeby to wyjaśnić, słowa, które przeniosłyby ich z powrotem do początku i pozwoliły zacząć na nowo, słowa płoszące ten koszmar, mogące go odmienić, sprawić, że przestanie być prawdą. - Powiedz mi... proszę Och, proszę cię, Tony, powiedz mi.

- Kiedy się pobraliśmy, znaliśmy się tylko w części. Czy nie pamiętasz, że jeśli akurat się nie kochaliśmy, rozmawialiśmy albo o lataniu, albo o walce? Graliśmy w to samo, łączyły nas wspólne pasje. Kochałem w tobie wojownika, ale skąd mogłem wiedzieć, że po wojnie nadal będzie cię spalać żądza walki? Żądza kręcenia światem? Nie pojmowałem, jakim człowiekiem jesteś naprawdę, dopóki nie zaczęliśmy tworzyć „Orłów”. Podziwiam cię, Freddy, zawsze cię podziwiałem, ale nie taką kobietę chciałbym mieć za żonę. W istocie nie łączy nas nic oprócz Annie i dawnych wspaniałych dni. To nie wystarcza. Bardzo mi przykro, ale to nie wystarcza.

Freddy spojrzała na niego z napięciem. Tony wyglądał o dziesięć lat

młódziej niż w chwili, gdy wchodzili do domu, a wyraz ulgi na jego twarzy nie pozostawiał cienia wątpliwości co do szczerości słów. - Masz dziewczynę, Tony, prawda? - powiedziała z nagłą pewnością.

- Tak. Sądziłem, że to jest raczej zrozumiałe. Co innego mogłaś sobie wyobrazić przez cały ten czas, kiedy nawet cię nie dotknąłem?

- Nie wiem. Nie to. Kim ona jest?

- Po prostu kobietą. Cichą, uległą, odprężającą, taką, jakiej mogłabyś się po mnie spodziewać.

- Chcesz się z nią ożenić?

- Dobry Boże, nie. Nie chcę żenić się z nikim. Chcę po prostu z tym skończyć, Freddy. Skończyć. Chcę wrócić do domu.

* * *

Delphine przeczytała list Freddy i podała go przez stół Armandowi. Ten przejrzał go pobieżnie, potem bardziej uważnie, w końcu przestudiował go słowo po słowie. Przez cały czas Delphine przyglądała się jego twarzy.

- Jesteś zaskoczony? - rzuciła się na niego, gdy tylko odłożył kartkę.

- Jestem oszołomiony. Któż oczekiwałby rozwodu? Osiem lat małżeństwa bez żadnych większych problemów, o których byśmy wiedzieli, a potem coś takiego, całkiem znikąd... nagle jest po wszystkim, skończone, a do tego Freddy pisze, że niczyja wina. Pozostają w związku przez osiem lat, mają dziecko, wspólne przeżycia, więc jak mogą rozwodzić się bez powodu i z niczyjej winy? Czy to jakiś nowy błyskotliwy amerykański koncept?

- Nie. To po prostu pośredni sposób powiadomienia nas, że Freddy nie zamierza o tym w przyszłości rozmawiać i prosi, żeby jej o to nie

pytać. Jest dumna, biedne maleństwo. Jest diabelnie dumna i nie cierpi, kiedy obnaża się jej uczucia. To nie próżność, nie o tym myślałam. Ją zżera coś innego... potrzeba prywatności, doprowadzona do najdalszych granic. Pamiętasz, jak pierwszy raz nas odwiedzili, kiedy jeszcze mieszkali w Anglii? Ani razu nie wspomniała, jak bardzo czuje się nieszczęśliwa, co więcej próbowała mnie przekonać, że jej życie jest urzeczywistnieniem snu o absolutnym szczęściu. Skoro nie potrafiła powiedzieć własnej siostrze, że ma kłopoty, to komu mogłaby powiedzieć? Nigdy nie nauczyła się, jak pozwolić ludziom, żeby jej pomogli. Jest krnąbrna i uparta.

- A czy ty się dużo od niej różnisz, kotku?

- Nie, ja też jestem twardy orzech do zgryzienia - odparła powoli Delphine. Miała trzydzieści dwa lata i jeszcze trzy wiosny przed sobą, zanim szeroka francuska publiczność uzna jej wiek za interesujący, toteż cieszyła się każdą sekundą młodości. - Właśnie dlatego rozumiem Freddy. Ty mnie przejrzałeś w chwili, gdy się spotkaliśmy. Nigdy nie byłam w stanie ani na moment niczego przed tobą ukryć. Być może któregoś dnia nawet przestanę tego próbować. Tony nigdy nie przejrzał Freddy, nie spostrzegłeś tego?

- Mój od niedawna eks-szwagier zawsze był dla mnie zagadką...

Mimo że wiem dużo o ludzkiej naturze, w dziedzictwie piętnastu pokoleń brytyjskiej arystokracji zawsze było coś, co przekraczało moją zdolność pojmowania. Między innymi dlatego nie próbowałem reżyserować filmu o zabawie czy miłości Anglosasów... Nie rozumiem ich gier tak dobrze jak oni.

- Nie wiem dlaczego, ale pomyślałam o przygodzie miłosnej, którą Freddy przeżyła jako dzieciak.

- O czym mówisz?

- Zeszłego lata, kiedy byliśmy z dziećmi w Valmont, zebrało nam się z mamą na szczerą rozmowę. Powiedziała mi, że kiedy Freddy miała szesnaście lat, zakochała się do szaleństwa w swoim instruktorem pilotażu. W końcu odeszła z domu i żyła z nim przez lata. Nikt się tego nie domyślał, ale mama widziała ich razem i wiedziała. Podobno była to wielka namiętność, najprawdziwsza z prawdziwych, i to dla obojga... Ale po wojnie, kiedy mama spytała Freddy, co się z nim stało, usłyszała, że nie mieli z sobą kontaktu od lat, po czym Freddy zmieniła temat. Nigdy nie uwierzyłabym w tę historię, gdyby mama nie była taka pewna.

- Więc o tym rozmawiają matki z córkami, kiedy są same.

- Naturalnie: Jeśli nie narzekają akurat na mężów. Ciągłe jeszcze masz przed sobą dużo do nauczenia się o kobietach, Sadowski. Poczekaj. Mała, niewinna, urwisowata Freddy żyła w grzechu z mężczyzną po czterdziestce... a ja myślałam, że jestem źródłem najbardziej jadowitego skandalu w rodzinie. Cóż, dla mnie jest oczywiste, co się teraz stało. Freddy zmęczyła się Tonym i wszystkimi brytyjskimi ograniczeniami. Dopiekło jej na amen. W końcu postanowiła coś z tym zrobić i rzuciła: go. Założę się o każdą sumę, że Freddy ma na podorędziu innego faceta i powie nam o nim, gdy tylko do tego dojrzeje. Taki jest podtekst w jej liście. Mimo wszystko współ czuję jej... te osiem lat nie było łatwe. Współczuję też Annie. A najbardziej współczuję Tony'emu. Biedny facet. Ciężko jest z poczuciem odrzucenia, a przecież sam rozwód wystarczająco wali po łbie.

* * *

Poczta przyszła do Valmont dopiero w południe. Eve odłożyła list

Freddy na bok, żeby przeczytać go w wolnej chwili, była bowiem zbyt zajęta przygotowywaniem posiłku dla grupy klientów i nie miała czasu. Obchodziła właśnie długi, owalny stół w jadalni, lśniący drewnem i bielący się serwetkami z gęstą koronką, które rozłożono przed każdym z krzeseł, idąc zaś, rozkładała wizytówki, tego zadania bowiem nigdy nie powierzała innej osobie. Tu będzie siedział klient reprezentujący rosnącą sieć brytyjskich hoteli, postanowiła Eve, a tu usiądzie przedstawiciel nowojorskiego hotelu Waldorff-Astoria wraz z żoną. Po swojej prawej stronie, na honorowym miejscu ulokowała winiarza od Ritza z Paryża, jego żonie natomiast wybrała krzesło po lewej ręce Paula. Była też para z miłej, małej Belgii, w której przeciętny mieszkaniec wypijał rocznie więcej szampana niż jego odpowiednik z innych krajów. Zdecydowała, że Belg będzie jej sąsiadem z lewej strony, a jego żona zajmie miejsce po prawicy Paula, z drugiej strony usiądzie natomiast chef de cave. Dzięki Bogu, pomyślała Eve, że od wielu lat jestem żoną dyplomaty i delikatne decyzje przychodzi mi podejmować prawie machinalnie. Jej tydzień obejmował przynajmniej cztery posiłki w porze południowej i prawie tyle samo uroczystych obiadów.

Gościnność, która zawsze stanowiła część życia w Szampanii, stała się teraz czymś więcej niż tradycją, bo najpotężniejszym narzędziem handlu, a Eve wiodła w tej sztuce prym. W roku 1949 winiarze z Szampanii osiągnęli poziom sprzedaży z lat pierwszego dziesięciolecia dwudziestego wieku, które było okresem największego powodzenia w historii. Wyraźnie zapowiadało się, że w roku 1950 rekord zostanie pobity.

- Dziewczęta, proszę bardzo, możecie wejść - zawołała Eve i w drzwiach ukazały się dwie angielskie studentki, które czekały, aż goście

zostaną rozmieszczeni. Obie mieszkały w zamku przez cały sezon dojrzewania winorośli i były wprowadzane w winiarskie tradycje, a przy okazji pomagały Eve przy kwiatkach. Jak zawsze po ustawieniu wizytówek, wniosły na tacach małe kwietne wazoniki. Sposobu rozmieszczania nauczyła ich Eve, która nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego wiele pań domu decyduje się na wysokie kwiaty pośrodku stołu, co przeszkadza ludziom wzajemnie się widzieć i utrudnia rozmowę. Ona zdobiła centrum licznymi bukietkami, tak że w końcu stół wyglądał w tym miejscu jak miniaturowa rabatka, wokół której dumnie prężyły się wyższe kieliszki, po cztery przy każdym krześle.

Za niecałą godzinę miała się spotkać przy jej stole grupa obcych ludzi i chociaż łączyło ich jedynie zainteresowanie szampanem, należało oczekiwać tak ożywionej rozmowy, jakby listę gości planowano od tygodni. W kordialny nastrój wprowadzała ich prawdopodobnie wycieczka przed posiłkiem. Zaczynało się od rytualnych odwiedzin w kościele w Hautvillers, gdzie pochowano Dom Perignona, potem, po powrocie do Valmont, zwiedzano tłocznię i rzucono okiem na piwnice, Paul zaś odpowiadał na pytania. Następnie w pierwszej komnacie piwnic otwierał butelkę i osobiście nalewał gościom po kieliszku, żeby mieli co sączyć w drodze powrotnej do zamku, prowadzącej ścieżką ponad winnicami, w których teraz, w maju, pojawiały się zawiązki gron, z każdym dniem coraz większe.

Po przygotowaniu stołu Eve poszła do garderoby przebrać się. Zrećznie poprawiła makijaż, bezmyślnie usiadłszy przy toalecie, i wtedy nagle zabłąkany wiosenny aromat unoszący się w powietrzu sprawił, że spojrzała w lustro. Czyżbym naprawdę została wicehrabiną de Lancel,

panią na zamku Valmont? - zapytała własnego odbicia, unosząc brodę w geście maskującym drobne zmarszczki na szyi. Przypomniała sobie wieczór w jeden z minionych majów, wieczór w roku 1917, kiedy miała dwadzieścia jeden lat, a nie pięćdziesiąt cztery. Szarmancki oficer wszedł za kulisy Casino de Paris, gdzie przy innej toaletce siedziała dziewczyna, która przed chwilą zmyła makijaż, dziewczyna z miedzianozłotymi włosami, przedzielonymi pośrodku i zawiniętymi nad uszami, pełna temperamentu i umiłowania wolności, tajemnicza Maddy, do której sekretów nie należały bynajmniej system rozmieszczania wizytówek na stole, sposób na skłanianie obcych ludzi by poczuli się przyjaciółmi przy stole ani wiedza o gospodarowaniu na zamku z dwunastoma osobami służby i wieloma gościnnymi pokojami, które przez siedem miesięcy w roku dają azyl nabywcom wina z całego świata.

Eve westchnęła filozoficznie, przywołując na myśl panikę ciotki Marie-France, która była przekonana, że siostrzenica nigdy nie znajdzie małżonka zapewniającego poszanowanie. Teraz Eve osiągnęła o wiele więcej niż poszanowanie. Pisząc listy anonsujące przybycie do Valmont, winiarze zawsze wzbogacali formułkę „szanowna pani” wyrazem „wielce”. Brwi Eve nadal biegły ukośnie ku górze, oczy nie straciły na szarości i nadal miały w sobie tyle samo żaru, a ona sama wciąż nuciła kawałki różnych melodii, podchwytywanych teraz w czasie przechadzek po zamku, wciąż gwizdała na konwencje, jeśli te stawały na drodze jej woli... musiała jednak przyznać, że twarz widziana w lustrze pasuje bardziej do zamku niż do sceny. Czy wolałaby pokierować swym losem inaczej? Nie, nigdy. Przez trzydzieści trzy lata małżeństwa ani razu nie pożałowała wyboru, jeśli nie liczyć normalnych okresów kwestionowania

samej istoty stanu małżeńskiego, z którymi musi się liczyć każda kobieta, poznawszy naturę stworzeń płci męskiej.

Po Dijon był Paryż, potem Canberra, Cape Town, Los Angeles, Londyn... a teraz Epernay. Zatoczyła prawie doskonały krąg. Nieposłuszna córka doktora Couderta, która uciekła z domu, zakończyła wędrówki niewiele ponad sto kilometrów od miejsca urodzenia. Jak stwierdziła podczas zeszłorocznej wizyty Vivianne de Biron, zbliżająca się do osiemdziesiątki, ale cięta jak zawsze, dla jej Madeleine okazało się wielkim szczęściem, że nie wyszła za musztardowego księcia i nie osiadła w Dijon, aczkolwiek Vivianne nadal nie mogła do końca pogodzić się ze sposobem, w jaki Jej protegowana porzuciła scenę.

Eve włożyła cienki wełniany kostium Balenciagi w wybitnie hiszpańskim stylu, czarny jak habit matki przełożonej i dwa razy bardziej sztywny niż cała kolekcja Diora na następny sezon. Miała kilka podobnych kostiumów, uważała je za swoje „świetliste zbroje”, noszone dla efektu tak samo jak kostiumy wybitnych toreadorów. Jeśli miała być brana za osobę „wielce szanowną”, a nie czarującą, to chciała spełniać te oczekiwania w każdym calu.

Pięć minut przed pojawieniem się gości spojrzała przez okno na obiecująco dojrzewające winorośle i w duchu podziękowała za cudowne ocalenie posiadłości Lancelów. Kiedy Paul powiedział jej, że w skarbcu nie pozostało nic, gdyż Bruno sprzedał zapasy na czarnym rynku, a wszystko co leży w piwnicach pochodzi z wojennych roczników, wciąż jeszcze poddawanych fermentacji, serce Eve omal nie pękło z bólu, że współczucia dla Paula w jego upokorzeniu i wstydzie.

Przetrwanie, nie tylko Valmont lecz i całej Szampanii, wydawało się

niemożliwością, Eve nie doceniła jednak poświęcenia mieszkańców tej ziemi, nie zdawała sobie też sprawy, że wojenne roczniki, chociaż skromne, nadrabiały ilość jakością. Jeszcze przed 1945 rokiem wszyscy jeńcy wojenni wrócili do domów, a robotnicy z winnic, którzy w większości mieli także własne skrawki ziemi z winoroślą, połączyli siły, by pomóc nowemu właścicielowi, i sprzedawali mu wszystko, co pozostało z ich niewielkich rezerw wina, w dużej części sprytnymi metodami przechowanego przez całą okupację.

Mimo to w minionych latach przeszli najgorętszą batalię w życiu, każdy zarobiony centym był natychmiast z powrotem inwestowany w ziemię. Najstarsze winorośle zastępowano nowymi i odbudowywano winnice. Aż do poprzedniego roku Eve nie miała żadnych nowych strojów, nie robiła też wypadów do Paryża, żeby uczesać się u Alexandre'a. W zamku nie wymieniono nawet najbardziej zużytego rondla, a jednak Eve zdołała zgotować przyjęcie pierwszym powracającym klientom. Lancelowie nadal byli po uszy w długach wobec banków w Reims, należało nawet brać pod uwagę, że nigdy z nich nie wyjdą, ale lancel, podobnie jak pozostałe Grandes Marques znowu święcił triumfy.

Cena pierwszych powojennych lat była wielka. W początkach siódmej dekady życia Paul starzał się dużo szybciej niż można się było spodziewać. Pracował demonicznie, do wyczerpania i kiedy przysiadł na wykradzioną czasowi minutę po godzinach spędzonych nad rachunkami, Eve często przyglądała się jego twarzy zniszczonej goryczą i smutkiem. Imienia Bruna Paul nie wspomniał już nigdy.

Eve spojrzała na zegarek. Należało zejść na dół. Rozczarowująco cienki list Freddy zostawiła na toalecie, potem nie znalazła dla niego czasu

jeszcze długo. Dopiero po obiedzie kiedy można było w końcu życzyć gościom dobrej nocy, Paul i Eve wycofali się do własnej części zamku.

Paul wkładał piżamę w garderobie, gdy Żona ukazała się w drzwiach, trzymając kartkę papieru.

- Freddy i Tony się rozwodzą - niedowierzająco wykrzyknęła ze łzami w oczach.

- Ale ja po prostu nie rozumiem! Co ona może mieć na myśli, pisząc o niczyjej winie? Śmieszne! Wiesz, że to nie może być prawda.

- Na pewno nie jest. I ja rozumiem - wycedził Paul.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ostatniej zimy, kiedy poleciliśmy do Kalifornii spotkać się z klientami, spędziłem dużo czasu z Tonym. On pił gorzej niż ostro. Wpadł w alkoholizm. Znaki były dla mnie jasne, chociaż starannie je przede mną ukrywał. Sądzę, że to się zaczęło podczas wojny. Brytyjczycy zawsze mieli umiejętność zachowywania niesłychanej zdolności do walki mimo wcześniejszego skonsumowania zwałających z nóg porcji whisky. W odróżnieniu od nas muszą mieć wątroby nie do zdarcia. Nic ci nie mówiłem, bo nie dotarło to do twojej świadomości, a Freddy bardzo zależało, żebym nie zauważył. Modliłem się, żeby Tony się z tego wyciągnął, ale uczciwie mówiąc, nie żywiłem zbytnej nadziei. Najwyraźniej doszedł w pijaństwie do punktu, w którym Freddy musiała podjąć tę decyzję. Nie spodziewam się, żeby kiedykolwiek nam o tym opowiedziała, ale dla mnie jest jasne, że musiała od niego odejść zarówno dla dobra Annie, jak i własnego.

- Moja mała Freddy - szepnęła Eve prawie do siebie.

- Lepiej, że wyrwała się z sytuacji bez wyjścia i nie Pozwoliła, by

zwyrodnienie posunęło się dalej. Freddy to przeżyje, kochanie, przysięgam ci. Jest taka silna - Żal mi Tony'ego. Tak heroicznie walczyć, przeżyć... i skończyć w roli porzuconego męża.

- Między nami mówiąc, Swede, czy nie sądzisz, że my dwaj powinniśmy już wiedzieć o kobietach prawie wszystko, co w ogóle można? - spytał Jock Hampton podczas lunchu jedzonego w lutym 1951 roku. - Nie ma chyba takiego zakładu w związku z panienką, którego nie moglibyśmy przyjąć, połączywszy siły.

- Muszę uważać, żeby nigdy nie chodzić z tobą do bukmacherów - mruknął Swede.

- Ile panienek miałeś w życiu? Dziesiątki? Setki?

- Za dużo, żeby spamiętać.

- Ja też. Ale ty jesteś starszy, bardziej doświadczony i znasz ją lepiej.

Dlatego powiedz mi, co, do diabła, gryzie Freddy.

- Sądziłem, że mówisz ogólnie o panienkach. Na ten temat co nieco wiem. Ale o Freddy nawet nie próbuję myśleć.

- Posłuchaj, rozumiem, że ona jest kimś. Nie uważaj mnie za nieopierzonego prostaka, naprawdę widzę różnicę między panienkami i Freddy, tyle że i ona jest kobietą, dziewczyną. Dlatego między nią i innymi kobietami powinno być więcej podobieństw niż różnic. Nie mam racji?

- Może tak. A może nie.

- Wiesz, Castelli, cieszę się, że zacząłem o tym mówić. Jesteś cholernie pomocny. Na miłość Boską, przecież nie chodzi o świętego Graala, tylko o kobietę z krwi i kości. Brakuje mi jej! Chcę z powrotem Freddy, takiej jak była przed rozwodem. Pamiętasz?

- Pewnie.

- Wyciskała z nas siódme poty. Cholera, Swede, ale mieliśmy

zabawę, kiedy bez przerwy pędziła nam kota, trzymała w niepewności, dumnie paradowała dookoła i bez przerwy nas zaskakiwała, zawsze pierwsza do wszystkiego. A jeszcze śmiała się z nas, gdy próbowaliśmy dotrzymać jej kroku. Każdy dzień wyglądał jak Święto Niepodległości. Jeden wielki fajerwerk. Boże, lubię twarde baby. Najlepsze z tych, które znałem, były właśnie takie. Ale przy Freddy wszystkie wysiadają. I co się z nią stało, Swede?

- Zrobiła się stateczną kobietą. Mniej więcej tak mógłbym to nazwać.

- Znam wiele rozwiedzionych kobiet i jeśli rozważyć ich przypadki, to stateczne zachowanie nie jest normalną reakcją. Zwykle rozkwitają, rzucają się na chłopów, kupują seksowne ciuchy, namawiają przyjaciółki, żeby poznały ich z nowymi facetami... może nie od razu, ale po pewnym czasie. Freddy i Tony rozstali się rok temu, rozwód jest praktycznie zakończony, a ona wciąż siedzi wieczorami w tym wielkim domu i je obiady z Annie. Najwyższą formę życia społecznego osiąga pomagając ośmiolatce w odrabianiu lekcji. Przypadkiem wiem, bo czasami wpadam zobaczyć chrześniaczkę i zawsze widzę coś takiego. Nie mów mi, że to normalne.

- Freddy chce w ten sposób prowadzić swoje prywatne życie, więc nam nic do tego, Jock.

- Zgoda, bezdyskusyjnie. Ale Freddy jest również naszym współnikiem. Stracimy sporo pieniędzy, jeśli się w najbliższym czasie nie pozbiera. Kiedy ostatnio zdarzyło się, że złowiła jakiegoś klienta przy forsie, który kopałby, gryzł, ale nie mógł się oprzeć jej wdziękom? Ja nie mam w sobie nic takiego, od czego miękną serca, i ty też nie. „Skrzydlate Tygrysy” bogacą się naszym kosztem, bo odbiło jej do tego stopnia, że już

nawet nie mruży oczu. Nawet chodzi w inny sposób niż normalnie! Kiedy ostatnio w napadzie dyrektorskiego zapału piłowała nas i zachęcała do czegoś, co nam nie leży, tak żeby skończyło się zarobieniem kosza pieniędzy? Przychodzi do biura, prawda, siedzi w nim cały dzień i pracuje, ale nie robi tego co przedtem. Nawet przestała latać, a przecież właśnie w powietrzu przychodziły jej do głowy najlepsze pomysły. Zupełnie jakbyśmy kupili wielki, śliczny, błyszczący diabelski młyn, który po dostawie zamienił się w plastikową zabawkę dla dzieciaków. Freddy jest wobec nas nie w porządku i sądzę, że powinienes z nią poważnie na ten temat porozmawiać.

- Jak to się stało, że padło na mnie?

- Bo ty znasz ją od dziecka. Ciebie posłucha. Mnie powie po prostu, żebym nie wciskał głodnych kawałków.

- Dziękuję, postoję. Jeśli chcesz, zrób to sam.

- Tchórzysz?

- No.

- A ja nie. Nadal uważam, że byłoby właściwiej, gdyby usłyszała to od ciebie, ale skoro jesteś taki delikatny, to podejmę się tego osobiście. W najgorszym razie powie mi, żebym się nie wtrącał, i co z tego? Przynajmniej sprowadzę jej myślenie na właściwe tory. Nikt nie musi nosić żałoby po rozwodzie przez całe życie.

- Zamierzasz przedstawić problem w ten sposób?

- E tam, bardziej taktownie. Przede wszystkim muszę dopaść ją poza domem i nie w biurze.

- Idź z nią do fryzjera. Poza tym nigdzie nie bywa. - Swede uśmiechnął się szeroko. Żadna siła nie mogła go zmusić do wetknięcia

nosa w osobiste życie Freddy. Za dobrze ją znał. Kto jeszcze wiedział o fatalnym pechu, jakiego miała z mężczyznami, którzy dla niej coś znaczyli? Czy można było ją winić, że chce się teraz odciąć od świata? Zresztą to Jock Hampton był cały spłoszony. Zdaniem Swede'a ich interesy stały nieźle, a przecież kto, jeśli nie on, powinien to wiedzieć.

- Chcę ją zaprosić na zjazd eskadry „Orzeł”. To jest pomysł. Nie może odmówić. Będzie tam jedyną dziewczyną, która wie, o co na tej imprezie chodzi, jedyną która zasługuje, żeby tam być.

- Myślisz, że pojedzie?

- Jeśli nie z własnej woli, to zwiążę ją i wrzucę na tylne siedzenie wozu. Porwę ją.

- Czy jesteś pewien, że nie masz na myśli przede wszystkim czegoś takiego?

- Swede, ty perwersyjny, wstrętny starcze z kosmatymi myślami. Płacisz za lunch.

* * *

Freddy zrobiła złą minę, niezmiernie zirytowana, że zmuszono ją do pójścia na to przyjęcie. Od chwili, gdy Jock wspomniał o zjeździe eskadry „Orzeł”, wiedziała, że jest to ostatnia impreza, na jakiej powinna się pokazać.

Jeszcze nie zdarzyło się, żeby Jock miał gorszy pomysł. Tak całkowicie zabrakło mu wyczucia, wykazał tak niewiarygodny brak taktu, nie potrafiła wprost uwierzyć, że proponuje jej wspólne pójście. Czyżby w najmniejszym stopniu nie pojmował jej uczuć, nie zdawał sobie sprawy, że ludzie z eskadry „Orzeł” niechybnie przypomną jej wszystkie wzniosłe chwile, teraz bezpowrotnie stracone? Te wspaniałe dni, jak nazwał je Tony

w ostatniej, strasznej przemowie, z której Freddy nie zapomniała ani słowa. Dni, w których kochała pracę i kochała Tony'ego, a potem obie miłości jakby zlały się w jedną. Miała wtedy poczucie misji, które wznosiło ją na wyżyny, jakich teraz swemu poprzedniemu wcieleniu mogła jedynie zazdrościć. Jock zaproponował jej pójście na „jazd tak kompletnie nie rozumiejąc przyczyn, dla których nie było mowy o tym, żeby wkroczyła do sali pełnej ludzi, będących częścią jej minionego szczęścia, że odebrało jej mowę, niemalże stanęła z otwartymi ustami, a Jock tymczasem wylewał z siebie żalną historyjkę.

- Będę w kropce, jeżeli ze mną nie pójdziesz - skamlał. - Wszyscy chłopcy mają żony, a do tego po dwa i pół dzieciaka. Nie uwierzysz, co mówili na ostatnim zjeździe: biedny Jock, jak to się stało, że nie znalazłeś ani jednej kobiety, która umiałaby z tobą wytrzymać, chyba coś z tobą jest nie tak, może za bardzo przywiązałeś się do matki, skończysz jako stary kawaler próbujący na siłę wypełnić życiową pustkę- A najgorsze, że mówili: mam dla ciebie dziewczynę! Wszyscy co do jednego próbowali wyswatać mnie z siostrą. Lubię tych chłopaków, ale nie pójdę już na zjazd bez damskiego towarzystwa, a nie mogę wziąć żadnej ze znajomych, bo te będą tak zwracać uwagę, że nici z dobrej zabawy. Przecież nie zaszkodzi ci, jeśli poświęcisz jeden wieczór na poratowanie mnie w trudnej sytuacji. Będiesz po prostu czuwać nade mną, jak drugi w szyku, i w razie gdyby nastąpił atak, szczególnie ze strony żon, zmieniać temat konwersacji, ściągać agresorów z mojego ogona. Odnoszę wrażenie, że w tym kraju bycie trzydziestojednoletnim mężczyzną stanu wolnego jest zbrodnią przeciwko amerykańskiemu stylowi życia. A gdybyś kiedyś potrzebowała eskorty, chętnie się zrewanżuję, zawsze możesz na mnie liczyć. - I tak

dalej, i tak dalej.

Szybko zabrakło jej wymówek, gdyż do jedynej przyczyny, która mogłaby go uciszyć, Freddy nie przyznałaby się za nic. Prawda zaś była taka, że odkąd Tony ją porzucił, widząc jedyny ratunek dla siebie w jak najszybszym zniknięciu z jej życia, toczyła wojnę z sobą, była jak sparaliżowana, nie mogła wykonać najmniejszego ruchu. Z jednej strony palił ją wstyd z powodu słów Tony'ego. Zarzuty, które przyjęła jako prawdziwy obraz własnego zachowania wobec męża, zadały jej śmiertelny cios. Miażdżyły ją wyrzuty sumienia. Z drugiej strony, nigdy w życiu nie była jeszcze tak wściekła. Jakim mięczakiem bez charakteru musi być mężczyzna, który obarcza żonę całą odpowiedzialnością za własny upadek. Gniew jednak przyszedł jej na ratunek dopiero, gdy wysiliwszy pamięć, uświadomiła sobie, że Tony miał rację, w Anglii był przecież zadowolony, zaczął się staczać po przyjeździe do Kalifornii.

Wieczorami Freddy siadywała w domu i kiedy położyła Annie spać, obsesyjnie ciągnęła własny proces, w którym była prokuratorem i adwokatem, sędzią i ławą przysięgłych. Oskarżając się i broniąc, przemierzała tam i z powrotem ostatnie piętnastolecie własnego życia. Mac nigdy nie uciekłby od niej, gdyby nie zdradziła się tak wyraźnie z zamiarami. Gdyby wierzył, że Freddy posłucha głosu rozsądku, nigdy nie pojechałby do Kanady i nie zginął. Jeśli zaś chodzi o Tony'ego, to dlaczego właściwie mieszkanie w Longbridge Grange nie miałoby jej dawać satysfakcji? Wiele kobiet uwielbiało takie życie. Dlaczego nie potrafiła okazać więcej giętkości? Więcej kobiecości? Bardziej upodobnić się do Penelope, Jane, Delphine czy własnej matki? One wszystkie stawiały mężów na pierwszym miejscu, nie skrzywdziły dzieci rozwodem

i wiodły szczęśliwe, pełne, satysfakcjonujące życie.

Ale, do diabła, pomyślała Freddy, czy i ja nie mam swoich praw? Czy moje marzenia i pasje się nie liczą? Co złego jest w tym, że ktoś chce pracować nad spełnieniem pragnień? Jedyne w czterech ścianach własnego domu Freddy udawało się niekiedy osiągnąć coś w rodzaju wymęczonego rozejmu, czasowej równowagi między wstydem i wściekłością. Za to w zewnętrznym świecie nikt nie domyślał się faktów związanych z rozwodem, hańbiącej prawdy o porzuceniu jej przez Tony'ego i o jego kochance, której istnienia Freddy nawet nie podejrzewała. Freddy dawno już straciła ufność we własne siły, pewność siebie. Stwierdziła jednak, że nic z tego nie może usprawiedliwić jej odmowy pójścia na przyjęcie.

I jeszcze Annie. Jock, ten szczywany sukinsyn, powiedział w końcu:

- Annie, czy nie chciałabyś, żeby mama poszła się pobawić? Czy nie byłoby fajnie, gdyby mama ładnie się ubrała i raz wyszła za mną wieczorem?

Jak udało mu się wyszkolić ośmiolatkę, żeby wyrazem rozmarzenia, nadziei i pragnienia przypominała Olivera Twista? Czyżby ćwiczył z nią odpowiedź:

- Och, mamó, musisz iść! Lekcje mogę odrobić sama i bardzo chętnie zjem kolację w kuchni z Helgą. Od tak dawna nie miałaś żadnej przyjemności. - Głos Annie załamał się nie pewnie i Freddy stwierdziła, że nie byłoby najlepiej, gdyby córka uznała ją za osobę godną współczucia.

Nie, powiedziała sobie Freddy, na pewno Annie do tego zmuszono. To sprawka Jocka Hamptona. Sprawdziła w lustrze, jak wygląda. Wszystko zdawało się w najlepszym porządku. Wytworna czarna

jedwabna suknia bez dekoltu i z długimi rękawami, nieco za luźna, jak wszystkie jej stroje. Po odejściu Tony'ego całkiem straciła apetyt, do zjedzenia przyzwoitego obiadu mogła się zmusić wyłącznie wmawiając sobie, że trzeba dać dobry przykład Annie.

Freddy dodała szeroki czarny pas, który ściągnął kosztowny jedwab w tali. Strój był jak najbardziej właściwy, nie rzucał się w oczy, nie był w żaden sposób agresywny. W takiej sukni kobieta wtapia się w tłum. Jedyne cena, której nikt się nie domyśli, odróżniała tę kreację od pozostałych, które miały być noszone tego wieczoru. U fryzjera Freddy była po południu i włosy sprawiały całkiem znośne wrażenie. Przynajmniej raz, dzięki Bogu, postanowiły być dobrze ułożone. Naniosła na usta cienką warstwę szminki, ale zrezygnowała z tuszu do rzęs i cieni do powiek. Żony byłych pilotów na pewno okażą się gromadą zajętych, szczęśliwych kobiet poświęcających energię szczęśliwym dzieciom i zamieniających domostwa w szczęśliwe kątki szczęśliwych mężów. Najprawdopodobniej nie robią makijażu oczu, skoro w amerykańskich magazynach mody dopiero co zaczęto go lansować dla przeciętnych ludzi. Freddy nie chciała za bardzo przypominać gwiazdy z Hollywood. Małe kolczyki i czarne pantofle dopełniły stroju.

Kiedy przyjechał Jock, Freddy była gotowa od pół godziny. Jakoś nie mogła się jednak zdecydować na opuszczenie własnego pokoju. Siedziała bez celu, odwlekając wyjście i po raz piąty sprawdzając zawartość torebki. Jock i Annie prowadzili tymczasem ożywioną rozmowę. Słyszała ich z góry bardzo dobrze. Dlaczego Jock nie zaprosił na ten głupi zjazd Annie? Było jednak już za późno, żeby proponować takie rozwiązanie. W końcu zmusiła się do zejścia po schodach nasłuchując, jak oboje się śmieją.

Weszła do salonu, głosy raptownie zamilkły.

- Mamusiu! -jęknęła Annie.

- Freddy, nie idziemy na pogrzeb! - powiedział Jock.

- Co ty, do cholery, włożyłaś? Natychmiast idź się przebrać. I tak się spóźnimy, więc kilka minut nie robi różnicy.

- Och mamo, wyglądasz strasznie! - wykrzyknęła Annie.

- Czerń jest zawsze na miejscu, zawsze szykowna... co wy wiecie o ubieraniu się? To jest akurat Jacques Fath.

- Guzik mnie obchodzi, co to jest, idź włożyć coś miłego... i nie czarnego - ryknął Jock.

- Wyglądasz jak wdowa! - dodała Annie z wyrazem skrajnego nieszczęścia na czarującej twarzy.

- Dobrze, dobrze. - Freddy strzeliła w Jocka wściekłym spojrzeniem. Po wszystkich jego Brendach mogła sobie wyobrazić pretensjonalny i agresywny styl ubioru seksbombek, do jakiego był przyzwyczajony. W dodatku ten kogut nie powiedział jej nawet, że włoży mundur. Co za męskość! Szybko weszła do sypialni i przejrzała suknie, ze złością przesuwając za siebie kolejne ramiączka.

„Coś miłego”... ale głąb! Miłe. Wylazł na wierzch jego pogład na kobiety i ich prezencję. Miłe. Freddy nienawidziła tego słowa, irytującego i rachitycznego, bezwartościowej zabawki, świecidełka. I tak dobrze, że nie „milutkie”. Przynajmniej o bycie „milutką” nikt jej dotąd nie oskarżał.

Ściągnęła ramiączko z wieszaka i przyjrzała się sukience. W swoim czasie, tuż przed odejściem Tony'ego, była za ciasna. Freddy kupiła ją w ramach zamierzonego ocieplania atmosfery domowej, do którego nigdy nie doszło. Potem nigdy nie zadała sobie trudu, żeby odnieść sukienkę do

dopasowania. Był to w szafie jedyny strój nie w ciemnej tonacji, na tę okazję znakomity. Szybko ściągnęła czarny jedwab i wbiła się w sukienkę. Dopięła się akurat. Teraz jednak Freddy musiała zmienić buty, torebkę i włożyć inne, bardziej jaskrawe i większe kolczyki. Musiała też wzbogacić makijaż, żeby sukienka jej nie zaćmiła. I musiała coś zrobić z włosami, bo były za bardzo uporządkowane, wyglądała jak nauczycielka. Cholerny świat!

W przyływie emocji Freddy rzuciła się na własny makijaż z niemal zapomnianą sprawnością. Potem zajęła się włosami, zamaszystymi ruchami szczotki likwidując wszystko, co z nimi zrobiono, póki zuchwałą, samowolną, nieokiełznaną płataniną nie zrównoważyła wybranej kreacji: jaskrawoczerwonej szyfonowej sukienki bez ramion, z obcisłą, bardzo skąpą górą i wściekle obfitym, luźnym dołem. W czymś takim tańczy się całą noc, uwodzi księżyc i wabi na dół gwiazdy z nieba. Przystanęła przed lustrem całkiem odmieniona. Nie wyglądała „miło”. Wyglądała... hm... „lepiej”.

Wciąż jednak czegoś brakowało. Freddy podeszła do szkatułki z biżuterią i wzięła z niej emblemat ATA ze skrzydłami. Skoro Jock był nieskazitelnie umundurowany, a na jego uniformie nie brakowało ani jednej belki, to chyba mogła wykorzystać coś takiego. Na szczęście góra sukienki była wystarczająco mocno przymocowana do szkieletu, żeby bezpiecznie utrzymać skrzydła, nie obnażając piersi. Tak, ta wspaniała czarno-złota naszywka, dwa szeroko rozpostarte skrzydła z ciężkiego złotego brokatu, w czarnym obramowaniu, z owalem noszącym insygnia ATA w środku, nadawała sukience niezbędny ostatni szlif.

Freddy tupiąc zeszła po schodach, demonstrując przy okazji tyle

oburzenia, na ile stać w takiej sytuacji kobietę w cienkich sandałkach na wysokim obcasie.

- Mam nadzieję, że usatysfakcjonowałam oboje - oznajmiła wojowniczo. Jock i Annie zerwali się z foteli zapatrzeni.

- Wyglądam jak wyglądam - warknęła Freddy.

- O Jezu, Freddy!

- Jesteś taka... ojej... taka piękna - westchnęła Annie.

- Dziękuję Annie, kochanie. Wrócę wcześniej, ale obiecaj mi, że położysz się do łóżka o właściwej porze. Opowiem ci wszystko rano.

- Ojej, mam, ojej! Ale wyglądasz! Ile muszę mieć lat, żeby móc włożyć taką sukienkę?

- Dużo, bardzo dużo - odparła Freddy.

- Trzydzieści jeden, Annie, tak jak twoja mama - powiedział Jock. - Bardzo, bardzo mało. A teraz chodź, najwspanialsza. Nie możemy tam być ostatni.

- Jock, przestań, podkreślam, przestań mówić do mnie „najwspanialsza” tym beczelnym tonem albo nie wystawię nosa z domu. Nie idę z tobą na randkę. Jestem druga w szyku... inaczej nie pokazałabym się tam za żadne skarby.

- Tak jest! - zaszutował. - Nie ma dla mnie wytłumaczenia, pani porucznik! Bardzo przepraszam, pani porucznik!

- To już lepiej - powiedziała Freddy. Jock otulił ją nową kurtką z norek i podał jej ramię. Na te niepotrzebne gesty zareagowała uniesieniem brwi.

- Myślę, że poradzę sobie sama, dziękuję - powiedziała, szybko ruszając ku frontowym drzwiom z leciutkim kołysaniem biodrami.

* * *

Freddy stanęła jak wryta, niezdolna do następnego kroku. Z sali doleciała do niej melodia *The White Cliffs of Dover*.

- Jock - powiedziała błagalnie. - Ta muzyka... Jock, bezgranicznie zadowolony z siebie, nie usłyszał. Sam zorganizował cały zjazd, przesłuchał orkiestrę, dał jej listę wybranych utworów, wynajął małą salę balową, zaplanował obiadowe menu i wynalazł wszystkich pilotów eskadry „Orzeł”. Tym, którzy nie mieszkali w pobliżu Los Angeles, zapewniono podróż samolotem wraz z żonami, na koszt „Orłów”, podobnie jak nocleg w Los Angeles. Jock zdecydował również, że uczestnicy powinni nosić mundury.

Uznał, iż zawiadamiając chłopców z sześciotygodniowym wyprzedzeniem zachował się dostatecznie fair i dał im czas na zrzucenie zbędnych kilogramów, które mogły przybyć im od końca wojny... Jock nie utył ani o gram.

Schlebiał sobie, że przewidział wszystko, co ewentualnie mogłoby sprawić odrzucenie zaproszenia przez Freddy. Śmieszne, ale mimo usilnych starań nie potrafił wymyślić innego sposobu na wyciągnięcie jej z domu. Przez lata znajomości nie doszedł z nią do dość bezosobowego stosunku, żeby swobodnie pozwolić sobie na zaproszenie jej na obiad bez szczególnego powodu. Ku wielkiemu zaskoczeniu nie potrafił zrozumieć, na czym polega nie nazwana bariera, która uniemożliwia mu nieskrępowane zachowanie w obecności Freddy. Bez pretekstu w postaci Annie, nigdy nie odważyłby się wpadać do niej od czasu do czasu, i tak bardzo zwracał uwagę, by za każdym razem uprzedzić o wizycie telefonicznie. Gdyby nie był takim starym wróblem, pomyślałby, że

Freddy go odrobinę zawstydza. Czy można znać kogoś tak dobrze, żeby to aż przeszkadzało?

- Ta muzyka - powtórzyła Freddy - jest taka...

- Wspaniała, prawda? - rozpromienił się Jock.

- Okropna! - wykrzyknęła Freddy. - Nie cierpię nurzania się w robionej na siłę nostalgicznej atmosferze.

- Co ja na to poradzę, że chłopcy mieli takie życzenia? - spytał Jock, ujmując ją pod ramię i bezlitośnie popychając naprzód.

- Sztuczny patos! Pijacki smutek!

- Masz rację, ohyda. Ale nie możemy po prostu tutaj stać. Jesteś prawdziwym kumplem, Freddy. Doceniam to. Pamiętaj, kiedy zaczną wciskać mi siostry, masz mówić: „Jock ma bardzo fajną dziewczynę na stałe, ale niestety nie mogła dzisiaj przyjść”.

- Tego absolutnie nie można powiedzieć z poważną twarzą.

- Więc śmieję się, możesz nawet pękać ze śmiechu, byłeś tylko wydobyła z siebie te słowa. I akcentuj, że „na stałe”.

Muzyka zmieniła się na *Walzing Matilda*. Ten kawałek był żwawy, nie raził sentymentalizmem, przy jego dziarskich taktach Freddy pozwoliła się wepchnąć do sali balowej, gdzie natychmiast otoczyli ich umundurowani ludzie poklepujący Jocka i ściskający Freddy, i poklepujący Freddy, i ściskający Jocka.

Freddy odniosła wrażenie, że impreza zaczęła się poprzedniego dnia. Panowało gwarne, tłoczne zamieszanie, nastrój był wspaniały, a wszystkie żony ubrane tak jak ona. Pomyślała, że wcale nie będzie tak źle, jak przewidywała. Jock tymczasem pociągnął ją na parkiet. Orkiestra grała *Long Ago and Far Away*. Freddy osiągnęła wystarczająco radosny stan

ducha, by nie myśleć o ostatnim razie, kiedy z Tonym tańczyła tę melodię, a także następną, *Spring Will Be a Little Late This Year*. Niemal już zapomniała, jak Jock dobrze tańczy. Mało brakowało, żeby naprawdę przyjemnie spędzała czas. Orkiestra zagrała *You'd Be So Nice to Come Home To*.

- Przystaniesz mi śpiewać do ucha? - syknęła do Jocka.

- Znam wszystkie słowa - zaprotestował.

- To cię nie usprawiedliwia. Nie jesteś Bingiem Crosbym.

Na szczęście pojawili się starzy znajomi i przez następną godzinę rozwinięta Freddy przechodziła z jednych ochoczych ramion w drugie, a Jockowi nie udawało się zatrzymać jej przy sobie na więcej niż kilka kroków. Może i nie jest to najlepsza sceneria do małej pogawędki na temat fatalnej postawy Freddy, uznał, tracąc pewność siebie. Freddy była pierwszą damą tego cholernego balu, cudownie wolnym złym duchem szalejącym w zabójczej sukience, wytrawnym pirotechnikiem, za którego sprawą po przyjęciu mogło dojść do przynajmniej kilku wybuchowych sytuacji między mężami i żonami. W dodatku kto jej pozwolił nosić plakietkę? Przez te skrzydła pozostałe kobiety wydawały się... nie dopieczone.

Obiad minął w bezładnym zgiełku toastów, żartów, przesiadanek i wzniosłych opowieści o wielkich a prawdziwych czynach. Potem znów zaczęto tańczyć. Freddy słuchała muzyki już od kilku godzin, toteż melodie oderwały się od wspomnień, nie były niczym więcej niż sobą.

Nawet *When the Lights Go On Again* straciło moc cofania jej w czasie. Czowała się jakby zerwała więzy, osiągnęła Cudowny spokój, a jednocześnie doznawała o wiele intensywniejszej radości niż w dniach,

które żyły w jej pamięci. Udział w tym miało również wino, bez przerwy roznoszone i dolewane przez kelnerów.

Dyrygent podszedł do Jocka i coś mu szepnął. Jock zawahał się, potem odpowiedział skinieniem głowy. Wspiął się na podwyższenie orkiestry i odczekawszy aż fanfara uciszy gwar, zaczął:

- Chłopcy... pamiętacie chyba, jak wyskakiwaliśmy z samolotów, ciskaliśmy spadochrony i pędziliśmy na wyścigi do „Błękitnego Łabędzia” pić grzane piwo i śpiewać do upadłego? Pamiętacie, że czasem bywała tam dziewczyna, która śpiewała piosenki z pierwszej wojny światowej i nas też ich uczyła? Zbierzmy się teraz wokół niej i posłuchajmy jeszcze raz. Freddy, gdzie jesteś? Pani porucznik de Lancel, prosimy tutaj.

Rozległ się głośny okrzyk aprobaty. Freddy usłyszała zamówienia padające z sali i zrozumiała, że została podpuszczona. Dotąd nikt słowem nie wspomniał o przedstawieniu Jockowi siostry, Jock za to nie uprzedził jej, żeby przygotowała się na śpiewanie. Utkwiła w nim najbardziej mordercze ze swoich spojrzeń, on jednak nie przejął się i nadal gestem zapraszał ją na podwyższenie, gdzie orkiestra grała już *Hello Central! Get Me No Man's Land*. Tego kawałka raczej nie mogła mieć w stałym repertuarze.

Muszę się zgrabnie wykręcić, pomyślała Freddy, stwierdziła jednak, że niemal przepływa z rąk do rąk i staje przed podwyższeniem. Jock pomógł jej wspiąć się na górę.

- Sprytnie - powiedziała.

- Wiedziałem, że zechcesz to zrobić dla chłopaków. Odwróciła się do dyrygenta.

- Do wszystkiego mamy nuty - zapewnił ją. - Dostaliśmy od pana

Hamptona. Od paru dni ćwiczymy. Proszę po prostu śpiewać, my się do pani dostosujemy.

Freddy pokręciła głową. Jak pułapka, to pułapka. Jock nawet postawił dla niej barowy stółek na podium. Wdrapała się na niego i poczuła, że na widok sali pełnej oczekujących mężczyzn ozywają w niej wspomnienia przyspieszające bicie serca. Rozpoczęła od *Tipperary*. Przez chwilę, póki orkiestra się nie dostroiła, głos brzmiał trochę surowo, ale Freddy natychmiast poczuła, że całą salę ogarnia całkiem nowa emocja. Stare utwory były autentycznymi piosenkami żołnierskimi, nie romantycznymi, łzawymi balladami o rozdzielonych kochankach, pod które wszyscy tańczyli w latach czterdziestych. Przełknięci, lecz dzielni mężczyźni śpiewali je w okopach dwadzieścia lat wcześniej. Piloci eskadry „Orzeł” nucili jej do wtóru, a muzyka łączyła ich z innym pokoleniem towarzyszy broni. Freddy gładko przeszła przez *Tipperary* i zaczęła *Pack Up Your Troubles in Your Old Kitbag*.

Kontralt Freddy, chociaż nie szkolony, przypominał do złudzenia głos Eve, miodowy i porywający, słodki jak karmel przy najwyższych nutach, w środkowych rejestrach zaprawiony ledwie zauważalną cierpkością i świętokradczo ponętny w najniższej oktawie. Freddy zatraciła się w muzyce czując, jak z wersu na wers rośnie jej moc. *Od Keep the Home Fires Burning* przeszła do *Blue Horizon Waltz*, wzniosła się od *Good-Bye Broadway, Hello France!* po skowronkowy lot *I'm Always Chasing Rainbows*, z głową odrzuconą do tyłu siedziała, przesyłając zgromadzonym w dole słuchaczom piosenki niczym karty z miłosnymi pozdrowieniami na dzień świętego Walentego. Przeistoczyła się w Maddy, która w innej czerwonej sukience w noc przeznaczenia

śpiewała przy księżycu francuskim żołnierzom i oficerowi. Jednocześnie była jednak sobą: młodsza o dziesięć lat śpiewała w przepelnionym pubie mężczyznom proszącym o piosenki, żeby odepchnąć od siebie świadomość, że część z nich zginie w powietrzu następnego dnia. Freddy jaśniała, nie potrzebowała reflektora, roztaczała bowiem własne światło, nadając utworom, których nauczyła się w dzieciństwie od Eve, taką świeżość, jakby przed chwilą je wymyśliła.

Freddy zakończyła wspaniałe piosenki z przeszłości, chociaż publiczność trwała zespolona w transie i mogłaby słuchać jej śpiewu godzinami. Ześlizgnęła się ze stołka i dała znak dyrygentowi, żeby orkiestra zagrała coś innego, a sama zaczęła szukać zejścia z podium. Ale Jock, trzymający się cały czas blisko niej, zaczął śpiewać jedyną piosenkę, której Freddy nie chciała usłyszeć, bo znaczyła dla niej za wiele. Wszyscy mężczyźni w sali potraktowali intonację Jocka jako sygnał i podchwycili melodię. Prosta, niezapomniana melodia objęła Freddy, odbierając jej nawet moc poruszania wargami.

Całuj mnie, uśmiechem okłam łzy, Wrócę tu, gdy z kłębow burej mgły Wyrzy błękit, wtedy ja i ty Pójdziemy znów kochanków ścieżką...

- Śpiewaj, Freddy - przynagłał ją Jock. - Nigdy nie kończyłaś, póki tego nie zaśpiewałaś. - Część eskadry „Orzeł” wgramoliła się na podwyższenie Freddy poczuła ramiona otaczające jej talię, a grupa kołysała się na boki, rycząc na głos:

- Zagrzmi dzwon radośnie na nasz ślub, Szczęścia żar roztopi w sercach lód, Więc czekaj i co noc się módl Za nasz wielki dzień.

Zaczęli śpiewać jeszcze raz od początku i Freddy poczuła, że nie może powstrzymać łez spływających po policzkach. Nie! Nie wytrzymam

dłużej, pomyślała, lekko wyslizgnęła się z trzymających ją ramion, zeskoczyła na parkiet, szybko utorowała sobie drogę przez tłum śpiewających pilotów z żonami i uciekła z sali balowej na dół, do obszernego holu wyłożonego czerwono-złotymi dywanami, a potem dalej na Wilshire Boulevard, żeby przywołać taksówkę.

- Poczekaj! Zapomniałaś o kurtce! - Jock dopadł jej w pośpiechu i narzucił norki na ramiona. Wyjął chusteczkę i niezręcznie zaczął ocierać jej łzy z policzków. - Chryste! Przepraszam, że cię tak zdenerwowałem... Po prostu nie pomyślałem.

- Tak, z pewnością myślałeś o czymś innym - rzuciła oskarżająco. - Te stare piosenki... gdzie wykopałeś ich nuty?

- Nie przejmuj się, Freddy, byłaś bezbłędna! Nie spodobało ci się, że wrobiłem cię w śpiewanie? - Muszę przyznać... no, nie było tak strasznie... jakbym się spodziewała. Nawet nie wiedziałam, że pamiętam jeszcze słowa powiedziała z wybaczącym spojrzeniem.

Portier znów postawił dach cadillaca i Jock w milczeniu ruszył w kierunku domu Freddy. Echa nieśmiertelnych melodii wypełniały wnętrze samochodu z takim natężeniem, że nie było miejsca na słowa. O późnej porze ruch prawie zamarł, więc mimo wypitego alkoholu Jock prowadził wóz z prędkością godną pilota, za to bez poszanowania przepisów, polegał jedynie na dobrze wyrobionych odruchach. Zaparkował na podjeździe przed domem, z głośnym chrzęstem towarzyszącym kaskadzie żwiru spod kół.

- A więc po zjeździe. Następny pewnie za dziesięć lat - mruknął Jock. Freddy pomyślała, że w jego głosie brzmi wielki żal, za wielki jak na tę okazję.

- Może nie powinieneś już więcej organizować czegoś takiego - podsunęła Freddy. - Może powinno się przeżyć jeden taki wieczór... i tylko jeden...

- Ale w takim razie nie usłyszałbym już nigdy, jak śpiewasz... I cholernie brakowałoby mi ciebie takiej, jak w tych dniach...

- Nic nie jest wieczne, Jock. Wszystko się zmienia, i to nie zawsze na lepsze - powiedziała Freddy. Podniosła torebkę i rękawiczki, zbierając się do wyjścia z samochodu.

- Nie. Poczekaj. Zostań jeszcze przez chwilę. Czy nie moglibyśmy zwyczajnie porozmawiać? Nigdy nie rozmawiamy tak zwyczajnie, zawsze tylko o interesach...

- Zwyczajnie porozmawiać? - zdziwiła się Freddy.

- Tak. O... och, o czymkolwiek... w taki sposób, jak mogliby rozmawiać ludzie, którzy stykają się od dziesięciu lat, ale tak naprawdę nie znają się dobrze, choć może powinni się poznać.

- I my powinniśmy? - To ją szczerze rozbawiło. Przez lata znajomości z Jockiem nigdy nie widziała go pod wpływem alkoholu, a już bez wątplenia nigdy nie zdarzyło mu się zaczynać bezcelowych konwersacji.

- Czy pan nie wypił za dużo, pułkowniku?

- Cholera, na pewno. Jestem wlany. *In vino veritas*, cokolwiek to kurewstwo znaczy.

- Nie sądzisz, że powinieneś iść do domu i odespać? Możemy porozmawiać kiedy indziej - powiedziała, powstrzymując śmiech. Wyglądał tak śmiertelnie poważnie jak nie Jock.

- Mój Boże, Freddy - krzyknął z oburzeniem. - Ty nie wiesz o mnie

nawet najważniejszej rzeczy. Nawet nie chcesz wiedzieć.

- Jock - zaczęła go strofować, zupełnie jakby był w wieku Annie i stwierdził coś z typową dla dziewczynki przesadą. - Byłeś najbliższym przyjacielem Tony'ego, Longbridge'owie uważają cię za członka rodziny, od pięciu lat jesteśmy współnikami w interesach, jesteś też chrzestnym ojcem Annie i byłeś świadkiem na moim ślubie... O niebiosa, oczywiście, że cię znam.

- Akurat. Dla ciebie zawsze byłem członkiem grupy, przed chwilą tego dowiodłaś. Czy nie sądzisz że istnieję także jako osoba obdarzona własną egzystencją? Że mam własne życie... cholerne życie pełne nadziei, marzeń i uczuć, które nie mają nic wspólnego z rodziną Longbridge'ów ani z „Orłami”? - Freddy milczała myśląc, że bez względu na to, czy Jock jest wlany, bez wątplenia usłyszała w tych zaskakujących słowach autentyczną urazę - A przecież była w nich prawda.

Jock obrócił się ku niej, zarys głowy i twarzy nagle wydał jej się nieznajomy.

- Jock... - Wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć jego ramienia w niepewnym geście przeprosin. Jock dostrzegł to i z jękiem przyciągnął ją do siebie.

- Do diabła, Freddy, kocham cię tak bardzo, że nie mogę już wytrzymać! Czy chociaż przez sekundę przyszło ci to do głowy?

- Jock. - Zaskoczona nie uwierzyła mu. Śmiejąc się z absurdalności słów, odepchnęła go. - Głowa do góry! Przemawia przez ciebie alkohol... i jeszcze dzisiejszy wieczór, starzy znajomi, muzyka, wspomnienia... wspaniałe dni... to nie miłość. Przypomnij sobie wszystkie kobiety w twoim życiu. - Na samą myśl o nich Freddy usłyszała we własnym głosie

figlarną nutę. - Skąd w ogóle możesz mieć pewność, że kiedykolwiek byłeś zakochany.

- Szlag by to trafił, posłuchasz mnie wreszcie?! I przestań sobie podkpiwać z taką ohydną wyższością. Miałem tego pecha, że zakochałem się raz w życiu... w kościele w Anglii, w pięć sekund po waszej przysiędze, kiedy odchyliłaś welon i zobaczyłem twoją twarz. Zakochałem się jak głupi sukinsyn, nieodwołalnie. Przez lata miotałem się, usiłując się z tego wyleczyć, oddalić to uczucie, zniszczyć, zmienić, osłabić, ale... takie już mam szczęście... nic z tego nie wyszło. Nie chcę kochać się w tobie! Myślisz, że jest zabawnie kochać się w kimś, kto traktuje cię jak tapetę, do tego śmieszna, kto myśli o tobie w jednym ciągu ze ślubnymi prezentami?.

- Ale... ale... - plątała się Freddy. Nigdy nie słyszała go mówiącego z tak niezręcznie wyrażonym, lecz nieodpartym przekonaniem, całkiem bez pozy chłodnego, twardego człowieka.

- Żadnych „ale”. Znam ten cały kit na pamięć. Pojawiłem się w twoim życiu za późno, byłaś wzięta, oddałaś miłość komu innemu, jestem po prostu kumplem, jestem częścią twoich dziejów, a nikt nie może napisać dziejów od nowa. Wiem, że nie było czasu na sentymenty, oszczędź mi zastrzeżeń. Nie ma żadnego „ale”, którego nie przemyślałbym tysiące razy. Posłuchaj, Freddy, tylko mnie posłuchaj. Co było, to było, tego nie zmienimy, ale możemy napisać od nowa przyszłość. Czy wiesz, ile razy robiłem to z przeszłością, ile razy wyobrażałem sobie, co by było, gdybyśmy spotkali się we właściwym czasie. Nie, nie próbuj mi przerywać. Pewnie, że jestem trochę podcięty... w ten sposób wreszcie zebrałem w sobie dość odwagi, żeby ci to powiedzieć. Musisz posłuchać!

Och, Freddy, gdybyśmy razem chodzili do średniej szkoły albo do college'u... przecież łatwo mogło się tak stać, dorastaliśmy sto kilometrów od siebie, urodziliśmy się w tym samym roku, w tym samym miesiącu! Tylko rzuciłbym na ciebie okiem i zaprosił nar zabawę klasową, i nie rozmawialibyśmy o niczym innym niż o samolotach, zapomnielibyśmy o tańcu i o czasie, a zanim odprowadziłbym cię do domu, wiedziałabyś, że jestem przeznaczony dla ciebie. Może nawet pozwoliłabyś pocałować się na dobranoc. Nigdy więcej nie szukalibyśmy dla siebie partnerów. Minęliśmy się o centymetry, Freddy! Do diabła, czy potrafisz sobie wyobrazić, jacy bylibyśmy szczęśliwi!

- Myślę... że nie byłoby to całkiem niemożliwe... jeśli wierzyć w podróżę w czasie - przyznała, nie mogąc znaleźć wyraźnie słabego punktu w jego rozumowaniu. Umysł pracował jej równie logicznie jak zwykle.

- Właśnie miałem poprosić cię o coś naprawdę głupiego - powiedział Jock czując, jak spragnione serce bije mu mocniej.

- O co?

- Tylko matoł prosi dziewczynę o pozwolenie - odparł. - Nie pamiętasz tego że szkoły? - Pochylił się ku niej, wziął ją w ramiona i zanim zdążyła zaprotestować, pocałował w usta, z szacunkiem, czule, słodko, ale z nie omylną godnością mężczyzny, który wie, że pocałunek nie zostanie przyjęty całkiem nieprzychylnie.

- Przestań - pisnęła zaskoczona Freddy. Od tak dawna jej nie całowano, że zdrewniała w popłochu.

- Połóż mi ręce na ramionach, Freddy - powiedział. - No, tylko spróbuj, jeśli nie będzie ci dobrze, przestanę.

- Co ty robisz, Jock, do cholery?

- Całuję. Po prostu całuję - powiedział i pocałował ją znowu.

- Mówiłeś, że chcesz porozmawiać - broniła się szaleńczo, całkiem onieśmielona ciepłem i doskonałością jego warg, i cudownym doznaniem płynącym z mocnego, pewnego uścisku ramion. Był wielki, ładnie pachniał smażonymi kasztanami, a jego objęcia dawały bezpieczeństwo. Kto pomyślałby, że Jock ma takie miłe wargi?

- Później. Teraz oddaj pocałunek, Freddy, kochanie, proszę, pocałuj mnie też, kiedy cię całuję. Tak, już lepiej, o wiele lepiej, nie bądź skrepowana, jesteś taka piękna, kocham cię, zawsze cię kochałem. Nie musisz od razu obdarzyć mnie miłością, ale proszę pozwól, że spróbuję cię we mnierozkochać, obiecaj mi to, długo czekałem, bardzo tęskniłem do ciebie... tęskniłem do ciebie całe życie... Zawsze zastanawiałem się, jak czuje się człowiek, który cię całuje, ale nie myślałem, że aż tak dobrze. - Ukrył twarz w jej włosach, ich serca drżały niepewnie, gdy oboje szukali w sobie oparcia, bo świat nagle pozbawił ich równowagi, zrywając cumy z tego tylko powodu, że spotkało się dwoje ust.

Jock ujął twarz Freddy w dłonie i całował ją powoli, poznając linię włosów, potem gorący policzek, płatek ucha, potem odchylił głowę i delikatnie zaczął muskać ustami skórę na szyi, odsuwając futrzany kołnierz, którym Freddy wciąż była ciasno otulona. Freddy odsunęła się wbrew własnej woli, chociaż drżała z rozkoszy, czując lekki, subtelny dotyk poszukujących warg, chociaż chciała pograżyć się w cudownym bezpieczeństwie doznawanym w jego ramionach.

Bez powodzenia próbowała dojrzeć w mroku jego oczy.

- Jock, poczekaj! Zanadto się spieszysz. Wróć! Daj mi szansę jasno pomyśleć, wyobraź sobie, że jesteśmy po szkolnej zabawie, wszystko

pomalutku. - Zniszczona wiara w siebie pozostawiła we wnętrzu Freddy bolesną ranę, coś ostrzegało ją, że jest jeszcze zbyt wrażliwa, zbyt nieszczęśliwa, musi polegać na rzeczywistości, którą udało jej się stworzyć podczas długich nocy spędzonych na bitwie z myślami, nie wolno poddać się kłębowisku nieoczekiwanych uczuć, zbudzonych słowami i pocałunkami.

Zwolnił uścisk i przytulił jej głowę do piersi, do munduru. Jedną ręką lekko ją przytrzymał, drugą zaczął lekko gładzić włosy, jakby Freddy była dzieckiem.

- Właśnie byliśmy na szkolnej zabawie, Freddy. Pragnę tylko trzymać cię przy sobie długo, długo. Nie mogę uwierzyć w moje szczęście. Nie mogę uwierzyć, że istnieje piękna, rudowłosa, niebieskooka dziewczyna, która chce latać tak samo jak ja. Zastanawiam się, czy jest szansa, że któregoś dnia będziemy latać razem. Mniej więcej na tyle pozwala mi wyobrażnia, bo przecież mam dopiero szesnaście lat. - Roześmiał się radośnie. - Jestem o wiele za młody, żeby pomyśleć, że kiedykolwiek może mi się zamarzyć robienie czegoś innego z tak doskonałą dziewczyną.

Freddy wtuliła się wygodnie, chciała, żeby Jock mówił bez końca, jakby każde słowo upewniało odrobinę bardziej, że przyszłość jej coś jeszcze przyniesie, jakby mogło się zebrać tych słów wystarczająco dużo, by urzeczywistnić tę nadzieję. W rozmarzeniu pomyślała, że Jock jest taki dobry, niespodziewanie czuły, tak uczciwy na swój niezgrabny sposób i prostolinijny niczym mały chłopiec. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, wydał jej się rycerskim Wikingiem... może się nie myliła. W jego głosie brzmiała czysta tęsknota, zupełnie jakby kochał ją zawsze. To

wyjaśniałoby, dlaczego niezmiennie wydawał się nieco zły na nią, złość była jego zbroją, okrywającą miłość. Jeżeli ją kochał Nagle wszelkie wątpliwości ustąpiły. Freddy rozpoznała głos miłości, usłyszany po tylu latach ciszy. Skłoniła się do przodu i otoczyła ramionami mocno zbudowaną szyję Jocka, podciągnęła się na niej, chcąc przycisnąć spragnione wargi do jego ust, obdarzyć go pierwszym pocałunkiem z własnej woli, gwałtownym, namiętym pocałunkiem przed którym, po raz pierwszy, nic jej nie powstrzymywało.

- Jezu! - westchnął Jock. - Jak ktoś mógł być takim głupcem, żeby cię zostawić? Mówiłem Tony'emu, ile razy widziałem go z tą dziewczyną, że jest niespełna rozumu! Ostrzegałem... dzięki Bogu, że mnie nie posłuchał.

Freddy poczuła się, jakby wepchnął jej w oczy garść ostrych szpilek.

- To ty... widziałeś Tony'ego z tą dziewczyną... mówiłeś mu! - Sztywno opuściła ramiona.

- No... rozumiesz... kumple, przyjaciele naturalnie... no... porozumiewają się.

- Mój Boże, siedzieliście razem i gadaliście o mnie! - Spiskowałeś z nim... Spotykałeś się z moim mężem i jego kochanką. Bez wątpienia w czasie waszych rozchichotanych serdecznych pogaduszek Tony zwierzył ci się z wszystkich paskudnych, ponurych, prywatnych szczegółów tego, co dzieje się między nami. Wiedziałeś wszystko do najdrobniejszego szczegółu, a mnie się nawet nie śniło... nawet nie śniło... - Gwałtownie pchnęła drzwi samochodu. Zanim Jock zdołał się poruszyć, Freddy szybko zsunęła się z przedniego siedzenia, podbiegła do frontowych drzwi, otworzyła je i znikła z trzaskiem, którego ostateczność nie budziła

najmniejszych wątpliwości.

* * *

Kilka pozostałych godzin tej nocy Freddy przesiedziała w fotelu stojącym w sypialni, zamknięta w kręgu skrajnej wściekłości i nienawiści. W pewnej chwili poczuła chłód, więc zmieniła sukienkę na gruby szlafrok i skarpety, ale poza tym nie ruszała się z fotela, tylko raz jeszcze pobiegła do łazienki, gdzie wymiotowała, póki nie zostało w niej nic prócz żółci.

Obsesyjnie powtarzała sobie każde słowo rozmowy z Jockiem. Bez końca wracała do niej myśl, że została potraktowana jak łatwa zdobycz. Jak uszkodzony samolot, pozbawiony amunicji, oddzielony od eskadry, pozostawiony nad terytorium nieprzyjaciela w samotnej ucieczce, z pilotem, któremu nie pozostaje nic innego niż modlić się, żeby go nie zlokalizowano i nie zestrzelono. Takim łupem nie chełpi się nawet zielony pilot, byle chłopak może strzelać do niego z ziemi z nadzieją trafienia. Łatwa zdobycz, bezradna, żałosna i bezbronna. Nic lepszego. Nic bardziej wyrafinowanego. Nic prostszego. Jak mogła sobie pozwolić, żeby uwierzyć mu choćby przez kilka minut? Wściekła na siebie, Freddy czuła tak gigantyczne upokorzenie, że napad mdłości powitała z ulgą. Nie była w stanie nawet się oszukiwać. Uwierzyła Jockowi. Naprawdę uwierzyła mu w te gadki szmatki o miłości i, o Boże, jakże często kobieta wykazuje się ośłą głupotą, nie dość, że w nie uwierzyła, to jeszcze jej się podobały. Podobały jej się tak bardzo, że nigdy nie przestanie czuć do siebie nienawiści za te minuty. A jednak знаła Jocka Hamptona, tego ordynarnego sukinsyna, znała ten rodzaj kobiet, na które chodził, widziała ich dość, jak zmieniają się na posterunku, od pierwszych dni jej małżeństwa z Tonym. Brytyjskie Brendy i amerykańskie Brendy były

wszystkie tą samą dziewczyną, a przecież po minucie czułych słówek, w dodatku pijackich, omal nie pozwoliła się nabrać.

Musiała mieć desperację wypisaną na czole. „Błagam, niech mnie pan z łaski swojej wypieprzy”, coś takiego widział pewnie spoglądający na nią mężczyzna. Jedno objęcie wystarczyło, żeby zrobiła się miękka. Jedno głupie objęcie. Jock był jedyną osobą na świecie poza Tonym, która wiedziała, że Freddy nie kochała się z nikim ponad rok. Wiedział, jak łatwo ją rozbudzić, i wykorzystał to przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Ale chwileczkę! Czy Jock był jedyną osobą? Czy Tony powiedział Swede'owi? Czy powiedział jeszcze komuś innemu? Może wszyscy wiedzą! Może jest to publiczna tajemnica, Tony Longbridge i jego kochanka, Tony który odstawił żonę, Tony który tak chciał się uwolnić, że nie mógł nawet wytrzymać dotykania biednej starej Freddy.

Dziś wieczorem nikt nie wspomniał przy niej ani słowem o Tonym. To ona tam była, ubrana jak idiotka, mizdrząc się do ludzi emblematem ze skrzydłami, i, o dziwo, wszyscy wykazali nadzwyczajny takt, nikt nie robił wrażenia ani trochę zdziwionego i zakłopotanego. A jednak wszyscy musieli wiedzieć o rozwodzie, nie było co się oszukiwać, w małym światku, takim jak eskadra „Orzeł”, nowiny rozchodziły się szybko, zwłaszcza że w gazetach dużo pisano o ich firmie. Najwyraźniej obecni, a z pewnością mężczyźni, uznali, że jest dziewczyną Jocka. Inaczej bez wątpienia dostrzegłaby jakiś znak współczucia... gest, słowo sympatii. Tony wrócił do Anglii natychmiast po podpisaniu rozwodowych dokumentów... byłoby naturalne, gdyby choćby jedna osoba coś o tym napomknęła, ale nie, nie zdarzyło się to nikomu. Dziewczyna Jocka. Boże, wszyscy pomyśleli, że wpadła prosto do jego łóżka... do łóżka jeszcze

ciepłego po ostatniej dziewczynie. Łatwa zdobycz.

Kiedy przyjdzie świt? Kiedy? Nawet w Kalifornii w zimie switało późno. Jeszcze przed wschodem słońca Freddy była ubrana w najcieplejszy strój do latania, zostawiła w kuchni wiadomość dla Helgi i Annie, i niedługo po wyjściu słońca zza horyzontu znalazła się w Burbank, gdzie wyciągnęła z hangaru bonanżę. Rzadko na niej latała od dnia, w którym pokazała Tony'emu dom. Samolot odznaczał się supernowoczesną linią, myślała, że będą nim latać wszyscy: ona, Annie i Tony... miał być rodzinną maszyną, ale rodzina nigdy nim nie leciała.

Przez ostatni rok Freddy kilkakrotnie próbowała ulżyć sercu, wziąć bonanżę na krótki popołudniowy lot, ku własnemu rozczarowaniu nie mogła jednak doznać w powietrzu uzdrawiającej euforii jak kiedyś. Coraz częściej znajdowała chwilowe zapomnienie, zakopując się wśród papierów leżących na jej biurku w siedzibie „Orłów”. Jej samotność urozmaicali tam znajomi pracownicy i ciągły strumień problemów wymagających rozwiązania. Potrzebowała dźwięku ludzkich głosów, kontaktu z sekretarkami, księgowymi, fachowcami od marketingu i innymi ludzkimi istotami, na które natykała się w ciągu dnia, równoważyła w ten sposób denerwujące wieczorne osamotnienie po położeniu Annie.

Tego zimowego ranka nie było jednak mowy o pójściu do biura, gdzie ryzykowałyby spotkanie z Jockiem lub Swede'em. Pomyślała; że Jock pozbawił ją również „Orłów” i zaczęła sprawdzać samolot. Postanowiła sprzedać swój udział i wyłączyć się z przewozowych interesów. Nie mogła pozostawać jego współnikiem. To było nie do pomyślenia. Sposobami rozliczenia z „Orłami” mogła jednak zająć się później, kiedy wróci z lotu, bo jeśli kiedykolwiek po jej przyjeździe do

Kalifornii nastał czas zaczerpnięcia pociechy z bezkresu nieba, to właśnie dzisiaj.

Freddy rzuciła spojrzenie do góry. Widoczność była prawie zerowa. Niskie, podobne do mgły zimowe chmury kalifornijskiej pory deszczowej przerzedziły się nieco przy końcu pasa startowego, ale na ziemi było ciemno, wilgotno i wstrętne. Mało zachęcający dzień na lot, pomyślałby człowiek, który nie jest pilotem. Ale ponad chmurami, po przebiciu się do słońca, ma się przecież taki sam dzień jak każdy inny poza tym, że z powietrza nie widać ziemi. Całe szczęście, pomyślała Freddy, z uwagą obchodząc beechcrafta. Lepiej, żeby nic jej nie przypominało, że wprawdzie może polecieć nie wiadomo jak wysoko, ale po ziemi zawsze pełzają ludzie. Bo tam jest tylko niebo. Tylko horyzont. I, co najważniejsze, chmury, z którymi można się bawić. Jakże tego pragnęła.

Bonanzę doglądał jeden z najbardziej doświadczonych mechaników zatrudnianych przez „Orły”, ale Freddy dodatkowo sprawdziła samolot osobiście, gdyż nie robiła tego przez kilka miesięcy. Zmusiła się do szczególnej pedanterii, czuła bowiem, że przed odlotem grunt pali jej się pod nogami.

Wczesnym rankiem przy fatalnej pogodzie na lotnisku panował spokój. Żaden inny pilot prywatnego samolotu nie szykował się do startu ani lądowania. Freddy dojechała na początek pasa startowego, z sercem bijącym jak u jeńca spragnionego ucieczki, szybko wykonała rutynowe czynności przed odlotem, stwierdziła, że żaden ze wskaźników na tablicy przyrządów nie świeci na czerwono i w końcu, zwolniona z dyscypliny, puściła się ku dającym zapomnienie żywiołom, pędząc pasem startowym w kierunku obiecująco przyzywającego nieba.

Wysoko wszystko zalewała jasność dnia. Chmury poniżej były sprasowane, wyglądały jak wieczko nieskończenie wielkiej puszeki. Nawet najmniejsze wypuczenia i zagłębienia wyrównały się, tworząc idealną płaszczyznę, ponad którą rozciągał się czysty, niezmienny błękit poranka, całkiem pozbawiony tajemnic i urozmaicenia. Nudny błękit, wrogo stwierdziła Freddy, czując rozczarowanie, że nie znajdzie w nim nic, co pomogłoby jej uspokoić umysł i uśmierzyć gniew. Przez taki błękit pilot mógł jedynie niecierpliwie przelecieć w drodze do czegoś zupełnie innego.

Skierowała się na północ, mając nadzieję dostrzec obłoki oderwane od masy, choćby malutkie, byle tylko można było zatańczyć z nimi w podniebnym tangu. Najchętniej spotkałaby gwałtowną burzę z takich, które każdy rozsądny pilot oblatuje szerokim łukiem, ordynarną burzę, która czyha w skłębionych masach powietrza że złowrogą ostentacją.

Mogłaby zaryzykować niepisany pakt w świetle błyskawicy. Burza ciskałaby nią po kabinie, zmusiłaby ją do wspięcia się na szczyty umiejętności, przywołania wszystkich doświadczeń. Freddy pomyślała z niesmakiem, że prawdopodobnie aż do Chicago nie spotkałaby nawet ulewy. Tego dnia zerowej widoczności towarzyszył całkowity bezruch. Rozejrzała się po przestronnej, wygodnej kabinie z nagłą odrazą. Co za bezpłciowy samolot! Pokrycie bez skazy, tablica przyrządów błyszcząca od nowości, na metalowym pedale hamulca ani śladu stopy; z wściekłości na tę nieskazitelną świeżość Freddy wytarła o niego buty. Latała już tysiącami nowych samolotów, prosto z fabryki na lotnisko, na tym polegała przecież jej praca w ATA, ale nigdy nie czuła takiej niechęci do nowości jak w bonanzie.

Ten samolot był nie tylko zbyt nowy, lecz również w najwyższym

stopniu nieciekawym. Freddy doszła do tego wniosku z kwaśną miną, zastanawiając się, dlaczego tak bardzo chciała go kupić. Model wprowadzono na rynek zaledwie kilka lat temu. Był pierwszym czteroosobowym jednosilnikowcem o prędkości przelotowej dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, wyjątkowo bezpiecznym i zbudowanym z wielką dbałością o szczegóły.

Wszyscy nazywali go nieporównywalnym. Ja nazywam go pierdoloną grubą krową, pomyślała Freddy w napadzie furii, latającą krową która mogłaby zmieścić na pokładzie mamusię, tatusia, dwoje dzieci, koszyk z prowiantem, podręczne torby, parę śliniących się psów i może jeszcze nocnik.

Pędziła bonanzą po opustoszałym niebie, wykonała kilka raptownych ewolucji, chłodno i bez najmniejszego wrażenia spostrzegając, że krowa wytrzymuje ciśnienie. Dlaczego miałyby nie wytrzymywać? Freddy zapłaciła za tę podniebną limuzynę całkowicie wystarczającą sumę. Pomyślała o tym wzgardliwie, czując przyływ tęsknoty do jakiegoś odrapanego, szacownego staruszka, starodawnej maszyny, z historią zapisaną na pokryciach obu skrzydeł, samolotu którego indywidualność i wartość byłyby widoczne w każdym z przyrządów. Kochała się już w wielu samolotach i żaden jej dotąd nie zdradził, żaden nie zwrócił się przeciwko niej, nie wystawił jej na pośmiewisko, samoloty nie odkrywały, że jest kobietą i ma kobiece słabości, nie wykorzystywały tego faktu, żeby zrobić z niej kozła ofiarnego, traktować jej jako ofiarę, łatwą do okpienia, łatwą do wystrychnięcia na dudka... jako łatwą zdobycz.

W chmurze po prawej pojawiła się mała luka. Freddy podleciała tam i zanurkowała w nią, chcąc zobaczyć, dokąd zdążyła w tej włóczędze po

niebie. Stwierdziła, że zupełnie nie ma pojęcia, gdzie jest. Według zegarka od startu z Burbank minęły prawie dwie godziny. Znajdowała się nad oceanem, szarym oceanem, a horyzont był zaledwie o odcień jaśniejszy. Gęsta mgła, kłębiąc się, sunęła w kierunku Santa Monica. Wszystkie lotniska w promieniu wielu kilometrów powinny zezwalać wyłącznie na lądowanie według przyrzędów albo w ogóle nie przyjmować żadnych maszyn.

Równie dobrze mogłabym być nad Laponią, stwierdziła Freddy, z goryczą kręcąc głową. Przypomniła jej się dzień, w którym pierwszy raz wyleciała nad Pacyfik. Niebo zauroczyło ją do tego stopnia, że ściagałaby żagle aż za linię horyzontu, gdyby. Mac jej nie pohamował. Była taka młoda, taka szalona... taka szczęśliwa. Tego dnia po raz pierwszy odbyła samodzielny lot. Już za kilka dni od dziewiątego stycznia 1936 roku miało ją dzielić dokładnie szesnaście lat. Połowa jej życia.

Nie oglądaj się za siebie, pomyślała Freddy, nie oglądaj się nigdy. Uznała, że jest głodna. Nie jadła śniadania, pozbyła się obiadu, więc nawet gdyby nie czuła głodu, prawdopodobnie potrzebowałaby pożywienia. Coś do jedzenia najszybciej mogła znaleźć na lotnisku w najwyższym punkcie wyspy Catalina. Odwiedzała je wiele razy. Przy krótkim i wąskim pasie startowym nie było wieży, ale w okolicy tylko tam miała szansę wylądować. Lotnisko leżało na wysokości pięciuset metrów, poniżej rozciągała się skalista wyspa z portem, gdzie w latach trzydziestych cumowały pływające kasyna. Przy pasie startowym działała zawsze otwarta kawiarenka, gdyż w pogodne dni Catalina była popularnym i łatwym celem niedzielnych pilotów. Dzisiaj Freddy miała być panią całego lotniska, co w tym nastroju bardzo jej odpowiadało. Skierowała

maszynę ku znajomemu, spłaszczonemu u góry kształtowi daleko na oceanie.

W bezchmurną pogodę Catalinę widać z brzegu, co zawsze podkreślają sprzedawcy nieruchomości. Tego dnia jednak wyspa zaczęła niknąć z oczu. Freddy spojrzała na busolę i skorygowała kurs bonanzy, ustawiając samolot dokładnie dziobem do Cataliny.

Kiedy podleciała do wyspy, opadający kłęb gęstej mgły, którego ruch Freddy oceniła przedtem jako dużo wolniejszy, nieoczekiwanie spłynął jej przed przednią szybę. Dziób i skrzydła samolotu przestały istnieć. Wydawało jej się, że leci w magicznej kabinie. I co z tego, pomyślała wściekle, co z tego? Kalifornijska mgła nic nie znaczyła. Zawsze można było skoczyć do góry i przebić się do słońca, ale Freddy cholernie chciało się kawy, była przecież nad swoim terytorium, na własnym, prywatnym niebie, do którego rościła sobie prawo jeszcze jako dziecko i nad którym potem raz po raz odnosiła zwycięstwa. Szlag by ją trafił, gdyby pozwoliła jakiejś zaszranej mgiełce pozbawić się kawy. Była jedyną osobą na swoim niebie, a podejście do lądowania na Catalinie znała doskonale, mogłaby je wykonywać w ciemno. Sprawdziła wysokościomierz. Miała jeszcze duży zapas wysokości, będącej jedynym parametrem, który należało śledzić w czasie lądowania.

Freddy pewnie panowała nad samolotem, zręcznie wykonując manewry. Ani emocje, ani mgła nie zakłóciły koordynacji jej ruchów. Kreśliła doskonały, choć niewidoczny krąg, którego rysunek miał się za minutę zakończyć płynnym posadzeniem samolotu na pasie przecinającym skalisty, nie zadrzewiony, urwisty teren. Bonanza z wypuszczonym podwoziem i klapami zmniejszała prędkość do lądowania.

Za nisko, zdążyła pomyśleć Freddy. Catalina niczym bezdźwięczny piorun wyłoniła się z mgły jako nieunikniona skalna ściana. Została sekunda na ostre poderwanie dzioba samolotu. Bonanza uderzyła w skałę pod kątem. Strzaskana maszyna wspinała się jeszcze przez chwilę po zboczu, potem zatrzymała się i runęła do wąwozu, gdzie rozleciała się w kawałki. Wszystko ucichło.

Marie de La Rochefoucauld mogłaby być młodą carewną, mogłaby być infantką Hiszpanii, myślał Bruno. A przecież tak zadziwiała francuskością. Bruno nigdy nie wyobrażał sobie, że w tym barbarzyńskim manhattańskim cyrku ktoś ma w sobie tyle nieskazitelnej doskonałej francuskości, że każdym szczegółem postawy, wyglądu i mowy zdradza to, co najistotniejsze dla szlachetnie urodzonej Francuzki. Taka aura niczym aromat przesuwiała się za Marie. Wchodząc do pokoju, dziewczyna wносиła z sobą Francję, starą Francję. Robiła to skromnie i dyskretnie, prawie nie naruszając dotychczasowej atmosfery, a mimo to jej cicha obecność, łagodność i absolutna godność sprawiały, że zwracały się ku niej wszystkie głowy, ludzie wymieniali spojrzenia z pytającym wyrazem w oczach. Za wszelką cenę musieli dowiedzieć się, kim jest ta dziewczyna, była bowiem wszystkim, na co mieszkańcy tego odrażającego kamiennego miasta nie mogą mieć najmniejszej nadziei. Nawet sama umiejętność jej rozpoznania powinna im dodawać nieco dystynkcji.

Bruno należał do pierwszych ludzi w Nowym Jorku, którzy poznali Marie de La Rochefoucauld, jedną z licznych córek w najbardziej płodnym arystokratycznym rodzie, jaki mieszkał we Francji, rodzie, którego członkowie zgromadzeni pod hasłem „dom La Rochefoucauld” zajmują ponad stronę w *Bottin Mondain*, biblii arystokracji, rodzie o wielu splątanych gałęziach, uświetnionych trzema książętami, rodzie tak wielkim, że przez stulecia wielokrotnie zdarzały się małżeństwa spokrewnionych dziedziców i dziedziczek, rodzie noszącym jedno z wielkich francuskich nazwisk, rodzie którego początki były „zaginione w czasie”, jak napisałby z szacunkiem wydawca *Debrett's Peerage* o księciu

angielskim.

Bruno był kolegą ze szkoły jednego z braci Marie i poznał ją właśnie przez niego, wkrótce po tym jak przyjechała studiować sztukę Wschodu na Uniwersytecie Columbia. Dlaczego miała na coś takiego ochotę, pozostawało jedną z cudownych zagadek jej w najwyższym stopniu niezależnej osobowości.

Jak mógł nie dopuszczać do siebie myśli, że któregoś dnia się zakocha? Dlaczego był pewien, że różni się od innych mężczyzn? Bruno pytał się o to w duchu, ale przecież gdyby wiedział wcześniej, gdyby choć podejrzewał, czym jest miłość, to jak mógłby wytrzymać te wszystkie lata przed poznaniem Marie? Wiosną 1951 roku przepełniało go zadziwiające uczucie, które rozprzestrzeniało się po całym jego ciele, po wszystkich członkach, Brunowi zdawało się, że wygląda jak mapa układu krwionośnego, w którym każda tętnica i każda żyła stanowi arterię pulsującą pierwszą miłością, bolesną tym bardziej że Bruno miał lat trzydzieści sześć, a Marie tylko dwadzieścia dwa.

Mimo to Marie nie traktuje mnie, jakbym był dla niej za stary, myślał Bruno, siedząc we własnym biurze w banku, obezwładniony przez miłość. Marie oczywiście nie zdawała sobie sprawy z jego uczuć. Zachowywała się wobec niego z miłą, przyjazną prostotą, choć nie bez cienia rezerwy, musiał jednak przyznać, że tę samą przyjazną prostotę okazuje również innym ludziom.

Marie mieszkała w obszernej kamienicy Johna Allena. Allenowie od wielu lat przyjaźnili się z rodzicami Marie, obie pary łączyła wspólna pasja do chińskiej ceramiki, zbieranej przez nie przy uprzejmym braku zainteresowania ze strony reszty znajomych. Allenowie zaprosili Marie,

żeby podczas studiów zamieszkała u nich i na dwa lata oddali jej do dyspozycji kilka pokoi. Dziewczyna miała tam między innymi salonik, w którym podejmowała nowych amerykańskich przyjaciół herbatą lub sherry, chociaż na ogół nie miała czasu na takie spędzanie czasu, po uszytonąc w studiach.

Marie błyszczała niczym koronny klejnot, mimo iż była szczupła i drobna. Miała długie, proste lśniące czarne włosy prawie do talii, szczytywała je do tyłu z pogodnego białego czoła i ściągała na karku jedwabną wstążką. Szare oczy spoglądały spod cienkich czarnych brwi o tak prześlicznym kształcie, że mogłyby pochodzić ze szkicu Leonarda. Zgrabny nos miał subtelną, łukowatą linię, a delikatne, niezwykle foremne usta nie nosiły śladu szminki. Ujmująca twarz zwracała uwagę jasną cerą. Fascynujący był kontrast czarnych włosów, białej, aksamitnej skóry i czystej, wyjątkowo rozświetlonej szarości oczu.

Ubierała się niewinnie, prawie po dziecięcemu, w spódnice, bluzki i swetry, w niewyszukany sposób łączone z koronkową chustą, aksamitną kamizelką albo wyszywanym żakietem. Osiągała w ten sposób czarująco staromodny wygląd, gdyż regułą tego miasta były kostiumy prosto od krawca. Stroje Marie pochodzą jakby ze strychu jednego z rodowych zamków, pomyślał Bruno, bezradnie pragnąc kupić dla niej wystawną kreację i wielkie klejnoty. Przed jej urodzinami poszedł do najlepszego handlarza orientalnymi antykami w Nowym Jorku i kupił porcelanową wazę z czasów dynastii Sung, niezrównaną w kształcie i surowym połysku. Marie obdarzyła ją szybkim spojrzeniem i odmówiła przyjęcia, znała bowiem wartość siedemsetletniego dzieła sztuki. Wzięcie wazy równałoby się pozwoleniu Brunowi na kupno sobolowego futra. Teraz

odrzucone naczynie stało na kominku w sypialni Bruna, przypominając mu, żeby nie zachowywał się wobec Marii de La Rochefoucauld jak opętany parweniusz.

Marie doprowadzała go do szaleństwa czystością ducha. Podobnie jak każdy zakochany człowiek, Bruno odkrył w sobie detektywistyczną żyłkę i dowiedział się, że każdego rana dziewczyna chodzi na mszę, chociaż ona sama mu o tym nie wspominała. Któregoś dnia przyszedł na herbatę o parę minut za wcześnie i siedział w saloniku jako jedyny gość. Przez uchylone drzwi dostrzegł w rogu sypialni zniszczony klęcznik przed krucyfiksem. Nie odważył się poszerzyć szpary w drzwiach, toteż wyobrażenie nie widzianego łóżka stało się dla niego świętą tajemnicą, wiedział jednak, że spekulacje w związku z tą tajemnicą są bezsensowne.

Budząc się w środku nocy, co ostatnio zdarzało mu się coraz częściej, Bruno zastanawiał się, jak mogło dojść do tego, że tak bez reszty i nieoczekiwanie zakochał się w niedoświadczonej, religijnej, skłonnej do intelektualizmu, cnotliwej dziewczynie, której życie spokojnie mijało w klasztorach, szkolnych klasach i muzeach, która nie dbała o towarzystwo, intrygi, pozycję ani dobra materialne. Jeśli Bruno dedukował właściwie, jej jedynym pragnieniem było spędzenie życia w pościgu za nauką dla czystej radości zdobywania wiedzy. Ze zmysłowego punktu widzenia Marie była niezapisaną kartą, bez zniecierpliwienia czekającą na przeznaczenie, które mogło, choć nie musiało przynieść męża i dzieci. Czyżby po tylu latach życia najbardziej skrytymi, wstydliwymi fantazjami dojrzałych kobiet z eleganckiego świata zwrócił się ku wyidealizowanemu obrazowi dziewicy? Czy nie było to zboczenie zrodzone z przesytu seksem? Czy można je było wyjaśnić zaślepieniem jej doskonałą

francuskością które kazało wierzyć stęsknionemu banicie, że Marie i tylko Marie wyprowadzi go z ziemi jałowej jego życia?

Żadne z tych racjonalnych wyjaśnień nie mogło przetrwać nawet czasu, jaki Bruno potrzebował, by je sformułować. Ulatniały się na każdą myśl Bruna o Marie zwracającej ku niemu swą cesarską głowę i wybuchającej śmiechem po jednym z jego żartów albo pozwalającej się zabrać na obiad, a potem do kina, bo dziewczyna uwielbiała amerykańskie filmy, im głupsze tym bardziej ciekawsze. W ogóle cieszyła się Nowym Jorkiem, zmuszając Bruna do podróży metrem i przejazdów autobusem z Piątej Alei aż do Washington Square Park. Mogli na przykład poprzyglądać się szachistom w parku, przespacerować się później na Bleeker Street i znaleźć tam tanią studencką kawiarnię, gdzie Marie uwielbiała przesiadywać patrząc, jak kłębi się wokół niej życie cyganerii. Takie szczęście spotykało Bruna tylko czasami podczas weekendów, ponieważ w tygodniu Marie jadła obiady z Allenami i uczyła się aż do pójścia spać.

Marie otaczali również inni mężczyźni. Allenowie przedstawili ją gronu jak najstosowniejszych nowojorskich kawalerów, ale czujne i zazdrosne oko Bruna podpowiadało mu, że żaden z nich nie cieszy się specjalnymi względami. Przede wszystkim ani jeden z pozostałych mężczyzn, którzy zajmowali jej czas, nie był Francuzem, a nawet nie potrafił znośnie mówić po francusku, Bruno zaś miał pewność, absolutną pewność, że Marie nie zamierza spędzić reszty życia w Stanach Zjednoczonych. Wprawdzie Nowy Jork niezmiernie ją bawił, wprawdzie czuła wielką satysfakcję ze studiów, ale zwierzyła się Brunowi, że bardzo jej brakuje olbrzymiej rodziny. Bruno poznał Marie de La Rochefoucauld

na Boże Narodzenie 1950 roku, a teraz, wczesną wiosną 1951 roku Marie niecierpliwie wyczekiwała wakacji we Francji.

- W dniu zakończenia wykładów wypływam na „Ile de France” i wrócę dopiero na początku jesienno- zimowego semestru, za trzy miesiące - powiedziała promieniejąc szczęściem. - Ty też pojedziesz na wakacje do Francji, prawda Bruno? Nawet nowojorscy bankierzy muszą czasem brać kilka tygodni urlopu.

- Oczywiście - odparł, nie mógł bowiem znaleźć powodu, który zadowalająco wyjaśniłby Francuzowi, że jego ziomek nie spędza wakacji w domu. Była to tak silna tradycja, tak bezdyskusyjna sprawa; że upieranie się przy innych planach zabrzmiałoby dziwnie. Francuzi nie wyjeżdżali ze swego kraju, jeśli mogli tego uniknąć.

Marie zaprosiła go do odwiedzenia zamku w pobliżu Tours, gdzie jej rodzina spędzała całe lato. Powiedział, że postara się przyjechać, chociaż wiedział, że będzie z nią rozdzielony przez pełne trzy miesiące, a każdego letniego dnia Marie może się zakochać. Najgorzej obawiał się, iż Marie nie wróci dokończyć studiów w Columbii, wydawało mu się bowiem niemożliwe, by nikt nie zajął miejsca w jej sercu podczas radosnych, wypełnionych przyjemnościami, gościnnych dni i nocy całego lata.

A jednak Bruno nie śmiałyby wrócić do Francji, nawet żeby złożyć Marie kilkutygodniową wizytę. Zamek La Rochefoucauldów nie był położony w sąsiedztwie Valmont, ale telegraf bez drutu francuskiej arystokracji natychmiast rozbrzmiałby wieścią, że Bruno de Lancel odwiedza ojczyznę po długiej i zwracającej uwagę nieobecności. Ojciec na pewno dowiedziałby się o jego powrocie, a Bruno wiedział, że interdykt i groźby Paula nie straciły na ważności mimo upływu sześciu lat. Paul

zrobiłby to, co obiecał. Bruno pomacał palcem bliznę, która została mu nad górną wargą.

Po raz tysięczny zapytywał się, dlaczego nie wystąpić z propozycją małżeństwa teraz, zanim Marie wyjedzie, i po raz tysięczny odpowiadał sobie tak samo. Marie nie kochała go i odmówiłaby mu równie uroczo i niewzruszenie, jak odmówiła przyjęcia chińskiej wazy. Wtedy nie mógłby jej często widywać, nie mógłby starać się o jej wolne wieczory, straciłby szansę zdobycia jej miłości. Reguły, zgodnie z którymi żyła Marie, reguły, które Bruno szanował, gdyż stanowiły część świata ich obojga, powstrzymałyby dziewczynę przed łudzeniem go fałszywymi nadziejami. Gdy tylko dowiedziałyby się o jego uczuciach, zaczęłyby starannie unikać spędzania z nim czasu sam na sam. Najuprzejmiej, ale stanowczo usunęłyby go ze swojego życia, gdyby Bruno de Lancel okazał się mężczyzną, którego nie można traktować jedynie jak dobrego znajomego.

Musiał podjąć ryzyko stracenia jej w ciągu lata, ponieważ alternatywą była strata natychmiastowa. Natychmiastowa i definitywna.

Listy od Jeanne nadal przychodziły. Gospodyni miała szczęście donosić, że rodzina Lancelów czuje się dobrze. „Monsieur Bruno, z pewnością ucieszy pana wiadomość, że w Valmont wszystko jest w najlepszym porządku”.

* * *

- Panie Hampton, nie ma sensu, żeby siedział pan tutaj dłużej - powiedział doktor David-Weitz do Jocka, który nie opuścił szpitalnego korytarza przed drzwiami pokoju Freddy, odkąd wwieziono ją tam na wózku osiemnaście godzin wcześniej, groteskową mumię w sarkofagu bieli, z którego wymykało się zaledwie kilka zuchwałych pasemek

włosów, umożliwiających identyfikację. - Obiecuję zadzwonić do pana, gdy nastąpi jakakolwiek zmiana w stanie pani Longbridge.

- Po prostu poczekam - zaparł się Jock po raz dziesiąty.

- Nie ma sposobu, żeby przewidzieć, kiedy wyjdzie ze śpiączki. Mogą to być dni. Mogą też być miesiące, panie Hampton. Nie zachowuje się pan racjonalnie.

- Wiem. - Jock odwrócił się, czując kolejną fazę intensywnej, nieuzasadnionej wrogości wobec doktora Weitz'a. Jock wciąż uważał, że lekarz jest za młody, żeby powierzać mu odpowiedzialność za cokolwiek. Zatelefonował do Swede'a i kazał mu sprawdzić tego faceta.

Weitz miał czterdzieści dwa lata, cieszył się nadzwyczajnym szacunkiem i był najmłodszym ordynatorem neurologii, jakiego przyjęto w historii Szpitala Pod Libańskimi Cedrami. Nie było tam większego autorytetu, który mógłby wysłuchać apelu o starszego, mądrzejszego, bardziej doświadczonego lekarza. Wszyscy doktorzy, z którymi rozmawiał Swede, mówili mu, że skoro Freddy jest w rękach Weitz'a, to ma wielkie szczęście.

Informacja ta uspokoiła Jocka tylko na chwilę. Bo przecież obok był ten facet, zaledwie czterdziestodwulatek, wydający polecenia gromadzie pacjentów, wzywający potrzebnych mu specjalistów, podejmujący dziesiątki decyzji, których wykonanie ceduje na nieustannie czuwające przy Freddy pielęgniarce, z których żadna nie ma czasu na udzielenie jakichkolwiek wyjaśnień poza typowymi lekarskimi banałami dla cywilów.

A tymczasem Freddy leżała ciężko poraniona, z uszkodzeniami, których Jock nie pojmował, których nawet oni chyba nie pojmowali, bo

inaczej wykazałoby przecież więcej dokładności w określaniu jej stanu. Tutaj był ten obcy facet, który nagle stał się najważniejszą osobą na świecie, ponieważ tylko od niego zależało wyciągnięcie Freddy ze śpiączki, przywrócenie jej zdrowia. A przecież facet nawet nie znał Freddy, nigdy jej nie spotkał, nie słyszał jej słów ani śmiechu, nie widział sposobu chodzenia, nie ma pojęcia, jak... jak istotna... jak konieczna jest Freddy.

Życie Freddy spoczywało w rękach tego człowieka, co oznaczało, iż Jock jest od niego totalnie uzależniony. Za to właśnie nienawidził lekarza. Miał ochotę wziąć tego wysokiego, młodego człowieka za ramiona i potrząsać nim, póki nie zniknie z jego twarzy ten wyraz pewności siebie, opanowania i powagi, póki okulary nie spadną mu z nosa i nie roztrzaskają się o ziemię. Jock miał ochotę wrzaskiem wymusić na lekarzu doprowadzenie Freddy do porządku, do doskonałego porządku... chciał przejąć sukinsyna lękiem Bożym, uświadomić mu, jak wielka jest stawka, dać do zrozumienia, że jeśli nie wywiąże się ze swej pracy, to Jock zabije go gołymi rękami... ale jednocześnie Jock za nic nie ośmieliłby się Weitzę obrazić.

Przechadzał się tam i z powrotem po korytarzu, z wściekłością myśląc o pielęgniarce, która próbowała mu perswadować, iż Freddy cudem przeżyła katastrofę. Co ona wie na ten temat? To naturalne, że Freddy żyje. Na miłość Boską, przecież nie miała żadnej katastrofy, czy nie mogliby wykazać dość rozsądku, by nie używać tego słowa? Freddy źle wylądowała, fatalnie wylądowała, podeszła do ziemi na zbyt dużej szybkości. Ludzie nie umierają po złych lądowaniach, zdarza się, że wpadają w szok, łamią nogę czy obojczyk, czasem nawet kilka kości, ale

kości w końcu się zrastają, nikt nie umiera od złamania. Co właściwie Weitz chciał powiedzieć przez „zamknięty uraz głowy”? Skoro czaszka jest w porządku, to na czym polega problem?

W korytarzu stały krzesła i Jock próbował się zmusić, żeby na minutę usiąść. Przeszedł już tyle kilometrów, że ledwie powłóczył nogami, ale siedzenie było gorsze, bo poruszając się Jock miał wrażenie, że w czymś uczestniczy, a nie tylko bezradnie czeka. Przysiadł na kozetce w tej samej pozornie odprężonej pozycji, jaką przyjmował w pobliżu samolotu, gdy jego eskadra miała dwie minuty gotowości w oczekiwaniu na start do lotu bojowego.

Niech szlag trafi tych niedouczonej idiotów na wieży kontrolnej w Burbank, pomyślał. Dlaczego nie zamknęli lotniska? W taką pogodę nikomu nie powinno się zezwalać na start. Niech szlag trafi nawet tych niezdarnych baranów z dobrymi intencjami, tych durniów z kawiarni na Catalinie, którzy zeszli na dół po Freddy, Bóg jeden wie, ile spowodowali uszkodzeń, wciągając ją z powrotem na górę niczym worek ziemniaków, obijając podczas krętej drogi do portu i w łodzi, którą płynęli z nią na stały ląd. Chryste, co za miejsce na złe lądowanie we mgle! Niech szlag trafi to cholerne lotnisko na Catalinie za to, że w ogóle istnieje. Pięćset metrów nad poziomem morza, bez wieży kontrolnej, bez radiowej łączności... powinno się zbombardować, zamienić w gruzowisko, żeby nikogo więcej nie skusiło do lądowania, chociaż z pewnością nie miał racji myśląc przed chwilą, że Freddy próbowała tam lądować przy zerowej widoczności. Najwyraźniej zoczyła z kursu, zgubiła się w nagłej mgle, to wydawało się jedynym prawdopodobnym wyjaśnieniem przyczyny, dla której znalazła się w pobliżu tej zdradliwej, morderczej skały. Freddy była ostrożnym

pilotem. Przez sześć lat w ATA nie zdarzyło jej się ściąć jednej trawki poza pasem, a co tu mówić o rozbiciu maszyny.

Ale co ją opętało, żeby wylatywać wczoraj o świcie? Na jaki to szaleńczy pomysł wpadła? - pytał Jock w desperacji, myśląc o wszystkim co postanowił wyjaśnić Freddy, przywołując wszystkie słowa, które ćwiczył przez długą, bezsenną noc po zjeździe eskadry „Orzeł”. Planował, że pojedzie do niej do domu w porze śniadania i zmusi ją, żeby go wysłuchała, zrozumiała, żeby mu wybaczyła. Przecież zrobiłaby to, co do tego Jock miał pewność, nie można mu było powiedzieć, że Freddy nie pokochałaby go w końcu, skoro on kochał ją zawsze. Nie wolno... zaprzepaszczać... prawdziwej miłości w chwili, gdy prawie się ją znalazło.

* * *

W lampie na suficie zdechła mucha, pomyślała Freddy z mętną świadomością, że spostrzega to nie po raz pierwszy, że wrażenie powraca do niej cyklicznie i wyznacza coś jakby wieki, okresy życia nie mające początku ani końca. Prawdopodobnie to właśnie jest piekło: spocząć na zawsze w bezruchu, całkowitej samotności, bez możliwości wydania z siebie krzyku... leżeć na dnie białej czary wypełnionej po brzegi ciemnymi, niebezpiecznymi wodami, wpatrywać się w ciemny punkt, zdechłą muchę zamkniętą w szklanym kloszu, który chyba jest nieustannie rozświetlony. Czyżby patrzyła w lustro? Czy to ona jest tym czarnym, martwym punktem schwytanym w potrzask klosza? Panika zaczęła jej pulsować w skroniach, Freddy wiedziała jednak, że nigdy nie będzie w stanie zawołać o pomoc. Oczy jej się otworzyły, ale usta były zamknięte, ręce nie mogły się poruszyć. Pochowano ją żywcem.

- Obudziła się - powiedział męski głos. - Grzeczna dziewczynka. -

Ręka wzięła ją za przegub, kciuk pewnie ustawił się na tętnie. Przyszło ocalenie. Nie była w piekle. Nie była potępiona.

* * *

- Proszę nie próbować zadawania pytań - powiedział męski głos po jej następnym przebudzeniu. - Trzeba było zdrutować złamaną szczękę, żeby wydobrzała. Dlatego nie może pani mówić. Sam powiem wszystko, co pani chce wiedzieć. Proszę nie marnować sił, które będą teraz bardzo potrzebne. Poczuje się pani jak nowa, obiecuję, ale na razie jest pani bardzo słaba. O bólu wiem. Staramy się uśmierzać go wszelkimi dostępnymi środkami, nie można jednak tego zrobić w stu procentach. Nazywam się David Weitz, jestem lekarzem. Pani jest Freddy Longbridge. Znajduje się pani w Szpitalu Pod Libańskimi Cedrami. Córeczką opiekuje się matka, która przyjechała z Francji. Obie czują się dobrze. Pani nie musi teraz niczego, z wyjątkiem powracania do zdrowia. Przez pewien czas odwiedziny będą jeszcze niemożliwe. Proszę spróbować niczym się nie martwić. Świat sam się sobą zajmie, gwarantuję Proszę się odprężyć i zasnąć. Podczas snu odzyskuje się siły. Kiedy zbudzi się pani znowu, siostra natychmiast mnie wezwie, postaram się zjawić jak najszybciej. W pokoju czuwają prywatne pielęgniarki, nie zostanie pani sama ani na chwilę Proszę się nie obawiać, zdrowie wróci. A teraz miłego snu, pani Longbridge, proszę po prostu zamknąć oczy i odpłynąć. Nie ma się czym przejmować. Jestem tutaj dla pani.

Freddy próbowała podziękować mu wzrokiem. Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Spozrzegła, że zrozumiał. Zamknęła oczy i usnęła.

* * *

- Może spróbuje pani dzisiaj coś powiedzieć - zasugerował David

Weitz. Przez trzy tygodnie śpiączki Freddy odżywiano dożylnie, potem, póki szczęka nie wydobrzała, karmiono ją przez słomkę. Poprzedniego dnia zdjęto klamry, ale Freddy bała się odezwać.

- Annie? - zapytała, nie poruszając wargami, cichym głosem, który dobywał się z głębi gardła.

- Annie świetnie się miewa. Poszła teraz do szkoły. Później zjawi się tutaj pani matka. Jak się pani czuje?

- Lepiej.

- To prawda. Rzeczywiście jest o wiele, wiele lepiej.

- Jak... długo? - Jak długo tu pani jest? Ponad miesiąc, ale to nieważne. Teraz, kiedy może pani mówić, czas nie będzie się tak dłużył.

- Jak długo... jeszcze?

- Nie potrafię powiedzieć na pewno. Kiedy wyrzuciło panią z samolotu, nastąpiło uderzenie w głowę, które wywołało tak zwany uraz zamknięty. Znaczy to, że czaszka nie jest uszkodzona, ale doszło do nagłego urazu mózgu, powstało coś w rodzaju wielkiego siniaka, co spowodowało gromadzenie się płynu. Dlatego od chwili uderzenia o ziemię leżała pani w śpiączce. Śpiączka minęła stosunkowo szybko. Kiedy płyn w końcu zniknie, może pani oczekiwać całkowitego wyzdrowienia poza ewentualnymi lekkimi zakłóceniami pamięci. Nie wiemy jednak, ile czasu to zajmie. Proces jest powolny, a my nie mamy sposobu, żeby go przyspieszyć. Tymczasem ma pani jeszcze inne dolegliwości do ostatecznego wykurowania. Złamane obie nogi, jedną kończynę górną w przedramieniu i przegubie, złamany nos, złamaną kość policzkową. Na szczęście nie ma uszkodzeń kręgosłupa ani miednicy. Świetnie pani zdrowieje.

David Weitz pochylił się nad nią, poważnie spoglądając przez okulary. Jego ciemne oczy rozwarły się szerzej, kiedy mrugnęła do niego, próbując zrozumieć wszystko, co przed chwilą powiedział.

- Proszę nie myśleć o urazach - powiedział, czytając w jej myślach. - Jestem z pani dumny. Wygląda na to, że wszystko będzie naprawdę dobrze. Chcę, żeby pani wiedziała, że wprawdzie musimy się zajmować jeszcze wieloma uszkodzeniami, ale panujemy nad nimi co do jednego. Czy jest pani gotowa na odwiedzinę matki? Tak? W porządku, ale powiem jej, żeby nie siedziała dłużej niż kilka minut. Wrócę później.

* * *

Miło było zobaczyć matkę, pomyślała Freddy. Powieki znów jej opadły, bo mimo krótkości odwiedzin czuła wyczerpanie. Nie miała siły mówić do nikogo poza lekarzem. Aż do dzisiaj granice jej życia wyznaczała każda mijająca minuta. „Świat sam się sobą zajmie”, powiedział doktor Weitz i mimo bólu, potwornych nocy i koszmarnych dni w bandażach, ze zdrutowaną szczęką, z trzema kończynami w gipsie, Freddy uchwyciła się jego słów jak koła ratunkowego. Powtarzała je bez ustanku, odnajdując w nich magiczną moc. Przełała w siebie część siły lekarza. Wyrzekła się własnej woli, zrobiła jak jej kazano, wierzyła Davidowi Weitzowi bez zastrzeżeń. Jego zaangażowanie stanowiło coś abstrakcyjnego w odniesieniu do medycznego przypadku, miało jednak również wymiar osobisty, gdyż to właśnie Freddy była pacjentką doktora.

Wraz z przyjściem Eve do szpitalnego pokoju powrócił realny świat, ten świat, którego Freddy nie witała z zadowoleniem. Była zbyt krucha, zbyt rozbita, zbyt chora, by się z nim potykać. Nie chciała myśleć ani rozmawiać z ludźmi. Nawet namawianie jej do uniesienia kącików ust w

uśmiechu byłoby nadmiernym wymaganiem. Postanowiła powiedzieć pielęgniarce, że jeszcze za wcześnie na gości. Zastanawiała się, kiedy znowu David Weitz przyjdzie sprawdzić, co u niej słyhać.

* * *

- Pielęgniarki powiedziały mi, że nie poprosiła pani o lusterko - powiedział David Weitz.

- Nie.

- Nie jest aż tak źle, jak pani myśli. Z pomocą chirurgii plastycznej można mieć nadzieję na przywrócenie poprzedniego wyglądu. Na szczęście Kalifornia jest światową metropolią w tej dziedzinie. Po zabiegach mogą pozostać niektóre blizny w miejscu ran szarpanych... zależy od tego, jak się goi skóra. Tak czy owak, większość przykryje pani włosami. Tylko z grą na wiolonczeli...

- Kto powiedział, że gram na wiolonczeli? Nigdy nie miałam czegoś takiego w rękach.

- Co za ulga. Przywrócenia tej funkcji nie bylibyśmy w stanie obiecać. Freddy roześmiała się po raz pierwszy od katastrofy.

- Czy to jest zawodowy żart lekarzy?

- Klasyczny.

- A gdybym była wiolonczelistką?

- Nie żartowałbym w ten sposób. Na wszelki wypadek sprawdziłem pytając Annie.

- Dziękuję, że powiedział jej pan, jak będę wyglądać. Obawiałam się, że mój widok może ją przerazić. Podobno nawet robił pan dla niej szkice, żeby pokazać, do czego służą wszystkie bandaże i gipsowe opatrunki.

- Annie jest wspaniałym dzieckiem.

- Czy pan ma dzieci?

- Nie. Rozwiodłem się dawno temu, zanim jeszcze się ich dorobiłem.

- Ja też jestem rozwiedziona.

- Annie mi powiedziała.

- Musieliście prowadzić ciekawe konwersacje. O czym jeszcze rozmawialiście?

- O ojcu, o szkole, o jej planach nauki latania.

- Czy wyjdę stąd przed wakacjami Annie?

- Nie sądzę. Jeszcze nie może pani wstać z łóżka. Kiedy w końcu przyjdzie ta chwila, mięśnie będą bardzo osłabione długotrwałym leżeniem. Będzie potrzebna solidna porcja fizjoterapii.

- Wobec tego wyślę ją do Anglii. Może spędzić lato z dziadkami w Longbridge Grange. Ojciec też tam prawdopodobnie jest.

- Owszem. Rozmawiałem z nim często przez telefon. Ale nie tak często jak z panem Hamptonem.

- Czy on bardzo suszy panu głowę?

- Najwyżej dwa razy dziennie. No, czasami trzy. Nie chce uwierzyć, że nie przyjmuje pani żadnych wizyt. Czy aby na pewno nie chce go pani zobaczyć?

- Absolutnie nie. Ale zobaczę się ze Swede'em Castellim i załatwię, żeby Jock przestał wydzwaniać - powiedziała z determinacją.

- Czy zdaje sobie pani sprawę, jak bardzo poprawił się jej stan?

- Dzięki panu, doktorze Weitz.

- Nonsens. Jest w pani waleczny duch. Przez pierwsze tygodnie... martwiłem się.

- Ja się nie martwiłam. Miałam tego nie robić, więc się

zastosowałam. Przecież jest pan tutaj dla mnie, to pana słowa.

- I pani je pamięta?

- Nazywam się Freddy. Nie chce pan tak do mnie mówić?

- Oczywiście, że chcę. A ja jestem David.

- Wiem.

- Muszę iść. Jeszcze wrócę przed końcem obchodu.

- Dziękuję, Davidzie.

* * *

- Jezu, Freddy. Czyżby wydawało ci się, że jeszcze robisz kaskaderskie sztuczki? Co to jest, do cholery?

- Nic takiego, Swede. Powiedzieli mi, że wprawdzie wyglądam kiepsko, ale w rzeczywistości nie jest tak źle. Nawet nie zadałam sobie trudu, żeby zinwentaryzować szkody. Mam wydobrzeć... to tylko sprawa czasu i cierpliwości. Nie martw się. Jak latają „Orły”?

- Interesy stoją wspaniale. Wszystkie samoloty w powietrzu, z pełnym frachtem w obie strony. Uszczęśliwiamy akcjonariuszy do łez. Ale morale w dowództwie szwankuje.

- To znaczy?

- Bardzo nam brakuje ciebie i widoku twojej małej, zabawnej buźki, i twojego dreptania, i twoich kąśliwych sposobików na trzymanie nas w ryzach.

- Lepiej przyzwyczajajcie się do tego, Swede. Nie wracam do biznesu.

- W tym stanie nie możesz podejmować decyzji. Nie wierzę ci.

- Jak chcesz. Nic mnie to nie obchodzi, Posłuchaj, Swede. Musisz powstrzymać Jocka przed ciągłym dzwonieniem do doktora Weitza.

Doktor jest bardzo zajęтым człowiekiem i nie ma czasu na wysłuchiwanie marudzenia przez telefon.

- Dużo by mówić. Jock jest w złej formie. W gorszej niż ty, jeśli nie liczyć gipsu i bandażu.

- Mało mnie wzrusza, w jakiej jest formie. Po prostu nie chcę go widzieć. I ma nie zawracać głowy doktorowi Weitzowi. Wbijesz mu to do łba?

- Spróbuję. Ale znasz Jocka.

- Niestety tak. Stanowczo za dobrze.

- Cholera, Freddy. Nie wiedziałem, że i ty potrafisz być taka zgorzkniała.

- Chyba w końcu nauczyłam się dbać o siebie sama.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Swede, staruszk, siły mi jeszcze nie dopisują. Dziękuję, że przyszedłeś. Liczę na ciebie w sprawie Jocka.

- Masz to u mnie, Freddy. Dbaj o siebie. Nie tylko morale Jocka szwankuje.

- Pocałuj mnie, Swede.

- Duże palce u nóg wyglądają bardzo atrakcyjnie.

- Wiedziałałam, że znajdziesz miejsce.

* * *

Eve namówiła Freddy na zabranie Annie ze szkoły przed końcem roku, dzięki temu mogła polecieć z wnuczką do Europy i zostawić ją Tony'emu w Londynie przed powrotem do Paryża. Na Eve niecierpliwie czekano w Valmont, gdzie nie mógł się zacząć bez niej sezon podejmowania gości.

Jock odwiózł panie do Nowego Jorku. Na lotnisku Annie pobiegła rozejrzeć się dookoła, a zasepiony Jock usiadł z Eve, niechętnie myśląc o jej odlocie.

- Do diabła, będzie mi cię brakowało - powiedział, ściskając jej dłoń.

- Poczciwy Jock. Co zrobiłybyśmy bez ciebie? Te wszystkie obiady, kina, wyjazdy na weekend... nie pozwoliłeś nam poczuć się samotnie ani przez minutę. Byłeś cudownym przyjacielem. Masz stałe zaproszenie do nas, do Szampanii, kiedy tylko chcesz i na jak długo chcesz.

- Może któregoś dnia skorzystam. Posłuchaj, Eve. Jeśli chodzi o Freddy... - Próbowałam, Jock. Wiesz, że próbowałam parę razy, ale ona po prostu nie chce cię widzieć. Pomyślałam... może ona czeka, aż zacznie lepiej wyglądać. Może to tylko z próżności.

- Freddy i próżność? Daj spokój, Eve, wiesz, że to niemożliwe. - Zawadiackie rysy Jocka były ściągnięte w maskę o beznadziejnie nieszczęśliwym wyrazie.

- Chyba masz rację - westchnęła Eve. - Ale ona nie chce na ten temat rozmawiać. Nie udało mi się z niej wydobyć nawet cienia przyczyny. Freddy nie mówi mi o wielu rzeczach, nigdy nie byliśmy na takiej stopie... obie moje córki zawsze miały mnóstwo sekretów. A ja... hm, ja też miałam własne. Taka już z nas rodzina. Teraz z Delphine to się zmieniło... dużo sobie mówimy. Ale Freddy... - Eve wzruszyła ramionami. Freddy, nawet poraniona i osłabiona, nie była skłonna do zwierzeń przed matką.

- Wiem, że ten sukinsyn Weitz próbuje ją podejść - stwierdził Jock pełen ponurych podejrzeń. Nawet złote włosy spadające mu na czoło jakby pociemniały od przygnębienia.

- Hej, Jock! Czy nie za bardzo puszczasz wodze wyobraźni? Lekarze

nie podrywają każdej kobiety pozostającej pod ich opieką. - Ona nie jest każda. Nigdy nie była. Żadna dziewczyna nie dorasta jej nawet do pięt.

- Nie będę się z tobą sprzeczać na ten temat, Jock. Kiedy Freddy wyjdzie ze szpitala, kiedy będziesz mógł z nią porozmawiać, może jakoś wszystko między wami się ułoży. Ale be względu na istotę problemu, nie poradzisz sobie z nim teraz. Pozwól sprawie dojrzeć.

- A czy mam inne wyjście? - spytał kręcąc głową, nadal opartą na rękach.

Nie, pomyślała Eve, w ogóle nie masz wyjścia. Musiałeś strasznie ją zranić, nie wiedząc nawet, co robisz, ty kochająca, szczodra, nie umiejąca się wysławić, niezręczna męska istota. Freddy udziela miłości bez reszty, ślepo, trwale i rzadko... ale skoro skreśliła cię już ze swojego życia, nie pozostaje wiele nadziei. Popatrz, co stało się z Tonym. Nie wspomina o nim ani słowem. Podobnie jak o tamtym człowieku, który nazywał się McGuire... jakby obaj przestali istnieć... nigdy nie istnieli. Eve spojrzała na Jacka siedzącego w bezdennej żałości i uznała, że jej ukochana, uparta córka Marie-Frédérique kwalifikuje się do uznania za umysłowo chan!. Gdyby na wskroś sympatyczny i przyzwoity mężczyzna, do tego przejmująco, niemal do śmieszności dobry, kochał się w niej przez tak długi okres, o jaki podejrzewała Jocka, to z pewnością dałaby mu szansę, choćby zrobił najgorsze, co można zrobić. Dałaby mu przynajmniej jedną, cienką, skąpą szansę A dlaczego właściwie nie kilka? Co jest do stracenia w takiej sytuacji?

* * *

Bez wątpienia wyglądam już dobrze, przyznała Freddy przeglądając się w podręcznym lusterku w późnosierpniowe popołudnie. Poza długą,

cienką białą blizną ciągnącą się od ucha prawie po czubek brody, blizną której nie kryje makijaż, opalenizna ani artystycznie ułożona fryzura, była sobą. Fizjoterapia w szpitalu pochłaniała jej większą część dnia. Mogła już chodzić ani trochę nie utykając, mięśnie odzyskały wcześniejszą siłę.

Dlaczego była jeszcze w szpitalu? Nie miała prawa zajmować łóżka w separacie, skoro z pewnością są naprawdę chorzy ludzie, którzy go potrzebują. A jednak myśl o powrocie do domu, do wielkiego, pustego domu, w którym nie ma nikogo poza Helgą i gospodynią, przejmowała Freddy dreszczem przerażenia. Rodzice zaprosili ją do Valmont na winobranie. Delphine zaprosiła ją do St. Tropez, gdzie kupiła willę, w której wraz z Armandem mieli przebywać do października.

Na samą myśl o tych możliwościach Freddy kurczyła się w sobie. Nie odważyłaby się chyba na wyjście z pokoju do szpitalnego holu, a co dopiero na podróż do Europy. Może Annie będzie mogła zostać w Anglii do końca roku? O tak, rok szkolny w Anglii zrobiłby jej bardzo dobrze, a z Penelope, Geraldem i Tonym córka była całkowicie szczęśliwa. Freddy pomyślała, że w ten sposób nie musiałyby wychodzić ze szpitala, nie musiałyby opuszczać swojego pokoju.

Tu, w szpitalu nic jej nie groziło. A na świecie było tak ohydnie mało bezpieczeństwa. Czy Delphine i matka tego nie rozumiały? Czy zagrożenie nie docierało do ich świadomości? Jak mogły oczekiwać jej odwiedzin, zupełnie jakby mieszkały za rogiem ulicy? Czy nie zdawały sobie sprawy z tego, o czym wie Freddy: człowiek musi pozostawać w małej, oswojonej przestrzeni, bezpiecznej przestrzeni, gdzie nie ma odpowiedzialności, decyzji, kłopotów, strachu, ryzyka ani niespodzianek? Przemieszczenie się z pokoju do centrum fizjoterapii stanowiło dla niej

najdłuższą podróż, jaką była w stanie podjąć, a przejście przez długi, pełen rozgardiaszu hol i potem w dół po schodach umożliwiła jej jedynie pewność, że wróci do swojego pokoju. Windy nie używała... nie chciała używać... nie użyłaby za nic, choćby schody najbardziej ją męczyły... to było dla niej złe miejsce... złe i przeklęte.

- Jak dzisiaj zdrowie, pani Longbridge? - zapytała przełożona pielęgniarek, wchodząc do pokoju. - Ho, ho, ładnie pani wygląda!

- Czuję się potwornie - powiedziała Freddy. - Cała jestem wielką raną. Nie wiem, skąd takie fatalne samopoczucie. Nie zjem dziś obiadu, pani Hill. Nie mam siły jeść.

* * *

- Słyszałem, że miałaś kiepski dzień - powiedział cicho David Weitz.
- Nie zjadłaś obiadu?

- Wszystko mnie boli wymamrotała Freddy, zwinięta w kłębek na łóżku, z prześcieradłem naciągniętym po szyję. - Absolutnie wszystko? Od stóp do głów?

- Tak.

- Dam ci dwie aspiryny i zabiorę cię na przejażdżkę. To jedyny środek, jaki znam na totalną obolałość.

- Nie!

- Nie chcesz wyjść ze szpitala, prawda Freddy?

- Nie bądź śmieszny!

- Aha! Nieomylny znak zdrowia pacjenta. Kiedy mówisz lekarzowi, żeby nie był śmieszny, to znaczy, że dojrzałaś do opuszczenia tego miejsca. Żaden lekarz nie bywa śmieszny w szpitalu. To przeczyłoby wszelkim regułom. Daję ci pięć minut na ubranie się Jedziemy nad morze

obejrzeć zachód słońca.

- Nie mogę. Nie ubiorę się. Chyba nie potrafiłabym nic włożyć na siebie. Tak źle się czuję.

- Pięć minut. Bo inaczej pojedziesz w nocnej koszuli i szlafroku.

- Nie masz nic lepszego do roboty, tylko się nade mną znęcać?

- Akurat nie.

- Cholera!

- Nawet aspiryny nie potrzebujesz. Wystarczy pięć minut i odliczanie.

* * *

- Dla pani rosół z kury, a dla mnie ucziwe martini - powiedział David Weitz do barmana, kiedy wraz z Freddy usiedli na wysokich stołkach z widokiem na słońce zachodzące nad oceanem.

- Zamów dwa razy martini - zaprotestowała Freddy. - Dla mnie podwójne.

- Moja matka doradza pożywny rosół - sprzeciwił się David.

- A jej syn mówi, że już wydobrzałam na tyle, by opuścić szpital. Czy twoja matka chodzi do szkoły medycznej?

- Wszystkie żydowskie matki mają automatyczne kwalifikacje do zajmowania się medycyną, nawet jeśli ich synowie nie są lekarzami. Nawet jeśli mają wyłącznie córki.

- Przecież mogę pić alkohol, prawda? Nie szkodzi mi chyba? Interesuje mnie twoje zdanie, a nie twojej matki.

- Oczywiście. Możesz robić wszystko to, co robiłaś przed wypadkiem.

- Miałam szczęście, prawda? - powiedziała sucho.

- Cholerne.

- Nadal nie pamiętam, co się stało.

- To typowe. Zamkniętym urazom często towarzyszy zanik pamięci.

Przypominasz sobie w końcu albo i nie. Nie ma sposobu, żeby nad tym zapanować.

Freddy milczała, patrząc przed siebie przez olbrzymią szklaną tafelę. Na zewnątrz dwaj mężczyźni opuszczali cienką płachtę z szarego plastyku, mającą osłabiać promienie zachodzącego słońca. W tej znanej restauracji na moło, specjalizującej się w daniach z ryb i innych morskich stworzeń, robiono to co wieczór. Po lewej stronie, w oddali ciągnął się lunapark ze starą kolejką górską. Freddy stwierdziła, że wyraźnie widzi ludzi trzymających się poręczy w wagonikach. Wzrok jej nie osłabł. Szybko opuściła oczy. Widzenie czegoś tak odległego i wyraźnego zdenerwowało ją. Obróciła się do Davida Weitza i zaczęła mu się przyglądać z tą samą intensywnością, jaka przez minione tygodnie towarzyszyła oglądzinom jej osoby. Zamiana ról była jak najbardziej fair. Patrzyła na ciemne włosy, krótko i porządnie przycięte, z jednym czy dwoma pasemkami siwizny, głębokie zmarszczki po obu stronach ust, długą, charakterystyczną twarz mającą w sobie coś z maski smutnego klauna, znikającej bez śladu, kiedy na usta występował szeroki uśmiech, patrzyła na profesorskie, rogowe okulary. Nigdy nie widziała oczu Davida bez przesłony.

- Czy zawsze nosisz okulary? - spytała.

- Tylko wtedy, kiedy chcę widzieć. Jeśli dobrze pamiętam, zwykle zdejmuję je pod prysznicem, po zlokalizowaniu mydła.

- Nie wiem o tobie niczego poza tym, że pielęgniarce uważają cię za Boga, co zresztą jest chyba normalne.

- O, one lubią przesadzać. Co prawda tylko trochę.

- A co robi Bóg, kiedy nie pracuje?

- Jestem osobowością nieobliczalną, złożoną, zamkniętą w sobie i pełną tajemniczych sprzeczności. Krótko mówiąc, absolutnie fascynującą. Kiedyś grywałem w futbol, wybrano mnie nawet najlepszym quarterbackiem ligi uniwersyteckiej. Jestem też mistrzem szachowym. Hobbystycznie oddaję się grze w polo. Garnitury zamawiam na Savile Row, a w klimatyzowanej piwnicy mam bogatą kolekcję starego burgunda. Odwiedzam ją od czasu do czasu, żeby butelki nie czuły się opuszczone. Przed pójściem spać zawsze czytam trzy strony Sartre'a po francusku i potrafię recytować z pamięci dzieła zebrane Tolstoja; Jane Austen, Henry'ego Millera, a także Kamasutrę.

- Hmm.

- W rzeczywistości naprawdę grałem w szachy... w szkole średniej. Lepiej jednak szło mi zawsze w szlachetnej grze zwanej ping-pongiem.

- Co robiłeś podczas wojny?

- Byłem w korpusie medycznym. Poza Stany nigdy mnie nie wysłali.

- Co robisz z wolnym czasem?

- Mam dom w Brentwood i siedzę tam, kiedy tylko przytrafi się okazja. Trochę czytam, czasami słucham muzyki, w weekendy zdarza mi się przyjeżdżać tutaj i spacerować brzegiem oceanu. Spotykam się z kilkoma starymi znajomymi, mam kilka dziewczyn, z którymi chodzę do kina czy restauracji... ale najczęściej pracuję.

- Jeśli silisz się na banalność, to nic ci z tego nie wychodzi.

- W porównaniu z tym, co słyszałem o tobie, opowiadam rzeczy drętwe i bezbarwne, jakby z życia wzięte... ale medycyna nigdy nie bywa

nudna, a tym się przecież zajmuję.

- Dzień w dzień ratujesz pacjentów?

- Niezupełnie, ale są wspaniałe chwile. Co jeszcze mogę powiedzieć?...

- Już wystarczy. Jestem głodna. - Freddy napuszyła się nieznacznie wiedząc, że w luźnej, lawendowej spódnicy z wysoką talią i w białej, płóciennej, mocno wyciętej bluzce, które Eve zostawiła jej w szafie przed wyjazdem, wygląda dużo lepiej niż ostatnimi miesiącami.

- Specjalnością zakładu jest blyszczuk kalifornijski z rusztu, ale ja mam ochotę na duszonego homara. Czy poprosić barmana o kartę dla ciebie?

- Dla mnie też homar - powiedziała Freddy, czując zadowolenie z siebie. Lekarze zawsze wiedzą o pacjencie wszystko, a pacjent nigdy nie wie nic o lekarzu, więc jest na straconej pozycji. Pomyślała, że w końcu dowiedziała się kilku dodatkowych szczegółów o Davidzie Weitzu. Przedtem dotarło do niej już wiele z tego, co najważniejsze: poznała jego uprzejmość, cierpliwość, wyczucie pacjentów, będące na granicy percepcji pozazmysłowej, a także namiętność do pracy. Teraz mogła go sobie wyobrazić, jak siedzi w zacienionym drzewami, przytulnym domu w Brentwood i czyta książkę albo jak chodzi nagimi stopami po nadmorskim piachu i ma zakasane nogawki. Oczywiście musi być w okularach, żeby się nie zgubił ani nie przewrócił na rozgwieździe.

Kiedy homary zostały przyrządzone, Freddy i doktor przesiedli się do stolika, gdzie zawiązano im pod brodami duże serwety, przeznaczone, nawet wbrew życzeniu, dla konsumentów tego dania. Ich uwagę zajęły olbrzymie homary z Maine. Przy okazji Freddy odnotowała w myślach,

choć bez szczególnego zainteresowania, że skorupiaki najprawdopodobniej przyleciały tutaj samolotem z drugiego końca kraju, dzięki „Orłom”.

Nie można jeść homara w towarzystwie osoby, z którą człowiek nie czuje się swobodnie, chyba że marnotrawnie zjada się tylko łatwo osiągalne mięso z centralnych partii zwierzęcia, nie interesując się zupełnie szczypcami, odnóżami i innymi zakątkami, w których kryją się najsmakowitsze kąski. Freddy nie jadła homara od prawie roku, toteż zajęła się nim z nabożnym skupieniem, posługując się przyrządem do łupania skorupy, wydłużonym, wąskim, ostrym widelcem, a w przypadku gdy wszystkie inne środki zawodziły, również palcami i zębami. Dwukrotnie zapragnęła więcej topionego masła, niekiedy prosiła o cytrynę, ale poza tym się nie odzywała.

Kiedy homary zostały zjedzone, Freddy wydała z siebie westchnienie rozkoszy i zaczęła się czyścić za pomocą serwetek oraz ciepłej wody z plasterkami cytryny, stojącej w sporych miskach przed każdym z nich. Uznawszy, że doprowadziła do względnego porządku twarz i ręce, rozwiązała serwetę i wyłoniła się zza zasłony. Policzki błyszcząły jej jak niemowlęciu, które właśnie zostało wykąpane.

- Sernik? - zastanawiała się głośno. - A może lody?

- I to, i to - powiedział David, pochylił się i pocałował ją w usta. Zaskoczona Freddy głośno wciągnęła powietrze. - Podoba mi się dziewczyna, która wie, co jest najlepsze w homarze - wyjaśnił.

- Do tego stopnia, że ją całujesz?

- Pewnie. - Pocałował ją jeszcze raz, okulary spadły mu na czubek nosa. - Przepraszam - powiedział.

- Zdejmij okulary - podsunęła.
- Wtedy nie mógłbym cię widzieć.
- Doskonale wiesz, jak wyglądam.
- Nie w tej postaci, nie kiedy jesteś szczęśliwa. Bo jesteś, prawda?
- Tak - odparła powoli. - Tak.
- Ale niezupełnie?

- Nie... niezupełnie... - powiedziała Freddy usiłując zdobyć się na całkowitą uczciwość w nazywaniu uczuć, których nie rozumiała, o których nawet nie mogła, nie chciała myśleć. - Nic na to nie można poradzić. Chyba... chyba w głębi gryzie mnie lekka depresja... z wielu powodów... to skomplikowane... Mam nadzieję, że po prostu sama przejdzie. Prawdopodobnie to tylko kwestia czasu. Widzisz, David, w tej akurat chwili jestem absolutnie szczęśliwa, właściwie jestem szczęśliwa odkąd tu przyszliśmy, a prawdę mówiąc już od dawna nie pamiętam, żebym przeżyła tyle szczęścia. A tamto... tamto nieszczęście nie jest twoje, nie ty masz z nim kłopot.

- Ależ jest moje.

- Dlaczego miałoby być? Powiedziałeś, że można mnie wypisać. Wypchnąłeś mnie z gniazda. Po tym, jak rzuciłam się na homara, nie ma sensu udawanie słabości. Czy jeszcze potrzebuję lekarskiej opieki?

- Formalnie nie. Ale chcę nadal się tobą opiekować.

- W jaki sposób? - spytała zaciekawiona Freddy.

- Chcę... chcę, żebyś za mnie wyszła. Nie mów nie! W ogóle nic nie mów! I nie opowiadaj mi, że nie wiem, co mówię. Nie opowiadaj mi, że nie można prosić dziewczyny o rękę po jednej randce i dwóch pocałunkach. Można, właśnie to zrobiłem, a nigdy przedtem w życiu nie

pozwoleń się unieść impulsowi. Znam cię lepiej, niż ci się śni. Wiem też, że to przyszło o wiele za szybko i nie powinienem o tym mówić, ale nie mogłem się powstrzymać. Chcę, żebyś wiedziała, co do ciebie czuję. Moje uczucie się nie zmienia, a ty możesz się spokojnie zastanowić. Odpowiesz mi i zdecydujesz... kiedy zdecydujesz. To wszystko, więcej słowa na ten temat nie powiem.

- Mój Boże - słabo powiedziała Freddy. - O czym będziemy mówić na drugiej randce?

Nowojorczycy zawsze chępli się urokami swojego miasta i Bruno de Lancel stwierdził, że chętnie się z nimi zgadza. Czy Manhattan był bardziej kulturalny i intelektualny niż Londyn? Bogatszy, bardziej imperialny niż Rzym? Bardziej dramatyczny, a nawet bardziej romantyczny niż Paryż? Ależ tak, i z pewnością miał jeszcze wiele innych przymiotów. Nowojorczycy utrzymywali najróżniejsze rzeczy, a Bruno zgadzał się z nimi bez zastrzeżeń, nawet jeśli nie do końca szczerze, jak w taksówce, która wiozła go na obiad wydany przez Allenów w początkach października 1951 roku.

Marie de La Rochefoucauld wróciła z letnich wakacji w dolinie Loary tak samo wolna i nie związana, jak była w czerwcu, kiedy widział ją odpływającą na pokładzie „Ile de France”. Od jej powrotu Bruno starał się spędzać z nią trochę czasu w każdy weekend, chociaż Marie nadal nie zgadzała się na inne formy spotkań niż popołudniowe wycieczki i spokojne wieczorne przesiadywanie w restauracyjkach. Powiedziała, że bardzo rozczarował jej rodzinę nagłymi interesami, które uniemożliwiały mu przyjazd do Francji przez całe lato.

- Po wszystkim, co o tobie naopowiadałam, mama stwierdziła, że chętnie by cię poznała, a wszyscy moi bracia liczyli na twoje tenisowe umiejętności... krótko mówiąc, brakowało cię, Bruno. Nie wolno ci tak nas rozczarować po raz drugi - powiedziała Marie z łagodną półzartobliwą słodyczą w głosie i wstydliwym, szybkim spojrzeniem, które Bruno, będący w stanie skatalogować każdy odcień intymności w jej wyrazie twarzy, uznał za najcieplejsze, jakim go dotąd obdarzono.

Wieczorne przyjęcie u Allenów łączyło się z urodzinami Marie.

Przez cały poprzedzający tydzień Bruno szukał prezentu, który nie zraziłby solenizantki wartością, a jednocześnie był godny tej niezależnej dziewczyny. W końcu zdecydował się na pierwsze wydanie *Przygód Alicji w krainie czarów*, książki którą Marie uwielbiała z powodów dla niego niezrozumiałych, mimo iż czytał z wyostrzoną uwagą zakochanego mężczyzny, jakby mógł tam znaleźć bezcenny klucz do charakteru Marie. Podarunek kosztował zatrważającą sumę, Bruno jednak był pewien, że solenizantka się tego nie domyśli, a książkę zawsze wypadało ofiarować.

Bruno siedział w salonie u Allenów w stanie ożywionej, lecz dobrze ukrytej przedterminowej zazdrości, wiedział bowiem, że listę gości ustaliła Marie, a nie pani Allen. Kiedy przyszedł, powitała go Sarah Allen, która wyjaśniła, że Marie jeszcze się ubiera.

- Akurat dzisiaj musiało stanąć to potworne metro, właśnie kiedy jechała z uniwersytetu... Co gorsza, wydaję uroczysty obiad, a Marie pozwoliła mi zaprosić oprócz pana tylko dwanaście osób - skarżyła się. -Bardzo chciałam, żeby Marie pozwoliła urządzić dla siebie bal... zdobyła tutaj tylu przyjaciół... ale nie życzy sobie dużego zgiefku.

A więc ma być jeszcze dwanaście osób, pomyślał Bruno, tymczasem goście zaczęli się schodzić. Czwórkę stanowiło dwóch ulubionych profesorów Marie z żonami, następną parę tworzyli córka Allenów, Joan, z narzeczoną, były też dwa zaprzyjaźnione z gospodynią studenckie małżeństwa. Poza Brunem przyszedł jeszcze jeden nieżonaty mężczyzna, ale przyprowadził ze sobą dziewczynę, bliską znajomą Marie, i wyraźnie bardzo się nią interesował. Wszystkich tych ludzi Bruno spotykał już wcześniej. Przez chwilę nie dowierzał stwierdziwszy, że jest jedynym samotnym, wolnym mężczyzną. Wybrała go... czy to właśnie jemu

pozwoili dokonać wyboru? A może, co dla znającego ją człowieka było bardzo prawdopodobne, po prostu niewinnie wybrała tych nowojorczyków, z którymi czuła się najswobodniej? Czy zaproszenie go nie miało żadnego dodatkowego, bardziej istotnego znaczenia poza tym, że jest jednym z przyjaciół, takim samym jak reszta gości? Stwierdził, że nie wie. Mógł się nawet nigdy nie dowiedzieć.

Bruno stał w kącie z grymasem na twarzy. Ciemne jarzmo jego brwi przecinało czoło nad wydatnym nosem i małymi, pełnymi ustami ściśniętymi wściekłością, że dopuścił do siebie takie zmieszanie. Marie weszła do pokoju, ubrana w długą, białą jedwabną suknię bez ramion, o smukłej linii. Korona z długich czarnych włosów została upięta na doskonale foremnej głowie, podkreślającej dumny kształt szczupłej szyi. Z uszu dziewczyny zwisały długie kolczyki, rozkołysane gałązki starych, szlifowanych w rozetę diamencików z wielkimi, polerowanymi, lecz nie szlifowanymi rubinami w środku, a na gorsie sukni Marie przypięła olbrzymią, zharmonizowaną z kolczykami broszę, dokładnie w miejscu, gdzie gładka skóra ramion wyrastała spod brzegu sukni.

Klejnety Marie były niezrównane, tylko rodowa własność mogła usprawiedliwić ich noszenie przez tak młodą osobę, a jednak wyglądała w niej równie swobodnie jak w niepozornych złotych kolczykach, że złotym łańcuszkiem i złotym zegarkiem, bo tylko taką biżuterię Bruno widział dotąd u Marie. Przygryzł wargę w przyływie bezsilnej emocji. Był tak bardzo zakochany, że do wściekłości doprowadził go nieoczekiwany, lecz rzeczywisty widok Marie posiadającej rodzinne klejnety, nie mające nic wspólnego z jego osobą. Nie powinna przecież nosić niczego, co nie jest podarunkiem od Bruna, nawet pary butów. Nie wolno jej zaskakiwać go

nieoczekiwanymi i wymykającymi się spod kontroli wcieleniami, choćby najpiękniejszymi. Ech, gdyby była jego, dowiedziałaby się!

Obiad był długą, wyrafinowaną torturą. Bruno siedział po przeciwnej stronie stołu niż Marie, która zajęła miejsce między Johnem Allenem i jednym z profesorów. Jeszcze nie widział jej tak szczęśliwej i ożywionej. Obecność szesnastu osób przy stole uniemożliwiała prowadzenie ogólnej konwersacji i Bruno był zmuszony poświęcić uwagę sąsiadkom, próbując jednocześnie spoglądać na Marie i nie okazać nieuprzejmości paniom z prawej i lewej strony. Solenizantka nie posadziła go obok siebie. Najwyraźniej to ona rozdzielała miejsca, tak samo jak sporządzała listę gości. Nie próbowała nawet pochwycić mojego spojrzenia, kwaśno pomyślał Bruno przy końcu urodzinowego tortu. Najbardziej wyrafinowana kokietka świata nie potraktowałaby go z większą zręcznością niż, wydawałoby się, prostolinijna Marie de La Rochefoucauld. Ech, gdyby był jej panem, nie odważyłaby się na takie sztuczki!

Po obiedzie w salonie podano kawę i brandy. Bruno próbował usiąść przy Marie, ale stwierdził, że drugie miejsce na krótkiej kanapce zostało zajęte przez młodszego z profesorów, który nie siedział przy Marie podczas obiadu. Mężczyzna ma nie więcej niż trzydzieści pięć lat, doszedł do wniosku Bruno, na stojąco balansując filiżanką i z dziką niechęcią przyglądając się wykładowcy, który postanowił uczynić chińską ceramikę przedmiotem swego życia. Nie miał nic z nieporządnego, zakurzonego wyglądu, jaki zdaniem Bruna powinien cechować zawodowego nauczyciela akademickiego. Wyraźnie był dobrze wychowany, a sądząc po elegancji jego żony, musiał posiadać znaczące źródło prywatnych

dochodów. Marie śmiała się i ripostowała obrazoburcze uwagi jasnowłosego profesora o uczelni, aż w końcu Bruno musiał się odwrócić, żeby ukryć grymas mściwej zazdrości, w który, jak poczuł, zaczęły układać się jego rysy.

Czy to możliwe, że z powodu tego człowieka Marie wróciła z letnich wakacji, nie przyjąwszy żadnego francuskiego kandydata do ręki? Czy kochała tego człowieka, który dzielił jej najgłębsze zainteresowania? Może zaprosiła go tego wieczoru wraz z żoną, żeby rozproszyć podejrzenia? Ileż możliwości bycia razem znajduje się w ich zasięgu każdego dnia, pomyślał Bruno przypominając sobie, z jaką łatwością jego kochanki oszukiwały mężów. Może ci dwoje spotykali się potajemnie wśród stert książek w bibliotece, w pracowniach, gdzie studiowano fragmenty skorup, może jedli razem lunch, a potem... Nie!

Gdyby Marie należała do niego, nie miałyby takiej upodlającej wolności! Rozporządzałby każdą jej minutą, upewniłby się, że Marie nie ma bliskich znajomych ani zainteresowań, które jego zdaniem byłyby niewłaściwe. Nie pozwoliłby jej na nic, z czego sam byłby wyłączone. Zdobyłby panowanie nad jej dniami i nocami, powoli, krok po kroku, z tak nadzwyczajną zręcznością, że zupełnie nie podejrzewałaby, jak jest ćwiczona, póki nie stałoby się o wiele za późno na bunt. Żonie wicehrabiego Bruna de Saint-Fraycourt de Lancel w żadnym wypadku nie byłoby dozwolone siedzenie w salonie ani szkolniackie chichoty. Nauczyłaby się, na co Bruno jej pozwala, i nie ryzykowałaby robienia czegokolwiek bez jego aprobaty.

- Jeszcze kawy, Bruno? - spytała Marie de La Rochefoucauld. Zaskoczyła go, zatopiony w myślach nie zauważył, że dziewczyna wstaje i

podchodzi. Kiedy opuścił ku niej spojrzenie, światło pochwyciło zielone refleksy w jego brązowych oczach.

- Dziękuję, Marie, już wystarczy. Podobają mi się twoje włosy ułożone w ten sposób dookoła. Wyglądasz jak piętnastolatka.

- Mnie się wydaje, że wyglądam zbyt dostojnie. Nie próbuj się ze mną drażnić - poleciła mu Spokojnie, z wielką pewnością siebie, lecz zarazem z takim urokiem, że Bruno poczuł w sercu tęsknotę, chociaż jego władcza, swobodna postawa, jakby osłaniana niewidzialną zbroją, wcale tego nie zdradzała. - Dziękuję za, *Alicję* - ciągnęła Marie. - To najbardziej czarujący prezent w moim życiu... jak go znalazłeś?

- To tajemnica.

- Powiedz mi koniecznie - nalegała. - Tego rodzaju książki nie znajduje się w byle jakiej księgarni. Nienawidzę tajemnic, a ty nie?

- Zdaje się, że i ty masz własne tajemnice, dzielone z tym profesorem - lekko powiedział. Bruno, wykonując niewyraźny gest w kierunku blondyna.

- Joe? Czy on nie jest zabawny? Uwielbiam go, w istocie wszyscy go uwielbiają. A jego żona Ellen należy do najbardziej czarujących kobiet, jakie znam. Czy może miałeś okazję z nią porozmawiać? Nie? To wstyd. Są dopiero rok po ślubie. Ellen właśnie mi powiedziała, że spodziewa się dziecka. Cudownie jest widzieć dwoje szczęśliwych ludzi. Może...

- Może co?

- W przyszłym tygodniu Joe i Ellen wydają przyjęcie dla grupy przyjaciół. Może chciałbyś się rozerwać, idąc tam ze mną? Ostrzegam, że wszyscy pozostali goście będą z Wydziału Sztuki Orientalnej, ale powinni ci się chyba spodobać... a wiem, że i ty im się spodobasz.

- Skąd to przypuszczenie? - spytał Bruno. - Przecież nie podzielam ich bardzo wyspecjalizowanych zainteresowań.

- Bruno, czasami potrafisz być taki... taki tępy! Spodobasz im się, bo ty to ty i... - Zawahała się i Brunowi wydało się, że postanowiła jednak nie wypowiadać myśli na głos.

- I... - sondował. - I co?

- Na miłość boską, Bruno, przecież oni... słyszeli o tobie - powiedziała Marie, sprawiając wrażenie zakłopotanej. - Przypuszczam, że są... ciekawi. Niektórzy z nich nie wierzą, że istniejesz, sądzą, że cię wymyśliłam.

- Rozmawiasz o mnie ze swoimi kolegami ze studiów?

Marie przekrzywiła głowę, tak by spojrzeć mu prosto w oczy niewypowiedziane szczerym spojrzeniem. Jej spokojna pewność siebie ustąpiła miejsca prawości. Odezwała się z powagą i zapałem, jakich u niej jeszcze nie widział:

- Nic na to nie poradzę, Bruno. Jak mogłabym zatrzymać cię tylko dla siebie?

* * *

- Jesteś najcudowniejszym miłośnikiem kodeksu drogowego, jakiego znam - powiedziała Freddy. David prowadził granatowego cadillaca po prawie wyludnionym odcinku Sunset Boulevard, gdzie łagodne, pociągające krzywizny zakrętów zaprojektowano jakby z myślą o kuszeniu kierowców do wchodzenia w nie z piskiem opon i ćwiczenia poślizgu. - Czy zdarzyło ci się przekroczyć dozwoloną prędkość?

- Chyba tak, jeszcze w college'u, ale nierozmyślnie, kochanie.

Kiedy napatrzysz się w izbie przyjęć na ofiary wypadków, tracisz

zainteresowanie dojeżdżaniem na miejsce o minutę wcześniej albo wyprzedzaniem faceta z niewłaściwej strony.

- Mogę to zrozumieć - przytaknęła Freddy. Podczas ich pierwszej wspólnej wyprawy, kiedy dwa miesiące temu jechali do restauracji, sądziła, że David starannie przestrzega najdrobniejszych przepisów znanych Departamentowi Pojazdów Samochodowych, wiedząc o jej lęku przed znalezieniem się poza szpitalnym światem. Prawdopodobnie otaczał ją szczególną opieką, gdyż zdawał sobie sprawę z szoku, zawrotu głowy i oszałamiającego, obsesyjnego lęku, jakie powoduje u niej bezkres świata, bo przecież spędziła wiele miesięcy w czterech ścianach. Myślała, że David siłą powstrzymuje się przed przekroczeniem dozwolonej prędkości, której nie przestrzegał żaden inny znany jej Kalifornijczyk. Ale po dwóch miesiącach, podczas których widywała Davida co najmniej trzy razy w tygodniu, orientowała się już, że owa obyczajność na drodze stanowi część jego osobowości.

Freddy pobłażliwie uśmiechnęła się do siebie. David był tak dobrze zorganizowanym człowiekiem. Czy jakiegokolwiek kobiecie śniłoby się, że lekarz, który z wielką śmiałością robi różne rzeczy z systemami nerwowymi ludzi, jest jednocześnie smakoszem i jako kucharz stosuje się do najbardziej skomplikowanych przepisów z pedantyczną dokładnością, nigdy nie dodając szczypty tego czy odrobiny tamtego bez dogłębnego zastanowienia nad wymiernym przeliczeniem tych jednostek.

Który z pacjentów poddanych odkrywczemu, niestereotypowemu zastosowaniu sztuki medycznej podejrzewałby, że we własnym domu David ustawia książki w bibliotece nie tylko według autorów, lecz i tytułów, uporządkowanych alfabetycznie jak słownik, co więcej, nigdy nic

zostawia otwartej książki, grzbietem do góry, nawet na kilka minut, bo w ten sposób psuje się oprawę.

Gdy słyszał, że ktoś w księgarni nieostrożnie, głośno otwiera nową książkę nadwyrażając grzbiet, tylko siłą powstrzymywany nie protestował głośno. W rozdrażnieniu David stawał się cudownie chłopięcy.

To samo było z płytami! David nauczył Freddy, jak trzymać je za krawędzie całymi dłońmi, żeby odciski palców nie naruszały czarnej, rowkowanej powierzchni. Wyjaśnił jej też, dlaczego przed włożeniem płyty do koperty, trzeba wsunąć ją najpierw w papierowy ochraniacz, a jeszcze przedtem dokładnie wytrzeć specjalną ściereczką, zbierając kurz do ostatniego pyłku. Nie mogli dojść do porozumienia jedynie co do tego, czy płyta położona na gramofonie musi być dograna do końca. Freddy miewała czasem ochotę przerwać muzykę w środku, z tego czy innego powodu, David nalegał jednak, żeby poczekać, aż ramię gramofonu podniesie się automatycznie.

- Teoretycznie nie można być pewnym, czy nie porysujesz płyty, wyłączając ją ręcznie - twierdził i Freddy dochodziła do wniosku, że słusznie. Zadrzała, przypominając sobie hańbiący sposób, w jaki wraz z lane puszczały po kawałku różne melodyjki na ich małym, ręcznie nakręcanym patefonie, zmieniając je jak zabawki.

Pomyślała, że David naprawdę poprawił jej samopoczucie. Cadillac tymczasem zwolnił daleko przed czerwonym światłem i zatrzymał się zupełnie gładko, prawie niewyczuwalnie. Freddy zawsze miała w sypialni zabałaganiony ką, „szczurzą norę”, gdzie zwałała czasopisma, swetry, listy, wycięte artykuły z gazet, rachunki do zapłacenia, buty do podzelowania, zdjęcia, które kiedyś miały zostać włożone do albumu.

Wszystko leżało skłębione bez ładu i składu, ale „szczurza nora” służyła z zaskakującą wydajnością jako nieformalna szafka. Gdy tylko Freddy nie mogła znaleźć czegoś na miejscu, zaglądała do „szczurzej nory” i znajdowała. Kiedy jednak zaczęła urządzać namiastkę „szczurzej nory” w sypialni Davida, z którym spędzała bardzo dużo czasu, ten okazał godną podziwu stanowczość.

- To bardzo złe przyzwyczajenie, kochanie - powiedział. - Przecież równie łatwo mogłabyś odkładać rzeczy na miejsce i odwieszać ubrania do szafy zaraz po zdjęciu. Wiem, że to jest nużące. Wiem też, że jestem potworem schludności... ale w sali operacyjnej musisz w każdej sekundzie wiedzieć, gdzie co leży. - To rozumowanie absolutnie do niej przemawiało, poza tym utrzymywanie własnych rzeczy w porządku naprawdę nie było takie trudne, kiedy zaczęła się starać. Nadal miała „szczurzą norę” w domu, ale przekopywała ją teraz z poczuciem winy. Niezłomnie postanowiła zabrać się wkrótce do całkowitego wytepienia tego przyzwyczajenia, wynikającego tylko z lenistwa.

Prawdę mówiąc, jeśli mamy się pobrać, myślała Freddy marszcząc nos w zakłopotaniu, to powinnam wziąć się do walki ze „szczurzą norą” natychmiast, i zacząć tresować Annie, która odziedziczyła po mnie przyzwyczajenie. Czy coś takiego może być dziedziczne?

Po wyjściu ze szpitala Freddy stwierdziła, że nie ma mowy o pozostawieniu córki w Anglii na cały rok szkolny. O wiele za bardzo do niej tęskniła. Annie wróciła więc do domu wraz z końcem wakacji, chociaż było niełatwo ciągnąć romans przy spostrzegawczej dziewięcioletce, oczekującej po mamie codziennych wspólnych śniadań. Freddy i David nie przespali razem ani jednej nocy, nie zdarzało im się

budzić w tym samym łóżku. Odwoził ją do domu o bardzo przyzwoitej wieczornej porze, tym bardziej że zwykle musiał być wcześniej rano w szpitalu.

Patrząc na profil Davida, skupionego na drodze rysującej się przed maską samochodu, Freddy pomyślała szczęśliwie, że kobieta nie może marzyć o bardziej troskliwym kochanku. Był czuły, słodki, delikatny, zwracał uwagę na jej przyjemność tak samo jak na własną... jeśli nie bardziej. Miała przedtem tylko dwóch kochanków, z którymi mogłaby porównać Davida, a nie pamiętała nawet, czy Tony lub Mac, obaj przecież już bardzo dawno, aż do tego stopnia dbali o jej satysfakcję. Zastanawiała się, czy David odmacza się niepowtarzalną, wrodzoną wrażliwością na kobiety, czy wykorzystuje znajomość neurologicznych reakcji. I czy nie jest niesmaczne, że przychodzą jej do głowy takie myśli, skoro współżycie z nim daje za każdym razem tyle rozkoszy.

Ciekawiło ją, czy David nigdy nie skoczy na nią raptownie, pożądliwie i nie w porę, żeby przelecieć ją w cudownym pośpiechu, po którym obojgu zostaje na cały wieczór wrażenie wspólnej erotycznej tajemnicy. Czyżby było to całkiem nie w jego stylu? Przypuszczała, że coś takiego jednak się zdarzy, jeżeli okres zalotów skończy się ślubem... a może w ogóle należało jedynie pytać „kiedy?”.

David dotrzymywał słowa. Zgodnie z obietnicą nie wspominał już o małżeństwie. Nie wywierał na Freddy najmniejszego nacisku, żeby podjęła decyzję. Freddy nie rozumiała więc, dlaczego wyczuwa jakby niewidzialną siłę, pomalutku popychającą ją do powiedzenia „tak” człowiekowi, który okazuje jej mnóstwo dobroci, wspaniale się opiekuje, demonstruje miłość na tysiące sposobów.

Najwyraźniej, próbowała sobie tłumaczyć, David jest takim mężczyzną, że jedynie kobieta niespełna rozumu nie chciałaby za niego wyjść.

Tylko obiad tego wieczoru budził w niej niepokój. Obiad z matką Davida. Dwukrotnie udało jej się wykręcić, ale w końcu musiała przyjąć zaproszenie. Powiedziała sobie, że zjedzenie obiadu z czyjąś matką nie jest równoznaczne z formalnym wyrażeniem zamiaru pobrania się.

Zaproszenie było dla niej zaszczytem i niczym więcej. Na pewno nie stanowiło nacisku.

David zapewnił ją, że ten wieczór nie będzie niczym nadzwyczajnym, po prostu cotygodniowym obiadem z matką, jadanym przez niego od lat.

- Należę do śmiesznie staromodnego gatunku tak zwanych dobrych synów - wyjaśnił z błyskiem autoironii w oczach. - To przecież nie moja wina, że mateczka jest taka poczciwa. - Freddy przypomniała mu, że i ona ma mateczkę, David wiedział też, że gdyby nie dziesięć tysięcy kilometrów, bez wątpienia łączyłaby je taka zażyłość, jak obecnie Eve i Delphine.

* * *

Susan Grunwald Weitz, wdowa od trzech lat, mieszkała na jednej z zielonych, mało uczęszczanych uliczek luksusowego zacisza Bel Air, niedaleko na wschód od Brentwood. David i Freddy skręcili z Sunset Boulevard i wkrótce podjechali pod jej dom, harmonijny, biały budynek, dobrze ukryty za wysoką kutą bramą.

- Hmm - przyglądała się Freddy, cała pod wrażeniem i raczej zaskoczona. Dom Davida był bowiem niewielki, sądziła więc, że i ten nie

będzie się zbytnio od niego różnił. - Zdawało mi się, że również twój ojciec był lekarzem.

- Hobbystycznie inwestował w przemyśle naftowym i nieruchomościach. Udało mu się połączyć zainteresowania.

- Jaki piękny ogród - zauważyła Freddy, wlokąc się za Davidem z lekkimi oporami przed spotkaniem matczki, choćby nie wiadomo jak poczciwej.

- To jest z kolei hobby mamy. Chodź, kochanie, ona naprawdę cię nie zje. - Przywitał się ze służącą, która otworzyła drzwi i wprowadziła ich do salonu. Freddy szybko spostrzegła mnóstwo obrazów, rzeźb i doniczek z kwiatami, które stały wszędzie. Potem zorientowała się, że w salonie siedzi chyba więcej osób niż jedna poczciwa matczka, na której spotkanie była przygotowana.

Susan Weitz, prawie dorównująca wzrostem synowi, opanowana i przyjacielska, podniosła się na ich powitanie. W gładkich popielato-blond włosach nie miała ani jednego siwego pasemka, nosiła najlepsze perły, jakie kiedykolwiek widziała Freddy, i niebieską sukienkę, prostszą a zarazem kosztowniejszą niż można było obejrzeć u innych mieszkanek Los Angeles. Freddy potrafiła teraz dokonać takiej oceny jednym rzutem oka. Najpierw przyszło jej na myśl, że suknia pochodzi z Paryża. Potem, że Susan Weitz była drugą żoną starego doktora, gdyż z wieku nie wygląda na matkę Davida.

Poznawszy resztę obecnych, Freddy musiała przyznać, że trzy siostry, wszystkie po trzydziestce, wykazują rodzinne podobieństwo do Susan Weitz, a także do Davida. Wraz z trzema mężami tworzyły niezwykle wysoką, przystojną i atrakcyjną grupę, kordialną, ale nie

nachalnie. Nie miało się wrażenia, że któreś z nich dyskretnie lustruje nowo przybyłą albo taksuje ją znaczącymi spojrzeniami. Ot, po prostu niewielki rodzinny obiad, powiedziała sobie Freddy, wyczarowując uśmiech czcigodnej pani Longbridge. Absolutnie wszyscy w pokoju wyraźnie nad nią górowali. Na miłość boską, Freddy poczuła się jak skrzat.

- Mamo, nie ostrzegłaś mnie, że będą dziewczęta - stwierdził zaskoczony David.

- Och, widzisz, siostry miały akurat czas i bardzo chciały przyjść. Wiesz, że nie potrafię im niczego odmówić.

- Opowiadałem ci o moich małych siostrzyczkach, prawda kochanie?

- szepnął David do Freddy. - Wybacz.

- Chyba dorosły od czasu, kiedy o nich wspominałeś.

- No, ja jestem najstarszy, od nich dzielą mnie wieki. W moich oczach zawsze pozostaną dzieciakami - powiedział, podając jej drinka.

Weitzowie, jak w myślach nazywała ich Freddy nie zdolawszy zapamiętać imienia żadnej z sióstr, rozpoczęli swobodną rozmowę, do której włączyli ją w tak naturalny sposób, że wkrótce poczuła się jak istota ludzka naturalnych rozmiarów. Zresztą siedząc Weitzowie wyglądali na nieco niższych.

Po wesołym obiedzie z beztroskimi pogaduszkami, Freddy wróciła ze wszystkimi do salonu, gdzie zaczepiła ją Barbara, która oznajmiła, że jest rodzinnym dzidziusiem.

- Masz tylko jedną siostrę, prawda? - spytała z oczywistą uprzejmością, malującą się w uśmiechu.

- Tak, a do tego mieszka daleko. - powiedziała Freddy z żalem.

Widok dużej, zżytej rodziny Weitzów wywołał u niej tęsknotę za bliskimi.

- Widziałam dużo jej filmów. Jest po prostu boska. David mówi, że twoja córka Annie bardzo przypomina siostrę.

- Owszem, zadziwiająco. Ale pod wieloma względami różnią się bardzo. Nie sądzę, żeby Annie została aktorką.

- David mówi, że Annie wciąż chce być pilotką. Czy jesteś z tego powodu szczęśliwa? Na twoim miejscu zupełnie nie podobałyby mi się takie ambicje, szczególnie że sama z nich zrezygnowałaś. Dla małej dziewczynki to musi być bardzo trudne, no i niezbyt... niezbyt kobiece, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ale pewnie będziesz jej to w stanie wyperswadować. David ma taką nadzieję, chyba ci o tym mówił?

Łagodnie przestawi się ją na inny tor, na przykład na grę w golfa. Albo w tenisa. To są bardzo pożyteczne sporty. Nie trzeba tam robić wszystkiego samemu, jak w lataniu. Osobiście jestem zapaloną golfistką. Czy grasz w golfa, Freddy? Nie! Co za wstyd! Jeśli kiedyś postanowisz się uczyć, mogę skierować cię prosto o najlepszego profesjonalisty w mieście. Z twoją koordynacją, czy jak tam się nazywa to, co mają piloci, będziesz urodzoną golfistką! Mam pomysł... możemy zjeść lunch w klubie, a potem przedstawię cię instruktorowi. Powinnaś ustalić z nim terminy lekcji. Tak czy inaczej, zadzwonię do ciebie za kilka dni..

- Będzie mi bardzo miło - odparła Freddy, uśmiechając się w wymuszony sposób. Nie zdecydowała się dotąd na latanie z powodów, których roztrząsaniem nie zawracała sobie głowy, ale to nie znaczy, że „zrezygnowała”. Leo właściwie każe Barbarze sądzić, że można zniechęcić do latania kogoś, kto naprawdę tego chce? Czy ją, Freddy, mogłaby powstrzymać jakakolwiek logika albo perswazja, choćby

najdelikatniejsza? Jeśli ma się potrzebę, palące pragnienie wspięcia się do nieba, wzięcia go w posiadanie, to matka nic na to nie poradzi. I nie powinna próbować. Ale Barbara odnosiła się do niej bardzo ciepło i miała dobre intencje.

- Spływaj Babs - powiedziała Dianne, druga z sióstr, która bezceremonialnie zajęła miejsce Barbary. - Czy opowiadała ci o swoim golfście? Nie zwracaj na to uwagi. Ona naprawdę jest zaawansowana. Przez trzy lata z rzędu zdobywała mistrzostwo klubu. Mnie się te drętwe gadki golfistów wydają pioruńsko nudne. Zresztą nie mam czasu na golfa, z piątką dzieci i szóstym w drodze. Och, wiem, że ostatniego jeszcze nie widać, po mnie w ogóle do szóstego miesiąca nie widać... Na szczęście. A ty masz jedno dziecko, jak słyszałam? Szkoda...

- Annie urodziła się w środku wojny, Pracowałam... - Freddy usłyszała własne wyjaśnienie.

- Co za pech! Ale jesteś młoda. David mówi, że skończyłaś dopiero trzydzieści jeden lat. Masz jeszcze czas na kilkoro, jeśli zechcesz. Wielkie nieba, to dopiero praca! Och, powinnaś się teraz zobaczyć w lustrze! Ja tylko żartowałam. Chociaż oczywiście David umiera z tęsknoty za dziećmi. Pierwsze małżeństwo mu nie wyszło, nie byli razem dostatecznie długo, żeby mieć dzieci... na pewno ci o tym opowiadał. Słyszałam, że przestałaś pracować. Mam kilka przyjaciółek, które mimo dzieci trzymają się swoich zawodów, ale bardzo im współczuję. Nigdy nie wyrobią się ani z pracą, ani z dziećmi, choćby najbardziej się starały. Oczywiście większość z nich chce pracować, szanuję ich wybór, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że podjęły błędną decyzję, której potem będą żałować. Co o tym sądzisz?

- Nigdy się nad tym szczególnie nie zastanawiałam - odparła Freddy.

- Annie była wychowywana przez pracującą matkę i wydaje mi się, że nie ucierpiała. Przynajmniej na razie nie.

- No pewnie że nie! - wykrzyknęła Dianne. - Przecież była wojna i w ogóle. A potem rozkręcałaś firmę. Nie było na to rady. Ale Annie musi się bardzo cieszyć, że teraz jesteś dla niej w domu. A kiedy stanie się nastolatką, naprawdę będzie cię potrzebować. W rzeczywistości maleństwa zawsze potrzebują matki, nawet kiedy dorosną. Czy nie miałaś cudownego uczucia będąc w ciąży? Ja zawsze jestem wtedy najszczęśliwsza, zastanawiam się dlaczego. Prawdopodobnie jest we mnie coś pierwotnego, jakiś atawizm. Skoro nie pracujesz, to mam nadzieję, że będziesz miała czas na lunch. Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu, to się umówimy. Byłoby mi bardzo miło cię gościć. Zobaczysz moje dzieci.

Kto, do diabła, podsunął jej pomysł, że nie mam zamiaru wracać do pracy, zastanawiała się Freddy, odwzajemniając z pewnymi trudnościami ciepłe, przyjacielskie spojrzenie Dianne. Nie podjęła jeszcze ostatecznej decyzji w sprawie „Orłów”. W chwili fizycznej słabości powiedziała Swede'owi, że nie wróci do pracy, i zdania dotąd nie zmieniła, ale kwestię traktowała jako otwartą. „Orły” nadal były... jej dzieckiem. Cóż, Dianne jest po prostu entuzjastką!. Musi być cudowną matką. I miała dobre intencje. - Przychodzę na ratunek - powiedział Bob, jeden ze szwagrów Dianne, stawiając rozmówczyni Freddy na nogi i zajmując jej miejsce. - Czy zaczęła ci już mówić o radościach porodu i ekstazie skurczy? Nie? To masz szczęście. - Odprawił Dianne lekkim klapssem, potem odwrócił się do Freddy. - Jestem mężem Elaine, średniej siostry, która delegowała mnie

tutaj widząc cię w macierzyńskich objęciach Dianne. Wiem, co myślisz, ta rodzina w kupie jest przytłaczająca... kiedy przedstawiano mnie Weitzom miałam to samo wrażenie. Nie mogłem nikogo odróżnić... a poza tym ten kult Davida! Nie zrozum mnie źle, David jest świetnym facetem, ale nie Bogiem Wszechmogącym. Tylko nie mów tego siostrze ani matce! Poza tym chyba wiesz, że nie musisz dostosowywać się do dziewcząt i dzielić z nimi zainteresowania ani poglądów, jeśli nie masz ochoty. Weź na przykład nas, Elaine i ja mamy tylko dwoje dzieci i nie planujemy następnych, nie gramy w golfa ani tenisa... jedynie trochę pływamy dla formy. Uwielbiamy muzykę kameralną, ale nie próbujemy wciskać jej ludziom na siłę. Jeśli lubisz operę, tym lepiej, tak uważamy. Jeśli wolisz koncerty, popieraj orkiestrę symfoniczną. Jeśli żyjesz baletem, to wspaniale, a jeśli nie znosisz baletu, to są dziesiątki innych instytucji potrzebujących żarliwych popleczników... muzea, uniwersytety, szpitale... wybieraj według zainteresowań. Najważniejsze, żebyś całym sercem zaangażowała się w określony projekt służący wszystkim, nie sądzisz Freddy? Wielką sprawą dla człowieka, który ma dość czasu i pieniędzy, jest włączenie się w pracę dla wszystkich, trzeba dawać, nie tylko brać.

- Zgadza się - powiedziała Freddy, nieco zszokowana tym dynamicznym człowiekiem. - Absolutnie.

- Przewidzieliśmy to z Elaine - dudnił Bob z satysfakcją. - Mamy nadzieję, że w przyszłym tygodniu przyjdziecie do nas z Davidem na obiad. Będą ciekawi ludzie, trochę muzyków, trochę malarzy... wszyscy bardzo chcą cię poznać. Elaine zadzwoni do ciebie jutro i poinformuje o szczegółach. Wpadniesz po uszy w coś fascynującego, zanim się zorientujesz. I pamiętaj, co mówiłem o Weitzach. Nawet jeśli wydajemy

się podobni, jesteśmy wszyscy ludźmi bardzo różnego rodzaju.

O nie, pomyślała Freddy, kiedy Boba zastąpił Jimmy, mąż innej z sióstr. Wszyscy jesteście jak dwie krople wody: mili, uprzejmi, serdeczni, życzliwi ze sobą, szczęśliwi, produktywni, gościnni, bezpieczni w swoich rolach i oczekiwaniach od życia. Tylko wam zazdrościć takiej rodzinnej fortecy.

- Jimmy, wszystkim już udało się porozmawiać z Freddy, tylko mnie jeszcze nie - powiedziała pani Weitz, podchodząc do mężczyzny, który wstał.

- A ona przecież przyszła w odwiedziny do mnie, nie do was. Nie powinnam była pozwolić, żebyście taką kupą wprosilili się na obiad.

Jimmy wycofał się, a Susan Weitz obejrzała Freddy ze szczerym podziwem w orzechowych oczach.

- Wszyscy zachowują się jak dzieci, które dostały szczeniaczka - powiedziała. - Dziwię się, że nie obskoczyli cię kołem i nie wylizali twojej ślicznej buzi. Ale są tak uradowani widokiem szczęśliwego Davida, że nie możesz ich winić.

- Zdaje się, że dla sióstr David jest największym cudem świata - zaryzykowała Freddy.

- Tak wielkim, że nawet ja to widzę - przyznała matka Davida ze śmiechem. - Mój mąż twierdził, że jestem z nich najbardziej agresywna. Ale kiedy ma się jedyne dziecko i trzy córki, to trudno nie wykazywać stronniczości. Szczególnie gdy tym synem jest David.

- Owszem - potwierdziła Freddy. - Szczególnie David.

- Od lat zastanawiało mnie, kiedy znów się zakocha. Mawiał, że jest zbyt zajęty... co za nonsens! Wiedziałam, że kiedy pojawi się właśnie ta

dziewczyna, to jakoś znajdzie czas. Nigdy nie wydawał się zatwardziałym kawalerem. Dobrze, nie chcę, żebyś rumieniła się jeszcze bardziej. Ale przyjdiesz znowu za tydzień, prawda Freddy? Obiecuję, że dziewcząt nie będzie... tylko my we troje, żebyśmy mogli się lepiej poznać. Powiedz, że przyjdiesz, kochanie!

- Postaram się - odparła Freddy. - Ma pani piękne obrazy - powiedziała, rozglądając się po pokoju.

- Dziękuję, Freddy. Zaczęliśmy zbierać razem z mężem. Potem on zmarł, a ja kupowałam dalej... dzięki temu mam zajęcie.

Freddy wzięła srebrną miskę z małego stolika przy fotelu, podniosła ją do nosa i wciągnęła zapach.

- Czy pani sama to zrobiła? - spytała.

- Skąd wiesz, Freddy! - wykrzyknęła Susan Weitz w zachwycie. - Mam własny bardzo, bardzo szczególny sposób robienia potpourri. Właściwie wzięłam przepis mojej matki. Ale większość ludzi nigdy się tego nie domyśla, sądzą, że kupiłam potpourri. A żadna z dziewcząt nie ma cierpliwości, żeby stworzyć własne. Jeśli masz ochotę, chętnie pokażę ci, jak robię. To zajmuje dużo czasu, ale warto.

- O tak - powiedziała Freddy. - Domyślam się.

* * *

Zimą winorośle, dostarczające gron na szampana, śpią, nie budzą się przed ostatnimi dniami lutego, kiedy zaczynają wypłakiwać biały sok ze starych ran, zadanych podczas przycinania w marcu ubiegłego roku. Winne łyzy są dla Szampanii jak dźwięk trąbek, sygnalizują bowiem początek okresu wzrastania. Niepowstrzymany wypływ czystego, lepkiego soku sprawia, że na gałązkach nagich winorośli pojawiają się pąki. Przed

końcem marca wszystkie pąki, które mają zamienić się w grona, są już otwarte. W czasie między puszczeniem soku a zbiorami po sześciu, siedmiu miesiącach nikt z ludzi zajmujących się winnicami, od chłopca na kilku akrach po właścicieli Grandes Marques, takich jak Paul de Lancel, nie ma chwili wolnej od niepokoju. Każdego dnia, każdej godziny winnicom zagrażają bowiem liczne klęski żywiołowe, mogące zniweczyć zbiory.

Pod koniec października 1951 roku Paul i Eve de Lancel mogli wreszcie odpocząć. Paul spędził całe lato na czujnym doglądaniu przedsiębiorstwa Lancelów, Eve organizowała życie na zamku i dbała o gości, którzy nawiedzali Valmont z regularnością i stałością morskich przyprawów.

Winobranie zakończono już w całej Szampanii. Dziesięcioletnia armia sezonowych zbieraczy, w większości górników oraz robotników fabrycznych z innych części Francji, a także Cyganów i wędrownych robotników rolnych, wyjechała skonana, zadowolona i w dobrych nastrojach po dziesięciodniowej pracy. W tym czasie zbieracze sypiali w barakach postawionych na ich przyjęcie przez właścicieli wielkich winnic. Codziennie dostarczano im pięć solidnych posiłków. Wypijali dzbany czerwonego wina, które cały czas stały gotowe, czekając na spragnionych. Co wieczór śpiewali, tańczyli i chodzili na liczne jarmarki ściągające ludzi z całej okolicy. Kiedy zaś ogorzali zbieracze z twardymi grzbietami nie spali, nie jedli, nie pili i nie oddawali się towarzyskim uciechom, to pracowali bez najmniejszej przerwy od świtu do zachodu słońca, wiecznie w niewygodnych pozycjach, zgięci wzdłuż, na klęczkach, w kucki, nawet leżąc na ziemi, zrywali delikatne, nisko rosnące grona, nie zapominając

ani na chwilę o najwyższej ostrożności, by nie uszkodzić skórki żadnego owocu i nic spowodować przedwczesnej fermentacji.

- Czuję się jak uczennica, która zdała egzamin i ma przed sobą pięć miesięcy wolnego - powiedziała przy śniadaniu Eve do męża. - Dziwne... wciąż wydaje mi się, że powinnam przygotować jadłospis na następny tydzień.

- Wyglądasz jak uczennica, tyle że dosyć zmęczona. Przede wszystkim powinnaś się długo wysypiać. Chcę, żebyś w końcu odpoczęła. Sięgnął ponad talerzem, wziął Eve za rękę i ucałował jej dłoń. Uwielbiał patrzeć na nią rano, zanim nałożyła makijaż i uczesała włosy. Zdaniem Paula jego pięćdziesięcioletnia żona widziana prywatnie była o piętnaście lat młodsza niż z makijażem do publicznych występów.

- Kłopot z porannym wstawaniem przez tyle miesięcy polega na tym, że nabiera się przyzwyczajenia. Nie potrzebuję nawet budzika. A co do odpoczynku, kochany, to nie musisz się martwić. Mam plany dla nas obojga. Po Świącie Dziękczynienia z Freddy w Kalifornii i Bożym Narodzeniu oraz Nowym Roku z Delphine i Armandem na Barbadosie wrócimy do Paryża, żebym mogła zamówić nowy zestaw kreacji Balenciagi. Zarezerwowałam duży i bardzo drogi apartament u Ritza, oczywiście z widokiem na Place Vendôme... Będą teatry, muzea, restauracje... Zamierzam wydać cały tegoroczny zysk i dopóki nie każesz mi wypić jeszcze kropli szampana, będę absolutnie szczęśliwa.

- Ludzie, którzy naprawdę doceniają szampana, twierdzą, że nigdy nie smakuje lepiej niż przed południem... a już najlepiej podczas śniadania, do jajek w koszulkach.

- Chyba mówisz o kuracji na kaca. - Eve wzdrygnęła się lekko i

naląła sobie drugą filiżankę herbaty.

- Na kaca pomaga tylko pół na pół z mocnym porterem albo z jedną trzecią soku pomarańczowego, jedną trzecią koniaku oraz dwiema kroplami cointreau i soku z granatu, w każdym razie tak słyszałem.

- Lepiej nie sprawdzajmy - podsunęła Eve.

- Zgoda. - Siedząc i wpatrując się w odległy horyzont nad winnicami Lancelów, Paul czuł się szczęśliwym człowiekiem.

- Czy nie jest cudownie mieć Valmont dla siebie? - powiedziała Eve.

- Kiedy wczoraj opuszczał nas ostatni angielski klient, miałam ochotę ucałować go, taka byłam uradowana jego wyjazdem. Załatwiłam malowanie wszystkich gościnnych pokoi w czasie, kiedy nas nie będzie, wybrałam też materiały na nowe zasłony i narzuty. Dywany wytrzymają do przyszłego roku.

- Nie chcesz wybrać się ze mną na przejażdżkę dziś rano? Jest taka piękna pogoda - zaproponował Paul.

- Nie. Od dawna już powinnam zatroszczyć się o róże.

- Dlaczego nie może tego zrobić któryś z ogrodników?

- Mogłoby nawet dziecko, ale wolę zrobić to sama. Czemu mam zostawiać ogrodnikom taką przyjemność? - spytała Eve.

- Moja matka zawsze okrywała róże sama - przypomniał sobie Paul. - Twierdziła, że jeśli przykryje róże i jesienią odpowiednio użyźni ziemię, to potem o nic się nie martwi, nawet w najcięższą zimę. I nigdy nie wierzyła nikomu, że zrobi to tak dobrze jak ona.

- Miała rację, jak zawsze... lub prawie zawsze. Idę włożyć ogrodniczki. - Eve pocałowała męża w czubek głowy, gdzie gęste włosy wciąż jeszcze były bardziej blond niż siwe. - Miłej przejażdżki, kochanie.

W trzy i pół godziny później część róz była okryta, a Eve w łazience próbowała doczyścić paznokcie. Nagle zapukała gospodyni. Dźwięk brzmiał alarmująco.

- Madame! Madame! Proszę szybko do stajni!

- Co się stało, Lucie? - spytała Eve, zbiegając po schodach.

- Nie wiem, madame. Chłopiec stajenny kazał panią natychmiast zawołać.

Eve pobiegła jak najszybciej w kierunku stajni. Spadł z konia, pomyślała, musiał spaść z konia. Nawet tak dobremu jeźdźcowi jak Paul mógł zdarzyć się upadek.

Przed rozwartymi drzwiami stajni leżał Paul z głową na końskiej derce. Dookoła stało pięciu czy sześciu mężczyzn, spoglądając w jej stronę niemal z poczuciem winy, jakby nie odważyli się poruszyć przed jej przybyciem.

- Wezwaliście lekarza? - krzyknęła, nim jeszcze zbliżyła się dostatecznie, żeby zobaczyć, co się stało. Mężczyźni zastygli w milczeniu, trzymając czapki w rękach. Żaden z nich nie zareagował skinieniem na jej wołanie.

- Nie macie rozumu?! Szybko, biegnijcie do domu! Dzwoncie! Nikt nie odpowiedział. Nikt się nie poruszył.

- Paul? Paul? - Eve ujęła jego głowę w dłonie. Spojrzała na najstarszego ze stajennych. - Emile, na miłość boską, jak on spadł?

- Monsieur Paul... podjechał tutaj, zatrzymał konia i powiedział mi, że boli go głowa, że coś mu się stało na skraju lasu. Pokazał na tył głowy. Wyciągnął stopę ze strzemienia, wziął wodze do ręki i zanim zdążyłem mu pomóc... ześlizgnął się z konia na ziemię... właśnie tak, właśnie tak.

Położyłem go na derce.

- O Boże, dlaczego go ruszałeś? Zraniłeś go!

- Nie, madame. Nigdy nie ruszyłbym pana, gdybym nie wiedział... że już...

- Że już? Już co?! Oszalałeś, Emile! Wezwij lekarza.

- Zrobiłbym to, madame, zrobiłbym, ale lekarz nic nie pomoże... pan nie żyje, madame.

- Nie żyje?

- Tak, madame. Pan od nas odszedł.

* * *

W godzinach chaosu po śmierci Paula, godzinach niedowierzania, które przesłaniało jeszcze żałobę, Eve była w stanie zdecydować jedynie, że pogrzeb należy odłożyć do chwili, aż w Valmont pojawią się dzieci. Delphine błyskawicznie wyjechała z Paryża i dotarła po paru godzinach. Ona też podjęła się zatelefonować do Bruna i Freddy. Eve, odrętwiała w szoku, nic mogąc znaleźć łez, bez słowa wałęsała się po zamkowych pokojach. Przyglądała się widokom z różnych okien, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu, głaskała rzeźbione framugi chłodnymi opuszkami palców, studiowała wzory wyszywanych poduch, jakby można było jakoś złamać tajemniczy kod i odkryć niezmienny klucz, który wyjaśniłby, co się stało z jej życiem.

* * *

Lot Freddy miał być długi. Zaczynała samolotem linii TWA z Los Angeles do Nowego Jorku. W Nowym Jorku przesiadała się na maszynę Air France do Paryża, której szlak biegł nad kręgiem polarnym, z lądowaniami w Gander i Shannon. W Paryżu miał czekać na nią Armand i

zawieźć ją samochodem do Szampanii. Swede Castelli odprowadził ją na lotnisko. Kiedy nowina spadła jak grom z jasnego nieba, Freddy smutno stwierdziła, że Swede jest dla niej w Los Angeles kimś najbardziej podobnym do rodziny... jedyną podporą w świecie, który przez piętnaście lat ich znajomości tak szybko się zmieniał.

- Posłuchaj, Freddy. Spróbuj się trochę przespać w samolocie. Wyglądasz na wykończoną - powiedział, zbliżając się wraz z nią do bramki prowadzącej na pokład samolotu. Freddy spojrzała przez szybę na płaszczyznę lotniska, gdzie czekał na pasażerów olbrzymi czterosilnikowy lockheed constellation. Do przedziału bagażowego powoli ładowano pakunki z furgonu.

- Swede, czy gdzieś tutaj jest bar? - spytała nagle.

- Na wszystkich lotniskach są bary. Pójdziemy poszukać?

- Chętnie.

Swede i Freddy wychylili w milczeniu po szkockiej.

- Jeszcze jedną? - spytał Swede. Freddy twierdząco skinęła głową..

- Dlaczego barowe drinki są takie słabe? Zupełnie jakbym piła wodę
- poskarżyła się, skończywszy drugą szklaneczkę.

- Prawdopodobnie od początku są w połowie rozcieńczone wodą, a potem jeszcze wkłada się do nich kostki lodu. W takim naczyniu normalny alkohol stanowi mniej więcej jedną czwartą. Zamówię dla ciebie następnego drinka. Zapewnię ci w ten sposób sen podczas lotu.

- Dobry pomysł.

Swede nigdy nie widział, żeby Freddy wypła trzy drinki, do tego przed godziną jedenastą, uznał to jednak za jej sposób na opanowanie uczuć.

Freddy piła ponuro i szybko. Czekala ją długa, wyczerpująca podróż. Wiedziała, że skoro znajdzie się na pokładzie samolotu, żywność i napoje będzie miała do dyspozycji w nadmiarze, ale czuła niezwykłą potrzebę natychmiastowego doznania efektu whisky. Gdyby tylko nie musiała lecieć sama...

Na pewno podtrzymałby ją na duchu David, może nawet mógłby z dnia na dzień zostawić pacjentów, ale jego krzepiącego towarzystwa Freddy pozbawiła się zawczasu, powiedziała mu bowiem, że się z nim nie pobierze, choćby namyślała się bardzo długo. David przypisał tę decyzję wpływowi jego rodziny, traktującej ich małżeństwo jak oczywistość i oczekującej od Freddy dopasowania się do szczegółowo zorganizowanego życia Weitzów.

- Czy nie rozumiesz, że mogłabyś robić wszystko? Czy nie rozumiesz, że nigdy nie pozwoliłbym im zmuszać cię do czegokolwiek? - zapytał David z wielkim bólem. Mogłaby mu powiedzieć, że nie chodzi o to. Po doświadczeniach przygotowujących ją do roli szesnastej baronowej Longbridge łatwo dałaby sobie radę z Weitzami, mimo że było ich stanowczo więcej. Wraz ze zrozumieniem, że jej przyszłość traktuje się jako oczywistość, nabyła jednak również świadomości, iż nie kocha Davida *d'amour*. *Aimer d'amour*, „kochać miłością”, ów francuski zwrot na oznaczenie romantycznej miłości nie oddawał uczucia Freddy do Davida. Owszem, kochała go, zawsze miało tak pozostać, ale kochała w nim dobrego człowieka, wspaniałego lekarza, serdecznego przyjaciela... nie było w tym romantyzmu. Racjonalnie zdawała sobie sprawę, że David stanowi świetny materiał na męża, ale wewnętrzny głos podpowiadał jej, że to nie wystarczy. Żałowała jednak, że teraz nie ma Davida przy niej.

Pewnie umiałby wytłumaczyć, dlaczego ojciec, cieszący się doskonałym zdrowiem, musiał umrzeć na coś nazwanego tętniakiem mózgu, która to przypadłość, jak powiedział lekarz, osłabiła na pewnym odcinku arterię w mózgu i mogła ujawnić się w każdej chwili, bez wcześniejszych objawów.

- Lepiej wracajmy - powiedział Swede. - Na pewno zaczęli już wpuszczać pasażerów. Freddy spojrzała na zegarek.

- Po co się spieszyć? Mamy jeszcze dziesięć minut - odparła zadziornie. - Co, niby odleczę beze mnie?

- Kiedy ostatnio leciałaś regularną linią lotniczą? - spytał łagodnie Swede.

- Wiele lat temu. Już nawet nie pamiętam.

- Tu obowiązuje rozkład, więc jeśli chcą być o czasie, to po prostu odleczę bez ciebie. Chodź mała panno, już czas.

- Mała panno?

- Wyrwało mi się, proszę pani. To się nie powtórzy.

- W porządku, nie gniewam się. - Wzięła orzeszek ziemny ze stojącej przed nią miseczki i zaczęła go w zamyśleniu żuć.

- Freddy, wstaniesz wreszcie? I ruszysz się do wyjścia?

- Wszystko w swoim czasie. - Starannie zebrała płaszcz i torebkę, sprawdziła, czy ma w środku bilet, jakby nie robiła tego przed pięcioma minutami, i w końcu powlokła się za Swede'em, który pomyślał, że w ten sposób dziecko idzie pierwszy raz do szkoły.

Nie winił jej za to. Nawet gdyby leciała dla przyjemności, miała przed sobą diabelnie męczącą podróż, a przecież Freddy ruszała w drogę na pogrzeb ojca. Przy bramce uściskał ją mocno. Z zaskoczeniem poczuł, jak do niego przylgnęła. Podał jej torbę podróżną, którą do tej pory niósł

sam, i całym ciałem przepchnął ją obok biletera na płytę lotniska. Odeszła w kierunku lockheeda, osamotniona, przygarbiona, wystawiona na raptowne podmuchy wiatru. Poruszała się jakby miała przed sobą nieskończoność, chociaż była ostatnim pasażerem.

Freddy usiadła sztywno przy oknie, twarzą w kierunku lotu. Nie pozwoliła stewardesie wziąć płaszcza. Czowała się przemarznięta do szpiku kości. Trzęsło nią z zimna, chociaż wiedziała, że w samolocie nie może panować taki chłód. Wszędzie dookoła widziała, jak inni pasażerowie, w większości mężczyźni; rozpinają wierzchnie okrycia, rozluźniają węzły krawatów i opadają na oparcia foteli w oczekiwaniu na odlot.

Odkryła, że ma dla siebie dwa fotele. Zaczęła przekopywać podręczną torbę, szukając jednej z książek, które zabrała do czytania w nieskończenie długiej podróży. Zapięła pas, otworzyła książkę na pierwszej stronie i przeczytała kilka linijek. Nie złożyły się w żadną sensowną całość. Przeczytała jeszcze raz. Wyrazy i zdania były zupełnie normalne. To jej umysł nie chciał przełożyć ich na początek opowieści. Freddy zamknęła oczy i skupiła się na dźwięku silników, które właśnie zaczęły pracować. Pomyślała, że odgłos jest miarowy, bez żadnych zakłóceń. Odwróciła się i wyciągnęła szyję do tyłu, wyglądając przez okno. Skrzydło było zbyt daleko od jej miejsca, żeby mogła zobaczyć śmigła. Musiała przyjąć, że wszystko jest w porządku, że mechanicy, którzy obsługują ten samolot, byli dokładni i staranni, nie wykonali pracy w pośpiechu i nie zaniedbali żadnego drobiazgu, nie wartego ich zdaniem bliższego sprawdzenia. Musiała przyjąć, że pilot, drugi pilot i mechanik pokładowy są wszyscy doświadczonymi, kompetentnymi ludźmi, którzy znają swoją pracę od podszewki i przez cały czas pamiętają, że własne

bezpieczeństwo narażają tak samo, jak pasażerów.

Za dużo wiem, zganiła się surowo, kiedy książka niepostrzeżenie zsunęła się na podłogę. Gdyby nie zdawała sobie sprawy że wszystkich możliwych defektów, nie mogłaby się nimi przejmować. Dlatego właśnie lekarze nie operują członków swoich rodzin. Dlatego prawnicy nie występują we własnych sprawach przed sądem. Boże, ależ potrzebowała drinka:

Freddy otworzyła oczy i zobaczyła, że stewardesy siedzą na swoich fotelach zapięte pasami. Samolot był jeszcze na ziemi, ustawiony na początku pasa startowego, a w kabinie pilotów załoga wykonywała wszystkie czynności przedstartowe. W myśli przebiegała za nimi cały wykaz, punkt po punkcie. Wielka maszyna drgnęła i zaczęła nabierać prędkości. Za szybko, za szybko! pomyślała Freddy. Nie było dość czasu na sprawdzenie wszystkich punktów, wiedziała to z niezbitą pewnością, ale nie miała komu powiedzieć. Chciała wykrzyknąć to pełnym głosem, wykrzyknąć przed niczego nieświadomymi pasażerami, którzy nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa, chciała krzyknąć, póki czynności przed startowe nie zostaną powtórzone. Za szybko! Ale już wystartowali. Ziemia oddalała się płynnym ruchem, samolot zaczynał zataczać łuk przed wejściem na kurs. Wchodził w niego pod zbyt ostrym kątem. Zdecydowanie zbyt ostrym, wręcz niebezpiecznym. Przy takim kącie w każdej sekundzie grozi przeciągnięcie. Czyżby ten kowboj, który pilotuje, tego nie wiedział? Maszyna wyrównała lot i zaczęła osiągać wysokość przelotu. Wznosiła się za gwałtownie, o wiele za gwałtownie. Po jaką cholere pilot tak się spieszy, czyżby nie wiedział, że wybrał zły kąt wznoszenia, pomyślała rozgorączkowana Freddy. Co za ludziom

pozwalają latać takimi maszynami? Jakie oni mają przygotowanie? Pewnie za sterami siedzi jakiś dzieciak, błyskotliwy dzieciak... wszystkich starszych kapitanów wycofano, Freddy gdzieś o tym słyszała... pilotuje jakiś dzieciak, który wojnę zna z opowiadań, a tym samolotem przeleciał za mało godzin, żeby wiedzieć, co robi.

Wyłączono znak „Zapiąć pasy” i Freddy zadzwoniła na stewardesę.

- Czy może mi pani przynieść podwójną szkocką bez lodu?

- Oczywiście pani Longbridge. Czy jeszcze czymś mogę służyć? Czy podać czasopisma albo gazety? To dla nas prawdziwy zaszczyt gościć panią na pokładzie. Niedługo będzie lunch. Razem z drinkiem przyniosę pani kartę.

- Nie, dziękuję. Proszę tylko o drinka.

Do diabła! Ta cholerna kobieta wie, kim jestem, pomyślała Freddy, próbując rozewrzeć palce kurczowo zaciśnięte na poręczach fotela. Pod bluzką po bokach ciała spływał jej pot, włosy przy cebulkach miała wilgotne, ale wciąż jeszcze było za zimno na zdjęcie płaszcza. Serce łomotało jej ciężko, nie mogła głęboko odetchnąć, czuła się jakby po raz pierwszy w życiu miała się pochorować w samolocie. W jego wnętrzu nie było powietrza. Na tym polegał problem. Do diabła, brak powietrza! Nic dziwnego, że nie mogła oddychać. Wielka maszyna była całkowicie odcięta od zewnętrznego świata, pozbawiona dopływu tlenu, poza niewielkim nawiewem przez otwory wentylacyjne nad fotelami. Jak można sobie wyobrazić, że ludzie będą się godzinami dusić? Boże, dałaby wszystko, żeby móc wytłuc pięścią iluminator i wpuścić trochę świeżego powietrza do tej ściśle zapieczętowanej skrzyni o ohydny wnętrzu, która była zbyt wielka na samolot do latania i za mała do przenoszenia tak

odpowiedzialnego ładunku jak ludzie.

Samolot ciężko dźwigał swoje cielsko w powietrzu, hałas czterech silników brzmiał potwornie fałszywie. Jakiś obcy element musiał się dostać do jednej z setek istotnych części, z których każdą Freddy mogła zobaczyć oczami wyobraźni i nazwać. Ten obcy element trzeba było usunąć, inaczej oznaczał dla wszystkich zgubę.

Freddy znowu zadzwoniła na stewardesę.

- Słucham, pani Longbridge?

- Muszę porozmawiać z kapitanem. To pilne. Pilne.

- Nie wiem, czy będzie mógł wyjść do pani akurat w tej chwili, ale pójdę zapytać. Freddy nasłuchiwała uszkodzonego silnika, zacisnąwszy powieki, żeby lepiej słyszeć. O, teraz... silnik zadławił się, kaszlnął, zarzęził, coś takiego każdy pilot powinien usłyszeć sam z siebie, chyba że nie wie, na co zwracać uwagę.

- Pani Longbridge?

Freddy spojrzała w dół na parę wyglansowanych czarnych butów pod nogawkami niebieskich spodni od munduru.

- Pan jest kapitanem?

- Tak. Co panią niepokoi?

- Coś nawala w jednym z lewych silników. Nie słyszy pan?

- Nie, pani Longbridge. Wszystkie spisują się bez zarzutu. Przed chwilą sprawdzałem. Czyżby był głuchy jak pień? - zapytała Freddy w myślach i zerknęła na lotnika, mężczyznę w zaawansowanym średnim wieku, bez wątplenia pierwszego pilota, zdecydowanie kompetentnego, doświadczonego i odpowiedzialnego. Doszła do tego wniosku po jednym, pobieżnym spojrzeniu. Takiego człowieka rozpoznałaby po wyglądzie

zawsze i wszędzie.

- Przepraszam, kapitanie. Musiałam się przesłyszeć. - Wybuchnęła wymuszonym śmiechem. Nie wolno dopuścić, żeby się domyślił, przeleciało jej przez głowę, nie wolno. To było zbyt wstydlive.

- Nic się nie stało, pani Longbridge. Będzie nam bardzo miło, jeśli po lunchu zaszczyci nas pani wizytą w kabinie. Oczywiście, gdyby pani miała ochotę.

- Dziękuję, kapitanie, ale prawdopodobnie pójdę spać.

- Zapraszamy o każdej porze. Proszę powiedzieć stewardesie, gdyby pani zmieniła zdanie.

Freddy podziękowała za roznoszony lunch, poprosiła o koc, poduszkę i jeszcze jednego drinka. Muszę się odprężyć, powiedziała małemu, oszalałemu zwierzątku, wżerającemu się w jej mózg, drżącemu, świdrującemu w panicznej ucieczce przed tysiącem niebezpieczeństw. Zorientowała się jednak, że spuszczenie powiek pogarsza sytuację. Otwartymi oczami widziała ludzi ze smakiem pochłaniających lunch, a dopóki była w stanie się na nich skupić, samolot nie mógł runąć, bo przecież ludzie nie jedliby, gdyby mieli zginąć.

Freddy wydała z siebie nagłe westchnienie bezgranicznego przerażenia. Samolot bez ostrzeżenia wszedł w chmurę. Niebezpieczeństwo, tam czyhało niebezpieczeństwo.

Maszyna zanurzyła się głębiej w brudnej bieli i niespodziewanie umysł Freddy przeszło utracone wspomnienie chwil poprzedzających katastrofę. Sprawdziła wysokościomierz i stwierdziła, że z tego pułapu można lądować na Catalinie. Ale nie połączyła się przez radio z najbliższą wieżą kontrolną, żeby stwierdzić, czy od jej odlotu z Burbank nie zmieniło

się ciśnienie atmosferyczne. Każdy, nawet najbardziej zielony pilot powinien wziąć pod uwagę czas, jaki upłynął od startu, oraz zmiany wysokości podczas lotu i pamiętać o tym niezbędnym kroku. Każdy, absolutnie każdy pilot poza nią jedną, tak zarozumiałą, wściekłą, znużoną światem, tak pewną siebie, że zapomniała o elementarnych środkach ostrożności. Jeśli coś takiego mogło wylecieć z pamięci jej, to z pewnością może również temu staremu wyjadaczowi kapitanowi, z którym przed chwilą rozmawiała, również najbardziej doświadczonemu pilotowi dowolnej linii lotniczej. Wystarczyło trafić na zły dzień, zły nastrój. Człowiek nigdzie nie jest bezpieczny. Nie wolno jej krzyczeć!

Po pogrzebie Paula de Lancel setki ludzi, które piechotą podążały za trumną do wiejskiego kościoła, wróciły do Valmont złożyć wyrazy szacunku wdowie i dzieciom. Było już dobrze po południu, kiedy odeszła ostatnia osoba i Eve mogła wreszcie usiąść z córkami, wyczerpana obowiązkiem odpowiedzenia tylu żałobnym twarzom na tyle słów nasyconych smutkiem, lecz gwałtownie spragniona pociechy, jaką daje bycie razem z bliskimi.

Przez cały trudny dzień Bruno stał obok nich, mroczna postać ze spuszczonej oczami i nieprzeniknionym wyrazem władczej, orlej twarzy. Ścisnął podawane dłonie i odpowiadał na kondolencje, dokładnie trafiając w ton dostojności, jakiego oczekiwali znajomi i sąsiedzi Paula de Lance!. Powitanie z Delphine wypadło dziarsko, lecz bez zaangażowania, jakby byli najodleglejszymi krewnymi. Ostatnia rozmowa w noc obiadu u generała von Sterna żyła jeszcze w pamięci obojga, ale Delphine była doświadczoną aktorką, a Bruno gładko stwarzał pozory, toteż mogło im się wydawać, że ta wymiana zdań została zapomniana. Zarówno Delphine, jak Bruno mieli jednak świadomość, że są rzeczy, których nigdy się nie zapomina. Nie zapomina się ich, nie przebacza i nie dyskutuje o nich.

Dla Eve Bruno był jakby niewidzialny. Nie wyciągnęła do niego ręki na powitanie i nawet nie przebiegła spojrzeniem po jego twarzy. Nie ignorowała go, ignorując uznawałaby bowiem jego istnienie. Po prostu nie okazała w najdrobniejszy sposób, że jest obecny wśród zgromadzonych. Zrobiła to tak zręcznie, iż nikt poza Brunem tego nie zauważył.

Po zakończeniu formalności pogrzebowych Bruno usunął się z

zamku, idąc na przechadzkę do pobliskiego lasu. Armand Sadowski pojechał z Tonym Longbridge'em oraz jego rodzicami, Penelope i Geraldem, do Reims, skąd angielscy goście mieli pociąg do Paryża. Jane, która została na noc w Valmont, poszła na górę zdrzemnąć się.

- Czy myślałaś... już... co zamierzasz robić? - odważyła się w końcu spytać Delphine. Nie mogła zostawić matki, póki ta nie zdecyduje o swojej przyszłości, ale za tydzień musiała zacząć pracę w nowym filmie Armanda.

- Owszem - odparła Eve, nieoczekiwanie rzeczowym tonem.

Freddy i Delphine wymieniły zaskoczone spojrzenia. Do tej pory Eve trwała w rozpacz, która niczym habit spowijała jej osamotnienie. Nie straciła panowania nad sobą, nie szlochała, czego córki na poły oczekiwały, ale spędziła wiele godzin na osobności, kończąc przykrywanie róż, zaczęte tuż przed śmiercią Paula.

- Zamierzam zrealizować plany, które mieliśmy wraz z ojcem na zimę - powiedziała Eve spokojnie. - Gdybym to ja miała umrzeć, chciałabym, żeby Paul postąpił właśnie w taki sposób. Polecę z tobą, Freddy, do Kalifornii i zostanę tak długo, jak planowałyśmy. Potem pojedę do Delphine i Armanda na Barbados. Po świętach wrócę do Paryża i będę robić to, co mieliśmy robić razem z ojcem. Zmiana dotyczy jedynie Ritza: wezmę mniejszy apartament. Wczesną wiosną: wrócę oczywiście do domu, gdy tylko będę potrzebna. Podczas snu winorośli mogą podróżować, kiedy się budzą, muszę być tutaj.

- Ale... czy podołasz prowadzeniu interesów... całkiem sama? - spytała Delphine.

- Nie będę sama, kochanie. Większość ludzi, którzy mieszkali tutaj,

kiedy przybyliśmy po wojnie, jest jeszcze w pełni sił i pracuje. Niektórzy nie wrócili ze zsyłki do Niemiec, kołku zostało rozstrzelanych przez gestapo, jak trzech piwniczni, kuzynowie Martin, ale na ich miejsce przyszli członkowie rodzin. Żaden pojedynczy człowiek w dobrach Lancelów nie jest niezastąpiony, nawet chef de cave, ale wszyscy pospołu stanowią fundament, na którym wznoszą się winorośle i fermentuje wino. Muszę zatrudnić kogoś, kto będzie organizował tych ludzi i doglądał ich pracy, kogoś kto poprowadzi przedsiębiorstwo Lancelów tak, jak twój ojciec. Znajdę do tego najlepszego człowieka w Szampanii, nawet gdybym miała go wykraść konkurencji. Nie zapominajcie, że przez ostatnie sześć lat dowiedziałam się o winiarstwie całkiem sporo. Przeszliśmy wraz z ojcem ostrą szkołę. Gdyby którakolwiek z Grands Marques zależała całkowicie od określonych ludzi, to jak długo, waszym zdaniem, osiągałaby sukcesy? Szampania hartuje wdowy, Delphine.

- Mamo! Jak możesz mówić takie rzeczy?

- Mówię prawdę. Poczytaj o historii wina, to zrozumiesz. Historia uczy realizmu. Zresztą mam nadzieję, że w przyszłym roku przyjedziecie wszyscy mnie odwiedzić i weźmiecie ze sobą dzieci. Bądź co bądź, Walmont należy teraz do was, nie tylko do mnie. - Głos Eve, choć ochrypy od płaczu, zabrzmiał mocno i rozsądnie. Wiosną nagie winorośle wokół Walmont znów miały unieść zawiązki owoców, tak było co roku od stuleci. Z tego naturalnego, niezmiennego procesu Eve czerpała odwagę do spoglądania przed siebie i wyobrażania sobie przyszłości bez Paula.

- Z mojego punktu widzenia - powiedziała Freddy - Walmont wcale do mnie nie należy. Nie mogę sobie wyobrazić siebie w roli posiadaczki.

- Ale nią jesteś. A po tobie będzie Annie. Jutro przyjdzie notariusz

odczytać testament, nie powinno być żadnych niespodzianek. Jedną trzecią odziedziczyć ja, pozostałe dwie trzecie muszą zostać podzielone zgodnie z prawem między ciebie, Delphine... i Bruna. Po mojej śmierci majątek Lancelów będzie należeć do was trojga w równych częściach, a kiedy wy umrzecie, stanie się własnością wszystkich waszych dzieci. Gdyby żadne z was albo żadne z nich nie chciało zająć się tym interesem, albo gdybyście nic mogli dojść do zgody, jak go prowadzić, to zawsze można Valmont sprzedać. Kupców na grunty w Szampanii nigdy nie brakuje.

- Nie bądź makabryczna, mamó - zaprotestowała Delphine.

- Mówienie o śmierci nie jest makabryczne, kochanie. Jest trudne, bo zmusza cię do uświadomienia sobie, że nie będziesz żyć wiecznie, ale w odniesieniu do ziemi zawsze ma sens. Zresztą bez względu na to, kto będzie właścicielem tej ziemi, z tutejszych winorośli zawsze będzie robiony szampan lancel. Dopóki ktoś ma pieczę nad winnicami, dopóty ta nazwa pozostanie nieśmiertelna.

Eve łagodnie uśmiechnęła się do córek. Potrzebowała wielu godzin w różnym ogrodzie, żeby zacząć przyzwyczajać się do myśli o życiu bez Paula. Wiedziała też, że najbardziej szczegółowe plany nie uratują jej przed poczuciem wiecznej straty. Ale taką cenę płaci się za wieczną miłość. Jedno bez drugiego nie istnieje.

* * *

Bruno siedział na pniu w promieniach zachodzącego słońca rozświetlających polanę. Miał świadomość nadejścia zupełnie nowej chwili w życiu, wreszcie mógł powiedzieć „Lepiej być nie może”. Przed nim rysował się pochód wspaniałych wydarzeń. Bruno widział je tak wyraźnie, jakby znalazł się w zaczarowanym lesie, ale nie musiał ich

wyliczać, nie było potrzeby rozważać wszystkich ziemskich rozkoszy, do których śmierć ojca dała mu dostęp. Zadowalało go tymczasem, że myśli o Marie de La Rochefoucauld. Niecałe trzy tygodnie temu, w urodzinowy wieczór, zdradziła się ze swą miłością przyznając, że rozmawia o nim z przyjaciółmi. Taka dziewczyna, jak Marie nie mogłaby wyraźniej otworzyć serca niż właśnie tego wieczoru.

W dniach po urodzinowym przyjęciu widywał ją często, mając teraz nowe spojrzenie na jej uczucia wiedział, że na swój chłodny, królewski, staromodny sposób Marie niecierpliwie wyczekuje jego kroku. Ukrywała to pragnienie prawie tak dobrze, jakby jeszcze się z nim nie zdradziła, i w zasadzie Bruno mógłby nadal pozostawać w stanie niepokoju i zwątpienia w siebie, który towarzyszył mu od chwili poznania dziewczyny.

Marie de La Rochefoucauld należała jednak do niego, wystarczało sięgnąć, i Bruno wiedział o tym, przeciągając się w radosnym zmęczeniu. Od chwili gdy wyznała, że nie może zatrzymać go tylko dla siebie, zaczął ćwiczyć ją w posłuszeństwie, które postanowił u niej wyrobić. Żywił jej oczekiwanie, nadzieję i niepewność, a jednocześnie angażował cały swój wyrachowany i przemożny wdzięk, żeby rozkochać ją w sobie jeszcze bardziej. W ostatnim tygodniu oczy Marie zaczęły ujawniać jej stan umysłu. Kiedy sądziła, że Bruno nie patrzy, rzucała ukradkowe spojrzenia pełne wątpliwej udręki. Wyśledziwszy taki udręczony wyraz, Bruno stawał się chłodny i ugrzeczony, ale tylko na pół godziny, dość długo by wzbudzić zakłopotanie i obawy, lecz za mało by miała powód wypytywać co się stało. Jeszcze przed wiadomością o śmierci Paula wszechświatem Marie zaczęły rządzić nastroje Bruna. On zaś triumfalnie mówił sobie, że ma czas, że gdyby chciał, mógłby doprowadzić ją do krawędzi nerwowego

załamania, skoro jednak zdawał sobie sprawę z możliwości, nie potrzebował na razie wypróbować własnej siły.

Zaraz po powrocie do Nowego Jorku załatwił nasze zaręczyny, postanowił, nic bowiem nie stało już na jego drodze powrotnej do Francji. Za kilka tygodni mógł wraz z Marie przylecieć do Paryża, poznać jej rodziców. Matka prawdopodobnie zacznie snuć plany wielkiego wesela, podczas którego ich zjednoczeniu będą się przyglądać członkowie wszystkich arystokratycznych rodów, z którymi byli spokrewnieni. Wyobrażał sobie tę uroczystość wiosną... dosyć szybko, bo przecież nieodwracalnie zbliżał się czas, gdy spełni się przeznaczenie Marie, zostanie niezrównaną wicehrabiną de Saint-Fraycourt de Lancel, żoną Bruna. Będzie istniała dla jego przyjemności, razem stworzą dynastię.

Ale nie tutaj, nie w Szampanii. Bruno nie chciał więcej oglądać Valmont na oczy. Wyłącznie ten pogrzeb, tak boleśnie spóźniony, długo oczekiwany, wymodlony, mógł sprowadzić go na jeden krótki dzień na tę prowincję. Ktokolwiek chce tu mieszkać, niech mieszka, niech niesie na barkach ciężar wieśniaczych trwóg i trosk. Bruno uznał, że póki będzie otrzymywał uczciwą część zysków z majątku Lancelów, jest mu wszystko jedno, kto gospodaruje w Valmont.

Czas wracać do zamku, pomyślał i leniwa odraza skaziła doskonałość jego szczęścia. Bardzo nie chciało mu się wstawać i porzucać wyobrażeń, wszak wszystko, czego pragnął, stanęło wreszcie w zasięgu ręki. Leśne powietrze nasycił jednak wilgotny chłód. Lepiej być nie może, powtarzał Bruno pod nosem wiedząc, że przez całe życie dozna jeszcze wielu takich chwil. Z tyłu na polanie zaszleściły liście, zerwał się lekki wiatr.

Olbrzymia, sękata dłoń opadła mu na usta i pociągnęła głowę do tyłu. Umięśnione ramię owinęło się dookoła jego szyi. Inne dłonie pochwytyły go i wściekle wykręciły mu ręce na plecach, a potem ciasno je związały. Postawiony na nogi i nieustannie poganiany, Bruno musiał iść naprzód, żeby nie upaść.

Napastnicy podążali za nim tak blisko, że czuł ich oddechy na karku.

- Trzeba było nie wracać - mruknął męski głos, którego Bruno nie rozpoznał. - Nigdy nie wraca się na miejsce zbrodni. Nie wiedziałeś tego?

- Pamiętasz trzech Martinów? Pamiętasz ludzi, na których doniosłeś do gestapo? Jesteśmy ich młodszymi braćmi - szepnął drugi głos, ledwo słyszalny w chrzęście jesiennych liści pod stopami.

Teraz odezwał się trzeci mężczyzna, i on mówił bardzo cicho:

- Przyszliśmy po ciebie w dniu, kiedy twój ojciec wrócił z wojny, ale zniknąłeś.

- Chcemy dać ci lekcję - warknął mężczyzna, który odezwał się pierwszy. - Ruszaj się!

Ogarnięty przerażeniem Bruno był w stanie pojąć jedynie, że idą ścieżką w kierunku piwnic. Dookoła nie było widać nikogo, zapadł późnojesienny zmierzch. Gigantyczna dłoń na ustach zmuszała go do milczenia, boleśnie przyciskając wargi do zębów.

- Myślałeś, że uszło ci na sucho. Myślałeś, że pozbyłeś się wszystkich ludzi, którzy wiedzieli o skarbcu.

Bruno gorączkowo próbował pokręcić głową.

- Nie zaprzeczaj. Wiemy, że to ty - szepnął mu do ucha trzeci głos, stłumiony i tym bardziej bezlitosny.

- Był jeszcze jeden klucz - złowrogo syknął drugi głos. - Klucz

należał do mojego brata Jacquesa, najstarszego z Martinów. Twój dziadek ufał mu bez zastrzeżeń, podobnie jak i innym braciom. Klucz miał też twój ojciec, a ty masz trzeci. W historii Valmont nigdy nie było więcej kluczy do skarbcza niż trzy.

- Któregoś wieczoru Jacques zobaczył niemiecki konwój w pobliżu piwnic. Ukrył się i obserwował niemieckich żołnierzy wynoszących szampan do ciężarówek. Następnego dnia stwierdził, że skarbiec jest pusty. Przeląkł się, że ktoś może obwinie jego albo braci, ale w końcu zrozumiał, że tylko ty mogłeś sprzedać Niemcom tajemnicę Valmont. Wszystko nam opowiedział i dał klucz na przechowanie.

- Kiedy gestapo przyszło po naszych braci - ciągnął drapieżny szept - zorientowaliśmy się, że to ty ich zamordowałeś. Nie mogliśmy ci nic zrobić, bo chronili cię naziści. Po wojnie twój ojciec nigdy z nikim o skarbcu nie rozmawiał. Wiedział, kto jest złodziejem. Uszanowaliśmy jego wstyd. Uszanowaliśmy jego ból. Wiedzieliśmy, że któregoś dnia wrócisz. On też musiał o tym wiedzieć.

Weszli do obszernych, zapełnionych piwnic, z których wyszli już robotnicy, i skierowali się ku najdalszej ścianie, z ukrytym wejściem do skarbcza. Bruno walczył ze wszystkimi siłami, ale był bezradny niczym kawałek mięsa w pewnym chwycie rzeźnika. Jeden z mężczyzn znalazł przycisk na kredowej ścianie i ściana rozstała się. Zamek ukrytych drzwi zaskrzypiał tak samo, jak w dniu, kiedy dziadek powierzył Brunowi sekret Valmont. Do zamka włożono klucz i drzwi zakołysały się na zawiasach.

Jeden z Martinów włączył światło i zasunął za wchodzącymi kredowe bloki, tłumiące wszelki hałas.

Trzej mężczyźni wlekli Bruna przez obszerną, pustą komnatę. Stopy

więźnia szorowały o ziemię. Kiedy oparli go o ścianę, przeciwległą do wejścia, wiedział już. Ciało mu zwiotczało, ale oczy wciąż pozostały otwarte, świadome. W świetle reflektorów kuzyni szybko odsunęli się od niego. Zdjęli z ramion strzelby, unieśli je i wycelowali.

Huknęły trzy strzały. Martinowie wolno podeszli do ciała na cementowej posadzce. Jeden z nich odwrócił je czubkiem buta, spoglądając w nie widzące oczy i usta otwarte do krzyku: Bruno znalazł śmierć, zanim jeszcze runął na ziemię. Drugi wyciągnął kartkę, na której szybko nagryzmolił słowa: *Reglement de comptes*.

- Rachunek wyrównany - wycedził i położył papier na piersi Bruna. Odwrócili się do wyjścia, z powrotem zakładając strzelby na ramię.

- Jutro musimy przesłać klucz i postarać się, żeby policja go znalazła - odezwał się pierwszy z Martinów po zamknięciu drzwi do skarbcza. - Śledztwa nie będzie... nie po tym, jak przeczytają kartkę przy ciele. Inaczej nie bylibyśmy w porządku wobec madame de Lancel. Bez końca trwałyby poszukiwania, a zwłok nie odnaleziono by nigdy.

- Jego kości nie powinny spoczywać w Valmont. Bezczeszczą zamek - powiedział drugi.

- Zgadzam się - stwierdził trzeci. - Niedobrze byłoby też, gdyby ludzie myśleli, że są nie wyrównane rachunki. Ten człowiek żył za długo.

* * *

Delphine i Armand namówili Eve na odpoczynek przed obiadem i poszli z nią na górę, a tymczasem Freddy siedziała w saloniku na dole i rozmawiała z Jane, która zakończyła już drzemkę... Próbowały opowiedzieć sobie, co zaszło po rozejściu się ich dróg życiowych, wraz z wyjazdem Freddy i Tony'ego do Los Angeles przed pięcioma laty.

- Bardzo ciężko przeżywałam wasz wyjazd - skarżyła się Jane. - I co ja miałam z tego, że usidliłam cię jako szwagierkę, skoro zamieszkaliście tak daleko?

- Teraz masz Tony'ego z powrotem - powiedziała Freddy. - Dzisiaj był w zdecydowanie lepszej formie niż wtedy, kiedy go ostatnio widziałam. Powrót do roli dziedzica wiele w nim zmienił. I ta śliczna dziewczyna, z którą chce się ożenić... I to, że przestał pić. Cieszę się jego szczęściem.

- Gdybym mogła wybierać, wolałabym z powrotem ciebie, braci mam jeszcze dużo. O Boże, aleście narobili bałaganu. Wyszedł z tego cholerny syf. Zastanawiam się, czy te wojenne małżeństwa w ogóle mają sens? Bardzo się cieszę, że musiałam poczekać. - Jane obdarzyła Freddy uśmiechem samozadowolenia, na jaki może pozwolić sobie kobieta, której wszystko w życiu się udało. - Tylko pomyśl, Freddy. Nigdy nie spotkałabym kochanego Humphreya, nigdy nie miałabym moich kochanych dzieci, nigdy nie byłabym markizą. Naprawdę dobrze się złożyło, że nie zostałam wojenną żoną. Dzięki temu moje sprawy ułożyły się jak najlepiej.

- Jeżeli dobrze pamiętam, to nigdy w najmniejszym stopniu ci to nie groziło - zaprotestowała Freddy.

- Gdyby Jock mi się oświadczył, pobrałabym się z nim w sekundę i zostałabym wywleczona w pustynne piaski dzikiej Kalifornii, tak samo jak biedny Tony.

- Nie wygłupiaj się, Jane! Nigdy nie miałaś romansu z Jockiem.

- Nie przypominaj mi takich klęsk - powiedziała Jane z kroplą uszczypliwej szorstkości w głosie. Cień majestatu złagodził nieco

szelmowski wyraz brązowych oczu, ale poza tym arystokratyczne małżeństwo jej nie zmieniło.

- O czym ty mówisz? - spytała zbita z tropu Freddy. Jane nie miała zwyczaju fantazjować na temat własnych romansów, przeżyła tyle prawdziwych...

- Nigdy się nie domyśliłaś? Widzę, że nie. To dlatego, że bardzo nie chciałam, żebyś domyśliła się ty albo ktokolwiek inny. Śmieszna miłość do człowieka, który w ogóle mnie nie zauważał, była dość straszna, że bym narażała się dodatkowo na powszechne współczucie.

- Kochałaś się w Jocku Hamptonie?

- Przez lata. I nie musisz pytać z takim niedowierzaniem... ten ton jest komentarzem do mojego gustu, pani Longbridge, a gust mam, za pozwoleniem, wyśmienity! Kochałam się w tym uroczym człowieku tak długo, że aż nie chcę o tym myśleć. Właściwie nie mogłam spisać Jocka na straty, dopóki nie spotkałam Humphreya. Chyba zawsze będę trochę kochać tego pięknego blond tarzana.

- Tego wielkiego zbira? Tego starego kowboja? Tego niechlujnego bysiora, gbura z marnymi resztkami inteligencji? - spytała Freddy oszołomiona i nie wiadomo dlaczego rozeźlona. - Nie mów takich rzeczy, Jane.

- Och, właśnie tak było. I to jak było. Wątpię, czy się Jockowi dobrze przyjrzałaś. Wszystko jedno, rzecz gustu. Ale czy nie zgodzisz się ze mną, że kiedy raz byłaś naprawdę zakochana, to nawet jeśli potem zakochasz się w kimś innym, pierwsza miłość pozostaje na zawsze żywa?

- Nie będę się o to kłócić - odparła Freddy z nutą niejasnej nostalgii, na gorzkie, a zarazem słodkie wspomnienie godzin, które nie mogły już

powrócić. - Ale dlaczego nie próbowałaś zwrócić na siebie uwagi Jocka? Nawet z nim nie flirtowałaś... ty, najbardziej bezwstydną i owianą niesławą flirciara w brytyjskim imperium. Co cię powstrzymywało?

- Ty - powiedziała Jane.

- Ja? - zaproponowała urażona Freddy. - To najbardziej nieuczciwe stwierdzenie, jakie słyszałam! W jaki sposób mogłam cię powstrzymywać?... I dlaczego, na miłość boską, miałabym cię powstrzymywać?

- Nie ty osobiście, głuptasie. Chciałam powiedzieć, że Jock był tak całkowicie, beznadziejnie, po uszy zakochany w tobie, że nie było sposobu na zwrócenie jego uwagi, a tym bardziej flirtowanie z nim. Zwykle włączył się śledząc cię wzrokiem albo, co gorsza, próbując na ciebie nie patrzeć w sposób, który mówił mi wszystko, co chciałam wiedzieć. Boże, cierpiało się od samego patrzenia na Jocka. Musiałam zadowolić się własną dumą, bo nic innego mi nie pozostało. Mogłam jedynie umartwiać się obserwując, jak Jock usycha z tęsknoty do ciebie, podczas gdy ja usycham z tęsknoty do niego. Tylko Freddy i Tony, para naszych szczęśliwych, świata poza sobą nie widzących, młodych kochanków, nie zauważyła niczego. Ech, miłość! Ale powtarzam, że ułożyło się jak najlepiej... w każdym razie mnie. Wiesz, bardzo mi było przykro, nadal jest mi przykro, że wam z Tonym się nie ułożyło. A właściwie, jak się czuje Jock?

- Jock?... Och, znasz Jocka... dobrze mu idzie... ożywiony jak nigdy...

- Biedny Jock, ciągle nosi za tobą wielką pochodnię miłości... Nieco przypomina w tym Statuę Wolności. Tony mówił mi, że podejrzewał go o

to od lat. Ale... kiedy ludzie do siebie nie pasują, nie można nikogo zmusić, prawda?

- Co takiego?

- Powiedziałam... ech, nieważne. Zdaje się, że myślisz o czymś innym. Zrobić ci drinka, malutka?

- Kogo?

- Drinka? Czy chcesz drinka? Freddy! Freddy! Ile palców podnoszę?

- Co?

- Zajmę się przygotowaniem drinków. Ty po prostu siedź tutaj, miałaś ciężki dzień. Cieszę się, że zostałam... ktoś powinien się tobą zaopiekować.

* * *

Po południu w dzień po pogrzebie Paula de Lancel czterej policjanci z Epernay przybyli do Valmont. Poprosili gospodynię, żeby przekazała madame de Lancel, że nie chcą zakłócać jej żałoby, mają jednak obowiązek sprawdzić informacje z anonimowego listu dotyczącego jednej z piwnic.

- Róbcie co do was należy - zdecydowała Julie. - Pani de Lancel powie wam to samo, ale nie chcę jej teraz zawracać głowy bzdurami.

Policjanci udali się do piwnic uzbrojeni w klucz i mapkę ilustrującą drogę do tajnego skarbcza. Oba te przedmioty nieznana ręka podrzuciła w prefekturze. W piętnaście minut później stanęli w nabożnym osłupieniu przed wielką czarną czeluścią, która ukazała się po otwarciu drzwi skarbcza. Jeden z nich obmacał ścianę w poszukiwaniu wyłącznika. Jaskrawe światła odkryły przed nimi olbrzymią komnatę, pustą, jeśli nie liczyć ciała widocznego przy przeciwległej ścianie. Szybko podeszli do

zwłok. Trzej mężczyźni, którzy byli w Epernay przez całą wojnę, rozpoznali Bruna, jeszcze zanim się zbliżyli. Dwaj zakleli cicho, ale bez zdziwienia. Stanąwszy nad zwłokami, zawahali się przez chwilę, dowódca schylił się po papier leżący na piersi nieboszczyka. W milczeniu przebiegł go wzrokiem i podał następnemu policjantowi. Wszyscy czterej przeczytali kartkę bez słowa. Trzej, którzy znali Bruna, spojrzeli po sobie: zrozumieli natychmiast.

- Co zrobimy, panie kapitanie? - spytał najmłodszy.

- Przeniesiemy ciało do zamku i złożymy w prefekturze meldunek o wypadku.

- O wypadku, panie kapitanie?

- Nie było cię tutaj w czasie wojny, Henri. Wielu ludzi miało powody, żeby chcieć śmierci tego człowieka. Kto ich znajdzie? I kto dojdzie do tego, ilu ich było? Kto się będzie pakował w taki niepotrzebny kłopot? Nie ma sensu tego robić, Henri. Nie należy tego robić. Uwierz mi na słowo, jeśli chcesz się nauczyć czegoś pożytecznego. To był wypadek, który musiał się zdarzyć.

- Skoro pan tak mówi, kapitanie.

- Mówię, Henri. Wszyscy tak mówimy.

* * *

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego policja uznała śmierć Bruna za wypadek na polowaniu - powiedziała Freddy. - Ciągle jestem zaszokowana. Czy ich obowiązkiem nie było stwierdzenie morderstwa? Dostali przecież anonim, więc co innego mogło się stać? Mimo to nie zamierzają prowadzić dochodzenia. Nie czuję szczególnego żalu po Brunie, ale chciałabym wiedzieć, o co tu chodzi. Czy nikomu poza mną

nie wydaje się, że zaszło coś niewiarygodnego?

Freddy, Eve, Delphine i Armand wrócili właśnie z pośpiesznie urządzonego pogrzebu Bruna i siedzieli na tarasie w Valmont, którego wiekowe kamienie wciąż jeszcze trzymały ciepło z letnich miesięcy.

- To nie był ani wypadek, ani morderstwo - powiedziała Eve, otaczając Freddy ramieniem. - To była egzekucja.

- Co! Egzekucja? Cóż to ma znaczyć? I od kiedy prywatne egzekucje są we Francji zgodne z prawem? Dlaczego żadne z was nie jest bardziej... jakby to powiedzieć... bardziej zaskoczone? No właśnie. Kiedy przyniesiono ciało Bruna do zamku, odniosłam wrażenie, że jestem jedyną osobą w rodzinie, którą to zaszokowało. Reszta z was zdawała się przyjmować to niemal jak coś przez wszystkich oczekiwanego. Ale przecież nie mogliście tego oczekiwać! Z jakiego powodu miałby sobie ktoś wyobrażać, że Bruno tak skończy w dzień po tym, jak wyszedł na spacer do lasu?

- Kochanie, widziałaś chyba pomnik w centrum Epernay? - powiedziała Eve.

- Tak, ale co to ma do rzeczy?

- Nie postawiono go w hołdzie zabitym żołnierzom. Wiesz, Freddy, są na nim wyryte nazwiska dwustu ośmiu mężczyzn i kobiet z tego niewielkiego regionu. Część zginęła, walcząc w ruchu oporu, część z rąk gestapo, wielu nie przeżyło obozów koncentracyjnych. Niejedno z nich pracowało kiedyś w Valmont. Policja uznała, że śmierć Bruna łączy się z tymi wydarzeniami. Bruno był kolaborantem.

- Wiedziałaś! - Delphine odwróciła się osłupiała, zakrywając rękami usta.

- Powiedział mi ojciec. Tylko mnie. Nie chciał, żeby kto inny wiedział. Hańbę, jaką na nazwisko rodu sprowadził jego syn, trzeba było ukryć, nawet przed tobą. Oboje stwierdziliśmy jednak, że znamy tylko część prawdy. Kto może powiedzieć, ile zła wyrządził tutaj Bruno podczas okupacji? Po śmierci dziadka był w Valmont sam przez trzy mroczne lata. Wielu ludzi musiało mieć powody, żeby dochodzić na nim sprawiedliwości.

- Ale wojna skończyła się ponad sześć lat temu - stwierdziła Freddy.

- Łatwo jest patrzeć w ten sposób, jeśli nigdy nie mieszkało się w okupowanym kraju - powiedział Armand. - Sześć lat nic nie znaczy. Gdyby wrócił tutaj po dziesięciu latach, po dwudziestu, kaci Bruna, kimkolwiek byli, czekali by na niego nadal. Mógł to zrobić nawet ktoś z policji albo ktoś znany policji... krewny, przyjaciel. Policja ma własne powody, żeby nie rozpoczynać śledztwa.

- Czy domyślałaś się czegoś takiego, Delphine? - spytała Freddy. - Podczas wojny byliście mniej więcej w kontakcie. Czy masz pojęcie, o co mogło chodzić?

- Nie, zupełnie nie. Wobec mnie Bruno był zawsze... w porządku - pogodnie odparła Delphine, biorąc Armanda za rękę. Pewne rzeczy zostały pogrzebane na zawsze. Obiad u generała von Sterna nigdy nie miał miejsca. Nigdy nie błagała Bruna o pomoc. Nigdy nie zgodziła się włożyć diamentów i iść na Rue de Lille do generała, żeby prosić o przysługę. Bez względu na to, dlaczego zabito Bruna, była przekonana, że zasłużył na swój los. Ani Freddy, ani matka, ani nawet Armand nie mogli w pełni pojąć, jak było pod okupacją. Dzięki Bogu za pragmatyzm francuskiej policji.

* * *

- Naprawdę nie mogę się już doczekać wyjazdu - wykrzyknęła Eve w dzień później, po wyjściu notariusza. Szeroko rozrzuciła ramiona. - Po tych wszystkich prawniczych historiach usycham z tęsknoty za przyzwoitym wygrzaniem się w kalifornijskim słońcu.

- Wiesz, mamó, pomyślałam, że może byłoby zabawnie wrócić statkiem - podsunęła Freddy. - Od kiedy byłam dzieckiem, nie płynęłam po morzu, a pogoda jest jeszcze dobra. Co o tym sądzisz?

- W życiu nie słyszałam gorszego pomysłu! Po pierwsze, od tygodni nie widziałas Annie, czyli o wiele za długo, a ja też umieram z pragnienia, żeby dostać to słodkie dziecko w swoje ręce. Po drugie, nie umiem sobie wyobrazić nic bardziej przygnębiającego niż przyglądanie się oceanowi przez pięć dni bez przerwy, w otoczeniu obcych ludzi. Wychodziłabyś z siebie przy takim żółwym tempie, a mnie to też zupełnie niepotrzebne do szczęścia.

- Myślałam, że mogłoby to być... och, wiesz... odprężające, uspokajające, dające poczucie harmonii i luksusu. Jednym słowem rodzaj leczenia odpoczynkiem.

- Nużące jest takie leczenie, zabiera wieki, a do tego wszyscy za dużo jedzą. Miło z twojej strony kochanie, że się o mnie troszczysz, ale nie śniłoby mi się nawet wybierać innego środka lokomocji niż samolot. Jedyne pytanie brzmi, jak szybko możemy odlecieć. Praktycznie jestem spakowana. Odbyłam już ostatnie rozmowy z gospodynią, ogrodnikami, szefem sprzedaży, był też u mnie na rozmowie chef de cave. Mogłabym wyjechać dzisiaj, a jutro na pewno.

- Zadzwońię do Paryża i zarezerwuję wam bilety - ofiarował się

Armand i skierował się do telefonu. - Bomba - mruknęła Freddy. - Czy on zawsze jest taki uczynny, Delphine?

- Koniecznie musimy wracać do Paryża. Może to go tak ruszyło. I założę się, że załatwi bilety na jutro, chociaż w ostatniej chwili jest o nie bardzo trudno.

- Nie mogę się doczekać - mruknęła Freddy do siebie. Gdyby Eve usiadła przy oknie, a podczas lotu trzymała ją za rękę, to podróż byłaby bardziej do zniesienia. Ale nie będą trzymać się za ręce przez całą drogę do Los Angeles. Freddy mogłaby jeszcze położyć głowę na kolanach matki i leżeć z zamkniętymi oczami. Ale też nie przez całą drogę. Mogłaby skarżyć się na chorobę powietrzną, ale nie bez przerwy. Siedząc tuż przy matce, nie mogła za to spać się w trupa. Słyszała o nowym środku, uspokajającym w każdej sytuacji. Gdyby...

- Delphine, czy słyszałaś o czymś, co nazywa się miltown?

- Miltown? Nie, nigdy.

- Co to jest miltown? - spytała Eve.

- Taki amerykański wynalazek. Nic ważnego.

* * *

- Nie oczekiwałam pań tak szybko! - wykrzyknęła Helga na widok Freddy i Eve wyłaniających się z taksówki, która przywiozła je z portu lotniczego.

- Miałyśmy wiatr z tyłu - wyjaśniła Freddy. - Samolot przyleciał wcześniej.

- Proszę, madame de Lancel, pomogę pani z bagażem - powiedziała Helga kręcąc się w kółko, lekko zdezorientowana.

- Dobrze wrócić na stare śmieci - powiedziała Eve - ale jestem

śmiertelnie zmęczona. Freddy, od razu idę na górę się położyć. Nie wiem nawet, jaka jest data, a tym bardziej która godzina.

- Kiedy się zbudzisz, to mnie poszukaj, mamó. Pora nie gra roli. Prawdopodobnie będę na chodzie.

- Tego należało się spodziewać, biorąc pod uwagę, że przez całą drogę chowałaś głowę pod kocem. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak długo spał. Na razie, kochanie.

- Helga, gdzie jest Annie? - spytała Freddy, gdy tylko Eve weszła na pierwszy stopień.

- Minęła się z nią pani o włos. Wyszła.

- Wyszła? Dokąd? Kiedy wróci? - niecierpliwie pytała Freddy.

- Przed zmrokiem na pewno. Nie później niż za parę godzin - powiedziała Helga, usuwając się w kierunku kuchni.

- Helga! Czy Annie wyszła sama? - ostro rzuciła Freddy. - Co masz na myśli, mówiąc „przed zmrokiem”? Dobrze wiesz, że nie pozwalałam jej się włóczyć, jeśli nie powie z kim.

- Nie jest sama, pani Longbridge - pospiesznie odparła Helga. - Zabrał ją pan Hampton.

- Czy powiedział, dokąd idą?

- Niezbyt dokładnie.

- Helga! Dlaczego wyglądasz, jakbyś coś przeskrobała? Co tu się, do diabła, dzieje?

- Och - jęknęła Helga - to miała być niespodzianka. Musiałam obiecać, że nie powiem. Annie powiedziała, że po powrocie do domu pani będzie dumna, tak bardzo chciała, a pan Hampton mówił, że już dorosła i jest dość zręczna... och, pani Longbridge, namówili mnie ci dwoje, nie

miałam serca powiedzieć „nie”, kiedy oboje zaczęli mnie męczyć. Pan Hampton... pan Hampton daje jej lekcje latania... od pani wyjazdu prawie codziennie zabiera ją na popołudnie... Naprawdę myślałam, że pani nie będzie miała nic przeciwko temu. Słyszałam wiele razy, jak pani opowiadała Annie, ile lat pani miała, biorąc pierwszą lekcję. Pewnie powinnam ich powstrzymać, ale pan Hampton jest taki doświadczony... no i mimo wszystko jest ojcem chrzestnym Annie... a Annie była taka zmartwiona, że musi siedzieć sama, pani nie ma, a do tego biedny dziadek umarł tak nagle... Och, pani Longbridge...

- Na miłość Boską, wszystko jest w porządku, Helga. Przestań się tłumaczyć. Już rozumiem, co się stało... Nie płacz i spróbuj zebrać myśli. Dokąd oni pojechali?

- Do czegoś o nazwie Santa Paula. Pan Hampton powiedział, że to dobre miejsce do nauki, niezbyt zatłoczone i nie za wielkie.

- W porządku. - Freddy zaatakowała schody po dwa stopnie naraz, wpadła do swojego pokoju i zrzuciła podróżne ciuchy. Po chwili, jeszcze wilgotna od prysznicu wziętego na chybcika, z włosami obciekającymi, lecz czystymi po podróży w stęchłej samolotowej atmosferze, wskoczyła w dżinsy, spłowiałą niebieską bluzę i tenisówki. Popędziła samochodem przez nizinne tereny doliny San Fernando w kierunku Santa Paula. Tylko na chwilę straciłam dziecko z oczu i już ten sukinsyn zaczął je psuć, pomyślała Freddy. Ona sama czekała z nauką latania do piętnastu lat. A Jock Hampton dawał lekcje! Jock, który w życiu nie latał szkolnym samolotem, uczy dziecko nie mające jeszcze dziesięciu lat! Musi być całkiem szalony, że się zgodził, wszystko jedno jak gorąco Annie go błagała.

Kiedy znalazła się na niewielkim znajomym lotnisku, energicznie pospieszyła do szefa, urzędującego w baraku nieco oddalonym od głównego budynku.

- Czy widział pan wysokiego blondyna z ciemnowłosą małą dziewczynką?

- Pewnie, że tak. Właśnie odlecieli w piper cubie. Wylądowali tylko, żeby coś zjeść, a teraz wystartowali znowu.

- Czy mówili, kiedy wrócą?

- Nie rozmawiałem z nimi. Proszę zapytać barmankę. Może ona wie. Freddy wybiegła z biura i wpadła do większego, drewnianego budynku.

- Ma pani na myśli Jocka i Annie? Tak, byli tutaj. Jak zwykle zjedli czekoladowe ciastko i wypili mleko, a potem odlecieli - powiedziała barmanka. - Bystry dzieciak z tej Annie. Kiedy się pokazali po raz pierwszy, myślałam, że za młoda na lekcje, ale tu się teraz kręci tyle dzieciaków... kurczę, zdaje mi się, że zaczynają coraz wcześniej. Co dla pani?

- Nic! Po prostu na nich poczekam.

Freddy wyszła z budynku i niecierpliwie przebiegła wzrokiem po pustym niebie. Jedyne pas startowy kończył się poprzecznym zagłębieniem prawie wyschniętego koryta rzeki, po którego drugiej stronie ciągnął się gaj dobrze przez nią pamiętanych szarozielonych drzew. Eukaliptusy, sosny, dęby, wszystkie rodem z Kalifornii, śpiewały na wietrze. Te same drzewa stały na warcie w dniu, kiedy z Macem leciała na pierwszy lot do celu i po raz pierwszy zobaczyła Pacyfik z powietrza. Tego dnia samodzielnie usiadła za sterami. Freddy przygotowała się do czekania, rzucając się w suchą trawę na skraju pasa startowego. Wietrzyk

naperfumowany benzyną poruszał żdźbłami.

Przez pół godziny siedziała po turecku we wczesnolistopadowym słońcu. Mimo iż płonęła z niecierpliwości, zauważyła, że zmierzch zaczyna zapadać dosyć wcześnie. Brakowało niecałych dwóch miesięcy do najkrótszego dnia w roku. Ale można było też spojrzeć optymistycznie: po zimowym przesileniu dni znowu miały zacząć się wydłużać, minuta po minucie, aż do przesilenia letniego. Zważywszy jednak, że większą część dwóch ostatnich dni spędziła w samolocie, skulona pod kocem, pocieszana jedynie faktem, iż ma na wyciągnięcie ręki matkę, powstrzymującą ją przed rozsypaniem się ze strachu, Freddy nie widziała powodu do optymistycznych spojrzeń. Zwłaszcza nie w chwili, gdy maniak latał z jej dzieckiem w piper cubie.

Usłyszała niewyraźny pomruk niewielkiego samolotu. Spojrzała do góry i wprawnymi oczami dostrzegła maleńką plamkę żółtego piper cuba. Samolot był jeszcze bardzo daleko, sunął pewnie, prosto i na stałej wysokości. Zastanawiała się, czy przeleci, czy podejdzie do lądowania. Utkwiła w nim wzrok i zauważyła, że pilot przygotowuje się do posadzenia maszyny na ziemi, nie wykazując zresztą przy tym zbytniego pośpiechu. Z dezaprobatą pokręciła głową.. Maszyna była ustawiona pod nie najlepszym kątem, nie szczególnie rażąco, uważny obserwator widzi takie rzeczy co dzień na każdym lotnisku, ale znacznie gorzej niż zwykle pod ręką Jocka. Freddy dostrzegła lekkie wahnięcia, pilot korygował lot, ale poprawiał nadmiernie, więc z kolei kontrował, znowu nieco przesadnie, nie mogąc ustalić kąta. Jock robił się niechlujny. Jak nie on. Wiele można było mu zarzucić, ale nie niechlujne pilotowanie.

Ten samolot pilotowała Annie! Freddy skoczyła na równe nogi i

stała bezradnie, wlepiwszy wzrok w plamkę, przerażona nagłym stwierdzeniem, że za sterami siedzi jej córka. Nie miała czym pomachać, nie miała jak dać sygnału, nie było sposobu na powstrzymanie szaleńczego eksperymentu Jocka. Nagle niepewne chybotanie samolotu ustało, maszyna gładkim ruchem zaczęła opadać do perfekcyjnego lądowania i w minutę później piper cub wytraciwszy szybkość, zetknął się kołami z ziemią niczym wielki żółty motyl lekko siadający na kwiecie.

Freddy przyglądała się w bezruchu, jak samolot kołuje do miejsca postoju, a pilot gasi silnik. Drzwi otworzyły się i ostrożnie wygramoliła się z nich Annie, trzymana przez Jocka za ramię, póki nie postawiła stopy na ziemi.

- Tutaj, Annie! - krzyknęła Freddy. Wysoka jak na swój wiek dziewczynka odwróciła się i przefrunęła przez trawę prosto w jej ramiona.

- Widziałas mnie, mamusiu? Widziałas? Widziałas? - zapiszczała nieprzytomna z podniecenia, obcałowując policzki Freddy w co najmniej dwudziestu miejscach.

- Widziałam. Dobrze ci szło, Annie.

- Och, mamó. Niedobrze. Samolot skakał jak dziki. Tak powiedział Jock. Ale za każdym razem udaje mi się trochę lepiej. Tylko lądowania Jock nie pozwala mi jeszcze nawet próbować.

- To... zrozumiałe.

- Mówi, że muszę się dużo nauczyć - poważnie oznajmiła Annie. - Czy sprawiłam ci dużą niespodziankę, mamusiu? Chciałam zrobić dla ciebie coś wspaniałego, bo wiem, jak bardzo zmartwiłaś się z powodu dziadka. To był mój pomysł, mamusiu. - Annie odwróciła się do samolotu, ustawionego tuż poza pasem. - Jock myśli chyba, że się będziesz bardzo

złościć za te lekcje, na które go namówiłam. Zdaje się, że nie zamierza wysiąść.

- Idź do baru i poczekaj na mnie przy bufecie. Przywitam się z Jockiem. Może nam to chwilę zająć. Masz trochę pieniędzy i zamów sobie, co chcesz.

Freddy podeszła długimi krokami do piper cuba, wspięła się i wetknęła głowę do środka. Jock siedział za prawym wolantem, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, i wpatrywał się w dal. Widoczny z profilu zacięty wyraz twarzy był nieomylnie wyzywający, należał do człowieka, który wie, że nie ma racji, ale stara się do tego nie przyznać.

- Wyłaź stamtąd - poleciła.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Żebym mogła ci powiedzieć, co o tobie myślę!

- Kusząca propozycja, ale mimo wszystko dziękuję, innym razem.

W rozdrażnieniu zapomniawszy o lęku, Freddy wlaźła do wnętrza i ostrożnie przysiadła na krawędzi fotela w masywnym, choć niewielkim piperze.

- Jak mogłeś coś takiego zrobić? Jak mogłeś tak lekkomyślnie postąpić z Annie? Mam ochotę rozszarpać cię na kawałki gołymi rękami.

- Nie byłem lekkomyślny. Byłem nadzwyczaj ostrożny, możesz mi wierzyć. Posłuchaj, Freddy, doskonale wiem, że powinienem był zatelefonować do Francji i poprosić cię o pozwolenie. Po prostu wpadłem posiedzieć trochę z Annie wiedząc, że cię nie ma, i nagle usłyszałem, jak mówię, że zgadzam się zabrać ją raz w powietrze, tylko raz. A potem krok po kroku... Ona ma wrodzony dryg, Freddy, pozwoliłem się w to wciągnąć wbrew rozsądkowi.

- Takie dziecko namówiło cię do czegoś, czego nie chciałeś zrobić? I ja mam w to uwierzyć?

- Być może Annie ma jeszcze więcej talentu do perswazji niż ty, ale chyba w głębi serca sam musiałem chcieć jej uczyć. - Jock obrócił się. - Wybacz, Freddy. Naprawdę przykro mi, że się zdenerwowałaś, ale przecież wiesz, że nie pozwoliłbym jej zrobić nic niebezpiecznego ani nawet ryzykownego. Czy zechcesz mi wybaczyć?

Freddy przyjrzała mu się badawczo, intensywnie myśląc. Od roku nie widziała Jocka i zdążyła już zapomnieć, jaki jest wielki. Kabina piper cuba wydawała się przy nim malutka, Jock siedział w niej pochylony do przodu, ze śmiertelną powagą na twarzy, niemal budząc współczucie Freddy, która nie pamiętała, żeby kiedykolwiek sprawiał takie wrażenie. Jak mogła dalej się na niego wściekać, skoro w zeszłym roku okazał tyle dobroci jej matce i Annie.

- W porządku, Jock. Wybaczam ci. Ale koniec z lekcjami, dopóki nie będzie starsza. Wytlumaczę jej to.

- Jak uważasz. - Jock z ulgą wziął głęboki oddech. - Ej, Freddy, a nie skoczylibyśmy tym ptaszkiem do góry? Zawsze chciałem z tobą polatać. Jesteś takim wspaniałym pilotem. - Jak mógł jej powiedzieć, że będąc znów obok niej czuje się tak niepewnie, jakby schwytał świetlika, jedyne świetlika na świecie... Jeśli wypuści ją z rąk, już nie uda mu się skłonić jej do powrotu.

- Nie. - Freddy wzdrygnęła się, słysząc jego propozycję, ale starała się odpowiedzieć normalnie.

- Tylko na parę minut. Zobacz, akurat jest najlepsza pora. Chodź, pobejdziemy przez chwilę razem z zachodzącym słońcem. - Sięgnął przed

nią i zatrzasnął drzwi samolotu, które Freddy zostawiła otwarte.

- Nie! Jock, przestań!

- Czemu nie? Annie zrozumie, kiedy zobaczy, że startujemy.

- Nie mogę - powiedziała tępo.

- Nijak nie kapuję - stwierdził widząc, że Freddy blednie z wyrazem desperacji na twarzy, a z jej rysów wyzieraają oczywiste cierpienie i lęk.

- Straciłam... och, Jock, do diabła z tym! Straciłam odwagę i opanowanie - wyrzuciła z siebie Freddy. - Od wypadku unikam samolotów... oszukiwałam się, że po prostu nie mam ochoty, że jeszcze nie dojrzałam. Ale kiedy musiałam lecieć do Francji, wszystko stało się dla mnie jasne. Przeszłam koszmar. Wpadłam w totalną panikę, omal nie oszalałam z przerażenia. To wrażenie nie ustało ani na chwilę. Poty, klaustrofobia, oczekiwanie katastrofy w każdej chwili... Nigdy już nie będę latać, nigdy! Nikt oprócz ciebie tego nie wie. Nie mogłabym przed nikim się przyznać, nie zrozumiałby. Proszę, nie opowiadaj o tym... Nie chcę, żeby ludzie wiedzieli.

- Nie wolno ci tracić odwagi, Freddy. Latanie za dużo dla ciebie znaczy. Musisz się znowu poderwać... jak jeździec, który wraca na grzbiet konia, chociaż ten znowu go zrzucił. - Pewnym ruchem przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Jock! Przestań! Zgaś silnik! O Chryste, nie odlatuj, ty sukinsynu! - Freddy krzyczała na niego, Jock tymczasem zaczął kołować na pas startowy.

- Siedź tam i zamknij się! Trzymam stery, nie musisz nic robić! - przekrzyczał warkot silnika. - Zapnij pas!

Freddy posłuchała. Nie mogła wyskoczyć z kołującego samolotu, a

gdyby spróbowała oderwać ręce Jocka od wolantu i drążka, z pewnością zabiłaby ich obojga. Piper pędził coraz szybciej. Freddy mocno zacisnęła powieki, zwinęła dłonie w pięści, skrzyżowała ręce na piersiach, podbródek ściągnęła w dół, przyciskając go do szyi, ramionami próbowała zatkać uszy; zmartwiała, skurczona, nie widząca postać z mięśniami napiętymi jak struny czekała na wstrząs. Kiedy poczuła, że samolot odrywa się od ziemi, skuliła się jeszcze bardziej, zrobiła się jeszcze mniejsza, czuła że za chwilę serce wyrwie jej się z piersi.

- Odetchnij! Robisz się sina - krzyknął Jock. Piper ciągle nabierał wysokości. Freddy zrobiła wreszcie siłą powstrzymywany wydech i zaczerpnęła pełne usta świeżego powietrza wciskającego się do kabiny.

- Lepiej? - spytał.

- Posadź to świństwo na ziemi!

- Najpierw otwórz oczy.

- Jock, błagam cię, nie rób mi tego.

- Nie mogę pozwolić, żebyś sama sobie to robiła. Otwórz te durne ślepia i przestań się wygłupiać.

Freddy na milimetr uchyliła powieki. Skoro Jock nie miał zamiaru wylądować, dopóki nie zmusi jej do otwarcia oczu, to nie było innego wyjścia. Zerknęła przez rzęsy na kolana, z kolan przeniosła wzrok na wolant, potem na tablicę przyrządów, w końcu na ręce Jocka trzymające drugi wolant.

- Otworzyłam. A teraz ląduj, do cholery!

- Otworzyłaś? Nie nazwałbym ich otwartymi. Oczy są otwarte, kiedy możesz wyjrzeć na zewnątrz. Możesz rozejrzeć się dookoła i spojrzeć na ziemię, zobaczyć, że lecisz wysoko jak ptak, a mimo to nie ma końca

świata. Kiedy pani porucznik Marie-Frédérique de Lancel stwierdzi, że prawa aerodynamiki nie zostały zawieszane akurat dla niej, wtedy przyjmę, ku własnemu zadowoleniu, że jej oczy zostały oficjalnie uznane za otwarte.

- Podoba ci się to, ty sukinsynu? Torturowanie mnie jest najlepszą zabawą, jaką miałeś od lat. Dlaczego się przed tobą zdradziłam, ty zadowolony z siebie, przemądrzały, zgniły, podstępny ośle? Dlaczego dałam ci przewagę nade mną?

- Hej, otworzyłaś oczy! Mam taką teorię, że nie sposób wściekać się z zamkniętymi oczami. Nie można wtedy piorunować spojrzeniem. Coś w tym jest, nie sądzisz?

- Oszczędź sobie teorii do czasu powrotu na ziemię. Obiecałeś - nalegała Freddy.

- Powiedziałem „kiedy możesz rozejrzeć się dookoła i spojrzeć na ziemię”. Dotąd rozglądałaś się tylko po kabinie. Równie dobrze mogłabyś siedzieć w samochodzie.

Zaciskając zęby, Freddy ostrożnie potoczyła wzrokiem od jednej burty do drugiej, ani na chwilę nie rozluźniając szyi. Potem bez skrętu ciała powoli pochyliła cały korpus o kilka centymetrów w kierunku bocznej szyby i spojrzała w dół. Natychmiast wyprostowała się i utkwiała wzrok w szybie przed nosem.

- Widziałaś coś ciekawego?

- Bardzo śmieszne.

- A co widziałaś? - dopytywał się.

- Ty zasrany bałwanie! Widziałam ten sam obrazek, co zawsze w tym miejscu. A myślałeś że słońce?

- Nigdy nie wiadomo. Jesteśmy w dzikim rejonie, na samym skraju pustyni... ani się spostrzeżesz i już się zgubiłaś.

- Myślisz, że nie wiem?

- Zdaje się, że znasz tutejszy krajobraz?

- Doskonale wiesz, że w tej okolicy uczyłam się latać, że po raz pierwszy samodzielnie latałam nad niewielkim lotniskiem niedaleko stąd.

- Nie wiedziałem. Dlaczego właściwie miałbym wiedzieć? Czy uważasz, że znam najdrobniejsze szczegóły z twojej przeszłości?

- Zdecydowanie nie. - Freddy poczuła, że zachowuje się śmiesznie. Oczywiście, że Jack nie mógł wiedzieć. Doświadczeni piloci nie rozmawiają ze sobą o własnych pierwszych krokach, chyba że usiądą do wspomnień.

- Założę się, że nie wiesz, gdzie odbyłem pierwszy samodzielny lot - powiedział Jock.

- Nie wiem i mało mnie to obchodzi. Chcę tylko wrócić na dół - gniewnie zażądała Freddy.

- W porządku. Nie ma sprawy. Za chwilę. Pozwól tylko, że ci o tym opowiem. Miałem szesnaste urodziny i mój instruktor naturalnie wiedział, że zdycham z pragnienia, żeby polecieć samodzielnie, Uczyłem się już dziewięć godzin i wydawało mi się, że jestem świetny. To się działo na lotnisku w pobliżu San Juan Capistrano, niedaleko stąd, przyszedłem tam po szkole i robiło się późno. Pomyślałem, że teraz albo nigdy. Przez całą lekcję instruktor kazał mi ćwiczyć podejście do lądowania i samo lądowanie z natychmiastowym startem. Robiłem to godzinę, przez ten czas nie odezwał się ani słowem, nawet nie spojrział na mnie znacząco. Potem lekcja się skończyła i praktycznie było już ciemno. I wtedy ten gość, Boże,

nigdy go nie zapomnę, powiedział: „Jock, kołuj na miejsce postoju”. Kiedy się zatrzymaliśmy, wyskoczył na ziemię pierwszy, jak zwykle, i powiedział: „Dobra, dzieciaku, idę na kawę, a ty jesteś za młody na picie kawy, więc weź maszynę i przecwicz jeszcze parę razy podejście do lądowania. Tymczasem”. I zwyczajnie odszedł. Ani razu się nie odwrócił. Najpierw zastanawiałem się, o co mu chodzi, czy rzeczywiście chce, żebym poleciał sam. Potem zaskoczyłem, wrzasnąłem jak wariat i wystartowałem... wiesz, jakie to jest uczucie, Freddy, nie można go opisać. Jeśli tego nie robiłaś, to nie. Jeśli robiłaś, to wiesz. Tak z tym jest. Za nic nie chciałem lądować. Latałbym tak przez całą noc, aż do wyczerpania paliwa, gdybym nie zobaczył Wenus, która jakby mrugała do mnie. Przypomniała mi. Nagle stwierdziłem, że robi się zupełnie ciemno, więc szybko podszedłem do lądowania, bez rzucania, akurat na właściwej prędkości... i już było po wszystkim. W styczniu 1936 roku. Tyle że, dzięki Bogu, tak naprawdę nigdy nie jest po wszystkim. Czasami myślisz, że się skończyło, że nie czujesz już dreszczu emocji, że spowszedniało ci to zachwycenie, ale ono znienacka wraca. Zawsze tak jest. Dzisiaj na przykład przyglądałem się Annie, jak kładzie rączki na wolancie, i pomyślałem o tobie, chciałem, żebyś była z nami i zobaczyła jej twarz. No i tak, opowiedziałem ci historię mojego życia. Całkiem niezwykła, co? Myślę, że nigdy nie przydarzyła się nikomu innemu. Niepowtarzalne doświadczenie, nie odnotowane w annałach lotnictwa. - Jock ziewnął. - Uch, robię się śpiący, o jaki śpiący... za dużo miałem emocji jak na jeden dzień... chyba się starzeję, wiesz Freddy? Zastąp mnie.

Olbrzymia postać przeciągnęła się, wyrywając ręce nad głową i opierając je dłońmi o dach kabiny. Freddy machinalnie ujęła wolant, jej

stopy machinalnie sięgnęły do pedałów, machinalnie sprawdziła tablicę przyrządów machinalnie zaczęła pilotować. Dobrze, Jock, bardzo dobrze, wrobiłeś mnie w to, wynudziłeś to na mnie, sprytnie. O jak sprytnie, nawet nie wiedziałam, że ta chwila nadchodzi.

Spojrzała na Jocka. Z dużym talentem udawał śpiącego. Oczy miał zamknięte na pewno, nie było co do tego wątpliwości, oddychał równo i jakby coraz głębiej. Słońce wpadające do kabiny złociło owłosienie na jego nagich, muskularnych przedramionach. Długie, szczupłe ciało spoczywało w fotelu całkiem rozluźnione. Brakuje tylko, żeby zaczął udawać chrapanie, pomyślała i przestała zajmować się Jockiem.

Pochłonęło ją wyczuwanie samolotu, nie latała przecież już rok. Zrobiła kilka ostrożnych zwrotów z bardzo łagodnym przechyłem. Maszyna była lekka, ale mocna. Freddy pilotowała ją już kiedyś i знаła jej możliwości. Leciało się nią tak łatwo, że mogłoby to robić dziecko. Dziecko nią leciało, przypomniała sobie Freddy.

Weszła teraz w ostrzejszy zakręt i natychmiast przeszła z niego w drugi we wdzięcznej ewolucji, którą zachwycają się początkujący uczniowie. Upaja ich i oszalamia ten taniec, który mógłby wykonać każdy człowiek z elementarnym poczuciem równowagi, nawet nie wiedzący, dlaczego samolot utrzymuje się w powietrzu ani dokąd leci. Freddy rozejrzała się dookoła. W polu widzenia nie było nikogo. Wspięła się na piperze wyżej, osiągnęła tysiąc trzysta metrów. To było bardziej podobne do latania. Poczwała się świetnie. Och, poczuła się cudownie. Łzy napłynęły jej do oczu w chwili, gdy zorientowała się, że nie czuje najmniejszego lęku. Świadomie pomyślała o szczegółach lotu do Paryża i z powrotem. Dokonała konfrontacji z nimi i próbowała je ożywić, ale pozostały dla niej

tylko wspomnieniem. W głębi wiedziała, że nigdy już nie będzie miała takich odczuć. Straciła odwagę. Tak było. Ale odzyskała ją. I tak też było. Coś podobnego mogło się zdarzyć każdemu.

Freddy rozejrzała się za chmurą, chcąc trochę poigrać, ale dzień był bezchmurny. Słońce opadało nad sam horyzont, a Annie czekała na lotnisku, Freddy miała nadzieję, że cierpliwie. Jock jakby nie mógł się zdecydować, czy ma zacząć chrapać. Freddy podciągnęła piperą jeszcze o dwieście metrów wyżej, jeszcze raz uważnie rozejrzała się we wszystkich kierunkach i, nie ostrzegając Jocka, wprowadziła samolot w ostry lot nurkowy. Rozkieżnany piper cub ochoczo ryknął, kierując się ku dywanowi ziemi, jakby oczekiwał, że Freddy zrobi coś ciekawego. Freddy obserwowała galopującą wskazówkę wysokościomierza, zastygła w pełnym pasji bezruchu, póki maszyna nie nabrała dość szybkości do rozpoczęcia pętli. Teraz Freddy zaczęła łagodnie puszczać drążek do przodu, wyszła z lotu nurkowego ku górze i zaczęła pętlę, która miała ją wynieść ponad horyzont, ponad szczyty świata. Pchając maszynę ku górze, rzuciła okiem na Jocka. Nadal udawał, że śpi, swobodnie oddychał, odprężony i prawie... tak... prawie się uśmiechał. Sukinsyn!

Freddy nieustępliwie pięła się wyżej i wyżej, całym ciałem pragnąc doznać magicznego dreszczu... wyżej, wyżej... do szczytu. I dalej, do góry nogami, ze śmiechem, wśród warkotu silnika, żeby poczuć wolność lotu. Jest wolna, bosko wolna, jest królową horyzontu, pasterką chmur, siostrą wiatru, wyrwaną z upokarzającej, zniewalającej rzeczywistości grawitacji, swobodną w jedynym żywiole dającym rodzajowi ludzkiemu błogosławieństwo takiej możliwości. Freddy wyszła z pętli, zdjęła ręce ze sterów.

- Sprowadź pipera na ziemię, Jock - powiedziała. - Jeśli nie śpiesz.

* * *

Jock wylądował w Santa Paula i powoli zjechał na skraj lądowiska. Żadne z nich nie poruszyło się, żeby wysiąść.

- Dziękuję, Jock - powiedziała Freddy. - Prawdziwy z ciebie przyjaciel.

- Nie ma sprawy.

- Jest, i to wielka.

- Jest, nie ma... - Uśmiechnął się do niej szeroko, w oczarowaniu nie mogąc znaleźć słów. Bez makijażu, z niesfornymi włosami i przekornym błyskiem w oczach, którego Jock nie widział już stanowczo zbyt długo, Freddy była niewyobrażalnie piękna.

- Muszę przyznać, że mnie wyleczyłeś. - Freddy pokręciła głową ze szczerym podziwem. - Może... może mógłbyś coś zrobić z innym problemem, który mnie dręczy - dodała zamyślona. - Chodzi o coś z tej samej branży, też ma związek z moją głową.

- Spróbuję - odparł żarliwie.

- Dolega mi pewien rodzaj amnezji. Lekarze mówią, że po wypadku jest to normalne. Sądzą, że mogę nawet wcale nie odzyskać pamięci o niektórych wydarzeniach, będę miała na zawsze wymazany ważny kawałek życia! Doprowadza mnie to do szału. Pamiętam, że śpiewałam w hotelu stare piosenki. Wyraźnie przypominam sobie ostatnią, *I'm Always Chasing Rainbows...* a potem wiem, że obudziłam się w szpitalu. Po tygodniach, jak się okazało. Na pewno leciałam samolotem i uderzyłam w skałę, tyle wiem, bo mi powiedzieli. Ale nie pamiętam nic, od czasu jak stałam na podium dla orkiestry.

- Nic? Absolutnie nic?

- Ani trochę. Nie wiem, co robiłam, kiedy przestałam śpiewać. Zakładam, że śpiewanie musiałam skończyć, bo inaczej nie mogłabym lecieć samolotem. Popatrz tylko, jak się muszę gimnastykować, żeby połączyć fakty. To żalosne. Czuję się jakbym była tylko połową siebie.

- Czy słowa „Dopóki się znów nie spotkamy” coś ci przypominają? - zaryzykował. Kłęb blond włosów podskakiwał mu na czole, zmrużone oczy wyrażały obawę.

- Och, Jock, to jest piosenka. Moja mama zawsze uważała, że ona przynosi szczęście, chociaż nigdy nie wyjaśniła mi dlaczego. Śpiewałam wam tę piosenkę w „Błękitnym Łabędziu”, bo wyczuwałam w niej jakiś... czar. Miałam nadzieję, że pozwoli wam wszystkim bezpiecznie wrócić następnego dnia. Nie mówiłam przecież, że zapomniałam całe życie, wypadła mi z głowy tylko jego część.

- Czyli nie pamiętasz nic z tego, co było po *I'm Always Chasing Rainbows*? Nie pamiętasz nawet, jak tego wieczoru trafiłaś do domu, nie pamiętasz... niczego... więcej?

- De razy mam ci powtarzać, że pozostała mi wielka pustka?

- Hmm. To naprawdę jest kłopot.

- Cenna uwaga. Przynajmniej stwierdzasz istnienie problemu. Robimy postęp. Wprawdzie powolny, ale myślę, że o postępie można mówić.

- Gdybyś przestała się ze mnie wyśmiewać, to miałbym pomysł.

- Słucham. - Na jej ustach zagościł szelmowski uśmiech człowieka, w którego uszach rozbrzmiewa dźwięk braw, uczciwie zapracowanych braw.

- Powinniśmy odtworzyć wydarzenia tego wieczoru. Myślę, że nie trzeba w tym celu organizować następnego zjazdu eskadry „Orzeł”, bo to pamiętasz, ale możemy podjąć inne kroki. Na przykład, włożysz tę samą sukienkę, tę, obłądną, dziko czerwoną sukienkę, jeśli jeszcze ją masz, i te fantastyczne czerwone buty, i plakietkę ATA ze skrzydłami. Pójdziemy gdzieś, gdzie jest parkiet i muzyka, zjemy obiad tak jak na zjeździe, potańczymy tak jak na zjeździe, potem zachęcę dyrygenta, żeby orkiestra zagrała kilka starych piosenek i... no, a potem się stamtąd zabierzemy. Powinno się zdarzyć coś, co ożywi ci pamięć.

- Pomysł wydaje mi się znakomity... pod warunkiem że nie będę musiała śpiewać. Kiedy możemy go zrealizować?

- Kiedy masz ochotę. Jestem do dyspozycji. Nie wybieram się donikąd.

- Może dzisiejszego wieczoru? Tylko czy nie za szybko? - spytała Freddy.

- Dzisiejszy wieczór będzie wspaniały. Nie mam nic lepszego do roboty. A ty?

- Ja też nie.

Freddy pospiesznie cmoknęła Jocka w policzek i przygotowała się do wyjścia z samolotu. Siedziała bardzo blisko niego i przy odrobinę intensywniejszym ożywieniu wyobraźni rzuciłaby się w ramiona Jocka, robiąc z siebie niewyobrażalne, niegodne damy i nieskromne widowisko jeszcze w kabinie samolotu. A Jock musiał przecież ciężko pracować nad przywróceniem jej pamięci. O tak! Do wyleczenia amnezji potrzeba ogromu kochania, mnóstwa pocałunków, zawieruchy uścisków, encyklopedii słów... całej miłości, która była w Jocku, która gromadziła

się przez lata i czekała na nią. Freddy chciała słuchać Jocka, jak opowiada jej o tym jeszcze i jeszcze.

- Freddy - Jock pochylił się ku niej gwałtownie, a oczy zapłonęły mu takim uczuciem, że z wrażenia Freddy o mało nie wypadła z samolotu. Bo gdyby mógł czytać w jej myślach... Nie tak szybko! Jak amnezja, to amnezja. Uczepiwszy się tej myśli, Freddy zmusiła się do zachowania obojętności. Zamrugła.

- Tak? - spytała niewinnie.

- Kocham cię, Freddy, do diabła, kocham cię tak bardzo, że nie mogę wytrzymać!

- Chwileczkę! Powiedz to jeszcze raz! - zarządziła Freddy. Stała, już nie słaba i biedna, lecz dumnie wyprostowana, gotowa słuchać głosu serca.

- O, naigrawasz się ze mnie jak zwykle? - Znowu uśmiechnął się szeroko, nagle nabrawszy pewności siebie. Po raz pierwszy go usłyszała.

- Nie. Chodzi o te słowa. Zdaje się zdaje się, że troszeczkę zaczyna mi wracać pamięć... było coś czy to możliwe?... coś o szkolnej zabawie? Coś o wspólnym lataniu? Hmm... czy nie wydaje ci się, że latanie mamy za sobą?

- Przestań się ze mną drażnić. Możesz to robić co dzień, do końca życia, ale teraz cię pocałuję.

- Tylko tyle pan pragnie, prawda pułkowniku?

- Och, kochanie, pragnę wszystkiego. Wszystkiego. Zaczynając od pocałunku. Freddy, proszę.

- Pamiętam, jak ktoś mówi... tak... pamiętam wyraźnie: „Tylko matoł prosi dziewczynę o pozwolenie” - powiedziała Freddy zdziwionym

głosem, unosząc i otwierając przed Jockiem ramiona w geście oznaczającym na poły poddanie, a bez reszty obietnicę.